

# DIABLO®

## ARCHIWUM

KSIĘGA I

RICHARD A. KNAAK \* MEL ODOM

DWIE Z CZTERECH ORYGINALNYCH OPowieści z uniwersum  
KULTOWEJ GRY FIRMY BLIZZARD ENTERTAINMENT

fabryka słów

RICHARD A. KNAAK

DZIEDZICTWO KRWI



MEL ODOM

CZARNA DROGA

# DIABLO

DIABLO ARCHIWUM - KSIĘGA I

WYDAWNICTWO: FABRYKA SŁÓW 2013



# SPIS TREŚCI

## SPIS TREŚCI

### RICHARD KNAAK DZIEDZICTWO KRWI

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

DZIEWIĘTNAŚCIE

DWADZIEŚCIA

EPILOG

MEL ODOM CZARNA DROGA

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

DZIEWIĘTNAŚCIE

DWADZIEŚCIA

DWADZIEŚCIA JEDEN

DWADZIEŚCIA DWA

DWADZIEŚCIA TRZY

DWADZIEŚCIA CZTERY

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

EPILOG



**RICHARD KNAAK**  
**DZIEDZICTWO KRWI**

# DIABLO



# JEDEN



Czaszka uśmiechała się do nich krzywo, jakby chciała radośnie zaprosić, by dołączyli do niej we trzech, na wieczność.

– Wygląda na to, że nie jesteśmy tu pierwsi - mruknął Sadun Tryst. Stuknął lekko czaszkę ostrzem noża, od czego bezcielesny czerep się zachybotał. Dopiero teraz można było dostrzec, że głowę ich poprzednika przebił kolec, który utrzymywał ciało, aż odpadło i zmieniło się w bezładny stos kości na podłodze.

– A myślałeś, że będziemy? - szepnęła zakapturzona postać.

Podczas gdy Sadun był umięśniony i żyłasty, a przy tym smukły jak nie przymierzając akrobata, to Fauztin sylwetką przypominał szkielet. Mag Vizjerei poruszał się niczym zjawa. Dotknął czaszki świecącym palcem.

– Żadnej magii. Tylko prostacka, aczkolwiek efektywna mechanika. Nie ma się czego obawiać.

– No chyba że to twoja głowa znajdzie się na następnym kołku.

Vizjerei pociągnął za rzadką kozią bródkę i przymknął skośne oczy, jakby chciał w ten sposób potwierdzić, że przyjął do wiadomości stwierdzenie towarzysza. Sadun z wyglądu, a bywało, że i z charakteru, przypominał niegodną zaufania łasicę, Fauztin zaś był jak zasuszony kocur. A to, że bez ustanku drgał mu czubek nosa, pod którym zwisały wąsy, tylko wzmacniało podobieństwo.



Żaden z tych dwóch nie cieszył się kryształową reputacją, ale Norrek Vizharan powierzyłby im swoje życie i po prawdzie kilkakrotnie to uczynił. Był wojownikiem zaprawionym w bojach, lekko posiwiiałym. Podeszedł do towarzyszy i popatrzył przed siebie, gdzie rozległe ciemności sugerowały istnienie znaczniejszej komnaty. Jak do tej pory przeszukali już siedem różnych poziomów i ku swemu zaskoczeniu nie znaleźli niczego poza najbardziej prymitywnymi z pułapek.

Wszystkie te poziomy okazały się też pozbawione jakichkolwiek skarbów, co dla niewielkiej grupy poszukiwaczy stanowiło głębokie rozczarowanie.

– Jesteś pewien, że nie ma tu śladów magii, Fauztin? Nic a nic?

Kocia twarz czarodzieja, do połowy ukryta pod obszernym kapturem, pomarszczyła się jeszcze bardziej w wyrazie łagodnej urazy. Szerokie ramiona sutego płaszcza sprawiały, że Fauztin wyglądał niesamowicie, niemal jak istota nadprzyrodzona, szczególnie że górował wzrostem nad potężnie umięśnionym Norrekiem, który do niskich nie należał.

– Czy naprawdę musiałeś pytać, przyjacielu?

– No bo sensu w tym nie ma! Tych kilka żałosnych pułapek, na które natrafiliśmy, nie mogło nas powstrzymać przed dotarciem do głównej krypty. Po co zadawać sobie tyle trudu, by to wszystko wydrążyć w ziemi, żeby potem zostawić tak otwarte?!

– Nie powiedziałbym, że pająk wielki jak moja głowa jest *żałosny* - wtrącił kwaśno Sadun, odruchowo przeczesując dłonią długie, choć rzednące już czarne włosy. - Szczególnie że akurat *na* mojej głowie siedział...

Norrek zignorował uwagę kompana.

– Jest tak, jak myślę? Przybyliśmy za późno? Znowu będzie jak w Tristram?

Kiedyś, pomiędzy jednym zaciągiem a drugim, poszukiwali skarbów w małej wsi zwanej Tristram. Legenda głosiła, iż w podziemiach strzeżonych przez demony spoczywa skarb tak cenny, że ci, którzy go odnajdą, staną się bogaci niczym królowie. Norrek wraz z przyjaciółmi udali się do Tristram, weszli do labiryntu pod osłoną nocy, niezauważeni przez tamtejszych mieszkańców...

Po wielu trudach, gdy stawili już czoła najdziwniejszym potworom i o włos uniknęli śmiertelnych pułapek, odkryli, że ktoś przed nimi wyczyścił podziemny labirynt ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Dopiero gdy wrócili do wioski, poznali gorzką prawdę. Nie dalej jak kilka tygodni wcześniej do podziemi zszedł potężny bohater i pokonał, jak wieść niosła, straszliwego demona Diabło. Nie tknął wprawdzie ni złota, ni klejnotów, ale poszukiwacze przygód, którzy zjawili się wkrótce potem, nie wahali się korzystać z owoców jego zwycięstwa i wynieśli wszystko, co tylko znaleźli. Norrek z kompanami przybyli kilka dni za późno, co pozbawiło ich wszelkiej nagrody za poczynione wysiłki.

Norrek nie znalazł też pocieszenia w słowach jednego z wieśniaków, który niekoniecznie zachował zdrowe zmysły. Ostrzegł on trójkę najemników, że bohater, nazywany Wędrowcem, nie pokonał Diabło, ale przez przypadek uwolnił potężne zło z podziemnego więzienia. Norrek rzucił Fauztinowi pytające spojrzenie, które tamten skwitował wzruszeniem ramion.

– Ludzie zawsze gadają o uwolnionych demonach i przerażających klątwach - powiedział czarodziej, lekceważąc przerażenie w słowach i głosie wieśniaka. - Diabło występuje w większości pogłosek krążących wśród prostaczków.

– I myślisz, że nie ma w tym ziarna prawdy? - Dzieciństwo Norreka pełne było przerażających opowieści o Diabło czy Baalu, którymi starsi

straszyli dzieci, żeby się grzecznie zachowywały.

– A widziałeś kiedy demona na własne oczy? - prychnął Sadun Tryst. - Znasz kogoś, kto widział?

Norrek ani nie widział, ani nie znał takiego, co widział.

– A ty, Fauztin? - spytał przyjaciela. - Powiadają, że Vizjerei może przyzwać demona na swoje rozkazy.

– Gdybym mógł to zrobić, to myślisz, że męczyłbym się, łażąc po tych labiryntach i grobowcach?

Te słowa, bardziej niż cokolwiek innego, przekonały Norreka, by włożyć opowieść wieśniaka między bajki. Po prawdzie nie sprawiło to wojownikowi jakiejś szczególnej trudności. Ostatecznie wtedy dla całej trójki liczyło się to samo, co teraz - bogactwo.

Niestety, wszystko wskazywało na to, że po raz kolejny skarby okażą się jedynie iluzją.

Fauztin zajrzał w głąb korytarza, a jego osłonięta rękawiczką dłoń zacisnęła się mocniej na czarodziejskiej lasce. Kryształ na wierzchołku, służący za źródło światła, rozbłyśnął mocniej.

– Miałem nadzieję, że się myliłem, ale teraz obawiam się, że masz rację. Nie, z pewnością nie jesteśmy pierwszymi, którzy się tu zapuścili.

Wojownik zaklął pod nosem. W swoim życiu służył pod wieloma dowódcami, głównie podczas krucjat z Zachodniej Marchii, i z licznych kampanii, z których, bywało, ledwie uchodził cały, wyniósł jedno. Nie sposób dojść do niczego na tym świecie bez pieniędzy. Awansował do stopnia kapitana, trzykrotnie był degradowany i przeszedł w stan spoczynku dogłębnie zniesmaczony ostatnią klęską.

Wojna była rzemiosłem Norreka, odkąd dorósł na tyle, by unieść miecz. Kiedyś miał nawet coś w rodzaju rodziny, ale teraz była ona równie martwa jak jego ideały. Wciąż uważał się za przyzwoitego człowieka, lecz

przyzwoitością nie da się napełnić żołądka. Musiał być jakiś inny sposób, doszedł do wniosku Norrek...

I tak, ze swymi dwoma towarzyszami, wyruszył na poszukiwanie skarbów.

Choć tak jak Sadun, Norrek miał skórę poznaczoną bliznami, to pod każdym innym względem przypominał bardziej chłopca niż wojownika. Miał szeroko osadzone brązowe oczy, otwartą, również szeroką twarz o silnej szczęce. Pasował bardziej do motyki niż do miecza. Ale choć czasem widział się z motyką, to doskonale wiedział, że trzeba było pieniędzy, by kupić jakikolwiek skrawek ziemi. Ta wyprawa miała przynieść mu więcej bogactw, niż potrzebował, więcej nawet, niż marzył.

A teraz wyglądało na to, że tylko marnował czas... znowu.

Obok Sadun Tryst podrzucił swój nóż w powietrze, a potem złapał go pewnie. Powtórzył czynność dwa razy, najwyraźniej dumając nad czymś głęboko. Norrek bez trudu mógł sobie wyobrazić, o czym tamten rozmyślał. Ta wyprawa ciągnęła się już od kilku miesięcy. Podróżowali przez morze do północnego Kedżystanu, spali na deszczu i w zimnie, błądzili po niewłaściwych szlakach i przeszukiwali puste jaskinie, jedli jakieś paskudztwa i robactwo, gdy nie zdołali niczego upolować, a wszystko to przez Norreka, który przekonał ich do tej żalosnej wyprawy.

Gorzej nawet, wyruszyli z powodu snu, snu, w którym pojawiał się poszarpany górski szczyt, przypominający łeb smoka. Gdyby Norrek śnił o tym szczycie raz czy dwa, pewnie by o wszystkim zapomniał, ale sen powtarzał się aż nazbyt często. Wszędzie, gdzie zagnała go wojna, Norrek wypatrywał tego szczytu - daremnie. Aż nieoczekiwanie jeden z towarzyszy broni, teraz już poległy, wspomniał o takim miejscu. Podobno było ono nawiedzone przez duchy i ci, którzy zbliżyli się doń za bardzo, przepadali bez śladu albo po latach znajdowano kości odarte z ciała.

Zarówno wtedy, jak i teraz Norrek Vizharan był przekonany, że przeznaczenie starało się sprowadzić go tutaj.

Ale skoro to przeznaczenie, dlaczego wzywało go do grobowca, który został już splądrowany?

Wejście było dobrze ukryte w skalnej ścianie, niemniej otwarte. I już to powinno stanowić dla Norreka podpowiedź, tyle że nie chciał jej zauważyć. Nadzieje, obietnice składane kompanom...

– Niech to. - Kopnął najbliższą ścianę i tylko dzięki wzmocnionemu butowi nie połamał sobie palców. Cisnął miecz na ziemię i nie przestawał przeklinać własnej naiwności.

– W Zachodniej Marchii jakiś nowy generał zaciąga najemników - podsunął Sadun. - Mówi, że ma wielkie ambicje...

– Dość już wojen - mruknął Norrek, próbując zignorować ból, który przepływał mu przez stopę. - Dość umierania dla cudzej chwały.

– Myślałem tylko...

Tyczkowaty czarodziej postukał laską o ziemię, aby zwrócić na siebie uwagę towarzyszy.

– Skoro już tutaj dotarliśmy, głupotą byłoby nie zajrzeć do głównej komnaty. Może ci, którzy byli tu przed nami, zostawili trochę błyskotek lub monet. Przecież w Tristram znaleźliśmy kilka złotych monet. Nie zaszkodzi przecież się tu rozejrzeć, czyż nie, Norreku?

Norrek wiedział doskonale, że tak naprawdę czarodziej próbuje jedynie złagodzić gorycz ich porażki, ale dał się przekonać. Kilka złotych monet to tak naprawdę wszystko, czego potrzebował. Wciąż był dość młody, aby się ożenić, zacząć nowe życie, może nawet doczekać się rodziny.

Norrek podniósł miecz, waząc w dłoni broń, która tak dobrze mu służyła przez wiele lat. Czyścił ją i ostrzył, był z niej dumny, ponieważ stanowiła

jedną z niewielu rzeczy, które należały do niego tak naprawdę. Na jego twarzy odmalowało się zdecydowanie.

– Chodźmy.

– Jak na kogoś, kto rzadko używa słów, zawsze wiesz, co powiedzieć.

– A ty stanowczo używasz ich zbyt wiele, jak na kogoś, kto nie ma nic do powiedzenia.

Przyjacielska sprzeczka pomogła Norrekowi uspokoić skołatane myśli. Przypomniała mu czasy, gdy ich trójka przetrwała znacznie cięższe chwile.

Rozmowa urwała się, gdy zbliżyli się do pomieszczenia, które musiało być ostatnią, najważniejszą komnatą podziemi. Fauztin nakazał im się zatrzymać, popatrując przy tym na kryształ na końcu laski.

– Zanim pójdziemy dalej, lepiej zapalcie pochodnie.

Oszczędzali pochodnie na wypadek trudności, dotąd doskonale oświetlała im drogę laska Fauztina. Czarodziej nie powiedział nic więcej, ale krzesząc ogień, Norrek zastanawiał się, czy Vizjerei wykrył ślad magii albo zaklęć, bo jeśli tak, to może pozostały tam jeszcze jakieś skarby...

Norrek zapalił swoją pochodnią żagiew Saduna. A gdy już mieli pewniejsze źródło światła, podjęli marsz.

– Przysięgam - mruknął Sadun chwilę później - przysięgam, że włosy na karku stanęły mi dęba!

Norrek też to czuł. Żaden z wojowników nie zaprotestował, gdy mag przejął prowadzenie. Klany z Dalekiego Wschodu od dawien dawna zgłębiały tajniki magii, a lud Fauztina zajmował się tym najdłużej ze wszystkich. Jeśli pojawią się okoliczności wymagające użycia magii, chudy czarodziej przyda się tam najbardziej. Norrek i Sadun będą strzegli go przed innymi niebezpieczeństwami.

Ten układ zawsze się sprawdzał, *jak dotąd*.

W przeciwieństwie do ciężkich butów wojowników sandały Fauztina nie czyniły żadnego dźwięku. Vizjerei wysunął laskę i Norrek zauważył, że kryształ mimo swej mocy nie dawał rady oświetlić zbyt wiele. Tylko pochodnie sprawowały się jak należy.

– To jest stare i potężne. Nasi poprzednicy mogli nie mieć tyle szczęścia, jak początkowo się wydawało. Wciąż jeszcze możemy odnaleźć skarb.

I nie tylko. Norrek zacisnął palce na rękojeści miecza, aż mu kostki pobieleły. Pragnął złota, ale pragnął też żyć, aby je wydawać.

Gdy światło laski przestało wystarczać, wojownicy wysunęli się do przodu. Nie oznaczało to bynajmniej, że Fauztin nie będzie im służył wsparciem. Nawet teraz, Norrek był tego pewny, czarodziej obmyślał najszybsze i najbardziej skuteczne zaklęcia przeciwko temu, co mogli napotkać po drodze.

– Ciemno jak w grobie - narzekał Sadun pod nosem.

Norrek nie odpowiedział. Idąc kilka kroków przed swymi towarzyszami, miał być pierwszym, który przekroczy próg komnaty. Mimo niebezpieczeństw, które mogły czaić się w ciemnościach, czuł, że pomieszczenie go przyciąga, jakby ze środka niósł się zew...

Oślepiająca jasność pozbawiła wzroku wszystkich trzech poszukiwaczy skarbów.

– Bogowie! - warknął Sadun. - Nic nie widzę!

– Poczekaj - przestrzegł go czarodziej. - To przejdzie.

I tak też się stało, a gdy ich oczy przywykły do światła, roztoczył się przed nimi widok niezwykły. Aż zamrugali, by się upewnić, że to nie wytwór wyobraźni.

Ściany pokryte były skomplikowanymi, zdobionymi klejnotami wzorami, w których nawet Norrek Vizharan wyczuwał magię. Ułożone zostały z ogromnej ilości kamieni szlachetnych wszelkiego rodzaju i

rozświetlały komnatę zdumiewającą feerią barw. A poniżej tych symboli przyciągało oczy to, po co przybyli trzej poszukiwacze. Sterty złota. Góry srebra. Stosy drogocennych kamieni. Ich blask łączył się z refleksami słanymi przez magiczne wzory, dzięki czemu w komnacie było jaśniej niż w dzień. Gdy tylko któryś z wojowników poruszał pochodnią, światło nadawało pomieszczeniu nowy, niesamowity wymiar i jeszcze bardziej zaskakujący wygląd. Lecz choć widok zapierał dech w piersiach, było coś, co skutecznie ostudziło entuzjazm Norreka.

Na podłodze, jak okiem sięgnąć, walały się poszarpane, rozkładające się szczątki tych, którzy przed Norrekiem i jego przyjaciółmi odnaleźli to przeklęte miejsce.

Sadun zbliżył pochodnie do najbliższych zwłok, odartych już z ciała, wciąż jednak odzianych w resztki gnijącej skórzanej zbroi.

- Musieli tu stoczyć jakąś bitwę.
- Ci ludzie nie umarli w tym samym czasie.

Wojownicy popatrzyli na Fauztina, na twarzy maga zaś, zwykle pozbawionej wyrazu, teraz malował się frasunek.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- To, Sadunie, że niektórzy z tych nieszczęśników nie żyją od dawna, może nawet od stuleci. A ten obok ciebie należy do najświeższych. Niektórzy z tamtych są już tylko stosem kości.

Szczuplejszy z weteranów wzruszył ramionami.

- W każdym razie na oko widać, że nie pomarli lekką śmiercią.
- Zatem... co ich zabiło?
- Spójrzcie tu - odezwał się Norrek. - Wygląda na to, że pozabijali się nawzajem.

Dwa trupy, na które wskazywał, trzymały broń zatopioną w swoich brzuchach. Jeden, ze szczękami wciąż rozwartymi jakby w ostatnim krzyku



przerażenia, nosił zbroję podobną do tej na zmumifikowanych szczątkach u stóp Saduna. Drugi miał już tylko zetlałe skrawki ubrania i kilka pasemek włosów na czaszce, pozbawionej skóry i ciała.

– Chyba jednak jesteś w błędzie. - Vizjerei lekko pokręcił głową. - Jeden z tych wojowników jest znacznie starszy od drugiego.

Norrek byłby gotów się zgodzić, gdyby nie ostrze, tkwiące w tym, co zostało z drugiego trupa. Zresztą śmierć tych dwóch przed wielu laty miała się nijak do obecnej sytuacji.

– Fauztin, wyczuwasz coś? Czy są tu jakieś pułapki?

Chudzielec skierował laskę w stronę komnaty, trzymał tak przez chwilę, po czym opuścił. Nie można było nie zauważyć niesmaku, jaki odmalował mu się na twarzy.

– Zbyt wiele tu przeciwstawnych sił, Norreku. Nie wiem, czego dokładnie szukać. Nie wyczuwam bezpośredniego zagrożenia... na razie.

Obok Saduna niemal podskakiwał ze zniecierpliwienia.

– Zatem zostawiamy to wszystko i porzucamy marzenia czy też zaryzykujemy i zabierzemy odrobinę tego wartego kilku imperiów skarbu?

Norrek i czarodziej wymienili spojrzenia. Żaden nie widział powodów, żeby się wycofać, zwłaszcza że przed nimi piętrzyło się tyle bogactw. Weteran ostatecznie rozstrzygnął problem, robiąc kilka kroków w głąb głównej komnaty. Gdy nie poraziła go błyskawica ani nie powalił demon, Sadun i Vizjerei szybko dołączyli do towarzysza.

– Musi ich tu leżeć przynajmniej kilka tuzinów. - Sadun przeskoczył nad dwoma szkieletami zastygłymi w śmiertelnej walce. - I to nie licząc tych, co się porozpadali na małe kawałeczki...

– Sadun, zamknij gębę albo ja cię uciszę...

Teraz, kiedy stał wśród martwych poszukiwaczy skarbów, Norrek nie życzył sobie dalszych rozmów na ich temat. Niepokoiło go, że tylu aż

poległo tu gwałtowną śmiercią. Ktoś z pewnością przeżył. Ale skoro tak, to dlaczego monety i inne skarby leżą nietknięte?

Zapomniał jednak o tych pytaniach, gdy dostrzegł, że za górami skarbów, w najdalszej części komnaty, na końcu naturalnie uformowanych schodów znajduje się postument. Co więcej, na tym postumencie spoczywały szczątki, wciąż odziane w zbroję.

– Fauztin... - Gdy mag zbliżył się do niego, Norrek wskazał podwyższenie. - Co o tym sądzisz? - mruknął.

W odpowiedzi Fauztin jedynie ściągnął usta i ostrożnie zbliżył się do postumentu. Norrek szedł tuż za nim.

– To by tyle wyjaśniało... - usłyszał szept Vizjerei. - Wyjaśniało, dlaczego jest tu tyle sprzecznych sił, mocy o odmiennej charakterystyce, tyle znaków...

– O czym ty mówisz?

Czarodziej wreszcie spojrział na Norreka.

– Chodź i zobacz sam.

Norrek posłuchał. Uczucie niepokoju, które już wcześniej go przepełniało, przybrało na sile, gdy weteran zbliżył się do postumentu.

Spoczywały na nim bez wątpienia szczątki znacznego wojownika, choć z ubrania nieboszczyka zostały tylko zetlałe resztki. Z cholewek przewróconych mocnych skórzanych butów sterczały resztki spodni. Jakieś szczątki, prawdopodobnie jedwabnej koszuli, były ledwie widoczne pod potężnym napierśnikiem opierającym się na żebrach. Poczerniałe strzępy zdobnej królewskiej szaty zaścielały górną część katafalku. Płytowe rękawice i półokrągłe karwasze sprawiały wrażenie, że ramiona nieboszczyka wciąż są okryte mięśniami i skórą. Podobne złudzenie wywoływały naramienniki. Gorzej rzecz się miała z osłonami nóg, te fragmenty pancerza leżały obok piszczeli, jakby ktoś je poruszył.

– Widzisz? - spytał Fauztin przyjaciela.

Norrek zmrużył oczy, niepewny, o co chodziło magowi. Poza tym, że zbroja pomalowana była na niepokojący, acz przy tym znajomy odcień czerwieni, nie zauważył niczego...

Nie było głowy. Ciało na postumencie nie miało głowy. Norrek zajrzał za podwyższenie, ale i tam nie było żadnych śladów. Powiedział o tym czarodziejowi.

– Tak, dokładnie jak opisano... - Chudy mag przysunął się do podwyższenia aż nazbyt chętnie, w opinii wojownika. Fauztin wyciągnął dłoń, ale w ostatniej chwili wstrzymał się przed dotknięciem szczątków.

– Ciało ułożone jest tak, by szyja wskazywała północ. Głowa i hełm, pierwiej oddzielone od ciała w bitwie, zostały rozłączone w czasie i przestrzeni, aby położyć ostateczny kres. Znaki mocy na ścianach miały być przeciwwagą i utrzymać mrok wewnątrz ciała... ale... - Głos Fauztina zamarł, a Vizjerei wpatrywał się w szczątki na postumencie.

– Ale co?

Czarodziej potrząsnął głową.

– Nic, jak sądzę. Zapewne przebywanie tak blisko tego trupa rozstroiło moje nerwy bardziej, niż chciałbym przyznać.

Norreka zdążyły już zirytować niejasne słowa przyjaciela, zgrzytnął zębami.

– Więc... kto to jest? Jakiś książę?

– Na Niebiosa, nie! Nie widzisz? - Palec w rękawiczce wskazał czerwony napierśnik. - To zaginiony grobowiec Bartuka, pana demonów, mistrza najmroczniejszej magii...

– Bartuk Krwawy. - Te słowa wymknęły się z ust Norreka z westchnieniem zdumienia, niewiele głośniejsze od szeptu. Bardzo dobrze znał opowieści o Bartuku, który wybił się ponad innych magów, a potem

zwrócił ku ciemności, ku demonom. Teraz szkarłat napierśnika stał się zrozumiały, a zarazem bardziej przerażający. Był to kolor *ludzkiej krwi*.

W swym szaleństwie Bartuk, budzący strach nawet wśród demonów, które go kiedyś kusiły, zwykł po każdej bitwie kąpać się we krwi pokonanych wrogów. Jego zbroja, kiedyś złota, na zawsze została splamiona grzesznymi czynami swego właściciela. Bartuk równał z ziemią miasta, dopuszczał się niewyobrażalnych potworności i nigdy by nie przestał - jak mówiły opowieści - gdyby nie desperacki zryw jego brata Horazona i innych magów Vizjerei, którzy wykorzystali wiedzę o starożytnej, bardziej naturalnej magii do pokonania okrutnika. Bartuk i jego demon zostali zgładzeni, gdy niewiele już brakowało im do ostatecznego zwycięstwa. Krwawemu magowi odrąbano głowę, gdy rzucał potężne kontrzaklęcie.

Horazon nie wierzył, iż śmierć ostatecznie złamie potęgę brata, nakazał więc, by ciało Bartuka na zawsze znikło z ludzkich oczu. Norrek nie wiedział, czemu po prostu nie spalono szczątków - on z pewnością by spróbował. Wkrótce potem zaczęły mnożyć się plotki opisujące miejsca, gdzie miały niby spoczywać zwłoki Bartuka Krwawego. Wielu szukało jego grobowca - zwłaszcza ci parający się czarną magią, którzy liczyli na pozostałości mocy - lecz jak dotąd nikomu się to nie udało.

Vizjerei na pewno znał więcej szczegółów niż Norrek, ale weteran aż za dobrze rozumiał, kogo właściwie znaleźli. Zgodnie z legendą Bartuk mieszkał przez jakiś czas wśród ludu Norreka. Być może wśród tych, którzy wychowywali się z Norrekiem, był potomek kogoś należącego do świty potwora. O tak, Norrek niejedno wiedział o spuściźnie tyrana.

Zadrzał i bez namysłu zaczął się cofać od postumentu.

– Fauztin... wychodzimy stąd.

– Ale, przyjacielu...

– *Wychodzimy!*

Czarodziej przez chwilę patrzył Norrekowi w oczy, a potem skinął głową.

– Być może masz rację.

Wdzięczny Norrek odwrócił się do drugiego z towarzyszy.

– Sadun! Zostaw to! Wychodzimy! Już...

Niedaleko pogrążonego w cieniu wejścia do komnaty coś się poruszyło. I nie był to z pewnością Sadun Tryst. Trzeci członek grupy zajęty był ładowaniem do worka każdej błyskotki, jaka nawinęła mu się pod rękę.

– Sadun! - warknął jego starszy kompan. - Rzuć worek! Szybko!

Coś przy wejściu szurnęło w ich stronę.

– Oszalałeś? - zaprotestował Sadun, nie zadając sobie trudu, by spojrzeć przez ramię. - To wszystko, o Czym marzyliśmy!

Uwagę Norreka przykuł szmer. Wojownik nie potrafił określić źródła dźwięku, zdawało się, że dochodzi z wielu stron naraz. Norrek przełknął nerwowo ślinę, bo przy wejściu zamajaczył cień.

Puste oczodoły zmumifikowanego wojownika, którego ciało przekroczyli tuż za progiem, zdawały się spoglądać prosto w przerażone oczy Norreka.

– Sadun! Spójrz za siebie!

To wreszcie zwróciło uwagę Saduna. Żyłasty wojak natychmiast upuścił worek i obrócił się, dobywając miecza. Jednak gdy zrozumiał zagrożenie, którego świadomi już byli jego towarzysze, zbladł niczym płótno.

Podnosili się jeden po drugim, od przegniłych ciał po wyschnięte szkielety, wszyscy ci, którzy przybyli do grobowca przed trójką przyjaciół. Teraz Norrek rozumiał już, dlaczego nikt nie wyszedł stąd żywy i że on i jego towarzysze mogą wkrótce dołączyć do tych przerażających szeregów.

– *Kosoraq!*

Szkielet stojący najbliżej czarodzieja znikł nagle w eksplozji pomarańczowych płomieni. Fauztin skierował palec w stronę następnego, na wpół odzianego ghula, na którego twarzy pozostało jeszcze trochę ciała. Powtórzył słowa mocy.

Nic się nie stało.

– Moje zaklęcie... - Zaskoczony Fauztin nie zauważył szkieletu po lewej, który uniósł zardzewiały, ale nadal użyteczny miecz i najwyraźniej zamierzał pozbawić maga głowy.

– Uważaj! - Norrek odbił klingę i pchnął swoją w przeciwnika. Niestety, na próżno, gdyż ostrze przeszło przez klatkę piersiową trupa, nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Zdesperowany, Norrek wymierzył ghulowi kopniaka, posyłając go na kolejnego nieumarłego.

Otaczały ich przeważające siły wroga, którego nie można było pokonać w normalny sposób. Norrek widział, jak odcięty od przyjaciół Sadun wdrapał się na stos monet i stamtąd próbował się bronić przed dwoma koszmarnymi wojownikami. Jeden był wysuszoną skorupą, drugi szkieletem z ocalałym ramieniem. Kilku następnych już się zbliżało.

– Fauztin! Możesz coś zrobić?

– Spróbuję innego zaklęcia!

Po raz kolejny Vizjerei wypowiedział słowa mocy: tym razem walczący z Sadunem nieumarli znieruchomieli. Tryst natychmiast skorzystał z okazji i ciął z całej siły.

Oba ghule rozpadły się na kawałki od pasa w górę, a ohydne resztki rozsypały się po podłodze.

– Twoje moce wróciły! - zawołał Norrek znów pełen nadziei.

– Nigdy mnie nie opuściły. Obawiam się, że mogę użyć każdego czaru tylko raz. A większość z tych, które mi zostały, wymaga czasu.

Norrek nie zdołał w żaden sposób odpowiedzieć na tę przerażającą wieść, bo jego sytuacja stała się rozpaczliwa. Wymienił kilka ciosów z jednym, potem już z dwoma ze zbliżającego się nieustannie szeregu nieumarłych. Ghule były dość powolne, za co Norrek dziękował bogom, ale liczba i odporność na ciosy szybko przechyliła szalę zwycięstwa na stronę upiornych strażników grobowca. Ci, którzy zaplanowali tę ostatnią pułapkę, wiedzieli, co robią, każda drużyna powiększała szeregi nieumarłych obrońców. Norrek domyślał się, skąd wzięli się pierwsi nieumarli. Już wcześniej zwrócił uwagę przyjaciołom, że chociaż mijali pułapki i martwe stworzenia, aż do znalezienia czaszki na kolcu nie natrafili na żadne ludzkie ciała. Pierwsza drużyna, która odkryła grób Bartuka, z pewnością straciła kilku swoich członków po drodze do komnaty, nie spodziewając się nawet, że polegli towarzysze staną się najgorszym koszmarem dla tych, którzy przeżyli. I tak, z każdą kolejną grupą, przybywało strażników, a Norrek, Sadun i Fauztin wkrótce mieli do nich dołączyć.

Zmumifikowany trup zamachnął się, mierząc w lewe ramię Norreka, wojownik użył pochodni, by podpalić wysuszone ciało, zmienił w ten sposób zombie w płonącą żagiew. Choć ryzykował, że zrani się w stopę, Norrek kopnął trupa, posyłając go ku następnemu przeciwnikowi.

Ale mimo tych sukcesów horda nieumarłych spychała ich w głąb komnaty krok po kroku.

– Norrek! - wołał Sadun. - Fauztin! Atakują mnie z każdej strony!

Towarzysze nie mogli mu jednak pomóc, obaj znajdowali się w identycznym położeniu. Czarodziej powalił jeden szkielet uderzeniem laski, ale dwa inne natychmiast zajęły miejsce pokonanego. Stwory zaczęły poruszać się szybciej i bardziej płynnie. Wkrótce poszukiwacze skarbów nie mieli nad trupami żadnej przewagi.

Trzech wojowników napało na Norreka Vizharana, oddzielając go od Fauztina i zmuszając do cofania się po stopniach, aż w końcu oparł się o postument. Kości Krwawego Pana zagrzechotały w zbroi, ale ku wielkiej uldze weterana Bartuk nie podniósł się, by dowodzić tą piekielną armią.

Kłęb dymu był dla Norreka znakiem, że czarodziej uporał się z kolejnym nieumarłym. Wojownik wiedział jednak, że Fauztin nie da rady pokonać wszystkich przeciwników. Jak na razie żadnemu z kompanów nie udało się osiągnąć niczego poza chwilowym impasem. Pozbawieni ciała, które mogłoby przeszyć ostrze, organów, które można by wykrwawić, nieumarli nie musieli obawiać się noży i mieczy.

Na myśl, że kiedyś mógłby powstać z martwych, by zaatakować kolejnych niefortunnych poszukiwaczy, Norrekiem wstrząsnęły dreszcze. Przesuwał się wzdłuż postumentu, próbując znaleźć jakąś drogę ucieczki. Ze wstydem uświadamiał sobie, że gdyby tylko pojawiła się możliwość wyjścia, bez wahania opuściłby towarzyszy.

Tracił siły. Ostrze cięło go w udo. Ból nie tylko wyrwał krzyk z jego ust, ale i rękojeść miecza z osłabłych palców. Broń z brzękiem spadła po schodach, pod nogi nadciągających upiorów.

Norrek ledwie mógł się oprzeć na zranionej nodze, wymachiwał pochodnią, drugą ręką szukając na postumencie czegoś, czego mógłby się przytrzymać. Jednak zamiast kamienia jego palce uchwyciły zimny metal, który bynajmniej nie dawał oparcia.

Ranna noga poddała się pod ciężarem wojownika. Norrek osunął się na kolano, pociągając za sobą metalowy przedmiot, który przypadkiem uchwycił.

Pochodnia poleciała w dal. Norrek chciał się podnieść, ale wokół widział już tylko morze groteskowych twarzy. Zrozpaczony łowca skarbów uniósł



dłoń, jakby w milczącym błaganiu nieumarłych o litość, jakby mógł w ten sposób powstrzymać to, co nieuniknione.

W ostatniej chwili zorientował się, że na dłoni miał metalową rękawicę.

Tę samą rękawicę, którą wcześniej widział na szkielecie Bartuka.

I gdy to zaskakujące odkrycie doń dotarło, z jego ust wyrwało się słowo, którego nie rozumiał i które odbiło się echem w komnacie. Wysadzane kamieniami wzory na ścianach rozbłysły, a upiorni wrogowie znieruchomieli.

Następne słowo, jeszcze mniej zrozumiałe, wyrwało się zdumionemu weteranowi. Symbole na ścianach błysnęły oślepiająco, zapłonęły...

...i wybuchły.

Przerazająca fala czystej energii parła przez komnatę, rozrywając nieumarłych. Szczątki upiornych obrońców latały wszędzie, zmuszając Norreka do kulenia się za postumentem. Modlił się tylko, by koniec okazał się stosunkowo szybki i bezbolesny.

Magia pochłonęła nieumarłych tak, jak stali. Kości i wysuszone ciała płonęły niczym olej do lamp. Broń topiła się, tworząc kupki żużlu i popiołu.

Ale trójka poszukiwaczy pozostała nietknięta.

– Co się dzieje? Co się dzieje? - Norrek słyszał krzyk Saduna.

Fala wściekłego ognia poruszała się z niesamowitą precyzją, niszcząc wyłącznie strażników grobu. Gdy ich liczba zmalała, tak samo osłabła siła żywiołu. W końcu nie został żaden. Komnata tonęła w niemal całkowitym mroku, który rozjaśniały jedynie dwie pochodnie i odrobina światła odbijana przez potrzaskane kamienie.

Rezultaty oszołomiły Norreka, rozglądał się i zastanawiał, co rozpętał i czy przypadkiem to, co widział, nie było zapowiedzią jeszcze straszniejszych wydarzeń. Popatrzył na rękawicę. Bał się mieć ją na dłoni, ale bał się też i tego, co mogło się stać, gdy spróbuje ją zdjąć.

– Oni... zostali pożarci - wykrztusił Fauztin, podnosząc się z podłogi. Jego szata była w wielu miejscach pocięta, a z paskudnej rany na ramieniu spływała krew.

Sadun zeskoczył ze stosu, gdzie walczył. Co dziwne, wyglądało na to, że nie był wcale ranny.

– Ale jak...?

W rzeczy samej, jak? Norrek poruszył osłoniętymi rękawicą palcami. Metal pasował jak druga skóra, rękawica okazała się znacznie wygodniejsza, niż się można było spodziewać. Strach powoli ustępował, gdy tylko wojownik zaczął uświadamiać sobie, czego jeszcze może dokonać.

– Norreku - usłyszał głos Fauztina - kiedy to założyłeś?

Nie zwrócił uwagi na słowa czarodzieja, rozważał właśnie, co by się stało, gdyby założył drugą rękawicę. Albo lepiej całą zbroję. Jako młody rekrut marzył o generalskich insygniach, o zdobyciu bogactwa dzięki zwycięstwom w kolejnych bitwach. Teraz to wyblakłe marzenie nabrało nowych kolorów i po raz pierwszy Norrek poczuł, że może je spełnić.

Nad jego ręką przemknął cień. Posiwiasty wojownik podniósł wzrok na maga. Na twarzy Vizjerei malował się niepokój.

– Norrek. Przyjacielu. Powinieneś chyba zdjąć tę rękawicę.

Zdjąć? Niespodziewanie ta myśl wydała się żołnierzowi absurdalna. Tylko dzięki rękawicy uszli z życiem. Po co ją zdejmować? Czy... czy to możliwe, że Vizjerei chciał jej dla siebie? Jeśli chodziło o magiczne przedmioty, tacy jak Fauztin zapominali o lojalności. Jeśli Norrek mu jej nie odda, to najpewniej czarodziej zabierze rękawicę przemocą.

Część umysłu Norreka próbowała sprzeciwić się tym przepełnionym nienawiścią koncepcjom. Fauztin ratował mu życie więcej niż raz. On i Sadun byli jego najlepszymi - i jedynymi - przyjaciółmi.

Czarodziej ze Wschodu nie postąpiłby tak niehonorowo... ale czy na pewno?

– Norreku, posłuchaj mnie! - W głosie maga zabrzmiały nutki zazdrości, może strachu. - To bardzo ważne, żebyś zdjął tę rękawicę, natychmiast. Położymy ją z powrotem na katafalku...

– O co chodzi? - zawołał Sadun. - Co z nim nie tak, Fauztin?

Norrek zyskał pewność, że jednak *pierwsza* myśl była słuszna. Czarodziej chciał *jego* rękawicy.

– Sadun. Wyciągnij miecz. Chyba będziemy musieli...

– Mój miecz? Mam go użyć przeciw Norrekowi?!

Coś przejęło kontrolę nad starszym wojownikiem. Jakby z oddali Norrek patrzył, jak odziana w rękawicę dłoń chwyta Vizjerei za gardło.

– Sa-Sadun! Nadgarstek! Tnij...

Kątem oka Norrek dostrzegł, że jego towarzysz zawahał się, nim uniósł broń do ciosu. Furia, jakiej dotąd nie znał, zaczęła spalać starszego wojownika potężnym płomieniem. Świat stał się czerwony jak krew... a potem zapadła ciemność.

A w tej ciemności Norrek Vizharan usłyszał krzyki.

# DWA



W krainie Aranoch, na najbardziej wysuniętej na północ granicy, wielkiej, przytłaczającej pustyni, która pochłonęła większość tutejszych ziem, obozowała niewielka, ale dzielna armia generała Augustusa Malevolyna. Rozbili tu obóz przed kilkoma tygodniami z powodów, które stanowiły tajemnicę dla żołnierzy, ale żaden nie ośmielił się kwestionować decyzji generała. Wielu z nich służyło pod jego komendą od początków kariery w Zachodniej Marchii, a ich oddanie dla jego sprawy graniczyło z fanatyzmem. Po cichu zastanawiali się jednak, dlaczego dowódca nie rusza naprzód.

Uważano, że przyczyny należy szukać w kolorowym namiocie, rozbitym niedaleko kwatery generała, a należącym do wiedźmy. Każdego ranka Malevolyn udawał się do niej, zapewne, aby poznać przyszłość i podjąć decyzje w oparciu o to, co usłyszał. Każdego zaś wieczora Galeona udawała się do namiotu generała w sprawach bardziej osobistych. Jak duży miała wpływ na jego decyzje, nikt nie wiedział na pewno, ale musiał być niemały.

Gdy poranne słońce wyjrzało zza horyzontu, szczupły i zadbane Augustus Malevolyn wyszedł ze swej kwatery. Tę bladą, gładko ogoloną twarz jeden z przeciwników, już nieżyjący, opisał kiedyś jako oblicze Władcy Śmierci, bez wrodzonej łagodności. Teraz rysy generała

pozbawione były jakiegokolwiek wyrazu. Malevolyn nosił zbroję czarną jak noc poza szkarłatnymi wykończeniami na krawędziach, zwłaszcza wokół karku. Napierśnik zdobił symbol czerwonego lisa nad trzema srebrnymi mieczami, jedyna pamiątka dawnej przeszłości generała. Dwóch adiutantów usługiwało mu, gdy zakładał mahoniowo-szkarłatne rękawice, które sprawiały wrażenie, jakby dopiero co wykuł je płatnerz. Po prawdzie, cała zbroja Malevolyna była w doskonałym stanie dzięki nocnej pracy żołnierzy, którzy doskonale wiedzieli, że ich życiu zagrozić może najmniejsza nawet plamka rdzy.

Zakuty w zbroję po szyję, z odsłoniętą głową, generał podążył do sanktuarium swojej czarodziejki i kochanki. Przyprawiliby ono o koszmarne sny każdego wytwórcę namiotów, wyglądało bowiem, jakby ktoś wykonał je na wzór kapy. Łaty, przynajmniej dwóch tuzinów barw, pozszywano jedna na drugą. Tylko tacy jak generał, którzy umieli spojrzeć głębiej, mogli dostrzec, że rozmaite kolory tworzyły określony wzór, a jedynie ci, którzy poznali tajniki magii, mogli zrozumieć ukrytą w nich moc.

Za Malevolynem szło dwóch oficerów, jeden niósł zawiniątko kształtem przypominające głowę. W ruchach żołnierza znać było niepokój, jakby przedmiot napawał go nieufnością, jeśli nie strachem.

Generał nie musiał się zapowiadać, gdy tylko zbliżył się do namiotu, kobiecy głos, głęboki i zarazem przepełniony kpina, nakazał mu wejść.

Choć cały obóz skąpany był już w promieniach słońca, w namiocie Galeony panowała taka ciemność, że gdyby nie wisząca u pułapu mała oliwna lampka, nie dostrzegłoby się czubka własnego nosa.

Wszędzie wisały woreczki, flaszki i różne dziwne przedmioty. Choć oferowano raz czarownicy skrzynię, by mogła tam przechowywać swoje rzeczy, wiedźma odmówiła, wieszając każdy przedmiot na haczyku w

starannie wybranym miejscu i sobie tylko znanym celu. Generał Malevolyn ani się dziwił, ani kwestionował - jak długo otrzymywał odpowiedzi, których pragnął, Galeona mogła wieszać sobie pod sufitem nawet suszone trupy.

I niemalże tak właśnie czyniła. Choć wiele jej skarbów skrywały, na szczęście, rozmaite pojemniki, wśród tych, które wisały luzem, znajdowały się truchła wielu rzadkich gatunków zwierząt i rozmaite szczątki innych stworzeń. Niektóre sprawiały wrażenie ludzkich, choć by zyskać pewność w tej kwestii, trzeba by je zbadać dokładniej, niż ktokolwiek miałby ochotę.

By wzmocnić jeszcze uczucie niepokoju, które ogarniało w jej sanktuarium każdego poza nią samą i jej kochankiem, cienie rzucane przez lampkę poruszały się w sposób niezgodny z logiką i prawami natury. Ludzie Malevolyna często widzieli, jak płomień przechylał się w jedną stronę, a cień w drugą. Nadto przez te cienie namiot wydawał się większy wewnątrz, niżby na to wskazywał jego rozmiar od zewnątrz. Ci, którzy przekraczali progi czarodziejki, mieli wrażenie, że znaleźli się w innym wymiarze, nie do końca właściwym śmiertelnikom.

A na środku tego niepokojącego i dziwnego miejsca czekała Galeona - jeszcze bardziej niepokojąca niż wewnątrz namiotu, a zarazem zachwycająca. Gdy podniosła się z kolorowych poduszek zaścielających wzorzysty dywan, w każdym mężczyźnie rozpałała płomień namiętności. Odrzuciła kaskadę czarnych, lśniących włosów, by odsłonić okrągłą, kuszącą twarz o pełnych, czerwonych ustach, wydatnym, lecz kształtnym nosku i głębokich, niezwykle głębokich zielonych oczach, którym dorównać mogły jedynie te szmaragdowe generała. Gęste rzęsy przysłaniały tę zieleń, a wiedźma wyglądała, jakby samym spojrzeniem chciała pożreć każdego przychodzącego.

– Mój generale - zamruczała, a każde słowo było obietnicą.

Zmysłowo zbudowana, Galeona odsłaniała swoje wdzięki, tak jak prezentowała broń. Jej szata była wycięta tak głęboko, jak to możliwe, aby nie zsunęła się przy tym z ramion, zaś błyszcząca biżuteria podkreślała dekolt. Kiedy czarodziejka się poruszała, jej zwiewne szaty falowały kusząco wokół sylwetki, jakby unosił je lekki wiaterek.

Generał nie pozostał obojętny na jej urok, choć dał temu wyraz tylko przez dotknięcie jej ciemnobrązowego policzka dłonią w rękawicy. Czarodziejka poddała się temu z lubością, jak pieszczocie najdelikatniejszego z futer. Uśmiechnęła się, ukazując ząbki idealne, choć może nazbyt ostre, nieco drapieżne, jak u kota.

– Galeono... moja Galeono... dobrze spałaś?

– Kiedy rzeczywiście spałam... mój generale.

Zaśmiał się cicho.

– Tak jak i ja. - Spowaźniał nagle. - Dopóki nie zacząłem śnić.

– Śnić? - Galeona nie zlekceważyła jego słów, o czym świadczyło to, jak gwałtownie nabrała powietrza, gdy je usłyszała.

– Tak... - Przeszedł obok niej, wpatrując się niewidzącym spojrzeniem w jeden z bardziej makabrycznych okazów w kolekcji wiedźmy. Począł się nim bawić, poruszać stawami, podejmując zarazem relację. - Krwawy Pan powstał...

Natychmiast znalazła się przy nim, na podobieństwo czarnego anioła zawisła u jego ramienia, oczy rozszerzyło jej oczekiwanie.

– Mów, mój generale, powiedz mi wszystko...

– Widziałem pustą zbroję, jak wydostała się z grobu, potem wypełniły ją kości. Potem mięśnie i ścięgna okryły szkielet, pojawiło się ciało. Ale to nie był taki Bartuk, jakim go malowano. - Generał wydawał się rozczarowany. - Twarz miał w najlepszym wypadku przeciętną, a takiej nie rzeźbił żaden z

artystów. Być może był to Bartuk Krwawy, choć w moim śnie sprawiał raczej wrażenie przerażonej duszy...

– To wszystko?

– Nie, potem zobaczyłem krew na jego twarzy, a później odmaszerował. Widziałem, jak góry zmieniały się we wzgórza, wzgórza obracały się w piasek, a on zatonął w tym piasku... a wtedy sen się skończył.

Jeden z oficerów zauważył w kącie namiotu cień, który się poruszył i zbliżył do generała. Nauczony doświadczeniem, że lepiej o tym nie wspominać, oficer trzymał język za zębami, mając nadzieję, że cień nie zechce później zakraść się ku niemu.

Galeona przyłgnęła do zbroi okrywającej pierś Malevolyna i zajrzała mu w oczy.

– Czy śniło ci się kiedyś coś takiego, mój generale?

– Wiedziałybyś o tym.

– Tak. Rozumiesz, jak ważne jest, abyś mówił mi wszystko. - Oderwała się od kochanka i wróciła na stertę poduszek. Pot błyszczał na każdym odsłoniętym kawałku jej skóry. - Koniecznie... To nie jest zwykły sen, o nie.

– Tak i ja podejrzewałem. - Skinął niedbale dłonią na żołnierza trzymającego kulisty przedmiot. Tamten podszedł bliżej, zdjął materiał i odsłonił to, co było ukryte.

Hełm z grzebieniem połyskiwał w słabym świetle lampki. Był stary, ale nienaruszony, okrywał całą głowę i miał tylko wąskie otwory na oczy, nos i nieco szerszy na usta. Tylne części hełmu była wyprofilowana tak, by chronić kark, jednak gardło pozostawało całkowicie nieosłonięte. Nawet w przyćmionym świetle widać było, że hełm pomalowano na krwistą czerwień.

– Pomyślałem, że przyda ci się hełm Bartuka.



– I być może się nie myliłeś. - Galeona sięgnęła po artefakt. Jej palce musnęły dłonie adiutanta. Mężczyzna zadrżał. Upewniwszy się, że generał spogląda w inną stronę, a drugi oficer niewiele może zobaczyć ze swego miejsca, czarodziejka skorzystała z okazji, by popieścić nadgarstek żołnierza. Posmakowała go raz czy dwa, gdy jej apetyt domagał się odmiany, wiedząc, że oficer nie ośmieliłby się powiedzieć dowódcy o tych doświadczeniach. Malevolyn najpewniej kazałby ściąć żołnierza, a nie swą cenną wiedzmę.

Wzięła hełm i położyła go na ziemi niedaleko miejsca, gdzie wcześniej siedziała. Generał odprawił swoich ludzi, po czym usiadł naprzeciwko kobiety.

– Nie zawiedz mnie, moja droga. W tej kwestii nie uznaję kompromisów.

Po raz pierwszy Galeona straciła nieco na pewności siebie. Augustus zawsze dotrzymywał słowa, zwłaszcza gdy dotyczyło ono losu tych, którzy go zawiedli.

Skrywając niepokój, czarodziejka położyła dłonie na hełmie. Generał zdjął rękawice i uczynił to samo. Płomień lampki zamigotał, skurczył się, niemal zgasł całkiem. Cienie urosły, zgęstniały i zdawały się bardziej żywe, mniej zależne od słabego światła lampki. To, że stały się nagle nierealne, jakby nie z tego świata, nie zaniepokoiło generała. Znał część mocy, z którymi obcować Galeona, i miał swoje podejrzania co do pozostałych. Jako dowódca armii, którego ambicje sięgały imperium, wszystko to postrzegał jako narzędzia użyteczne do osiągnięcia celu.

– Podobne przyzywa podobne, krew przyzywa krew... - Słowa płynęły z pełnych ust Galeony. Nie pierwszy raz odmawiała tę litanię dla swego zleceniodawcy. - Niech to, co było jego, przyzwie to, co było jego! To, co nosił cień Bartuka, musi być złączone znów!

Malevolyn poczuł, że jego puls przyspiesza. Świat zdawał się oddalać. Słowa Galeony rozbrzmiewały echem, stawały się jedynym punktem odniesienia.

Początkowo nie widział nic poza wszechobecną szarością. Później w szarości pojawił się obraz, w pewien sposób znajomy. Po raz kolejny zobaczył zbroję Bartuka - ktoś ją przywdział, ale tym razem generał był pewien, że to nie czarodziej z legendy.

– Kto to? - zasyczał - Kto to?

Galeona nie odpowiedziała, oczy miała zamknięte, głowę odchyłoną w skupieniu. Za jej plecami poruszył się cień, który wydał się Malevolynowi podobny do gigantycznego owada. Potem, gdy obraz przed nim stawał się większy, generał skupił się na zidentyfikowaniu obcego.

– Wojownik - mruknęła czarodziejka. - Walczył w niejednej kampanii.

– Nieważne! Gdzie jest? Blisko?

Zbroja Krwawego Pana! Po tak długim czasie, po tylu latach błędzenia...

Galeona skrzyła się z wysiłku. Malevolyn nie dbał o to, gotów był pchnąć ją do granic wytrzymałości i poza nie, jeśli zajdzie potrzeba.

– Góry... zimne, mroźne szczyty...

Żadna wskazówka, na świecie było mnóstwo gór, zwłaszcza na północy i przy Bliźniaczych Morzach. Nawet Zachodnia Marchia miała jakieś góry.

Galeona wzdrygnęła się dwukrotnie.

– Krew przyzywa krew...

Zacisnął zęby. Po co się powtarzała?

– Krew przyzywa krew!

Zadygotała, niemal odrywając ręce od hełmu. Jednak dla niej zaklęcie zostało zerwane. Malevolyn starał się jak mógł, aby utrzymać wizję, choć jego moce nie dorównywały możliwościom Galeony. Udało mu się lepiej skoncentrować na twarzy. Prosta. Z pewnością nie była to twarz przywódcy.

Rysy naznaczone paniką. Nie tchórzostwem, ale ten człowiek wyraźnie czuł się zagubiony i to go przerażało.

Obraz zaczął niknąć. Generał zaklął cicho. Zbroja została odnaleziona przez jakiegoś przekłętego piechura lub dezertera, który nie znał jej prawdziwej wartości ani mocy.

– Gdzie on *jest*?

Wizja rozviała się tak gwałtownie, że nawet jego to zdziwiło. W tej samej chwili śniada czarodziejka zachłysnęła się i osunęła na poduszki, przerywając czar.

Ogromna siła oderwała ręce Malevolyna od hełmu. Generał rzucił wiązką plugawych przekleństw.

Galeona podniosła się z jękiem. Spojrzała na Malevolyna, trzymając się za głowę.

On zaś zastanawiał się, czy nie kazać wiedźmy wybatożyć. Za to, że szczyła go i łudziła, ponieważ zbroja została znaleziona, ale Galeona nadal nie mogła go do niej doprowadzić.

Wiedźma odczytała ponure spojrzenie Malevolyna i to, co dla niej znaczyło.

– Nie zawiodłam cię, mój generale! Dziedzictwo Bartuka czeka, abyś wypełnił je po tych wszystkich latach!

– Wypełnił? - Malevolyn wstał, z trudem utrzymując swoją frustrację i złość na wodzy. - Wypełnił?! Bartuk rozkazywał demonom! Władał co najmniej połową świata! - Poblady wskazał na hełm. - Kupiłem to od wędrownego kramarza jako memento, symbol potęgi, którą chciałem zyskać! Uznałem, że to fałszywy artefakt, ale dobrze podrobiony! Hełm Bartuka! - Generał zaśmiał się ochryple. - Dopiero gdy go założyłem, zdałem sobie sprawę, że to rzeczywiście był *jego* hełm!

– Tak, mój generale! - Galeona szybko wstała i położyła dłonie na jego piersi. Jej palce pieściły metal, jakby to było jego ciało. - A ty zacząłeś miewać sny, widzieć...

– *Bartuka...* Widziałem jego zwycięstwa, jego chwałę i potęgę! Żyłem tym... - W głosie Malevolyna słychać było coraz więcej goryczy. - Lecz tylko w *snach*.

– To przeznaczenie podarowało ci ten hełm! Przeznaczenie i duch Bartuka, nie widzisz tego? Uwierz mi, on chce, abyś był jego następcą - gruchała wiedźma. - Nie może być inaczej, gdyż tylko ty mogłeś oglądać tę wizję sam, bez mojej pomocy!

– To prawda. - Po dwóch pierwszych wizjach, które miały miejsce, gdy przywdział hełm, generał rozkazał kilku swoim najbardziej zaufanym oficerom, by wypróbowali artefakt. Jednak nawet ci, którzy nosili go przez kilka godzin, nie mieli żadnych niezwykłych snów. Dla Augustusa Malevolyna był to wystarczający dowód, że został wybrany przez ducha Bartuka, by przejąć jego okrytą chwałą zbroję.

Malevolyn wiedział wszystko, czego śmiertelnik mógł dowiedzieć się o tym starożytnym magu i wodzu. Przeczytał każdy dokument i zgłębił każdą legendę. Choć wielu przed nim porzuciło badania nad mroczną i demoniczną historią Krwawego Pana - bojąc się, że jakiś cień może skazić ich samych - generał pochłaniał najmniejszy nawet okrucieństwo informacji.

Mógł równać się z Bartukiem pod względem siły fizycznej czy też znajomości strategii, lecz władał tylko odrobiną magii. Mógł zaledwie zapalić świecę. Galeona dała mu większą moc - nie wspominając o innych przyjemnościach - ale by osiągnąć potęgę i chwałę, jakie zdobył Krwawy Pan, Malevolyn musiał znaleźć sposób, by rozkazywać nie jednemu, a wielu demonom.

Zbroja mogła zapewnić mu tę możliwość. Był tego pewien w sposób graniczący z obsesją. Dogłębne badania Malevolyna dowodziły, że Bartuk nasycił ją straszliwymi zaklęciami. Mierne umiejętności magiczne generała zostały znacznie wzmocnione przez samo użycie hełmu. Kompletna, zaczarowana zbroja dałaby mu to, czego pragnął. Cień Bartuka z pewnością tego chciał. Wizje były znakiem.

– Mogę powiedzieć ci jedno, mój generale - szepnęła czarodziejka. - Coś, co doda ci wytrwałości w dążeniu do celu...

Ścisnął ją za ramiona.

– Co? Co to takiego?

Skrzywiła się z bólu.

– On... ten głupiec, który nosi zbroję... zbliża się!

– Do nas?

– Zapewne tak, jeśli hełm i reszta zbroi mają być razem. A nawet jeśli nie, to im bliżej się znajdzie, tym łatwiej przyjdzie mi dokładnie określić, gdzie się znajduje! - Galeona uwolniła jedno ramię, po czym dotknęła policzka Malevolyna. - Musisz tylko chwilę poczekać, ukochany. Tylko chwilę...

Puściwszy kochankę, generał podjął decyzję.

– Sprawdzisz każdego ranka i każdego wieczora! Nie będziesz szczenić wysiłków! Kiedy znajdziesz tego głupca, masz mi o tym natychmiast powiedzieć! Wyruszymy natychmiast! Nic nie stanie pomiędzy mną i moim przeznaczeniem!

Chwycił hełm i bez słowa opuścił jej namiot, adiutanci bezzwłocznie znaleźli się za nim. Myśli Malevolyna gnały jak szalone, a każda niosła obraz generała w zaklętej zbroi. Legiony demonów powstaną, aby mu służyć. Miasta upadną. Narodzi się imperium, którego granice... obejmą cały świat.

Wracając do swej kwatery, niemal tulił hełm. Galeona miała rację. Musi być tylko bardziej cierpliwy. Zbroja sama do niego przyjdzie.

– Dokonam tego, o czym marzyłeś - wyszeptał do nieobecnego cienia Bartuka - Twoje dziedzictwo *będzie* moim przeznaczeniem! - Oczy mu lśniły. - I to już wkrótce...



Wiedźma zadrżała, gdy Malevolyn zniknął za opuszczoną klapą namiotu. Ostatnimi czasy stawał się bardziej niezrównoważony, tym bardziej, im częściej zakładał starożytny hełm. Raz nawet przyłapała go na tym, że mówił, jakby sam był Bartukiem Krwawym. Galeona wiedziała, że w hełmie - a zapewne i całej zbroi - zawarta jest tajemnicza magiczna moc, ale jak na razie nie umiała ani jej zidentyfikować, ani zawładnąć.

Gdyby mogła to zrobić... nie potrzebowałaby już swojego kochanka. Trochę go szkoda, ale przecież są inni mężczyźni. Tacy, których *łatwiej kontrolować*.

Ciszę przerwał głęboki, chrapliwy głos, który nawet w uszach wiedźmy brzmiał jak brzęczenie tysiąca konających much:

– Cierpliwość jest cnotą... ten tutaj powinien to wiedzieć! Sto dwadzieścia trzy lata spędzone na tym świecie w poszukiwaniu władcy! Tak długo... a teraz będzie razem...

Galeona rozejrzała się pośród cieni, szukając tego konkretnego. Wreszcie dostrzegła go w najciemniejszym kącie namiotu: chwiejącą się, podobną do owada postać widoczną tylko dla tego, kto przyglądał się naprawdę uważnie.

– Cicho bądź! Ktoś może nas usłyszeć!

– Nikt nie słyszy, jeśli ten tutaj tak zechce - wychrypiał głos. - Dobrze o tym wiesz, ludzka istota...

– Więc bądź ciszej, bym nie straciła zdrowych zmysłów, Xazax. - Ciemnoskóra czarodziejka patrzyła na cień, ale nie podeszła bliżej. Nawet po tak długim czasie nie ufała swojemu towarzyszowi.

– Takie wrażliwe są uszy ludzkiej istoty. - Kształt cienia stał się bardziej konkretny, teraz przypominał *modliszkę*. Ale modliszkę, która mierzyła siedem stóp, jeśli nie więcej. - Takie miękkie, takie zawodne ciała...

– Ty nie powinieneś mówić o tym, co zawodne.

W namiocie zabrzmiał niski, klekoczący odgłos. Galeona zamarła, świadoma, że jej towarzysz nie lubi być poprawiany.

Xazax poruszył się, podszedł bliżej.

– Opowiedz temu tutaj o wizji.

– Przecież ją widziałeś.

– Ale ten tutaj chce usłyszeć od ciebie... Prosi... spełnij kaprys tego tutaj.

– Dobrze zatem. - Wzięła głęboki oddech i opisała mężczyznę w zbroi tak, jak umiała najlepiej. Xazax na pewno wszystko widział, ale z jakichś powodów ten głupiec zawsze zmuszał ją do opisywania wizji. Galeona, chcąc skończyć jak najszybciej, pominęła szczegóły dotyczące wyglądu mężczyzny, za to skupiła się na opisie zbroi i krajobrazu w tle.

Xazax przerwał jej nieoczekiwanie.

– Ten tutaj wie, że zbroja jest prawdziwa! Wie, że znajduje się gdzieś pośród śmiertelnych! Człowiek! Powiedz o człowieku?

– Całkiem zwyczajny. Nie ma w nim nic szczególnego.

– Nic nie jest zwykłe! Opisz go!

– Żołnierz. Twarz nijaka. Zwyczajny wojownik, sądząc z wyglądu potomek chłopów. Nic niezwykłego. Biedny głupiec, który natknął się na zbroję i, jak zresztą uważa generał, nie ma pojęcia, co znalazł.

Znów klekot. Cień stał się mniej wyraźny. A kiedy Xazax przemówił, w jego głosie brzmiało ogromne rozczarowanie:

– Jesteś pewna, że zmierza w naszą stronę?

– Na to wygląda.

Ciemny kształt znieruchomiał. Xazax najwyraźniej nad czymś się zastanawiał. Galeona czekała... i czekała. Xazax nie miał poczucia czasu, gdy chodziło o innych, w grę wchodziły jego własne potrzeby i pragnienia.

Dwa błyski głębokiej żółci pojawiły się tam, gdzie cień, jak się zdawało, miał głowę, pojawiło się też coś podobnego do zarysu kończyny zakończonej trzema pazurzastymi palcami.

– Niech więc przyjdzie. Wówczas ten tutaj zadecyduje, która marionetka jest lepsza... - Postać Xazaxa stała się niewyraźna. Zniknęło podobieństwo do modliszki czy innego stworzenia. - Niech więc przyjdzie...

Cień rozwiął się w ciemnym kącie namiotu.

Galeona zaklęła pod nosem. Wiele nauczyła się od tej ohydnej istoty, zwiększyła swą moc pod wieloma względami. A jednak bardziej niż Augustusa wolałaby pozbyć się Xazaxa. Generał był do pewnego stopnia podatny na jej manipulację, za to Xazax wcale. Z nim czarodziejka nieustannie grała w kotka i myszkę i zbyt często czuła się słabszym z dwóch stworzeń. Jednak z Xazaxem i jemu podobnymi nie zrywało się paktów ot tak. Gdyby zrobiła to bez przygotowania, mogłaby stracić kończyny, może głowę, a wszystko to, zanim towarzysz pozwoliłby jej wreszcie umrzeć.

A to kazało jej uwzględnić coś całkiem nowego.

Ten, kto nosił zbroję Bartuka, wyglądał na wojownika, ale zarazem, jak opisała, na człowieka prostego. Krótko mówiąc - głupca. A Galeona dobrze wiedziała, jak takimi manipulować. Jako mężczyzna, był bezbronny wobec jej uroku, a jako głupiec, nigdy nie zdałby sobie z tego sprawy.



Przyjdzie jej poczekać i przekonać się, jak ułożą się sprawy z generałem i Xazaxem. W zależności od tego, który sojusz będzie dla niej korzystniejszy, czarodziejka zrobi, co może, by przechylić szalę na tę właśnie stronę. Malevolyn ze zbroją na pewno poradziłby sobie z jej cieniowym towarzyszem. Gdyby jednak Xazax dostał ów artefakt jako pierwszy, wówczas to za nim Galeona będzie podążać.

Nadal jednak obcy stanowił alternatywę. Na pewno łatwo byłoby go wodzić za nos, dyktować, co ma robić. Obcy stanowił potencjał, tamci dwaj ryzyko.

Tak, Galeona zamierzała mieć nieznanego na oku dla jego własnego dobra. Będzie bardziej uległy wobec jej zachcianek niż ambitny i nieco szalony dowódca, a na pewno mniej niebezpieczny niż *demon*.

# TRZY



*Krew.*

*– Na wszystkie świętości, Norrek? Coś ty uczynił?*

*– Norrek. Przyjacielu. Powinieneś chyba zdjąć tę rękawicę.*

*Krew.*

*– Bądź przeklęty! Bądź przeklęty!*

*– Sa-Sadun! Nadgarstek! Tnij...*

*Wszędzie krew.*

*– Norrek! Na bogów! Moja ręka!*

*– Norrek!*

*– Norrek!*

*Krew tych, którzy mu byli najbliżsi...*



*– Neeee!*

Norrek uniósł głowę, krzycząc, nim jeszcze zdał sobie sprawę, że się przebudził. Zimny wiatr przywrócił mu świadomość i po raz pierwszy odczuł piekący ból w prawym policzku. Bez namysłu przyłożył do tego miejsca rękę.

Chłodny metal musnął jego skórę. Wzdrygnąwszy się, Norrek spojrział na dłoń - dłoń osłoniętą szkarłatną rękawicą, z czerwoną cieczą na koniuszkach palców.

Krew.

Z drżeniem ponownie dotknął ciała, tym razem jednym palcem. W ten sposób odkrył, że krwawi w trzech miejscach. Policzek przecinały trzy bruzdy, jakby jakieś zwierzę poraniło go pazurami.

– *Norrek!*

Błysk wspomnienia przejął weterana dreszczem. Twarz Saduna, wykrzywiona strachem, jakiego Norrek nie widział poza najstraszliwszymi polami bitew. Błagające spojrzenie przyjaciela, otwarte usta, z których nie pada żadne słowo.

Dłoń Saduna... rozdzierająca w desperacji twarz przyjaciela.

– Nie... - To nie mogło dziać się tak, jak zapamiętał Norrek.

Kolejne wspomnienie.

Fauztin leżący na posadzce grobowca, kamienie barwi krew spływająca z dziury zięjącej w miejscu, gdzie kiedyś było gardło Vizjerei.

Przynajmniej mag umarł stosunkowo szybko.

– Nie... nie... nie... - Coraz bardziej przerażony, na wpół oszalały Norrek poderwał się na równe nogi. Wokół niego wznosiły się wysokie wzgórza, niemal góry, barwione pierwszymi promieniami słońca. Jednak nic nie wyglądało znajomo. Żaden ze szczytów nie przypominał tego, pod którym wraz z przyjaciółmi znalazł grobowiec Bartuka. Norrek zrobił krok do przodu, próbując ustalić, gdzie się znalazł.

Każdemu poruszeniu towarzyszył niepokojący brzęk.

Mężczyzna spojrział na siebie. Nie tylko ręce miał zakute w metal.

Zbroja. Gdzie by nie spojrział, Norrek widział te same, pomalowane na kolor krwi płyty. Jeszcze przed chwilą myślał, że nie mógłby być bardziej

zaszkokowany i przerażony. Teraz na widok własnego ciała wpadł w zupełną panikę. Szkarłatna zbroja osłaniała jego ręce, tułów, nogi. Jak na ironię nosił nawet te same, wysłużone, ale solidne buty Bartuka.

Bartuk... Krwawy Pan. Bartuk, którego czarna magia ocaliła bezradnego żołnierza za cenę życia Saduna i Fauztina.

– *Bądź przeklęty!*

Norrek próbował zderzyć rękawicę z dłoni. Ciągnął mocno najpierw za lewą, potem za prawą. Jednak bez względu na to, jak bardzo się starał, rękawice zsuwały się tylko na cał, po czym zaczynały stawiać opór.

Zajrzał do środka każdej i nie widząc żadnej przeszkody, spróbował jeszcze raz, lecz nic nie wskórał. Co gorsza, w promieniach wschodzącego słońca zobaczył, że krew ze zranionego policzka nie była jedyną plamą na metalu. Każdy palec, a właściwie większa część każdej dłoni wyglądała jak zanurzona w szkarłatnej farbie.

Ale to nie farba je zabarwiła.

– Fauztin - wymruczał. - Sadun...

Z wściekłym rykiem Norrek uderzył pięścią w najbliższą skałę, gotów połamać sobie wszystkie kości, byleby tylko uwolnić dłoni. Jednak to kamień się poddał, a jedyną szkodą, jaką udało się Norrekowi uczynić, było bolesne pulsowanie całego ramienia.

Osunął się na kolana.

– Neeee...

Wiatr zawył, jakby naśmiewał się z żołnierza. Norrek zamarł, opuściwszy bezwładnie głowę i ramiona. Fragmenty wspomnień tego, co stało się w grobowcu, przebłyskiwały w jego umyśle, każde przedstawiało prawdziwie diaboliczne sceny. Sadun i Fauztin zabici... zginęli z jego ręki.

Norrek poderwał głowę. Niezupełnie z jego ręki. Sprawily to te przeklęte rękawice, które uratowały go przed nieumarłymi strażnikami. Ale Norrek i

tak winił siebie, bo może mógłby zmienić bieg zdarzeń, gdyby natychmiast zdjął rękawicę, z własnej woli nie zabiłby przecież przyjaciół.

Musi znaleźć sposób na uwolnienie dłoni, nawet gdyby trzeba było zrywać metal kawałek po kawałku, razem z fragmentami skóry.

Norrek nie zamierzał się poddać, podniósł się raz jeszcze i rozejrzał w nadziei, że uda mu się jednak rozpoznać okolicę. Niestety, nie zobaczył więcej niż poprzednio. Wzgórza i góry. Las ciągnący się na północ. Żadnych znaków świadczących o tym, że w okolicy mieszkają ludzie, nawet odległego pasemka dymu.

I nic nie przypominało góry, w której znajdował się grób Bartuka.

– Gdzie, na Piekło... - urwał, nie chciał nawet wspominać głośno tego mrocznego wymiaru, który miał być ponoć jedynie legendą. Nawet jako dziecko, a już tym bardziej jako żołnierz nie wierzył w demony i anioły, ale potworności, jakich był świadkiem, zmusiły go do zmiany zdania. Niezależnie od tego, czy anioły i demony istnieją naprawdę, Bartuk Krwawy pozostawił po sobie straszliwą spuściznę - dziedzictwo, którego Norrek zamierzał pozbyć się jak najszybciej.

Miał nadzieję, że próba ściągnięcia rękawic nie powiodła się tylko dlatego, iż był za bardzo wyprowadzony z równowagi. Teraz zamierzał zabrać się do tego we właściwy sposób. Przyjrzeć się dokładnie. Gdy jednak spojrzął w dół, dokonał kolejnego przerażającego odkrycia. Krew splamiła nie tylko rękawice, ale i napierśnik. Gorzej nawet, przyjrząwszy się dokładniej, Norrek zrozumiał, że krew nie zbryzgała metalowych płyt przypadkowo, lecz została metodycznie rozsmarowana na całej powierzchni.

Znów zadrżał. Ponownie skupił się na rękawicach, szukając jakiegoś haczyka, jakiegoś uchwytu, może wgniecenia, które uniemożliwiłoby ich

ściągnięcie. Nic. Nic ich nie blokowało. Żeby się zsunęły, w zasadzie powinno wystarczyć strzepnięcie rękami.

Zbroja. Skoro nie mógł zdjąć rękawic, może przynajmniej zdoła zdjąć jakiś element pancerza. Niektóre przytrzymały sprzączki - nawet w rękawicach mógłby je z łatwością rozpiąć. Inne części nie miały żadnych zapięć, zostały wykonane tak, by je wsunąć lub zsunąć, zależnie od potrzeb...

Norrek pochylił się i spróbował uwolnić z pancerza nogę. Początkowo miał problem, by właściwie uchwycić sprzączki, ale szybko sobie z tym poradził. Ostrożnie zwolnił zapięcie.

A ono natychmiast się zapięło.

Rozpiął po raz drugi - z tym samym skutkiem. Norrek zaklął, próbując po raz trzeci.

Tym razem nie zdołał nawet zwolnić sprzączki.

Spróbował z kilkoma innymi, ale na próżno. Gdy nie bacząc na zimno, spróbował zdjąć buty, podobnie jak wcześniej rękawice zsunęły się tylko trochę, po czym stawiały opór.

- To niemożliwe... - Norrek pociągnął mocniej, ale nic mu to nie dało.

Szaleństwo! To przecież była tylko zbroja, kawałki metalu i para starych butów! Jakim cudem nie dawały się zdjąć?!

Desperacja Norreka rosła. Był prostym człowiekiem, takim, który wierzy, że słońce wstaje o poranku, a księżyc wieczorem. Ptaki latają, a ryby pływają. Ludzie zakładali ubrania, ale ubrania nigdy nie zakładały ludzi!

Popatrzył na zakrwawione rękawice.

- Czego ode mnie *chcecie*? Czego *chcecie*?

Nie rozległ się żaden grobowy głos, by przepowiedzieć, jak mroczny los czeka teraz żołnierza. Rękawice nie zaczęły kreślić na ziemi słów czy

symboli. Zbroja po prostu nie chciała puścić swego nosiciela.

Obrazy przerażającego końca jego towarzyszy znów napłynęły z pamięci, utrudniając skupienie myśli. Norrek modlił się, błagał, aby odeszły, ale podejrzewał, że będą go dręczyć już zawsze.

Skoro nie mógł się pozbyć koszmarów, to powinien chyba znaleźć sposób, aby pozbyć się przeklętych płyt, które nosił. Fauztin był czarodziejem o ustalonej reputacji, ale nawet on przyznawał, że jest wielu zdolniejszych i lepiej wykształconych od niego.

Norrek musiał po prostu odnaleźć któregoś z nich.

Spojrzał na wschód, a potem na zachód. Na wschodzie widział tylko wysokie i ponure góry, za to na zachodzie zbocza zdawały się łagodniejsze. Prawda, Norrek wiedział, że może wyciągać fałszywe wnioski, ale i tak zdecydował się udać w tym drugim kierunku.

Choć zimny wiatr i wilgoć przenikały go do kości, weteran rozpoczął ciężką wędrówkę. Zdawał sobie sprawę, że może zginąć z zimna, nim pokona te góry, ale w głębi duszy wiedział, że tak się nie stanie. Zbroja Bartuka nie wzięła go w niewolę tylko po to, by umarł pośrodku tego pustkowia. Nie, z pewnością miała jakiś cel, który z czasem stanie się jasny i dla Norreka. Niespieszno mu było ten cel poznać.



Słońce zniknęło wśród chmur, a dzień stał się jeszcze zimniejszy. W powietrzu wisiła wilgoć. Norrek, dysząc ciężko, parł do przodu, nie bacząc na okoliczności. Jak do tej pory nie znalazł niczego, co upewniłoby go, że wybrał właściwy kierunek. Równie dobrze za najbliższym szczytem na wschodzie mogło leżeć jakieś królestwo, od którego oddalał się z każdym krokiem.

Takie rozważania, choć frustrujące, powstrzymały wojownika od szaleństwa. Za każdym razem, gdy tylko pozwolił myślom dryfować, wracały uporczywie do grobowca i potworności, które miały tam miejsce. Twarze Fauztina i Saduna prześladowały go nieustannie i od czasu do czasu Norrek wyobrażał sobie, że towarzysze spoglądają na niego potępiająco z jednego czy drugiego cienia.

Jednak jego przyjaciele byli martwi i w przeciwieństwie do Krwawego Pana takimi mieli pozostać. Norrek zaś pozostał z przekleństwem winy.

Okolo południa zaczął słabnąć. Wreszcie dotarło do niego, że nie jadł i nie pił od przebudzenia, zaś poprzedniego dnia wieczerzę spożył dość wcześnie. Jeśli nie chciał wkrótce opaść z sił i umrzeć, musiał znaleźć coś do jedzenia.

Ale jak? Nie miał żadnej broni ani gotowej pułapki. Wodę mógł łatwo uzyskać ze śniegu leżącego na skałach, ale z jedzeniem było o wiele trudniej.

Zdecydowawszy, że zaspokoi przynajmniej pragnienie, skierował się do grupki skał, gdzie w chłodnym cieniu zachowała się niewielka ilość śniegu i lodu. Zebrał, ile mógł, i wyssał łapczywie, nie zwracając uwagi na piach czy źdźbła trawy.

Umysł mu się przejaśnił. Wypluwając piach, Norrek zastanawiał się, co począć. Ani razu nie widział dzikiego zwierza albo ptaka. Bez łuku czy procy nie miał szans na upolowanie czegokolwiek. A jeść musiał...

Jego lewa ręka poruszyła się nagle sama, bez udziału jego woli. Palce rozdzieliły się i zagięły, jakby Norrek ścisnął niewidzialną kulę. Odziana w rękawicę dłoń obróciła się tak, by jej wewnętrzna część znalazła się na wprost krajobrazu przed twarzą zaskoczonego wojownika.

Z jego warg spłynęło nagle pojedyncze słowo:

– *Jezrat!*



Grunt o kilka stóp przed Norrekiem zadrżał. Początkowo wojownik sądził, że to trzęsienie ziemi, ale w podłożu utworzyła się tylko niewielka szczelina, około sześć stóp na trzy. Poza tym najbliższa okolica ledwie drgnęła.

Norrek skrzywił się z obrzydzeniem, gdy z wąskiej, lecz głębokiej jamy buchnął smród. Tam, gdzie rozwijały się pasma żółtego dymu, płonęło powietrze.

– *Iskari! Woyut!*

Kolejne dzikie słowa padły z jego ust.

Z pęknięcia wydobył się okropny, klekoczący dźwięk. Norrek próbował się cofnąć, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Klekot przybrał na sile, zmienił się w zgiełk wysokich zwierzęcych odgłosów.

Norrek niemal jęknął na widok twarzy z groteskowymi kłami, która wychynęła niechętnie na światło dzienne. Para poszczerbionych, zakrzywionych rogów wyrastała z łuskowatej głowy. Żółte, okrągłe oczy z błyszczącymi czerwonymi źrenicami przestały się wpatrywać w niebo i spoczęły na człowieku. Mały, świński ryj stwora zmarszczył się, jakby wywęszył coś straszliwie śmierdzącego - pewnie Norreka.

Dwie łapy uzbrojone w trzy wielkie szpony uchwyciły się gruntu, gdy potworna bestia wydobyła się z dziury. Przykurczone, zbyt wielkie stopy o zawiniętych paznokciach spoczęły na skale. Norrek gapił się na istotę, pochodzącą niewątpliwie z podziemnego świata, garbatego mieszkańca otchłani z grubsza jedynie podobnego do człowieka. Stwór, choć sięgał weteranowi zaledwie do pasa, miał zadziwiająco dużo mięśni okrytych zarówno łuskami, jak i futrem.

Do pierwszej istoty dołączyła druga... a zaraz potem trzecia, czwarta, piąta...

Przerażająca wataha osiągnęła w końcu liczbę sześciu sztuk, o sześć więcej, niżby Norrek sobie tego życzył.

Demoniczne impy klekotały w swoim całkowicie niezrozumiałym języku, wyraźnie niezadowolone z tego, że musiały znaleźć się w tym miejscu, a Norrek nie miał najmniejszych wątpliwości, kogo za to winią. Kilka otworzyło zębate paszcze i syczało na wojownika, podczas gdy inne łypały z wściekłością.

– *Gester! Iskari!*

Wypowiedzenie kolejnych obcych słów znowu zaskoczyło Norreka, ale jeszcze bardziej zdumiała go reakcja potworów. Wszelkie oznaki oporu znikły, a impy padły przed nim plackiem, niektóre wręcz zagrzebały się w ziemi, by zademonstrować, jak niegodnymi są stworzeniami.

– *Dovru Sesti! Dovru Sesti!*

Cokolwiek by to nie znaczyło, sprawiło, że rogate dzikusy zaczęły biegać w panice. Piszcząc i klekocząc, rzuciły się w różnych kierunkach, jakby od tego zależało ich życie.

Norrek wypuścił powietrze z płuc. Za każdym razem, gdy nieznane słowa padały z jego ust, miał wrażenie, że serce mu zamiera. Język przypominał ten, którym posługiwali się Fauztin i inni napotkani przez te wszystkie lata Vizjerei. Ale słowa brzmiały jednak chrapliwiej, mroczniej niż cokolwiek, co wypowiedział zamordowany przyjaciel Norreka, nawet podczas najbardziej zaciętych bitew.

Wojownik nie miał czasu się nad tym zastanowić, bo nagle klekoty przybrały na sile. Spojrzał w kierunku, skąd dochodziły - dwa impy wlokły rozdarte ciało kozła.

Był głodny, a zbroja zadbała o aprowizację w swoim rozumieniu.

Norrek zbladł na widok truchła. Nie raz oczywiście polował, by zdobyć pożywienie, ale impy chyba z prawdziwą rozkoszą pochwyciły i zarznęły

kozła. Głowa została niemal oderwana od korpusu, a nogi sprawiały wrażenie połamanych. Płynąca z rozległej rany na boku krew zostawiała szeroki ślad.

Groteskowe stwory położyły zdobycz przed Norrekiem, po czym się cofnęły. A wtedy pojawił się trzeci, niosąc krwawy ochłap ledwo podobny do królika.

Patrząc na obrzydliwe dary, weteran szukał czegoś, co w jego odczuciu uchodziłoby za zjadliwe. Bestie mogły być znakomitymi myśliwymi, ale sprawianie zdobyczy pozostawiało wiele do życzenia.

Reszta wróciła niedługo potem z kolejnymi łupami. Wymęczoną jaszczurkę Norrek natychmiast odrzucił. Zdecydował się na parę królików. Gdy sięgnął po nie, jego lewa ręka znów się zbuntowała. Rękawica przesunęła się nad królikami, a gdy tak się stało, straszliwe gorąco wydawało się spalać palce Norreka.

– A niech to! - Udało mu się cofnąć o krok. I choć żar przygasał, dłoń wciąż mu drżała. Impy zaklekotały, tym razem zdawały się rozbawione niedogodnością, która stała się udziałem człowieka. Jednak jedno gniewne spojrzenie szybko je uciszyło.

Gdy jego dłoń odzyskała normalną temperaturę, Norrek ponownie przyjrzał się królikom. Okazało się, że zostały upieczone. Co więcej, unosił się z nich smakowity aromat przypraw.

– Cóż... nie oczekuj, że ci za to podziękuję - mruknął właściwie do nikogo konkretnego.

Głód okazał się silniejszy od zdrowego rozsądku i siwiejący wojownik rzucił się na nadspodziewanie dobrze przygotowane mięsiwo. Bez trudu pochłonął nie jednego, lecz dwa króliki. Ukończył ssanie w żołądku na tyle, że mógł się zastanowić, co zrobić z resztą upolowanego mięsa. Norrek czekał, mając nadzieję, że zbroja zadecyduje za niego, ale nic się nie stało.

Demonia wataha wciąż go obserwowała, ale spojrzenia impów ześlizgiwały się na mięso, co pozwoliło Norrekowi podjąć decyzję. Podniósł rękę, wskazał na kozła i resztę upolowanej zwierzyny, po czym machnął na groteskowych myśliwych.

Impy nie potrzebowały dodatkowej zachęty. Z obłąkaną radością, która przepełniła wojownika obrzydzeniem, rzuciły się na mięso. Rwały je, rozrzucając wnętrzności i rozchlapując krew. Posiłek podszedł Norrekowi do gardła, gdy zobaczył, jak demony obierają kości ze wszystkiego, co nadawało się do jedzenia. Wyobraził sobie te zęby i pazury użyte przeciw niemu...

– *Verash!*

Scena przejęła go takim niepokojem, że ledwo zareagował na chrapliwe słowo, jakie padło z jego ust.

Impy cofnęły się przestraszone. Zabrały resztki kozła, z pewnym wysiłkiem wrzuciły pozostałe szczątki do dziury, po czym wskoczyły za nimi.

Ostatni posłał człowiekowi krótkie i wielce zaintrygowane spojrzenie, a potem znikł we wnętrznościach ziemi.

Na oczach zdumionego Norreka dziura zamknęła się, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu.

Chodzące trupy. Nawiedzona zbroja. Demony z podziemi. W przeszłości Norrek stykał się z magią, słyszał nawet opowieści o stworach mroku, ale nic nie przygotowało go na to, co zdarzyło się, gdy wszedł do grobowca. Żałował, że nie może cofnąć czasu i zmienić biegu wydarzeń, wyjść, zanim upiorni strażnicy powstali i zaatakowali jego i kompanów. Norrek wiedział jednak, że nie zdołałby tego uczynić, tak jak nie był w stanie zdjąć przeklętej zbroi.

Potrzebował odpoczynku. Wędrówka była męcząca i teraz, gdy nappełnił żołądek, pragnienie, aby iść dalej, nieco osłabło. Przynajmniej na pewien czas. Lepiej przespać się i ruszyć wypoczętym. Może wtedy Norrek odzyska jasność myśli i znajdzie sposób, jak wydostać się z tej paskudnej sytuacji.

Wojownik odchylił się i przeciągnął. Po wielu latach spędzonych na polach bitew każde miejsce nadawało się do spania. Zbroja mogła nieco przeszkadzać, ale zmęczony żołnierz znał gorsze niewygody.

– Co do...?

Jego ramiona i nogi ustawiły go do pionu. Norrek próbował usiąść, ale nie słuchała go żadna część ciała poniżej karku.

Jego ręce opadły luźno, jakby przecięto mu mięśnie. Lewa noga Norreka ruszyła do przodu, a prawa podążyła za nią.

– Nie mogę iść dalej, niech cię szlag trafi! Muszę chwilę odpocząć!

Ale zbroja o to nie dbała, zaczynała iść coraz szybciej. Lewa. Prawa. Lewa. Prawa.

– Godzina! Najwyżej dwie! Tylko tyle potrzebuję!

Jego słowa odbiły się pustym echem wśród gór i pagórków. Lewa. Prawa. Niezależnie od tego, czy nieszczęsny weteran chciał, czy nie, musiał kontynuować podróż.

Tylko dokąd?



*To nigdy nie powinno się zdarzyć – myślała nerwowo Kara. Na wolę Rathmy, to nigdy nie powinno się zdarzyć!*

Szmaragdowa kula, którą przyzywała wcześniej, aby wszystko widzieć, nadawała całej scenie jeszcze bardziej niepokojącą wymowę. Twarz Kary,

zwykle blada, teraz zbladła jeszcze bardziej. Dziewczyna otuliła się długim, czarnym płaszczem, czerpiąc nieco pociechy z ciepła, jakie dawało okrycie. Spod długich rzęs obserwowała scenę, która wedle jej mistrzów nigdy nie powinna mieć miejsca. Srebrzyste migdałowe oczy Kary błyszcząły niedowierzaniem. „Grobowiec jest bezpieczny na wieki” - powtarzali wielokrotnie mistrzowie. „Gdzie zawodzi magia żywiołów Vizjerei, tam zadziałają nasze wypróbowane umiejętności”.

Ale teraz zarówno bardziej materialistyczni Vizjerei, jak i pragmatyczni kapłani Rathmy najwyraźniej się przeliczyli. To, co starali się ukryć przed ludzkim wzrokiem na wieki, nie tylko zostało odnalezione, ale i skradzione.

A może chodziło o coś więcej? Jak potężni byli intruzi, skoro nie tylko wyeliminowali nieumarłych strażników, ale także pokonali niezniszczalne zabezpieczenia?

Nie tak potężni, skoro dwóch z nich zginęło gwałtowną śmiercią. Poruszając się z takim wdziękiem, iż wydawało się, że płynie w powietrzu, kobieta w czerni podeszła do jednego z ciał. Pochyliła się i odgarnawszy kilka pasemek kruczoczarnych włosów, obejrzała szczątki.

Żyłasty mężczyzna, poznaczony bliznami, weteran wielu bitew. Pochodził z odległych krain Zachodu. Nie wyglądał przyjemnie, nawet zanim ktoś obrócił jego głowę dookoła szyi i prawie oderwał ramię. Sztylet tkwiący w piersi, który niewątpliwie był już przesadą, wyglądał na jego własny. Która z ran okazała się dla mężczyzny śmiertelna, pozostawało zagadką nawet dla nekromanty, przynajmniej na razie. Rozległa rana krwawiła porządnie, ale nie tak bardzo, jak powinna. Po co jednak rozpruwać ofiarę po skręceniu jej karku?

Cicho niczym śmierć dziewczyna podeszła do drugiego ciała. Od razu rozpoznała Vizjerei, co jej zresztą nie zaskoczyło. Vizjerei wszędzie wtykali paluchy, wykorzystywali wszelkie sposoby na umocnienie swej przewagi,

co czyniło ich w najlepszym przypadku sojusznikami niegodnymi zaufania. Gdyby nie oni, ta sytuacja nigdy nie miałaby miejsca. Bartuk i jego brat szli śladami pierwszych Vizjerei, zwłaszcza gdy chodziło o lekkomyślne przywoływanie demonów dla rzucania co bardziej potężnych zaklęć. Celował w tym zwłaszcza Bartuk, który przez ciągłe kontakty z mrocznymi siłami nabrał przekonania, że demony są jego sojusznikami. One zaś żywiły się jego rosnącą żądzą czynienia zła. Pokrewne dusze ze świata śmiertelników i Piekła.

Choć Horazon i jego konfratry pokonali tak Bartuka, jak i jego demony, nie byli w stanie zniszczyć ciała czarnoksiężnika. Zbroja, nosząca w sobie kilka wyjątkowo ponurych i groźnych zaklęć, nadal spełniała swe zadanie i chroniła właściciela nawet po śmierci. Tylko dzięki temu, że Bartuk nie osłonił stosownie własnego gardła, udało się pozbawić go głowy.

I tak Vizjerei zostali z ciałem i głową, których nie mogli spalić. Dlatego udali się do ludu Kary, szukając w gęstej dżungli żyjących w samotności czarowników uprawiających magię życia i śmierci, magię, przez którą zostali nazwani nekromantami. Współ dwa różne zakony włożyły wiele wysiłku w to, by wszyscy podwładni Bartuka na pewno zniknęli z powierzchni ziemi.

Kara dotknęła zalanego krwią gardła czarodzieja. Zauważyła, jak wiele ciała zostało wyrwane z furią przewyższającą zwierzęcą zaciekłość. W przeciwieństwie do wojownika mag umarł szybko, jednak nie mniej gwałtownie. Jego oczy, z których wciąż wзираło przerażenie, zwrócone były na dziewczynę. Wyrażały zarówno szok, jak i niedowierzanie, niemal... niemal, jakby nie mógł uwierzyć w swoją śmierć. Albo w to, kto był jego zabójcą.

Jaka siła zdołała pokonać Vizjerei, ale nie powstrzymała złodziei? A może tylko dzięki szczęściu wyszli stąd cało? Kara zmarszczyła brwi.

Skoro padli nieumarli wojownicy, skoro skruszyły się zaklęcia strażnicze, co pozostało, by prześladować intruzów? Co?

Żałowała, że nie przybyli z nią inni, ale nie mogli. Byli potrzebni gdzie indziej - *wszędzie*, jak się wydawało. To, że ciemne moce zyskały znacznie na sile, dało się odczuć nie tylko w Kedzystanie, ale również w Scosglen. W całej swej historii kapłani Rathmy nie byli tak rozproszeni.

I tak oto została tylko Kara, najmłodsza i najmniej doświadczona z wiernych. Mimo iż jak inni podążający ścieżką Rathmy niemal od urodzenia uczona była niezależności, czuła, że jest zupełnie nieprzygotowana na to, z czym będzie musiała się zmierzyć.

A może... może Vizjerei wciąż mógł ją czegoś nauczyć, pomóc w tym trudnym zadaniu?

Kara wyjęła zza pasa sztylet o ostrzu falistym niczym ciało węża. Choć wyglądał na delikatny, w rzeczywistości był niezwykle wytrzymały. Zarówno ostrze, jak i rękojeść wykonane zostały z najczystszej kości słoniowej. Kara jednak bez namysłu użyłaby tego sztyletu przeciwko każdej innej broni, wiedząc, że zawarte w nim zaklęcia czynią go bardziej wytrzymałym i groźnym niż dowolna metalowa klinga.

Bez odrazy, ale i bez gorliwości nekromantka dotknęła czubkiem sztyletu jednego z najbardziej skrwawionych miejsc na szyi martwego Vizjerei. Obracała ostrze tak długo, aż końcówka dokładnie pokryła się szkarłatem. Potem, trzymając sztylet rękojeścią w dół, Kara wymruczała zaklęcie.

Ciemnoczerwone plamy na falistym ostrzu rozbłysły jasno. Dziewczyna skupiła się i wymruczała kolejne słowa.

Plamy zaczęły się zmieniać, rosnąć. Poruszały się, jakby żyły - lub pamiętały, jak żyły.

Kara, zwana przez swych nauczycieli Nocnym Cieniem, obróciła sztylet, po czym wraziła w podłogę.



Ostrze do połowy zatoneło w twardej skale. Cofnąwszy się szybko, Kara obserwowała, jak kościany sztylet pochłaniają rosnące krwawe rozbryzgi, które zlewają się razem, tworząc niewyraźną ludzką sylwetkę, nieco wyższą od broni.

Kreśląc w powietrzu wzory, nekromantka wypowiedziała drugą i ostatnią część inkantacji.

W szkarłatnym rozbłysku na miejscu sztyletu pojawiła się naturalnej wielkości postać. Mężczyzna skąpany w czerwieni od stóp do głów, ze skórą i ubraniem włącznie, popatrzył na dziewczynę wyczekująco. Nosił strój Vizjerei, ten sarn, w który odziane było leżące za nim ciało.

Kara z przyjemnością odnotowała, jak bardzo widmo było podobne do martwego maga. Do tej pory robiła to tylko raz i w znacznie bardziej sprzyjających warunkach.

To, co stało przed nekromantką, większość ludzi nazwałaby duchem, widmem, ale mieliby rację tylko częściowo. Co prawda, jako utworzone z żywej krwi ofiary, miało pewne ślady psychiki pierwowzoru, ale przywołanie prawdziwego ducha wymagało wiele czasu i wysiłku, zaś Kara musiała działać szybko. Zjawa wystarczy, by odpowiedzieć na kilka pytań.

– Przedstaw się! - rozkazała nekromantka.

Usta poruszyły się, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Jednak odpowiedź uformowała się w umyśle Kary.

*Fauztin...*

– Co tu się stało?

Widziadło spoglądało na nią, ale nie odpowiadało. Kara skłęła się w duchu za głupotę, zjawa mogła odpowiadać tylko na proste pytania.

– Czy to ty zniszczyłeś nieumarłych?

*Kilku...*

– Kto pokonał resztę?

Wahanie i potem odpowiedź.

...Norrek.

Norrek? To imię nic jej nie mówiło.

– Vizjerei? Czarodziej?

Ku jej zaskoczeniu zjawa pokręciła szkarłatną głową.

Norrek... Vizharan...

Znów to imię. Ostatnia część, Vizharan, oznaczała w starożytnym języku „sługa Vizjerei”, ale ta informacja niewiele znaczyła. W ten sposób Kara do niczego nie dojdzie.

– Czy ten Norrek zabrał zbroję z postumentu?

I znów zjawa potrząsnęła głową.

Kara zmarszczyła brwi. W naukach, jakie pobierała, nie było o tym wzmianki. Może Vizjerei wymagali bardziej złożonych zaklęć. Długo zastanawiała się nad następnym pytaniem. Biorąc pod uwagę ograniczenia zjaw, nekromantka mogła spędzić cały dzień i noc na zadawaniu pytań i nie otrzymać żadnej informacji przydatnej w jej zadaniu. Kara musiała...

Z korytarza za nią dobiegł jakiś dźwięk.

Dziewczyna obróciła się na pięcie. Wydawało się jej, że widzi małe, niebieskawe światełko gdzieś w głębi przejścia. Jednak znikło tak szybko, że Kara nie była pewna, czy w ogóle je widziała. Mógł to być świetlik lub inny owad, ale...

Zbliżywszy się ostrożnie do wyjścia z tunelu, Kara spojrzała w ciemność. Czyżby pospieszyła się za bardzo, kierując się prosto do głównej komnaty? Czy ten Norrek mógł kryć się na zewnątrz, czekając, aż ktoś nadejdzie?

To absurdalne, ale Kara naprawdę słyszała jakiś dźwięk. Była tego pewna.

W tej samej chwili usłyszała go ponownie, ale już głębiej w tunelu.

Wymruczawszy zaklęcie, Kara uformowała drugą szmaragdową kulę, którą posłała w głąb skalistego korytarza, i ruszyła za nią.

Nie było śladu intruza, ale Kara nie mogła ryzykować. Ktoś, kto potrafił zabić maga Vizjerei, stanowił śmiertelne zagrożenie. Nie mogła go zignorować. Nekromantka wzięła głęboki oddech, spojrzała w głąb korytarza...

...i zamarła, przeklinając swoją nierozwagę. Zostawiła swój cenny sztylet, a bez niego nie odważyłaby się stawić czoła potencjalnemu wrogowi. Broń stanowiła ochronę w zwykłym i magicznym znaczeniu, nie wolno było ryzykować, że wpadnie w ręce kogoś kryjącego się w grobowcu.

Dziewczyna szybko wróciła do komnaty, w myślach powtarzając zaklęcie, którym odpędzi zjawę, ale okazało się, że szkarłatna postać już zniknęła.

Kara zdołała postąpić jeszcze krok naprzód, zanim zaskoczenie odebrało jej zdolność ruchu. Wraz ze zjawą zniknął nie tylko jej cenny sztylet.

Ciał maga Fauztina i jego szczuplejszego towarzysza również nie było.

# CZTERY



Piaskowy wąż przemykał zwinnie po pustyni. Tylko nieustanny ruch ratował gada od poparzeń. Dziś polowanie było niezbyt udane, a kiedy słońce wzeszło wyżej, wąż musiał, chcąc nie chcąc, szukać sobie kryjówki. Kiedy słońce zejdzie nieco niżej, gad wyruszy ponownie. Na pustyni nie można było przetrwać zbyt długo bez jedzenia.

Wspinał się pospiesznie na ostatnią wydmnę, świadom, że tylko minuty dzielią go od cienia. Jeszcze tylko ta przeszkoda i będzie w domu.

Piach pod węzem eksplodował.

Długie na stopę zuwaczki chwyciły gada w pól. Ciskał się desperacko, usiłując wyrwać się z tego uścisku. Z piasku wychynęła potworna głowa, a za nią pierwsza para podobnych igłom odnóży.

Wciąż wijąc się wściekle, wąż uderzył na napastnika, sycząc i starając się wstrzyknąć mu swój jad. Jego kły nie były jednak w stanie przebić chitynowego pancerza ogromnego stawonoga.

Jedno z odnóży przygwoździło do ziemi tylną część ciała węża, a żukowaty drapieжник przekreślił się gwałtownie i zacisnął zuwaczki.

Przednia połowa gadziego ciała upadła na piach, głowa wciąż jeszcze syczała.

Czarno-czerwony stawonóg wysunął się całkowicie z kryjówki, aby zaciągnąć zdobycz w miejsce, gdzie mógłby ją w spokoju zjeść. Mierzący

niemal siedem stóp drapieżca złapał przednimi odnóżami rozpołowionego węża. W tej samej chwili padł na niego cień. Stworzenie natychmiast odwróciło masywną głowę i strzeliło trucizną w kolejnego intruza.

Żrący jad bryznął na nieco podniszczoną jedwabną szatę starszego mężczyzny o haczykowatym nosie, długiej brodzie i dzikim spojrzeniu. Starzec pochylił lekko głowę i spojrzał na syczącą plamę na szacie, po czym przesunął nad nią powęźloną dłoń. Gdy to uczynił, jad i wypalona przezeń dziura znikły, jakby ich nigdy nie było.

Niebieskie niczym woda oczy skupiły się na okrutnym insekcie.

Z chitynowego pancerza uniosły się cienkie wstążki dymu. Podobne do żuka stworzenie wydało wysoki pisk, przebierając gwałtownie odnóżami. Próbowало uciekać, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa, odnóża się pod nim ugięły. Stwór począł się rozpuszczać, jakby nie był istotą z ciała i chityny, ale z wosku, który zaczął się topić na słońcu. Stawonóg zmienił się w rozlewającą się masę. Tak groźne dla węża żuwaczki stały się kałużą czarnego płynu, który szybko wsiąkł w piach. Piski umierającego stworzenia wreszcie ucichły, istota, która kiedyś była groźnym drapieżnikiem, znikła bez śladu jak kropla deszczu, który rokrocznie próbował użyźnić tę wyschniętą ziemię.

– Piaskowy czerw. Jest ich zbyt wiele. Wszędzie zbyt wiele zła - zamruczał do siebie siwowłoso. - Tyle zła nawet tutaj. Muszę być ostrożny, bardzo ostrożny.

Minął szczątki węża i jego zabójcy, kierując się ku pobliskiej wydmie. W miarę jak brodaty pustelnik zbliżał się do niej, stawała się wyższa i wyższa, aż wreszcie pojawiło się w niej wejście, zdałoby się, prowadzące do samego Piekła.

Wodniste niebieskie oczy jeszcze raz zlustrowały przytłaczający krajobraz. Ciałem starca wstrząsnął dreszcz.

– Tyle zła... muszę być bardzo ostrożny.

I wszedł do wydmy. Piach zaczął się natychmiast osypywać, wypełniając korytarz, aż nie pozostał żaden ślad, ani po starcu, ani po tajemniczej bramie.

Gdy wydma odzyskała swój zwykły kształt i rozmiar, pustynne wiatry nadal przesypywały piach, zaś wąż i czerw dołączyły do innych nieszczęśliwych mieszkańców w piaszczystym, zapomnianym grobie.



Góry zostały dawno za nim, choć Norrek tylko częściowo pamiętał, jakim cudem dotarł tak daleko. Stracił przytomność z wyczerpania, lecz zbroja najwyraźniej kontynuowała marsz. Mimo że żaden ruch nie był wykonany przy udziale jego woli, każdy mięsień w ciele weterana krzyczał z wyczerpania, a każda kość bolała jak połamana. Usta miał spierzchnięte od wiatru, a pot spływał mu po ciele. Norrek nade wszystko pragnął zedrzeć zbroję i wyrwać się na wolność, ale wiedział, że jest to niemożliwe. Zbroja robi z nim, co zechce. Jednak zbliżał się zmierzch, a zbroja wreszcie zdawała rozumieć, że po raz kolejny ma do czynienia z ułomnościami ludzkiego nosiciela.

Bezwolnie pomaszerował w stronę widocznej z daleka osady. Dotarł do pierwszej z chałup. Trzy ponure konie stały przywiązane nieopodal, a kolejny wyrażał głośno swoje niezadowolenie w rozsypującej się stajni. Norrek pożałował, że nie ma miecza. Zbroja nie zatroszczyła się o to, gdy wyszła z żołnierzem z grobowca.

Nim weteran dotarł do drzwi, jego nogi się ugięły. Norrek szybko zrozumiał, że przeklęta zbroja Bartuka ofiarowała mu wątpliwej jakości dar

- mógł wejść do karczmy o własnych siłach, prawdopodobnie nie chciała, by zachowanie Norreka wydało się podejrzane.

Jako że głód i chęć odpoczynku znaczyły w tej chwili dla Norreka więcej niż własna duma, żołnierz szeroko otworzył drzwi. Brudne, podejrzane twarze zwróciły się ku niemu. Goście stanowili mieszankę ras nie tylko ze Wschodu, ale także tych zamieszkujących po drugiej stronie Bliźniaczych Mórz. Kundle, wszyscy czterej. Choć Norrek nigdy nie oceniał ludzi na podstawie pochodzenia, widział, że z tymi tutaj wolałby nie siedzieć.

„To miejsce, gdzie trzeba mieć oczy dookoła głowy nawet wtedy, gdy obok ciebie kręci się dziewczka służebna!” - zażartowałby Sadun Tryst. Z tym że Tryst zasiadłby do stołu z każdym, kto postawiłby mu drinka.

Ale Sadun nie żył.

– Zamknij drzwi albo wyłaź! - warknął siedzący najbliżej.

Norrek posłuchał, nie szukał zwady. Starając się zachować, jakby dopiero co przyjechał, pomaszerował do kontuaru z podniesioną głową. Gdy się poruszał, jego ciało krzyczało z bólu, ale nikt tutaj nie powinien o tym wiedzieć. Tym ludziom wystarczyło pokazać najmniejszą oznakę słabości, a nie zawahają się jej wykorzystać. Zbliżył się do mężczyzny, którego uznał za karczmarza - wielkiego, bardziej przerażającego niż jego klienci, stojącego za odrapanym barem. Gąszcz brudnych, brązowych włosów wymykał się spod starej podróżnej czapki. Paciorkowate oczy spoglądały na niego z obwisłej, jakby psiej twarzy. Już przy drzwiach wyczuwało się dziwny zapach, teraz Norrek zrozumiał, że wydziela go ten człowiek.

Gdyby wiedział, że zbroja mu na to pozwoli, wojownik wyszedłby stamtąd czym prędzej, nie bacząc na potrzeby swego ciała.

– Czego? - mruknął wreszcie karczmarz, drapiąc się po wydatnym brzuchu. Jego koszula była ozdobiona mnóstwem rozmaitych plam i rozerwana pod pachą.

– Potrzebuję jedzenia. Bardziej niż czegokolwiek innego.

– Potrzebuję dobrej monety.

Monety. Zdesperowany żołnierz stłumił rosnącą frustrację. Kolejna potrzebna rzecz, która została przy zwłokach towarzyszy.

Jego lewa ręka wystrzeliła nagle do przodu, a rękawica uderzyła w kontuar z taką mocą, że barman aż podskoczył.

Siedzący przy stołach poderwali się na równe nogi, sięgając po broń.

Rękawica cofnęła się... odsłaniając leżącą na blacie starą, ale złotą monetę.

Ocknąwszy się z zaskoczenia, Norrek dodał:

– I pokoju.

Czuł, że oczy wszystkich wpatrują się w monetę. Po raz kolejny Norrek przeklął w duchu piekielną zbroję. Jeśli potrafiła wyczarowywać bogactwa z powietrza, mogła postarać się o coś mniej podejrzanego niż złoto. Znów pożałował, że nie ma przy sobie miecza albo chociaż dobrego, porządnego noża.

– Mam trochę gulaszu w kociołku. - Niedźwiedziowaty karczmarz skinął głową w stronę kuchni. - Pokój na piętrze. Pierwszy po prawej.

– Zjem tam.

– Wedle życzenia.

Karczmarz znikł na chwilę na zapleczu, po czym wrócił z poplamioną miską czegoś, co śmierdziało nawet gorzej niż on. Norrek jednak przyjął to z wdzięcznością. Był tak głodny, że pożałoby nawet ofiarowanego przez impy kozła.

Z miską w zagięciu ręki Norrek udał się do pokoju, który wskazał mu karczmarz. Gdy wchodził po skrzypiących schodach, słyszał mamrotanie w głównej izbie. Zacisnął wolną rękę. Złota moneta wypaliła ślad w pamięci ludzi zebranych w izbie na dole.



Pokój okazał się tak paskudny, jak weteran się spodziewał: ciemna, zakurzona komórka, z oknem tak brudnym, że nie przepuszczało światła. Łóżko wyglądało, jakby się miało zaraz rozpaść, zaś pościel, niegdyś może biała, już całkiem zszarzała. Pojedyncza lampka oliwna dawała tyle światła, że większa część pomieszczenia tonęła w półmroku.

Z braku stołu czy krzesła Norrek siadł na brzegu łóżka i zabrał się do jedzenia. Smakowało jeszcze gorzej, niż sobie wyobrażał, ale przynajmniej było na tyle świeże, że go nie zabiło.

Z pełnym żołądkiem Norrek znów poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Z trudem dokończył posiłek, odstawił miskę na podłogę i opadł na łóżko. Myśl o oprychach na dole nadal go dręczyła, ale wyczerpanie wkrótce pokonało nawet niepokój.

Norrek zapadł w sen i począł śnić.

Zobaczył siebie wykrzykującego rozkazy do piekielnej armii odrażających potworów, jakich z pewnością nie mogła spłodzić jego wyobraźnia. Pokryte łuską, ogniste, koszarne plugastwo spragnione krwi - krwi, którą Norrek ze snu gotów był im dać aż nazbyt chętnie. Były demonami, ale całkowicie mu posłusznymi. Dla niego gotowe były najeżdżać miasta, zabijać mieszkańców w jego imię. Nawet Piekło respektowało rozkazy Krwawego Pana, jego... *Bartuka*.

Ta myśl sprawiła, że żołnierz począł walczyć, by się obudzić. Nigdy nie będzie Bartukiem! Nigdy nie pozwoliliby na takie potworności, okrucieństwa tylko po to, by zaspokoić własne pragnienia! Nigdy!

Jednak władza absolutna kusiła absolutnie.

Wewnętrzna walka Norreka skończyła się nagle, gdy obudził go hałas. Natychmiast uniósł powieki. I nasłuchiwał. Nie wiedział, co właściwie usłyszał. Jakiś cichy, nieważny dźwięk, ale taki, który zarejestrowała podświadomość.

Znów go usłyszał, choć zza zamkniętych drzwi odgłos dochodził stłumiony. Podłoga skrzypnęła pod ostrożnymi stopami.

Oczywiście karczma miała też inne pokoje, ale Norrek nie przypuszczał, że ci na dole byliby tak mili i stąpali ostrożnie, żeby mu nie zakłócić snu. Gdyby tupali po schodach, nie zwróciłby na nich uwagi. Ta ostrożność skłoniła go do podejrzeń, że znaleźli się pod jego drzwiami z przyczyn, które się mu nie spodobają.

Jeśli zmęczony podróżny ma *jedną* złotą monetę, to na pewno posiada ich więcej...

Dłoń Norreka odruchowo powędrowała do boku, szukając miecza. Którego nie było. A to znaczyło, że musiał całkowicie zawierzyć zbroi, a tej jakoś ufać nie chciał. Być może zbroja uzna, że któryś ze złodziei bardziej nadaje się na jej towarzysza i pozwoli zaszlachtować Norreka...

Skrzypienie ucichło.

Norrek wstał, starając się nie robić hałasu.

Dwóch ludzi z wyciągniętymi nożami wpadło przez zniszczone drzwi i rzuciło się na Norreka. Za nimi pojawił się trzeci opryszek, wymachujący zakrzywionym krótkim mieczem. Każdy z napastników dorównywał wojownikowi wzrostem i muskulaturą, mieli też przewagę, dopadli go w pokoju z oknem tak niewielkim, że nie dałoby się przez nie uciec.

Uniósł pięść, gotów odpłacić im za...

I nagle ścisnął w niej długi, czarny miecz z paskudnym zębatym ostrzem. Ręka Norreka opadła tak szybko, że zarówno on, jak i jego pierwszy przeciwnik mogli tylko otworzyć usta ze zdumienia.

Ostrze zatoneło w napastniku, bez trudu tnąc mięśnie i ścięgna. W piersi otworzyła się szeroka rana, a krew popłynęła tak szybko, że ofiara potrzebowała chwili, by zrozumieć, że to już agonia.

Pierwszy napastnik osunął się wreszcie na ziemię, ale jego towarzysze oprzytomnieli po tym nieoczekiwanym obrocie wypadków. Ten z nożem próbował cofnąć się, ale jego kompan ruszył do przodu, najwyraźniej z zamiarem skrzyżowania ostrzy. Norrek może by i ostrzegł bandytę przed tą głupotą, ale zanim spróbował, już starli się w walce.

Zwarli się raz, drugi - na tyle zbroja pozwoliła przeciwnikowi. Gdy intruz unosił miecz do trzeciego cięcia, okryta rękawicą dłoń Norreka skręciła się gwałtownie. Czarne ostrze rozmazało się w szalonym zygzaku.

Drugi bandzior znieruchomiał, gdy jego wnętrzności wypływały z okropnego cięcia biegnącego od gardła do pasa.

Opancerzona dłoń Norreka, jakby zniecierpliwiona, uniosła się po raz kolejny.

Głowa bandyty poturlała się do kąta i tam znieruchomiała, zanim jeszcze ciało dotknęło podłogi.

– Bogowie! - wykrztusił żołnierz. Wyćwiczono go do walki, a nie do zarzynania.

Świadom szansy, jaką stworzyły mu okoliczności, trzeci napastnik skoczył do drzwi. Norrek chciał pozwolić mu na ucieczkę, nie pragnął wcale dalszego rozlewu krwi, ale zbroja wręcz przeciwnie. Przeskoczyła trupy i rzuciła się w pościg.

U dołu schodów ostatni z trójki szamotał się z karczmarzem, który najwyraźniej pragnął wiedzieć, dlaczego jego przyjaciołom się nie powiodło. Obaj mężczyźni spojrzeli na szkarłatną postać ze smoliście połyskującym ostrzem. Karczmarz wyciągnął zza pasa zadziwiająco długi miecz - była to klinga tak masywna, że Norrek przestraszył się, iż zbroja przeceniła swoją wytrzymałość. Ten próbujący uciec wcale nie zmienił zamiaru, ale piąty oprych, który nagle pojawił się za plecami karczmarza, pchnął dezertera z powrotem do walki.

Jeśli spodziewali się starcia na schodach, to grubo się pomylili.

Norrek poczuł, że pierwszy skacze na całą trójkę. Na twarzach oprychów odmalowało się zaskoczenie, niewątpliwie równie wielkie jak na twarzy Norreka. Dwóm udało się w porę uskoczyć, ale niedobitek z poprzedniego starcia został na miejscu, zbyt przerażony, aby się poruszyć.

Straszliwa broń rozprawiła się z nim błyskawicznie. Ostrze przebiło go na wylot, po czym natychmiast zostało wyciągnięte.

– Na prawo! - warknął masywny karczmarz. - Na prawo!

Drugi napastnik posłuchał. Norrek doskonale wiedział, co planuje herszt. Atakując z dwóch stron, powinni uzyskać przewagę. Któryś z pewnością trafi, zwłaszcza karczmarz, ponieważ miał klingę prawie dwa razy dłuższą niż czarny miecz.

– Teraz!

Uderzyli jednocześnie. Jeden celował w gardło, drugi w nogi, których zbroja nie osłaniała w całości. Na pewno walczyli już razem, tak jak Norrek z Sadunem i Fauztinem. Gdyby mógł polegać jedynie na sobie, Norrek zginąłby tu i teraz. Ale zbroja Bartuka walczyła z szybkością i dokładnością, której nie mógł dorównać żaden człowiek. Nie tylko zbiła gigantyczne ostrze większego napastnika, ale zdążyła unieść się w odpowiedniej chwili, by zablokować cios drugiego. Co dziwniejsze, wykonała błyskawiczne pchnięcie wymierzone w gardło mniejszego przeciwnika.

Gdy jego towarzysz padł, opanowanie karczmarza nagle się ulotniło. Zaczął cofać się ku drzwiom, wciąż trzymając miecz przed sobą. Zbroja pchnęła Norreka do przodu, ale nie do ataku.

Karczmarz szarpnął drzwi, a potem błyskawicznie skoczył w noc. Norrek spodziewał się, że zbroja Bartuka ruszy w pościg, ale tylko kazała odwrócić

się do jednego z ciał. Gdy Norrek uklęknął przy zwłokach, czarne ostrze nagle rozpląnęło się bez śladu.

Ku przerażeniu wojownika obleczonej w rękawicę palec zanurzył się w ranie aż do połowy. Przesunąwszy się nad drewnianą podłogę, nakreślił wzór.

– *Heyat tokaris!* – wykrzyczały usta Norreka bez udziału woli. - *Heyat grendel!*

Zbroja cofnęła się, a wtedy z krwawego wzoru uniósł się cuchnący, zielonkawy dym. Szybko przybrał kształt rąk, nóg... oraz ogona i skrzydeł. Jaszczurza gęba o zbyt wielu ślepiach zmarszczyła się z pogardą, która znikła jednak, gdy demon zobaczył, przed kim stoi.

– Pan... - wychrypiał stwór. Wyłupiaste ślepia przyjrzały się Norrekowi dokładniej. - Pan?

– *Heskar, grendel! Heskar!*

Demon pokiwał łbem twierdząco. Bez słowa skierował się ku drzwiom. Norrek usłyszał w dali szaleńczy tętent kilku uciekających koni.

– *Heskar!* – rozkazały jego usta.

Jaszczur pośpiesznie wyszedł z gospody, rozwinął skrzydła i odleciał w ciemność.

Norrek nie musiał zgadywać, w jakim celu. Na rozkaz Bartuka potwór udał się na łowy.

– Nie rób tego - wyszeptał, pewien, że jakikolwiek duch zamieszkiwał zbroję, słyszał wszystko doskonale. - Pozwól mu odejść!

Zbroja odwróciła się do zwłok.

– Niech to! Zostaw go! Nie jest tego wart!

Zbroja zignorowała jego błagania. Norrek musiał znów uklęknąć przy zwłokach. Rękawica, która wcześniej włożyła do rany tylko jeden palec, teraz zanurzyła wszystkie. Krew zabarwiła całą dłoń.

Z oddali w niebo wzbił się ludzki krzyk - a potem umilkł gwałtownie.

W drugiej ręce Norreka pojawiła się nowa broń. Tym razem był to szkarłatny sztylet o rozdwojonym sztychu.

Łopot skrzydeł powiadomił go o powrocie demona, ale Norrek nie mógł obrócić głowy na tyle, aby to zobaczyć. Słyszał ciężki oddech stwora, a nawet szelest skórzastych skrzydeł, kiedy potwór usiadł w sali.

– *Nestu veraki...* – Sztylet przesunął się nad gardłem trupa. - *Nestu verakuu...*

Weteran zamknął oczy, modląc się za siebie. W jego pamięci pojawiło się wystarczająco dużo obrazów związanych ze śmiercią przyjaciół, by wiedzieć, co się zaraz stanie. Norrek nie chciał stawiać temu czoła, uciekłby, gdyby tylko mógł.

– *Nestu hanti...*

Ale nie mógł zrobić nic poza próbą zachowania zdrowych zmysłów i duszy.

– *Nestu hantiri...*

Sztylet wbił się w gardło martwego zbira.



Generał Augustus Malevolyn podniósł się z morza poduszek, pozostawiając Galeonę wśród snów, jakie śnią czarodziejki. Ubrał się bezszelestnie i wyszedł ze swego namiotu.

Dwóch strażników stanęło na baczność z oczyma skierowanymi wprost przed siebie. Malevolyn ledwo dostrzegalnie skinął głową.

Na zachodzie rozciągało się miasto namiotów, jedyny dom ludzi wiernych generałowi. Mimo że Malevolyn był szlachcicem bez ziemi, udało mu się zebrać armię, z którą nie mogła równać się żadna z sił

Zachodnich Królestw. Za pieniądze służył wielu władcom, zbierając środki, dzięki którym mógł zaspokoić przyszłe ambicje. Jednak przysiągł sobie, że nie będzie służył już nikomu, a pewnego dnia on, Augustus Malevolyn, będzie niepodzielnym władcą wielkich ziem.

Generał spojrział na południe, gdzie rozciągała się pustynia Aranoch. Już od pewnego czasu pragnął ruszyć w tamte strony, i to nie tylko ze względu na wielkie bogactwo zamożnego, pełnego luksusów miasta Lut Gholein, leżącego niedaleko. Lut Gholein sąsiadowało również z Bliźniaczymi Morzami. Dzięki temu i dzięki wąskiemu pasowi żyznej ziemi, na którym stało, miasto prosperowało nadzwyczaj dobrze. Już kilka razy różni zdobywcy zamierzali uzupełnić swoje skarbcze jego bogactwami, ale każda próba kończyła się porażką. Lut Gholein okazało się nie tylko dobrze chronione, zdawało się roztaczać jakiś urok. Według Malevolyna ten urok był niezwykle bliski magii. Coś strzegło miasta.

I to najbardziej dręczyło dowódcę. Miało związek z jego pragnieniem, aby przejąć dziedzictwo Bartuka i uczynić swoim. Malevolyn śnił o tym i wciąż wracał myślami.

– Wkrótce - wyszeptał do siebie - wkrótce...

*I cóż poczniesz z tym dziedzictwem?* – pojawiła mu się w głowie nagła myśl. *Będiesz naśladować Bartuka? Powtarzać jego błędy tak, jak jego zwycięstwa?*

– Nie... - Nie zrobiłby tego. Mimo całej swej mocy, mimo rozkazywania hordom demonów Bartuk posiadał słabość, której generał nie mógł przeoczyć. Bartuk nie był najemnikiem. Sławny Krwawy Pan był przede wszystkim czarodziejem. Magowie okazywali się pożyteczni, zwłaszcza Galeona, ale jednocześnie zbyt zajęci swoją sztuką, a przez to niepewni. Prawdziwy wódz musiał skupić się na polu walki, logistyce i nagłych zmianach sytuacji. Między innymi dlatego Augustus Malevolyn nie

rozwinął w pełni swoich magicznych zdolności. Jego prawdziwą pasją była armia.

*Ze zbroją i magią Bartuka mógłbyś stać się kimś więcej niż on, idealnym połączeniem żołnierza i czarodzieja! Będiesz kimś więcej, zaćmisz go...*

– Taaak... taaak... - Oczyma duszy generał widział swój wizerunek wyryty w sercach i umysłach przyszłych pokoleń. Generał Augustus Malevolyn, władca świata!

*Nawet demony uklęką przed tobą i nazwą ciebie panem.*

Demony. Tak, gdy zbroja będzie jego, pojawi się zdolność przywoływania demonów. Na to wskazywały sny, które miewał od czasu, gdy pierwszy raz założył hełm.

Połączy zbroję i hełm, a wtedy zaklęcia w nich ukryte dadzą mu potęgę.

Zbroja... Zmarszczył brwi. Musiał zdobyć zbroję!

A miał ją jakiś głupiec.

Malevolyn znajdzie go, znajdzie tego pozbawionego rozumu nikczemnika i zedrze zeń zbroję kawałek po kawałku. A potem nagrodzi tego kretyna zaszczytem, jakim będzie pierwszeństwo śmierci z rąk nowego Krwawego Pana.

Tak, generał uczyni ze śmierci tego głupca pamiętne wydarzenie. Jednak nawet wtedy, kiedy tak spacerował i marzył, zwracał uwagę na obóz, gdyż dobry dowódca zawsze dba o to, by w szeregi jego wojska nie zakradła się gnuśność. Imperia upadały dlatego, że ich władcy nie zwracali uwagi na rzeczy pozornie bez znaczenia.

Choć Malevolyn zauważył gorliwość, z jaką jego podwładni wykonują swoje zadania, nie dostrzegł cienia, który powstał od migotliwych płomieni pochodni. Nie zauważył też, że ten właśnie cień stał chwilę wcześniej za nim, szepcząc mu to, co generał uważał za swoje myśli i wątpliwości.

Swoje marzenia.





Cień demona Xazaxa skierował się do namiotu Galeony. Tej nocy efekty jego pracy wydawały się bardziej niż zadowolające. Ten człowiek posiadał kilka ciekawych zdolności, które można wykorzystać. Dawno temu stało się dla Xazaxa jasne, że zbroja Bartuka nigdy nie zaakceptuje demona jako swego pana, choć czarnoksiężnik niewątpliwie kroczył bowiem ścieżką Piekła, to nie ufał nikomu innemu poza samym sobą. Nie, jeśli duch Bartuka pozostał choćby w części zbroi, potrzebował znacznie bardziej podatnego ludzkiego nosiciela, niezależnie od tego, jak kruche i krótkotrwałe są ich ciała.

Generał chciał zagrać rolę wielkiego wodza. To odpowiadało Xazaxowi. Wiedźma była pożyteczna, ale *dziezic* krwawego Bartuka... pan Xazaxa, Belial, z pewnością wynagrodziłby go sowicie za takie znalezisko. Wojna domowa w Piekłe przeciwko Azmodanowi nie szła zbyt dobrze, a do tego pojawiły się niepokojące pogłoski, że Diabło wydostał się ze swego śmiertelnego więzienia. Jeśli była to prawda, na pewno zechce uwolnić braci Baala i Mefista, a potem spróbują razem odebrać władzę Azmodanowi i Belialowi. Ta trójca na pewno nie obejdzie się dobrze z demonami wiernie służącymi zbuntowanym Pomniejszym Złym. Jeśli Belial przegra, przegra również Xazax...

– Co robiłeś?

Cień zatrzymał się u wejścia do namiotu czarodziejki.

– Ten tutaj ma wiele zadań i nie zawsze może być na twoje skinienie, człowieku Galeono... - wydał z siebie szczękanie, przypominające odgłos, jaki wydaje piaskowy czerw, nim zmiażdży swoją ofiarę. - Poza tym spałaś...

– Nie tak mocno, by nie wyczuć twojej magii. Obiecywałeś, że nie będziesz tu rzucał żadnych czarów! Augustus posiada pewne zdolności, mógł się zorientować i domyślić, co to oznacza!

– Nie ma takiego niebezpieczeństwa, ten tutaj obiecuje.

– Pytam ponownie, demonie! Co robiłeś?

– Ten tutaj badał hełm - skłamał Xazax, przesuwał się w inne miejsce namiotu. - Szukając głupca, który nie wie, co nosi...

Jej gniew zamienił się w zaniepokojenie.

– Dowiedziałaś się, gdzie jest? Gdybym mogła powiedzieć Malevolynowi coś więcej...

Chichot demona przypominał brzęczenie roju pszczoł uwieczonych w dzbanie.

– Po co, skoro uzgodniliśmy, że zbroja nigdy nie będzie jego?

– Ponieważ nadal ma hełm, głupcze, a dopóki nie znajdziemy zbroi, potrzebujemy Augustusa z uwagi na więź, jaką ma z hełmem.

– To prawda. - Demon popadł w zadumę. - Jego więź sięga głęboko... Ten tutaj powiedziałby, że więź jest równie mocna co więzy krwi.

Jej podbródek uniósł się wyżej, gdy odrzuciła włosy. Xazax już dawno nauczył się odczytywać ten gest - istota ludzka wpadała w gniew.

– A cóż to znaczy?

Cień nawet nie zadrżał.

– Ten tutaj chciał tak zażartować, czarodziejko. Tylko zażartować. Mówimy o sprawach dotyczących Bartuka, nieprawdaż?

– Demon z poczuciem humoru. - Galeona wcale nie wyglądała na rozbawioną. - Bardzo dobrze, zostawię dowcipkowanie tobie, a ty zostawisz Augustusa mnie.

– Ten tutaj nie pragnie zająć twego miejsca w łóżku generała.

Czarodziejka posłała cieniowi mordercze spojrzenie i wyszła z namiotu. Xazax wiedział, że będzie szukać Malevolyna, aby wzmocnić nad nim swoją władzę. Demon doceniał jej umiejętności w tej dziedzinie, aczkolwiek był pewien, że gdyby doszło do starcia między nim a Galeoną, to ona by przegrała. W końcu była śmiertelna, nie to, co odrażające anioły. Gdyby należała do nich, Xazax czułby niepokój. Anioły były przebiegłe, działały w cieniu, robiąc różne sztuczki, zamiast stanąć twarzą w twarz z przeciwnikiem.

Cień demona cofnął się w najciemniejszy kąt. Co prawda żaden anioł jak na razie się nie wtrącił, ale Xazax musiał być ostrożny. Gdyby jakiś się pojawił, demon chwyciłby go w swoje szpony i powoli urywał kończyny jedną po drugiej, przysłuchując się słodkiej melodii krzyków.

– Przyjdźcie, anioły, jeśli się odważycie - wyszeptał w mrok. - Ten tutaj was powita z otwartymi ramionami... kłami i pazurami!

Przygaszony płomyk jedynej lampki rozbłysnął nagle, oświetlając namiot Galeony o wiele jaśniej niż zwykle. Od tego światła cień skulił się i zasyczał. Zarys wielkiego, szkarłatno-szmaragdowego owada błysnął w jasnym kręgu, po czym zniknął, gdy płomień przygasł. Xazax zaklekotał wściekle, szczęśliwy, że Galeona nie widziała jego reakcji. Lampy oliwne często rozpalały się jasnym płomieniem - zaskoczyło go naturalne zdarzenie. Niemniej demon wcisnął się głębiej w wygodny kąt namiotu. Tutaj mógł knuć w spokoju. Stąd mógł bezpiecznie używać swojej mocy, aby szukać człowieka noszącego zbroję Bartuka.

Stąd mógł wypatrywać tchórzliwych aniołów.

# PIĘĆ



Kłębiące się burzowe chmury sprawiły, że dzień stał się ciemny jak noc, ale Norrek tego nie zauważył. Jego umysł wciąż zmagał się z potwornościami minionego wieczora. Z powodu przeklętej wyprawy po złoto zginęli kolejni ludzie, choć ci, w przeciwieństwie do Saduna i Fauztina, zasłużyli na egzekucję za swoje zbrodnie. Jednak ich śmierć była zbyt potworna, przynajmniej w mniemaniu wojownika. Zwłaszcza karczmarza spotkał koszmarny los - powracający demon przyniósł aż za wiele dowodów swej działalności. Norrek był szczęśliwy, że wkrótce potem bestia wróciła do podziemi wraz ze swoją nagrodą.

Jednak Norrek nie mógł uciec przed potwornościami, jakich dopuściła się później zbroja. Wojownik starał się nie patrzeć na poplamiony pancerz i nie myśleć o koszarze. Niestety, przypominała o nim nawet twarz Norreka poznaczona smugami szkarłatu, których nie udało mu się usunąć. Zbroja wykonała swoją obrzydliwą robotę wyjątkowo dokładnie.

I podczas gdy zmagał się ze wspomnieniami, zbroja nielitościwie popychała go na zachód. Grzmoty przetaczały się raz po raz, wiatr wył dziko, a zbroja szła. Norrek nie miał najmniejszych wątpliwości, że będzie iść dalej, nawet jeśli rozpęta się burza.

Tyle dobrego, że zyskał stary, zakurzony płaszcz podróżny, który wisiał na kołku w karczmie. Prawdopodobnie należał do karczmarza, ale Norrek

starał się o tym nie pamiętać. Płaszcz zasłaniał większość zbroi i zapewniał minimum ochrony przed deszczem. Niewiele, ale Norrek i za to był wdzięczny. Im dalej szedł na zachód, tym bardziej zmieniał się krajobraz. Góry ustąpiły miejsca wzgórzom, a te zmieniły się w równinę. Im niżej schodził, tym robiło się cieplej. Roślinność stawała się coraz bujniejsza i coraz bardziej przypominała gęste dżungle, które, o czym Norrek wiedział, rozciągały się na południu.

Po raz pierwszy czuł też zapach morza. Z tego, co pamiętał z map, jedno z Bliźniaczych Mórz, bardziej wysunięte na północ, musiało znajdować się niedaleko. Norrek zamierzał skierować się na południowy zachód i odnaleźć jakiegoś Vizjerei, ale podejrzewał, że przeklęta zbroja miała inne plany. Przestraszył się, że zechce przejść morze w poprzek, pogrążając nieszczęsnego Norreka w atramentowych głębinach. Jednak do tej pory zbroja trzymała go przy życiu, nawet jeśli w nie najlepszej kondycji. Aby osiągnąć swoje tajemne cele, potrzebowała żywego nosiciela.

A co potem?

Wiatr wzmagął się coraz bardziej, miotając Norrekiem pomimo wysiłków zbroi starającej się utrzymać dotychczasowy kierunek. Co prawda nie spadła ani jedna kropla deszczu, ale powietrze stało się ciężkie i wilgotne, a znad ziemi zaczęła podnosić się mgła. Wojownik nie widział dobrze drogi przed sobą i choć zbroi wydawało się to nie przeszkadzać, obawiał się, że przeklęty pancierz poniesie go wprost na urwisko i nawet tego nie zauważy.

W południe - choć równie dobrze mogłaby to być północ, gdyż słońce nie było w stanie przebić pokrywy chmur - pojawiły się impy, przyzwane niezrozumiałymi słowami padającymi z ust Norreka. Mgła zgęstniała, ale upolowanie posiłku nie zajęło im wiele czasu. Tym razem jelenia. Norrek

najadł się do syta, po czym łaskawie pozwolił hordzie zabrać resztę ścierwa w piekielne otchłanie.

Szedł i szedł nieustannie, a zapach morza stawał się coraz silniejszy. Norrek widział jedynie to, co było o kilka stóp przed nim, ale wiedział, że jest już blisko brzegu i tego, do czego zmierzała piekielna zbroja.

Jakby na zawołanie we mgle pojawił się budynek... a prawie zaraz następny. Wojownik usłyszał głosy, niewątpliwie tych, którzy ciężko pracowali.

Odzyskał chwilowo panowanie nad rękoma i szczerzej otulił się płaszczem. Im mniej zobaczą tubylcy, tym lepiej.

Gdy szedł poprzez miasto, Norrek zauważył w oddali niewyraźny, ale wielki kształt. Statek. Zastanowił się, czy okręt właśnie przyplłynął, czy też przygotowuje się do wyruszenia w morze. Jeśli to drugie, zbroja zapewne tam się skieruje. Inaczej czemu sprowadziłaby Norreka do tego właśnie miejsca?

Z naprzeciwka nadeszła postać w marynarskim stroju, z zawiniątkiem pod pachą.

Z oczu i rysów przypominał nieco Fauztina, ale jego twarz wyrażała o wiele więcej emocji.

– Hej, podróżniku! To nie najlepszy dzień na wędrowkę lądem, co?

– Nie. - Norrek chciał przejść obok marynarza w obawie, że tamten stanie się kolejną ofiarą pancerza, ale nie mógł uczynić ani kroku. Nieznajomy również się zatrzymał.

– Skąd to wędrujecie? - Marynarz uśmiechał się szeroko. - Na oko żeście mieszkańiec Zachodu, ale pod tym zarostem dość trudno to stwierdzić!

– Tak, z Zachodu - odparł Norrek. - Byłem na... na pielgrzymce.

– W górach? Tam nie ma niczego poza kozami!

Norrek chciał zrobić krok, ale nogi go nie słuchały. Zbroja czegoś od niego oczekiwała, choć nie wiedział czego. Myślał szybko. Zbroja doprowadziła go do portu. Norrek już wcześniej zgadł, że potrzebowała transportu dokądś, być może nawet statku...

Statek...

Norrek wskazał ciemny kształt.

– Ten statek. Wypływa niedługo?

Marynarz spojrział przez ramię.

– „Napolys”? Właśnie przybił. Postoi tu dwa, może nawet pięć dni. Najszybciej odpływa „Ognisty Jastrząb”, ten tam. - Wskazał na południe, po czym pochylił się, stanowczo zbyt blisko, ku Norrekowi. - Słowo ostrzeżenia, „Ognisty Jastrząb” nie jest dobrym statkiem. Pewnego dnia osiadzie na dnie jednego z tych mórz, zapamiętajcie moje słowa. Najlepiej poczekajcie na „Napolys” lub moją dziewczuszkę, „Odyseję”, choć odpłynie dopiero za tydzień. Musimy uzupełnić zapasy.

Żołnierz nadal nie mógł zrobić ni kroku. Czego jeszcze chciała zbroja?

Może chodziło o port przeznaczenia?

– Możecie mi powiedzieć, dokąd płynie każdy z tych statków?

– Mój płynie do Lut Gholein, ale, jak powiedziałem, trochę potrwa, nim wypłyniemy. „Napolys” płynie do odległego Królewskiego Portu, długa podróż, ale to przecież wasze Zachodnie Królestwa, nie? Najszybciej traficie do domu! Ten statek będzie odpowiedni, nie?

Norrek nadał stał jak wmurowany.

– A „Ognisty Jastrząb”?

– Wypływa jutro rano chyba, ale nie radzę wchodzić na pokład. Któregoś dnia nie wróci z Lut Gholein, o ile w ogóle tam dopłynie.

Nogi Norreka nagle podjęły marsz. Zbroja wreszcie dowiedziała się, czego chciała. Weteran skinął głową marynarzowi.

– Dziękuję.

– Pamiętajcie, co powiedziałem! - zawołał marynarz. - Najlepiej zaczekać!

Zbroja Bartuka maszerowała Norrekiem przez niewielkie miasto do południowej części portu. Marynarze i miejscowi przyglądali się mu, gdy przechodził. Niewielu tu było ludzi z Zachodu. Nikt jednak nie odezwał się słowem. Mimo małych rozmiarów port kipiał ruchem. Norrek przypuszczał, że przystań wyglądała bardziej imponująco w promieniach słońca, ale wątpił, czy będzie dane mu to zobaczyć.

Gdy znalazł się w najbardziej wysuniętej na południe części portu, poczuł narastający niepokój. W przeciwieństwie do tego, co Norrek widział do tej pory, tu wszystko było zaniedbane i zniszczone. Kilka postaci, które zobaczył, sprawiało równie nieprzyjemnie wrażenie, jak ci głupcy, którzy próbowali go okraść. Co gorsza, jedyny statek w zasięgu wzroku wydawał się najbardziej odpowiedni do planowanej przez przekłętą zbroję podróży.

Gdyby jakiś zły duch podniósł dawno zaginiony okręt z czarnych głębin morza, a potem porzucił nieudane próby nadania mu wyglądu czegoś, co przynależy do świata żywych, to i tak okręt ten wyglądałby lepiej niż „Ognisty Jastrząb”.

Trzy maszty sterczały niczym wysuszeni na szkielety wartownicy, na wpół otuleni całunem żagli. Galion zapewne kiedyś przedstawiał syrenę, ale żywioły tak bardzo zmieniły jej kształt, że wyglądała niczym banshee z odmętów, zastygła w pół wrzasku. Drewno kadłuba płamiła ohydna czerń, burty znaczyły głębokie bruzdy. Norrek zastanowił się, czy statek nie brał kiedyś udziału w bitwie morskiej lub, co bardziej prawdopodobne, nie był statkiem pirackim.

Nie widział nikogo z załogi, tylko chudą postać w znoszonym płaszczu niedaleko dziobu. I choć nie był pewien, czy w ogóle chce ruszyć w podróż



takim upiornym statkiem, nie miał wyboru. Zbroja bez wahania poniosła swego nosiciela po trapie, ku wychudzonej postaci.

– Czego chce? - Szkielet okazał się starszym człowiekiem o pergaminowej skórze, pod którą chyba nie było ani odrobiny ciała czy ścięgien. Jedno oko patrzyło pusto gdzieś na lewo od Norreka, zaś drugie, przekrwione, wbijało się w niego podejrzliwie.

– Dostać się do Lut Gholein. - Norrek starał się zakończyć rozmowę jak najszybciej.

Jeśli będzie współpracował, może zbroja pozwoli mu przez chwilę zachować swobodę ruchów.

– Inne statki w porcie! - warknął kapitan, wymawiając słowa z ciężkim akcentem. Spod szerokiego ronda kapelusza wydstały się kosmyki, białe włosy związane były w niedbały kucyk. Wyblakły zielony płaszcz, należący kiedyś do oficera marynarki z Zachodniej Marchii, musiał przejść przez wiele rąk, nim dotarł do tego człowieka.

– Nie ma czasu służyć pasażerom!

Ignorując smrodliwy oddech tamtego, Norrek pochylił się bliżej.

– Dobrze zapłacę.

W zachowaniu kapitana zaszła nagła zmiana.

– Ta?

Mając nadzieję, że zbroja zachowa się tak samo jak w karczmie, Norrek mówił dalej:

– Potrzebuję tylko kajuty i jedzenia. Jeśli nikt nie będzie mi przeszkadzał w trakcie podróży, tym lepiej. Po prostu zabierz mnie do Lut Gholein.

Żywy szkielet obejrzał Norreka uważnie.

– Zbroja? - Potarł podbródek. - Oficer?

– Tak. - Niech sądzi, że Norrek to oficer renegat, uciekający przed sprawiedliwością czy czym tam jeszcze. Z pewnością podniesie to cenę, ale

i zwiększy zaufanie kapitana. A wszystko wskazywało na to, że Norrek musi naprawdę znaleźć się daleko stąd.

Starzec znów potarł swój kościsty podbródek. Wojownik zauważył tatuaże, biegnące od cienkiego nadgarstka i znikające w czeluści obszernego rękawa. Podejrzenia, że był to kiedyś statek piracki, zdawały się potwierdzać.

– Dwanaście draklinów! Śpi sam, nie je z załogą, nie rozmawia! Schodzi natychmiast w porcie!

Norrek zgodził się na wszystko z wyjątkiem ceny. Jak dużo wart był draklin w porównaniu z monetą jego kraju?

Nie musiał się o to martwić. Lewa ręka wyprostowała się bez udziału jego woli, na dłoni leżało kilka monet. Kapitan spojrzał chciwie i zgarnął je, spróbował jednej zębami, by upewnić się co do wartości, po czym schował wszystkie do zniszczonej sakiewki przy pasie.

– Idzie! - Przekuśtykał obok Norreka. Dopiero teraz wojownik dostrzegł, że lewa noga starca usztywniona jest po obu stronach łupkami, które znikają w cholewie buta. Doświadczenie, jakie miał w chirurgii polowej, kazało Norrekowi podejrzewać, że jego gospodarz nie mógłby się nawet oprzeć na tej nodze, gdyby nie drewniane usztywnienia. Przy czym kapitan powinien bardziej zadbać o zranioną kończynę, łupki i bandaże sprawiały wrażenie założonych dawno temu i zapomnianych.

Choć wojownik nie wiedział, ile w jego ojczyźnie wynosiłoby dwanaście draklinów, rzut oka na kajutę przekonał go, że znacznie przepłacił. Nawet pokój w gospodzie wyglądał lepiej. Kajuta nie była większa od szafy. Za udogodnienia miała wystarczyć obskurna koja przybita do tylnej ściany. Poplamiona pościel chyba została wycięta wprost z żagli, tak była brudna i sztywna. Wszystko śmierdziało zgniłą rybą. W kątach pod sufitem kołysały

się pajęczyny większe niż głowa Norreka, a na ścianach przy podłodze rósł jakiś mech.

Wiedząc, że nie ma wyboru, Norrek skrył odrazę.

– Dziękuję, kapitanie...

– Casco - burknął szkielet. - Do środka! Je, kiedy dzwon! Rozumie?

– Tak.

Z krótkim kiwnięciem kapitan Casco zostawił żołnierza samemu sobie. Za jego radą Norrek zamknął drzwi i usiadł na niezbyt pewnej koi. Ku jego żalowi kabina nie miała żadnego bulaju, który mógłby zapewnić ulgę od smrodu.

Rozciągnął ręce, sprawdził nogi. Swoboda ruchów była nagrodą za współpracę, ale jak długo mógł się nią cieszyć, nie wiedział. Podejrzewał, że na pokładzie „Ognistego Jastrzębia” zbroja nie spodziewała się kłopotów. Co mógł uczynić Norrek poza skokiem za burtę? Choć niewątpliwie był w straszliwej sytuacji, nie dojrzał jeszcze do tego, by odebrać sobie życie. Szczególnie nie w ten sposób. Poza tym Norrek wątpił, czy zbroja by mu na to pozwoliła. Przynajmniej nie póki potrzebowała żywego nosiciela.

Ponieważ nie doczekał się żadnych wskazówek, co robić, uznał, że najlepiej będzie pójść spać. Pomimo smrodu - a może właśnie dzięki niemu - Norrekowi udało się zdrzemnąć. Niestety, sny nie przynosiły mu ukojenia ani odpoczynku, przede wszystkim dlatego, że nie były jego własne.

*Znów był Bartukiem, czerpiąc przyjemność z przerażających czynów, jakich się dopuszczał. Osada, która zbyt długo wstrzymywała się z przyjęciem jego władzy, odczuła pełną moc słusznego gniewu: starszyznę i kilku innych wybranych głupców rozciągnięto, poćwiartowano, a potem obdarto ze skóry dla dobra innych. Przyłapany na szpiegowaniu Vizjerei stał się głównym elementem makabrycznego świecznika, który nie tylko*

*oświetlał kwaterę władcy, ale też przyprawiał o dreszcze jego demoniczne sługi. Zabrział dzwon...*

...wyrywając wdzięcznego Norreka ze snu. Zamrugał, aż wreszcie dotarło do niego, że spał aż do dzwonu wzywającego na wieczorny posiłek. I choć miał wątpliwości co do jakości jedzenia, był tak głodny, że nie zamierzał wybrzydzać. Poza tym nie chciał ryzykować, że zbroja przyzwie impy, aby go nakarmiły. Nie wiadomo, co uznałyby za jadalne.

Otuliwszy się szczelnie płaszczem, żołnierz wyszedł z kajuty. Zobaczył kilku zmęczonych ludzi o oczach pełnych goryczy. Zmierzali w głąb statku. Uznawszy, że udają się na posiłek, Norrek poszedł za nimi do podejrzenie wyglądającej mesy. W milczeniu stał w kolejce, aż otrzymał kawałek twardego chleba i danie z czegoś, co mogło być mięsem, a wyglądało tak, że zatęsknił za menu złodziejskiego karczmarza.

Rzut oka na niezbyt przyjazne towarzystwo w mesie przekonał Norreka, że najlepiej będzie wrócić do kajuty. Na pokładzie zatrzymał się na chwilę przy burcie, aby choć przez chwilę odetchnąć względnie świeżym morskim powietrzem.

Jego uwagę zwróciła postać stojąca w otoczonym przez mgłę doku.

Jedzenie wypadło mu z rąk i rozlało się po pokładzie, ale Norrek nawet tego nie zauważył.

*Fauztin.* Miał nawet te same szaty. To nie mógł być nikt inny.

Martwe oczy byłego towarzysza wpatrywały się w Norreka. Nawet z tej odległości wojownik widział dziurę ziejącą w miejscu gardła Vizjerei.

– Głupiec! - wrzasnął za jego plecami Casco. - Zrobił bałagan! Teraz sprząta! Bez pomocy!

Zaskoczony weteran spojrział przez ramię na rozzłoszczonego kapitana, a potem na rozlane jedzenie. Część ściekała po butach Bartuka.

– Posprząta! Bez pomocy! Żadne więcej jedzenie dzisiaj! - Casco odkuśtykał, mrużąc w swoim ojczystym języku niewątpliwie coś pogardliwego o zagranicznych diablach.

Jednak Norrek niemal natychmiast zapomniał o rozlanym jedzeniu, zamiast tego począł wpatrywać się w brzeg, żeby raz jeszcze zobaczyć...

Nic. Żadnej postaci, która by spoglądała ku niemu z doków. Upiorny cień zniknął, o ile w ogóle tam kiedykolwiek był.

Z trzęsącymi się rękami Norrek zatoczył się do tyłu, niepomny niczego poza tym przerażającym widokiem, który dane mu było zobaczyć. Fauztin, tak niewątpliwie martwy, spoglądający z potępieniem w pustych oczach...

Zignorowawszy żądanie kapitana Casco dotyczące sprzątnięcia, Norrek pognął do swojej kajuty, zamknął dokładnie drzwi i nie odważył się odetchnąć, dopóki znów nie usiadł na koi.

Przegrał walkę. Duch czarodzieja był tego wyraźnym znakiem. Norrek przegrał walkę o swoje zdrowe zmysły. Potworności, jakich doświadczył przez piekielną zbroję, przedarły się przez ostatnie bariery chroniące umysł weterana. Teraz czekała go już tylko szybka podróż w otchłanie szaleństwa. Nie miał szans na ocalenie.

Teraz z pewnością dziedzictwo Bartuka przejmie nie tylko ciało Norreka, ale i jego duszę.



Wyczerpana Kara Nocny Cień z niesmakiem badała portowe miasteczko. Przyzwyczajona była do piękna dżungli i starannie pielęgnowanych tradycji swego ludu. Dlatego dla niej port Gea Kul cuchnął niemytymi ciałami i nadmiernym przywiązaniem do rzeczy materialnych. Jako nekromantka Kara widziała równowagę między tym, co czyniło się za życia, i tym, co

działo się po śmierci. Wierzyła głęboko, że jedno i drugie należy traktować z godnością. W tym, co miała okazję oglądać w Gea Kul, niewiele było godności.

To, że dotarła tu tak szybko, kosztowało ją sporo wysiłku, wysiłku, który wyczerpał ją fizycznie, psychicznie, a także magicznie. Kara bardzo pragnęła przespać się trochę, ale przybyła tu z powodów, które sama niezbyt dobrze rozumiała. Musiała przynajmniej rozejrzeć się po okolicy w nadziei, że znajdzie tu jakieś wskazówki.

Utraciwszy nie tylko zbroję Krwawego Pana, ale i cenny sztylet, młoda nekromantka użyła swej wiedzy i umiejętności, by odnaleźć zarówno jedno, jak i drugie. I w ten sposób właśnie trafiła do tego zaskakującego miejsca. Nie wiedziała, co port mógł mieć z tym wszystkim wspólnego, ale na pewno nic dobrego. Żałowała, że nie może zasięgnąć opinii nauczycieli, ale czas był najważniejszy, a ona została wyszkolona, aby w jak największym stopniu polegać na sobie. Jeśli zdecydowałyby się ruszyć w pościg z opóźnieniem, miałyby tylko większe trudności z wytropieniem pancerza. A na to nie mogła sobie pozwolić. Jeśli złodzieje zamierzali wywieźć zbroję morzem, musiała ich powstrzymać teraz.

Co do zjaw natomiast... nie wiedziała, jak postąpić z tą niepokojącą parą. Podczas swej nauki nie słyszała nigdy o takim zachowaniu.

Ignorując krzywe spojrzenia marynarzy, Kara skierowała się do pierwszej tawerny, jaką znalazła. Potrzebowała stawy, liczyła też na uzyskanie kilku pożytecznych informacji. Z pewnością ci, którzy wynieśli z grobowca zbroję Bartuka, potrzebowali jedzenia i picia po tak wyczerpującym przedsięwzięciu.

Wnętrze „Kapitańskiego Stołu”, bo tak nazywała się tawerna, zaskoczyło ją pozytywnie. Choć budynek sprawiał wrażenie starego i podniszczonego, siwy, postawny mężczyzna, najwyraźniej tutejszy gospodarz, utrzymywał

go w porządku i czystości. Kara od razu wiedziała, że ten człowiek był oficerem na okręcie, a sądząc po rysach twarzy, zapewne we flocie któregoś z bogatszych Zachodnich Królestw. Potężny karczmarz o imponujących bokobrodach przez większość czasu uśmiechał się jowialnie, ale nie zamierzał wysłuchiwać argumentów klienta, który chciał wyjść, nie płacąc. Wielkolud, mimo zaawansowanego wieku, z łatwością poradził sobie z młodszym marynarzem, nie tylko wyegzekwował należność, ale i bez większego trudu wyrzucił winowajcę w błoto i mgłę.

Wycierając dłonie o fartuch, właściciel zauważył nowego gościa.

– Dobry wieczór, pani! - Skłonił się zgrabnie, w czym nie przeszkodził mu okazały brzuch. - Kapitan Hanos Jeronnan, uniżony sługa! To zaszczyt dla moich progów.

Nienawykła do takich reakcji na swoją osobę, Kara w pierwszej chwili nie zdobyła się na odpowiedź. Jednak kapitan Jeronnan, najwyraźniej zrozumiawszy, że ją speszył, cierpliwie czekał, aż nekromantka się odezwie.

– Dziękuję, kapitanie - odpowiedziała wreszcie. - Potrzebuję jedzenia i, jeśli masz chwilę, odpowiedzi na kilka pytań.

– Dla tak pięknej pani zawsze znajdę czas!

Odszedł, mrużąc coś do siebie. Kara zaś poczuła, że się czerwieni. Kapitan Jeronnan z pewnością nie miał niczego złego na myśli, ale żaden z intensywnych treningów w mrocznych sztukach nekromancji nie nauczył jej, jak przyjmować komplementy. Wiedziała, że kilku braci uważało ją za atrakcyjną, ale kapłani Rathmy traktowali te sprawy z formalizmem, jak wszystko inne zresztą.

Usiadła pod ścianą i przyjrzała się pozostałym gościom w tawernie. Większość przyszła tu najeść się i napić, ale kilku miało co innego do załatwienia. Widziała kobietę w gorszącym stroju, nachylającą się ku

marynarzowi - to, co miała do zaoferowania, nie wymagało długiej rozmowy. Po prawej dwóch mężczyzn omawiało jakieś sprawy w języku, którego nekromantka nie rozumiała. Kilku innych przyglądało jej się z otwartym zainteresowaniem, większym niż to, które okazał kapitan Jeronnan, i z pewnością nie tak taktownie. Jeden w mniemaniu Kary gapił się zbyt natrętnie, rzuciła mu więc twarde spojrzenie. Mężczyzna zadrzał wyraźnie i odwróciwszy się, schował nos w swoim kuflu.

Karczmarz postawił przed Karą talerz z pieczoną rybą i warzywami oraz kufel.

– W kufelku jest cydr. To najłagodniejszy napitek, jaki tu mam, pani.

Kara chciała powiedzieć mu kilka słów o ziołowych miksturach, jakie warzyli kapłani Rathmy, ale tylko uprzejmie przyjęła napitek. Spojrzała na rybę, przyprawy sprawiały, że danie pachniało przewybornie. Oczywiście Kara była tak głodna, że nie wzgardziłaby nawet surową rybą, a co dopiero cywilizowanym posiłkiem.

– Ile płacę?

– Twoje towarzystwo, pani, prędzej wymaga zapłaty.

Nastroszyła się, myśląc o kobiecie, która sprzedawała swoje wdzięki marynarzowi.

– Nie jestem...

Karczmarz miał zmartwioną minę.

– Nie, nie! Po prostu nie mam tu zbyt wielu takich gości, panienko! Nie myślałem o niczym innym, jak o tym, by tu przysiąc i odpowiedzieć na pytania! Bez urazy... - Jeronnan pochylił się i szeptem dodał: - Nigdy bym się nie ośmielił narzucać komuś, kto podąża ścieżką Rathmy!

– Wiesz, kim jestem, a mimo to wciąż chcesz ze mną siedzieć?

– Panienko, żeglowałem po wszystkich morzach świata i Wielkim Oceanie. Nieraz byłem świadkiem czarów. Ale zawsze najbardziej godnymi



zaufania magami byli wyznawcy Rathmy...

Nagrodziła go lekkim uśmiechem, który przydał jeszcze koloru jego i tak rumianym policzkom.

– Więc może jesteś człowiekiem, któremu mogę zawierzyć.

Kapitan odchylił się.

– Dopiero gdy spróbujesz moich specjałów i wyrazisz swoją opinię, panienko.

Kara przekroiła rybę, spróbowała kawałek. Natychmiast odcięła następny i zjadła go równie szybko jak pierwszy.

– Znaczy smakuje? - promieniał Jeronnan.

W rzeczy samej, smakowało. W dżunglach Wschodu można było znaleźć niejedną przyprawę, ale nekromantka nigdy nie jadła równie smacznej ryby. Danie zniknęło z talerza błyskawicznie. Im bardziej dziewczyna napęniała żołądek, tym lepiej się czuła.

Kapitan Jeronnan przeprosił i poszedł zająć się innymi gośćmi. Nim skończyła jeść, pozostało tylko dwóch, żeglarzy o surowych twarzach, zbyt zmęczonych, by troszczyć się o co innego niż ich piwo i jedzenie. Karczmarz usiadł naprzeciw niej i czekał.

– Nazywam się Kara Nocny Cień - zaczęła. - Wiesz, kim jestem.

– Tak, ale nigdy nie widziałem kogoś, kto by wyglądał tak jak ty, panienko.

Kara ciągnęła dalej, nie chciała, by miłe słowa zbiły ją z tropu.

– Kapitanie, czy zauważyłeś tu kogoś, kto wyglądałby nietypowo?

Zaśmiał się.

– W Gea Kul? Niezwykłym byłoby zobaczyć tu kogoś zwyczajnego.

– A na przykład... człowieka, który podróżował ze zwierzęciem objuczonym zbroją? - Nekromantka zamilkła, aby zastanowić się nad innymi możliwościami. - Albo człowieka w zbroi?

– Mamy tu kilku żołnierzy. Nic niezwykłego.

– W szkarłatnej płytówce?

Zmarszczył brwi.

– Takiego bym pamiętał... ale nie. Nie widziałem.

Nadzieja umiera ostatnia. Kara chciała zadać jedno, bardzo szczególne pytanie, ale obawiała się, że jeśli to zrobi, zachowanie kapitana może ulec zmianie. Może i znał wyznawców Rathmy, ale niektóre sprawy mogły okazać się zbyt mroczne nawet jak dla niego. Na pewno zaliczały się do nich żywe trupy.

Kara rozchyliła wargi, by zadać pytanie podchwytliwie, ale zamiast coś powiedzieć, ziewnęła rozdzierająco.

Karczmarz obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– Wybacz, że powiem bez ceregieli, panienko, ale wyglądasz chyba bardziej blado niż ty i tobie podobni. Sądzę, że powinnaś porządnie wypocząć.

Chciała zaprotestować, ale znów tylko ziewnęła.

– Może masz rację.

– Jest tu kilka wolnych pokoi, panienko. Dla ciebie za darmo, i niczego nie oczekuję, jeśli się tego obawiasz.

– Zapłacę. - Kara wygrzebała kilka monet z sakiewki. - Czy to wystarczy?

Zwrócił jej większość.

– Tyle wystarczy... i nie pokazuj tylu pieniędzy komu popadnie, panienko. Nie wszyscy są tak mili jak ja!

Nekromantka ledwo mogła się poruszyć. Nogi miała jak z ołowiu. Zaklęcie, którego użyła, aby tu dotrzeć, kosztowało ją najwyraźniej zbyt wiele.

– Jeśli pozwolisz, udam się tam od razu.

– Daj mi kilka minut, panienko. Obawiam się, że przy tej pomocy, jaką zatrudniam, może być jeszcze niegotowy. Zostań tu, zaraz wracam.

Oddalił się, nim zdążyła zaprotestować. Kara usiadła prosto, próbując nie zasnąć. Czar i wysiłek fizyczny znacznie ją osłabiły, oczywiście, jednak zmęczenie wydawało jej się aż nadto dojmujące. Niemal sprawiło, że uwierzyła...

Wstała i skierowała się do drzwi. Być może źle osądziła kapitana Hanosa Jeronnana. Może jego sympatyczne zachowanie miało i drugą, mroczniejszą stronę.

Świadoma tego, że może nie myśli jasno, ruszyła do wyjścia, nie zważając na to, co mogą sobie pomyśleć dwaj siedzący w kącie żeglarze. Jeśli tylko uda jej się wydostać, być może odzyska jasność umysłu na tyle, by się zastanowić. Tak, po tych wszystkich duszących zapachach portu morskie powietrze na pewno pomoże odzyskać równowagę.

Niemal wypadła przez próg, taką czuła słabość w nogach. Wzięła głęboki oddech. Ocieężałość częściowo wyparowała, przynajmniej na tyle, aby Kara już miała ogólne poczucie miejsca i czasu, lecz dla czarnowłosej czarodziejki to było za mało. Dopóki nie odzyska pełnej jasności umysłu, nie mogła zdecydować, co zrobi z karczmarzem.

Raz jeszcze odetchnęła głęboko. Ale gdy tylko w głowie jej się przejaśniło, ogarnął ją niepokój.

Podniosła wzrok ku ciemnym kłębowi mgły. Postać w znoszonym płaszczu podróżnym stała zaledwie o kilka stóp dalej. Twarz obcego skryta była pod kapturem, ale niżej Kara widziała bladą dłoń, wychylającą się z rękawa. A w niej sztylet, który połyskiwał nawet we mgle i ciemności nocy.

Sztylet z kości słoniowej.

Sztylet Kary.

Druga blada ręka powoli zsunęła kaptur. Nekromantka już raz widziała tę twarz. Vizjerei z grobowca Bartuka.

Vizjerei, któremu wydarto gardło.

– Twoje zaklęcie... powinno lepiej... na nią zadziałać - zaskrzeczał głos za plecami Kary.

Usiłowała się odwrócić, ale wciąż poruszała się zbyt wolno. Zrozumiała natomiast, że całe jej szkolenie, wszystkie dostępne czary nie pomogły, gdy zaskoczył ją nie jeden napastnik, a dwóch.

Druga blada twarz uśmiechnęła się ponuro. Głowa mężczyzny przechylała się lekko, jakby jej więź z resztą ciała została naruszona.

Drugie ciało z grobowca. Żyłasty mężczyzna ze skręconym karkiem.

– Nie dałaś nam... wyboru.

Ramię miał uniesione, a w dłoni też ścisnął sztylet, ostrzem w górę. Nim ta wiedza utorowała sobie drogę do ospałego umysłu dziewczyny, ramię opadło.

Cios trafił Karę Nocny Cień w skroń. Zakręciła się w miejscu i z pewnością rozbiłaby sobie głowę o kamienie, gdyby nieumarły, ten sam, który ją powalił, nie pochwycił nekromantki w ramiona. Zdziwiająco delikatnie położył ogłuszoną na ziemi.

– Naprawdę... nie dałaś nam... wyboru.

A potem Karę pochłonęła ciemność.

# SZEŚĆ



Norrek nie opuścił kajuty, aż przyszła pora na poranny posiłek. Nikt się do niego nie odzywał, zwłaszcza kapitan Casco, który nie wybaczył pasażerowi bałaganu zostawionego przy relingu. Ta sytuacja akurat cieszyła weterana, który nie chciał, by cokolwiek zatrzymywało go poza bezpieczną kabiną.

W nocy spał bardzo niespokojnie, dręczony nie tylko koszmarami o dniach chwały Bartuka, ale i o duchu Fauztina, który wracał, by się zemścić na dawnym kompanie.

Dopóki „Ognisty Jastrząb” nie postawił żagli, Norrek nie zaznał odrobiny spokoju. Na morzu duchy nie przestały jednak go ścigać. Gdy tylko statek wypłynął na wzburzone wody, Norrek uznał, że miał wyjątkowo ponure przywidzenia. Osoba, którą wziął za Fauztina, była po prostu innym Vizjerei - w końcu port leżał niedaleko wschodniego wybrzeża - albo złudzeniem wytworzonym przez zniekany umysł.

To ostatnie wydawało mu się coraz bardziej prawdopodobne. W końcu Norrek był fizycznie i psychicznie rozdarty przez żądania przeklętej zbroi. Wciąż wracały doń wspomnienia nie tylko z grobowca, ale również rzezi, jakiej dokonał w karczmie. Do tego pancerz umęczył Norreka do granic wytrzymałości, a nawet bardziej, zmuszając żołnierza do nieprzerwanej wędrówki po trudnym terenie w tempie, które zabiłoby wielu ludzi. Gdyby

nie to, że tylko część wysiłku ponosiły jego mięśnie, Norrek niewątpliwie umarłby po drodze.

Gdy „Ognisty Jastrząb” wypłynął na głębokie wody, fale stały się większe. Kadłub skrzypiał jękliwie, a Norrek coraz bardziej nabierał przekonania, że morze strzaska okręt jak lichą gałązkę. Jednak „Ognisty Jastrząb” płynął dalej, z fali na falę. Choć kapitan Casco i jego ludzie sprawiali wrażenie podejrzanego zbieraniny, całkiem nieźle radzili sobie na pokładzie. Wspinali się po linach, pędzili po śródokręciu i utrzymywali statek w gotowości na starcie z żywiołem.

Nie mogli jednak powstrzymać sztormu. Uderzył po kilku zaledwie godzinach od wypłynięcia z portu - pociemniałe niebo przecięły błyskawice. Wiatr zaryczał, przyginając maszty i próbując porwać żagle. Norrek, który w końcu zdecydował się wyjść z kabiny, musiał chwycić się relingu, gdy morze gwałtownie przechyliło okręt.

– Na sterburtę! - zawołał Casco z mostku. - Na sterburtę!

Człowiek przy sterze starał się wykonać polecenie, ale musiał zmagać się z wiatrem i wodą. Drugi marynarz ruszył mu na pomoc - razem, z wysiłkiem, skręcili koło sterowe.

Deszcz lunął strumieniami i Norrek wycofał się do kajuty. Nie tylko nic nie wiedział o żeglowaniu, ale w ciężkim płytowym pancerzu ryzykował życie, pozostając. Wystarczyłaby jedna duża fala, by wyrzucić go za burtę.

Brudna latarnia huśtała się wściekle pod sufitem, jakby desperacko usiłowała oświetlić całe pomieszczenie. Norrek usiadł na koi i starał się pomyśleć. Wciąż jeszcze miał nadzieję uwolnić się od przeklętej zbroi, ale brakowało mu pomysłu, jak to zrobić. Potrzeba by chyba potężnych zaklęć, ale Norrek nie znał nikogo, kto miałby taką moc. Gdyby tylko mógł zapytać Fauztina...

Wspomnienie tego, co jak mu się wydawało, widział w doku, wróciło z całą siłą, przyprowadzając Norreka o zimne dreszcze. Najlepiej byłoby zapomnieć o Fauztynie... i o Sadunie też. Obaj nie żyli.

Nadeszła noc, a sztorm nie ucichł. Norrek zmusił się, aby pójść do mesy. Po raz pierwszy zauważył w spojrzeniach nielicznych członków załogi coś więcej, nie tylko brak zainteresowania i lekceważenie. Teraz w ich wzroku czaiła się wrogość, a zarazem strach. Norrek nie wątpił, że to przez pancierz, który nosił. Zastanawiali się pewnie, kim jest. Zbroja świadczyła o potędze, władzy. Dlaczego ktoś taki podróżował na takiej krypie jak „Ognisty Jastrząb”?

Wrócił z jedzeniem do kajuty, przedłożywszy samotność nad towarzystwo marynarzy. Tym razem posiłek wydawał się bardziej jadalny albo poprzednie wypaliły mu język. Norrek zjadł, po czym się położył. Niespieszno mu było zasnąć, koszmary o Bartuku i okropnościach krypty nieszczególnie wszak nęciły. Jednak zmęczenie wzięło górę, a tak doświadczony weteran jak Norrek Vizharan wiedział, że nie należy z tym walczyć. Nie dał rady utrzymać otwartych oczu, nawet mimo gwałtownych podskoków „Ognistego Jastrzębia”.

– *Miło by było... odpocząć* – usłyszał ochryply, ale wciąż znajomy głos. - *Lecz jak to mówią... zły nie zazna spoczynku, co?*

Norrek poderwał się na równe nogi z szeroko otwartymi oczyma. Płomyk latarni ledwo pełgał, ale nawet ta niewielka ilość światła pozwoliła mu dostrzec, że w kajucie nie było nikogo.

– Niech to! - Następny koszmar. Norrek zrozumiał, że musiał zasnąć, nie zdając sobie z tego sprawy. Głos towarzysza, którego stracił...

Głos Saduna.

Uderzył piorun. „Ognisty Jastrząb” zadygotał. Norrek uchwycił się koi, a potem spróbował znowu się położyć.

– *Powinieneś... posłuchać Fauztina... Norreku. Teraz... może być za późno.*

Zamarł, jego wzrok powędrował ku drzwiom.

– *Chodź do nas, przyjacielu... chodź do Fauztina... i do mnie.*

Norrek się wyprostował.

– Sadun?

Nikt nie odpowiedział, ale pokład zaskrzypiał, jakby ktoś przeszedł po nim i zatrzymał się pod drzwiami Norreka.

– Jest tam kto?

„Ognisty Jastrząb” zanurkował, omal nie posyłając żołnierza na podłogę.

Norrek rozpląszczył się pod ścianą, ani na chwilę nie spuszczał drzwi z oka. Czyżby wyobraził sobie ten trzeszczący, ochrypły głos Trysta?

Dni, które nastąpiły po koszmarnych wydarzeniach w grobowcu, nadwerężyły nerwy wojownika bardziej niż jakakolwiek bitwa, w której przyszło mu wziąć udział. Ale Norreka i tak ciągnęło do drzwi. Gdy je otworzy, najprawdopodobniej nie ujrzy nikogo. Sadun i Vizjerei nie będą czekać za progiem na przyjaciela, który tak okrutnie ich zamordował. To zdarza się tylko w opowieściach, snutyh nocami przy ognisku.

Takie rzeczy jak zbroja, którą nosił Norrek, również istniały tylko w opowieściach.

Znów zatrzeszczały deski. Wojownik zacisnął zęby, sięgnął do klamki...

Odziana w rękawicę dłoń nagle drgnęła i zaczęła świecić na czerwono.

Cofnął dłoń i patrzył, jak blask przygasa. Wyciągnął rękę znowu, ale tym razem nic się nie stało. Mimo to nacisnął klamkę, gwałtownie otworzył drzwi...

Uderzyły w niego deszcz i wiatr, ale żaden przerażający cień z kościstym palcem wyciągniętym w geście potępienia nie czekał na żołnierza za progiem.



Norrek naciągnął płaszcz na ramiona i wyszedł, rzucając szybkie, uważne spojrzenia, najpierw w lewo, potem w prawo. Członkowie załogi walczyli z wiatrem o żagle. Żadnych zjaw czy upiorów.

Ciężkie uderzenia stóp sprawiły, że spojrzał na rufę. Jeden z marynarzy biegł ku dziobowi. Mężczyzna minąłby Norreka, nawet na niego nie spojrzawszy, ale ten chwycił go za ramię.

– Widziałeś tu kogoś? Czy ktoś stał przed drzwiami mojej kajuty? - spytał natarczywie Norrek.

Tamten rzucił kilka słów w obcym języku, wzdrygnął się jak pod dotykiem trędownego i uciekł. Norrek spojrzał za nim, po czym przeniósł wzrok na reling. Do głowy przyszła mu myśl zupełnie niedorzeczna, ale tak natrętna, że skłoniła do ryzyka. Podeszedł do burty i spojrzał w dół.

Fale nieprzerwanie waliły o zdezelowany kadłub „Ognistego Jastrzębia”, jakby chciały przebić drewno i posłać okręt wraz z załogą wprost w głębinę. Morze kipiało i burzyło się wściekle, czasem wzbierając tak wysoko, że przesłaniało niebo.

Ale i tam nie znalazł choćby śladu upiorów. Żadnych ghuli czy żadnych zemsty widm martwych kompanów. Musiał to sobie wszystko wyobrazić, jak za pierwszym razem.

– Ty! Co tu robisz? Do środka! Do środka! - Od dziobu kuśtykał kapitan Casco, bezgranicznie wściekły, że jego pasażer ośmielał się rzucać wyzwania żywiołom. I jak w przypadku reszty załogi, spod wściekłości wзираł strach.

– Co się dzieje? Coś się złego stało?

– Złego? - szczeknął wychudzony szyper. - Złego? Żadne złego! Wracaj do kajuty! Sztorm jest! On głupi?

Mógłby odpowiedzieć „tak” na pytanie kapitana, ale nie chciało mu się wszczynać kłótni. Dlatego Norrek wrócił do kabiny i zamknął drzwi,

zostawiając za nimi wrogie spojrzenie i ponury grymas kapitana Casco. Po chwili dobiegł go odgłos oddalających się nierównych kroków.

Nie bardzo miał ochotę ponownie zasypiać, ale i tak spróbował. Głowa pękała mu od pytań, ale tylko na jedno z nich weteran nie potrafił odpowiedzieć. Dlaczego szkarłatna rękawica zaczęła świecić tuż przed tym, jak usiłował wyjść na pokład. Skoro za progiem nie czyhało żadne niebezpieczeństwo, dlaczego zbroja próbowała go ostrzec? Owszem, nie przejęła nad nim kontroli, ale jej działania najwyraźniej miały jakiś cel...

Norrek zasnął, wciąż próbując znaleźć wyjaśnienie. Obudził się dopiero, gdy uderzenie pioruna zatrzęsło kajutą i nieomal wyrzuciło go z rozpadającej się koi. Zdezorientowany bezskutecznie usiłował obliczyć, jak długo spał. Sztorm nadal nie ucichł, z czego Norrek wywnioskował, że przespał zaledwie kilka godzin. Żaden ze sztormów, które dotąd przeżył, nie trwał dłużej niż dzień, choć żołnierz dopuszczał możliwość, że na pełnym morzu może to wyglądać inaczej.

Ramiona i nogi miał zeszywniałe. Przeciągnął się, a potem spróbował ułożyć wygodniej.

Długi trzask, tak różny od łomotu piorunów, w mgnieniu oka postawił weterana na nogi. Norrek rozpoznał ten dźwięk, mimo że nie słyszał go zbyt często. Był to odgłos pękającego drewna.

Na statku tkwiącym w środku sztormu mogło to wieszczyć tylko zagładę.

Norrek wyprysnął z kabiny, kierując się na dziób. Krzyki wskazywały, że załoga już stara się zaradzić wszelakiemu niebezpieczeństwu, jakie mogło im zagrażać. On jednak wiedział, jak trudne będzie ich zadanie, jeśli stało się to, czego najbardziej się obawiał. Samo uszkodzenie statku było i tak dramatyczną okolicznością, a próby naprawienia uszkodzeń w tym chaosie...

Jego najgorsze obawy potwierdziły się już po chwili. Na wprost przez Norrekiem kilku marynarzy starało się nie dopuścić do tego, by jeden z masztów całkiem się przełamał. Ciągnęli liny, starając się utrzymać górną część na miejscu, druga grupa próbowała wzmocnić nadwyrężoną podstawę deskami, gwoździami i kolejnymi linami. Norrek widział jednak, że ich walka skazana była na niepowodzenie. Maszt przechylał się coraz bardziej, a kiedy padnie, rychło złamię się pozostałe.

Chciał coś zrobić, ale żadna jego umiejętność nie była tu przydatna, nie mógłby poradzić więcej niż o wiele bardziej doświadczeni marynarze. Norrek popatrzył na swoje rękawice, szkarłatny kolor sprawiał, że wyglądały na tak potężne, tak pełne siły. A jednak cała olbrzymia moc dziedzictwa Bartuka teraz nie mogła mu pomóc.

Ta myśl znikła, gdy wokół każdej dłoni pojawiła się nagle błękitna poświata.

Norrek zorientował się, że idzie, a zbroja znów kieruje jego ruchami. Przynajmniej raz weteran nie stawiał oporu, pewien intencji, choć nie środków. Pancierz chciał przecież dotrzeć do swego odległego celu, a nie miał na to żadnych szans, gdy Norrek zatonie. Zbroja musiała działać choćby po to, by ocalić życie swojego żołnierza.

– Precz! Precz! - krzyczał kapitan Casco, pewny, że jego niezdarny pasażer tylko pogorszy i tak fatalną sytuację. Norrek przeszedł obok niego, nieomal przewracając kulawego żeglarza.

Maszt trzeszczał złowieszczo - był to wyraźny znak, że zaraz zwali się na sąsiedni. Norrek zaczerpnął tchu, niecierpliwie czekając na działanie zbroi.

– *Kesra! Qezal irakus!*

Błyskawice punktowały każde słowo, które padło z ust żołnierza, ale Norrek nie zwracał na to uwagi. Tym, co zauważył i co z pewnością zauważyli wszyscy na pokładzie, było kilka migoczących zielonych

postaci, które nagle otoczyły, a nawet przywarły do zrujnowanego masztu. Silne, smukłe ramiona kończyły się palcami z przyssawkami, a tam, gdzie powinny być nogi, stwory przypominały gigantyczne robaki. Potwory syczały i pełzały, zaś ich nie do końca widoczne twarze przywodziły na myśl majaki szalonego artysty, który postanowił pomalować nietoperze pyski na wzór klaunów.

Żeglarze uciekli w panice, puszczając liny i drewno. Maszt zaczął się przechylać...

Połykująca horda postawiła go do pionu. Część potworów trzymała maszt we właściwej pozycji, inne zaczęły krążyć wokół jego podstawy. Za każdym razem zostawiały na pęknięciach smugi śluzu. Początkowo Norrek nie mógł zrozumieć po co, później zorientował się, że śluz prawie natychmiast twardnieje, wzmacniając i stabilizując maszt. Stwory pełzały wkoło, raz, drugi, trzeci, jakby w szalonym wyścigu, który nie miał mety. Wkrótce pobratymcy nie musieli już podtrzymywać masztu, patrzyli więc tylko, czekali i syczeli, jak się wydawało, na zachętę dla reszty.

– *Kesra! Qezal ranakka!*

Demony odpełzły od masztu i zebrały się w grupę. Norrek oderwał od nich wzrok i ocenił pracę. Mimo sztormu maszt kołysał się zaledwie tyle, ile gałązka poruszana bryzą. Stwory nie tylko naprawiły go, ale też wzmocniły do tego stopnia, że nie zdziwiłby się, gdyby zniósł tę podróż lepiej niż pozostałe dwa.

Zbroja machnęła ręką na demony, jakby i ona była zadowolona. Światło, tak silne, że Norrek musiał przymknąć oczy, pochłonęło potwory. Ich syki stały się głośniejsze, bardziej gniewne, aż blask zgasł z dźwiękiem przypominającym westchnienie. Po demonach nie został nawet ślad.

Sztorm pozostał niewzruszony i nadal ryczał, miotając dziko „Ognistym Jastrzębiem”. A jednak załoga nie kwapiła się z powrotem na stanowiska,

ruszyła dopiero na krzyk kapitana. Ci z marynarzy, którzy musieli przejść obok Norreka, omijali go szerokim łukiem, a na twarzach malował im się strach. To prawda, że dzięki demonom najpewniej uszli z życiem, ale świadomość, że ten, który mógł przywołać takie monstra, podróżuje z nimi, przerażała ich do głębi.

Norrekowi jednakże było to obojętne. Ogarnęło go takie zmęczenie, że ledwie utrzymał się na nogach. Choć to zbroja rzuciła czar, nagle poczuł się tak, jakby odbudował maszt własnymi rękoma. Norrek sądził, że zbroja zaprowadzi go do kajuty, ale teraz, kiedy zagrożenie już minęło, najwyraźniej pozostawiła mu wolną rękę.

Pancerz zdawał się ważyć tysiąc funtów. Norrek zszedł z pokładu odprowadzany nieprzyjawnymi spojrzzeniami załogi „Ognistego Jastrzębia”. Bez wątpienia wkrótce zapomną o tym, że zawdzięczają mu życie, i zaczną się zastanawiać, co to znaczy mieć władcę demonów na pokładzie. A strach często prowadzi do przemocy...

Jednak mimo tej świadomości Norrek pragnął tylko położyć się na koi. Niczego nie potrzebował tak bardzo jak snu. Nawet sztorm mu nie przeszkadzał. Jeśli wojownik dotrwa do jutra, postara się wyjaśnić to, co zaszło.

Miał tylko nadzieję, że do tego czasu nikt z załogi nie zrobi czegoś głupiego... i zabójczego.



*Ciemność. Ciepła, przyjazna ciemność.*

*Kara mościła się w niej, zakopała, było jej tak dobrze, że przez długi czas w ogóle nie chciała opuszczać przyjaznego mroku. Nadeszła jednak chwila,*

*gdy niedobre przeczucie zmusiło ją do zmiany pozycji... i podjęcia próby przebudzenia.*

*Usłyszała też głos.*

*– Kara! Panienko! Gdzie jesteś?*

*W głosie było coś znajomego, co powoli wyciągało ją z niebytu i niepamięci. Gdy próbowała się obudzić, Karze Nocnemu Cieniowi pomogła wola. Ta ciemność, ta nicość więziły ją. Wygoda, jaką oferowały, była duszącym, wiecznym snem.*

*– Kara!*

*To nie była już nawet wygoda. Coś ją drapało, zgniatało, czuła się bardziej jak w trumnie niż wygodnym łóżku...*

*– Kara!*

*Nekromantka otworzyła oczy.*

*Stała uwięziona w drewnianym grobie, a jej członki wydawały się zamarznęte.*

*Gdzieś zaszczekał pies. Dziewczyna zamrugła, próbowała wyteńczyć wzrok. Kilka promyków słabego światła pozwoliło jej lepiej zrozumieć, co się z nią stało. Drewno ściśle otaczało ją ze wszystkich stron, wydrążone drzewo, bez większych dziur. Jednak w jakiś sposób została tu umieszczona, zapieczętowana... aby umrzeć?*

*Świadomość, że została zamknięta w niewielkiej przestrzeni bez wyjścia, odebrała Karze dech w piersi. Dziewczyna usiłowała poruszyć rękami, ale nie mogła. Ramiona miała przyciśnięte do boków i skrępowane przez rośliny rosnące w wydrążonym drzewie. Co gorsza, jej usta zaklejał mech. Próbowwała krzyknąć, odezwać się, ale głos stłumiły mech i gruby pień. Zrozumiała, że nikt na zewnątrz jej nie usłyszy.*

*Zaszczekało więcej psów, tym razem bliżej. Skupiła się na głosie, głosie kapitana Jeronnana, wołającym jej imię.*

– Kara! Panienko! Słyszysz mnie?

Nogami też nie mogła poruszyć, zapewne z tego samo powodu, co i ramionami. Fizycznie Kara była zupełnie bezradna.

Uczucie ucisku na piersi stawało się coraz silniejsze. Choć większość swojego krótkiego życia nekromantka spędziła w odosobnieniu, zawsze miała swobodę ruchu, wolność wyboru. Upiorni napastnicy pozbawili ją obu. Nekromantka nie wiedziała, czemu nie zabili jej od razu. Ale nie miała wątpliwości, że jeśli szybko stąd nie wyjdzie, śmierć będzie równie pewna... i za to znacznie okrutniejsza.

Ta myśl oraz narastające przekonanie, że pień napiera na nią ze wszystkich stron, zmobilizowały Karę tak, jak nie potrafił żaden z nauczycieli. Chciała uciec, wyrwać się na wolność, nie cierpieć głodowych mąk...

Teraz gdy była związana i zakneblowana, nie mógł uratować jej żaden wyszukany czar. Emocje, które wyznawcy Rathmy zwykle trzymali na wodzy, wezbrały, domagając się ujścia.

Kara patrzyła na drewno przed sobą, na swoją trumnę, na ponure przeznaczenie.

Nie umrze w ten sposób, nie wskutek mrocznej magii nie-umarłego czarownika... Nie umrze w ten sposób...

We wnętrzu drzewa zrobiło się goręcej, coraz bardziej duszno. Nekromantka spływała potem. Rośliny zdawały się zaciskać wokół jej kończyn.

Nie umrze...

Jej srebrne oczy rozbliły *jasno... jaśniej...*

Drzewo eksplodowało.

Kawałki drewna poleciały na wszystkie strony. Kara usłyszała przekleństwa rzucone męskim głosem i skomlenie psów. Ale nic nie mogła

dla nich uczynić - także i dla siebie. Poleciała do przodu, jej ręce i nogi nie były już dłużej uwiązane. Instynktowne wyciągnięcie rąk uratowało ją przed uderzeniem głową o ziemię, ale nie uchroniło przed potężnym bólem przy upadku. Zamroczyło ją.

Niewyraźnie słyszała głosy, które zdawały się przybliżać. Jakaś bestia obwąchiwała ziemię wokół jej głowy, zimny nos otarł się o ucho. Usłyszała polecenie, a potem poczuła silne, lecz delikatne dłonie na ramionach.

– Kara! Co się, na Morską Wiedźmę, z tobą działo, panienko?

– Jeron... - udało się jej wymamrotać. Ten wysiłek omal znów nie pozbawił jej świadomości.

– Spokojnie! Tutaj, głupcze! Weź smycze, podniosę ją!

– Tak jest, kapitanie!

Kara prawie nie pamiętała podróży do Gea Kul, z wyjątkiem chwili, gdy niosący ją na rękach karczmarz sklął jednego ze swoich ludzi za to, że psy prawie go przewróciły. Traciła i odzyskiwała przytomność, przypominając sobie spotkanie z nieumarłymi. Coś w ich zachowaniu niepokoiło ją bardziej, niż wcześniej mogłaby sobie wyobrazić.

Nawet w obecnym stanie Kara nie mogła przestać wracać myślami do tego, że żaden z jej zmysłów nie wykrył obecności nie-umarłych, że dwa upiory ją przechytrzyły. A przecież to nekromanci manipulowali mocami życia i śmierci, a nie ci, co umarli. Tymczasem Vizjerei i jego uśmiechnięty kolega podeszli ją niczym nowicjuskę z pierwszego roku. Jak? A dokładniej: dlaczego w ogóle chodzili po świecie?

Nawet w obecnym stanie zadziwiło Karę, że byli oni niewykrywalni dla jej zmysłów, bawili się z nią, a nie odwrotnie.

Odpowiedź miała związek z błędami, jakie Kara popełniła w grobowcu. W jakiś sposób, choć w czasie swojego szkolenia nigdy nie słyszała o tak zadziwiających przypadkach, zjawa zyskała pełną kontrolę nad ciałem.



Potem upiór najwyraźniej przyzwał towarzysza, którego znał za życia, po czym obaj znikli przy użyciu magii, zanim Kara cofnęła się do miejsca, w którym został sztylet.

Proste wyjaśnienie, ale wcale nie zadowalające. Kara coś przeoczyła - tego była pewna.

– Nekromantko?

Słowo odbijało się echem w jej czaszce, przerywając rozważania. Zmusiła się do otworzenia oczu - dopiero teraz zdała sobie sprawę, że miała je zamknięte - i spojrzała w zmartwione oblicze kapitana Hanosa Jeronnana.

– Co...?

– Spokojnie, panienko! Dwa dni byłeś bez jedzenia i wody! Co prawda nie zrobiło ci to jakiejś poważnej krzywdy, ale na pewno nie wyszło na dobre!

*Dwa dni?* Była uwięziona w tym drzewie przez dwa dni?

– Kiedy zniknąłeś tamtej nocy, natychmiast rozpocząłem poszukiwania, ale dopiero rano znalazłem tę sakiewkę obok tawerny. - Pokazał małą, skórzaną sakiewkę, w której Kara nosiła zioła niezbędne w tym, czym się zajmowała. Choć nie wszyscy to wiedzieli, zaklęcia nekromantów wymagały też innych składników, nie tylko krwi.

Dziwne, myślała, że zgubiła w ogóle tę sakiewkę. Napastnicy musieliby poświęcić sporo swojego cennego czasu, by ją zabrać, tak dobrze nekromantka strzegła woreczka. Oczywiście miało to jeszcze mniej sensu, gdyż jedynym powodem, dla którego zawracaliby sobie tym głowę, było pozostawienie śladu porwania, czego raczej żaden upiór by nie zrobił.

Ale pozostawili ją żywą, choć pogrzebaną w pniu uschłego drzewa.

Wszystko było takie zagmatwane. Jej irytacja musiała się ujawnić, gdyż karczmarz natychmiast do niej pospieszył.

– Coś się stało? Przynieść wody? Dodatkowy koc?

– Jestem... - Jej głos przypominał skrzeczenie żaby i, nawet za bardzo, głos tego bardziej rozmownego z napastników. - Jestem cała, kapitanie... dziękuję ci za ratunek i opiekę. Oczywiście zapłacę...

– Nie będę tolerował takich słów w moim lokalu, pani! Nie będziemy rozmawiać na ten temat!

Naprawdę ją zdumiewał.

– Kapitanie Jeronnan, większość ludzi, a zwłaszcza mieszkańców Zachodu, pozostawiłaby kogoś takiego jak ja, aby zgnił w tym drzewie, zamiast zbierać grupę poszukiwawczą. Czemu to zrobiłeś?

Wielki mężczyzna wyglądał na zakłopotanego.

– Zawsze dbam o swoich gości.

Choć bolało ją całe ciało, zmusiła się, by usiąść.

Jeronnan ulokował ją w pokoju, jakiego nigdy nie spodziewałaby się w Gea Kul. Czysty, wygodny i nawet nie śmierdział rybą - po prostu cud.

Kara nie pozwoliła jednak, aby wygody ją rozpraszały i odciągały od zadawania pytań.

– Czemu to zrobiłeś, kapitanie?

– Kiedyś miałem córkę - zaczął z oporami. - I nie, wcale nie wyglądała jak ty, poza tym, że też była ładna. - Odchrząknął. - Jej matka pochodziła z wyższej sfery niż ja, lecz moje sukcesy w marynarce umożliwiły nam ślub. Urodziła się Terania, ale jej matka w tej samej chwili wydała ostatnie tchnienie. - Zuchwała łza spłynęła z oka dużego mężczyzny, starł ją szybko. - Przez następne dziesięciolecie, a nawet dłużej, nie mogłem znieść swego życia, bo służba oddalała mnie od tej jedynej istoty, która mi została. W końcu złożyłem rezygnację, akurat gdy moja córka zaczęła wyrastać na piękną pannę. Wsiedliśmy razem na statek i udaliśmy się do miejsca,

którego piękno zapamiętałem ze swych podróży. Moja kochana córeczka się nie skarżyła, nawet wydawało się, że tu rozkwita.

– W Gea Kul?

– Nie bądź tak zaskoczona, panienko. Dziesięć lat temu było znacznie ładniejszym, czystszy miejscem. Jakieś zło je dotknęło od tamtych czasów, tak jak dotknęło wszystkich innych miejsc, o których teraz słyszę.

Kara starała się zachować spokojny wyraz twarzy. Jako służka Rathmy wiedziała, że mroczne siły rozprzestrzeniały się po świecie. Rabunek grobu Bartuka tylko to potwierdzał. Nekromantka obawiała się, że świat rychło straci delikatną równowagę i szala przechyli się na korzyść Władców Piekieł.

Demony znów chodziły po świecie.

Kapitan Jeronnan mówił, ale Kara popadła w zadumę i umknęło jej kilka słów. Jednak coś zwróciło jej uwagę.

– Co? - rzuciła gwałtownie.

Teraz dotarło do niej, jak ponurą minę miał kapitan, niezwykle ponurą.

– Ano, tak się stało! Przez dwa lata byliśmy tu szczęśliwi. Pewnej nocy usłyszałem jej krzyk w pokoju, a żaden mężczyzna nie wszedłby tam, nie przechodząc pierwej obok mnie! Wpadłem przez drzwi... i nie znalazłem najmniejszego po niej śladu. Okno było zamknięte, nawet w szafie sprawdziłem, ale znikła! Z zamkniętego pokoju!

Jeronnan szukał córki wszędzie, kilku tutejszych też oferowało mu pomoc. Szukał jej trzy dni i przez trzy dni nie trafił na żaden ślad... Aż pewnej nocy, gdy próbował usnąć, usłyszał wołanie swego dziecka.

Choć przepełniła go nadzieja, nie zaniedbał ostrożności i wziął ze sobą zdjętą ze ściany ceremonialną klingę, którą nagroził go admirał. Tak uzbrojony, karczmarz podążył w głąsę za wołaniem córki. Przez godzinę krążył wśród drzew i pagórków, rozglądając się, szukając...

Wreszcie obok karłowatego drzewa zobaczył swoją Teranię. Dziewczyna, dziwnie blada, bledsza nawet niż Kara, czekała na ojca z wyciągniętymi rękami.

Zawołała go jeszcze raz, a on, rzecz jasna, odpowiedział. Z mieczem w ręku podszedł do córki...

Jej kły niemal rozdarły mu gardło. Kapitan Jeronnan przepłynął cały świat, widział wiele zadziwiających i niezwykłych rzeczy, dla swych panów walczył z piratami i złoczyńcami, ale nic, żadne doświadczenie w jego życiu nie miało dlań większego znaczenia niż wychowanie jedynaczki.

I nic nie zraniło dotkliwiej duszy niż przebicie serca potwora, jakim się stała.

– Broń wisi na dole - wymruczał na zakończenie. - Wykuta dla ozdoby, ale i praktyczna. - I dodał jakby po namyśle: - Gdyby nie była zdobiona srebrem lub czymś takim, nie siedziałbym tu teraz.

– Co się stało z córką? - Kara słyszała już podobne historie, ale przyczyny zmian bywały różne.

– Nigdy się tego nie dowiedziałem, ale na pewno stała się przeklęta! Udało mi się pogrzebać to wspomnienie na samym dnie pamięci, dopóki nie zniknęłaś, panienko. Bałem się, że to coś wróciło po ciebie. - Łza spłynęła mu z oka. - Wciąż słyszę jej krzyki... zarówno wtedy, jak zniknęła, jak i po raz ostatni, gdy ją zgładziłem.

Na Karę nie polował koszmar Jeronnana, ale dwaj nieumarli rabusie grobów na pewno na nią czekali. Ta myśl przypomniała jej o własnych sprawach.

– Wybacz mi, kapitanie, bo moje pytanie zabrzmi, jakbym nie współczuła ci tej wielkiej straty, ale zechciałbyś mi powiedzieć, czy jakiś statek odpłynął w czasie, kiedy mnie tu nie było?

Pytanie Kary zaskoczyło zasmuconego mężczyznę, ale szybko się opanował.

– Jedynym statkiem, który na razie odpłynął, był „Ognisty Jastrząb”, najbardziej przeklęty okręt, jaki widziałem! Zdziwionym, że jeszcze nie zatonął.

Tylko jeden statek. To pewnie ten, o który jej chodziło.

– Dokąd zmierzał?

– Do Lut Gholein. Zawsze pływa do Lut Gholein.

Znała to miejsce. Zamożne miasto położone na zachodnim wybrzeżu Bliźniaczych Mórz. Miejsce, gdzie handlowali kupcy z całego świata.

Lut Gholein. Vizjerei i jego uśmiechnięty przyjaciel przebyli drogę z grobowca aż tutaj, w tempie, jakie mogli utrzymać tylko ci, którzy nie czują zmęczenia. Przybyli akurat do Gea Kul, istniejącego głównie jako punkt, z którego rozpoczynano podróż do innych królestw. Ale po co?

Powód mógł być tylko jeden. Ścigali pozostałych członków swojej drużyny, którzy zabrali ze sobą zbroję Bartuka. Kara przypuszczała, że chodzi o jednego człowieka, ale nie odrzucała też możliwości, że rabusiów było więcej.

Zatem „Ognisty Jastrząb” miał na pokładzie albo tych, co przeżyli, albo upiory. Jeśli te drugie, to para nieumarłych rabusiów musiała jakoś ukryć się na statku, ale Kara słyszała opowieści o nieumarłych, którzy robili najróżniejsze rzeczy, byle tylko dopaść swą ofiarę. Przepłynięcie morza było trudne, ale nie niemożliwe.

Lut Gholein. Mógł to być tylko kolejny przystanek, ale Kara teraz wiedziała przynajmniej, w którą stronę się udać.

– Kapitanie, kiedy odpływa stąd następny statek?

– Panienko, ledwo możesz siedzieć, a co dopiero...

Srebrne oczy zwróciły się na niego bez mrugnięcia.

– Kiedy?

Potarł podbródek.

– Nie przez jakiś czas. Za tydzień, może dłużej.

O wiele za późno. Do tej pory zarówno upiory, jak i ci, których zjawy ściagały, przepadną, a zbroja wraz z nimi. A to, że zbroja krwawego władcy wydostała się na świat, było bardziej palącym problemem niż brak sztyletu. Zaklęcia zawarte w pancerzu z pewnością przyciągną wszystkich nadmiernie ambitnych, przywołają zło.

Niekoniecznie człowieka.

– Mam pieniądze. Czy możesz mi polecić jakiś statek do wynajęcia?

Jeronnan patrzył na nią bacznie.

– Czy to aż tak ważne?

– Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

– W najdalej wysuniętym na północ zakątku portu stoi nieduży, ale szybki statek, „Królewska Tarcza” - westchnął karczmarz. - Może odpłynąć w każdej chwili. Trzeba dnia lub dwóch, aby zebrać załogę i zapasy.

– Czy sądzisz, że uda ci się przekonać właściciela, aby mnie wysłuchał?

Jeronnan roześmiał się głośno.

– Nie musisz się o to martwić, panienko! Ten człowiek służył w niejednej sprawie, o ile tylko była godna.

Jej nadzieje rosły. Już czuła się na tyle zdrowa, aby podróżować. „Ognisty Jastrząb” miał kilka dni przewagi, ale jeśli jej statek będzie dobry, powinna dotrzeć do Lut Gholein wkrótce po „Jastrzębiu”. Tam jej wyjątkowe zdolności oraz kilka odpowiednich pytań pozwolą podjąć trop.

– Muszę z nim porozmawiać. Muszę stąd odpłynąć jutro rano.

– Jutro rano...

Rzuciła mu miażdżące spojrzenie. Żałowała, że musi naciskać, ale stawka była ważniejsza niż jej zdrowie czy cierpliwość lego kapitana.

– Tak musi być.

– Dobrze. - Potrząsnął głową. - Przygotuję wszystko. Rano podniesiemy żagle.

Wzruszyła ją jego nagła oferta.

– Wystarczy, że przekonasz kapitana „Królewskiej Tarczy”, żeby ze mną popłynął. Nie musisz opuszczać swej ukochanej tawerny! Nie musisz już robić nic więcej.

– Nie lubię, gdy moi goście są bliscy utraty życia... albo czegoś więcej. Poza tym zbyt długo byłem na lądzie! Dobrze byłoby znów poczuć morze!  
- Pochylił się do niej z uśmiechem. - A co do przekonywania kapitana, to chyba się nie zrozumieliśmy, nekromantko! Ja jestem właścicielem tego zgrabnego stateczku i klnę się na wszystkie świętości, że albo rankiem podniesiemy żagle, albo obiecuję ci, rozpęta się piekło.

Gdy zbiegł na dół, aby doglądać przygotowań, Kara opadła na poduszki, uderzona jego ostatnimi słowy. Piekło się rozpęta?

Kapitan Hanos Jeronnan nie miał pojęcia, jak prawdziwa mogła okazać się jego przysięga.

# SIEDEM



– Moi ludzie stają się niespokojni i doskonale ich rozumiem, Galeono. Przyzywa nas wielkość, a zatrzymaliśmy się tu, na granicy pustyni!

– To na twój rozkaz pozostaliśmy tu jeszcze dłużej, mój drogi Augustusie.

Górował nad nią.

– Ponieważ powiedziałaś, że wkrótce dowiemy się, gdzie znajduje się zbroja Bartuka! Musimy wiedzieć, gdzie ten dureń ją niesie! - Malevolyn chwycił ją za włosy i uniósł, aż ich twarze niemal się zetknęły. - Znajdź go, kochana. Znajdź go... albo okaże się, że będę opłakiwał twój zgon!

Nie pozwoliła, by zobaczył jej strach. Ci, którzy okazywali lęk w obecności generała, tracili w jego oczach. Augustus przestawał ich szanować, stawali się zbędni. Galeona długo i wytrwale pracowała nad tym, aby uznał ją za bezcenną, i nie zamierzała pozwolić, by to się zmieniło.

– Zobaczę, co da się zrobić, ale tym razem dokonam tego bez ciebie.

Zmarszczył brwi.

– Dotąd zawsze wymagałaś mojej obecności. Co się zmieniło?

– Ponieważ teraz będę musiała zanurzyć się głębiej niż kiedykolwiek przedtem... A jeśli ktoś mi przeszkodzi w nieodpowiednim momencie, zginę i bardzo możliwe, że wszyscy w pobliżu podzielą mój los.



To zrobiło wrażenie nawet na generale. Skinął głową, popatrując na czarodziejkę spod uniesionej brwi.

– Dobrze zatem. Czy czegoś potrzebujesz?

Naraz w umyśle Galeony zabrzmiał głos:

*Musi być... jakaś ofiara.*

Czarodziejka uśmiechnęła się, objęła Malevolyna ramieniem i przycisnęła swoje usta do jego. Gdy odsunęła się nieco po pocałunku, zapytała jakby od niechcienia:

– Kto cię ostatnio najbardziej zawiódł, ukochany?

Jego usta zacisnęły się w wąską kreskę, nieustępliwe i bezlitosne.

– Kapitan Tolos okazał się rozczarowaniem. Sądzę, że jego oddanie znacznie zmałało.

Jej dłoń pieściła policzek Malevolyna.

– Zatem być może sprawię, by okazał się dla ciebie bardziej pożytecznym.

– Rozumiem. Przyślę go do ciebie natychmiast. Byłeś otrzymała *rezultaty*.

– Myślę, że będziesz zadowolony.

– Zobaczymy.

Generał Malevolyn wyszedł z namiotu. Galeona natychmiast odwróciła się do cieni, a jednego w szczególności.

– Sądziysz, że to wystarczy?

– Ten tutaj może tylko próbować - odparł Xazax. Cień oddzielił się od innych, przysunął bliżej. Niemal dotknął stopy czarodziejki. Galeona zadrżała, bo nagle poczuła się, jakby miała za chwilę skończyć.

– Tym razem muszę go znaleźć! Widzisz, jak bardzo generał się niecierpliwi!

– Ten tutaj czekał dłużej niż śmiertelnik - zazgrzytał cień. - Ten tutaj pragnie znaleźć bardziej niż ktokolwiek inny, nawet generał.

Oboje usłyszeli kroki na zewnątrz. Sylwetka Xazaxa ukryła się wśród pozostałych cieni. Galeona odrzuciła włosy i poprawiła suknię, by lepiej odsłaniała jej wdzięki.

– Wejść - zagruchała.

Do namiotu wkroczył młody oficer z hełmem pod pachą. Miał rude włosy, cień zarostu na policzkach i stanowczo zbyt niewinne spojrzenie. Wyglądał jak owieczka idąca na rzeź. Galeona pamiętała jego twarz, a także interesujące myśli, które przemknęły jej przez głowę niejedną raz.

– Podejdź bliżej, kapitanie Tolos.

– Generał mnie tu przysłał. - W głosie oficera zadźwięczała nutka niepewności. Bez wątpienia słyszał o reputacji czarodziejki... nie mówiąc już o jej upodobaniach. - Powiedział, że masz dla mnie jakieś zadanie.

Podeszła do stołu, na którym trzymała wina dla generała, i nalała Tolosowi puchar najlepszego z nich. Uniosła naczynie zapraszającym gestem. Mężczyzna podszedł bliżej, niczym ryba podążająca za przynętą. Minę wciąż miał niepewną.

Wcisnąwszy mu kielich do ręki, Galeona uniosła go do jego ust. Po czym poczęła błędzić palcami po jego ciele, co jeszcze bardziej zaniepokoiło młodego oficera.

– Pani Galeono - wyjąkał - generał przysłał mnie tu w jakimś celu. Nie podobałoby mu się, gdyby odkrył...

– Ciii... - Przytknęła puchar do jego ust, zmuszając go, by upił wina. Przełknął raz i drugi, nim czarodziejka pozwoliła mu odsunąć kielich. Wolną dłonią ujęła go za podbródek, aż jego wargi spoczęły na jej, i przytrzymała go tak długą chwilę. Wahał się, ale potem oddał pocałunek, odurzony jej wdziękami.

*Dość płochych przyjemności* – usłyszała głos demona w swojej głowie.  
*Mamy pracę do wykonania...*

Za plecami zaurozonego żołnierza cień urósł, stał się bardziej materialny. Brzęczenie przywodzące na myśl konające roje much stawało się coraz głośniejsze, aż wyrwało kapitana Tolosa spod uroku wiedzy. Światło lampy sprawiło, że dostrzegł część cienia, cienia, którego w żadnej mierze nie mógł rzucić człowiek.

Tolos odepchnął Galeonę, po czym sięgnął po miecz, zwracając się w stronę swego, jak zgadywał, zabójcy.

– Nie dostaniesz mnie...

Cokolwiek zamierzał powiedzieć, nie dokończył. Zamilkł. Twarz miał białą jak śnieg. Palce wciąż szukały miecza, ale obezwładniający strach sprawił, że trzęsły mu się ręce i nie był w stanie zacisnąć dłoni na rękojeści.

Górując nad nim, Xazax z pewnością przedstawiał sobą widok, który mógł przerazić do utraty zmysłów. Demon miał ponad siedem stóp wzrostu i przypominał modliszkę, ale modliszkę rodem z samego piekła.

Dzika mieszanina szkarłatu i szmaragdu barwiła skórę, pod którą pulsowały złote żyły. Głowa demona wyglądała jak zniekształcony łeb wielkiego insekta. Wielkie, żółte, pozbawione źrenic oczy patrzyły na żalosego śmiertelnika, a zuwaczki były grubsze niż ramię żołnierza. Druga para szczęk bliżej otworu gębowego, cieńszych, choć nie mniej groźnych, otwierała się i zamykała ze straszliwą gorliwością. W namiocie rozszedł się smród gnijących roślin.

Środkowe odnóża, szkieletowe ramiona zakończone trzema pazurami, wystrzeliły z niesamowitą prędkością i przyciągnęły skamieniałego oficera. Tolos wreszcie otworzył usta do krzyku, ale demon zdążył splunąć, pokrywając twarz żołnierza miękką, lepką substancją.

Główne odnóża, zakrzywione kosy zakończone ostrymi szpikulcami, uniosły się wysoko.

Demon wbił je oba w pierś oficera, przebijając pancerz.

Tolos począł się rzucać, czym zdawał się bardzo bawić Xazaxa. Żołnierz darł palcami tak pierś jak i twarz, ale nie zdołał się uwolnić.

Galeona zmarszczyła brwi, próbując skryć przerażenie fizyczną formą Xazaxa pod maską gniewu i sarkazmu.

– Jeśli skończyłeś się bawić, to mamy *pracę* do wykonania.

Xazax puścił drgające wciąż ciało. Tolos osunął się na ziemię, jego zalane krwią zwłoki upadły niczym pozbawiona sznurków marionetka. Piekielna modliszka pchnęła trupa do Galeony.

– Oczywiście.

– Narysuję wzory. Bądź gotów, żeby się dostroić.

– Ten tutaj będzie gotów, nie zrób błędu, człowieku Galeono.

Dotykając klatki piersiowej Tolosa, wiedźma zaczęła rysować wzory. Namalowała pierwszą serię koncentrycznych okręgów, po czym w środku największego umieściła pentagram. Następnie namalowała szkarłatem znaki przywołania i symbole ochronne, które miały ustrzec ją, a nawet Xazaxa, przed mocą zaklęcia. Wkrótce Galeona skończyła przygotowania. Popatrzyła na swojego demonicznego towarzysza.

– Ten tutaj jest gotów, jak obiecał - usłyszała odpowiedź na swe milczące pytanie.

Modliszka zbliżyła się i jej podobne do kos ramiona dotknęły środka głównego wzoru Galeony. Dźwięk, który ranił uszy czarodziejki, buchnął z paszczy Xazaxa, demon przemawiał w swym nieludzkim języku. Dziękowała wszelakim bogom, że zaklęcia ochronne nie pozwalały nikomu z zewnątrz usłyszeć przeklętego głosu demona.

Namiot zaczął się trząść. W środku rozszalał się wiatr, który targał czarnymi włosami Galeony. Światło lampy zamigotało i zgasło, a namiot rozświetliła wilgotna, trująco zielona aura, której źródło stanowiła skrwawiona pierś żołnierza.

Xazax wciąż mruczał w swoim demonicznym języku, kreśląc nowe wzory wewnątrz szkarłatnego rysunku. Galeona poczuła, że przybywają siły natury i piekieł w połączeniu niemożliwym w prawdziwym świecie.

Wyciągnęła rękę i dodała swoje rysunki do wzorów kreślonych przez demona. Teraz wewnątrz namiotu wypełniało trzaskanie energii zarazem ścierającej się i łączącej.

– Wymów słowa, człowieku - rozkazał Xazax. - Mów, zanim pochłonie nas nasze własne dzieło...

Starożytne inkantacje spłynęły z jej ust. Każde słowo sprawiało, że jej krew stawała w płomieniach, a żyły na ciele jej towarzysza płonęły jaśniej i jaśniej. Czarodziejka przemówiła szybko, wiedząc, że chwila wahania wystarczy, by obawy Xazaxa się ziściły.

Ponad ciałem kapitana Tolosa pojawił się kształt przypominający ropuchę w kolorze pleśni. Walczył, skręcał się, próbował krzyknąć nie do końca uformowanymi ustami.

– *Dajcie... mi... sssspocząć!* – żądał.

Powykręcane bardziej niż jakikolwiek demon, groteskowe stworzenie usiłowało dosięgnąć najpierw Galeony, a potem Xazaxa. Jednak namalowane przez wiedźmę znaki ochronne iskrzyły błękitem w miejscach, gdzie istota usiłowała ich dotknąć. Iskry sprawiały potworowi ból. Wreszcie, sfrustrowany, zwinął się, otulając długimi pazurzastymi ramionami, jakby usiłował skulić się jak najbardziej, by zupełnie zniknąć.

– Musisz być nam powolnym - powiedziała Galeona do uwięzionego stwora.

– *Muszę... odpocząć!*

– Nie możesz, dopóki nie wykonasz zadania, jakie dla ciebie mamy!

Koszmarne ślepie, wiszące luźno, a zarazem w jakiś sposób ludzkie spojrzały na nią z nieukrywaną wrogością.

– *Dobrze... przynajmniej na razie. Czego... chcecie... ode mnie?*

– Żadna magia nie mami ci oczu, żadne przeszkody nie zasłaniają ci wzroku. Zobacz dla nas to, czego szukamy, i powiedz, gdzie to się znajduje.

Koszmar nad stygnącym ciałem Tolosa zadrżał, zadygotał. Zarówno Xazax, jak i Galeona z początku cofnęli się, dopóki nie zrozumieli, że istota śmiała się z ich żądania.

– *To... wszystko? Dlatego... jestem torturowany... zmuszony do przebudzenia... a nawet... zmuszony, by pamiętać?*

Wiedźma, odzyskawszy po części rezon, skinęła głową.

– Zrób to, a pozwolimy ci zasnąć ponownie.

Oczy potwornej istoty wbiły się w demona.

– *Pokaż mi... czego... szukasz.*

Modliszka zakreśliła małe kółko pośrodku wzoru. Pomarańczowa mgiełka wypełniła obszar, w którym unosił się uwięziony stwór. Wpatrywał się w mgłę i widział to, czego nie mogła dostrzec nawet Galeona.

– *Coraz wyraźniej widzę... czego szukasz. To będzie wymagać... ceny.*

– Zapłaty - wtrącił się Xazax. - Której już spróbowałeś.

Ich więzień spojrział w dół, na leżące ciało.

– *Zgoda.*

A wtedy... moc uderzyła w umysł Galeony z taką siłą, że czarodziejka upadła na poduszki.



*Płynęła statkiem o wątpliwych możliwościach i reputacji. Walczył ze sztormem, który nie do końca był dziełem natury. Żywioł podarł część żagli, lecz łajba wciąż płynęła.*

*Ku swojemu zdziwieniu Galeona nie widziała na pokładzie żadnej załogi, jakby okręt nawiedzały tylko duchy. Jednak coś skłoniło ją, aby spojrzeć pod pokład. Nie musiała nawet ruszać nogami, by znaleźć się w innym miejscu, przed drzwiami do kajuty. Galeona uniosła przezroczystą dłoń, próbując otworzyć drzwi.*

*Przeniknęła przez nie na podobieństwo widma, które według niej nawiedzały statek, i znalazła się w kabinie. Jednak samotny lokator tej parodii pokoju w żaden sposób nie przypominał upiora. Z bliska wyglądał nawet lepiej, niż Galeona się spodziewała. Żołnierz w każdym calu. Mężczyzna w każdym calu.*

*Wiedźma próbowała dotknąć jego twarzy, ale dłoń przeniknęła przez skórę. Tamten jednak poruszył się lekko i prawie uśmiechnął. Galeona obrzuciła wzrokiem resztę ciała nieznanego, nie umknęło jej, że zbroja Bartuka dobrze na nim leży.*

*Naraz jej uwagę zwrócił kryjący się w kącie cień, cień, który budził znajome uczucia. Xazax.*

*Wiedząc, że musi postępować ostrożnie, Galeona skupiła się na tym, czego szukali wspólnie z demonem. Jeszcze raz poruszając dłonią, jakby gładząc wojownika po policzku, wiedźma zamruczała:*

*– Kim jesteś?*

*Poruszył się lekko, jakby zakłócono mu odpoczynek.*

*– Kim jesteś? - spytała ponownie.*

*Tym razem jego usta otwarły się i wymamrotał:*

*– Norrek.*

*Uśmiechnęła się tryumfująco.*

– *Na jakim statku płyniesz?*

– *„Ognisssty Jassstrzqb”.*

– *Dokąd płyniesz?*

*Zaczął się obracać. Skrzywił się i sprawiał wrażenie, że nie chce odpowiedzieć, nawet w śnie.*

*Zdecydowana, aby uzyskać odpowiedź na to najważniejsze z pytań, Galeona zadała je ponownie.*

*I znów nie otrzymała odpowiedzi.*

*Wiedźma podniosła wzrok, zobaczyła, że cień Xazaxa stał się bardziej wyraźny.*

*Nie wierzyła, by demon mógł ją zastąpić. Tak naprawdę jego obecność znacznie zwiększała ryzyko.*

*Czarodziejka znów skupiła się na Norreku, pochyliła się nad nim i przemówiła najbardziej kuszącym tonem, jaki zwykle rezerwowała tylko dla Augustusa:*

– *Powiedz, mój dzielny, przystojny wojowniku... powiedz Galeonie, dokąd płyniesz...*

*Rozchylił usta.*

– *Lut...*

*W tej chwili cień demona padł na jego twarz. Oczy Norreka otworzyły się gwałtownie.*

– *Na wszystkie świętości...*



*Galeona na powrót znalazła się w namiocie z oczami wbitymi w sufit i ciałem pokrytym zimnym potem.*

– *Ty imbecylny! - wrzasnęła, wstając. - Coś ty sobie wyobrażał?*



Żuwaczki Xazaxa otwarły się i zamknęły.

– Wyobrażał sobie, że ten tutaj uzyska odpowiedzi szybciej niż rozproszona ludzka samica.

– Są lepsze sposoby na wyjawianie tajemnic niż strach! Jeszcze kilka chwil i wiedzielibyśmy wszystko, co było nam potrzebne! - Zastanowiła się. - Może nie jest jeszcze za późno! Jeśli...

Zawahała się, popatrzyła na zwłoki Tolosa... a raczej na miejsce, gdzie *kiedyś* leżały.

Ciało, a nawet krew plamiąca dywan zniknęły bez śladu.

– Ten ze snu zabrał swoją nagrodę - odparł Xazax. - Kapitan Tolos będzie straszliwie cierpieł po śmierci...

– On nie ma znaczenia! Musimy przywołać Śniącego z powrotem.

Na to piekielna modliszka przekręciła głowę do tyłu i do przodu, co miało być odpowiednikiem przeczenia.

– Ten tutaj nie będzie wzywał Śniącego w jego domenę. To królestwo znajduje się nawet poza Niebem czy Piekłem. Tutaj możemy mu rozkazywać, ale wystarczy, że zerwiemy połączenie, a Śniący weźmie to, co doń należy. - Demon podszedł bliżej. - Czy sądzisz, że twój generał będzie miał jeszcze jedną duszę na zbyciu?

Galeona zignorowała tę sugestię, zastanawiając się, co powie Malevolynowi. Znała imię mężczyzny i nazwę statku, ale jaki był z tego pożytek? Statek mógł płynąć w dowolnym kierunku! Gdybyż tylko udało jej się wydobyć informację o celu podróży, zanim demon wszystko zepsuł! Gdyby tylko...

– Powiedział „Lut”... - szepnęła wiedźma. - To musi być to!

– Co masz na myśli?

– Lut Gholein, Xazaxie! Nasz głupiec płynie do Lut Gholein! - Jej oczy rozszerzyły się z zadowolenia. - Zbliża się do nas, tak jak

przepowiedziałam na początku!

Ogromne żółte oczy rozbłysły.

– Jesteś tego pewna?

– Jak najbardziej! - Galeona roześmiała się gardłowo, w sposób, który poruszyłby niejednego mężczyznę, ale na demonie nie zrobił najmniejszego wrażenia. - Muszę natychmiast powiedzieć o tym Augustusowi! To utrzyma go w ryzach na jakiś czas! - Zastanowiła się jeszcze. - Może wreszcie uda mi się go przekonać, aby przekroczyć granicę pustyni. Chce Lut Gholein. Teraz będzie miał jeszcze jeden powód, aby je zdobyć!

Xazax rzucił jej spojrzenie, które w przypadku modliszki miało wyrażać zaskoczenie.

– Ale jeśli człowiek Malevolyn rzuci swoich ludzi na Lut Gholein, z pewnością przegra... Aaa! Ten tutaj rozumie! Jak sprytnie!

– Nie wiem, o co ci chodzi... i nie mam czasu kłócić się z tobą! Muszę powiedzieć Augustusowi, że zbroja płynie w naszą stronę, tak jakbyśmy ją sami wezwali.

Wyszła z namiotu, pozostawiając demona samemu sobie. Xazax popatrzył na miejsce, gdzie leżało ciało nieszczęsnego oficera, a potem na klapy namiotu, kołyszące się po wyjściu czarodziejki.

– Zbroja płynie w naszą stronę, tak - zaklekotał, chowając się w cień. - Ciekawe, co pomyślałby o tobie generał... gdyby zbroja nie dotarła do Lut Gholein.



Norrek otworzył oczy.

– Na wszystkie świętości...

Przerwał, jedną nogą już za koją. Choć jego lampa zgasła, Norrek widział na tyle dobrze, by nie mieć wątpliwości, że jest jedyną osobą w kajucie. Pochylająca się nad nim kobieta - takiego widoku na pewno prędko nie zapomni - z pewnością była tylko snem. Weteran nie mógł powiedzieć, co robiła, wiedział tylko, że chciała z nim porozmawiać.

„Piękna kobieta, która chce z tobą jedynie porozmawiać, niewątpliwie próbuje dobrać się do twojej sakiewki” - powiedział kiedyś Fauztin Sadunowi, gdy ten chwilę wcześniej omal nie stracił ostatniej wypłaty na rzecz jakiejś złodziejki. Ale jaką szkodę mogła przynieść Norrekowi rozmowa z kobietą ze snu, szczególnie gdy wzięło się pod uwagę fatalną sytuację, w której już się znajdował?

Żałował, że się obudził. Być może gdyby sen trwał dalej, stałby się nawet bardziej ekscytujący. Na pewno byłaby to jakaś odmiana po ostatnich koszmarach.

Na myśl o koszmarach Norrek spróbował sobie przypomnieć, co właściwie go obudziło. Nie kobieta. Niedobre przeczucie? Nie, to też właściwie nie. Raczej uczucie, że zbliża się coś strasznego, nawet wtedy, gdy pochyłała się nad nim śniada kusicielka...

Gwałtowny przechylł „Ognistego Jastrzębia” wyrzucił Norreka z koi. Żołnierz poleciał na drzwi kajuty, które w tej samej chwili otworzyły się na oścież.

Sam Norrek nie zdążyłby zareagować dostatecznie szybko, ale opancerzona dłoń bez udziału jego woli wystrzeliła do przodu, chwytając framugę i tym samym ratując bezradnego żołnierza przed śmiercią w falach ryczących za burtą. Norrek podciągnął się w bezpieczne miejsce i wstał. Ręce znów należały tylko do niego.

Czy kapitan Casco nie panował nad swoją załogą? Jeśli nie będą ostrożni, skończy się tak, że oddadzą „Ognistego Jastrzębia” na pastwę

wiatru i fal, a te rozerwą okręt na strzępy!

Z wysiłkiem ruszył w stronę dziobu. Nic nie słyszał przez ryk fal i nieustające grzmoty, ale z pewnością Casco beszta już marynarzy za nierozwagę. Z pewnością kapitan zadba, żeby jego załoga...

Na pokładzie „Ognistego Jastrzębia” nie było żywej duszy.

Norrek nie wierzył własnym oczom. Ktoś unieruchomił koło sterowe w jednej pozycji przy użyciu mocnej liny, więc nie kręciło się bezładnie. Ale to tyle. Nikt nie kontrolował tego, co działo się na statku. Kilka lin utrzymujących żagle już się zerwało i miotano wściekle na wietrze. Jeden z żagli był rozdarty i jeśli ktoś czegoś z tym nie zrobi, dziura niewątpliwie się powiększy.

Załoga musiała być pod pokładem. Nikt nie byłby na tyle szalony, aby podczas takiej burzy opuścić sprawny statek, nawet taką krypkę jak „Ognisty Jastrząb”. Casco na pewno zwołał ich do mesy, aby przedyskutować podjęcie jakichś drastycznych kroków. Niewątpliwie musiało to być...

Szalupa, która wisiała nieopodal miejsca, gdzie stał, zniknęła.

Norrek przechylił się przez burtę i zobaczył liny, swobodnie uderzające o kadłub. Nie wydarzył się żaden wypadek. Ktoś spuścił łódź na wodę.

Przebiegł od burty do burty, ale potwierdziły jego się najgorsze obawy. Załoga *porzuciła* „Ognistego Jastrzębia”, pozostawiając statek i Norreka na łasce sztormu...

Tylko dlaczego?

Niewątpliwie znał odpowiedź na to pytanie.

Przypomniawszy sobie twarze załogi po tym, jak zbroja przyzywała demony, aby naprawiły maszt. Strach i przerażenie - skierowane nie przeciwko zbroi, ale człowiekowi, który ją nosił. Załoga obawiała się mocy posiadanej, jak wierzyli żeglarze, przez Norreka. Od początku podróży

wystarczyło, by pojawił się w mesie, a już czuli niepokój. Wiedzieli, że nie jest zwykłym pasażerem, a zajście z masztem potwierdziło ich obawy.

Ignorując deszcz i wiatr, Norrek jeszcze raz podszedł do burty, próbując dostrzec jakikolwiek ślad załogi. Niestety, musieli uciec kilka godzin temu, korzystając z jego wyczerpania po przyzwaniu demonów. Nieważne, że najprawdopodobniej skazali się na śmierć we wzburzonych falach - marynarze bardziej dbali o swoje nieśmiertelne dusze niż o śmiertelne ciała.

Co teraz zostało Norrekowi? Co mógł teraz zrobić? Jak miałby kierować „Ognistym Jastrzębiem” samemu i jeszcze trafić do Lut Gholein?

Coś trzasnęło dokładnie za jego plecami i wojownik szybko się odwrócił.

Spod pokładu wynurzył się kapitan Casco. Sprawiał wrażenie wyjątkowo zmęczonego i niezbyt zadowolonego ze spotkania z Norrekiem. O ile wcześniej przypominał nieboszczyka, to teraz wyglądał już jak duch.

– Ty... - wymruczał. - Człowiek demonów...

Norrek podszedł do Casco i złapał go za ramiona.

– Co się stało? Gdzie załoga?

– Uciekli! - warknął kapitan, wyrrywając się z uścisku. - Lepiej utonąć, niż płynąć z władcą demonów!

Przeszedł obok Norreka.

– Zbyt wiele roboty! Odejdź!

Skonsternowany wojownik patrzył, jak Casco zaczął wzmacniać wiązanie lin. Cała załoga opuściła statek, ale kapitan nie tylko starał się utrzymać „Ognistego Jastrzębia” w całości, ale także na kursie.

Wydawało się to przedsięwzięciem zarówno szalonym, jak i pozbawionym sensu, ale Casco sprawiał wrażenie zdeterminowanego.

– Jak mogę ci pomóc? - zawołał Norrek, idąc za nim.

Przemoczony żeglarz obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

– Wskoczyć!

– Ale...

Casco zignorował go, przechodząc do następnej liny. Norrek zrobił krok za nim, po czym uświadomił sobie, że nadaremnie próbuje namówić kapitana, by go wysłuchał. Casco miał powód, aby bać się i nienawidzić weterana, a weteran nie mógł mieć o to pretensji. Z jego powodu Casco mógł stracić okręt i życie.

Błyskawica zajaśniała tak blisko, że Norrek musiał się odwrócić, aby nie oślepnąć. Zirytowany własną niemocą, ruszył pod pokład. Może z dala od sztormu będzie mu się łatwiej myślało.

W trzewiach „Ognistego Jastrzębia” wciąż świeciło kilka latarni, ale ich światło nie pomogło Norrekowi stłumić niepokoju, jaki wzbudzała otaczająca go pustka. Wszyscy prócz Casco opuścili statek, wybierając raczej pewną śmierć niż towarzystwo władcy demonów. Gdyby tylko sądzili, że mogą go zabić, nie zawahaliby się spróbować, ale demonstracja mocy zbroi upewniła ich, że nie dadzą rady.

Norrek zastanawiał się, jak długo jeszcze „Ognisty Jastrząb” wytrzyma, nim fale i wiatr rozniosą go w drzazgi.

Spojrzał na rękawice, stanowiące tę część zbroi, która najbardziej kojarzyła się Norrekowi z jego przekleństwem. Gdyby nie zbroja, nigdy nie znalazłby się w takiej sytuacji.

– No? - Norrek prawie splunął. - Co teraz zamierzasz? Będziemy pływać, jeśli statek zatonie?

Z początku pożałował, że w ogóle poczynił taką sugestię, w obawie, że zbroja zdecyduje się z niej skorzystać. Norrek wolał sobie nie wyobrażać, jak ciężki pancerz miałby utrzymać się na powierzchni. Dla niego, człowieka, który pływał po morzu tylko na krótkich trasach, utonięcie wydawało się najgorszą z możliwych śmierci. Dusić się, gdy woda

wypełnia płuca, a wokół zamykają się czarne fale... lepiej podciąć sobie gardło!

„Ognisty Jastrząb” zadygotał, tym razem tak gwałtownie, że cały kadłub jęknął rozdzierająco. Norrek spojrzał w górę, zastanawiając się, czy kapitan Casco stracił ostatecznie kontrolę nad statkiem.

Kadłubem znów zatrzęsło, deski zaczęły się wyginać. Żołnierz był pewny, że jego najgorsze obawy wkrótce się spełnią. Już czuł zamykające się nad nim odmęty.

Zdecydowany nie poddać się panice, Norrek ruszył po schodach na górę, starając się utrzymać na nogach.

Bez względu na to, co żeglarz sądził na ten temat, Norrek musiał mu jakoś pomóc odzyskać kontrolę nad „Ognistym Jastrzębiem”.

Usłyszał, jak Casco krzyczy w swoim ojczystym języku - brzmiało to niczym niekończąca się litania przekleństw. Norrek rozejrzał się.

Znalazł Casco... wraz z gigantycznym koszmarem wynurzającym się z morza.

Gargantuiczny stwór, który wydawał się składać z setki macek i jednej dużej czerwonej kuli, trzymał w uścisku rufę „Ognistego Jastrzębia”.

Potwór przypominał gigantyczną mątwę, która została odarta ze skóry i okręcona kawałkami drutu. Co gorsza, mniejsze macki miały zamiast przyssawek podobne pazurom zakończenia, które łapały i rwały każdy kawałek statku, jakiego mogły dosięgnąć. Odpadła już część burty i pokładu. Kilka macek i szponów wyciągało się do żagli. Kapitan Casco biegał, uchylając się przed jedną z macek i atakując pozostałe bosakiem. Odcięty fragment odnóży podskakiwał na pokładzie, chlapiąc dookoła ciemną krwią. Mimo niebezpieczeństwa marynarz starał się odpędzić morskiego potwora. Widok zarówno absurdalny, jak i przerażający: jeden człowiek starający się powstrzymać nieuniknione...

Jeszcze raz Norrek spojrział na rękawice i krzyknął:

– Zrób coś!

Zbroja nie zareagowała.

Skoro nic innego mu nie pozostało, Norrek rozejrzał się w poszukiwaniu broni. Chwycił drugi bosak i podbiegł do Casco.

Uczył to we właściwym momencie, para pazurzastych łap uniosła się za walczącym kapitanem i sięgała ku jego plecom. Jedna z nich zatopiła się w kościstym ramieniu, wyrywając z ust Casco krzyk.

Norrek zrobił użytek ze swojego bosaka, wbijając ostrze w potworną rękę i ciągnąc z całej siły.

Ku jego zaskoczeniu dłoń odpadła, uderzyła o pokład. Druga macka z pazurami zwróciła się do Norreka. I jeszcze dwie macki z przyssawkami sunęły ku niemu od prawej.

Zakręciwszy bosakiem, Norrek ugodził w jedną z macek, zmuszając ją do cofnięcia. Łapa strzeliła w jego stronę, szpony długie na palec usiłowały rozerwać mu twarz. Uderzył w nie bokiem kija, ale chybił.

Cóż to za potwór wychynął z morskich czeluści? Choć musiał przyznać, że niewiele wie o istotach żyjących w Bliźniaczych Morzach, Norrek Vizharan nie słyszał żadnej opowieści o stworze podobnym do tego piekielnego plugastwa. Wyglądał na istotę z okropnej opowieści, bestię, która zamieszkiwała wymiar demonicznych impów przyzywanych przez zbroję, a nie świat ludzi.

*Demony?* Czy ten potwór mógł być jakimś demonem? Czy to wyjaśniało, dlaczego zbroja nie reagowała? Nie wyjaśniało to wszystkiego, choć...

Ponad tuzin macek wystrzeliło z morza i z różnych stron zaatakowało Norreka i Casco. Bardziej doświadczony w wymachiwaniu bosakiem kapitan dowiódł, że nie jest z nim wcale tak źle, zwinnie rozcinając dwie



macki naraz. Norrek nie miał takiego szczęścia, gdyż udało mu się odepchnąć kilka z nich, ale żadnej nie zrobił krzywdy.

Coraz więcej odnóży przestawało niszczyć statek i kierowało się przeciwko jego obrońcom. Stworowi udało się wyrwać bosak z ręki Casco, i to z taką siłą, że kapitana zawiodła w końcu ranna noga i padł na pokład. Kilka macek z pazurami zawinęło się wokół niego, przyciągając w stronę gigantycznego monstrum.

Norrek pospieszyłby mu na pomoc, ale jego sytuacja była jeszcze gorsza. Macki owinęły się mu wokół nóg, potem pasa, zaś dwie inne wyrwały bosak z ręki. Żołnierz został uniesiony, pomimo zaczarowanej zbroi macki powoli wyciskały z niego dech.

Krzyknął, gdy pazury potwora rozdarły mu lewy policzek. Gdzieś poza zasięgiem jego wzroku Casco klął wściekle, choć śmierć otwierała już ramiona, by pochwycić obu mężczyzn.

Wężowy kształt owinał się wokół gardła Norreka. Zrozpaczony chwycił za mackę, świadom, że jego siła w żaden sposób nie wystarczy, by uwolnić się z uścisku stwora.

Rękawica rozbłysła jaskrawą czerwienią.

Macka natychmiast odwinęła się, ale rękawica nie zwolniła uchwytu. Druga dłoń Norreka, również świecąc na czerwono, chwyciła mackę oplatającą go w pasie.

Pozostałe kończyny potwora cofnęły się jedna po drugiej, poza tymi ścisiskanymi przez Norreka ponad pokładem „Ognistego Jastrzębia”. Sztorm rzucał wojownikami na wszystkie strony, ale zbroja Bartuka nie zamierzała zwolnić chwytu, nawet gdy bestia próbowała uwolnić macki. Żołnierz wył, ramiona bolały go tak, jakby zaraz miały zostać wyrwane.

– *Kosori nimth!* – wykrzyczały jego usta. - *Lazami... lazarai!*

W lewiatana uderzyła błyskawica.

Stwór zadygotał z bólu, niemal udało mu się wyrwać z uścisku Norreka. Ale rękawice nadal trzymały go mocno. Najwidoczniej zbroja jeszcze nie skończyła swego dzieła.

– *Kosori nimth!* – powtórzyły wargi żołnierza. - *Lazarai dekadas!*

Kolejna błyskawica uderzyła stwora wprost w jego *przerazające* oko. Piorun bez trudu wypalił ślepie, obryzgując Norreka i statek deszczem gorącego płynu.

– *Dekadas!*

Miejsca, gdzie palce Norreka dotykały macek, stały się szare. Wężowe ciało z zaskakującą prędkością zamieniało się w kamień.

Lewiatan zeszywniał, jego macki pozostały w takiej pozycji, w jakiej złapało je zakłęcie. Szary kolor rozprzestrzenił się od uchwytu żołnierza w dół macek, a potem zaczął się rozchodzić na wszystkie strony, w kilka sekund pokrywając ciało giganta i pozostałe jego kończyny.

– *Kosori nimth!* – wykrzyknął Norrek po raz trzeci i - jak podejrzewał - ostatni.

Błyskawica jaśniejsza niż pozostałe uderzyła wprost w zniszczone oko poszarzałego demona.

Potworny behemot rozpadł się na kawałki.

Rękawice zwolniły uchwyt na mackach i zwróciły Norrekowi władzę nad rękoma. Pozbawiony nagle punktu oparcia, przestraszony wojownik próbował chwycić jedną z macek, ale został mu w dłoni jedynie ukruszony kawałek.

Runął, mając tylko nadzieję, że umrze od uderzenia o twardy pokład, a nie we wzburzonej wodzie...

# OSIEM



– To dziwne - mruknął kapitan Jeronnan, patrząc w dal. - Wydaje mi się, że to szalupa.

Kara zmrużyła oczy, ale nic nie zobaczyła. Kapitan miał najwyraźniej fenomenalnie bystry wzrok.

– Czy ktoś w niej jest?

– Nikogo nie widzę, ale przyjrzymy się dokładniej. Nie zaryzykuję życia nawet jednego żeglarza tylko po to, aby zaoszczędzić kilka minut... Mam nadzieję, że wiesz, co mam na myśli, panienko.

– Oczywiście! - I tak była wdzięczna, że Jeronnan w ogóle zorganizował tę podróż. Oddał swój statek i załogę do dyspozycji Kary, a tego nekromantka nie spodziewałaby się po nikim. W zamian przyjął tylko taką zapłatę, która pokrywała niezbędne wydatki. Za każdym razem, gdy dziewczyna próbowała nalegać, twarz kapitana przybierała ponury wyraz, ostrzegając czarnowłosą nekromantkę, że nie wolno jej deptać pamięci córki byłego oficera floty.

Dopiero po dwóch dniach na morzu nekromantka zdała sobie sprawę, że rzeczywiście bardzo potrzebował tej wyprawy, równie mocno jak Kara. Jeśli wcześniej karczmarz wydawał się zwawy, teraz wręcz tryskał energią. Nawet chmury na zachodzie nie były w stanie popsuć mu humoru.

– Panie Drayko! - Na okrzyk Jeronnana zwinny mężczyzna o jastrzębich rysach, w stroju oficerskim jak spod igły, odwrócił się i zasalutował.

Drayko wcale nie wydawał się rozzłoszczony, gdy Jeronnan ogłosił, że przejmuje dowodzenie na statku. Z pewnością pierwszy oficer żywił wobec karczmarza wielki szacunek i oddanie.

– Szalupa przed nami!

– Tak jest, kapitanie! - Drayko natychmiast wydał rozkazy, by marynarze przygotowali się do przyjęcia rozbitków. Załoga

„Królewskiej Tarczy” działała szybko i sprawnie, ale do tego Kara Nocny Cień już zdążyła się przyzwyczaić. Ci, którzy służyli pod Jeronnaniem, wiedzieli, że to człowiek, który przeżył większość życia zgodnie ze sztywnymi wymogami swego zawodu. Nie znaczyło to jednak, że rządził żelazną ręką. Jeronnan traktował swoich podwładnych po ludzku, a to wśród dowódców było rzadkością.

Gdy „Królewska Tarcza” podpłynęła do samotnej łodzi, dwaj marynarze natychmiast przygotowali liny, aby ją pochwycić. Jeronnan i Kara podeszli, aby obserwować ich działania. Odkrycie szalupy napełniło Karę niepokojem. Płynęli zapewne tym samym szlakiem co „Ognisty Jastrząb” - czy szalupa mogła być z tego statku? Czy misja Kary już się zakończyła, a cel jej poszukiwań znajduje się na dnie morza?

– Ktoś tam jest - mruknął kapitan Jeronnan. Rzeczywiście, na dnie łodzi leżał marynarz. Jednak gdy załoga starała się pochwycić szalupę, Kara już wiedziała, że dla tego człowieka pomoc przybyła za późno. Pan Drayko wysłał dwóch ludzi, aby sprawdzili, co z rozbitkiem. Ześlizgnąwszy się po linach, ostrożnie odwrócili leżącego twarzą w dół nieszczęśnika.

Niewidzące oczy wbiły się w niebo.

– Martwy od wczoraj - ocenił jeden z marynarzy. Skrzywił się w grymasie. - Sir, proszę o zgodę na złożenie go na spoczynek.

Kara nie musiała pytać, co to znaczy. Tutaj niewiele można było zrobić z ciałem. Ceremonia... i pochówek w wodzie.

Jeronnan skinął przyzwalająco głową, ale Kara szybko położyła rękę na jego ramieniu.

– Muszę zobaczyć ciało... Być może czegoś się dowiemy.

– Myślisz, że pochodzi z „Ognistego Jastrzębia”?

– A ty nie, kapitanie?

Zmarszczył czoło.

– Owszem... ale co zamierzasz zrobić?

Nie ośmieliła się wyjaśnić mu dokładniej.

– Dowiedzieć, co się wydarzyło... jeśli zdołam.

– Dobrze zatem. - Jeronnan wydał marynarzom rozkaz, aby wciągnęli zwłoki na pokład. - Przygotuję dla ciebie kajutę, panienko! Nie chcę, żeby marynarze byli świadkami tego, co będziesz robić. Nie zrozumieliby.

W niedługim czasie przeniesiono zwłoki do kajuty wskazanej przez Jeronnana. Kara sądziła, że pozostanie z ciałem sama, ale kapitan nie chciał wyjść. Nawet gdy wyjaśniła dość szczegółowo, co zamierza zrobić, były karczmarz nie zamierzał opuszczać kabiny.

– Widziałem ludzi rozrywanych w bitwie, widziałem potwory, o których pewnieś nigdy nie słyszała, śmierć na setki sposobów... a po tym, co zdarzyło się mojej córce, postanowiłem, że nic już nigdy nie skłoni mnie do ucieczki. Będę się przyglądał, a nawet pomogę, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– W takim razie proszę, zamknij drzwi na skobel. Nie chcemy, aby ktoś jeszcze to zobaczył.

Gdy wykonał jej polecenie, Kara uklękła przy ciele. Marynarz był mężczyzną w średnim wieku, a życie nie obeszło się z nim najłagodniej. Przypomniawszy sobie to, co wiedziała o „Ognistym Jastrzębiu”,

nekromantka coraz bardziej była przekonana, że łódź rzeczywiście pochodziła z tego nieszczęsnego statku.

Człowiek, który przyniósł ciało, zamknął zmarłemu oczy, ale Kara je otworzyła.

– Na Morską Wiedźmę, co ty robisz, panienko?

– To, co trzeba. Kapitanie, nadal możesz wyjść, jeśli sobie życzysz. Nie musisz narażać się na oglądanie tego wszystkiego.

Wziął się w garść.

– Zostanę... Tylko mówią, że spojrzenie umarłego przynosi pecha.

– No, on niewątpliwie miał go niemało. - Sięgnęła do sakiewki, szukając komponentów. Bez sztyletu nie mogła przyzwać widma tak, jak uczyniła to w grobowcu Bartuka. Poza tym, gdyby to zrobiła, Jeronnan mógłby zmienić zdanie co do jej działań. Nie, to, co zamierzała, sprawdzi się równie dobrze, a nie rozgniewa kapitana.

Z mieszka Kara wyciągnęła szczyptę białego proszku.

– Co to?

– Sproszkowana kość zmieszana z ziołami. - Sięgnęła do twarzy martwego żeglarza.

– *Ludzka kość?*

– Tak.

Kapitan Jeronnan nie powiedział ani słowa, nie protestował, co nekromantka przyjęła z niekłamaną ulgą. Zatrzymała dłoń nad oczami, po czym posypała białą substancją niewidzące źrenice.

Jeronnan nadal milczał, dopiero gdy wyciągnęła małą czarną fiolkę i otworzyła trupowi usta, zdecydował się jej przerwać.

– Nie zamierzasz mu tego wlać do gardła, co, panienko?

Spojrzała na niego.

– Nie jest moim zamiarem zbeczczyć ciało tego biedaka, kapitanie. Robię to, aby się dowiedzieć, dlaczego ten człowiek zginął. Wygląda na odwodnionego, zagłodzonego, jakby nie jadł i nie pił przez tydzień. Bardzo dziwny stan, jeśli to rzeczywiście marynarz ze statku, który ścigamy. Sądzę, że tamten kapitan raczej karmi swoją załogę, prawda?

– Casco to szalony zagraniczny diabeł, ale tak, zadbałby o prowiant dla załogi.

– Tak też sądziłam. A jeśli ten biedak nie jest z „Ognistego Jastrzębia”, musimy się dowiedzieć, z jakiego statku *jest*, zgodzisz się ze mną?

– Racja, panienko... Wybacz mi.

– Nie ma czego wybaczzać. - Odkorkowała fiolkę, rozwarła szczękę żeglarza. Zaraz potem przechyliła naczynie tak, że połowa zawartości spłynęła wprost do gardła nieboszczyka. Po czym, zadowolona, zatkała fiolkę i schowała.

– Może chociaż powiesz mi, jak zamierzasz się czegoś dowiedzieć.

– Zobaczysz. - Mogła mu to wyjaśnić, ale Jeronnan nie zdawał sobie sprawy, jak szybko musiała teraz działać. Efekty połączenia płynu i proszku będą utrzymywały się jedynie przez krótki czas, a ona jeszcze nie zakończyła zaklęcia. Każda przeszkoda oznaczała utratę cennych sekund.

Kara nakreśliła palcem okrąg na piersi marynarza, po czym narysowała linię od okręgu do góry, przez gardło i szczękę aż do ust. Wyszepiała słowa zaklęcia. Wreszcie stuknęła zmarłego w pierś raz, dwa, trzy razy. Cały czas liczyła w duchu każdą mijającą sekundę.

Zmarły marynarz głośno wciągnął powietrze w płuca.

– Bogowie! - wykrzyknął Jeronnan, cofając się o krok. - Przywróciłaś go do życia!

– Nie - zaprzeczyła lakonicznie. Wiedziała, że kapitan weźmie efekty jej zaklęcia za zmartwychwstanie. Ludzie nigdy nie rozumieli wielu aspektów

działań nekromantów. Kapłani Rathmy nie igrali ze śmiercią, jak powszechnie wierzono, było to przeciwne ich naukom.

– A teraz, kapitanie Jeronnan, proszę pozwolić mi kontynuować.

Stęknął, ale nic nie powiedział. Kara pochyliła się nad marynarzem i zajrzała w jego martwe oczy. Emanował z nich lekki złoty blask. Dobry znak. Cofnęła się.

– Powiedz mi swoje imię.

Z zimnych ust wydobyło się tylko jedno słowo:

– *Kalkos*.

– Na jakim statku pływałeś?

Znów wdech, potem odpowiedź:

– „*Ognisssty Jassstrzqb*”.

– Więc on jednak *jest* z...

– Ani słowa, proszę! - I zwróciwszy się do trupa, zapytała: - Czy statek zatonął?

– *Nieeee...*

Zadziwiająca. Dlaczego więc ten mężczyzna zdecydował się opuścić okręt?

– Czy zaatakowali was piraci?

Znów przecząca odpowiedź.

Kara oceniła czas, jaki jej pozostał, i stwierdziła, że lepiej będzie zmierzać wprost do celu.

– Czy wszyscy opuścili statek?

– *Nieeee...*

– Kto został na pokładzie? - Nekromantka starała się, by w jej głosie nie było słycać niecierpliwości.

Trup jeszcze raz nabrał powietrza.



– *Casco... kapitan...* – Usta zamknęły się, co nie było do końca normalne. Zwłoki marynarza zdawały się niechętnie udzielać dalszych informacji, ale wreszcie szepnęły: - *Czarrrodziej...*

Czarodziej?

Ta odpowiedź zaskoczyła Karę. Spodziewała się usłyszeć coś o złodziejach, którzy ukradli zbroję, a biorąc pod uwagę rozpaczliwy czyn załogi, o parze upiorów, która ją zaatakowała. Obecność nieumarłych z pewnością zmusiłaby twardej marynarzy do ucieczki na groźne morze.

– Opisz go!

Usta otworzyły się, ale nie padło z nich żadne słowo.

Podobnie jak w przypadku zjaw, ten czar umożliwiał tylko uzyskanie najprostszycy odpowiedzi. Kara zaklęła cicho, po czym zmieniła pytanie.

– Co miał na sobie?

Wdech, a potem...

– *Zbroję...*

Zamarła.

– Zbroję? Czerwoną zbroję?

– *Taaak...*

Tego się nie spodziewała. Najwyraźniej jeden z tych, którzy wyszli żywi z grobowca, był czarodziejem. Czy to był ten Norrek Vizharan, o którym mówiła zjawa? Powtórzyła imię marynarzowi, pytając, czy je zna. Niestety, odpowiedź była przecząca.

Jednak Kara dowiedziała się niemało. Gdy Kalkos ostatni raz widział „Ognistego Jastrzębia”, statek nie tylko płynął, ale też miał na swoim pokładzie zbroję, której poszukiwała.

– Bez załogi - zwróciła się do milczącego Jeronnana - statek nie popłynie daleko, prawda?

– Raczej będzie pływał w kółko, skoro tylko ten czarodziej i kapitan pozostali na pokładzie. - Jeronnan zawahał się. - Nie masz więcej pytań?

Miała, ale na żadne trup by nie odpowiedział. Kara szczerze żałowała, że nie ma swojego sztyletu. Mogłaby przywołać prawdziwego ducha, który odpowiadałby dłuższymi, bardziej złożonymi zdaniami. Starsi, doświadczeni nekromanci potrafili tego dokonać bez narzędzi, ale Kara wiedziała, że upłynie jeszcze wiele lat, nim osiągnie taki poziom.

– A co z nim? - nalegał były oficer marynarki. - Co jemu się przytrafiło... i reszcie załogi, panienko? Dzień na wzburzonym morzu może zabić wielu ludzi, ale w wyglądzie tego człowieka jest coś niepokojącego...

Zawstydzona, że Jeronnan musiał jej o tym przypominać, Kara szybko pochyliła się nad ciałem.

– Gdzie są twoi towarzysze?

Brak odpowiedzi. Szybko dotknęła klatki piersiowej, poczuła, jak zapada się pod lekkim naciskiem jej palców.

Płyn, który był składnikiem czaru, już się zużył.

Czarodziejka miała tylko jedną szansę. Oczy martwego człowieka często zapamiętywały ostatnie obrazy, jakie widział przed śmiercią. Jeśli proszek, którym je posypała, zachował moc, Kara będzie mogła zobaczyć te obrazy na własne oczy.

Nie oglądając się na kapitana, powiedziała:

– Pod żadnym pozorem nie wolno mi teraz przeszkadzać. Zrozumiano?

– Tak... - odparł Jeronnan niechętnie.

Kara spojrzała wprost w martwe oczy i zaczęła mrużyć. Złoty blask w źrenicach marynarza przyciągał ją, pochłaniał. Nekromantka zwalczyła instynktowną chęć ucieczki ze świata umarłych, skupiając się bez reszty na rzucanym zaklęciu.



*I nagle Kara znalazła się na małej łodzi pośrodku wzburzonego morza, wiosłując z całej siły, jakby cała Mroczna Trójca ścigała tę śmieszoną łupinę. Nekromantka spojrzała w dół, zobaczyła, że jej ręce są twarde, szorstkie, ręce marynarza, ręce Kalkosa.*

*– Gdzie łódź Pietra? - zawołał do niej brodaty mężczyzna.*

*– Skąd mogę wiedzieć? - odparły jej usta głębokim, chrapliwym głosem. - Wiosłuj! Jeśli będziemy płynąć na wschód, mamy szansę! Ten piekielny sztorm musi się kiedyś skończyć!*

*– Powinniśmy zabrać ze sobą kapitana!*

*– Nigdy nie zostawiłby statku, nawet gdyby tonął! Jeśli chce płynąć z władcą demonów, niech płynie!*

*– Uważaj na falę! - krzyknął ktoś.*

*Głowa Kary zwróciła się w tamtą stronę, a z ust popłynął strumień plugawych określeń, jakich dziewczyna w życiu nie słyszała. W pewnej odległości zobaczyła dwie inne szalupy, każda z nich pełna była zdesperowanych ludzi.*

*Brodacz nagle wstał, co przy tych warunkach nie było najmądrzejszą decyzją. Wpatrywał się z otwartymi ustami w coś za jej plecami - za plecami Kalkosa - i dziko dźgał powietrze palcem.*

*– Uważaj! Uważaj!*

*Spojrzenie Kalkosa przesunęło się, o ile mogło. Marynarz dalej napierał na wiosła. Kątem oka dostrzegł wynurzający się potężny, węzowy kształt.*

*– Zawracać! Zawracać! – zawołał Kalkos. – Siadaj, Bragga!*

*Brodacz opadł na swoje miejsce. Ludzie przy wiosłach rozpaczliwie starali się zawrócić łódź.*

Ponad rykiem fal i grzmotami gromów Kara usłyszała wrzaski. Przez Kalkosa, który spojrzał w tamtą stronę, nekromantka również ujrzała koszmarny widok: kilka wijących się odnóży pochwyciło jedną z szalup. Niektórych złapały macki z przyssawkami, innych te przypominające ręce zakończone przerażającymi szponami - wyrywały marynarzy z łodzi niczym kwiatki z grządk.

Kara wiedziała, że marynarze zostaną wrzuceni do straszego otworu, który pojawił się pośrodku ogromnego kształtu, istoty przypominającej gigantyczną mątwe, z jednym wielkim okiem i ohydą skórą. Stworzenie z pewnością nie było mieszkańcem tego świata. Trzymało ludzi w powietrzu, pazurzastymi kończynami przystawiało zdobycz do przyssawek. Ofiary wrzeszczały, rozpaczliwie błagając swych kamratów w szalupach o pomoc.

– Wiosłować, przekłęci! - ryczał Kalkos. - Wiosłować!

– Mówiłem ci, że nas nie wypuści! Mówiłem!

– Cicho bądź, Bragga! Cicho...

Potężna fala przewaliła się przez łódkę, wyrzucając krzyżącego marynarza za burtę. Wokół szalupy wynurzył się wieniec macek, otoczył Kalkosa i jego towarzyszy i łakomie wyciągnął się w ich stronę.

– Do broni! To jedyny...

Choć żeglarzom udało się obronić przed kilkoma atakami demonicznych kończyn, to wkrótce jeden po drugim zostali porwani z szalupy wśród wrzasków, aż pozostał tylko Kalkos i tylko jedno wiosło do walki...

Gdy mokre macki owinęły się wokół nóg i chwyciły ją za ramiona, Kara poczuła chłód. Ssawki przyczepiły się do jej ciała... nie! To wszystko już się wydarzyło! To przytrafiło się Kalkosowi, nie jej!

Mimo że tego świadoma, przeżyła koszmar, który stał się udziałem marynarza. Kalkos słabł, jakby esencja życia była wysysana z jego ciała.

*Jego skóra zmarszczyła się i wysuszyła mimo wilgoci dookoła. Czuł się jak opróżniany powoli bukłak...*

*Nagle, gdy wydawało się, że całe życie zostało z niego wypite, a ciało zdawało się tylko suchą skorupą, macki wrzuciły Kalkosa z powrotem do łodzi. Marynarz wiedział, że nie przeżyje, wolał jednak spędzić ostatnie chwile na pokładzie szalupy, niż skończyć w gardle piekielnej bestii.*

*Gdy pazury zanurzyły się w jego ramieniu i uniosły go do pionu, ocknął się na tyle, by dotarło doń, że w łodzi znajduje się ktoś jeszcze.*

*Nie, nie ktoś, ale coś.*

*Odezwało się, a głosem przypominało buczenie tysiąca umierających insektów - choć Kara usiłowała przyjrzeć się tej istocie jak najdokładniej, oczy Kalkosa nie widziały już dobrze. Nekromantka mogła tylko uchwycić przerażający, szmaragdowo-szkarłatny kształt górujący nad konającym marynarzem, kształt, który nie pasował do żadnych ludzkich norm. Przerośnięte, intensywnie żółte oczy, najwyraźniej pozbawione źrenic, skupiły się na nieszczęsnym Kalkosie.*

*– Nie dla ciebie jeszcze rozkosz śmierci - zaskrzeczał stwór. - Ten tutaj najpierw musi wiedzieć! Gdzie jest głupiec?! Gdzie jest zbroja?!*

*– Ja... - Marynarz zakaszłał, jakby gardło miał suche. - Co...?*

*Nieludzki stwór potrząsnął umierającym. Para ostro zakończonych włóczni pojawiła się znikąd, naciskając na pierś Kalkosa.*

*– Ten tutaj nie ma czasu, człowieka. Zdoła zadać wiele bólu, nim życie z ciebie wypłynie. Mów!*

*Gdzieś w swoim wnętrzu Kalkos znalazł siły, by być posłusznym.*

*– O-obcy... w zbroi... krwi... wciąż... na „Ognistym Jastrzębiu”.*

*– Gdzie to?*

*Marynarz zdołał wskazać kierunek.*

*Demon, bo Kara nie wątpiła, że tym właśnie była istota, zaświergotał do siebie, po czym zapytał:*

*– Czemu ucieka?*

*– On... demony na statku.*

*Ponura istota wydała z siebie dźwięk, którego Kara nie spodziewała się usłyszeć od kogoś z jego gatunku. Dźwięk, który, co natychmiast zrozumiała, był oznaką zdumienia i konsternacji.*

*– Niemożliwe! Kłamiesz!*

*Marynarz nie odpowiedział. Kara czuła, że odpłynął. Ostatnia próba odpowiedzi na pytania potwora wycisnęła z niego resztki życia.*

*Niewyraźna istota upuściła Kalkosa, impuls bólu przeszył nekromantkę, gdy ciało upadło. Znów słyszała świergotanie demona, ale niczym splunięcie wyrzucił z siebie jedno zrozumiałe słowo.*

*– Niemożliwe!*

*Kara spoglądała na wnętrze łodzi i drgające konwulsyjnie palce marynarza - a potem wizja zbladła.*

*Biorąc głęboki wdech, nekromantka skoncentrowała się, wciąż wpatrzona ze skupieniem w oczy trupa.*

*Czuła obecność kapitana Jeronnana. Były oficer położył ręce na jej ramionach.*

*– Wszystko w porządku?*

*– Jak długo? - szepnęła nekromantka. - Jak długo?*

*– Od kiedy zaczęłaś robić, co robiłaś? Minuta, może dwie.*

*Chwila zaledwie w rzeczywistym świecie, a tak długo w okrutnych wspomnieniach zmarłego. Nekromantka rzucała już wcześniej ten czar, ale nigdy nie spotkała się ze śmiercią tak potworną, jak ta, która stała się udziałem Kalkosa.*

„Ognisty Jastrząb” wyprzedzał „Królewską Tarczę” o dzień lub dwa - na pokładzie nie pozostał nikt z załogi, poza kapitanem i tym czarodziejem, Norrekiem Vizharanem. To nazwisko powinno być dla Kary ostrzeżeniem: „sługa Vizjerei”?

Raczej jeden z tych niewartych zaufania magów we własnej osobie! Miał broń, miał nawet czelność ją założyć! Czyżby nie rozumiał, jakie to niebezpieczne?

Bez pomocy załogi nawet on będzie miał kłopoty z utrzymaniem statku na kursie. Kara wciąż mogła go dogonić, o ile wcześniej nie uczynią tego upiory albo demony, które widziała oczami Kalkosa.

– I co? - zapytał Jeronnan, pomagając jej wstać. - Dowiedziałaś się czegoś?

– Niewiele - skłamała, mając nadzieję, że oczy jej nie zdradzą. - Nic o jego śmierci. Jednak „Ognisty Jastrząb” dalej płynie, z kapitanem i moim celem na pokładzie.

– Więc wkrótce powinniśmy ich dogonić. Dwóch ludzi niewiele może zrobić, by taki statek wciąż płynął.

– Jest o jakieś dwa dni przed nami, nie więcej.

Jeronnan skinął głową, po czym spojrzał na ciało.

– Skończyłaś z nim, panienko?

Nie pozwoliła sobie, by zadrzeć na wspomnienie ostatnich chwil Kalkosa.

– Tak. Sprawcie mu należyty pochówek.

– Tak uczynimy... a potem ruszymy za „Ognistym Jastrzębiem”.

Gdy wyszedł z kajuty, aby zawołać kogoś do pomocy, Kara Nocny Cień otuliła się swoim płaszczem.

Choć jej wzrok wciąż skierowany był na zwłoki, umysł krążył wokół tego, na co się właśnie skazała, siebie i wszystkich innych ludzi na

pokładzie „Królewskiej Tarczy”.

– To trzeba zrobić - mruknęła nekromantka. - Trzeba go złapać, a zbroję ponownie ukryć. Nieważne, za jaką cenę... nieważne, ile tam czeka *demonów*.



– Xazax!

Galeona odczekała chwilę, ale demon nie odpowiedział. Rozejrzała się, szukając wysokiego cienia.

Czasami Xazax bawił się z nią, a zabawy te zawsze miały jakiś paskudny cel. Czarodziejka nie miała czasu na igraszki, zwłaszcza takie, które okazywały się śmiertelne w skutkach.

– Xazax!

Wciąż żadnej odpowiedzi. Pstryknęła palcami: płomień lampy rozgorzał jaśniej, ale nadal nie było widać cienia demona.

Galeona nie dbała o to. Xazax w namiocie, to rozumiała. Xazax gdziekolwiek indziej oznaczał kłopoty. Czasem modliszka zapominała, kto pomaga jej w tajemnicy przemierzać świat ludzi.

Nieważne. Galeona miała wiele do zrobienia. Zwróciła płomienne spojrzenie ku dużej skrzyni w kącie namiotu. Skrzynia, wykonana z żelaza i dębu i stojąca na czterech stylizowanych na lwie łapy nogach, wydawała się na tyle ciężka, że dwóch żołnierzy z trudem mogłoby ją przenieść. Jednak tak jak nie miała czasu szukać demona, Galeona nie miała też czasu na szukanie rąk do pomocy, zwłaszcza że wszyscy byli zajęci zwijaniem obozowiska. Nie, w tym przypadku musiała poradzić sobie sama.

– Chodź!



Dolne rogi skrzyni zabłyśły. Metalowe nogi obróciły się, lwie łapy rozciągnęły i rozprostowały.

Skrzynia ruszyła.

Wielki kufer podszedł do Galeony niczym pies przywołany przez swoją panią. Gdy od wiedzy dzieliło go zaledwie kilka cali, zatrzymał się, czekając na dalsze rozkazy.

– Otwórz się!

Wieko podniosło się z głośnym skrzypieniem.

Ukontentowana Galeona podłożyła dłonie pod jeden z wielu okazów w swojej kolekcji. Okaz odczepił się i wpadł miękko w jej nadstawione ręce. Czarodziejka ułożyła go w skrzyni i powtórzyła czynności z kolejnym.

Układała przedmioty jeden po drugim. Niezależnie jednak od tego, ile rzeczy Galeona zapakowała do kufra, ten nigdy nie był do końca pełen. Wiedźma zawsze znajdowała miejsce na następny przedmiot i następny...

Kiedy kończyła pakowanie, poczuła lekki chłód na plecach. Odwróciła się i po krótkim poszukiwaniu znalazła cień, którego wcześniej nie było w namiocie.

– Nareszcie wróciłeś! Gdzieś ty był?

Z początku demon nie odpowiadał, jego cień wsiąkał głębiej w załamania płachty.

– Augustus nakazał zwijać obóz. Chce wyruszyć natychmiast, bez znaczenia dzień czy noc.

Xazax wciąż nie odpowiadał. Galeona ucichła - nie podobało jej się to milczenie. Modliszka zwykle paplała nieustannie, niezdolna powstrzymać języka.

– Co się stało? Co się z tobą dzieje?

– Gdzie chce iść generał? - zapytał nagle cień.

– Musisz pytać? Do Lut Gholein oczywiście.

Demon zdawał się rozważać tę wieść.

– Tak, ten tutaj pójdzie do Lut Gholein. Tak... tak będzie najlepiej...

Galeona postąpiła krok bliżej cienia.

– Co się z tobą dzieje? Gdzie byłeś?

Kiedy nie odpowiedział, wiedźma podeszła do rogu namiotu coraz bardziej rozżłoszczona.

– Odpowiadaj albo...

– *Precz!*

Demon wypadł z mroku, jego potworna sylwetka górowała nad człowiekiem. Galeona cofnęła się, potknęła i upadła na poduszki wciąż leżące na podłodze.

Śmierć pod postacią piekielnego owada z płonącymi, żółtymi oczyma i gwałtownie szczękającymi żuwaczkami unosiła się nad nią wściekła. Podobne do kos odnóża zbliżyły się na odległość cala do twarzy Galeony.

– Przestań gadać i trzymaj się z dala od tego tutaj! Lut Gholein jest celem jak uzgodnione! Nie będziemy mówić, dopóki ten tutaj nie zdecyduje inaczej!

Potem... Xazax cofnął się w ciemny kąt, jego fizyczna forma zbladła, a cień stał się mniej wyraźny. Po kilku sekundach jedynym znakiem jego obecności był kawałek potwornego kształtu pośród załamań tkaniny.

Jednak Galeona nie ruszyła się z miejsca, gdzie leżała, dopóki nie była absolutnie pewna, że modliszka ponownie się na nią nie rzuci. Kiedy wreszcie czarodziejka wstała, pilnowała, by znaleźć się w stosownej odległości od miejsca, gdzie krył się cień. Uniknęła śmierci o włos, długiej bolesnej agonii.

Xazax nie wydał żadnego dźwięku ani się nie poruszył. Galeona nie pamiętała, czy kiedykolwiek widziała, aby ten przerażający demon zachowywał się w taki sposób. Mimo paktu, jaki zawarli, był gotów ją

zabić, gdyby nie usłuchała go natychmiast - przyrzekła sobie nigdy o tym nie zapominać. Pakt, którego żadna ze stron nie powinna być w stanie złamać, stanowił jedyny powód, że jeszcze tolerowali się nawzajem. Jeśli Xazax był gotów zerwać pakt, nie bacząc na skutki, i pozbyć się Galeony, to w jak najlepszym interesie wiedźmy leżało pozbycie się demona wcześniej. Oznaczało to, że będzie musiała wybrać między generałem a tym głupcem w zbroi. Przynajmniej nad mężczyznami zawsze potrafiła panować.

Czarodziejka podjęła pakowanie namiotu, ale jej myśli wracały do zachowania demona. Poza niebezpieczeństwem, jakim była jego gotowość do zerwania paktu i poniesienia konsekwencji tego czynu, wybuch demona niósł też pytania, na które Galeona bardzo chciała znać odpowiedź. Wyjaśniłoby to nie tylko jego gwałtowną reakcję, ale też uczucie, jakiego się po Xazaxie nie spodziewała.

Co, zastanawiała się Galeona, mogło tak bardzo *przestraszyć* demona?

# DZIEWIĘĆ



Potworny ból rozlewający się po ciele przekonał Norreka Vizharana, że jednak nie umarł. Oddychał, więc nie wpadł do morza, choć uderzył o deski pokładu. To, że nie skręcił sobie karku ani nie połamał kości, zawdzięczał tylko przeklętej zbroi Bartuka. Uratowała go z uścisku piekielnego lewiatana - ocalenie przed skutkami upadku było dla niej dziecinną igraszką.

W głębi serca weteran po części żałował, że się jej udało. Przynajmniej skończyłyby się te koszmary i potworności.

Otworzył oczy. Leżał w swojej kajucie. Na zewnątrz wciąż szalał sztorm. Tylko dwie siły mogły go tu zawlec, a jedną była zbroja. Jednak po tym, co zrobiła ohydzie z mackami, wydawała się mocno osłabiona, niezdolna do wykonania żadnego ruchu. Sam Norrek czuł się równie wyczerpany, dziwił się, że w ogóle się poruszał. Ta słabość była tak dziwna, że żołnierz zastanawiał się, czy zbroja lub potwór nie wyssały z niego częściowo życia.

Drzwi do kajuty otworzyły się i kapitan Casco wkuśtykał, trzymając miskę. Z naczynia unosił się zapach kuszący i odrażający jednocześnie.

– Przebudził się? Dobrze! Nie marnuje jedzenia! - I nie czekając, aż Norrek się podniesie, wychudzony marynarz wcisnął mu w rękę miskę.

Norrekowi udało się unieść, by jeść.

– Dziękuję.

Kapitan tylko mruknął w odpowiedzi.

– Jak długo byłem nieprzytomny?

Casco zastanowił się nad pytaniem, jakby chciał się upewnić, że dobrze je zrozumiał.

– Dzień. Trochę dłużej.

– Co ze statkiem? Czy ten potwór bardzo go uszkodził?

Znów przerwa.

– Statek zawsze uszkodzony... ale nadal może płynąć, tak.

– Jak będziemy żeglować w czasie sztormu i bez załogi?

Kapitan popatrzył ponuro na swego pasażera. Norrek podejrzewał, że zadał pytanie, na które Casco nie miał dobrej odpowiedzi. Oczywiście bez załogi nie mogli płynąć. Prawdopodobnie „Ognisty Jastrząb” pływa w kółko, miotany przez fale i wiatr. Mogli przeżyć atak potwora, ale to nie znaczyło jeszcze, że dopłyną do Lut Gholein.

Potwór... Wspomnienia Norreka o tym, co się zdarzyło, zdawały się tak niewiarygodne, że musiał zapytać Casco, czy na pewno były prawdziwe.

Kapitan wzruszył ramionami.

– Widział, ty spadał... widział, Morska Wiedźma ginie...

Marynarz najwyraźniej uznał, że istota, z którą się zmierzyli, była legendarnym potworem z marynarskich opowieści. Norrek uważał inaczej - po spotkaniach z impami i skrzydlatym stworem w tawernie zakładał, że ten potwór był kolejnym demonem, tym razem nieprzyzwanym przez jego zaklętą zbroję.

Legendy mówiły, że Bartuk najpierw był sługą Piekła, jako czarnoksiężnik zyskał szacunek potworów, potem zaczęły się go obawiać, aż wreszcie stał się dowódcą legionu demonów, który miał mu pomóc zawładnąć światem. Jednak żadna z tych opowieści nie wspominała, jak potężne demony przyjęły takie uzurpowanie sobie ich mocy. Czyżby

zauważyły, że zbroja zniknęła z grobowca, i tak bardzo obawiały się, iż duch Bartuka będzie chciał odzyskać panowanie nad nimi?

Od takich osobliwych myśli Norrekowi pękała głowa. Lepiej zastanowić się nad swoją sytuacją. „Ognisty Jastrząb” pozbawiony sternika będzie błędził po Bliźniaczych Morzach jeszcze długo po śmierci ostatnich załogantów albo też zatonie z powodu sztormu.

– Nie jestem człowiekiem morza - powiedział do Casco pomiędzy jednym kęsem a drugim. - Ale jeśli pokażesz mi, co mogę zrobić, pomogę. Musimy ustawić statek na dobrym kursie.

Teraz Casco parsknął.

– Zrobił dość! Co więcej? Co więcej?

Ta postawa nie tylko wydała się Norrekowi dziwaczna, ale też i go uraziła. Wiedział, że można go, czy też może raczej zbroję, obciążyć winą za sytuację, w jakiej się obaj znaleźli, ale oferta pomocy była szczerą. Norrek wątpił, żeby zbroja powstrzymała go, skoro to jej najbardziej zależało na dotarciu do Lut Gholein.

– Posłuchaj! Zginiemy, jeśli nie uda się nam odzyskać kontroli nad „Ognistym Jastrzębiem”. Jeśli sztorm nas nie pokona, umrzemy z głodu, gdy już zepsują się zapasy lub, co bardziej możliwe, wpadniemy na jakieś skały i pójdziemy na dno jak kamień! Czy chcesz, żeby twój statek właśnie tak skończył?

Chudzielec pokręcił głową.

– Głupiec! Upadek uszkodził głowę? - Odważył się złapać Norreka za ramię. - Idzie! Idzie!

Odłożywszy na bok niemal pustą miskę, wojownik podążył za Casco w sztorm. Jego nogi musiały ponownie przyzwyczać się do kołysania, ale kapitan zaczekał. Wyglądało na to, że jeśli chodziło o uczucia względem pasażera, to Casco utknął gdzieś pomiędzy nienawiścią, szacunkiem i

strachem. Nie zaproponował Norrekowi żadnej pomocy, nie zmuszał też, by osłabiony weteran szedł szybciej, niż był w stanie. Na pokładzie marynarz puścił Norreka przodem. Żołnierz trzymał się resztek relingu i usiłował dojrzeć przez kurtynę ulewnego deszczu, co też Casco chciał mu pokazać. Widział tylko pusty pokład. Nikt nie zwijał lin, nikt nie stał przy kole sterowym.

A jednak... koło się *obróciło*. Liny nie trzymały go już w jednej pozycji. Norrek zmrużył oczy, pewny, że koło powinno dziko wirować, tymczasem poruszało się lekko to w jedną, to w drugą stronę, jakby trzymał je niewidzialny marynarz.

Uwagę Norreka zwrócił ruch z boku. Najpierw przeraził się, bo jedna z głównych lin rozplątała się, jednak po to tylko, by wykonać nowy węzeł tuż przed zdumionymi oczami żołnierza.

Dookoła zaczął dostrzegać lekkie poruszenia, zmiany. Liny luzowały się bądź napinały w zależności od tego, czego wymagały żagle. Ster utrzymywał statek prostopadle do fal, na konkretnym kursie. Norrek był niemal pewien, że „Ognisty Jastrząb” płynie dokładnie na zachód.

Żadna załoga nie obsługiwała statku, ale najwyraźniej nie miało to większego znaczenia.

– Co się dzieje? - wrzasnął wojownik do kapitana.

Casco spojrział na niego znacząco.

Zbroja! Jej moc znów Norreka zadziwiła. Pokonała ogromnego demona, a teraz zadbała o to, aby jej podróż trwała dalej mimo buntu załogi. „Ognisty Jastrząb” dotrze do portu w taki czy inny sposób.

Norrek ruszył niezgrabnie pod pokład, nie do kajuty, ale do mesy. Casco szedł za nim, w tej podróży był kapitanem bez załogi i bez przeznaczenia. Obaj mężczyźni otrząsnęli się z deszczu. Casco pogrzebał w skrzyni i wyciągnął zakurzoną butelkę, której zawartością nie podzielił się z

pasażerem. Norrek chciał nawet poprosić o łyk, z pewnością potrzebował czegoś mocniejszego, ale wiedział, że nic dobrego by mu z tego nie przyszło. Głowa wystarczająco go bolała i wołał, aby nic nie mąciło myśli.

– Kiedy dotrzemy do portu? - zapytał w końcu.

Casco oderwał się od butelki na dość długo, by odpowiedzieć:

– Trzy. Może cztery dni.

Norrek się skrzywił. Miał nadzieję, że szybciej. Trzy lub cztery dni na pokładzie statku, gdzie ster i liny poruszają się same, a jego jedynym towarzyszem jest kapitan o wyglądzie szaleńca, który sądzi, że wojownik jest diabłem w ludzkiej skórze.

Wstał.

– Będę w kajucie, póki nie przyjdzie czas na posiłek.

Casco nawet nie próbował go zatrzymać. Chudy żeglarz wydawał się szczęśliwy sam na sam ze swoją butelką.

Norrek wśród wichru i deszczu dotarł do kajuty. Wolałby zostać w znacznie obszerniejszej i suchej części pod pokładem, ale w towarzystwie Casco Norreka zżerało poczucie winy za wszystkie kłopoty, jakie sprawił żeglarzowi. Zdumiewające, że Casco, gdy natknął się na nieprzytomnego wojownika, nie poderzwał mu po prostu gardła. Ale też kapitan był świadkiem dokonania Norreka i przekonał się na własne oczy, że upadek nie zabił niepokojącego pasażera, więc zapewne żeglarz wołał nie ryzykować. Domyślił się widocznie, że nastawianie na życie Norreka może się dla kapitana skończyć śmiercią.

I zapewne się nie mylił.

Deszcz nie tylko robił wszystko, by przemoczyć Norreka do suchej nitki, ale i próbował przyszpilić go do pokładu. Przez lata, kiedy Norrek walczył dla tego lub innego pana, nie raz i nie dwa musiał stawiać czoła paskudnej pogodzie, najgorszej z możliwych, w tym i śnieżycom. Jednak ten sztorm



nie miał sobie równych. Pozostawało tylko modlić się, że ucichnie, gdy „Ognisty Jastrząb” dopłynie do Lut Gholein.

Założywszy, rzecz jasna, że w ogóle dopłynie.

Przez deszcz niewiele można było zobaczyć. Nie żeby na statku czy wśród fal było coś, co warto by oglądać. Niemniej Norrek musiał wciąż mrugać, aby usunąć lejącą się do oczu wodę i dostrzec cokolwiek w zasięgu kilku jardów. Kajuta nigdy nie wydawała się tak odległa, jak w tej chwili. Ciężar zbroi także robił swoje, metalowe płyty wydawały się dwa razy cięższe. Przynajmniej nie musiał martwić się o jej czyszczenie - zaklęcia pana demonów sprawiały, że była tak czysta, jak wtedy, kiedy ją założył.

Norrek zatoczył się, nie po raz pierwszy. Klnąc pogodę, wyprostował się i przetarł oczy, aby sprawdzić, jak daleko znajduje się od kajuty.

Mroczna postać patrzyła na niego z rufowej części przejścia.

– Casco? - zawołał i zaraz uświadomił sobie, że chromy kapitan nie pokonałby tak szybko drogi na rufę. Poza tym postać przewyższała żeglarza wzrostem i miała płaszcz z poszerzonymi ramionami podobny do tych, jakie nosili Vizjerei...

Jaki nosił *Fauztin*.

Zrobił krok do przodu, usiłując lepiej przyjrzeć się postaci.

Jej kontury były niewyraźne i Norrek nie mógł odegnąć myśli, że to pewnie tylko wytwór jego zmęczonej wyobraźni.

– Fauztin? Fauztin?

Cień nie odpowiedział.

Norrek zbliżył się o kolejny krok i włosy na karku stanęły mu dęba.

Obrócił się.

Przy dziobie druga, nieco niższa postać to pojawiała się w polu widzenia, to znikła. Szczupła, żylasta sylwetka przywodziła na myśl akrobatę bądź złodzieja. Podróżny płaszcz łopotał na wietrze, zasłaniając większość

szczegółów, ale Norrek wyobraził sobie martwą twarz z zastygłym uśmiechem i głowę, przechyloną lekko na bok, bo kark, na którym była osadzona, został skręcony.

– Sadun? - wyrwało mu się.

Jego dłonie zadrżały lekko. Norrek spojrział na dół, ledwie zauważając bladoczerwoną aurę wokół nich.

Piorun uderzył tak blisko, że oświetlił cały statek, a ogłuszony wojownik gotów był przysiąc, iż błyskawica trafiła w „Ognistego Jastrzębia”, choć w żaden sposób go nie zniszczyła. Norreka otoczyła oślepiająca jasność, sprawiając, że zapomniał o dwóch zjawach.

Kiedy wreszcie odzyskał wzrok, zamrugał i popatrzył w stronę dziobu i rufy, ale po dwóch cieniach nie było ani śladu.

– Sadun! Tryst! - wykrzyknął Norrek bliski szaleństwa. -Fauztin!

Tylko sztorm mu odpowiedział, atakując ze wzmożoną furią. Ale wojownik nie chciał ustąpić, ruszył z powrotem w stronę dziobu, raz po raz wykrzykując imię Saduna. Dlaczego pragnął stanąć twarzą w twarz z martwymi towarzyszami? Nie wiedział. Chciał ich przeprosić? Wyjaśnić? Jak miał to uczynić, skoro nawet wiedząc, że to zbroja odebrała im życie, wciąż obwinał się, że nie posłuchał w porę Fauztina?

Gdyby to zrobił, obaj jego przyjaciele wciąż by żyli.

– Tryst! Niech cię szlag! Jeśli jesteś prawdziwy... jeśli jesteś gdzieś tutaj... przyjdź do mnie! Przepraszam! Przykro mi! Tak strasznie mi przykro!

Dłoń opadła mu na ramię.

– Kogo woła? - zapytał natarczywie Casco. - Co teraz przyzywa?

Nawet w zapadającym mroku i ulewnym deszczu Norrek zobaczył strach w wodnistych oczach kapitana. Wedle jego opinii pasażer zupełnie oszalał

lub zamierzał przyzwać nowe demony. Ani jedno, ani drugie nie budziło w żeglarzu entuzjazmu.

– Nikogo... nic!

– Żadnych demonów?

– Żadnych. Ani jednego. - Norrek przeszedł obok kapitana, pragnął już tylko odpoczynku, lecz nie w swojej kajucie. Popatrzył na zmieszanego i sfrustrowanego chudzielca.

– Czy na dole są koje załogi? - spytał.

Casco pokiwał ponuro głową. Prawdopodobnie sam spał w kajucie niedaleko i nie podobało mu się, do czego to wszystko zmierzało. Nie dość, że musiał dzielić statek z kimś, kto wzywał potwory z piekielnych otchłani, to teraz ten władca demonów zamierzał spać obok. Casco niewątpliwie był przekonany, że gdy się tak stanie, pod pokładem będą spacerować rozmaite monstra...

– Będę spał w jednej z nich. - Nie zwracając uwagi na uczucia kapitana, Norrek zszedł pod pokład. Może bitwa z piekielnym behemotem zbyt wiele kosztowała, ponownie obudziła w żołnierzu poczucie winy za śmierć towarzyszy. Może tylko ich sobie wyobraził. Najpewniej tak właśnie było, zupełnie jak wtedy, gdy wyobraził sobie Fautzina w dokach Gea Kul. Sponiewierane ciała przyjaciół nadal spoczywają w grobowcu i tam pozostaną, aż odnajdą je następnymi poszukiwacze skarbów.

Jednak gdy już otrząsnął się z deszczu i ruszył na poszukiwanie koi, przysłała mu do głowy pewna myśl. Spojrzał na obleczone rękawicami dłonie, poruszył palcami, które teraz były posłuszne jego woli. Jeśli tylko wyobrażał sobie to wszystko, a Fautzina i Saduna Trysta nie było wcale na pokładzie, to dlaczego rękawice na chwilę rozjarzyły się czerwonym światłem?



W środku nocy armia Augustusa Malevolyna przekroczyła granicę rozległej i przerażającej pustyni Aranoch. Niejednemu z żołnierzy nie uśmiechał się ten marsz, ale dostali rozkaz i nie wyobrażali sobie nic innego, jak tylko go wykonać. Niejeden padnie, nim dotrą do celu - zakładając, że tym celem było pełne skarbów Lut Gholein - jednak żadnego ze zbrojnych to nie odstraszało. Każdy miał nadzieję, że to właśnie on będzie wśród szczęśliwców, którzy przeżyją i położą rękę na części bogactw portowego miasta.

Na czele armii jechał sam generał, dumnie nosząc hełm Bartuka. Wyczarowana przez Galeonę kula płynęła przed nim, oświetlając drogę jego wierzchowcowi. A że przy okazji czyniła go najbardziej pożądanym celem ewentualnych napastników, w najmniejszym stopniu mu nie przeszkadzało. Odziany w starożytny hełm i we własną zaklętą zbroję, generał chciał pokazać swoim ludziom, że nie boi się niczego i nic nie zdoła go pokonać.

Galeona jechała obok kochanka, pozornie niczym się nie przejmowała, ale po cichu nieustannie wykorzystywała swą moc, aby upewnić się, że nic nie zagraża kawalkadzie. Za wiedźmą toczył się kryty wóz ze zwiniętym namiotem Malevolyna, różnymi przedmiotami osobistego użytku, między którymi - jakby załadowany w ostatniej chwili - leżał kufer Galeony.

- Wreszcie... zbroja będzie moja - mruzczał generał, patrząc w ciemność. - Już czuję jej bliskość! Z nią wreszcie stanę się całością! Gdy ją zdobędę, będę dowodził hordami demonów!

Galeona zastanowiła się, po czym ośmieliła się zapytać:

– Czy jesteś pewien, że zbroja da ci to wszystko, mój generale? To prawda, hełm jest zaczarowany, a powiadają, że zbroja jest jeszcze bardziej zaklęta, ale jak do tej pory ten hełm wodził nas na manowce! A jeśli zbroja będzie działać tak samo? Modlę się, by było inaczej, ale tajemnice Bartuka mogą od nas wymagać więcej, niż możemy...

– Nie! - krzyknął tak gwałtownie, że jadąca tuż za nimi straż przyboczna generała wyciągnęła miecze, sądząc, że czarodziejka zamierza zdradzić ich dowódcę. Augustus Malevolyn odwołał ich gestem, po czym spojrzał na Galeonę z wściekłością. - Tak się nie stanie, moja droga! Hełm ukazał mi wizje pełne chwały, to na pewno cień Bartuka wzywa mnie, abym dodał swoje zwycięstwa do jego! W każdej z tych wizji widziałem połączoną moc zbroi i hełmu! Duch krwawego władcy wciąż żyje w jego zbroi i pragnie, abym to ja jako wybrany śmiertelnik poniósł jego sztandar! - Wskazał na pustynię. - W przeciwnym razie dlaczego głupiec, który ją nosi, podążałby w naszą stronę? Bo tak zostało mu przeznaczone! Mówię ci, zostanę dziedzicem Bartuka!

Wiedźma skuliła się, zaskoczona tym wybuchem.

– Tak jak mówisz, mój generale.

Malevolyn nagle się uspokoił, a pełen samozadowolenia uśmiech powrócił na jego twarz.

– Tak mówię. A potem Lut Gholein również będzie moje. Tym razem nie poniosę klęski.

Co prawda Galeona podróżowała z generałem dopiero od Zachodniej Marchii, ale prawdopodobnie znała go lepiej niż ktokolwiek z podwładnych. Nie słyszała jednak, żeby Malevolyn wspominał o Lut Gholein inaczej niż tylko jako o celu swych wymarzonych podbojów. Nigdy nie słyszała, żeby wspominał porażkę z przeszłości.

– Czy byłeś już tam... wcześniej?

Delikatnie, jakby z oddaniem generał poprawił hełm, odwracając się od niej i uniemożliwiając latającej kuli oświetlenie choć kawałka twarzy.

– Tak... i gdyby nie mój brat... byłoby moje... ale tym razem... tym razem *Viz-jun upadnie!*

– *Viz-jun?* – wykrztusiła czarodziejka z niedowierzaniem.

Na szczęście generał Malevolyn nie zwracał na nią uwagi, skupiwszy się na ciemnych, przesypanych się piaskach. Galeona nie powtórzyła nazwy po raz kolejny, wołała jeśli nie zapomnieć, to porzucić temat. Może generał się przejęczył, a i reszta tego, co powiedział przed chwilą, musiała być zwykłą, niewinną pomyłką. W końcu miał tyle spraw na głowie...

Wiedziała, że jej kochanek nigdy nie był w słynnym mieście-świątyni kedzyszańskiej, nawet nie przepłynął morza, które oddzielało go od tamtej krainy. Na dodatek Augustus Malevolyn był *jedynym* dzieckiem swych rodziców... i do tego niechcianym bastarodem.

Jednak... ktoś, o kim Galeona słyszała, nie tylko dotarł do słynnego Viz-jun, ale też próbował je zdobyć i zrównać z ziemią, by w końcu ulec pokonany przez swojego brata.

*Bartuk.*

Wiedźma ukradkiem przyjrzała się hełmowi. Wizje, których doświadczał generał, były przeznaczone tylko dla jego oczu i niczyich więcej. Nawet gdy sama kiedyś w sekrecie założyła artefakt, nie widziała żadnych obrazów. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że im dłużej Augustus nosił hełm, tym trudniej przychodziło mu rozróżnianie między własnymi doświadczeniami a tymi, które były udziałem potwornego władcy demonów.

Czy za każdym razem, kiedy coś takiego się zdarzało, hełm rzucał jakieś zaklęcie? Galeona jakby od niechcienia dotknęła pierścienia z czarnym kamieniem na palcu lewej ręki. Skierowała klejnot w stronę głowy

kochanka. Wyszeptała dwa zakazane słowa, cały czas bacząc, by generał nie dostrzegł, że jej usta się poruszają.

Nie dostrzegł, nie zauważył też niewidzialnych macek, które wysunęły się z pierścienia i dotknęły hełmu w różnych miejscach. Tylko Galeona wiedziała, że tam są, szukając, badając, usiłując odkryć, jakie moce zamieszkiwały starożytny artefakt.

Gdyby Galeonie udało się dowiedzieć, jak działają na generała, mogłaby zrobić pierwszy krok ku wykorzystaniu ich dla własnych celów. Nawet najmniejszy fragment wiedzy mógł znacznie zwiększyć jej możliwości.

Hełm błysnął na czerwono, rozświetlając na oczach zdumionej Galeony każdą z magicznych macek. Spiętrzona fala mocy pomknęła ku czarodziejce z prędkością błyskawicy, pożerając ciemne macki i podążając do jej palca. Bojąc się o własne bezpieczeństwo, czarodziejka podniosła dłoń, by ściągnąć klejnot.

Była jedynie śmiertelnikiem, więc jej ruchy okazały się zbyt wolne. Strumienie czerwonego światła pożarły ostatnie macki, po czym uderzyły w czarny kamień.

Klejnot zasyczał i stopił się w mgnieniu oka. Płynny kamień rozlał się po jej palcu, przepalając skórę i ciało...

Galeonie udało się stłumić krzyk strasznego bólu i zamienić go w ledwo słyszalne westchnięcie.

– Mówiłaś coś, moja droga? - rzucił Malevolyn od niechcena, nie odrywając oczu od krajobrazu.

Dopilnowała, aby mimo cierpienia jej głos brzmiał spokojnie i pewnie.

– Nie, Augustusie. To tylko kaszlnięcie... piasek w gardle.

– Owszem, tutaj może się coś takiego przytrafić. Powinnaś zasłonić usta woalem. - Generał pogрузzył się w myślach, pewnie o kwestiach dowodzenia albo znów przeszłości Bartuka.

Galeona ostrożnie się rozejrzała. Nikt nie zauważył zdumiewającej manifestacji przeciwstawnych potężnych mocy. Tylko ona, dysponująca zmysłami wrażliwymi na magię, była świadkiem swej porażki i kary.

Dziękując w duchu za to szczęście, ostrożnie obejrzała ranę. Pierścień zamienił się w żużel, a rzadki kamień w czarną, palącą płamę na palcu. Zdołała w końcu usunąć obrączkę, ale stopiony klejnot pozostawił trwałą i bolesną hebanową płamę na jej nieskalanej dłoni.

Rana była niegroźna i czarodziejka nie przejęła się nią zbyt. Miewała już gorsze obrażenia. Nie, Galeonę o wiele bardziej zaniepokoiła gwałtowna reakcja hełmu na jej badania. Żadne z zaklęć, jakie rzucała na artefakt wcześniej, nie spowodowało tak gwałtownej reakcji. Jakby w hełmie coś się zbudziło, coś, co miało własne, bardzo konkretne intencje.

Zawsze podejrzewała, że czarnoksiężnik rzucił na swą zbroję niemało potężnych zaklęć o niesamowitej mocy, by pancerz stał mu się pomocą w bitwach. Takie zabezpieczenia były absolutnie uzasadnione. A jeśli odgadła jedynie niewielką część tajemnic? Jeśli nawet zabójcy Bartuka nie zdawali sobie w pełni sprawy z jego umiejętności w dziedzinie demonicznej magii?

Czy to zaklęcia opętały hełm i zbroję, czy też Galeona odkryła coś więcej? Czy to sam Bartuk usiłował wrócić z zaświatów?



# DZIESIĘĆ



„Królewska Tarcza” wpłynęła w sztorm wieczorem piątego dnia. Kara miała nadzieję, że burza minie, zanim przyjdzie im stawić czoła okropnej pogodzie, ale tak naprawdę marynarze z „Tarczy” mogli mieć pretensje tylko do siebie. Kapitan Jeronnan dowodził doskonałą załogą, taką, która rozumiała, co to znaczy wzburzone morze. Nekromantka wątpiła, czy jakikolwiek inny statek mógłby płynąć z taką prędkością, co niestety oznaczało, że był on szybszy nawet od burzy.

Nieszczęsny Kalkos został pochowany na morzu, Kara dodała kilka słów od siebie, korzystając z tradycji pogrzebowych swego ludu. Według niej Kalkos jedynie przeszedł do innego wymiaru, gdzie w nowym wcieleniu, jak wszyscy zmarli, będzie starał się utrzymać równowagę wszechrzeczy. Jednak wciąż dręczyło ją poczucie winy, czuła palący niepokój w związku ze swoją modlitwą. Nie zapomniała, jak desperacko pragnęła żyć, gdy zamknięto ją w drzewie. Jak na razie jedynym sposobem, w jaki Kara pogodziła tamto pragnienie ze swoją wiarą, było powtarzanie sobie, że gdyby zginęła, nie tylko zachwiałyby to równowagę, ale też nie zostałyby nikt, kto mógłby odnaleźć zbroję. A do tego przecież nie można było dopuścić.

Gdy tylko wpłynęli na wzburzone wody, Kara Nocny Cień dobrowolnie zgłosiła się do obserwowania z dziobu rozszalałych fal. Jeronnan uważał to

za szaleństwo, ale Kara nie zgodziła się wrócić do bezpiecznej kajuty. Kapitan uznał, że nekromantka wypatruje „Ognistego Jastrzębia”, co częściowo było prawdą. Jednak Karę bardziej martwiło, że demony, które zobaczyła we wspomnieniach Kalkosa, powrócą. Szczególnie obawiała się powrotu potwornego lewiatana, który w tak przerażający sposób zabił marynarzy. Skoro nie wspomniała ani słowem o tych monstrach Jeronnanowi, to trzymanie straży wydawało się Karze honorowym zobowiązaniem. No i była pewna, że ze wszystkich osób na pokładzie ona ma największe szanse odstraszyć lub, co bardziej prawdopodobne, odwrócić uwagę potwora, a wtedy „Królewskiej Tarczy” uda się uciec.

Nawet wśród ulewnego deszczu i rozszalałego morza załoga Jeronnana pozostała zdeterminowana i jeśli chodziło o Karę, uprzejma. Dziewczyna, usłyszawszy wiele opowieści o żeglarzach, obawiała się, że będzie musiała wielokrotnie odrzucać niechciane zaloty. Podobała się wyraźnie kilku mężczyznom, choć wiedzieli, kim jest, jednak żaden nie zachował się natrętnie. Tak naprawdę to tylko oficer Drayko ośmielił się posunąć do czegoś, co można było uznać za czynienie awansów, ale bardzo ostrożne i formalne - chociaż wśród jej ludu równałoby się to błaganu. Jak najbardziej taktownie odrzuciła awanse, ale zainteresowanie niewątpliwie jej pochlebilo.

Kapitan Jeronnan już dawno wyzbył się wątpliwości co do pasażerki. Kiedy nie traktował Kary jak arystokratki, zachowywał się tak, jakby była członkiem jego rodziny. Od czasu do czasu były oficer marynarki skakał wokół Kary, jak kiedyś wokół Teranii. Godziła się na to nie tylko dlatego, że wprawiało to żeglarza w dobry humor, ale również dlatego, że i jej samej sprawiało to przyjemność. W dzieciństwie nie brakowało jej rodzicielskiej miłości, ale kiedy dojrzała i rozpoczęła szkolenie, jak inni kapłani Rathmy

musiała wyzbyć się uczuć, aby lepiej rozumieć, jak chronić równowagę świata. Równowaga była ważniejsza niż wszystko inne, nawet rodzina.

„Królewska Tarcza” wspięła się na wyjątkowo wysoką falę, po czym runęła w dół. Kara mocno trzymała się relingu, usiłując dostrzec cokolwiek w deszczu i mgle. Choć dzień powoli ustępował nocy, oczy Kary nawykły do ciemności, dziewczyna mogła zobaczyć więcej niż najbardziej nawet doświadczony marynarz. Na pewno dotarli już, albo nawet minęli miejsce, gdzie zginął Kalkos i reszta załogi. Oznaczało to, że w każdej chwili mogli zostać zaatakowani przez moce spoza tego świata.

– Pani Karo! - zawołał z tyłu Drayko. - Pogoda robi się coraz gorsza! Naprawdę powinnaś, pani, zejść do kajuty!

– Nic mi nie będzie. - Nie była szlachetnie urodzoną, ale nijak nie mogła zmusić marynarzy do mówienia jej po imieniu. Była to zasługa Jeronnana, który przedstawiając ją załodze, zaakcentował tytuł, a przede wszystkim swój szacunek dla nekromantki. To, co sprawdzało się w przypadku kapitana, sprawdzało się też załodze.

– Ale sztorm...!

– Dziękuję za troskę, panie Drayko.

Wiedział już, że lepiej się z nią nie kłócić.

– Tylko bądź ostrożna, panienko!

Karę cieszyły troska i szacunek, jakimi otaczali ją Jeronnan wraz z załogą, ale wiedziała, że to nie przygotuje jej na Lut Gholein. Tam przyjdzie się jej zmierzyć z wszechobecnymi uprzedzeniami wobec takich jak ona. Nekromanci mieli do czynienia ze śmiercią, a większość ludzi nie lubiła, kiedy przypominało im się, że są śmiertelni, ani o tym, że ich duchy mogą potem być niepokojone przez kogoś takiego jak Kara.

Mimo iż wcześniej odmówiła Drayko, nekromantka doszła do wniosku, że nie może zbyt długo stać na dziobie. Nadchodząca noc i okropna pogoda

pogarszały widoczność. Wkrótce Kara nie zda się tu na nic. Jednak nadal była zdecydowana wytrwać na posterunku jeszcze trochę.

Fale przelewały się w górę i w dół, ich ruch był monotony, mimo tej manifestacji pierwotnej potęgi. Raz czy dwa Kara dostrzegła coś, co uznała za morskie stworzenie, jeszcze wcześniej kawałek gnijącego drewna przerwał jednostajny cykl, ale nic poza tym. Nie było tu śladu po demonach, z czego dziewczyna mogła się tylko cieszyć.

Wytarła z oczu bryzgi wody i krople deszczu, ostatni raz spoglądając na lewą burtę „Królewskiej Tarczy”. Jeszcze więcej fal, Jeszcze więcej piany, jeszcze więcej...

*Ręka?*

Zmieniwszy pozycję, Kara wpatrywała się w czarne wody, wyteżając każdy zmysł.

Tam! Ręka i górna część ludzkiego ciała. Nie mogła dostrzec szczegółów, ale była pewna, że unosząca się na wodzie kończyła poruszała się sama.

Kara nie miała żadnego zaklęcia na taką okazję, więc odwróciła się w stronę pokładu i... dostrzegła malejącą postać odchodzącego pierwszego oficera.

– Panie Drayko! Człowiek za burtą!

Na szczęście ją usłyszał. Zwołał trzech jeszcze marynarzy i podbiegł.

– Gdzie?

– Tam! Widzi go pan?

Wbił wzrok w przewalające się fale, a potem przytaknął ponuro.

– Głowa i ręka, zdaje się, że się poruszają.

Nakazał sternikowi ustawić statek jak najbliżej.

– W tych warunkach może nie zdołamy go uratować, ale spróbujemy - zwrócił się już znacznie ciszej do Kary.

Nie odpowiedziała, lepiej niż Drayko wiedziała, jak nikłe są na to szanse. Jeśli równowaga wymagała, by ten człowiek przeżył, zostanie uratowany. Jeśli nie, wówczas, według nauk Rathmy, podobnie jak dusza Kalkosa powędruje do innego wymiaru, gdzie w inny sposób będzie dbał o zachowanie równowagi.

Oczywiście należało walczyć o życie i wykorzystać szansę jego ocalenia. Rathma nauczał pragmatyzmu, a nie bezduszości.

Sztorm przybierał na sile, ale pomimo to „Królewskiej Tarczy” udało się zbliżyć do niewielkiej, zmagającej się z żywiołem postaci. Noc uczyniła zadanie jeszcze trudniejszym, gdyż niewyraźna sylwetka pojawiała się i znikała wśród fal.

Kapitan Jeronnan dołączył do załogi i przejął dowodzenie. Ku zaskoczeniu Kary rozkazał dwóm marynarzom przynieść łuki. Jak wyjaśnił jej Drayko, ich zdolności w dziedzinie łucznictwa były wyjątkowe.

– Czy chce ukrócić cierpienia tego człowieka? - spytała, zaskoczona tą postawą byłego oficera. Kara oczekiwała, że przynajmniej spróbuje uratować życie nieszczęsnego marynarza.

– Proszę patrzeć, moja pani.

Zrozumiała natychmiast, gdy zobaczyła, jak łucznicy szybko przywiązują liny do strzał. Zamiast po prostu rzucić linę, chcieli użyć strzał, by posłać ją jak najbliżej rozbitka. Ten sposób gwarantował większą dokładność niż poleganie jedynie na sile rąk. Było to ryzykowne, ale dawało większe szanse powodzenia.

– Prędej, do licha! - ryczał Jeronnan.

Łucznicy strzelili. Jedna strzała przeleciała ponad rozbitkiem, ale druga wylądowała niedaleko targanej falami postaci.

– Łap ją! - krzyczał Drayko. - Łap!

Rozbitek nawet się nie ruszył. Nekromantka, ryzykując potwornie, przechyliła się przez reling, aby siłą woli przesunąć sznur do nieszczęśnika. Może zareagowałby, gdyby lina go dotknęła. Kara знаła starszych, którzy potrafili poruszać rzeczy mocą umysłu, ale jej wiedza, jak w wielu innych sprawach, i w tej była zbyt nikła. Nekromantka mogła mieć tylko nadzieję, że jej determinacja połączona z umiejętnościami, które już posiadała, wystarczą w tej trudnej chwili.

Czy to dzięki jej myślom, czy też kołysaniu fal, lina zbliżyła się do ramienia mężczyzny na kilka cali.

– Łap ją! - zachęcił kapitan.

Nagle rozbitkiem szarpnęło. Fala nakryła go, a po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach postać znikła. Kara dostrzegła ją pierwsza, kilka jardów od drugiej liny.

– Niech to! - Drayko uderzył pięścią w reling. - Jest albo martwy, albo...

Płynąca postać znów podskoczyła, zanurzając się całkiem.

Pierwszy oficer zaklął.

– To nie fale nim poruszają!

Z rosnącym przerażeniem Kara i marynarze patrzyli, jak ciało podskoczyło jeszcze dwa razy, a potem znów skryło się pod wodą.

Tym razem nie wypłynęło.

– Rekiny się nim zajęły - zamruczał jeden z marynarzy. Kapitan Jeronnan skinął głową.

– Wciągnijcie liny, chłopcy. Zrobiliśmy, co w naszej mocy. Niewykluczone, że już był martwy, a poza tym mamy swoje zmartwienia, co?

To, że ich wysiłki poszły na marne, zwarzyło nastroje. Załoga, ociągając się, wróciła do swoich zadań. Oficer Drayko pozostał z Karą, nekromantka wciąż próbowała bowiem wypatrzeć jakiś ślad martwego marynarza.

– Morze upomniało się o niego - szepnął Drayko. - Musimy się z tym pogodzić.

– Uważamy, że to część równowagi - odparła dziewczyna. - Ale strata życia, które mogło zostać uratowane, wciąż musi być opłakana.

– Najlepiej będzie, gdy odejdziesz już stąd, pani.

– Dziękuję za troskę, ale chciałabym tu jeszcze chwilę zostać. - Musnęła grzbiet jego dłoni palcami. - Nic mi nie będzie.

Z wyraźną niechęcią po raz kolejny pozostawił ją samą. Nekromantka sięgnęła pod płaszcz i zdjęła z szyi mały, czerwony wisiołek w kształcie przerażającego czerwonego smoka z błyszczącymi oczyma i wyszczerzonymi zębami. Wyznawcy Rathmy wierzyli, że świat opiera się na grzbiecie wielkiego smoka Trag'Oula - chybocze się, żeby zachować równowagę. Wszyscy nekromanci czcili ognistego giganta.

Kara modliła się szeptem, aby Trag'Oul poprowadził nieznanego człowieka do innego wymiaru. O to samo modliła się dla marynarza Kalkosa, choć nikt z załogi tego nie widział. Ludzie, którzy nie podążali ścieżką Rathmy, nie rozumieli roli Trag'Oula we wszechświecie.

Uznawszy, że zrobiła wszystko, co leżało w jej mocy, dziewczyna wróciła do kajuty pod pokładem z poczuciem ulgi. Wypatrywanie demonów, a potem nieudana akcja ratunkowa kosztowały Karę sporo wysiłku. Kiedy pochłonięta była zadaniem, do którego sama się zgłosiła, robiła zaledwie krótkie przerwy na posiłek. Tak naprawdę była na nogach dłużej niż ktokolwiek z załogi. Teraz pragnęła tylko spać, spać, spać, a potem spać jeszcze trochę.

Kajuta była kiedyś przeznaczona dla córki Hanosa Jeronnana. Kara musiała więc odnaleźć się jakoś wśród dziewczęcych falbanek i zbyt miękkich poduszek. W przeciwieństwie do załogi miała też prawdziwe łóżko, solidnie przymocowane do podłogi. Dla bezpieczeństwa z każdej

strony posłania zamontowano również niskie barierki, więc nawet w czasie sztormu nie groziło jej twarde lądowanie na podłodze. Kara już nie raz dziękowała w duchu za te poręcze - doceniała je zwłaszcza teraz, gdy była tak zmęczona. Nekromantka wątpiła, czy dziś udałoby się jej utrzymać na łóżku własnymi siłami.

Odrzuciwszy mokry płaszcz, Kara usiadła na brzegu posłania, usiłując zebrać myśli. Wodą nasiąkła także reszta jej odzieży, od czarnej bluzki po skórzane spodnie i buty. Wilgotne odzienie przylegało do skóry i przez to Kara czuła jeszcze większy chłód. Jeronnan dziwił się, że nekromantka ma tylko strój, w który była odziana przed wyruszeniem w podróż, i nalegał, aby wzięła zapasowy zestaw. Kara uległa dopiero wtedy, gdy kapitan zgodził się, żeby nowe ubrania były czarne. Nauki Rathmy kazały nie zwracać uwagi na modę: Kara potrzebowała praktycznej, wygodnej odzieży.

Teraz cieszyła się, że ustąpiła żeglarzowi. Szybko przebrała się w suche rzeczy i rozwiesiła mokre - rytuał ten powtarzała zresztą co wieczór, starając się ze wszystkich sił utrzymać ubrania w czystości. Choć na co dzień zajmowała się krwią i śmiercią, nie znaczyło to wcale, że czystość nie miała dla niej znaczenia.

Tym razem Kara cieszyła się z miękkości łóżka. Jeronnan pewnie oburzyłby się, gdyby odkrył, że dziewczyna spała w ubraniu, ale Kara wolała nie ryzykować. Gdyby pojawiły się demony, które widziała we wspomnieniach Kalkosa, musiała być gotowa do walki w mgnieniu oka. Jedyne, na co się zdobyła, to zdjęcie butów, które, z szacunku dla Jeronnana i jego córki, zostawiła pod posłaniem.

Zgasiwszy lampę, Kara zapadła się w pościel. Wściekłe kołysanie fal sprawiło, że dziewczyna jeszcze szybciej pogrążyła się we śnie, bujana w łóżku niczym w kołysce. Troski tego świata zaczęły blaknąć...



Aż słabe niebieskie światełko przesączało się przez powieki, budząc ją z drzemki.

Początkowo zdało jej się, że to sen, ale stopniowo zrozumiała, iż światło przesącza się przez jej zamknięte powieki i jest całkiem przytomna. Nerwy napięły się jak struny, nekromantka sprężyła się... a potem obróciła i uklękła na łóżku, wyciągając ręce w stronę dziwnego światła.

Jako że znajdowała się w kajucie położonej poniżej linii wody, początkowo Kara sądziła, że morze w jakiś sposób wdarło się przez bulaj. Jednak gdy z głowy wywietrzały resztki snu, dotarło do niej, że sytuacja przedstawiała się o wiele bardziej niepokojąco. Niebieskie światło ze snu nie tylko istniało naprawdę, ale oblewało większą część kajuty. Było rozproszone, jakby ściany pomieszczenia nagle zamieniły się we mgłę i pulsowały. Karę przebiegły ciarki...

Przez magiczną mgłę przeszła nie jedna, ale *dwie* przemoczone postacie.

Nekromantka otworzyła usta, choć sama nie była pewna, czy po to, by rzucić czar, czy aby zawołać o pomoc. Nie miało to jednak znaczenia, bo zarówno głos, jak i całe ciało odmówiły jej posłuszeństwa. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, dopóki nie zobaczyła, że jedna z postaci trzyma znajomy sztylet z kości słoniowej.

Sztylet, który rozbłyskiwał niepokojącym niebieskim blaskiem za każdym razem, gdy Kara rozważała, co zrobić.

Ociekający wodą i bardzo *martwy* Fauztin, czarodziej Vizjerei - z dziurą ziejącą w miejscu, gdzie było kiedyś gardło, tylko częściowo zasłoniętą przez kołnierz - patrzył na nią ponuro. Nieruchome, puste oczy ostrzegały Karę przed pochopnym działaniem.

Stojący obok niego uśmiechnięty towarzysz otrząsnął się z morskiej wody. Za ich plecami niebieskie światło bladło, zamykał się magiczny portal, z którego korzystały upiory.

Niższy z nieumarłych wykonał szyderczy ukłon. Wtedy Kara zrozumiała, że to jego ciało ona i marynarze widzieli w morzu. To on był nieszczęsnym rozbitkiem. Fauztin i jego towarzysze oszukali ich tylko po to, aby zorganizować tę przerażającą wizytę.

Uśmiechnął się szerzej, prezentując żółte zębiska i gnijące dziąsła, które dopełniały obrazu, jaki tworzyła obłącząca skóra i prześwitujące spod niej sine ciało.

– Tak... miło... cię znowu... widzieć... nekromantko.



Wprawdzie sztorm nie skończył się, gdy „Ognisty Jastrząb” zbliżył się do portu Lut Gholein, ale przynajmniej ucichł nieco i stał się prawie znośny. Norrek Vizharan był za to wdzięczny losowi, podobnie jak za to, że statek wpłynął do portu tuż przed wschodem słońca, gdy większość mieszkańców jeszcze spała i nikt nie zwrócił uwagi na mroczny okręt.

Gdy „Ognisty Jastrząb” przybił do brzegu, zaklęcie rzucone przez zbroję przestało działać, wskutek czego kapitan Casco i Norrek musieli się naprawdę postarać, aby dokończyć manewry. Statek przyciągnął tylko obojętne spojrzenia kilku dokerów.

Kiedy trap został wreszcie opuszczony, Casco jeśli nie słowami, to wyrazem twarzy dał Norrekowi do zrozumienia, że nadszedł czas, aby pasażer opuścił pokład i już nigdy nie wracał. Norrek wyciągnął rękę, chcąc pożegnać się, a zarazem ugłaskać chudego kapitana, ale Casco popatrzył na rękawicę swoim zdrowym okiem, a potem spojrzął prosto w oczy żołnierza. Weteran opuścił rękę i szybko zszedł po trapie.

Jednak gdy oddalił się na kilka kroków od „Ognistego Jastrzębia”, nie mógł oprzeć się pokusie, by po raz ostatni nie spojrzeć na okręt. Casco

nadal obserwował go uważnie. Mierzyli się wzrokiem, po czym Casco uniósł dłoń w geście pożegnania.

Norrek skinął mu głową. Najwyraźniej zadowolony z takiej odpowiedzi, Casco opuścił rękę i odwrócił się, zainteresowany już wyłącznie ocenianiem szkód, jakie odniósł jego statek.

Ledwie żołnierz uczynił krok, gdy ktoś go zawołał.

– „Ognisty Jastrząb” jeszcze raz oszukał los. - Stary żeglarz o ogorzałej twarzy i białej bródce spoglądał oczami o kształcie migdałów z pokładu swojego statku. Choć pora była wczesna, a pogoda nie najlepsza kapitan powitał Norreka szerokim uśmiechem. - Ale tym razem chyba o włos! Przypłynęliście ze sztormem, prawda?

Żołnierz skinął głową.

– Mieliście szczęście, tyle wam powiem! Nie każdy marynarz z „Jastrzębia” ukończył podróż! Ta łajba przynosi pecha, zwłaszcza kapitanowi!

*Nigdy te słowa nie były bardziej prawdziwe* – pomyślał Norrek, choć nie odważył się powiedzieć tego na głos. Znów kiwnął głową, po czym chciał odejść, ale stary kapitan zawołał jeszcze:

– Hej tam! Po takim rejsie chcielibyście pewnie odwiedzić jakąś tawernę! Najlepsza to gospoda Atmy. Prowadzi ją pewna dobra kobieta po śmierci swego męża! Powiedzcie jej, że kapitan Meshif każe dobrze was ugościć!

– Dziękuję - mruknął Norrek, mając nadzieję, że tak krótka odpowiedź zadowoli tego stanowczo zbyt radosnego człowieka. Chciał czym prędzej wydostać się z doków, obawiał się, że ktoś zorientuje się, iż było coś dziwnego w tym, jak „Ognisty Jastrząb” przybił do portu, a potem połączy to z Norrekiem.

Otuliwszy się płaszczem, zmęczony weteran ruszył przed siebie i po kilku minutach opuścił dzielnicę statków i magazynów, wkraczając na ulice sławnego Lut Gholein. Przez wiele lat słyszał opowieści o tym mieście, ale jeszcze nigdy go nie odwiedził. Sadun Tryst mawiał, że można tu kupić wszystko, co człowiek kupić może... i to w dużych ilościach. Przyływały tutaj statki z całego świata, przywożąc towary legalnie lub nie. Lut Gholein stanowiło bardzo otwarty rynek, ale rządzący dbali o przestrzeganie porządku.

Nie było takiej pory dnia czy nocy, żeby spało całe miasto. Jak mówił Sadun, wystarczyło tylko dobrze poszukać, aby każdy miłośnik egzotycznych uciech znalazł coś dla siebie. Oczywiście ci, którzy nie potrafili bawić się w granicach miejsc dostarczających tę rozrywkę, ryzykowali, że zwrócą na siebie uwagę Gwardii, która z dużym oddaniem służyła sułtanowi. Tryst znał kilka sensacyjnych opowieści o lochach Lut Gholein...

Mimo wszystkiego, co mu się przydarzyło od czasu, gdy weszli do grobowca, w Norreku obudziła się ciekawość. Wokół wznosiły się barwne budynki, a na szczycie każdego powiewała flaga sułtana. Na zadziwiająco czystych, brukowanych ulicach pojawiły się pierwsze wozy. Jakby wychodząc z cieni, szybko poruszające się postacie w powiewnych szatach zaczynały otwierać sklepy, podnosić klapy namiotów, szykował się kolejny dzień pracy.

Niedawny sztorm był już tylko kilkoma ciemnymi chmurami, które rozwiewał wiatr. Im jaśniejsze stawało się niebo, tym bardziej poprawiał się nastrój Norreka. Jak na razie zbroja niczego od niego nie żądała. Przez jakiś czas mógł więc chodzić, gdzie mu się podobało. W mieście tak dużym jak Lut Gholein na pewno mieszkali jacyś znani czarodzieje, którzy pomogliby

pozbyć się przeklętego pancerza. Pod pozorem podziwiania architektury, co nie było trudne, Norrek zamierzał wypatrywać ich śladów.

Kilka chwil po wschodzie słońca ulice zapełniły się ludźmi różnych rozmiarów, ras i koloru skóry. Podróżni z tak odległych krajów jak Ensteig czy Kanduras kroczyli obok odzianych w czerń przybyszy z Kedżystanu i jeszcze bardziej odległych krain. Wydawało się, że obcych jest więcej niż mieszkańców miasta. Ten kolorowy tłum pozwolił Norrekowi zniknąć, wtopić się w tło bez wzbudzania podejrzeń. Nawet zbroja go nie wyróżniała, bo wokół pełno było zbrojnych. Niektórzy z nich musieli zejść na ląd całkiem niedawno, lecz inni, zwłaszcza ci z turbanami na hełmach, w srebrnych pelerynach i szaroniebieskich napierśnikach, najwyraźniej służyli temu miastu.

Zabudowa była dość zwarta - niższe piętra budynków miały kształt prostokąta, zaś dachy często wieńczyły małe wieże przypominające minarety. Dziwna architektura zwłaszcza dla kogoś, kto urodził się i wychował wśród szlacheckich, wysokich zamków ze strzelistymi wieżami i małych, krytych słomą chatek pospółstwa. Te egzotyczne widoki nieustannie wprawiały Norreka w zachwyt. Nie było dwóch jednakowych domów - jedne były szerokie, nawet przysadziste, a inne wydawały się rekompensować brak miejsca na ziemi, wyciągając się w górę.

Rozległ się róg i ulica dookoła Norreka opustoszała. Naśladując pozostałych przechodniów, weteran cofnął się, unikając w ten sposób stratowania przez konny patrol, odziany w hełmy z turbanami i napierśniki, jakie widział już wcześniej. Lut Gholein, pomimo panującego tu tłoku i nieustannego ruchu, pozostawało również doskonale strzeżonym miastem. Tym dziwniejsze wydawało się, że nikt nie zatrzymał Norreka w porcie, aby zadać mu choć kilka pytań. Przeważnie w co ważniejszych portach

straż portowa czuwała dzień i noc, ale tu nie widział nikogo. Nie dawało to Norrekowi spokoju.

Gdy tak spacerował, z wolna zaczął odczuwać głód i pragnienie. Co prawda dostał posiłek jeszcze na pokładzie „Ognistego Jastrzębia”, ale myślał wtedy tylko o zawijaniu do portu i nie zjadł zbyt wiele. Poza tym w cichości ducha liczył na to, że w mieście będzie miał okazję na coś lepszego niż kolejna porcja dekoptów Casco.

Zbroja już raz dała mu pieniądze, więc teraz Norrek śmiało rozglądał się wokół. W okolicy mieściło się kilka tawern i gospód, ale jedna zwróciła uwagę żołnierza.

„Najlepsza to gospoda Atmy. Powiedzcie jej, że kapitan Meshif każe dobrze was ugościć!” Wojownik stał kilka kroków przed tą właśnie tawerną ze starym szyldem nad wejściem. Budynek niewątpliwie nie był nowy, pogoda i czas odcisnęły na nim piętno, ale robił dobre wrażenie, więc żołnierz uznał, że warto zaryzykować. Ruszył ku drzwiom z nadzieją, że zbroja nie zadecyduje nagle iść gdzie indziej.

Wszedł do tawerny z własnej woli, co jeszcze bardziej podniosło nastrój wojownika. Mimo wczesnej pory u Atmy było dość tłoczno. Większość klienteli stanowili marynarze, ale dostrzegł też kilku kupców i żołnierzy. Nie chcąc zwracać na siebie zbyt dużej uwagi, usiadł za przepierzeniem w kącie.

Dziewczyna zaledwie, stanowczo zbyt młoda, aby pracować w takim miejscu, podeszła go obsłużyć. Nozdrza żołnierza już wcześniej wypełnił zapach gotowanej potrawy, poprosił więc o porcję wraz z kuflem piwa na popitkę. Dziewczę dygnęło i odbiegło, a Norrek mógł się rozejrzeć po izbie.

Nasiedział się już w życiu w rozmaitych tawernach, barach i karczmach, ta nie wyglądała na miejsce, gdzie kucharz wrzuca do gara wszystko, co znajdzie w pułapkach na szkodniki. Stoły i ławy były względnie czyste, a

goście nie narzekali na jakość jadła czy napojów. Weteran ostatecznie utwierdził się w przekonaniu, że Lut Gholein to bogate miasto, gdzie wszyscy, nawet ci z niższych warstw, opływają w dostatki.

Dziewczyna wróciła z jedzeniem, które wyglądało równie dobrze, jak pachniało. Uśmiechnęła się, pytając o zapłatę. Norrek z wyczekiwaniem spojrzął na swą obleczoną w rękawicę dłoń.

Nic się nie wydarzyło. Dłoń nie uderzyła o stół, aby zostawić odpowiednią ilość monet. Norrek starał się nie pokazać po sobie nagłego niepokoju. Czy zbroja wpędziła go w pułapkę? Jeśli nie zapłaci, w najlepszym razie zostanie wyrzucony. Spojrzął na drzwi, gdzie stało dwóch krzepkich wykidajłów - nie zwrócili uwagi na Norreka, gdy wchodził, ale teraz z zainteresowaniem obserwowali jego rozmowę z szynkareczką.

Powtórzyła prośbę, tym razem już bez przyjaznego uśmiechu. Norrek łypnął wściekle na rękawicę. *No dalej, ty przeklęta!* – pomyślał. *Chcę tylko coś zjeść! Możesz to zrobić, prawda?*

Nadał nic.

– Czy coś nie tak? - zapytała dziewczyna, choć wyraz jej twarzy wskazywał na to, że doskonale zna odpowiedź.

Norrek zacisnął i otworzył dłoń w nadziei, że w cudowny sposób pojawią się w niej monety.

Dziewczę spojrzało na mięśniaków przy drzwiach i zaczęło wycofywać się powoli.

– Proszę mi wybaczyć... inni goście...

Dwóch wykidajłów ruszyło do Norreka. Zachowanie dziewczyny było dla nich wyraźnym sygnałem do działania.

Weteran wstał, kładąc dłonie na stole.

– Zaczekaj! To nie to...

Pod palcami brzęknęły monety, uderzające o blat.

Ona również je usłyszała, a uśmiech znów zagościł na jej twarzy. Norrek usiadł, wskazując na niewielki stosik przed sobą.

– Przepraszam za zamieszanie. Nie byłem jeszcze w Lut Gholein i zastanawiałem się, czy mam odpowiednią kwotę. Tyle wystarczy?

Jej wyraz twarzy powiedział wszystko, co chciał wiedzieć.

– Tak, panie! Nawet z nawiązką!

Ponad jej ramieniem dostrzegł, że dwóch osiłków się zawahało. Większy stuknął towarzysza w ramię i wrócili na stanowiska.

– Weź tyle, ile się należy za jedzenie i picie - nakazał Norrek dziewczynie, skrywając ulgę. Gdy to zrobiła, Norrek dodał: - A największą monetę zachowaj dla siebie.

– Dziękuję, dziękuję panu!

Niemal pofrunęła do kontuaru, zdaje się, że właśnie otrzymała największy napiwek w swoim życiu. Ten widok przywołał na usta Norreka słaby uśmiech. Przynajmniej raz przekłeta zbroja przyczyniła się do czegoś dobrego.

Popatrzył na rękawice, świadom tego, co się przed chwilą wydarzyło. Zbroja dała mu wyraźnie do zrozumienia, że to *ona*, a nie on kontroluje sytuację. Norrek żył, bo *ona* tak chciała, nie inaczej. Głupotą byłoby myśleć co innego.

Niezależnie od swojej sytuacji i wynikających z niej dylematów, Norrek zjadł posiłek ze smakiem. W porównaniu z kuchnią kapitana Casco tutejsze danie smakowało, jakby przygotowano je w Niebie. Myśląc o tym mistycznym królestwie, żołnierz zastanawiał się nad kolejnym posunięciem. Zbroja kontrolowała wszystko, co robił, ale z pewnością istniał jakiś sposób, by ją przechytryć. W Lut Gholein znajdzie zapewne nie tylko maga, ale i kapłanów. Jeśli czarodziej nie będzie mógł zrobić nic



dla Norreka, może uda się to słudze Niebios. Kapłan z pewnością ma dostęp do mocy potężniejszych niż te, którymi dysponowała zbroja.

Ale jak z takim porozmawiać? Norrek zastanowił się, czy zbroja pozwoli mu wejść na poświęconą ziemię. Czy udanie się choćby w pobliże świątyni, a potem rzucenie się na schody, byłoby rozwiązaniem? Czy uda się zrobić choć tyle?

Tonący, jak to mówią, brzytwy się chwyta. Zbroja potrzebowała Norreka żywego i w dobrym zdrowiu, a to mogło stworzyć mu szansę. Musiał spróbować się uwolnić nie tylko po to, by ratować swoje ciało, ale także i duszę.

Zjadł i szybko dopił piwo. Przez ten czas szynkareczka podchodziła jeszcze kilka razy, aby sprawdzić, czy gość czegoś nie potrzebuje. Bez wątpienia dał jej bardzo hojny napiwek. Norrek dołożył jedną z mniejszych monet, jakie mu zostały, co sprawiło, że dziewczyna uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Potem jak gdyby nigdy nic zaczął wypytywać młódkę o to, co warto zobaczyć w mieście.

– Jest arena - odparła szybko dziewczyna. Bez wątpienia nie pierwszy raz słyszała to pytanie. - A także pałac! Musicie koniecznie zobaczyć pałac, panie! - W jej oczach błysnęło rozmarzenie. - Tam mieszka sułtan Jerhyn...

Najwyraźniej Jerhyn był przystojnym młódy męczyzną. Choć z pewnością pałac stanowił ciekawy obiekt do zwiedzania, Norrek nie tego szukał.

– A poza tym?

– Jest także teatr Agaros obok placu z katedrą Tomasa Pokutnika, ale kapłani Zakarum wpuszczają odwiedzających tylko w południe, a teatr się remontuje. Ach, są jeszcze wyścigi psów i koni na północy miasta...

Ale Norrek już nie słuchał, dowiedział się tego, czego potrzebował. Jeśli Niebiosa miały jakąś władzę nad tym piekielnym dziedzictwem po Bartuku,

to z pewnością okażą ją na poświęconej ziemi, gdzie stała katedra. Zakarum był najpotężniejszym zakonem po obu stronach Bliźniaczych Mórz.

– ...niektórzy uczeni i starzy ludzie odwiedzają położone za miastem ruiny świątyni Vizjerei, ale po Wielkiej Burzy Piaskowej nie ma tam zbyt wiele do oglądania...

– Dziękuję. To mi wystarczy. - Zbierał się do wyjścia, już obmyślając, jak dotrzeć w okolice świątyni Zakarum.

Czterech mężczyzn w znajomych już uniformach Gwardii Lut Gholein weszło do tawerny, ale na pewno nie chcieli tu zjeść ani wypić. Za to popatrzyli wprost na Norreka, a ich twarze pociemniały. Wojownik gotów byłby przysiąc, że przybyli doskonale wiedzą, kim jest.

Z precyzją doskonale wytrenowanego oddziału, którą w każdych innych okolicznościach Norrek z pewnością by docenił, rozproszyli się tak, by nie mógł ich minąć niezauważony. Choć nie wyciągnęli jeszcze swoich długich szabel, każdy trzymał dłoń w pobliżu rękojeści. Jeden fałszywy ruch i cztery ostrza wyskoczą z pochew, gotowe posiekać weterana na kawałki.

Udając, że niewiele go to interesuje, Norrek ponownie odwrócił się do szynkareczki.

– Umówiłem się z przyjacielem na ulicy za tą tawerną. Czy macie jakieś tylne wyjście?

– Tędy. - Zamierzała pokazać mu kierunek, ale Norrek przytrzymał jej dłoń, wsunąwszy tam monetę.

– Dziękuję. - Przepisnął się obok dziewczyny ostrożnie i udał, że idzie do baru, by napić się jeszcze na odchodnym.

Gwardziści się zawahali.

W pół drogi do kontuaru Norrek skręcił na tyły tawerny.

Choć teraz nie widział gwardzistów, był pewien, że tamci już zorientowali się w jego zamiarach. Przyspieszył w nadziei, że nie zdążą go

dogonić. Gdy się już stąd wydostanie, spróbuje zgubić się w tłumie.

Otworzył drzwi jednym pchnięciem, wyskoczył na ulicę...

...i mocne ręce pochwyciły go za ramiona.

– Opór tylko pogorszy twoją sytuację - warknął smagły mężczyzna ze złotymi naszywkami na płaszczu. Spojrzał ponad ramieniem Norreka. - Dobra robota, to ten! Teraz ja się nim zajmę.

Czterech gwardzistów, którzy wygonili Norreka z tawerny, podeszło bliżej i zasalutowało oficerowi. Weteran skrzywił się, pojmując, że wpadł właśnie w najstarszą pułapkę świata.

Nie miał pojęcia, jakie były zamiary tych, którzy go pojмали, daleko bardziej interesowało go, dlaczego zbroja Bartuka na to nie zareagowała. Sytuacja z pewnością wymagała reakcji ze strony zaklętego pancerza, a jednak ten nie próbował w żaden sposób uwolnić swego nosiciela. Dlaczego?

– Słuchaj uważnie, przybyszu z Zachodu! - Oficer uniósł dłoń, by wymierzyć Norrekowi policzek, ale zrezygnował w ostatniej chwili. - Idziesz spokojnie, a nic ci się nie stanie! Stawisz opór... - Dłoń mężczyzny klepnęła rękojeść szabli wymownym gestem.

Norrek pokiwał głową na znak, że zrozumiał. Jeśli zbroja postanowiła nie stawiać oporu, to on z pewnością nie zamierzał wszczynać walki z patrolem.

Gwardziści ustawili się w czworobok, z dowódcą na przedzie i Norrekiem, oczywiście, pośrodku. Pomaszerowali ulicami, unikając tych co bardziej zatłoczonych. Kilka osób przyjrzało się pochodowi, ale nikt nie wydawał się szczególnie współczuć obcemu w opałach. Pewnie myśleli sobie, że w mieście jest naprawdę wielu obcokrajowców, więc czemu przejmować się stratą jednego z nich?

Nikt mu nie wyjaśnił, dlaczego został pojmany, ale Norrek podejrzewał, że miało to jakiś związek z „Ognistym Jastrzębiem”. Weteran mylnie zakładał, że nikt nie obserwuje portu. Najwyraźniej Lut Gholein zwracało na przybyszów baczniejszą uwagę, niż mu się wydawało. Niewykluczone również, że kapitan Casco zawiadomił kogoś o wydarzeniach na pokładzie i wskazał, kto odpowiada za stratę załogi.

Dowódca patrolu skręcił w wąską, boczną uliczkę, reszta gwardzistów trzymała się o krok za nim. Norrek zmarszczył brwi, przestał myśleć o Casco i „Ognistym Jastrzębiu”. Gwardziści szli teraz mniej uczęszczanymi, bardziej zapuszczonymi ulicami, gdzie promienie słońca z trudem docierały nawet w najbardziej bezchmurne dni. Sprężył się, bo czuł, że w całej tej sytuacji jest coś dziwnego.

Nie uszli już daleko, gwardziści skręcili w ciemny zaułek i nagle się zatrzymali.

Stali na baczność, niemalże nie oddychając. Prawdę powiedziawszy, czterej gwardziści zastygli w takim bezruchu, że Norrek mimowolnie przyrównał ich do marionetek, które lalkarz przestał pociągać za sznurki.

Jakby na potwierdzenie, od cienia zalegającego alejkę oderwały się mniejsze skrawki, by utworzyć postać starego, pomarszczonego, brodatego mężczyzny o długich, srebrnych włosach, odzianego w elegancką szatę z poszerzonymi ramionami. Styl, który Norrek znał tak dobrze, styl... Fauztina. Jednak ten Vizjerei był nie tylko o wiele starszy od nieszczęsnego przyjaciela Norreka, ale też musiał dysponować zdolnościami przewyższającymi te, którymi dysponował Fauztin - świadczyło o tym choćby to spotkanie.

– Zostawcie nas... - rozkazał gwardzistom, głos miał mocny mimo wieku.

Oficer i jego podwładni posłusznie wykonali w tył zwrot i odmaszerowali tam, skąd przyszli.

– Niczego nie będą pamiętać - poinformował Norreka Vizjerei. - Tak jak i ci, którzy im pomagali, niczego sobie nie przypomną... zgodnie z moim życzeniem.

Norrek chciał coś powiedzieć, ale starzec posłał mu jedno, ostrzegawcze spojrzenie.

– A jeśli chcesz żyć, przybyszu z Zachodu... również będziesz robić to, czego sobie zażyczę... dokładnie tak, jak sobie zażyczę...

# JEDENAŚCIE



– Nie czujesz się dobrze, panienko? - zapytał kapitan Jeronnan. - Wychodzisz tylko po to, aby wziąć jedzenie, i wracasz do kajuty.

Kara popatrzyła mu prosto w oczy.

– Czuję się dobrze, kapitanie. „Królewska Tarcza” zbliża się już do Lut Gholein, muszę przygotować się na dalszą podróż. Tyle spraw trzeba wziąć pod uwagę. Przepraszam, jeśli tobie lub twojej załodze wydają się przez to nieprzyjazna.

– Nie nieprzyjazna... raczej odległa - westchnął. - Cóż, jeśli będziesz czegoś potrzebować, daj mi znać.

Kara potrzebowała niejednego, ale dobry kapitan nie mógł jej tego zapewnić.

– Dziękuję... za wszystko.

Gdy szła do kajuty, czuła na sobie wzrok kapitana. Prawdopodobnie Jeronnan zrobiłby dla niej wszystko, co było w jego mocy, niezależnie od sytuacji, a Kara bardzo to doceniała. Niestety, w żaden sposób nie mógł pomóc nekromantce w jej obecnym położeniu.

W kajucie dwóch nieumarłych czekało w ciemnym kącie z cierpliwością przysłowiową dla ich rodzaju. Fauztin trzymał świecący sztylet w pogotowiu, rzucone nań zaklęcie dawało Vizjerei pewność, że nekromantka nie podejmie żadnych działań przeciwko parze upiorów. Pożółkłe oczy

maga wpatrywały się w nią bez mrugania. Kara nigdy nie była pewna, co właściwie Fauztin myślał, wyraz jego twarzy pozostawał bowiem w zasadzie niezmienny.

Inaczej sprawa miała się z Sadunem Trystem. Drugi z upiorów wciąż się uśmiechał, jakby bawił go żart, którym gotów był się podzielić. Dziewczyna odczuwała nieustannie chęć wyprostowania mu głowy, przechylonej za mocno to jedną, to w drugą stronę.

Otaczał ich zapach śmierci, ale jak do tej pory Kara była prawie pewna, że nie przeniknął poza kajutę. Jej samej odór przeszkadzał znacznie mniej niż przeciętnemu człowiekowi, co nie znaczyło, że nie wolałaby go nie czuć. Jej wykszolenie i wiara sprawiały, że bez mała codziennie miała do czynienia ze światem umarłych, ale zawsze na swoich warunkach. Teraz po raz pierwszy role się odwróciły i to ona musiała wykonywać polecenia umarłych.

– Mam nadzieję... że dobry kapitan... nadal pozostawi cię... w spokoju... - wychrypiał Tryst.

– Troszczy się o mnie, to wszystko.

Żyłasty przywołaniec roześmiał się i brzmiało to, jakby jakiś zwierz się zadławił. Może gdy jego kark został skręcony, któraś z kości utkwiała mu w tchawicy. To wyjaśniałoby, dlaczego tak dziwnie mówił. Nawet jeśli Sadun Tryst nie musiał już oddychać, to wciąż potrzebował powietrza do wydawania głosu.

Oczywiście jego towarzysz z dziurą w gardle będzie niemy na wieczność.

– Miejmy nadzieję... że jego troska... będzie się trzymać z dala... od tego pokoju.

Fauztin wskazał na krawędź łóżka, niemy rozkaz, który nekromantka od razu zrozumiała. Usiadła z miską w dłoniach, tam gdzie jej wskazano, i

czekała na kolejne polecenia. Dopóki Vizjerei dzierżył sztylet, jego magia trzymała Karę Nocny Cień na uwięzi.

Tryst mrugnął raz, co było świadomym działaniem w przypadku trupa. W przeciwieństwie do Fauztina starał się udawać, że w jego gnijącym ciele pozostało jeszcze nieco życia. Jako czarodziej, blady Vizjerei postrzegał sytuację w bardziej praktyczny, realistyczny sposób. Wojownik natomiast najwyraźniej był kiedyś człowiekiem, który kocha życie we wszystkich jego aspektach. I choć uśmiechał się nieustannie, Kara była przekonana, że straszliwe położenie, w jakim się znalazł, budzi w nim gniew o wiele potężniejszy niż w Fauztynie.

– Jedz...

Posłuchała, a oni nie odrywali od niej nieruchomych spojrzeń. Przez cały czas nekromantka przetrząsała zakamarki pamięci, usiłując odnaleźć jakikolwiek, najmniejszy choćby okruczeństwo wiedzy, który pozwoliłby się jej uwolnić. To, że jak do tej pory żaden z upiorów jej nie dotknął, nie mówiąc o wyrządzeniu jakiegokolwiek krzywdy, w żaden sposób nie umniejszało obaw. Przywołańcy mieli jeden cel - dogonić swojego przyjaciela, Norreka Vizharana. Jeśli okaże się, że będą musieli poświęcić nekromantkę dla osiągnięcia tego celu, bez wątpienia zrobią to bez wahania.

Vizharan był ich partnerem, towarzyszem, który najprawdopodobniej zamordował obydwu i uciekł ze zbroją. Sadun Tryst nie powiedział tego wprost, ale tak wynikało z informacji, które dziewczyna zebrała, rozmawiając z gadatliwym upiorem. Tak naprawdę Tryst nigdy nie oskarżał Norreka, mówił, że muszą odnaleźć kompana, aby dokończyć to, co rozpoczęło się w grobowcu. A ponieważ Kara wbrew ich ostrzeżeniom nie trzymała się z dala, jak tego chcieli, teraz stała się częścią makabrycznego pościgu.



Dziewczyna jadła w milczeniu, usiłując nie patrzeć przy tym na tę przeklętą dwójkę. Im mniej zwracała na siebie ich uwagę, tym lepiej. Jednak gdy tylko łyżka sięgnęła dna miski, Tryst odezwał się nieoczekiwanie:

– Czy... czy smakowało?

To szczególne pytanie zaskoczyło ją tak bardzo, że wlepiła w niego spojrzenie.

– Co?

Obłąający ze skóry, blady palec wskazał na miskę.

– Jedzenie. Czy... dobrze... smakowało?

Została odrobina, choć więcej, niż Kara by sobie życzyła. Przypomniała sobie wszystko, co wiedziała o nieumarłych, ale nie słyszała dotąd, aby miewali apetyt na rybi gulasz. Na *ludzkie mięso*, owszem, zdarzało się, ale nigdy na rybi gulasz. Jednak, mając nikłą nadzieję, że to nieco złagodzi napięcie, nekromantka wyciągnęła miskę do upiora i zapytała spokojnie:

– Chcesz spróbować?

Tryst spojrział na Fauztina, który trwał niewzruszony niczym skała. Niższy upiór zrobił wreszcie krok do przodu, sięgnął po jedzenie, po czym natychmiast wrócił na swoje miejsce. Kara nigdy nie spodziewała się, że żywy trup może poruszać się tak szybko.

Gnijącymi palcami zgarnął nieco resztek z miski i wepchnął sobie do ust. Próbował żuć, ale kawałki ryby wypadały na podłogę. Mimo, że on i mag zachowywali się, jakby byli żywi, ciała nie funkcjonowały już równie sprawnie, jak przed śmiercią.

Nagle Sadun wszystko wypluł, a jego gnijącą twarz wykrzywiło obrzydzenie.

– Zgnilizna! To smakuje jak... jak... *śmierć*... – Spojrział na nekromantkę.

- Była zbyt długo martwa... powinni ją... gotować... krócej... znacznie

krócej. - Zastanowił się głębiej nad tą wielce istotną kwestią, nie spuszczając wzroku z Kary. - Chyba... nie powinni jej... wcale... gotować... im świeższa... tym lepsza... co?

Dziewczyna początkowo milczała, nie chciała wdawać się w konwersację, która mogłaby skłonić przywołańca do wyliczenia, jakich rodzajów mięsa chciałby posmakować na surowo. Wreszcie spróbowała podjąć temat znacznie dla niej ważniejszy: pościg za Norrekiem Vizharanem.

- Byliście na pokładzie „Ognistego Jastrzębia”, prawda? Byliście tam, aż zdarzyło się coś, co skłoniło załogę do opuszczenia statku.

- Nie na statku... pod nim... przez większość czasu.

- Pod nim? - Wyobraziła sobie tę dwójkę pod kadłubem, wczepioną weń z niehumanitarną siłą, która pozwoliła im się utrzymać nawet przy największej fali. Tylko przywołaniec byłby w stanie dokonać czegoś takiego.

- Co to znaczy: przez większość czasu?

Sadun wzruszył ramionami, jego głowa zakołysała się bezwładnie.

- Weszliśmy na pokład... na krótko... po tym, jak ci głupcy... skoczyli.

- Co ich do tego skłoniło?

- Zobaczyli coś... co się nie podobało.

Niezbyt pomocna odpowiedź, ale im dłużej Kara podtrzymywała rozmowę, tym mniej tych dwóch miało czasu na wymyślenie, czego tak właściwie od niej chcieli - i ile to mogło kosztować nekromantkę.

Po raz kolejny Kara pomyślała o ich niehumanitarności. Niemal udało się im dogonić ofiarę, nawet przywarli do dna statku, na który wsiadła, niczym minogi do rekina. Wizja dwóch nieumarłych wiszących pod kilem „Ognistego Jastrzębia” wśród gwałtownego sztormu pozostanie na zawsze w pamięci nekromantki. Norrek Vizharan nie umknie potwornej sprawiedliwości.

A jednak... Do tej pory mu się to udawało, i to nawet wtedy, gdy ci dwaj znajdowali się zaledwie o krok.

– Skoro na statku byliście tylko wy i on, to dlaczego polowanie jeszcze się nie skończyło?

Twarz Trysta nabrała wyrazu powagi, przez co wyglądał jeszcze bardziej upiornie niż wcześniej.

– Powinno się... zakończyć.

Zamilkł. A kiedy Kara spojrzała na Fauztina, jego ponura twarz nie wyjawiała nic więcej. Dziewczyna obracała w myślach te odpowiedzi najszybciej jak mogła, decydując się w końcu wykorzystać porażkę na „Ognistym Jastrzębiu”.

– Mogę wam bardziej pomóc. Następnym razem wszystko pójdzie jak trzeba.

Tym razem to Fauztin mrugnął. Nekromantka nie wiedziała, co to znaczy, ale Vizjerei niczego nie robił bez powodu. Oczy Saduna Trysta lekko się zwężyły.

– Pomożesz nam... na tyle... na ile będziemy potrzebować. Bądź tego... pewna.

– Ale mogę być czymś więcej niż tylko bezwolną marionetką. Rozumiem, co wami powoduje. Wiem, po co chodziecie po ziemi. Jako sojusznik, a nie więzień dziesięciokrotnie zwiększam wasze szanse na wykonanie zadania!

W milczeniu Tryst począł podrzucać swój sztylet. Kara niejednokrotnie miała okazję obserwować to zachowanie, od kiedy się pojawił. Widać nawet śmierć nie uwolniła go od nawyków. Dziewczyna zgadywała, że to świadczy o wyjątkowo głębokim namyśle.

– Wiesz... mniej... niż myślisz.

– Próbuję tylko powiedzieć, że nie musimy być wrogami. To moje zaklęcie zbudziło wasze duchy i wysłało was na tę wyprawę, więc czuję się nieco odpowiedzialna. Szukacie Norreka Vizharana, ja też. Czemu nie możemy działać jako sojusznicy?

Mag znów mrugnął, jakby chciał coś powiedzieć, co było oczywiście niemożliwością. Zamiast tego spojrzął na swego towarzysza. Dwaj nieumarli patrzyli sobie w oczy tak długo, aż nekromantka zaczęła się zastanawiać, czy aby nie porozumiewają się w jakiś sposób, będący poza jej zasięgiem.

Zgrzytliwy, nieludzki śmiech Saduna Trysta wypełnił kajutę. Kara jednak nie łudziła się, że Jeronnan albo ktokolwiek z załogi to usłyszy. Vizjerei rzucił zaklęcie zagłuszające.

– Mój przyjaciel... poczynił pewne... zabawne spostrzeżenie. Ty... jako nasz dobry sojusznik... z pewnością zechcesz... sztylet z powrotem... co? - A kiedy nie znalazła odpowiedzi, Tryst dodał: - To nie jest... życiowa okazja... rozumiesz, co mam na myśli.

Och, rozumiała doskonale. Sztylet nie tylko zapewniał im kontrolę nad nią, ale i stanowił zakotwiczenie w realnym świecie. Rytualne ostrze przywołało zjawę Fauztina. Gdyby zabrała mu sztylet, oba ciała najpewniej by się rozsypały, a żadne zemsty duchy musiałyby wrócić w zaświaty.

Tego ta dwójka z pewnością sobie nie życzyła.

– Pomożesz nam... jak będziemy tego potrzebować. Posłużysz... jako zasłona... skrywająca prawdę... wobec tych, których spotkamy. Będiesz robić to... czego my nie możemy zrobić... w świetle dnia... gdy wszyscy widzą...

Fauztin zamrugnął po raz trzeci i był to niepokojący znak. Nigdy nie okazywał takiego zainteresowania rozmowami, zostawiając je swemu bardziej wymownemu przyjacielowi.

Tryst wyprostował się z uśmiechem. Im dłużej Kara Nocny Cień o tym myślała, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę przywołaniec ani na chwilę nie przestawał się uśmiechać; wyraz twarzy zmieniał rozmyślnie, jak wtedy, gdy gulasz tak go zniesmaczył. Czyli to, co brała za oznakę humoru, mogło być grymasem utrwalonym przez śmierć. Tryst prawdopodobnie będzie się uśmiechał nawet wtedy, gdy wyrwie serce swego zdradzieckiego kompana Norreka.

– Ale ponieważ... musimy zapewnić sobie twoją współpracę... mój dobry przyjaciel zasugerował sposób... dzięki któremu będziesz jeszcze bardziej... uległa... w tej sytuacji.

Podeszli do niej.

Kara zeskoczyła z łóżka.

– Masz sztylet. Nie potrzebujecie innych więzów.

– Fauztin uważa... że potrzebujemy. Bardzo mi... przykro.

Choć wiedziała, że najpewniej nikt jej nie usłyszy, otworzyła usta do krzyku. Mag zamrugał po raz czwarty i z ust nekromantki nie wymknął się żaden dźwięk. Ta bezradność przeraziła i rozgniewała dziewczynę.

Kara wiedziała, że bardziej doświadczeni praktycy sztuk Rathmy zamieniliby tę parę w milczących, posłusznych sługów. Za kilka lat ona też zdołałaby to zrobić. Tymczasem to upiory zamieniły ją w marionetkę, a teraz chciały spętać kolejnymi niewidzialnymi łańcuchami.

Białe oczy i makabryczny uśmiech Trysta wypełniły jej pole widzenia. Z każdym słowem wypowiedanym przez gnijącą postać Karę owiewał smród rozkładu.

– Daj mi... lewą dłoń... a nie będzie... tak bolało.

Kara nie miała wyboru, musiała być posłuszna. Sadun Tryst ujął rękę w swoje rozkładające się palce, z pieszczotą, jakby trzymał dłoń kochanki. Na

tę myśl Kara poczuła chłód wzdłuż kręgosłupa. Słyszała już takie opowieści...

– Tęsknię za wieloma rzeczami... z życia... kobieto... wieloma rzeczami...

Ciężka dłoń spadła na jego ramię. Tryst pokiwał głową na tyle, na ile pozwalał mu złamany kark, i zrobił krok do tyłu. Odwrócił rękę Kary wnętrzem do góry.

A Fauztin wbił w nią błyszczący sztylet.

Kara westchnęła i nagle zdała sobie sprawę, że choć to nieprzyjemne, jednak nie bolesne. Patrzyła zdumiona, niezupełnie wierząc własnym oczom. Ponad dwa cale ostrza wychodziło z drugiej strony jej dłoni, a nigdzie nie widziała plam krwi.

Miejsce, gdzie sztylet zagłębił się w ciało, zaczęło emanować żółtym blaskiem, który objął całą dłoń.

Vizjerei spróbował coś powiedzieć, ale wydał tylko ciche westchnienie. Nawet przewiązanie zniszczonego gardła niewiele pomogło.

– Może ja... - warknął Tryst. Patrząc na pojmaną nekromantkę, zaintonował: - *Nasze życia są... twoim życiem. Nasza śmierć to... twoja śmierć. Nasz los... to twój los... przez ten sztylet... i twoją... duszę...*

Fauztin wyciągnął sztylet, a potem podniósł do jej oczu, pokazując, że na ostrzu nie pozostała nawet plamka krwi. Czubkiem klingi wskazał na dłoń.

Kara obejrzała rękę dokładnie i nie dostrzegła nawet najmniejszej blizny. Aby rzucić ten straszliwy czar, zamordowany czarodziej skorzystał z potężnej magii.

Tryst popchnął ją w stronę łóżka, nakazując kobiecie usiąść.

– Teraz... jesteśmy... jednością. Jeśli my zawiedziemy... ty też odniesiesz porażkę. Jeśli my zginiemy... albo zostaniemy zdradzeni... ty również będziesz cierpieć... zawsze o tym pamiętaj...

Kara nie zdołała opanować drżenia. Przywiązali ją do siebie w sposób znacznie bardziej ostateczny, niż zabierając jej sztylet. Jeśli cokolwiek stanie się tej dwójce, nim wypełnią swoje straszliwe zadanie, jej dusza może zostać wciągnięta w zaświaty i skazana na wieczną tułaczkę.

– Nie musieliście tego robić! - Próbowała dostrzec w ich oczach choćby cień współczucia, na próżno jednak. Nic nie liczyło się bardziej niż zemsta za to, co ich spotkało. - Pomogłabym wam!

– Teraz... jesteśmy pewni, że tak uczynisz. - Tryst i Fauztin znów cofnęli się w ciemny kąt. Rytualny sztylet połyskiwał złościście. - Teraz... nie będzie obaw... żadnych sztuczek... gdy spotkamy się... z czarodziejem...

Kara zamarła.

– Czarodziej? W Lut Gholein?

Fauztin skinął głową. Sadun Tryst przechylił swoją jeszcze bardziej... a może jej ciężar okazał się zbyt duży dla zmasakrowanego karku.

– Taak... Vizjerei jak... mój przyjaciel... starzec... o wielkiej wiedzy... znany jako... Drogan.



– Nazywam się Drogan - przedstawił się czarodziej, gdy weszli do komnaty. - Spocznij, Norreku Vizharanie.

Gdy weteran rozejrzał się po pracowni Vizjerei, uczucie dręczącego niepokoju przybrało na sile po tysiackroć. Ten niemłody, lecz potężny mężczyzna bez najmniejszego trudu sprowadził Norreka do siebie, a do tego zdawał się doskonale wiedzieć, co wydarzyło się w krypcie.

– Zawsze wiedziałem, że przekleństwo Bartuka nie da się pogrzebać na wieki - zaczął, gdy żołnierz usiadł na starym krześle. - Zawsze wiedziałem.

Po krótkiej wędrówce przez wyjątkowo mało przyjemne uliczki bogatego miasta znaleźli się w tej ciemnej komnacie. Drzwi, którymi tu weszli, zdawały się prowadzić do opuszczonych, pełnych szcurów ruin. Jednak gdy tylko przekroczyli próg, wewnątrz się zmieniło... okazało się starym, lecz wciąż imponującym budynkiem, który, według słów Drognana, był kiedyś domem Horazona, brata Krwawego Pana.

Siedziba została opuszczona długo po tym, jak przepadł jej gospodarz, ale zaklęcia ukrywające przed oczyma ciekawskich wciąż spełniały swoje zadanie, dopóki Drognan ich nie przełamał, gdy dotarł tu w poszukiwaniu grobowca Horazona. Uznawszy, że jak na razie nikt poza nim nie ma większego prawa do tego zaklętego domostwa, Vizjerei wprowadził się tu i kontynuował swoją misję.

Przeszli przez pusty hol, gdzie ściany ozdobione były gobelinami o najróżniejszych wzorach, w tym przedstawiających zwierzęta, wojowników oraz legendarne budowle, i weszli do tej komnaty, którą stary czarodziej nazywał domem. Na każdej ze ścian półki sięgały sufitu, a wszystkie wypełnione były taką ilością ksiąg i zwojów, jakiej Norrek, prosty żołnierz, nigdy sobie nie wyobrażał. Potrafił czytać, ale tytuły tych woluminów były w większości w obcych językach.

Niewiele innych rzeczy stało na półkach poza księgami. Najbardziej przyciągały wzrok wypolerowana czaszka i kilka słoików z ciemnym płynem. Poza tym w pokoju znajdował się solidnie wykonany stół i dwa stare, ale wciąż wygodne fotele. Pomieszczenie wyglądało tak, jak chyba powinno wyglądać biuro szambelana w sułtańskim pałacu. Nie takiego wystroju spodziewał się Norrek po Vizjerei. Jak większość ludzi prostych oczekiwał raczej przerażających albo obrzydliwych przedmiotów, które uważał za niezbędne w pracy czarodzieja.



– Jestem... badaczem - odezwał się Drognan, jakby odczuwał potrzebę wyjaśnienia, dlaczego tak właśnie urządził swój dom.

Badacz, dzięki któremu nikt nie zatrzymał Norreka w porcie. Badacz, który swoją mocą przejął kontrolę nad umysłami pół tuzina żołnierzy i skłonił ich, żeby sprowadzili tu weterana.

Badacz, który niewątpliwie maczał palce w mrocznych sztukach, wiedział, jakie zaklęcia znajdują się w zbroi Bartuka, i z łatwością je przełamał.

I z tego właśnie powodu Norrek szedł za badaczem chętnie. Po raz pierwszy od czasu, gdy wyszedł z grobowca, pojawiła się nadzieja na uwolnienie z tego żerującego na weteranie pancerza.

– Tydzień temu lub dwa miałem wizję. - Czarodziej powiódł pomarszczonym palcem po grzbietach książek, najwyraźniej poszukując konkretnego tytułu. - Spuścizna Bartuka powstała z grobu. Początkowo nie mogłem w to uwierzyć, ale kiedy wizja się powtarzała, zrozumiałem, że jest prawdziwa.

Od tego momentu, opowiadał Drognan, rzucał czar za czarem, aby poznać znaczenie objawienia, i w ten sposób odkrył sekret Norreka oraz poznał szczegóły podróży, do jakiej zmusiła go zbroja. I choć mag nie mógł obserwować wojownika podczas tej wędrówki, to przynajmniej zdołał ustalić, dokąd tamten zmierzał. Okazało się, że zbroja i człowiek, który ją nosił, znajdują się niedługo bardzo blisko, co było niezwykle szczęśliwym zbiegiem okoliczności w opinii Vizjerei.

Drognan zdjął z półki opasłe tomisko i delikatnie położył na stojącym pośrodku komnaty stole.

– Nie zdziwiło mnie, młody człowieku, że zbroja usiłuje dotrzeć do Lut Gholein - mówił dalej, kartkując wolumin. - Jeśli jakiś pozostający na tym

świecie, widmowy aspekt Bartuka chce spełnić swoje ostatnie życzenie, to podróż do tego miasta ma sens z dwóch istotnych powodów.

Norreka te powody nie obchodziły w najmniejszym stopniu, bardziej zainteresowała go niejasna sugestia, że Vizjerei może spełnić życzenie weterana i zwrócić mu wolność.

– Czy zaklęcie jest w tej księdze?

Stary czarodziej podniósł wzrok znad kart tomu.

– Jakie zaklęcie?

– Takie, które uwolni mnie od tego, rzecz jasna! - Norrek uderzył pięścią w napierśnik. - Przeklęta zbroja! Mówiłeś, że znasz jakiś sposób, by ją ze mnie zdrzeć.

– Jestem przy tym pewien, że moje wcześniejsze słowa brzmiały: jeśli chcesz żyć, będziesz robić to, czego sobie zażyczę... dokładnie tak, jak sobie zażyczę...

– Ale zbroja! Niech cię, Vizjerei! Tylko to mnie obchodzi! Rzuć czar! Wyciągnij mnie z niej, póki jej moc nie działa!

Czarodziej zerknął na Norreka jak ojciec na marudzącego syna.

– Jeśli chodzi o zbroję, to choć nie mogę jej na razie z ciebie zdjąć, zapewniam, że nie musisz martwić się o zaklęcia, póki mam ją w swej mocy.

Drognan sięgnął do kieszeni w swojej szacie i wyciągnął stamtąd coś, co początkowo wyglądało jak krótki patyk, ale wkrótce okazało się, że tak naprawdę jest znacznie, znacznie dłuższe. Norrek ujrzał mierzącą ponad cztery stopy czarodziejską laskę, pokrytą skomplikowanymi, błyszczącymi runami.

– Patrz - nakazał Vizjerei i skierował laskę w weterana.

Norrek, który wystarczająco długo podróżował z Fauztinem, aby wiedzieć, co znajduje się na tym końcu magicznej laski, poderwał się na

równe nogi.

– Stój...

– *Furiosic!* – krzyknął mag.

Płomienie strzeliły i napały na żołnierza coraz szerszą ławą, niczym ognista płachta.

O kilka cali przed nosem Norreka ogień zgasł.

Początkowo weteran sądził, że to zbroja znów go uratowała, ale wtedy dotarło do niego, że stary mag się śmieje.

– Nie bój się, młody człowieku, nawet włosów ci nie osmaliło. Widzisz, co mam na myśli? Całkowicie panuję nad zbroją! Gdybym zechciał, zostałyby z ciebie tylko spalony szkielet i nawet zbroja by cię nie ocaliła! Żyjesz, bo przerwałem czar. A teraz usiądź...

Norrek osunął się na fotel, na twarzy czuł jeszcze żar płomieni. Budzący postrach pokaz Drognana dowiódł niewątpliwie dwóch kwestii.

Po pierwsze, że stary czarodziej mówił prawdę, udało mu się ujarzmić zaklęcia umieszczone w zbroi.

Po drugie, Norrek oddał się w ręce bezwzględного i najpewniej na wpół szalonego czarnoksiężnika.

Jednak... jak inaczej mógłby postąpić?

– Obok ciebie stoi butelka wina. Nalej sobie, uspokój nerwy.

Sama propozycja wzmogła jeszcze niepokój Norreka, gdyż zarówno butelki, jak i stolika jeszcze przed chwilą wcale tu nie było. Jednak nie dał tego po sobie poznać. Napełnił puchar i upił spory łyk.

– Zaraz będzie lepiej. - Położywszy rozwartą dłoń na jednej ze stron księgi, Drognan zerknął na gościa. Jego laska beczynnie spoczywała w drugiej ręce. - Znasz historię Lut Gholein?

– Nie bardzo.

Czarodziej odsunął się od księgi.

– W takim razie jeden fakt przybliżę ci od razu, jest on bowiem w twojej sytuacji niezmiernie istotny. Nim powstało Lut Gholein, ziemie te były przez krótki czas kolonią Imperium Kedżystanu. Były tu świątynie Vizjerei i garnizony wojskowe. Jednak jeszcze zanim nadeszły czasy Bartuka i Horazona, imperium zaczęło wycofywać się z tej części morza. Obecność Vizjerei, choć zachowali silne wpływy, okazała się zbyt kosztowna. - Na jego śniadej, wąskiej twarzy pojawił się niemal dziecięcy uśmiech. - To doprawdy fascynujące!

Norrek, który w zaistniałych okolicznościach nie bardzo miał ochotę na wykłady z historii, zmarszczył ponuro brwi. Drogan zdawał się tego nie zauważać.

– Po wojnie, po tym, jak Bartuk został pokonany i uśmiercony, imperium nigdy nie odzyskało dawnej chwały. Co gorsza, tamtejszy największy mag, klejnot w koronie, doznał poważnego uszczerbku na ciele i niestety, również na *umyśle*. Mówię, rzecz jasna, o Horazonie.

– Który przybył do Lut Gholein - podsunął Norrek w nadziei, że w ten sposób pomoże paplającemu starcowi dotrzeć do konkluzji. Może wtedy czarodziej byłby skłonny pomóc wojownikowi.

– Właśnie tak, do Lut Gholein. Oczywiście, wtedy nazywało się inaczej. Horazon, który zwycięstwo okupił tak wielkim cierpieniem, przybył tu i próbował wieść życie poświęcone intelektualnym poszukiwaniom. I wtedy, jak już mówiłem, nagle zniknął bez śladu.

Weteran czekał na dalszy ciąg opowieści, ale Drogan miał minę, jakby to, co właśnie powiedział, wszystko wyjaśniało.

– Widzę, że nie rozumiesz - stwierdził w końcu.

– Rozumiem, że Horazon przybył do tego kraju, a teraz znalazła się tu również przeklęta zbroja jego znenawidzonego brata! Rozumiem też, że widziałem mordowanych ludzi, demony powstające z ziemi, i rozumiem, że

moje życie nie należy już do mnie, ale do martwego władcy demonów! - Norrek wstał, bo stracił już cierpliwość.

Drognan mógł z łatwością podnieść laskę i zabić go na miejscu, ale weteran miał wszystkiego dość.

– Pomóż mi lub zabij, Vizjerei! Nie mam czasu na lekcje historii! Chcę się tylko uwolnić z tego piekła.

– Siądź.

Norrek usiadł, ale nie z własnej woli. Ciemność przemknęła przez twarz Drognana, ciemność, która uświadomiła nieszczęsnemu wojownikowi, że ten człowiek nie tylko bez większego trudu kontrolował sześciu gwardzistów, ale również przekłętą zbroję.

– Ocalę cię nawet wbrew twojej woli, Norreku Vizharanie. Choć niewątpliwie żaden z ciebie sługa Vizjerei mimo tego starożytnego nazwiska! Uratuję cię, jeżeli poprowadzisz mnie do czegoś, czego szukałem przez ponad połowę swego życia!

Za pomocą zaklęcia Drognan tak mocno wcisnął Norreka w fotel, że żołnierz z ledwością mógł mówić.

– O... o co ci chodzi? Poprowadzę... do czego?

Drognan rzucił mu spojrzenie pełne niedowierzania.

– Do tego, co musi być pogrzebane pod samym miastem, do tego, czego musi szukać również zbroja... Do grobowca brata Bartuka, Horazona... legendarnego Tajemnego Sanktuarium!

# DWANAŚCIE



Jak każdej nocy, generał Augustus Malevolyn obchodził granice obozu. Jak każdej nocy, uważnie przyglądał się wszystkiemu, co wiązało się z gotowością jego ludzi. Niedbałość oznaczała karę niezależnie od rangi.

Jednakże jedno generał zrobił inaczej, choć niewielka zmiana nie zwróciła uwagi większości jego żołnierzy. Tej nocy Malevolyn wyszedł na obchód w szkarłatnym hełmie Bartuka.

To, że hełm nie do końca pasował do reszty zbroi, nie martwiło generała wcale. Prawdę powiedziawszy, coraz częściej się zastanawiał nad sposobem, w jaki mógłby reszcie pancerza nadać barwę zbliżoną do hełmu. Jak na razie Malevolyn znalazł tylko jedną metodę, dzięki której mógłby uzyskać unikalny kolor płyt, ale zastosowanie tego sposobu wywołałoby z pewnością otwarty bunt.

Gdy poprawiał hełm, dłoń dotykała metalu niemal z czułością. Generał zauważył pewne niezadowolenie Galeony, kiedy odmówił zdjęcia hełmu, ale złożył to na karb obawy przed jego wzrastającą potęgą. Po prawdzie gdy już zarówno hełm, jak i zbroja znajdą się w jego posiadaniu, nie będzie potrzebował magicznych umiejętności wiedźmy. I choć nie przeczył, że jej bardziej przyziemne talenty były naprawdę wysokiej próby, to nie miał wątpliwości, że zawsze znajdzie inną, bardziej chętną, bardziej uległą kobietę, która zaspokoi jego wszelkie potrzeby.

Oczywiście na potrzeby ciała przyjdzie czas później. Teraz wzywało go Lut Gholein. Żaden podstęp nie odbierze mu miasta, tak jak wydarto mu Viz-jun.

*Czy jesteś tego godzien? Czy jesteś godzien chwały, godzien dziedzictwa Bartuka?*

Malevolyn zamarł. Głos w jego głowie, ten sam, który poprzedniego wieczora zadawał pytania, jakie generał bał się wspominać, otwarcie mówił o tym, czego Malevolyn nie ośmielał się formułować.

*Czy jesteś tego godzien? Dowiedziesz swej wartości? Czy weźmiesz przeznaczenie we własne ręce?*

Niewyraźny błysk światła tuż poza granicą obozu zwrócił uwagę generała. Malevolyn już otworzył usta, aby wezwać strażę, i wtedy dostrzegł zamierzającego ku niemu żołnierza z dogasającą pochodnią w ręku. Blask pełgających płomieni był tak słaby, że postać pozostawała w cieniu, nawet gdy żołnierz zbliżył się na odległość kilku jardów.

– Generale - wyszeptał, salutując - musicie to zobaczyć, panie.

– Co się stało? Znalazłeś coś?

Ale żołnierz już się odwrócił i ruszył w mrok.

– Lepiej, żebyście sami to zobaczyli, generale.

Marszcząc brwi, Malevolyn podążył za żołnierzem, trzymając dłoń na rękojeści miecza. Strażnik niewątpliwie rozumiał, że to, co chce pokazać, musi być naprawdę wyjątkowo ważne albo przyjdzie mu ponieść srogą karę. Malevolyn nie lubił, by ktoś przeszkadzał mu w rutynowych zajęciach.

Przeszli kilka jardów po nierównym gruncie, wspięli się na wydnię i ostrożnie zsunęli zboczem po drugiej stronie. Wśród wszechobecnych piasków czerniał zarys skalistej grani. Generał przypuszczał, że cokolwiek strażnik zauważył, musiało znajdować się właśnie tam. Jeśli nie...

Strażnik się zatrzymał. Malevolyn nie miał pojęcia, czemu ten człowiek wciąż niósł pochodnię. Słabiutki płomyk w ogóle nie oświetlał im drogi, stanowił jedynie ostrzeżenie dla ewentualnego przeciwnika, czającego się w ciemności. Wódz przeklął w duchu, że nie kazał wcześniej zgasić dopalającej się żagwi, ale uznał, że skoro żołnierz sam tego nie zrobił, to, co chciał pokazać generałowi, nie stanowiło żadnej groźby.

– No i co zobaczyłeś? To gdzieś obok skał? - zapytał niewyraźnie Augustus Malevolyn, wypluwając drobiny piasku.

– Trudno to wyjaśnić, generale. To trzeba zobaczyć. - Żołnierz wskazał na prawo. - Tam jest twardsze podłoże, generale. Jeśli pójdziecie, panie...

Może żołnierz odkrył jakieś ruiny. To by było interesujące. Od bardzo dawna Vizjerei mieli w okolicach Aranoch swoje siedziby. Czyżby żołnierz znalazł pozostałości jednej z ich świątyń? Prawdopodobnie kryły w sobie tajemnice, które generał mógłby wykorzystać.

Ziemia pod jego stopami, tam gdzie kazał mu stanąć wartownik, nagle się poruszyła.

Malevolyn wpierw się zatoczył, potem poleciał do przodu.

Obawiając się, że może zgubić hełm, przytrzymał go, ale przez to nie mógł osłabić upadku. Zaboląła go prawa ręka, ta, która musiała utrzymać ciężar jego ciała. Spróbował się podnieść, ale piaszczyste podłoże wcale mu tego nie ułatwiało.

Rozejrzał się w poszukiwaniu głupca, który go tu wprowadził.

– Nie stój tak, ty łotrze! Pomóż mi...

Strażnik zniknął, nie było nawet widać jego dogorywającej pochodni.

Malevolyn odzyskał wreszcie równowagę i zdołał się podźwignąć. Ostrożnie sięgnął po miecz i odkrył, że nie tylko żołnierz zniknął.

*Czy jesteś godzien?* - powtórzył przeklęty głos w jego głowie.



W fontannie piachu pojawiły się cztery ohydne kształty tylko w zarysie przypominające ludzkie.

Nawet w ciemnościach generał mógł dostrzec twarde pancerze i zniekształcone głowy, podobne do owadzych. Obrazu insekta z najgorszych koszmarów dopełniała para ramion, zakończonych przerośniętymi, ostrymi szczypcami. Jednak te stwory nie były złym snem generała. Słyszał o pustynnych czerwiach, gigantycznych stawonogach, które polowały wśród piachów Aranoch, słyszał też o potworach, które polowały na nie... gdy zabrakło ludzi.

I choć demoniczne skarabeusze ponosiły zapewne winę za zniknięcie niejednej karawany na przestrzeni lat, to generał nie słyszał, by kiedykolwiek czaiły się na drodze sił, jakie prowadził Malevolyn. Nie była to największa z armii, jeszcze nie, ale zdyscyplinowani żołnierze z pewnością nie stanowili łatwego celu dla pustynnych stworów. Ohydne istoty wolały słabsze ofiary.

Takie jak samotny wojownik podstępem przywiedziony prosto w ich pułapkę?

Gdy tylko Malevolyn znajdzie zdradzieckiego wartownika, dowie się, który z oficerów sprzeniewierzył się swemu dowódcy. Chwilowo miał jednak pilniejsze kwestie do rozwiązania, na przykład jak nie stać się kolejnym posiłkiem demonicznych skarabeuszy.

*Czy jesteś godzien?* – powtarzał głos w jego głowie.

Jakby nagle pobudzony do działania, jeden z groteskowych potworów sięgnął ku niemu, odnóża i żuwaczki klekotały wściekle, jakby w przeczuciu krwawej uczty. Choć nie były prawdziwymi bestiami z piekielnych czeluści, demoniczne skarabeusze wciąż stanowiły potwornego przeciwnika dla zwykłego człowieka.

Jednak Augustus Malevolyn nie uważał się za *zwykłego* człowieka.

Zareagował instynktownie, uniósł ramię, by powstrzymać potężne kleszcze. Ku jego zdumieniu i zapewne ku zdumieniu potwora w dłoni generała zmaterializowało się ostrze o barwie hebanu, otoczone płonąca szkarłatną aurą, która oświetlała otoczenie lepiej niż jakakolwiek pochodnia. Ostrze rosło, nawet wtedy gdy już przecinało powietrze, jednak przez cały czas zachowało idealne wyważenie.

Zatonęło w chitynowym pancerzu, z łatwością odcinając odnóże, które poleciało gdzieś w bok. Skarabeusz zakwicział cienko i odskoczył, z kikuta kapłała mu ciemna posoka.

Generał Malevolyn nie zatrzymał się jednak, nie pozwolił się zaskoczyć temu niezwykłemu obrotowi zdarzeń. Z wprawą zwrócił zaklęte ostrze przeciw drugiemu z napastników. Zanim jeszcze potwór upadł, generał już nieustępliwie atakował trzeciego.

Pozostałe dwa dołączyły do atakowanego pobratymca, usiłując zająć Malevolyna z różnych stron. Generał zrobił krok do tyłu, zmienił pozycję i natychmiast zabił tego, któremu odciął odnóże. Gdy następna para przeciwników padła trupem, odwrócił się, zawiął mieczem i pozbawił kolejnego głowy.

Śmierdząca ciecz bryznęła na generała, pozbawiając go wzroku. Ostatni z napastników wykorzystał tę przewagę, przygwoździł Malevolyna i spróbował przegryźć mu gardło. Warcząc jak zwierzę, generał zablokował żuwaczki opancerzonym przedramieniem, mając nadzieję, że zbroja ochroni ciało i kości.

Kolanem odepchnął nieco potwora, wydostając się tym samym z zasięgu żuwaczek. Zyskał swobodę ruchu, której potrzebował. Obróciwszy miecz, z całej siły wbił ostrze w miejsce poniżej łba stwora, gdzie pancerz był najcieńszy.

Przerażający owad skrzeknął rozpaczliwie i padł martwy na generała.

Z lekkim obrzydzeniem dowódca zepchnął z siebie zewłok.

Jego nieskazitelna zbroja była uwalana krwią demonicznych skarabeuszy, które poza tym nie uczyniły Malevolynowi żadnej krzywdy.

Popatrzył na ciemne, nieruchome kształty, z jednej strony rozgniewany zdradą, z drugiej zadowolony, że w pojedynkę pokonał cztery piekielne stwory. Augustus Malevolyn dotknął napierśnika zbrukanego posoką. Z namysłem popatrzył na cuchnącą maź, która teraz pokrywała jego opancerzoną dłoń. Tknięty impulsem, ponownie dotknął napierśnika, lecz zamiast oczyścić zbroję, zaczął rozmazywać juchę - tak jak czynił Bartuk z krwią pokonanych.

- Więc... może jednak *jesteś* godzien...

Malevolyn odwrócił się i dostrzegł otuloną mrokiem postać zdradzieckiego strażnika. Jednak zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że ten, którego wziął za jednego ze swoich ludzi, jest istotą znacznie bardziej potężną, a przede wszystkim *złowrogą*...

- Teraz cię poznaję... - zamruczał. Jego oczy lekko się rozszerzyły, gdy dostrzegł prawdę. - A raczej... wiem, *czym* jesteś... *demonie*...

Postać zaśmiała się cicho. Żaden człowiek śmiać się tak nie mógł. Przed zdumionymi oczyma generała Malevolyna sylwetka strażnika skrzyła się, urosła, zmieniła w istotę nie z tego świata. Górowała nad człowiekiem, a tam, gdzie były cztery kończyny, teraz zmaterializowało się sześć. Pierwsza para przypominała wielkie ostrza kos, środkowa wyglądała jak szkieletowe ręce z morderczymi pazurami, na trzeciej parze, podobnej do nóg owadów, wspierał się korpus.

Modliszka. Modliszka prosto z Piekła.

- Bądź pozdrowiony, Augustusie Malevolynie, generale z Zachodniej Marchii, wojowniku, zdobywco, cesarzu... i prawy dziedzicu Krwawego

Pana. - Odrażający potwór wykonał dziwny ukłon, ostre końce kos zagłębiły się w piasku. - Ten tutaj gratuluje ci twej godności...

Malevolyn popatrzył na swoją dłoń, znów pustą. Magiczne ostrze znikło, gdy nie było już potrzebne, ale generał wiedział, że w przyszłości z łatwością będzie je mógł przywołać, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- To ty jesteś głosem w mojej głowie - odpowiedział wreszcie Augustus.

- To ty mi się przypochlebiałeś...

Demon przekrzywił głowę, wyłupiaste oczy zapłonęły.

- Ten tutaj się nie przypochlebia... po prostu zachęcał.

- A gdybym nie zdał tego małego testu?

- Wtedy ten tutaj byłby strasznie rozczarowany.

Na te słowa Malevolyn się roześmiał, nie bacząc, jakie może wywołać to konsekwencje.

- Zatem dobrze się stało, że nie zawiodłem. - Gdy Malevolyn myślał, jedna ręka odruchowo powędrowała do hełmu, by go poprawić.

Najpierw wizje, potem rozwinięcie ograniczonych do tej pory mocy, a teraz magiczne ostrze i kłaniający się demon. Z pewnością było tak, jak powiedziała modliszka: Augustus Malevolyn zasłużył na zbroję Bartuka.

- Jesteś godzien - zaświergotał demon. - Tak mówi ten tutaj, zwany Xazaxem, lecz jedno wciąż poza twym zasięgiem pozostaje! Jedno jeszcze mieć musisz, nim Bartukiem się staniesz!

Generał Malevolyn zrozumiał.

- Zbroja. Zbroja, którą nosi ten głupi kmiot! Nawet teraz podąża do mnie przez morze! Galeona mówi, że zbroja zbliża się do Lut Gholein, dlatego tam maszerujemy. - Zamilkł, zamyśliwszy się. - Prawdopodobnie nadeszła pora sprawdzić, czego się o niej dowiedziała. Być może z twoją pomocą...

- Lepiej nie mówić o mnie swojej czarodziejce, o wielki! - Xazax zaświergotał wyraźnie zaniepokojony. - Takim jak ona... nie zawsze można

ufać. Najlepiej w ogóle się z nimi nie zadawać.

Malevolyn szybko rozważył słowa demona. Xazax mówił tak, jakby on i Galeona mieli wspólną przeszłość, co by zresztą wcale nie zaskoczyło generała. Wiedźma obcowała z ciemnymi mocami niemal na co dzień. Jednak zaciekało go, że ten stwór najwyraźniej nie chciał, aby Galeona wiedziała o sprawach, o których teraz rozmawiali. Różnica zdań? Zdrada? Jeśli tylko przyniesie korzyści Malevolynowi, to bardzo dobrze.

Skinął głową.

– Dobrze. Dopóki nie zdecyduję, co należy zrobić, nie wspomnę jej o naszej rozmowie.

– Ten tutaj docenia twoje zrozumienie.

– Ależ nie warto wspominać... - Generał nie miał czasu zajmować się czarodziejką. Xazax poruszył temat znacznie bardziej istotny. - Mówiłeś o zbroi. Wiesz coś o niej?

Przerażająca modliszka znów się skłoniła. Nawet w świetle gwiazd generał mógł dostrzec tętnice biegnące przez ciało potwora. Tętnice, które nieustająco pulsowały.

– Obecnie ten głupiec dotarł z nią do Lut Gholein... ale do tej pory mógł ją ukryć gdzieś w mieście, poza zasięgiem tego, któremu się ona należy...

– Już o tym myślałem. - Rzeczywiście, generał Malevolyn dużo o tym myślał, myślał i czuł rosnący gniew, choć nie dał po sobie poznać furii, jaka w nim płonęła.

W głębi duszy był pewien, że mógłby zdobyć Lut Gholein, więc i pojmać wieśniaka w zbroi, ale gdy zaczął szacować straty, jakie by poniósł, uznał je za nadmierne pod każdym względem.

Prawdopodobieństwo porażki wciąż było niemałe. Tak naprawdę, Malevolyn zamierzał utrzymać armię poza granicami miasta, w ukryciu,

czekając, aż kmiot sam wyjdzie na pustynię. Niestety, generał nie mógł założyć, że ten głupiec postąpi tak, jak Malevolyn by tego pragnął.

Xazax się zbliżył.

– Miasto jest silne i ma wielu żołnierzy wyszkolonych w sztuce wojennej. Ten, który ma zbroję, może się czuć tam bezpiecznie.

– Wiem.

– Ale ten tutaj posiada klucz, który odda ci Lut Gholein... siłę najstraszliwszą... której nie oprze się żadna ludzka armia.

Malevolyn ledwie wierzył w to, co słyszał.

– Czy sugerujesz...

Demon zerknął na obóz, jakby coś stamtąd usłyszał. Potem znów zwrócił się do człowieka.

– Gdy będziesz o dzień drogi od miasta, porozmawiamy ponownie. Wówczas musisz być gotów, aby zrobić to...

Generał słuchał. Początkowo nawet jego odrzuciła propozycja demona, ale gdy Xazax wyjaśnił mu, czemu tak musi być, Augustus Malevolyn uznał tę konieczność... i poczuł narastające podniecenie.

– Zrobisz to? - zapytała modliszka.

– Tak... tak, zrobię... i to z chęcią.

– Zatem wkrótce znów się spotkamy. - Postać Xazaxa stała się nagle niewyraźna, rychło upodabniając się raczej do cienia niż istoty z krwi i kości. - Do tego czasu chwała ci po raz wtóry, generale! Ten tutaj pozdrawia dziedzica Bartuka! Ten tutaj pozdrawia nowego władcę demonów! Pozdrawia nowego Krwawego Pana!

I z tymi słowy Xazax zniknął w ciemnościach.

Generał Malevolyn natychmiast ruszył z powrotem do obozu. Jego myśli gnały jak szalone, a słowa potwornej modliszki odbijały się echem w głowie. Ta noc okazała się dla generała przełomową. Test demona i sposób,

w jaki Malevolyn go zdał, zbladły w porównaniu z propozycją złożoną przez Xazaxa. I ze sposobem, w jaki demon odda Lut Gholein i zbroję w ręce generała.

„Władca demonów” - powiedziała modliszka.



Trzeba przetrwać jeszcze jedną noc. Jeszcze jedna noc i „Królewska Tarcza” wpłynie do portu w Lut Gholein.

Jeszcze jedna noc i Kara znajdzie się na obcej ziemi w towarzystwie dwóch makabrycznych kompanów.

Jak poprzednio, wróciła z wieczerzą do kajuty i zjadła pod czujnym okiem nieumarłych. Fauztin nadal stał w kącie, blady Vizjerei wyglądał niczym koszmarne posąg. Za to Sadun Tryst, bardziej gadatliwy z przywołańców, siedział na ławie przymocowanej do ściany tuż obok łóżka. Próbował nawet od czasu do czasu rozmawiać z nekromantką, na czym jej akurat specjalnie nie zależało.

Był jednak temat, który interesował ją na tyle, by dała się wciągnąć w pogawędki. Tajemniczy Norrek Vizharan. Kara zauważyła coś dziwnego w sposobie, w jaki Tryst mówił o swoim dawnym towarzyszu. Zdawał się nie żywić wobec swego mordercy żadnych wrogich uczuć. Przez większość czasu po prostu zarzucał ją opowieściami o przygodach, które wspólnie przeżyli. Tryst wydawał się nawet współczuć Norrekowi, mimo potworności, jakich tamten się dopuścił.

– Ocalił... moje życie... więcej niż trzy razy... - zakończył upiór, po raz kolejny wmanewrowany w rozmowę o swoim zdradzieckim przyjacielu. - Nie było wojny... gorszej... niż ta.

– Od tamtego czasu podróżowaliście razem? - Wojna, o której mówił Tryst, toczyła się w Zachodnich Królestwach jakieś dziewięć lat temu. Jeśli tacy mężczyźni decydowali trzymać się razem przez tak długi czas, świadczyło to o naprawdę mocnych więzach.

– Taak... z wyjątkiem czasu... choroby Norreka... opuścił nas... na trzy miesiące... potem dołączył... - Gnijąca postać spojrzała na Vizjerei. - Pamiętasz... Fauztin?

Czarodziej lekko skinął głową. Kara spodziewała się, że jakoś zabroni Sadunowi snucia tych historii, ale on również wydawał się zasłuchany. Za życia obaj mężczyźni bardzo szanowali swego towarzysza, a po tym, co nekromantka usłyszała, zaczynała podzielać te uczucia.

Jednak ten sam Norrek Vizharan zamordował przyjaciół. Do życia powołało ich pragnienie zemsty i sprawiedliwości przekraczającej ludzkie pojmowanie. Powinni myśleć tylko o zemście, o rozdarciu Vizharana na sztuki i odesłaniu jego przekłętej duszy w zaświaty. To, że żywili jakiegokolwiek inne uczucia, nieustannie zdumiewało nekromantkę. Sadun Tryst i Fauztin nie zachowywali się jak zmartwychwstańcy, o których mówiły legendy.

– Co zrobicie, gdy go znajdziecie? - Nieraz o to pytała, ale nie uzyskała jasnej odpowiedzi.

– Zrobimy to... co musi... być... zrobione...

Znów odpowiedź, która jej nie zadowalała. Czemu skrywali prawdę przed Karą?

– Po tym, co uczynił, nawet wasza przyjaźń musi niewiele znaczyć. Jak Norrek mógł popełnić taką zbrodnię?

– Zrobił to... co musiało... być... zrobione - odpowiedział Tryst równie enigmatycznie, po czym uśmiechnął się, odsłaniając pośliskłe zęby w gnijących dziąsłach. Z dnia na dzień przywołańcy wyglądali gorzej.



Zgodnie z tym, co wiedziała Kara, nigdy nie rozpadną się w proch, ale ich człowieczeństwo z czasem stanie się coraz mniej widoczne. - Jesteś bardzo piękna...

- Co? - Kara Nocny Ciebie zamruwała, niepewna, czy dobrze usłyszała.

- Bardzo piękna... i świeża... żywa. - Zmartwychwstaniec nieoczekiwanie pochwycił pasemko jej długich, kruczoczarnych włosów. - Życie jest piękne... piękniejsze niż... dotąd...

Powstrzymała dreszcz. Intencje Saduna Trysta były jednoznaczne. Wciąż zbyt dobrze pamiętał przyjemności życia. Jedna z nich - jedzenie - już go rozczarowała. Teraz, gdy ukrywał się od >. tyłu dni w niewielkiej kajucie z żywą kobietą, najwyraźniej chciał ponownie przeżyć inne rozkosze. A Kara nie wiedziała, jak mogłaby go powstrzymać.

Sadun Tryst odwrócił się nagle i popatrzył na swego przyjaciela. Choć Kara niczego nie zauważyła, pomiędzy nimi musiała odbywać się rozmowa, której wynik nie zachwycił Saduna.

- Niech mi... chociaż zostaną... złudzenia...

Fauztin nic nie odrzekł, jego odpowiedzią było ledwie mrugnięcie. Jednak to chyba zdusiło zapał jego towarzysza.

- Nie... dotknąłbym jej... za bardzo... - Tryst spojrział prosto w oczy dziewczyny. - Ja tylko...

Głośne łomotanie do drzwi skłoniło go do pospiesznego umknięcia w ciemny kąt. Za każdym razem, gdy upiór poruszał się w ten sposób, Kara nie mogła uwierzyć własnym oczom. Czytała, że szybkość nie jest mocną stroną tych istot. Miały za to wytrzymałość i nieludzką cierpliwość.

Ukryty obok Vizjerei wydał rozkaz gestem, a Tryst przetłumaczył:

- Odpowiedz.

Posłuchała, niemal pewna, kogo zobaczy w progu. Tylko dwóch ludzi miało odwagę w ogóle przychodzić do jej kajuty, jednym z nich był kapitan

Jeronnan, z którym niedawno rozmawiała, a drugi...

– Tak, panie Drayko? - Uchyliła drzwi.

Wyglądał na skrępowanego.

– Moja pani, wiem, że życzyłaś sobie, aby nikt nie ci przeszkadzał, ale... chciałbym zapytać, czy mogłaby pani zamienić ze mną kilka słów na pokładzie?

– Dziękuję, panie Drayko, ale jak już to powiedziałam kapitanowi, mam jeszcze dużo do zrobienia, nim przybijemy do portu. - Zaczęła zamykać drzwi. - Dziękuję za propozycję...

– Nawet dla odrobiny *świeżego* powietrza?

Coś było zastanawiającego w tonie jego głosu, ale nekromantka nie umiała określić co. Tryst dał jej jasno do zrozumienia, że nie powinna pozostawać poza kajutą dłużej, niż trzeba, by odebrać posiłek z mesy. Przywołańcy woleli mieć na oku swoją żywą marionetkę.

– Przepraszam, ale nie.

– Tak myślałem. - Obrócił się, by odejść... po czym tak mocno uderzył w drzwi ramieniem, że Kara poleciała na łóżko. Cios nie ogłuszył jej, ale przez chwilę leżała bez ruchu, całkowicie oszołomiona śmiałością pierwszego oficera.

Drayko wylądował w kajucie na kolanach. Zobaczył przywołańców i zbladł.

– Na Króla Głębin!

W dłoni Trysta nagle pojawił się sztylet.

Marynarz sięgnął po swój nóż, który leżał tuż obok. Najwyraźniej Drayko trzymał broń w dłoni podczas rozmowy z Karą. Cały czas działał ze świadomością, że w kajucie jest coś nie tak... choć chyba nie spodziewał się tego, co zobaczył.

Gdy Sadun Tryst uniósł ramię, do małego pomieszczenia wpadła druga postać. Trzymając ceremonialną klingę, kapitan Hanos Jeronnan osłonił swojego oficera. W przeciwieństwie do Drayko nie wydawał się zaskoczony widokiem potwornych postaci. Sprawiał nawet wrażenie uradowanego.

– Nie pozwolę, by to się powtórzyło... - zamruczał. - Jej nie weźmiecie...

Kara zrozumiała natychmiast. Dla kapitana nieumarli byli wcieleniem niewidzialnego monstrum, które nie tylko porwało mu córkę, ale też zamieniło ją w potwora. Teraz zamierzał się zemścić.

A ponieważ jego klinga była wyłożona srebrem, istniała spora możliwość, że się uda.

Tryst rzucił sztyletem z szybkością, do jakiej nie powinno być zdolne jego gnijące ciało. Jeronnan zatoczył się, trafiony małym ostrzem w ramię. Nie cofnął się jednak. Choć z rany sączyła się krew, żeglarz bez wahania ruszył na upiora.

Z makabrycznym, zdawałoby się, szyderczym uśmiechem Sadun Tryst sięgnął ku klindze, zamierzając pochwycić ostrze. Jako że był już martwy, zwykła broń nie stanowiła dlań żadnego zagrożenia.

Klinga kapitana odcięła mu dwa palce.

Karą wstrząsnął ból tak ogromny, że zgięła się w pół, niemal upadając.

Z sykiem Tryst cofnął swoją okaleczoną dłoń. Patrząc na Jeronnana, wyszeptał do swojego towarzysza:

– Zrób coś... póki jeszcze mam... głowę... na karku...

Mimo że jej oczy wypełniły się łzami, nekromantka dostrzegła, że Fauztin mrugnął.

– Uważaj! - udało się jej krzyknąć.

Z ceremonialnego sztyletu buchnął strumień mocy, ciskając Jeronnanem i Drayko na przeciwległą ścianę. W tej samej chwili Vizjerei położył drugą

rękę na ścianie za nimi.

Za upiorami pojawiła się błękitna poświata.

Dwaj marynarze z pewnym trudem się podnieśli. Drayko ruszył do ataku, ale Jeronnan go odepchnął.

– Nie! Tylko ta broń się na nich nada! Przysięgam, że posiekam ich na przynętę dla ryb, o ile tylko ryby zjedzą coś tak zgniłego! Pilnuj dziewczyny!

Oficer posłuchał, przyskoczył do Kary.

– Możesz wstać?

Przy jego pomocy Karze się to udało. Ból nie minął, ale przynajmniej po pierwszym szoku była w stanie myśleć na tyle jasno, żeby zrozumieć, co się stało.

Fauztin poprzez sztylet związał jej życie z ich egzystencją. Sadun Tryst nie poczuł ciosu Jeronnana, był martwy, więc słabości żywych stały mu się obce. Wyglądało jednak na to, że każdy cios, jaki przyjmie jeden z nich, ona też będzie czuła.

Mając broń zdobioną srebrem, kapitan Jeronnan mógł nie tylko posiekać ich na przynętę, jak obiecywał, ale przy okazji zabić osobę, którą chciał ocalić.

Musiła go ostrzec.

– Drayko! Musisz zatrzymać Jeronnana!

– W porządku, panienko! Kapitan wie, co robi! Jego srebrne ostrze to najlepsza broń na takich jak oni! W tak małym pomieszczeniu uwinie się z nimi, zanim zdążą rzucić następny czar! - Drayko zmarszczył nos. - Bogowie, co za smród! Po tym, jak zaczęłaś się dziwnie zachowywać, kapitan Jeronnan przypomniał sobie, co się wydarzyło w Gea Kul, i był pewien, że coś się stało! Po obiedzie wezwał mnie do swojej kajuty,

powiedział, co podejrzewa, kazał iść ze sobą i przygotować się na spotkanie z piekłem. Choć chyba nie wiedział, jak bliski był prawdy!

– Słuchaj! Rzucili na mnie zaklęcie... - przerwała mu nekromantka.

– Dlatego nie mogłaś nic powiedzieć, rozumiem! - Zaczął popychać ją do drzwi, przed którymi zgromadziło się kilku marynarzy. Niektórzy mieli przygotowaną broń, ale nikt nie kwapił się do wejścia, stanowczo bardziej bali się nieumarłych niż gniewu kapitana i jego zastępcy.

– Chodź, jak najdalej od nich!

– Ale to nie... - urwała, gdy jej ciało nagle samo uwolniło się z uścisku oficera. Złapał ją za ramię.

– Nie tędy! Lepiej, abys...

Ku zdumieniu nekromantki jej własna dłoń zwinęła się w pięść i walnęła obrońcę w żołądek.

Choć cios nie był zbyt silny, jednak zupełnie zaskoczył Drayko. Pierwszy oficer Jeronnana cofnął się, bardziej z zaskoczenia niż z bólu.

Kara odwróciła się do nieumarłych... i zobaczyła, jak ponury Vizjerei wzywa ją gestem.

Kończyny Kary posłuchały wbrew jej woli. Błękitna poświata za zmartwychwstańcami zajmowała już większość ściany. Odkryci przez żywych, nieumarli zaczęli się cofać... ale mieli zamiar zabrać ze sobą swój skarb.

Kara usiłowała stawiać opór, nie tylko dlatego, że za nic nie chciała podążać za tą dwójką, ale też dlatego, że za ścianą kajuty było przecież jedynie morze. Tryst i jego towarzyszy nie musieli oddychać, ale Kara z pewnością tak.

*Chodź do mnie, nekromantko...* - usłyszała nagle w głowie. Fauztin wbijał w jej oczy nieruchome spojrzenie, zagłuszając wszelkie myśli.

Niezdolna do kontroli nad własnym ciałem, Kara pobiegła do nieumarłych.

– Panienko, nie! - Kapitan Jeronnan wyciągnął ramię, ale rana sprawiła, że nie chwycił zbyt mocno. Kara wydarła się z uścisku, po czym złapała okaleczoną dłoń Saduna Trysta.

– Mam... ją! - wyszeptał uśmiechnięty upiór.

Fauztin złapał towarzysza za ramię, po czym świadomie padł w tył i zniknął w błękitnej poświacie. Pociągnął za sobą Trysta. A Tryst Karę.

– Łap ją! - krzyknął kapitan. Drayko zawołał coś, pewnie jej imię, ale było za późno.

Nekromantka wpadła w poświatę i w dławiące objęcia wody.

# TRZYNAŚCIE



*Grób Horazona... Tajemne Sanktuarium...*

*Norrek Vizharan z trudem rozgarniał zasłony cienkiej i lepkiej pajęczyny, przedzierając się przez plątanię korytarzy.*

*Horazon...*

*Wzdłuż ścian stały posągi, a każdy miał twarz kogoś znajomego. Rozpoznał Attisa Zuuna, swego głupiego instruktora. Korbia, stanowczo zbyt niewinnego akolitę, którego poświęcił dla swoich celów. Merendiego, przywódcę rady, który padł ofiarą jego gładkich słówek. Jeslyna Kotaro, przyjaciela, którego zdradził. Pod pajęczynami znalazł wszystkich, których kiedykolwiek znał - z wyjątkiem jednej osoby.*

*Z wyjątkiem swojego brata Horazona.*

*– Gdzie jesteś?! - krzyknął Norrek. - Gdzie jesteś?!*

*Przed nim rozpościerała się ogromna krypta. W niszach po lewej i prawej stały na baczność szkielety w szatach Vizjerei. Na olbrzymim sarkofagu wyrzeźbiony był symbol klanu: smok zgięty nad półksiężycem.*

*– Horazon! - zawołał Norrek. - Horazon!*

*Echo powtórzyło imię kilka razy, jakby się naśmiewało. Rozzłoszczony, podszedł stanowczo do kamiennej trumny i sięgnął do ciężkiej pokrywy.*

*Gdy tylko jej dotknął, szkielety po obu stronach komnaty jęknęły chórem. Norrek aż się cofnął, ale furia i determinacja były silniejsze niż inne*

*emocje. Ignorując ostrzeżenia umarłych, żołnierz zepchnął pokrywę na podłogę, gdzie rozbiła się na tysiące kawałków.*

*W trumnie zobaczył postać otuloną całunem. Norrek, czując już smak zwycięstwa, wyciągnął rękę, aby zderzyć zasłonę z twarzy i spojrzeć w wysuszone, rozpadające się oblicze swojego przeklętego brata.*

*Dłoń pokryta gnijącym mięsem i robakami chwyciła go za nadgarstek.*

*Szarpał się, ale potworne palce nie zamierzały puścić. Ku przerażeniu Norreka ciało w trumnie zaczęło się osuwać głębiej i głębiej, jakby dno sarkofagu zapadało się w bezdenną otchłań. Bez względu na to, jak bardzo się starał, jak mocno próbował, nie mógł się uwolnić, został wciągnięty w głąb trumny, w niekończącą się ciemność.*

*Krzyczał, gdy świat umarłych zamknął się nad nim...*

*– Zbudź się.*

Norrek potrząsnął głową, odruchowo uniósł opancerzone dłonie, by odpędzić koszmary. Zamrugał, kiedy dotarło do niego, że wciąż siedzi w starym fotelu w sanktuarium Drognana. Sen o krypcie jego brata - nie, brata Bartuka - wydawał się prawdziwy, tak bardzo prawdziwy.

*– Spałeś. Śniłeś - powiedział stary Vizjerei.*

*– Tak... - W przeciwieństwie do innych snów ten Norrek pamiętał ze szczegółami. Prawdę powiedziawszy, wątpił, że kiedykolwiek zdoła to zapomnieć. - Przepraszam, że zasnąłem...*

*– Nie musisz przeproszać. W końcu to ja, z niewielką pomocą wina, sprawiłem, że usnąłeś... i że śniłeś.*

Nagły wybuch gniewu sprawił, że Norrek niemal poderwał się z fotela, ale powstrzymał go ruch dłoni Drognana.

*– Zechciej usiąść z powrotem.*

*– Coś ty zrobił? Jak długo spałem?*



– Uśpiłem cię wkrótce po tym, jak usiadłeś. A spałeś... prawie cały dzień. Zapadła noc i znowu wstało słońce. - Czarodziej podszedł bliżej i tym razem skorzystał z laski, by się podeprzeć, ale Norrek daleki był od uznania tego za oznakę słabości. - A jeśli pytasz, dlaczego tak postąpiłem, to powiedzmy, że uczyniłem właśnie pierwszy krok zbliżający nas do realizacji naszych zamiarów, przyjacielu. - Uśmiechnął się wyczekująco. - A teraz powiedz mi, co widziałeś we śnie?

– Nie wiesz?

– Sprawilem, że śniłeś, ale nie o czym.

– Chcesz powiedzieć, że sam wyśniłem ten koszmar?

Stary mag pogładził siwą brodę.

– Może miałem pewne możliwości wyboru odpowiedniego tematu... ale efekty były już twoje. Powiedz mi, o czym śniłeś.

– Ale po co?

– Żeby żyć. - Ton głosu Drognana w żadnej mierze nie był już przyjazny.

Świadom, że tak naprawdę nie ma wyboru, Norrek poddał się i opowiedział wszystko, co czarodziej chciał wiedzieć. Z niezwykłą dokładnością opisał miejsce, wydarzenia, a nawet twarze i imiona osób uwiecznionych w posągach. Drognan kiwał głową, bardzo zainteresowany. Zadawał pytania, żądając szczegółów, których Norrek początkowo w ogóle zapomniał wymienić. Każdy wydawał się dla maga istotny.

A gdy Norrek doszedł do opisu przerażających zdarzeń, które miały miejsce w krypcie, Vizjerei słuchał z wyjątkową uwagą. Drognan zdawał się czerpać szczególną przyjemność ze zmuszania Norreka do opisywania szkieletów magów i otwarcia sarkofagu. Nawet gdy Norrek drżał na samo wspomnienie swego upadku w otchłań, czarodziej nie przestawał naciskać, póki nie wy dobył z żołnierza ostatniego, najmniej ważnego skrawka informacji.

– Niesamowite! - wykrzyknął Drognan wreszcie, całkowicie obojętny, że kazał po raz kolejny przeżyć Norrekowi koszmar. - Tak wyraźny obraz! To musi być prawda!

– Co... co musi być?

– Naprawdę widziałeś grobowiec! *Prawdziwe Tajemne Sanktuarium!* Jestem tego pewien!

Jeśli spodziewał się, że Norrek podzieli jego entuzjazm, to czekało go rozczarowanie.

Żołnierz nie tylko nie wierzył, że to, co zobaczył, było prawdziwe... ale nawet jeśli takie miejsce istniało, stanowczo życzył sobie pozostać od niego jak najdalej. Po odwiedzinach w grobowcu Bartuka sama myśl o wejściu do krypty jego znienawidzonego brata przerażała wojownika. Od chwili gdy postawił stopę w grobie władcy demonów, Norrek doświadczył tylko nieszczęść i koszmarów ponad wszelkie wyobrażenie. Teraz pragnął jedynie uwolnić się od zbroi.

Podzielił się tymi przemyśleniami z Drognanem.

– Będziesz miał taką szansę, Vizharan... - odparł tamten. - Jeśli zechcesz raz jeszcze stawić czoła koszmarowi.

Podświadomie Norrek spodziewał się takiej odpowiedzi. Zarówno Bartuk, jak i Drognan byli dziedzicami kultury, która na pierwszym miejscu stawiała ambicję niezależnie od konsekwencji. Wedle tej zasady zbudowano Imperium Kedżystanu, a Vizjerei stanowiący jego kręgosłup uciekali się do przywoływania demonów, aby tym sposobem zyskać jak największą władzę i potęgę.

Dopiero gdy demony zwróciły się przeciwko nim, porzucili tę drogę. Jednak i teraz można było usłyszeć o Vizjerei, którzy w poszukiwaniu mocy zwrócili się ku Piekłowi.

Czasami nawet Fauztin wykazywał chęć przekroczenia granic tego, co jego klan uznawał za bezpieczne. Wszelako Norrek wolał wierzyć, że jego przyjaciel nie byłby skłonny jak Drogan skazywać kogoś na koszmar nie raz, a dwakroć tylko dla kaprysu.

Ale jaki właściwie Norrek miał wybór? Tylko Drogan po-wstrzymywał przeklętą zbroję, by nie popędziła z Norrekiem w środku ku jakiemuś straszemu przeznaczeniu...

Popatrzył na ogrom ksiąg i zwojów zebranych w przeciągu wielu lat przez starego Vizjerei. Norrek przypuszczał, że stanowiły one zaledwie część magazynu wiedzy Drogana. Czarodziej trzymał go tylko w tej jednej komnacie, niewątpliwie skrywając przed wzrokiem żołnierza część swoich sekretów. Jeśli ktokolwiek miał uwolnić Norreka od zbroi, byłby to ten Vizjerei - jednak tylko pod warunkiem, że Norrek zgodziłby się zapłacić za to stosowną cenę.

I jaki właściwie miał wybór?

- Dobrze! Rób, co musisz... i to szybko! Chcę, aby to się skończyło! - Norrek był świadom, że nigdy nie będzie końca temu poczuciu winy, jakie go przytłaczało.

- Oczywiście. - Drogan odwrócił się i sięgnął po kolejne opasłe tomiszczce. Przez chwilę wertował księgę. - Tak, to powinno zadziałać.

- Co?

- Pomimo animozji Bartuk i Horazon są na zawsze ze sobą związani, nawet po śmierci - wyjaśnił mag, odstawiając księgę na półkę. - To, że zbroja sprowadziła cię do Lut Gholein, wskazuje, że owa więź nadal pozostała silna. - Zmarszczył siwe brwi. - A twoja więź ze zbroją jest niemal tak samo mocna. Niespodziewana zaleta i dodam, zadziwiająca. Kiedy będzie po wszystkim, może przeprowadzę dokładniejsze badania.

– Nadal nie powiedziałeś mi, co chcesz zrobić - przypomniał weteran, wracając do najistotniejszej, jego zdaniem, kwestii. Rozumiał mniej więcej, że czarodziej mówił o więzi łączącej braci i o połączeniu ze zbroją, ale reszta nie miała dlań większego sensu i Norrek nawet nie zamierzał go szukać. Jego więź ze zbroją zaczęła się, gdy wkroczył do grobowca Bartuka, a skończy się, gdy Drognan zedrze z niego przekłety pancerz. Potem Vizjerei może zrobić, co zechce, najlepiej przetopić tę zbroję na lemiesz i inne niegroźne narzędzia.

– Tym razem rzucę zaklęcie, które pozwoli nam ustalić, gdzie naprawdę znajduje się grobowiec. Osobiście zawsze uważałem, że może być gdzieś pod miastem! - Drognanowi aż się oczy zaświeciły na taką ewentualność. - Będzie to wymagać od ciebie powrotu do snu... ale tym razem na jawie.

– Jak będę mógł śnić, skoro nie będę spał?

Mag przewrócił oczami.

– Chronicie mnie od niewtajemniczonych! Norreku Vizharanie, będziesz śnił na jawie dzięki mojemu zaklęciu. To wszystko, co musisz wiedzieć.

Z prawdziwą niechęcią Norrek skinął głową.

– Dobrze! Miejmy to za sobą!

– Przygotowania chwilę potrważą...

Zbliżywszy się, stary Vizjerei zakreślił czubkiem laski okrąg dookoła fotela. Gdy zamknął krąg, ten rozbłysnął żółtym, pulsującym światłem. Weteran jak nic zerwałby się z fotela, gdyby nie ostrzegawcze spojrzenie gospodarza. Próbując opanować niepokój, Norrek przypomniał sobie swój cel - wolność. Był gotów przejść przez wszystko, cokolwiek Drognan zechce, byle tylko odzyskać wolność.

Czarodziej zamruczał, po czym dotknął lewą ręką czoła Norreka. Żołnierz poczuł tylko lekki wstrząs.

Drogan palcem kreślił w powietrzu symbole, rozbłyskujące i gasnące, gdy kończył je rysować. Norrek widział je tylko przez krótkie chwile, ale jeden skojarzył mu się ze znakami strażniczymi, które widział na ścianach grobowca Bartuka. To wzmogło jego niepokój, ale nie mógł się już wycofać. Pozostało mu jedynie stawić czoła temu, co przyniesie zaklęcie.

– *Shazari... Shazari Tomei...*

Ciało Norreka zeszywniało, jak gdyby zbroja znów przejęła nad nim kontrolę. Jednak weteran wiedział, że tak być nie mogło, gdyż Drogan już dawno pokazał, iż zbroja znajduje się w jego mocy. Nie, to musiał być kolejny element czaru.

– *Tomei!* – zakrzyknął czarodziej, unosząc laskę wysoko nad głową. Mimo podeszłego wieku wyglądał przerażająco, był niewątpliwie najpotężniejszy z tych, których Norrek spotkał w swym życiu, nawet na polach bitew. Vizjerei otoczyła biała, trzaskająca wyładowaniami aura, która sprawiła, że jego broda i włosy zdawały się poruszać jak żywe.

– *Shazari Saruphi!*

Norrek zachłysnął się powietrzem w spazmie, jaki wstrząsnął jego ciałem. Wcisnęło go głęboko w fotel. Pracownia maga zaczęła oddalać się z zawrotną prędkością. Norrek miał wrażenie, że płynie, choć nie poruszał ani ręką, ani nogą.

Przed nim pojawiła się szmaragdowa poświata w kształcie nieregularnego koła. Z oddali słyszał, jak Drogan wykrzykuje coś jeszcze, ale słowa były rozwleczone i niezrozumiałe, jakby dla Vizjerei czas zwolnił i nawet dźwięk nie mógł poruszać się szybciej niż ślimak.

Szmaragdowy okrąg stał się równy i wyraźny. Wypełniająca go zielona mgła zniknęła i ukazał się obraz.

Krypta.

Coś w tym widoku natychmiast zaniepokoiło Norreka. Szczegóły zdały się zmienione, wiele wyglądało całkiem inaczej. Szkielety Vizjerei nie nosiły szat, ale bogato zdobione zbroje i wyglądały nie tyle na szczątki, lecz na kamienne rzeźby. Potężne pajęczyny zostały zastąpione przez zniszczone gobeliny przedstawiające smoki, roki i inne stwory magiczne. Zmienił się nawet symbol klanu braci - teraz był to duży ptak, trzymający w szponach słońce.

Norrek próbował się odezwać, ale nie zdołał. Znów natomiast usłyszał, jak Drogan wykrzykuje boleśnie. Mag wydawał się być jeszcze dalej niż poprzednio.

Nagle obraz krypty zaczął oddalać się coraz szybciej i szybciej. Choć Norrek wciąż siedział na krześle, zdało mu się, że biegnie do tyłu przez zatechłe korytarze wiodące do grobu Horazona. Przed Norrekiem przesuwały się szeregi posągów, znikając równie szybko jak krypta. Choć większość twarzy była tylko rozmazanymi plamami, udało mu się rozpoznać kilka z nich - nie były to oblicza z mrocznej przeszłości Krwawego Pana. Zobaczył twarze ze swojej przeszłości - Saduna Trysta, Fauztina, pierwszego dowódcę, kilka kobiet, które kochał, a nawet kapitana Casco. Niektórych nie rozpoznawał, jak chociażby bladej, ale atrakcyjnej młodej kobiety o włosach czarnych jak noc i oczach fascynujących nie ze względu na kształt, ale dlatego, że srebrzyście błyszcząły.

Ale po chwili nawet i posągi znikły mu z oczu. Teraz widział tylko ziemię i kamienie osypujące się wokół. Drogan wołał, ale równie dobrze mógł milczeć, bo Norrek i tak go nie rozumiał.

Wreszcie ziemia i kamień ustąpiły bardziej sypkiemu podłożu... *Piasek* - uświadomił sobie wojownik. Kontury rozbłysły, może od światła dziennego.

*Norrek!*

Weteran potrząsnął głową pewny, iż wyobraził sobie, jak ktoś woła jego imię.

*Norrek! Vizharan!*

To musiał być głos Drognana, ale takiego tonu Norrek jeszcze u niego nie słyszał. Niepewność, jakby Vizjerei był przestraszony.

*Vizharan! Walcz z tym!*

W Norreku coś drgnęło, przeszył go strach...

Lewa ręka uniosła się sama.

– Nie! - krzyknął. Jego głos dobiegał z oddali, jakby nie należał do niego. Druga ręka weterana uniosła się, a ciało podążyło za zbroją.

Ledwie wstał z krzesła, gdy jakaś siła próbowała go powstrzymać. Norrek widział zniekształconą postać Drognana, który trzymał oburącz laskę i próbował oddzielić żołnierza od wizji Tajemnego Sanktuarium. Obleczone w rękawice dłonie chwyciły laskę, jakby Norrek chciał ją odebrać czarodziejowi.

Laska trzaskała wyładowaniami, żółtymi w miejscu, gdzie ścisnął ją Drognan, i szkarłatnymi tam, gdzie zamknęły się na niej palce Norreka. Weteran czuł, jak przepływają przez niego potężne moce...

*Walcz z tym, Vizharan!* – zawołał Drognan. Jego usta się nie poruszały, ale wysiłek malujący się na twarzy dorównywał temu, który przebijał w głosie. *Zbroja jest silniejsza, niż sądziłem! Cały czas byliśmy oszukiwani!*

Nic więcej nie trzeba było mówić. Norrek wszystko zrozumiał. Zaczarowana zbroja najwyraźniej nigdy nie była pod kontrolą Vizjerei, po prostu czekała na właściwy moment, aż Drognan pokaże to, czego przez tak długi czas szukał.

Położenie grobu Horazona.

Jednak w kilku sprawach Drognan miał rację. Powiedział, że Bartuk i jego brat są związani na wieki. Teraz Norrek rozumiał, czemu zbroja wlokła

go na drugi kraniec świata. Ciągnęło ją do miejsca wiecznego spoczynku Horazona, a pragnienie było tak potężne, że okazało się silniejsze nawet od śmierci.

Zbroja posiadała świadomość. Dowiodła, że jest sprytniejsza niż Norrek i wszyscy, których spotkał na swej drodze. Zapewne gdy „Ognisty Jastrząb” przybił do Lut Gholein, wychwyciła zaklęcia Drognana... i wiedziała, jak wykorzystać Vizjerei do osiągnięcia swoich mrocznych celów.

Niezwykłe, niewiarygodne, nierealne, ale najprawdopodobniej absolutnie prawdziwe.

Pomiędzy rękawicami Norreka zaskwierczała energia. Drognan krzyknął i upadł, nie martwy, ale wyraźnie oszołomiony. Rękawice wypuściły laskę, a prawa ręka wyciągnęła się do starca przed Norrekiem...

Jednak wizja stała się mniej wyraźna, zaczęła się oddalać, jakby ktoś inny próbował udaremnić nieczne zamiary zbroi. Obraz bladł, falował...

Mimo to zbroja położyła prawą rękawicę w samym środku. Wokół dłoni pojawiła się czerwona aura...

– *Shazari Giovox!*

Gdy usta Norreka wypowiedziały te słowa, jego ciało przestało być realne.

Krzyczał, ale nic nie mogło powstrzymać tego procesu. Członki mu się rozciągały i skręcały, jakby zmieniły się w dym, aż wreszcie Norrek *przelał się* w umykającą wizję.

Jego krzyk słychać było, póty nie zamknął się magiczny krąg.



Tego dnia stracili jednego człowieka wskutek ataku pustynnych czerwi i jednego, który zmarł z gorąca. A jednak, co nie umknęło uwadze Galeony,



Augustus Malevolyn był coraz radośniejszy, jakby już miał nie tylko zbroję Bartuka, ale też płynącą z niej moc i chwałę. Niepokoiło to wiedźmę bardziej, niż właściwie powinno. Takie okazywanie uczuć było u generała niezwykle. Jeśli jego nastrój tak bardzo się poprawił, to musiał mieć ku temu istotny powód.

Galeona podejrzewała, że ten powód miał związek z Xazaxem. Ostatnimi czasy nie widywała demona, a to nigdy nie wróżyło dobrze. Prawdę powiedziawszy, to od tamtej nocy, kiedy Malevolyn stracił resztki zdrowego rozsądku i udał się na samotny spacer po pustyni, modliszka trzymała się na dystans. Dwukrotnie udało się czarodziejce oddzielić od kolumny wojsk pod jakimś pretekstem i porozmawiać z demonem na osobności o ich planach na przyszłość. I za każdym razem Xazax zachowywał się wyjątkowo powściągliwie, a jego wypowiedzi były lakoniczne. Zupełnie jakby to, do czego zmierzali razem, przestało mieć znaczenie.

*Xazax pragnie zbroi – myślała Galeona. Ale sam nie może jej użyć.*

A skoro sam nie zdoła, to niewątpliwie może to zrobić ludzki pionek... a Augustus stanowił w tym przypadku aż nadto oczywistą kandydaturę. Wiedźma już wcześniej podejrzewała, że Xazax próbuje manipulować jej kochankiem. Teraz była pewna, że nie doceniła modliszki.

Galeona musiała odzyskać swój wpływ na generała. Jeśli się nie uda, czarodziejka może stracić o wiele więcej niż swoją pozycję, może stracić życie.

Malevolyn zarządził postój. Zdziwiająco szybki marsz pochłonął stosunkowo niewiele ofiar. Przez jakiś czas podążało za nimi stado skoczków pustynnych - wielkich stworów wyglądem przypominających gady, z szeregiem długich, ostrych kolców na grzbiecie - jednak żołnierze nie dopuścili, aby zbliżyły się na tyle, by zrobić użytek ze swoich długich

pazurów i ostrych kłów. Wystarczyło zabić jednego skoczka, a reszta rzuciła się do walki o ścierwo. Podobnie jak inne pustynne stworzenia wołały łatwy posiłek - nawet osobnika z własnego gatunku - od takiego, który się odgryza.

Żołnierzom najbardziej dawały się we znaki piach i upał, dlatego generał w końcu ustąpił. Gdyby decyzja dotyczyła tylko jego, podążałby do przodu, nawet gdyby miał zajeździć wierzchowca na śmierć i dalej iść piechotą.

- Prawie ją widzę - wspomniał, gdy Galeona się z nim zrównała. Malevolyn jechał w niewielkiej odległości przed kolumną. Teraz wpatrywał się z siodła w bezkres przed sobą. - Prawie czuję jej smak...

Podjechała jeszcze bliżej i wyciągnęła rękę, aby go dotknąć. Generał Malevolyn, wciąż w krwawym hełmie Bartuka, nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem. To nie był dobry znak.

- I zasłużyłeś sobie... - zagruchała, próbując zwrócić jego uwagę. - Wyobraź sobie, że wjeżdżasz do Lut Gholein z hełmem Krwawego Pana na głowie! Pomyślą, że to on sam wrócił do życia!

Niemal natychmiast pożałowała tych słów, przypomniawszy sobie atak. Na palcu wciąż nosiła bolesną pamiątkę.

Na szczęście wydawało się, że Augustus był zbyt zajęty własnymi myślami. Wreszcie spojrzał na Galeonę, najwyraźniej jej słowa sprawiły mu przyjemność.

- Tak, to *będzie* wspaniały widok... i ostatni, jaki zobaczą! Prawie to widzę... okrzyki strachu i przerażone spojrzenia, gdy zrozumieją, że są skazani na zagładę i kim jest ten, który ją im niesie.

Galeonie może właśnie teraz trafiła się tak wyczekiwana okazja.

- Wiesz, kochany, skoro mamy trochę czasu, mogę rzucić dla ciebie jeszcze jedno zaklęcie poszukujące. Z hełmem nie będzie to...

– Nie. - Po prostu. Malevolyn odwrócił od niej spojrzenie i dodał: - To nie będzie konieczne.

Nie widział, że czarodziejkę przeszedł dreszcz. Te kilka słów potwierdzało jej najgorsze obawy. Generał już nie potrzebował magii.

Od chwili, kiedy hełm dostał się w ręce Malevolyna (nawet według Galeony szczęśliwym zbiegiem okoliczności), generał nie przepuścił żadnej okazji, aby wykorzystać fragment do odnalezienia reszty zbroi.

Nawet gdy dowiedzieli się, że Norrek chodził po ziemi zakuty w skarb, Augustus nalegał, by kochanka korzystała z hełmu regularnie celem śledzenia trasy wędrowca.

Teraz sprawiał wrażenie, że już go to nie obchodzi, jakby stał się pewien, iż dostanie zbroję, więc nie potrzebował magicznej obserwacji. Tak nie zachowywał się Augustus, którego znała - Galeona czuła, że na to akurat hełm nie miał wpływu. Z pewnością artefakt na tyle umocnił swój związek z generałem, że mógł wytrzymać chwilowe rozłączenie.

W ten sposób myśl Galeony wróciła do Xazaxa.

– Jak sobie życzysz - powiedziała. - Ile czasu minie, nim znów ruszymy, ukochany?

Spojrzał na słońce.

– Kwadrans. Nie dłużej. Będę gotów zmierzyć się z moim przeznaczeniem we właściwym czasie.

Nie prosiła o wyjaśnienia. Kwadrans wystarczy na to, co zamierzała zrobić.

– Zatem pozostawiam cię twoim sprawom, generale.

Nie zaskoczyło jej, że nawet nie kiwnął głową. Tak, Xazax wykonał ruch, być może nawet bezpośrednio skontaktował się z dowódcą. W ten sposób demon zrobił pierwszy krok nie tylko ku zerwaniu paktu z wiedźmą, ale też ku doprowadzeniu do jej śmierci.

– Zobaczmy, czyja głowa zostanie nabita na włócznię - mruknęła. Xazax musiał za dnia trzymać się z dala od kolumny wojska, ponieważ pod palącym słońcem brakło cieni, w których mógłby się ukrywać. Oznaczało to, że Galeona mogła rzucić zaklęcie bez obawy, iż zdradziecka modliszka się o tym dowie.

Czarodziejka znalazła idealne miejsce za wydumą niedaleko obozu. Nie obawiała się ukrytych pod zwałami piasku potworów: zaklęcia ochronne, które rzuciła na siebie na początku podróży, wciąż były silne. Mogłaby rzucić podobny czar na wszystkich w kolumnie, ale wtedy nie mogłaby korzystać z żadnych innych zaklęć. Nie widziała powodu, dla którego powinna okazać się aż tak wielkoduszna. Kilku żołnierzy mniej nie miało żadnego znaczenia...

Zsiadła z konia, wzięła bukłak i uklękła na gorącym piasku. Wylała sporo drogocennego płynu na spalony grunt. Kiedy uznała, że wystarczy, zatkała naczynie i zabrała się do pracy.

Smukłymi palcami uformowała mokry piasek w kształt przypominający ludzką postać wielkości lalki. Potem wypowiedziała pierwszą część formuły, przy pomocy której nadała figurce bardziej wyraziste kształty, upodabniając ją, do kogo chciała. Piaskowy ludzik przybrał postać mężczyzny o szerokich ramionach, a na jego tułowiu pojawiły się nacięcia, jakby ubrany był w zbroję.

Wiedząc, że wilgoć szybko wyparuje, Galeona wyjęła małą fiolkę. Wciąż szepcząc, wylała kilka kropel na pierś lalki. Fiolka zawierała płyn dla czarodziejki najcenniejszy: krew, którą poświęciła ze swojego ciała i zachowała dla pewnych wyrafinowanych zaklęć.

Podobizna pancerza Bartuka potrzebowała krwi dla naznaczenia i co ważniejsze, złączenia Galeony z figurką. Czarodziejka miała nadzieję, że w ten sposób skontaktuje się z Norrekiem, dotknie go tak, jak to miało

miejsce na statku. Gdyby od celu wciąż dzieliła ją duża odległość, jak wówczas, kiedy wraz z Xazaxem przywołali Śniącego, takie zaklęcie wymagałoby zbyt wiele krwi i Galeona nie zdołałaby tego przeżyć. Dlatego poświęcili wtedy żołnierza. Jednak teraz kobieta była pewna, że zrealizuje to, co zamierzała, i to przy minimalnym wysiłku.

Dookoła podobizny nakreśliła okrąg, po czym ułożyła dłonie płasko z rozczapierzonymi palcami po obu stronach figurki. Pochyliwszy się, patrzyła w miejsce, gdzie powinna być twarz, szepcząc ostatni fragment zaklęcia i wplatając weń imię żołnierza.

– Norrek... Norrek...

Świat wokół umykał. Zmieniło się pole widzenia czarodziejki, jakby przeobraziła się w orła, który przemierza niebiosa na skrzydłach wiatru. Mknęła coraz szybciej, aż nie mogła dostrzec, jaki krajobraz rozciąga się pod nią.

Czar działał. Wspomnienie krótkiego spotkania z tym głupcem wzmocniła magią, koncentrując się na jego twarzy i postaci.

– Norreku... pokaż mi... pokaż mi, gdzie jesteś...

Nagle wokół zapadła ciemność. Ta zmiana tak zaskoczyła Galeonę, że niemal przerwała zaklęcie. Wiedziała jednak, że nie miałaby czasu na ponowną próbę, gdyby teraz jej się nie udało.

– Norrek... pokaż mi...

Zobaczyła twarz z zamkniętymi oczyma i ustami. Przez chwilę wiedźma zastanawiała się, czy żołnierz przypadkiem nie skonał, ale potem zdała sobie sprawę, że gdyby tak było, jej zaklęcie by nie zadziało.

Skoro człowiek noszący zbroję Bartuka nie był jednak martwy, zatem co się stało? Galeona sięgnęła głębiej, wkroczyła do wymiaru, w którym przebywał Norrek. Ze światem rzeczywistym łączyła ją teraz tylko wiotka więź, ale wiedźma mogła dowiedzieć się dzięki temu znacznie więcej.

Wreszcie odnalazła swój cel.

To, co zobaczyła, zaskoczyło ją tak bardzo, że tym razem nie udało jej się zapobiec zerwaniu kontaktu. Twarz Norreka znikła tak prędko, że czarodziejka poczuła zawroty głowy. Znów zapadła ciemność, a potem Galeona ponownie mknęła przez pustynię, pokonując poprzednią drogę w przeciwnym kierunku.

Wiedźma upadła z westchnieniem na gorący piasek.

Zignorowała niewygodę, ignorowała wszystko. Liczyło się tylko to, czego się dowiedziała.

– A zatem... - wyszeptała Galeona - mam cię, moja śliczna marionetko...

# CZTERNAŚCIE



Gwałtowny wstrząs targnął Karą Nocny Cień i wyrzucił z ciemności, która spowijała nekromantkę. Dziewczyna próbowała nabrać powietrza, ale tylko się rozkasłała. Próbowała oddychać, lecz jej płuca nie działały tak, jak powinny.

Wypluła z siebie chyba ocean wody. Kaszłała i kaszłała, usiłując opróżnić płuca i nabrać życiodajnego powietrza.

Wreszcie mogła oddychać, choć ze świstem. Leżała nieruchomo. Odetchnęła głęboko raz jeszcze i raz jeszcze, i znowu, starając się przyjść do siebie. Powoli odzyskała świadomość na tyle, że zaczął docierać do niej chłód i przenikająca przez ubranie wilgoć. W ustach zgrzytał jej piach - leżała twarzą w dół na plaży.

Świat rozbrzmiał hukami. Podnosząc głowę, Kara zobaczyła, że na niebie gromadzą się chmury: zupełnie jak przed sztormem, przez który płynęła „Królewska Tarcza”. Podejrzewała, że te chmury są forpocztą tej samej burzy, szykującej się do ataku na wschodnie wybrzeże.

Zaczęła wracać jej pamięć: kapitan Jeronnan walczący z przywołańcami, dwóch nieumarłych wyciągających Karę przez portal wprost w szalejące morze. Ale tego, co potem się stało, nie mogła sobie przypomnieć. Nie miała pojęcia, jak przeżyła. Nie wiedziała nawet, jak los spotkał kapitana Jeronnana i jego ludzi. Wydawało się, że portal nie wpłynął na całość

kadłuba, więc jeśli „Królewska Tarcza” przetrwała to zdarzenie, wkrótce powinna przyplłynąć do Lut Gholein, o ile już tam nie dotarła.

Kara zamruła, myśląc o mieście. Niezależnie od losu „Królewskiej Tarczy”, gdzie, na Rathmę, wylądowała ona sama? Z wysiłkiem dźwignęła się na klęczki i rozejrzała.

Ten rekonesans nie powiedział jej wiele. Zobaczyła piach i kilka roślin typowych dla nadbrzeża. Nie widziała oznak cywilizacji czy w ogóle śladu człowieka. Widziała natomiast strome urwisko. Żeby popatrzeć w głąb lądu, musiałaby się na nie wspiąć, a tego wolała uniknąć, więc odwróciła się wpierw na lewo, potem na prawo. Niewiele zobaczyła. Pozostawało urwisko.

Zmusiła się, by wstać, wciąż czując się tak, jakby wypluła oba Bliźniacze Morza. Wiedziała, że powinna zdjąć przemoczone ubranie, ale myśl, że tubylcy odkryją ją na wpół rozebraną, nie wydała się zabawna.

No i dzień był raczej ciepły, jeśli nie brać pod uwagę wiatru. Kara uznała, że jeśli się trochę porusza, jej strój z pewnością wyschnie.

Nie widziała Saduna Trysta czy Fauztina, ale nekromantka nie łudziła się, że już ich nie zobaczy. Najprawdopodobniej rozdzieliły ich wzburzone fale. Tak czy inaczej jednak, musiała dotrzeć jak najszybciej do Lut Gholein, może nawet poszukać Vizjerei, o którym wspomnieli przywołańcy, tego Drognana. Nie sądziła, by czarodziej z własnej woli współpracował z nieumarłymi - prawdopodobnie para zmartwychwstańców próbowała wykorzystać jego moc, aby odnaleźć byłego przyjaciela. Niezależnie od sytuacji, Drognan mógł nie tylko pomóc Karze pozbyć się więzów łączących ją z upiorami, ale też zlokalizować Norreka Vizharana i zbroję.

Nekromantka z wysiłkiem wspięła się na szczyt piaszczystego urwiska... i odkryła dobrze utrzymaną drogę. Co więcej, gdy spojrzała na południe,



dostrzegła na horyzoncie zamglone kształty budynków.

Lut Gholein?

Z entuzjazmem, na jaki było ją stać, ruszyła na południe. Jeśli to rzeczywiście Lut Gholein, minie dzień, nim dziewczyna tam dotrze, zwłaszcza w takim stanie. Co gorsza, głód skręcał jej żołądek i ten stan pogarszał się z każdym krokiem. Jednak Kara nie zamierzała poddać się słabości. Dopóki będzie mogła iść, dopóty będzie kontynuować swoją misję.

Uszła niewielki odcinek, gdy turkot za plecami kazał się jej odwrócić. Ku swej uldze zobaczyła dwa załadowane wozy jadące z północy. Na koźle pierwszego siedzieli brodaty mężczyzna i gruba kobieta, drugim powoził chłopak o dużych oczach, obok którego siedziała dziewczyna, zapewne siostra. Bez wątplenia była to rodzina kupców zmierzających do bogatej metropolii, aby sprzedać swoje towary. Wyczerpana nekromantka zatrzymała się, mając nadzieję, iż zlitują się nad zmęczonym wędrowcem.

Starszy mężczyzna przejechałby obok niej, ale kobieta kazała mu się zatrzymać. Rozmawiali ze sobą, a potem kobieta zapytała Karę we wspólnym:

– Czy z tobą wszystko w porządku, dziewczyno? Coś się stało? W potrzebie?

Zbyt zmęczona, by mówić, nekromantka wskazała na wschód.

– Mój statek, on...

Nie musiała dodawać nic więcej. Na okrągłej twarzy kobiety zagościł smutek, nawet mężczyzna popatrzył ze współczuciem. Każdy, kto mieszkał lub podróżował wzdłuż wybrzeża, wiedział, jak groźne potrafi być morze. Kupcy bez wątplenia nie po raz pierwszy spotkali się z morską tragedią.

Mąż zeskoczył z kozła ze zręcznością zadziwiającą w tym wieku. Podszedł do Kary i zapytał:

– Czy jest tam ktoś jeszcze? Tylko ty ocalałaś?

– Nie ma... nikogo. Zostałam... statek jest może cały... zostałam... zmyta z pokładu.

Żona syknęła.

– Dziewczyno, jesteś przemoczona! Ubranie masz w strzępach! Hesia! Znajdź dla niej jakąś bluzkę i ciepły koc! Musi się zaraz przebrać! Pospiesz się!

Kara nie chciała jałmużny, pogrzebała więc przy pasie. Ku jej wielkiej uldze sakiewka z pieniędzmi była na swoim miejscu.

– Przyrzekam, że za wszystko zapłacę.

– Bzdura! - uciął mężczyzna, ale gdy udało się jej wcisnąć mu w dłoń kilka monet, wziął większość mimo wcześniejszych protestów.

Hesia, córka kupców Rhubina i Jamili, przyniosła odzienie, które, jak przypuszczała Kara, należało kiedyś do ofiarodawczyni. Dziewczyna dała jej czarną bluzkę i szary koc, w który Kara mogła się owinąć. Przebrała się z dala od oczu Rhubina i jego syna Ranula i od razu poczuła się lepiej.

Choć zatęskniła za utraconym w falach płaszczem. Bluzka wprawdzie miała odpowiedni kolor, ale była trochę zbyt obcisła i za głęboko wycięta, jak na gust Kary. Jednak nekromantka nie narzekała, świadoma, że dziewczyna wybrała najlepiej, jak było można, i co najważniejsze, oddała swoje ubranie powodowana prawdziwą troską. To, że Kara uparła się zapłacić, niczego nie zmieniało.

Jamila pozwoliła Karze jechać na pierwszym wozie. Ranul, wystarczająco dorosły, aby docenić kobiece walory, przyglądał się nekromantce początkowo z pustej ciekawości, ale gdy się przebrała i wysuszyła włosy, nie bardzo mógł oderwać od Kary wzrok. Nie sądziła, by ośmielił się czynić jej awanse, ale nie chciała prowokować jakichkolwiek utarczek z wybawcami.

W ten sposób, dzięki uprzejmości pewnej kupieckiej rodziny, Kara Nocny Cień dotarła do Lut Gholein przed zachodem słońca. Początkowo chciała jak najszybciej udać się do portu i sprawdzić, czy kapitan Jeronnan już tu jest, ale odnalezienie Norreka Vizharana i zbroi Bartuka stanowiło priorytet.

Kara pożegnała się z rodziną Jamili na barwnym bazarze. Oddała koc, po czym zaczęła szukać kogoś, kto mógłby niedrogo sprzedać jej porządny płaszcz. Zmarnowała na to ponad godzinę, ale przynajmniej nie czuła się już taka bezbronna. Chętnie dokupiłaby też inne części ubrania, ale jej fundusze uległy znacznemu uszczupleniu - wolała oszczędzać na jedzenie.

Ostrożne przepytywanie mieszkańców pozwoliło nekromantce zdobyć kilka informacji o tajemniczym Drognanie. Mieszkał w starym domu, w głębi miasta. Rzadko go odwiedzano, chyba że po eliksiry i tym podobne. Drognan opuszczał swoją pracownię tylko po to, by rozmawiać z uczonymi o czymś, co go interesowało.

Kierując się wskazówkami sprzedawcy warzy w, który czasami dostarczał Vizjerei swój towar, Kara wędrowała przez labirynt uliczek. Ogrom kolorów i dźwięków nieco ją ogłuszał, ale udało się jej nie zgubić drogi więcej niż dwa razy. Raz po raz pytała przechodniów, czy nie widzieli mężczyzny w czerwonej zbroi, ale bez skutku.

Ostatnie wydarzenia, zwłaszcza porwanie, a potem niemalże utonięcie w morzu, pozbawiły dziewczynę prawie wszystkiego, co posiadała. Poza sakiewką z monetami przetrwały tylko dwie inne. Niestety, znajdujące się w nich proszki i preparaty zostały zniszczone; pozostało zaledwie kilka fiolek, dla których teraz Kara nie miała zastosowania. Na szczęście, wisiołek przedstawiający Trag'Oula wciąż spoczywał na jej szyi, za co podziękowała wielkiemu smokowi. W tym dziwnym kraju dało to Karze większe poczucie bezpieczeństwa.

Utrata komponentów nie znaczyła, że nie mogła rzucać zaklęć, choć ograniczała w pewnym zakresie możliwości. Za to zamiana odzienia sprawiła, że jak do tej pory nikt nie rozpoznał, kim jest przybyszka, nawet gdy jeden czy drugi uliczny sprzedawca oferował jej nie tylko informacje. Nekromanci nie byli specjalnie lubiani w Lut Gholein. Kościół Zakarum, mający wielkie wpływy, nie lubił ich jeszcze bardziej niż Vizjerei, choć czarodziei młody sułtan najwyraźniej tolerował. Kara minęła kilku młodych kapłanów, ale poza przelotnymi spojrzeniami żaden z nich nie zwrócił na nią większej uwagi.

Za większą część pieniędzy, które jej zostały, Kara zakupiła tyle jedzenia, że mogła się posilić, nie przerywając poszukiwań Drogana. Sama myśl o tym, że przyjdzie jej stanąć naprzeciw świetnie wyszkolonego i doświadczonego Vizjerei, przejmowała dziewczynę głębokim niepokojem, ale zrobić coś takiego, ślaniając się na nogach z głodu, byłoby szczytem głupoty. Nie mogła zakładać, że spotkanie to przebiegnie gładko tudzież w przyjaznej atmosferze. Pomiędzy Vizjerei i wyznawcami Rathmy panowała zadawniona niechęć.

Obok niej przejechało trzech konnych strażników o surowych spojrzeniach. Ten na czele, z pewnością oficer, dosiadał przepięknego, białego ogiera, pozostali dwaj mieli umięśnione kasztany. Kara rzadko jeździła konno, ale patrząc na nich, zdała sobie sprawę, że jeśli okoliczności zmuszą ją do opuszczenia Lut Gholein, będzie musiała kupić sobie wierzchowca. Nie mogła polegać na żadnym zakłęciu transportowym, jeśli chodzi o pustynię Aranoch. Nawet w swej odległej ojczyźnie Kara słyszała opowieści o tym, jak śmiertonośna była to kraina.

Domy wokół stały się zniszczone i wilgotne, zupełne przeciwieństwo dobrze utrzymanych kwartałów, po których chodziła do tej pory. Kara skłęła się duchu, że za resztę pieniędzy nie kupiła jakiegoś porządnego

sztyletu. Ten, który dał jej kapitan Jeronnan, gdy wchodziła na pokład „Królewskiej Tarczy”, zaginął w morzu. Nekromantka skupiła się na swoich zaklęciach, w głębi duszy miała nadzieję, że wystarczy jej siła, aby je rzucić, gdyby zaszła potrzeba.

Wreszcie dotarła do domu, który opisał jeden z handlarzy. Choć budynek nie prezentował się najlepiej, Kara natychmiast wyczuła działające wewnątrz i wokół moce. Niektóre były bardzo stare, z pewnością starsze niż sam dom. Inne - nowsze, kilka zaklęć rzucono całkiem niedawno.

Kara pokonała schody, zajrzała przez zrujnowane drzwi, a potem weszła...

...i znalazła się w nadgryzionym zębem czasu, ale wciąż wspaniałym holu, świadczącym o chwale minionych dni. I choć miejsce niewątpliwie sprawiało wrażenie opuszczonego, to imponujący hol o wysokich kolumnach tak bardzo nie pasował do odrapanego frontonu, że Kara poczuła ochotę, aby wyjść i sprawdzić, czy przypadkiem nie pomyliła budynków. To nie była żadna ruina, ale raczej starożytny cud pełen wspomnień minionej chwały i splendoru, którym nie dorównywało nawet współczesne Lut Gholein.

Nekromantka powoli minęła hol. Wciąż pamiętała o swojej misji, ale nie mogła nie widzieć marmurowych kolumn, wspaniałego, zajmującego prawie całą ścianę kamiennego kominka i mozaiki pod stopami.

Podłoga coraz bardziej przyciągała uwagę dziewczyny. Artysta przedstawił skomplikowane obrazy, realistyczne i fantastyczne. Smoki owijały się wokół drzew. Lwy ściagały antylopy. Przeróżający, kamienni wojownicy w napierśnikach i kiltach walczyli ze sobą.

W oddali zagrzechotało.

Kara zamarła i spojrzała w tamtą stronę. Jednak mimo doskonałego wzroku zdolnego przebić ciemność wypatrzyła tylko zarys drzwi. Czekala,

starając się nie oddychać zbyt głośno. Kiedy jednak odgłos się nie powtórzył, odprężyła się, uświadamiając sobie, że w tak starym domu kawałki muru czy kolumn mogą czasem odpadać. A tu nawet najcichszy dźwięk odbijał się głośnym echem.

I wtedy za plecami usłyszała chrobotanie po posadzce.

Odwróciła się, pewna, że to zmartwychwstańcy podążali za nią i teraz postanowili się ujawnić. Przed nimi Kara nie mogła się bronić, jednak nie zamierzała poddać się bez walki. Zrobili zbyt wiele, posunęli się za daleko.

Jednak to, co zobaczyła, było jeszcze bardziej zaskakujące niż wiecznie uśmiechnięty Sadun Tryst i jego towarzysze.

Szara postać z potężnym mieczem szła wolno, lecz zdecydowanie w jej kierunku. Kara mogłaby wziąć intruza za rabusia, który zaczął się w cieniu, gdyby nie to, że rozpoznała sylwetkę, którą widziała zaledwie kilka sekund wcześniej. A nawet gdyby go nie rozpoznała, to nie mogłaby przeoczyć wielu małych, kamiennych kwadracików, z których składały się nie tylko napierśnik i kilt, ale także skóra.

Mozaikowy wojownik zbliżał się ku niej powoli, jego twarz była tak samo wykrzywiona gniewem jak wtedy, gdy stanowił tylko dekorację na podłodze. Zamachnął się mieczem i wówczas się okazało, że choć ma wzrost i szerokość żywej istoty, to nie jest grubszy niż kamyki, z których został złożony.

Ani przez chwilę Kara nie pomyślała, że to słabość. Magia, która stworzyła takiego strażnika, na pewno nie uczyniła go kruchym. Cios w mozaikowego wojownika byłby równie skuteczny, jak uderzenie w kamienny mur. Kara przypuszczała też, że miecz tego magicznego strażnika rozciąłby ją równie łatwo, o ile nie łatwiej, jak cios prawdziwą, i to dobrze naostrzoną klingą.

Ale co mogło wprawić go w ruch? Drogan z pewnością nie szykował takiego powitania dla wszystkich, którzy przekraczali te drzwi. Nie, prawdopodobnie Kara została rozpoznana przez ukryte zaklęcie jako nekromanta, mroczny mag służący nie wiadomo komu. Znała takie zaklęcia i wiedziała, że wielu czarodziei korzysta z nich dla własnego bezpieczeństwa. Gdyby nie to, że ostatnimi czasy przeszła niejedno, Kara z pewnością przypomniałaby sobie o tym wcześniej i uniknęła śmiertelnie niebezpiecznego spotkania.

Za makabrycznym napastnikiem rozległ się grzechot i ku przerażeniu dziewczyny z podłogi podniósł się drugi wojownik i dołączył do pierwszego. Kara odwróciła się na prawo, skąd jeszcze głośniejszy grzechot oznajmił pojawienie się trzeciego.

– Nie mam złych zamiarów - szepnęła. - Szukam waszego pana.

Ale czy aby na pewno Drogan był ich panem? Kara nie wiedziała, czy trafiła do właściwego domu. Może ktoś, z kim rozmawiała po drodze, rozpoznał nekromantkę i wysłał ją tu na pewną *śmierć*. Wiele osób, zwłaszcza wiernych Zakarum, było głęboko przekonanych, że dobry nekromanta to martwy nekromanta.

Pierwszy z mozaikowych rycerzy zbliżył się już niemal na długość miecza. Nie miała innego wyboru, musiała się bronić.

Gdy wyciągnęła symbol Trag'Oula i skierowała na pierwszego atakującego, z jej ust padały już słowa zaklęcia. Cofnęła się na wszelki wypadek. Gdyby jej czar zadziałał, wezwane potężne moce mogły się nie ograniczyć do zniszczenia magicznego strażnika.

W powietrzu pojawił się rój pocisków w kształcie zębów, który runął na najbliższego z atakujących.

*Den'Trag*, czyli Zęby Trag'Oula, rozerwały kamienne ciało strażnika, sypiąc wokół małymi kostkami. Wojownik próbował się poruszyć, ale w

jego nogach i ramionach brakowało tak wielu fragmentów, że kończyny się skruszyły. Z twarzą wciąż wykrzywioną grymasem próbował rzucić się na nekromantkę i upadł w fontannie odłamków.

Kara odetchnęła, uradowana, że pozbyła się chociaż jednego napastnika. Modliła się, aby starczyło jej sił na uporanie się z pozostałymi. Przyzwanie *Den'Trag* kosztowało wiele wysiłku i tak już osłabioną nekromantkę. Gdyby tylko udało jej się pokonać kamiennych wrogów, mogłaby odpocząć.

Jeszcze raz ścisnęła symbol, mrużąc zakłęcie. Jeszcze kilka słów i...

Grzechot wokół sprawił, że głos jej się załamał. Spojrzała pod nogi. Kamyczki, z których składał się powalony wojownik, toczyły się jeden za drugim, tworząc szybko rosnącą stertę. Ku przerażeniu Kary najpierw uformowały się stopy, potem nogi. Kamienny wojownik odbudowywał się kawałek po kawałku, jakby czar go w ogóle nie dotknął.

Zęby *Trag'Oula* zawiodły.

Kara cofała się ku drzwiom. Miała kilka innych zaklęć na podorędziu, ale w połączeniu z jej osłabieniem i zamkniętą przestrzenią, w jakiej się znajdowała, żadne z nich nie pomogłoby jej wystarczająco szybko, nie zagrażając przy tym życiu.

– *Verikos!* - zabrzmiał jakiś głos. - *Verikos... Dianysi!*

Trzech nieludzkich strażników stanęło... a potem rozpadło się na tysiące kawałków z hukiem zwielokrotnionym przez echo. Kamyczki nie leżały jednak tam, gdzie upadły, tylko potoczyły się, by odtworzyć wcześniejszy wzór na podłodze. Jeden po drugim wskakiwały na swoje miejsca. Groźni wojownicy nie tylko poniechali ataku, ale też ponownie stali się obrazami na eleganckiej posadzce.

Kara odwróciła się, aby podziękować swemu wybawcy, pewna, że był nim tajemniczy *Drogan*.



– Dziękuję za pomoc...

Ale ta postać nijak nie przypominała czcigodnego, elegancko odzianego Vizjerei, o którym mówił handlarz. Jedyne, co Drognan i stojący przed nią szalony żebrak o długich siwych włosach, rozwianej brodzie i płonących oczach mieli ze sobą wspólnego, to podeszły wiek. Choć jak się zastanowić, to Drognan nie mógł być tak stary jak ten człowiek o pomarszczonej skórze i zmęczonych błękitnych oczach. Wydawało się, że ten starzec kroczy przez świat od zarania dziejów.

Położył guzowaty palec na ustach.

– Cicho! - syknął stanowczo za głośno. - Wkoło jest mnóstwo zła! Tyle niebezpieczeństw! Nie powinniśmy tu przychodzić!

– Czy ty... jesteś Drognan?

Starzec zamrugał, zmieszany, po czym poklepał znoszoną jedwabną szatę, jakby czegoś szukał, wreszcie podniósł wzrok na Karę i odparł:

– Nie... oczywiście, że nie! Teraz cicho! Tu jest zbyt wiele zła! Musimy być ostrożni! Musimy się strzec!

Kara zastanowiła się. Ten człowiek najpewniej był sługą maga albo kimś w tym rodzaju. Być może Drognan trzymał go w swym domu z litości. Zamierzała pytać wprost. Może w tym żebraku pozostało wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, aby pomógł Karze z Vizjerei.

– Muszę zobaczyć się z twoim panem, Drognanem. Powiedz mu, że ma to związek z czymś, co go interesuje. Bartuk...

– *Bartuk?! –* Starzec zbladł przerażająco, gdy wykrzykiwał imię nieżyjącego władcy demonów. - Bartuk! Nie! Nadeszło zło! Ostrzegalem cię!

Naraz od wejścia do budynku rozległ się inny głos:

– Kto tam? Kto naruszył spokój mego sanktuarium?

Nekromantka zamierzała odpowiedzieć, ale obszarpany staruch poruszał się z zadziwiającą szybkością. Zakrył dłonią jej usta i wyszeptał:

– Cicho! Nie może nas usłyszeć! To może być Bartuk!

Jednak właścicielem głosu okazał się Vizjerei - prawdopodobnie ten, którego szukała Kara. Co dziwniejsze, wyglądał, jakby spotkał go jakiś wypadek. Twarz miał posiniaczoną i krzywił się, gdy stawał na prawej nodze. Pod pachą trzymał niewielką paczkę. Nie miała wątpliwości: przed nią stał Drogan, który właśnie wrócił ze sprawunkami.

– Norrek? - zapytał. - Vizharan?

Znał człowieka, którego szukała Kara! Próbowała coś powiedzieć, ale starzec, jak na kogoś, kto wyglądał jak obciążony skórą szkielet, miał zaskakująco dużo siły.

– Cicho! - szepnął. - Tyle tu zła! Musimy być ostrożni! Nie może nas zobaczyć!

Drogan podszedł bliżej, gdyby chciał, mógłby ich zobaczyć... a jednak patrzył przez intruzów jak przez powietrze.

– To dziwne... - Pociągnął nosem i się skrzywił. - Czuję tu nekromantę... ale to absurd.

Drogan popatrzył na posadzkę, a dokładniej na mozaikowych wojowników.

– Taak... to absurdalne.

Rozglądał się, jakby zatopiony we własnych myślach. Powinien dostrzec młodą kobietę, próbującą uwolnić się z uścisku dziwnego starca. Wreszcie czarodziej potrząsnął głową, zamruczał do siebie o zaginionym śladzie i konieczności kontynuowania poszukiwań, a potem, ku zaskoczeniu Kary, przeszedł obok niej i szaleńca.

Drogan skierował się w mrok i do drzwi, które Kara dostrzegła wcześniej.

Zostawiając za sobą kogoś, kto bardzo potrzebował jego pomocy.

Dopiero gdy za Vizjerei zamknęły się drzwi, zwariowany staruch zdjął dłoń z ust nekromantki. Po czym zbliżywszy swoją twarz do jej twarzy, wyszeptał:

– Byliśmy tu zbyt długo! Lepiej wracajmy! Zbyt długo tu byłem! Może nas odnaleźć!

Wiedziała, że nie chodziło mu o Drogana. O nie, sądząc po jego wcześniejszym zachowaniu, mogło mu chodzić tylko o jedną osobę - *Bartuka*.

Poprowadził ją ku środkowi posadzki, w miejsce, gdzie nieznany artysta ułożył z setek kamyczków niezwykłą świątynię, jak te, które mogły wznosić się w legendarnym Vizjun. Kara nie poszłaby za starcem ani kroku, ale, podobnie jak w przypadku przywołańców, nie miała wpływu na to, co robi jej ciało. Nie mogła nawet krzyczeć.

– Wkrótce będziemy bezpieczni! - zapewnił ją szaleniec. - Wkrótce będziemy bezpieczni!

Tupnął prawą nogą i nagle drzwi świątyni otworzyły się i *pogłębiły*, zmieniając w owalną dziurę, w której nekromantka mogła dostrzec schody prowadzące do... *dokąd?*

– Chodź, chodź! - zachęcił ją staruch. - Nim Bartuk nas odnajdzie! Chodź, chodź!

Niezdolna uczynić nic innego, podążyła za nim w głąb ziemi, w kierunku dalekiego, żółtawego światła. Gdy Kara zeszła poniżej poziomu podłogi, poczuła, jak poruszają się kamienie, a wizerunek świątyni Vizjerei znów stał się obrazem w mozaice.

– Na dole będziemy bezpieczni - zapewnił ją zwariowany starzec i Kara odniosła wrażenie, że teraz był jakby spokojniejszy. - Mój brat nigdy nas tu nie znajdzie...

*Brat? Czy dobrze usłyszała?*

– *Horazon?* - wykrztusiła, zdumiona zarówno konkluzją, jak i tym, że zdołała ją wyartykułować. Najwyraźniej porywacz nie martwił się, że ktokolwiek mógłby usłyszeć nekromantkę pod zwałami ziemi i skał.

Spojrzenie wodnistych oczu po raz pierwszy skupiło się na twarzy Kary.

– *Czy my się znamy? Nie sądzę, żebyśmy się znali...* - Kiedy nie odpowiedziała od razu, wzruszył ramionami i podjął swój marsz w dół, nieustannie mamrocząc. - *Jestem pewien, że się nie znamy, ale może się poznamy...*

Kara Nocny Cień nie miała innego wyjścia, jak iść za starcem, ale kwestia wyboru najmniej ją zaprzętała w tej chwili. Jej myśli goniły jedna za drugą, a świat właśnie wywrócił się do góry nogami.

Przybyła tu, aby odnaleźć zbroję Krwawego Pana, a znalazła - mimo upływu stuleci - żywego, oddychającego i znienawidzonego *brata* Bartuka.



Gdy Norrek odzyskał zmysły, uderzyło go niesamowite gorąco. W pierwszej chwili był pewien, że to pożar w pracowni Drognana, może nawet spowodowany mocą zbroi. Jednak stopniowo uświadomił sobie, że gorąco, choć dotkliwe, nie pali jak ogień, więc musi pochodzić od słońca.

Odwróciwszy się na plecy, Norrek osłonił oczy i próbował się rozejrzeć, ale wokół był tylko bezkresny piasek. Weteran skrzywił się, zastanawiając, gdzie wylądował tym razem. Wydawało mu się, że w oddali zobaczył ciemność, jakby zbliżała się burza. Czy Lut Gholein mogło leżeć gdzieś pod tymi chmurami? Wyglądało na to, że gdziekolwiek by się nie skierował, burza podążała za nim. Gdyby tak było, wiedziałby

przynajmniej, że zmaterializował się gdzieś na północny zachód od nadmorskiego portu.

Ale dlaczego?

Drogan mówił, że zbroja ich przechytryła. Te słowa były bardzo prawdziwe. Zrobiła głupców z nich obu, bez wątpienia wykorzystwała maga do osiągnięcia swojego celu. Czy chodziło jej o grobowiec Horazona, jak uważał Drogan? Jeśli tak, to dlaczego Norrek znalazł się tu, gdzieś na środku pustyni?

Zmaltretowany i zmęczony wojownik dźwignął się z wysiłkiem. Sądząc po słońcu, do zachodu pozostała godzina lub dwie. Powrót do Lut Gholein trwałby dłużej, ze dwa dni, zakładając, że Norrek przeżyłby taką wędrówkę. Co ważniejsze, nie był nawet pewny, czy zbroja by na to pozwoliła. Jeśli to, czego szukała, znajduje się gdzieś tutaj, to pancierz zrobi wszystko, aby zatrzymać żołnierza na pustyni.

Postąpił kilka kroków, czekając na reakcję zbroi. Kiedy nie zrobiła nic, aby powstrzymać go przed powrotem do miasta, ruszył jak mógł najszybciej. Musiał przynajmniej znaleźć jakieś schronienie na noc. Jedynym takim miejscem były poskręcane skały mające na horyzoncie. Droga do nich będzie trwać co najmniej do zachodu słońca, jeśli nie dłużej. A to oznaczało, że Norrek musiał poruszać się jak najszybciej, mimo że nogi bolały go potwornie. Sypki piach i wysokie wydmy utrudniały marsz, Norrek często gubił z oczu swój cel. Raz nawet zatoczył koło, gdyż przesypujące się nieustannie wydmy zmieniały swoją wielkość i nachylenie, kiedy się na nie wspinał.

A jednak dotarcie do wzgórza było absolutną koniecznością. Norrek modlił się, aby udało mu się znaleźć tam jakąś wilgoć, pustynia już zdążyła go wysuszyć. Jeśli szybko nie znajdzie wody, nie będzie miało znaczenia,

czy zdoła dotrzeć do wzgórza. Duży skrzydlaty cień padł na Norreka... potem po piasku przemknął drugi.

Wojownik uniósł głowę, próbując wypatrzeć cokolwiek w promieniach słońca. Dostrzegł jakieś dwa lub trzy skrzydlate kształty, ale nie mógł ich rozpoznać. Sępy? Na pustyni Aranoch było to możliwe, choć te wyglądały na większe niż ptaki i jakby nie do końca stworzone do lotu. Norrek odruchowo sięgnął do nieistniejącego miecza i kolejny raz przeklął zbroję Bartuka za to, że postawiła go w tych wszystkich koszmarnych sytuacjach bez odpowiedniego oręża u boku.

Choć niewiele sił mu zostało, weteran starał się zwiększyć tempo marszu. Jeśli dotrze do skał, znajdzie jakąś ochronę przed krążącymi ptakami. Sępy były ścierwojadami, ale te wyglądały na bardziej agresywne i w jakiś nieokreślony sposób niepokojące.

Cienie znów przemknęły po piasku, tym razem większe, wyraźniejsze. Stwory zniżały lot, aby lepiej się przyjrzeć samotnemu człowiekowi.

Norrek w ostatniej chwili zorientował się, że gdy upierzony stwór atakuje od tyłu. Wyćwiczony w czasie bitew instynkt nakazał weteranowi rzucić się na ziemię, a wielkie jak dłoń szpony zazgrzytały na napleczniku i niemal chwyciły wojownika za włosy. Norrek przetoczył się z gniewnym pomrukiem, gotów stawić czoło ptakom. Z pewnością odstraszy kilka sępów, zwłaszcza jeśli pokaże im, że nie zamierza leżeć spokojnie i umierać.

Ale to nie były sępy... choć z pewnością wywodziły się od tych pustynnych ścierwojadów.

Wysokie niemal jak człowiek, miały skrzydła i głowę typowe dla latających stworzeń, niemalże ludzkie ręce i szpony na obu stopach gotowe drzeć ciało na strzępy. Ogony niczym baty ze świstem przecinały powietrze, próbując trafić cofającego się Norreka.

Czekał, aż zbroja Bartuka jakoś zareaguje, ale pancerz trwał w uśpieniu. Puls Norreka przyspieszył, gdy z piekielnym wrzaskiem demoniczne ptaszyska próbowały okrążyć swą ofiarę. Klnąc, weteran stanął do walki. Jeśli ma umrzeć, nie pójdzie jak jagnię na rzeź tylko dlatego, że za bardzo polegał na zaklętej zbroi. Przez całe życie wojował. Ta bitwa nie różniła się od innych.

Jeden z olbrzymich ptaków znalazł się w jego zasięgu. Norrek chwycił plugastwo za nogę i ściągnął na ziemię. Mimo rozmiarów pustynne potwory miały odziedziczone po przodkach lekkie kości, stworzone do latania. Wojownik wykorzystał tę cechę przeciwko nim, przycisnął piszczące stworzenie ciężarem swojego ciała i skręcił łeb bestii tak mocno, jak tylko mógł.

Gdy podniósł się znad bezwładnego ciała, pozostałe trzy stwory zaatakowały go jeszcze zajadlej, ale stawił im czoła inny Norrek, wojownik, który po raz pierwszy od wielu dni stoczył własną bitwę i wygrał. Gdy drugi niby-sęp zanurkował, weteran chwycił garść piasku i cisnął prosto w wyłupiaste oczy napastnika. Skrzydlaty demon na oślep miotał ogonem, dopóki weteran nie złapał go za ogon oburącz.

Z ogłuszającym piskiem stwór usiłował się wznieść. Ale Norrek zakręcił wielkim ptaszyskiem, raz, drugi, trzeci, odpędzając przy okazji kolejne dwa. Pazury pochwyconego stwora bezradnie ześlizgiwały się z obleczonych w rękawice dłoni, zbroja Bartuka dobrze chroniła swego nosiciela.

W Norreku wrzała krew. Napastnicy byli nie tylko zagrożeniem z pustyni. Stali się celem jego gniewu i frustracji. W ostatnim czasie przeżył zbyt wiele, widział zbyt wiele potworności i ani razu nie mógł nic zaradzić. Zbroja skrywała potężne zaklęcia, ale żadne nie było posłuszne Norrekowi.

Gdyby nad nimi panował, usmażyłby tę bestię, którą wymachiwał, zamieniłby ją i jej kompanów w kule ognia.

Jego rękawice rozbłysły czerwienią.

Norrek przyjął to z radością, a potem podniósł wzrok na demonicznego sępa. Tak, ogniste piekło...

Pochwycił rozwścieczone ptaszysko za szyję. Ostry dziób próbował zedrzyć mu twarz, to tylko wzmogło determinację Norreka, aby zakończyć tę bitwę jak najszybciej.

Norrek przeszył stwora wściekłym spojrzeniem.

– *Płoń!*

Skrzydlaty potwór buchnął płomieniami i zginął w ogniu.

Nie tracąc ani chwili, wojownik cisnął truchło w najbliższego stwora. Ten też stanął w płomieniach. Ostatni odleciał, jakby goniły go demony z Piekła. Norrek nie zawracał sobie nim głowy, zadowolając się wykończeniem trzeciego.

Choć spłonęła większość jego piór, trzeci z demonicznych ptaków usiłował odfrunąć wzorem swego kamrata. Odniósł jednak zbyt wiele obrażeń. Ledwie uniósł się nad piasek, najwyżej na stopę czy dwie, ale nie zdołał umknąć żadnemu zemsty żołnierzowi. Norrek podniósł go za skrzydło, pozwalając sępowi drapać szponami po napierśniku, po czym złapał za łeb.

I jednym ruchem skręcił demonicznemu ptakowi kark.

Walka trwała krótko, ale w tym czasie weteran całkiem się przeobraził. Gdy upuścił pierzaste ciało, poczuł dreszcz, jakiego nie doświadczył na żadnej wojnie. Norrek nie tylko pokonał wrogów, ale zmusił przeklętą zbroję, by była mu *posłuszna*. Rozprostował palce, po raz pierwszy doceniając mistrzostwo, z jakim zostały wykonane rękawice. Może spotkanie z Droganem wszystko zmieniło. Może to, co kierowało zbroją



przez tak długi czas, wreszcie się poddało, akceptując nosiciela jako swego nowego pana...

Może Norrek mógłby przetestować tę teorię. Po wszystkim, co zademonstrowała dotychczas zbroja, bez trudu mogła wykonać proste zadanie na jego rozkaz.

– Dobrze - zawołał. - Słuchaj mnie! Potrzebuję wody! Natychmiast!

Lewa ręka zamrowiała, zadrżała lekko, jakby zbroja chciała przejąć kontrolę, ale czekała na... *pozwolenie*.

– Zrób to. Rozkazuję ci!

Rękawica wskazała na ziemię. Norrek ukląkł i pozwolił, aby palec nakreślił na piasku okrąg. A potem wzór z pętli, stawiając przy każdej z nich krzyżyk.

Z jego ust padły słowa mocy, ale tym razem weteran powitał je z radością.

Rysunek nagle zaczął trzeszczeć, miniaturowe łuki światła zatańczyły pomiędzy krawędziami. W środku pokazało się małe pęknięcie...

I wypłynęła stamtąd czysta, bulgocząca woda.

Norrek schylił się i pił, dopóki mógł. Woda była zimna, słodka, smakowała niczym wino. Spragniony rozkoszował się każdym łykiem, aż nie mógł już przełknąć więcej.

Nabrawszy wody w dłoń, zrosił sobie twarz. Łagodząca wilgoć ściekła mu po podbródku, karku i zbroi.

– To wystarczy - powiedział w końcu Norrek.

Jego ręka machnęła nad małym źródelkiem. Ziemia natychmiast się zamknęła, pęknięcie znikło i odcięto dopływ wody. To, co pozostało na piasku, szybko weń wsiąkło.

Norreka wypełniło takie poczucie triumfu, że roześmiał się głośno. Już dwa razy zbroja mu posłużyła. Już dwa razy: teraz był *panem*, nie

niewolnikiem.

Podniesiony na duchu, ruszył w dalszą drogę ku wzgórzu. Norrek nie martwił się już, czy uda mu się przetrwać na pustyni. Jak mogło być inaczej, skoro zbroja na jego rozkaz rzucała zaklęcia? Czy było coś, czego nie zdołaliby osiągnąć? Od czasów Bartuka nikt nie dysponował taką mocą! Dzięki niej Norrek mógł zostać oficerem, a nie piechurem, dowódcą, a nie podwładnym...

Królem, a nie chłopem?

Ta myśl podekscytowała go. Król Norrek, władca wszystkiego, co obejmie wzrokiem. Rycerze będą mu się kłaniać, a damy zechcą wkraść się w jego łaski. Będzie władał całymimi krainami. Będzie miał do dyspozycji niewyobrażalne bogactwa...

– Król Norrek... - wyszeptał. Jeszcze się uśmiechnął, tak jak Norrek Vizharan nigdy się nie uśmiechał. Norrek nie mógł tego wiedzieć, ale wyraz jego twarzy bardzo przypominał uśmiech kogoś, kto żył na długo przed narodzinami najemnika.

Kogoś o imieniu Bartuk.

# PIĘTNAŚCIE



Nad pustynią Aranoch zapadła noc, a wraz z nią do Augustusa Malevolyna przybył Xazax. Przez ostatnią godzinę generał niecierpliwie wyczekiwał nadejścia demona, chodząc po swoim namiocie tam i z powrotem.

Odprawił wszystkich oficerów, a nawet strażników, zakazując zbliżać się do swego namiotu. Jako dodatkowe zabezpieczenie, nie pozwolił również, by rozstawiono namioty w zasięgu słuchu. To, o czym miał rozmawiać z modliszką, nie było przeznaczone dla żadnych obcych uszu.

Nawet Galeonie zabroniono rozstawiać namiot w bezpośrednim sąsiedztwie, choć czarodziejka trochę protestowała. Generał nie przejął się tym zbyt, więcej uwagi poświęcając propozycji złożonej mu przez nowego sojusznika. Dla Augustusa Malevolyna wiedźma mogła spakować manatki i odjechać w siną dal. Jeśli tego nie zrobi, najprawdopodobniej będzie trzeba ją zgładzić. Pomiędzy Galeoną a Xazaxem panowały jakieś animozje, a teraz Malevolyn znacznie bardziej potrzebował demona niż śmiertelnej czarodziejki mimo wielu jej uroków.

Kobiety można łatwo wymienić, chwil nieśmiertelności nie.

Malevolyn oświetlał swój namiot pojedynczą lampą. Nie wiedział, czy demon rzucał cień, ale jeśli tak było, to im mniejsza szansa, że któryś z jego ludzi zauważy modliszkę, tym lepiej. Gdyby wiedzieli, o czym generał

zamierzał rozmawiać z demonem, z pewnością uciekliby na pustynię mimo czających się tam niebezpieczeństw.

Jego uwagę zwrócił trzepoczący ruch. Augustus Malevolyn odwrócił się, a jeden z cieni poruszył się wbrew ruchom płomyka lampy.

– Jesteś tu, prawda? - mruknął generał.

– Ten tutaj przyszedł, jak obiecał, o wielki...

Cień się pogłębił, stał bardziej materialny. Po chwili odrażająca postać modliszki z piekła rodem górowała już nad człowiekiem. Pomimo obecności istoty, która wyglądała na zdolną wyrwać mu jedną kończynę po drugiej, generał czuł tylko podniecenie. Uważał Xazaxa za pierwszego z wielu potworów, które będą mu służyć w ten czy inny sposób.

– Lut Gholein leży o dzień drogi stąd, władco. Czy zmieniłeś swój zamiar?

Zmienić zamiar, zrezygnować z pozyskania zbroi? Zmienić zdanie w kwestii swego przeznaczenia?

– Marnujesz mój czas na próżne gadanie, Xazaxie. Jestem pewny swojego wyboru.

Wyłupiaste oczy rozbłysły. Głowa modliszki obróciła się, jakby demon próbował przebić wzrokiem cienkie ściany namiotu.

– Wspominaliśmy wcześniej o wiedźmie, wielki wodzu. Ten tutaj rozważył zagadnienie bardzo uważnie i sądzi, że ona nie może brać udziału w naszym przedsięwzięciu... ani w innych.

Augustus Malevolyn udawał, że się zastanawia.

– Przez jakiś czas była dla mnie użyteczna. Nie chciałbym zrezygnować z jej atutów.

– Nie zgodzi się na to, co ten tutaj ci zaproponował, wodzu. Możesz wierzyć temu tutaj...

Uwadze generała nie uszło, że Xazax wciąż używa nowego tytułu i choć miło to było słyszeć, demonowi nie udało się pogrywać na miłości własnej generała. Malevolyn ostrożnie ważył każdy szczegół układu między nimi.

– Co was łączy?

– Pakt zawarty głupio i pochopnie, który ten tutaj chciałby zerwać.

Niezbyt konkretna odpowiedź, ale wystarczająca z punktu widzenia generała. Miał w ręku możliwą kartę przetargową.

– Czy dasz mi wszystko, czego zażądam? Wszystko, o czym mówiliśmy?

– Wszystko... i z chęcią, wielki wodzu.

– Więc możesz mieć ją już teraz, jeśli tego chcesz. Poczekam, a ty rób, co musisz.

Jeśli demon mógł wyglądać na zmieszanego, to właśnie sprawiał takie wrażenie.

– Ten tutaj najuprzejmiej odrzuca twoją łaskawą propozycję, wodzu... i sugeruje, byś miał zaszczyt uczynić to osobiście w odpowiednim momencie w niedalekiej przyszłości.

Tak jak Malevolyn sądził, modliszka nie chciała lub *nie mogła* dotknąć Galeony. Nie zmieniało to jednak porozumień z generałem ani na jotę.

– Wyślę dla pewności strażę do jej namiotu. Przynajmniej nie będzie mogła nam zaszkodzić w naszych wysiłkach. Może później zadecyduję, co z nią zrobić. Tymczasem chciałbym już zacząć... chyba że masz mi coś jeszcze do powiedzenia.

Oczy demona znów rozbłysły, tym razem wydawało się, iż łśni w nich ogromna satysfakcja. Głos Xazaxa przypominał bzyczenie roju konających much:

– Zatem... będziesz potrzebować *tego*, wielki wodzu...

W dwóch szkieletowych rękach trzymał duży sztylet o bliźniaczym ostrzu wykutym z czarnego metalu. Broń znaczyły runy wyryte nie tylko na

rękojeści, ale także po obu stronach płazów. W rękojeści osadzone były dwa kamienie: większy, czerwony jak krew, i mniejszy, biały niczym kość. Oba promieniały lekkim blaskiem.

– Weź to... - nalegał demon.

Augustus Malevolyn posłuchał chętnie, ujął sztylet i podziwiał jego doskonałe wyważenie.

– Co mam z nim zrobić?

– Naciąć skórę. Pozwolić, by spłynęło kilka kropel krwi. - Modliszka przechyliła głowę. - To proste...

Trzymając broń, generał podniósł zasłonę namiotu. Zawoławszy jednego ze swoich oficerów, spojrzął przez ramię na Xazaxa.

– Lepiej schowaj się w...

Lecz demon uprzedził polecenie, roztopiając się w jednym z cieni.

Z ciemności wyłonił się chudy, wąsaty żołnierz ze srebrem na pagonach. Podszedł do namiotu i zasalutował dowódcy.

– Tak, generale?

– Zako... - Jeden z jego najbardziej zaufanych podwładnych. Malevolynowi będzie go brakowało, ale przyszła chwala była daleko ważniejsza niż sentymenty dla jednostki. - Wiedźma musi być zatrzymana w areszcie domowym. Nie wolno jej dotknąć niczego z dobytku ani nawet kiwnąć palcem, dopóki nie postanowię inaczej.

Ponury uśmiech zagościł na twarzy żołnierza. Podobnie jak większość oficerów Malevolyna, Zako nie przepadał za czarownicą, która miała tak wielki wpływ na generała.

– Tak jest, generale! Wykonam natychmiast!

Dowódcy coś się przypomniało.

– Ale najpierw... najpierw sprowadź tu żołnierzy, których wybierzesz, by wykonali ten rozkaz. I pospiesz się!

Zako szybko zasalutował i zniknął w ciemnościach. Po chwili wrócił z czterema roslymi wojownikami. Wprowadził ich do namiotu Malevolyna, po czym zajął miejsce przed szeregiem.

– Wszyscy obecni, generale! - Wyprężył się.

– Bardzo dobrze. - Malevolyn uważnie obejrzał mały oddział, po czym stanął przed nimi. - Przez długi czas służyliście mi wiernie. - Jego palce gładziły rękojeść sztyletu, na który jak na razie żaden z pięciu żołnierzy nie zwrócił uwagi. - Więcej niż raz przysięgaliście oddać za mnie życie... i za to wam dziękuję. Jednak w obliczu nagrody, jaka nas czeka, musicie jeszcze dowieść, że chcecie służyć mi aż do *śmierci*...

Malevolyn dostrzegł poruszenie cienia po jednej stronie namiotu. Xazax bez wątpienia się niecierpliwił, nie rozumiejąc, po co owo przemówienie. Ci ludzie będą pierwsi, oni przekażą innym, czemu ich dowódca zażądał nowego dowodu wierności.

– Jutrzejszy dzień będzie dniem chwały, dniem przeznaczenia, a każdy z was odegra w nim znaczącą rolę! Proszę was, przyjaciele, abyście potwierdzili wiarę i nadzieję, jaką w was pokładam, tą ostatnią przysięgą! - Uniósł sztylet tak, aby mogli go zobaczyć. Kilku strażników mrugnęło, ale to wszystko.

– Zako! Masz zaszczyt być pierwszym! Okaż swoją odwagę!

Wąsaty oficer bez wahania wystąpił, wyciągając nagą dłoń. Nie był to pierwszy raz, gdy składał dowódcy przysięgę krwi i tylko jemu spośród całej piątki wydawało się, że wie, dlaczego Malevolyn chciał raz jeszcze potwierdzić lojalność podwładnych.

– Wnętrzem do góry. - Gdy Zako posłuchał, Malevolyn wznosił sztylet nad najbardziej mięsistą częścią dłoni, po czym wbił tam ostrze.

Zako zdusił westchnienie, patrzył nieruchomo przed siebie tak, jak po nim oczekiwano. Dlatego też nie zauważył niczego dziwnego. Gdy sztylet

przebił dłoń żołnierza, oba kamienie nagle rozbłysły. Co dziwniejsze, krew, choć płynęła z rany, nie rozlewała się, tylko wsączała w czarne ostrza i znikła.

– Napij się nieco wina, Zako - zaproponował Malevolyn, wyciągając sztylet. Gdy jego adiutant wrócił do szeregu, generał przywołał następnego żołnierza i powtórzył ceremoniał.

Gdy cała piątka oddała swoją krew, Augustus Malevolyn zasalutował im.

– Ofiarowaliście mi swoje życie, a ja przysięgam traktować ten dar tak, jak na to zasługuje. Odmaszerować.

Gdy żołnierze odeszli, generał przywołał Zako.

– Nim uporasz się z wiedźmą, powiedz kapitanowi Lyconiusowi, aby przyprowadził do mego namiotu wszystkich, którzy znajdują się pod jego komendą, zrozumiałeś?

– Tak jest, generale!

Kiedy i on wyszedł, z cienia rozległ się głos Xaxaxa:

– To trwa za wolno, o wodzu. W ten sposób zajmie nam to kilka dni.

– Nie, teraz pójdzie szybciej. Tej piątce przedstawiłem to jako zaszczyt i oni w to wierzą. Zako powie o tym Lyconiusowi, on z kolei swoim ludziom i tak dalej. Rozkażę oficerom, aby wydali dodatkowe racje wina tym, którzy jeszcze raz ofiarują mi swoje życie. Obiecuję ci, dalej pójdzie znacznie szybciej.

Wkrótce zameldował się Lyconius, chudy, jasnowłosy mężczyzna starszy od generała. Na zewnątrz czekali jego żołnierze. Malevolyn wpierw ukłękł kapitana, potem rozkazał mu ustawić podkomendnych w kolejkę. Wieść o dodatkowej racji wina sprawiła, że każdy chciał odnowić przysięgę.

Zaledwie kilku ludzi Lyconiusa zdążyło przejść rytuał, gdy do namiotu wpadł mocno zmieszany Zako. Ukłękł przed generałem i ze wstydem pochylił głowę.



Malevolyn, nieco zirytowany tym wtargnięciem, warknął:

– Mów! O co chodzi?

– Generale... wiedźma... nigdzie nie można jej znaleźć!

Malevolyn usiłował ukryć irytację.

– Czy jej rzeczy nadal są w namiocie?

– Tak, generale, ale nie ma konia.

Nawet Galeona nie pojechałaby na przejażdżkę po pustyni w środku nocy. Zerknąwszy przez ramię, Malevolyn zauważył, że cień demona poruszył się niespokojnie. Bez wątpienia nowina nie spodobała się również Xazaxowi, ale ani człowiek, ani demon nie mogli tracić czasu na wiedźmę. Nawet jeśli czarodziejka dowiedziała się o ich planach i postanowiła uciec, to dla kochanka nie miało to na dłuższą metę większego znaczenia. Jak mogła im zaszkodzić? Być może, gdy już będzie miał zbroję, zapoluje sobie na byłą kochankę, ale w tej chwili miał ważniejsze sprawy na głowie.

– Nieważne, Zako. Wróć do swoich obowiązków.

Podwładny podziękował z ulgą, po czym szybko opuścił namiot. Generał Malevolyn wrócił do swego zadania, skaleczył następnego żołnierza i podziękował mu za odwagę.

Rzeczywiście sprawy nabrały tempa, tak jak Malevolyn zapowiedział modliszce. Połączenie zaszczytu i darmowej racji wina sprawiło, że kolejka ciągnęła się przez cały obóz - każdy żołnierz chciał dowieść swej lojalności wobec dowódcy i wykazać się przed towarzyszami. Czuli, że jutro generał poprowadzi ich do wielkiego zwycięstwa i zdobędą bogactwa, o których im się nie śniło. To, że było ich zbyt niewielu, by zdobyć tak silnie obwarowane miasto jak Lut Gholein, jakoś ich nie zaprzętało. Uważali, że dowódca nie podjąłby pochopnej decyzji, gdyby nie opracował planu zapewniającego sukces.

Późną nocą ostatni z żołnierzy dał dowód lojalności, wyciągając dłoń pod ostrza sztyletu, a potem wraz z oficerem, który go przyprowadził, opuścili namiot. Augustus Malevolyn słyszał dobiegające z obozu odgłosy świętowania, gdy jego ludzie cieszyli się porcją napitku i wznosili toasty za przyszłe bogactwo.

– Dokonało się - zaskrzeczał Xazax, wychodząc z ciemnego kąta. - Każdy posmakował ukąszenia sztyletu, z każdego napiło się ostrze...

Obracając ceremonialną broń w dłoniach, generał zapytał:

– Ani kropelki, ani plamki. Gdzie podziała się cała krew?

– Tam, gdzie musiała. Ten tutaj obiecał ci armię, której nie oprze się nawet Lut Gholein, pamiętasz?

– Przypominam sobie... - Malevolyn dotknął hełmu, którego nie zdjął od chwili, gdy rozbito obóz. Szkarłatny element pancerza zdawał się częścią jego ciała do tego stopnia, iż Augustus przyrzekł sobie, że nigdy się go nie pozbędzie, a zdejmować będzie tylko w razie konieczności. - Powtórzę jeszcze raz: *akceptuję* konsekwencje naszego układu.

Ciało modliszki wygięło się w sposób, który mógł oznaczać ukłon.

– Zatem nie ma powodu, dla którego nie mielibyśmy zacząć już teraz...

– Powiedz mi, co trzeba zrobić.

– Narysuj ten symbol na piasku u twoich stóp. - Używając kościstych dłoni, Xazax nakreślił w powietrzu znak. Oczy generała nieznacznie się rozszerzyły, gdy zobaczył, jak palec demona pozostawia za sobą ognisty pomarańczowy ślad.

– Czemu ty tego nie zrobisz?

– Musi być nakreślony przez tego, kto będzie dowodził. A może wolisz, aby był to ten tutaj, pokorny sługa, wielki wodzu?

Uznając słuszność tego argumentu, Malevolyn pochylił się i nakreślił znak, który zobaczył w powietrzu. Gdy skończył, ku jego zaskoczeniu z ust

buchnął mu potok dziwnych słów.

– Nie wahaj się! - naciskała modliszka z entuzjazmem. - On znał te słowa, będą też znane tobie!

On... Bartuk. Augustus Malevolyn pozwolił płynąć słowom, rozkoszując się potęgą, jaką w nich czuł.

– Trzymaj sztylet nad środkiem znaku. - Gdy generał tak uczynił, demon dodał: - A teraz... wypowiedz imię mojego piekielnego pana! Wypowiedz imię Beliala!

– Kim jest Belial? Znam Baala, Mefista i Diabło, ale nie Beliala. Może chodziło ci o Baa...

– *Nie wzywaj ponownie tego imienia!* – zaświergotał nerwowo Xazax.

Potworna głowa demona obróciła się w jedną, potem w drugą stronę, jakby modliszka się bała. Kiedy nie dostrzegł tego, czego mógłby się obawiać, demon podjął już spokojniejszym tonem:

– Nie ma innego władcy Płonących Piekieł prócz *Beliala*. To on daje ci ten niesamowity dar! Zawsze o tym pamiętaj!

Malevolyn, który był lepiej obeznany z magią, niż demon przypuszczał, wiedział, że Piekiełm rządzi Mroczna Trójca. Znał też legendy o tym, jak trzech bracia zostali wygnani do świata ludzi, a ich władza nad Piekiełm stała się przeszłością. Według jednej z mniej znanych legend w Lut Gholein znajdował się grobowiec Baala, ale generał nie dawał temu wiary: kto budowałby miasto na grobie władcy demonów?

– Jak mówisz, Xazaxie. Zatem Belial. Chciałem upewnić się,, że dobrze wypowiem imię.

– Zaczynij od nowa! - warknął wielki owad.

Jeszcze raz słowa spłynęły z języka Malevolyna. Jeszcze raz trzymał wampiryczny sztylet nad środkiem symbolu, symbolu Beliala, jak już

wiedział generał. Na koniec inkantacji dowódca wy-powiedział imię władcy demonów...

– Wbij sztylet w sam środek symbolu!

Generał Malevolyn wraził ostrze w piach, trafiając precyzyjnie w środek.

Nic się nie stało.

Popatrzył na górującego nad nim potwora.

– Cofnij się - poradził Xazax.

Gdy przyszyły zdobywca świata posłuchał, wokół sztyletu pojawiła się czarna mgiełka. Gwałtownie urosła, najpierw unosząc się nad bronią, a potem sięgając kłapy namiotu. Gdy wypłynęła na zewnątrz, przyjęła kształt wielkiej, pazurzastej łapy.

– To już długo nie potrwa, wodzu.

Malevolyn rozejrzał się za pucharem swojego najlepszego wina. Na tę noc wybrał nową butelkę, którą woził specjalnie zapakowaną na niezliczone podróże. Otworzył ją, powąchał zawartość i z zadowoleniem nalał sobie pół kielicha.

Wtedy rozległy się pierwsze krzyki.

Augustusowi Malevolynowi drgnęła dłoń, ale nie ze strachu i czy żalu, po prostu nie słyszał dotąd tak rozdzierających duszę wrzasków, nawet z ust torturowanych. Przenikliwy hałas zaskoczył po prostu dowódcę. Gdy rozległ się drugi, trzeci i czwarty krzyk, Malevolyn nie uznał już tego za niepokojące. Uniósł nawet kielich w stronę wbitego w piasek sztyletu i niewidzialnego pana Xazaxa.

Krzyki połączyły się w chór potępionych, dziesiątki ludzi wrzeszczących, błagających o uwolnienie. Z całego obozu docierały do uszu generała wrzaski agonii, ale nie przejął się tym zanadto. Ludzie, *jego* ludzie, złożyli przysięgę, że będą mu służyć w każdy możliwy sposób. Dzisiejszej nocy potraktował tę przysięgę dosłownie i przyjął ofiarę.

Znów odwrócił się do wejścia do namiotu.

Źle interpretując to zachowanie, modliszka zdecydowała się uprzedzić swego sprzymierzeńca:

– Już za późno, aby ich ratować. Pakt został zaakceptowany przez piekielnego władcę tego tutaj.

– Ratować ich? Chciałem tylko spełnić toast za to, co ofiarowali, abym mógł wypełnić moje przeznaczenie!

– Aaach... - odparł demon, po raz pierwszy poznając prawdziwe oblicze generała Malevolyna. - Ten tutaj się pomylił...

Krzyki trwały nadal. Kilka dochodziło z oddali, jakby niektórzy żołnierze próbowali się wyrwać, nie mogli jednak uciec przed czymś, co pożerało ich z wnętrza dusz. Niektórzy, najbardziej lojalni, wołali swojego dowódcę, błagając o pomoc. Malevolyn osuszył następny puchar, potem usiadł i czekał na koniec.

Stopniowo krzyki cichły. Rozbrzmiewało tylko nerwowe rżenie koni, które nie mogły zrozumieć, co się stało. Ale w końcu i ono umilkło, ciężka cisza zaległa nad obozem.

Uderzenie metalu o metal sprawiło, że generał popatrzył na demona, ale Xazax milczał. Szczęk narastał, stawał się głośniejszy i bliższy. Generał Malevolyn dokończył wino i wstał.

Hałas na zewnątrz nagle umilkł.

– Czekają na ciebie... wodzu.

Poprawiwszy zbroję, a zwłaszcza hełm, generał Augustus Malevolyn wyszedł przed namiot.

Rzeczywiście czekali na niego w idealnie równych szeregach. Niektórzy trzymali pochodnie, aby mógł zobaczyć ich twarze, twarze tych, którzy służyli mu wiernie przez lata. Byli tam Zako, Lyconius i pozostali oficerowie, a za nimi szeregi żołnierzy.

Gdy go zobaczyli, z gardeł tłumu wydarł się okrzyk pozdrowienia, okrzyk potworny i brutalny. Generał uśmiechnął się, a dokładniejsze spojrzenie na szeregi jeszcze wzmogło jego radość. Nieważne, jak jasna czy ciemna była wcześniej ich skóra, teraz wszyscy mieli blade ziemiste lica. Ich bojowy okrzyk odsłonił ostre kły i długie, rozdwojone języki. Oczy...

Ich oczy były szkarłatne i płonęły taką żądzą zła, że mógł je widzieć nawet bez pochodni. To nie były ludzkie oczy: przypominały raczej, przynajmniej jeśli chodziło o złośliwość, oczy modliszki.

Ci straszliwi wojownicy, odziani w skóry jego żołnierzy, będą nowym legionem Malevolyna, drogą ku zwycięstwu.

Xazax również wyszedł z namiotu, piekielna modliszka nie musiała już się ukrywać. W końcu był wśród swoich.

– Chwała Malevolynowi z Zachodniej Marchii! - zawołał Xazax. - Chwała Krwawemu Panu!

I raz jeszcze demoniczna horda pozdrowiła Augustusa Malevolyna.



Daleko od obozu Galeona niczego nie usłyszała, ale wyczuła uderzenie złowrogiego zaklęcia. Obeznana z ciemniejszą stroną sztuki magicznej wiedziała, że tak wielka emanacja piekielnej mocy oznacza, iż jej obawy się potwierdziły. Słusznie uczyniła, że odjechała, póki miała taką możliwość, inaczej podzieliłaby los niczego niepodejrzewających żołnierzy Augustusa.

Xazax nie docenił jej po raz ostatni. Aby złamać pakt krwi zawarty kilka lat wcześniej, modliszka posłużyła się kim innym. Na nowego sojusznika wybrał generała. Demon zawsze sugerował, że nowy władca demonów byłby lepszy niż pozyskanie pustej zbroi. Galeona powinna już przed

miesiącami zdać sobie sprawę, że nigdy nie zamierzał dotrzymać umowy dłużej, niż to było konieczne.

Ale dlaczego tak nagle wybrał Augustusa zamiast niej? Czy to naprawdę był strach? Od pamiętnej nocy, gdy potworny insekt nieomal posunął się do niewiarygodnego - prawie zabił czarodziejkę niebaczny na konsekwencje, jakimi groziło mu zerwanie paktu - zastanawiała się, co mogło tak przerazić tego potwora z piekła rodem. Jaki strach sprawił, że pobiegł wprost do Malevolyna?

Ostatecznie nie miało to znaczenia. Zarówno Xazax, jak i Augustus mogli trzymać się razem. Po tym, co odkryła podczas krótkiego zaklęcia nieco wcześniej, stwierdziła, że nie potrzebuje tych dwóch zdradzieckich kreatur. Czemu oglądać się przez ramię, skoro może być tą, która będzie dowodzić?

Czarodziejka po raz kolejny spojrzała na lewą dłoń. Trzymała mały kryształ, który związała czarami ze swoim celem. Dopóki kryształ świecił, Galeona wiedziała, że podąża we właściwą stronę.

Dopóki świecił, wiedziała, że znajdzie tego głupca, którego zamierzała uczynić swoją marionetką.

Zdradzając, Xazax strasznie się pomylił. Z jakiegoś powodu, którego Galeona nie mogła sobie wyobrazić, demon nie potrafił sam wykryć starej zbroi. Potrzebował pomocy człowieka, dlatego właśnie połączyli siły. I to dlatego przekłeta modliszka opuściła Galeonę dla generała Malevolyna, gdy tylko uznała, że wie, gdzie szukać zbroi. Nie powinno to być zaskoczeniem, Galeona zamierzała zrobić to samo, ale Xazaxa ten błąd mógł drogo kosztować.

Demon bez wątplenia wierzył, że zbroja znajduje się w pobliskim Lut Gholein, miejscu, do którego będzie się teraz kierował. Zresztą czarodziejka też tak myślała, zanim nie rzuciła ostatniego zaklęcia. Gdzie

indziej miałyby znajdować się pancierz, jeśli nie w tym nadmorskim mieście? Samotnemu wędrowcowi niełatwo byłoby wyjechać stamtąd z karawaną albo wypłynąć statkiem udającym się z Lut Gholein do jednej z krain dalej na Zachodzie. Innymi słowy, Norrek raczej pozostał w obrębie miejskich murów.

Tak przynajmniej mogło się wydawać. Jednak jakoś się stamtąd wydostał i wbrew wszelkiemu rozsądkowi pojechał na pustynię z taką prędkością, że jak nic zajeździł wierzchowca. Galeona odkryła, że weteran znajdował się praktycznie pod nosem Augustusa. Gdyby generał zgodził się na rzucenie zaklęcia poszukującego wtedy, gdy to zaproponowała, teraz zbroja zapewne już należałaby do niego. Mógłby wkraczać do Lut Gholein odziany w szkarłatny pancierz Bartuka, z wierną czarownicą u boku.

Teraz Galeona miała nadzieję, że uda się jej przekonać tego drugiego głupca, aby on korzystał z mocy zbroi... zgodnie z jej świątymi wskazówkami, rzecz jasna. Wyglądał na łatwowiernego durnia, którego bez trudu owinie sobie wokół palca. Miał też całkiem przyjemne rysy, które podobały się wiedźmie bardziej niż te poprzedniego kochanka. A dzięki temu uzyskanie kontroli nad nową marionetką będzie wcale przyjemne.

Oczywiście gdyby Galeona znalazła inny sposób ujarznienia zadziwiających mocy zbroi, bez żalu pozbyłaby się też Norreka. Zawsze byli jeszcze inni mężczyźni, inni głupcy.

Jechała dalej i właściwie martwiło ją jedynie, że Xazax może przerwać swoje zajęcia i wraz z Augustusem ruszyć w pościg za byłą kochanką i współpracowniczką. Oczywiście to również naruszało pakt, a tym samym stanowiło zagrożenie tak dla demona, jak i dla niej. Najprawdopodobniej piekielna modliszka chwilowo o niej zapomniała, zadowolona ze zdobycia swej wielkiej nagrody. Później bez wątpienia znajdzie sposób, aby zerwać ich więzy - i przy okazji odjąć czarodziejce głowę i kończyny.



Jednak przybędzie za późno. Gdy czarodziejka omota nowego pionka, okaże się, że to nie ona, a Xazax zostanie rozszarpany i rozrzucony po okolicy. Może Galeona nawet skłoni Norreka do przyniesienia jej głowy demona, taki okaz stanowiłby doskonały początek nowej kolekcji, starą czarownica musiała przecież zostawić.

Rozejrzała się, szukając jakiegoś śladu swojej ofiary. Aby nie krążyć w ciemnościach, wiedźma rzuciła zaklęcie, które poprawiło wzrok konia i jej. Dzięki temu zwierzę mogło wybierać najdogodniejszą ścieżkę, a Galeona spokojnie rozglądać się za żołnierzem.

*Tam!* Zatrzymawszy konia, czarownica wpatrzyła się w odległe, skaliste wzgórza. Kryształ wskazywał, że jej dalsza droga wiodła dokładnie w tamtą stronę.

Galeona uniosła się w siodle, szukając innego prawdopodobnego miejsca, ale żadnego nie było. Oby ten głupek miał dość rozumu i poszukał kryjówki. Był doświadczonym wojownikiem, a to niewielkie wzgórze wyglądało na najlepsze schronienie w promieniu wielu mil. Jej cel musiał tam być.

Spięła konia. Gdy się zbliżyła, przy lewym stoku wzgórza dostrzegła chyba jakąś postać. Tak... człowiek siedzący pod głazem, z nogami podciągniętymi pod brodę i obejmujący rękami kolana.

Na widok Galeony poderwał się na równe nogi ze zwinnością i szybkością, jakiej nie należało się spodziewać u kogoś zakutego w ciężką zbroję. Bezskutecznie usiłował przyjrzeć się czarodziejce w mroku. *Tak, to bardzo przyjemne rysy twarzy* – pomyślała przebiegle. Wyglądał lepiej, niż pamiętała go ze spotkania na statku. Jeśli tylko wykaże się rozsądkiem i posłuszeństwem, nie będą mieli ze sobą problemów i z pewnością długo Galeona nie będzie musiała szukać mu zastępstwa.

– Kto tam? - zawołał Norrek. - Kim jesteś?

Zsiadła z konia tuż przed nim.

– Tylko wędrowiec, jak ty... który nie ma złych zamiarów. - Galeona wykorzystwała kryształ, aby oświetlić teren i pokazać, jakie to szczęście zawitało w jego żalosne życie. - Ktoś, kto szuka odrobiny ciepła...

Czarownica manipulowała świecącym kamieniem tak, aby blask padał na jej twarz i pierś. Od razu dostrzegła zainteresowanie mężczyzny. Im większe, tym lepiej. Wyglądał na kogoś, kogo można wodzić za nos w zamian za kilka miłych chwil. Idealna marionetka.

Wyraz jego twarzy nagle się zmienił, i to nie na lepsze.

– Znam cię, prawda? - Norrek spojrzał na Galeonę z góry. - Muszę jeszcze raz zobaczyć twoją twarz.

– Oczywiście. - Uniosła klejnot.

– Za mało światła - mruknął. - Potrzebuję więcej.

Podniósł lewą dłoń i w rękawicy pojawiła się nagle niewielka kula ognia, sto razy jaśniejsza od kryształu czarodziejki.

Galeona mimo woli gwałtownie wciągnęła powietrze. Spodziewała się, że napotka niewtajemniczonego głupka, wojaka nieobeznanego z zasadami magii. Tymczasem ten mężczyzna z łatwością przywołał płomień, co pozostawało poza możliwościami niejednego z wyszkolonych magów.

– Tak lepiej... Rzeczywiście cię *znam*... a przynajmniej pamiętam twoją twarz! Na „Ognistym Jastrzębiu”! - Pokiwał głową z wyraźnym zadowoleniem. - Śniłaś mi się wtedy!

Oprzytomniawszy, Galeona szybko odpowiedziała:

– A ja śniłam wówczas o tobie! Śniłam o wojowniku, o bohaterze, który ochroni mnie przed ścigającym złem!

Tak jak się spodziewała, jej słowa i ton wywołały natychmiastową reakcję mężczyzny. Nadal spoglądał na czarodziejkę nieufnie, ale teraz w jego wzroku pojawiło się też współczucie... i duma, że widziała w nim

wybawcę. Czarownica zbliżyła się, spod półprzymkniętych powiek zaglądając Norrekowi w oczy z uwielbieniem. Jak na razie z pewnością go uwodziła.

– Czy grozi ci niebezpieczeństwo? - Nie ukrywał, że chętnie będzie bronił Galeony. Spojrzał nad jej ramieniem, jakby spodziewał się dostrzec złoczyńców.

– Jeszcze nie wiedzą, że im uciekłam. Ja... ostatniej nocy znów śniłam o tobie, wiedziałam, że będziesz gdzieś blisko, czekając na mnie. - Położywszy dłoń na jego napierśniku, Galeona pochyliła się tak, że tylko ciele dzieliły jej pełne usta od warg Norreka.

Nie dał się złapać na tę kuszącą przynętę, zamyślił się tylko.

– Jesteś czarodziejką - powiedział w końcu Norrek. - Jak się nazywasz?

– Galeona... a ze swoich snów wiem, że mój rycerz nazywa się Norrek.

– Tak... - Wojownik uśmiechnął się, gdy usłyszał, jak go nazwała. - Czy jesteś potężną czarodziejką?

Czarownica pozwoliła, aby jej dłoń błędziła po spojeniach zbroi.

– Mam pewne umiejętności... także w innych dziedzinach.

– Może być i czarodziejka... - mruknął do siebie. - Chciałem, aby ktoś pomógł mi z tą zbroją... ale teraz to już nie takie ważne. Miałem czas to przemyśleć, poukładać sobie wszystko. Muszę załatwić kilka spraw, zanim posunę się dalej.

Galeona słuchała go jednym uchem, planując własne sprawy. Norrek z pewnością nie był takim prostakiem, za jakiego go miała, ale przynajmniej uwierzył w jej opowieść i zaakceptował jako towarzyszkę. Gdy dowie się o nim czegoś więcej, Galeona wzmocni te więzy. Już okazał się wrażliwy na jej wdzięki, a co do reszty, której wiedźma pragnęła, otrzyma ją zapewne niedługo.

Rzecz jasna, jeśli był jakiś sposób, by mogła pomóc Norrekowi, pokazać swej marionetce, jak wartościowym towarzyszem może być czarodziejka, to tylko przybliży ją do celu. Chociaż nie rozumiała tego, co mówił o zbroi, w innych sprawach, o których wspominał - jakiegokolwiek by nie były - na pewno mogłaby mu się przydać.

– Oczywiście dołożę wszelkich starań, aby ci pomóc, mój rycerzu! Proszę tylko o to, abyś w zamian ochronił mnie przed tymi, którzy chcą mi zrobić krzywdę. - Zerknęła na pustynię. - Są potężni i usługują im mroczne siły.

Galeona chciała sprawdzić opanowanie wojownika, zobaczyć, jak pewnie się czuje z mocą, którą najwyraźniej dysponuje. Jednak, ku jej zaskoczeniu, Norrek wzruszył tylko ramionami.

– Wojownicy, magia, demony... nie boję się ich. Ci, których ochraniam, nie zostaną pokrzywdzeni.

– Masz moją wdzięczność - szepnęła, wspinając się i całując go mocno.

Odsunął ją, ale bez niechęci, po prostu nie był zainteresowany tym, co chciała mu oferować. Zdawał się bez reszty pochłonięty rozważaniami.

– Myślałem o tym - wreszcie powiedział do wiedźmy. - Zastanawiałem się, dlaczego trafiłem właśnie tutaj. To musi być gdzieś blisko. Próbuje ukryć się przede mną i to mu się udaje.

Znów na nią spojrzął, ale błysk w jego oku nieco zaniepokoił Galeonę.

– Ale ty mogłabyś go odnaleźć! W końcu znalazłaś mnie. Może udałoby ci się to, co nie udało się Drognanowi.

– Zrobię, co w mojej mocy - zapewniła Galeona, zastanawiając się, co też tak zaprzęta tego mężczyznę. Czyżby coś, co i ona uznałaby za cenne? - Czego szukamy?

Wyglądał na zaskoczonego, że wiedźma jeszcze nie wie.

– *Grobu Horazona*, oczywiście! - Wyraz jego twarzy zmienił się, gdy Norrek wypowiedział te słowa. Galeona spojrzała na niego jeszcze raz i tym razem zobaczyła twarz, którą nie do końca rozpoznała. - *Grobu mojego brata*.

# SZESNAŚCIE



Pod Lut Gholein rozciągało się prawdziwe królestwo.

Nie, poprawiła się Kara, to nie było królestwo, choć wydawało się równie wielkie, jeśli nie *większe* od miasta nad nim. Intrygujący, a zarazem budzący niepokój przewodnik, niewiarygodnie wiekowy Horazon, prowadził Karę płataniną korytarzy. Skręcali raz za razem, aż w końcu nekromantce zakręciło się w głowie od prób zapamiętania tej trasy. Wchodziła i schodziła po schodach, mijała kolejne drzwi, wreszcie Horazon przywiódł ją do tej komnaty - dobrze oświetlonej i wyposażonej sypialni - i kazał się przespać.

Kara nie pamiętała, kiedy się położyła, a potem nagle leżała w miękkim łóżku, wpatrując się w baldachim ze spletanym wzorem. Była przekonana, że kajuta na pokładzie „Królewskiej Tarczy” będzie najwygodniejszą sypialnią, z jakiej dane będzie jej korzystać, ale ten pokój zupełnie przyćmił tamten. Zaskakujące, że eleganckie meble, choć wyraźnie z innej epoki, wyglądały, jakby zostały wykonane wczoraj. Wielkie drewniane łóżce było idealnie wypolerowane, pościel czysta i szeleszcząca, a marmurowa podłoga bez skazy. To samo tyczyło się nocnego stolika obok łóżka i krzesła w odległym kącie. Na ścianach wisały przebogie gobeliny, zdecydowanie w gustach Vizjerei, przedstawiające fantastyczne stwory i pokazy zadziwiających zaklęć, a wszystko to utkane z niesamowitym

artyzmem. Gdyby nie to, że była więźniem w kryjówce potencjalnie niebezpiecznego szaleńca, nekromantka czułaby się nadzwyczaj wygodnie.

Nie miała zamiaru tu zostać. Choć wszystkie legendy mówiły, że Horazon był mniejszym złem, jednak również ambitnym Vizjerei, który kiedyś jak brat rozkazywał demonom, a do tego najwyraźniej postradał rozum w ciągu minionych stuleci. Kara zastanawiała się, jakim cudem przeżył tak długo. Znane zapisy o zaklęciach tak bardzo przedłużających życie wspominały niezmiennie o przyzywaniu potęg nie z tego świata, aby rzucić czar. Jeśli Horazon znów zaczął korzystać z pomocy demonów, wbrew temu, iż nieustannie mamrotał, że to zło, Kara miałaby wytłumaczenie, dlaczego oszalał, ale też kolejny powód, by znaleźć drogę ucieczki, zanim starzec powróci.

Całkowicie ubrana dziewczyna ześlizgnęła się z łóżka i podążyła do drzwi. Nie miało sensu sprawdzać, czy Horazon założył tu zaklęcia, bo całe sanktuarium emanowało tak silną magią, że Kara zastanawiała się, jak to możliwe, że nie wyczuwał tego każdy czarodziej czy zaklinacz w promieniu setek mil. Może magia skrywała siedzibę Horazona przed nimi? Jeśli choć część tej mocy była ukierunkowana na ukrycie domeny, to najpotężniejsi czarodzieje świata mogli stać na jej progu i nie widzieć cudów przed swoimi oczami.

Nekromantka postanowiła zaryzykować i ujęła klamkę, i natychmiast odkryła, że drzwi są zamknięte. Spróbowała jeszcze raz, z tym samym skutkiem.

Co prawda nie zdziwiło jej, że została zamknięta, ale i tak wzmogło to tylko jej frustrację. Od wyruszenia w ten pościg raz po raz była więziona. Zastanawiała się, czy z tego pomieszczenia w ogóle można uciec. Ponieważ nie chciała się poddać, dotknęła klamki i wymruczała zaklęcie otwarcia. Był to pomniejszy czar, wywodzący się z podstawowej magii Vizjerei, ale

kapłani Rathmy uznali go za jedno z niewielu przydatnych dokonań rywali. Kara nie miała wątpliwości, że tak słaby czar nie przyniesie żadnych rezultatów, ale nie mogła wymyślić innego sposobu wyjścia z pokoju bez zwałenia sobie sufitu na głowę przy wykorzystaniu silniejszej magii.

Klamka *ustąpiła*.

Zaskoczona tym nagłym sukcesem, nekromantka prawie otworzyła drzwi szarpnięciem. Dziewczyna wzięła jednak głęboki oddech i uchyliwszy je nieco, obejrzała korytarz. Nie dostrzegła zagrożenia, więc po cichu wyszła. Zerknęła w jedną i w drugą stronę, usiłując dociec, którądy szła do komnaty. Po krótkim namyśle zwróciła się w prawo i pobiegła.

Korytarz kończył się schodami wiodącymi w górę, co dziewczyna uznała za dobry znak. Jeśli będzie szła w tę stronę, w końcu odnajdzie drogę na powierzchnię.

Schody łamały się dwa razy i prowadziły na znacznie szerszy korytarz. Upewniając się, że Horazona nie ma w pobliżu, nekromantka wślizgnęła się do dużego holu. Choć pokój, w którym spała, miał pięknie ustrojone ściany, korytarze były bardzo skromne, kilka par drzwi stanowiło ich jedyną ozdobę i urozmaicenie. Nietypowym elementem było natomiast niegasnące żółte światło z nieznanego źródła. Żadnych pochodni ani nawet uchwytów na żagwie.

Karę kusilo, aby zajrzeć do któregoś z pokoi, ale wiedziała, że jak najszybciej powinna znaleźć drogę na zewnątrz. Każda zwłoka mogła dać Horazonowi dodatkowy czas na odkrycie, że nekromantka zniknęła. I choć dziewczyna bardzo chciała dowiedzieć się czegoś więcej o szalonym magu i jego sanktuarium, to wolała to uczynić na swoich, a nie jego warunkach.

Korytarz zakręcał w prawo. Kara przyspieszyła, mając nadzieję, że zmiana kierunku oznacza zbliżanie się do wyjścia. Skręciła, modląc się, żeby na końcu tunelu były następne schody lub, jeszcze lepiej, wyjście.



Korytarz był *ślepy*.

Kończył się ścianą zaledwie kilka jardów za zakrętem. Położywszy na niej obie ręce, nekromantka usiłowała odkryć iluzję, magię, ukryte przejście. Niestety, zaporą była tak solidna, na jaką wyglądała.

Cofnąwszy się, Kara popatrzyła w drugim kierunku. Powrót do schodów nie miał sensu, a to oznaczało, że pozostawały tylko drzwi. Choć zapewne nie prowadziły do wyjścia z królestwa Horazona.

Podeszła do pierwszych i ostrożnie je otworzyła. Przy swoim szczęściu mogła się spodziewać, że zawita do prywatnych komnat sędziwego Vizjerei.

Za drzwiami biegł długi, kręty korytarz.

– To o to w tym chodzi? - szepnęła do siebie. Żeby wyjść, należało otworzyć drzwi, a nie podążyć korytarzem. Mogła się spodziewać, że jej szalony gospodarz wymyśli coś tak nieprawdopodobnego!

Kara Nocny Cień pospieszyła korytarzem, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Odnajdzie drogę ucieczki. Gdzieś tam znajdzie wyjście w zniszczonym budynku albo inne tajemne przejście prowadzące do Lut Gholein.

Tymczasem nekromantka znalazła *kolejne* drzwi.

Nie miała wyboru, musiała je otworzyć. Nie było innego korytarza ani przejścia. Tym razem przynajmniej otwierała je z nadzieją, że się powiedzie.

Przeszła już sporą odległość. Labirynt Horazona musiał skończyć się tu i teraz.

Za drzwiami ciągnął się następny korytarz.

Przypominał Karze ten szeroki, którym szła jakiś czas temu, ale to jej nie martwiło. Oczywiście, że były podobne. W końcu stworzył je wszystkie ten sam człowiek.

Wtedy po lewej zobaczyła otwarte drzwi.

Podeszła do nich pełna obaw. Zajrzała, mając nadzieję, że się myli.

Zobaczyła ten sam kręty korytarz, który właśnie przeszła.

– Trag’Oulu, wyrwij mnie z tego szaleństwa! - Co było w tym korytarzu, że wróciła do tego samego miejsca? Kara zamrugła kilka razy, gdy uświadomiła sobie istotny szczegół. Te drzwi i te, którymi powróciła, były umieszczone po *przeciwnych* stronach holu. Jak więc mogła chodzić w kółko? Korytarz musiałby przecinać się z holem, a to niemożliwe!

Kara bez wahania podążyła w stronę samotnych drzwi po lewej. Jeśli też zaprowadzą ją do tego holu, wtedy przyzna, że zaklęte królestwo Horazona ją pokonało.

Ku swej uldze nekromantka znalazła za drzwiami wielką komnatę, w niej dwie szerokie klatki schodowe z barierkami, a pomiędzy dwie pary dużych drzwi z brązu, zdobionych skomplikowanymi motywami smoków.

Cała podłoga była wyłożona marmurową posadzką, a kamienne ściany przysłaniały gobeliny.

Kara weszła do środka, zastanawiając się, czy wybrać drzwi, czy też schody. Drzwi wyglądały najbardziej kusząco, gdyż znajdowały się dokładnie naprzeciw, ale schody również wzywały nekromantkę, ponieważ któreś musiały wieść na powierzchnię.

Cichy brzęk sprawił, że Kara uniosła głowę... i gwałtownie nabrała powietrza.

Wysoko, wysoko ponad nią siedział na krześle Horazon. Białowłose czarodziej mamrotał do siebie, posilając się przy długim stole. Brzęk, który Kara usłyszała, towarzyszył odkładaniu noża na bogato zdobiony, złoty talerz z mięsem. Nawet tu Kara mogła poczuć upojny zapach potrawy. Horazon sięgnął po puchar wina i pociągnął solidny łyk, nie rozlewając ani kropli. Ta czynność wprowadziła nekromantkę w absolutnie zdumienie, nie

dlatego, że uważała szalonego maga za pozbawionego manier, ale dlatego, że siedział *do góry nogami* na suficie.

Cały stół stał do góry nogami, ale nic nie spadło na Karę. Krzesło, półmiski pełne jedzenia, nawet długa broda Horazona, wszystko zachowywało się jak powinno. Rozejrzawszy się po suficie, Kara dostrzegła drzwi i inne schody, które z pewnością służyły magowi. Gdyby nie Horazon i jego wystawny posiłek, wyglądałoby to tak, jakby widziała nad sobą lustrzane odbicie komnaty.

Wciąż pijąc, Horazon uniósł głowę do góry - a raczej *do dołu* - i wreszcie dostrzegł zaskoczoną dziewczynę.

- Chodź! Chodź! - zawołał. - Spóźniłaś się! Nie lubię, gdy ludzie się spóźniają!

Obawiając się, że może użyć swojej potęgi, aby przyciągnąć Karę do sufitu i może na zawsze zniweczyć jej szanse ucieczki, dziewczyna pobiegła przez wielki hol do brązowych drzwi. Musiały prowadzić gdzieś poza jego moc! Musiały!

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na swego porywacza, Kara otworzyła najbliższe drzwi. Gdyby tylko mogła znaleźć się...

- Ach! Dobrze, dobrze! Siadaj! Siadaj!

Horazon patrzył na nią z końca długiego, zdobionego stołu, identycznego jak ten, który dopiero co oglądała z dołu, jednak tym razem znajdował się nie na suficie, ale na środku pokoju. Na blacie Kara ujrzała te same dania, nawet puchar z winem. Za magiem znajdowały się schody, które nekromantka widziała w poprzedniej komnacie - teraz były tłem dla Horazona i jego uczyty.

Nie mogła się powstrzymać, spojrziała na sufit.

Zobaczyła schody i drzwi odwrócone do góry nogami.

Jedne, o ogromnych skrzydłach z brązu, były otwarte - jakby w pośpiechu.

– Chroń mnie, Rathmo... - mruknęła Kara.

– Siadaj, dziewczyno, siadaj! - polecił Horazon, zupełnie nieświadom jej konsternacji. - Pora jeść! Pora jeść!

Nekromantka nie mogła zrobić nic, aby się uratować, więc posłuchała.



Nad pustynią zanosilo się na burzę. Bezkresny ocean czarnych, zbitych chmur rozciągał się ze wschodu na zachód, jak tylko Augustus Malevolyn sięgał okiem. Nadszedł już świt, ale dzień był tak ciemny, że równie dobrze można było przyjąć, iż właśnie zapada noc. Niektórzy wzięliby tak ciemne niebo za zły omen, ale generał uznał, że ten widok zapowiada jego czas, a przeznaczenie jest na wyciągnięcie ręki. Lut Gholein leżało przed nim, a za murami krył się głupiec, który nosił wspaniałą zbroję - sławną zbroję *generała*.

O tym Xazax wielokrotnie zapewniał Malevolyna. No bo gdzie indziej mógłby podziąć się obcy? Wiatr był silny, więc żaden statek nie wyjdzie dziś w morze. *Musiał* być w mieście.

Generał obserwował Lut Gholein ze szczytu dużej wydmy. Za nim, niewidoczna dla wroga, cierpliwie oczekiwała rozkazów demoniczna czereda. Ze względu na zaklęcie odrażające istoty nadal zamieszkiwały ciała ludzi Malevolyna, choć zapewne w końcu z nich zrezygnują. Demony potrzebowały ciał, żeby przejść do świata śmiertelnych, i będą ich używać jeszcze przez jakiś czas. Jednak to nie martwiło generała. Lepiej, aby wróg uważał, że to mała armia zwykłych śmiertelników. Dowódcy Lut Gholein będą zbyt pewni siebie, aroganccy. Rzuca wszystkie siły, aby zapewnić

sobie szybkie zwycięstwo, i w ten sposób wystawią się na rzeź, na którą Malevolyn już się cieszył.

Xazax dołączył do człowieka. Modliszka trzymała się poza zasięgiem wzroku dowódcy stanowczo zbyt długo. To zaintrygowało Malevolyna. Ze wszystkich demonów, które mu towarzyszyły, Xazax był najbardziej dominujący, a jednak zdradziecki owad poruszał się tak, jakby obawiał się, że nawet w pochmurny dzień ktoś go zauważy.

– Czemu się czaisz? Czego się obawiasz? - zapytał Malevolyn nieco podejrzliwie. - Czy spodziewasz się czegoś, o czym powinienem wiedzieć?

– Ten tutaj się niczego nie boi! - szcęknęła modliszka, poruszając gwałtownie żuwaczkami. - Niczego!

Znacznie ciszej dodała jednak:

– Ten tutaj jest... po prostu... ostrożny...

– Zachowujesz się tak, jakbyś się czegoś obawiał.

– Nie... ależ skąd...

Generał Malevolyn znów przypomniał sobie reakcję Xazaxa na imię „Baal” i legendę, że podziemia Lut Gholein miały skrywać grobowiec Władcy Zniszczenia. Czyżby w tej dziwacznej opowieści było ziarnko prawdy?

Uznawszy, że później zbada sprawę lęków demona, Malevolyn znów zaczął przyglądać się Lut Gholein. Miasto było nieświadome. Oddział sułtańskiej straży wyjechał przez bramę na poranny patrol, spokój jeźdźców był wyraźny nawet z dużej odległości. Zaczynali swój obchód z przekonaniem, że nikt nie będzie miał odwagi zaatakować miasta, zwłaszcza od strony pustyni. Lut Gholein najbardziej obawiało się ataku od morza, a przy takiej pogodzie było to bardzo mało prawdopodobne.

– Pozwolimy patrolowi podjechać jak najbliżej - powiedział Malevolyn do modliszki. - Potem ich zaatakujemy. Chcę zobaczyć, jak walczą twoi

wojownicy, nim uderzymy na miasto.

– Nie wojownicy tego tutaj - poprawił Xazax. - *Twoi...*

Jeźdźcy wylali się przez bramę i ruszyli, przecinając teren poza murami.

Malevolyn obserwował ich i czekał. Wiedział, że za chwilę znajdą się tam, gdzie chciał.

– Przygotować łuczników.

Szereg postaci wystąpił naprzód, nieludzkie oczy lśniły gotowością. Choć nosili tylko skorupy z ciał żołnierzy Malevolyna, zachowali wiedzę i umiejętności swoich ofiar.

Twarze, na które Augustus Malevolyn spojrzał, należały do jego najlepszych łuczników. Teraz demony miały pokazać, czy ich umiejętności są równie dobre, a może nawet lepsze.

– Na mój znak - rozkazał.

Przygotowali łuki. Xazax powiedział słowo... i groty strzał zapłonęły.

Jeźdźcy w turbanach byli coraz bliżej. Malevolyn ustawił wierzchowca, aby go lepiej widzieli.

Jeden z obrońców dostrzegł Augustusa i krzyknął do pozostałych. Patrol, liczący sobie przynajmniej czterdziestu żołnierzy, skierował się w stronę generała i jego oddziału.

– Bądźcie gotowi. - Malevolyn nakazał wierzchowcowi zrobić kilka kroków, jakby chciał się spotkać z gwardzistami. Oni zaś jechali w tempie, które sugerowało, że są ostrożni, ale niekoniecznie zaniepokojeni.

Wreszcie żołnierze z Lut Gholein podjechali wystarczająco blisko.

– Teraz!

Nawet wyjący wiatr nie mógł zagłuszyć przerażającego świstu pocisków. Na wrogów spadł deszcz śmierci.

Niektóre strzały chybiły, niektóre doszły do celu. Malevolyn zobaczył, jak pocisk ugodził jeźdźca na przedzie, przebił pancerz, jakby napierśnik

był papierowy, i zatonął w piersi żołnierza. Ku zaskoczeniu generała jeździec stanął w *płomieniach*, które rozprzestrzeniały się od miejsca, gdzie uderzyła strzała. Ciało spadło z siodła pod kopyta następnego rumaka, który spłoszył się i zrzucił jeźdźca.

Inna strzała trafiła jednego z gwardzistów w nogę, co pozornie było jedynie dotkliwą raną, ale szybko okazało się kolejną potwornością, gdy z rany wypełzły płomienie. Wrzeszcząc, żołnierz usiłował stłumić ogień, który już obejmował kończynę.

Jego wierzchowiec stanął dęba, zrzucając nieszczęśnika, ale nawet wtedy płomienie nie zgasły, tylko przepęły na ręce żołnierza.

Z czterdziestu wysłanych na patrol jeźdźców trzecia część leżała martwa lub bliska śmierci. Kilka koni również padło. Reszta żołnierzy starała się zapanować nad przerażonymi wierzchowcami.

Augustus Malevolyn odwrócił się z uśmiechem do swojej hordy.

– Drugi i trzeci szereg... naprzód i do ataku!

Z gardeł wyznaczonych żołnierzy wyrwał się okrzyk bojowy, który zmroziłby krew w żyłach większości ludzi. Generał poczuł dreszcz przyjemności. Demoniczni wojownicy popędzili przez wydmy. Podobnie jak żołnierze Malevolyna poruszali się w karnych szykach, jednak w ich ruchach dawało się dostrzec dzikość, a niecichnące okrzyki wibrowały żądzą krwi. Mieli nad jeźdźcami przewagę liczebną, ale nie taką, by patrol nie mógł wyrąbać sobie drogi ucieczki. W normalnych warunkach.

Jeden z oficerów dostrzegł atak piechoty i wykrzyczał ostrzeżenie. Niedobitki natychmiast zawróciły do Lut Gholein. Jednak Malevolyn nie zamierzał ich wypuścić. Spojrzawszy na łuczników, wydał rozkaz do następnej salwy.

Tym razem strzały przeleciały ponad głowami uciekających, jak planował. Potem, gdy groty uderzyły w ziemię, piasek eksplodował

plamieniami. Ściana ognia uniemożliwiła sułtańskim dalszą ucieczkę.

A to wystarczyło demonom, aby dopaść przeciwników.

Zaroily się wokół jeźdźców, wymachując włóczniami i mieczami. Niektórzy gwardziści i konie wkrótce zaczęli przypominać kolczaste stwory. Sułtańscy bronili się zaciekle. Jednemu z nich udało się wyprowadzić zabójczy cios, ale nieludzkiemu wojownikowi Malevolyna wystające z boku ostrze w niczym nie przeszkadzało, ściągnął zaskoczonego żołnierza z siodła.

Dowódca patrolu próbował zorganizować lepszą obronę. Dwa demony strąciły go z konia. Porzuciwszy broń, zerwały z niego pancerz i rozszarpały ciało.

– Są bardzo... entuzjastyczni... - zauważył z pewnym rozbawieniem Xazax.

– Nie przeszkadza mi to, dopóki pamiętają, co powiedziałem im rano.

– Pamiętają.

Jednemu z ocalałych udało się wyrwać do Lut Gholein. Demon chwycił go za nogę i byłby powalił, ale inny demon nagle oderwał szpony towarzysza od nieszczęsnego jeźdźca, i człowiek uciekł.

– Widzisz? Ten tutaj obiecał, że będą służyć twoich rozkazów, wodzu...

– A zatem ruszymy naprzód, gdy tylko uporają się z pozostałymi. Sądzę, że pozostaniesz z tyłu?

– Tymczasem, wodzu... - Xazax zasugerował, że skoro nie ma ludzkiej postaci, zbytnio rzucałby się w oczy w trakcie pierwszej walki. Za dnia demon nie mógł stworzyć tak dokładnej iluzji ludzkiego ciała, jak to czynił w nocy. Tak naprawdę, gdyby generał Malevolyn uważniej przyjrzał się wtedy osłoniętej cieniem twarzy, zobaczyłby, że to jedynie zarys bez szczegółów.



Wyjaśnienie modliszki miało kilka luk, o których generał zamierzał porozmawiać z demonem, ale uznał, że można z tym poczekać. Wzywała go zbroja, musiał opanować miasto, by ją zdobyć.

W dole rzeź patrolu jeszcze trwała, lecz szeregi sułtańskich rzedły. Prawdziwa natura oddziału Malevolyna objawiała się, gdy demony atakowały żołnierzy i barwiły piasek ich krwią.

Tymczasem uciekinier dotarł do bram Lut Gholein. Na murach zabrzmiały rogi, ostrzegając wszystkich, że miasto zostało zaatakowane.

– Dobrze! Niech nas zobaczą! - Generał uniósł wysoko dłoń z czarnym mieczem, którym pokonał demoniczne skarabeusze. - Naprzód!

Gdy armia Malevolyna wyszła z ukrycia, rozległ się grom i zajaśniała błyskawica. Poniżej uformowały się dwa pierwsze szeregi, nieco mniej równe niż uprzednio. Krwawa uczta pobudziła demony, zapomniały o ludzkich powłokach, które sobie przywłaszczyły. Dopóki jednak dokładnie wykonywały rozkazy, generał mógł im wybaczyć te drobne niedopatrzenia.

Wyjący wiatr szarpał płaszczem Malevolyna. Augustus poprawił hełm i pochylił głowę, aby osłonić się przed piaskiem. Na razie nie zanosilo się na deszcz, a nawet gdyby, to Malevolyn i tak by się nie zatrzymał.

Wśród ludności cywilnej w mieście musiała już wybuchnąć panika. Jednak żołnierze prawdopodobnie obserwowali zbliżające się oddziały i byli przekonani, że choć siły wroga pokonały patrol, to nie są na tyle liczne, by zagrażały miastu. Zapewne miejscowi obrońcy albo poprzestaną na obronie murów, albo wyślą znacznie silniejsze oddziały, aby pomścić straszliwą śmierć żołnierzy z patrolu, o której zapewne opowiedział im uciekinier.

Bazując na znajomości ludzkiej natury, Augustus Malevolyn spodziewał się, że wybiorą to drugie.

– W tyralierę!

Piekielna horda natychmiast utworzyła dwa długie, imponujące szeregi. Dla dowódców Lut Gholein będzie to wyraźny sygnał, że atakujący próbują uchodzić za liczniejszych niż w rzeczywistości. Jednak ci sami dowódcy pomyślą, że napastnicy muszą być strasznie głupi, skoro usiłują wykonać tak prymitywny manewr.

Lut Gholein mogło również czekać, czy za pierwszą grupą wojska nie pojawi się następna. Ocenia to, przyglądając się, jak blisko murów Malevolyn podprowadzi swoje oddziały. Zdecydują, czy warto atakować i zniszczyć pierwszą linię, zanim nadejdzie pomoc.

Demony zaczęły gdzieś gubić szyk, ale w większości zachowywały się jak należy. Nowy władca obiecał im wiele krwi i chaosu, a to wystarczyło, by sprawować nad nimi kontrolę. Gdy miasto zostanie zdobyte, będą musiały przestrzegać tylko jednego rozkazu: natychmiast sprowadzić do Malevolyna mężczyznę odzianego w szkarłatną zbroję.

Z pozostałymi mogły obejść się tak, jak chciały.

Gdy wojsko Malevolyna znalazło się w pół drogi pomiędzy skrwawionymi ciałami patrolu a bramą legendarnego miasta, na blankach pojawił się długi szereg łuczników w turbanach. Szybko wypuścili chmurę strzał, celując dokładnie w pierwszy szereg - i samego generała.

Jednak każda strzała, która zbliżyła się do Malevolyna, rozbłyskiwała tylko jasno... i znikła. Więcej niż dwadzieścia pocisków zniknęło w ten sposób, ponieważ łucznicy chcieli zdjąć wrogiego dowódcę w pierwszej kolejności.

Jednak wojownicy Malevolyna padali jeden po drugim z drzewcami sterczącymi z gardeł, korpusów, a nawet z głów. Deszcz strzał zmiotł cały pierwszy szereg i część z drugiego, pozbawiając przyszłego władcę ponad połowy sił.

Niebo nad Lut Gholein przecięła błyskawica, jakby zapowiadając następną fazę planowanej zemsty obrońców. Bramy otwały się i wymaszerował przez nie legion zahartowanych wojowników, pieszych i konnych, w idealnym szyku zmierzających ku niedobitkom atakujących. Sułtańscy rozstawili się w kilka szeregów - o wiele liczniejszych niż siły Malevolyna. Tak jak generał przypuszczał, obrona murów nie wystarczała jego przeciwnikom. Chcą, aby drogo zapłacił za wymordowanie patrolu, a przy tym sami okryją się chwałą.

- Głupcy - mruknął, z trudem powstrzymując uśmiech. - Zapalczywi głupcy!

Generał Malevolyn nie zaczął się wycofywać. W zwykłych warunkach taki manewr kosztowałby go znacznie więcej niż samobójcze natarcie. Przynajmniej jego ludzie umrą ze świadomością, że zabrali ze sobą większość wrogów - takie podejście musieli zakładać dowódcy Lut Gholein.

Gdy obie strony zbliżyły się, Malevolyn dał znak jednemu z ocalałych. Temu, który dzierżył róg.

Żołnierz z piekła rodem uniósł instrument do ust i zadął, a nad polem walki poniosło się żalosne zawodzenie.

Rzekomi zmarli powstałi i demony Augustusa Malevolyna ruszyły, nie zważając na rany od strzał. Zbrojne postacie z drzewcami wystającymi z gardeł czy oczu pędziły ku sułtańskim, wśród których rozległy się pierwsze okrzyki zaskoczenia. Kilku żołnierzy próbowało nawet się cofnąć, ale tylko wpadli na tych, którzy szli za nimi. Linie turbanów zwolniły i załamały się, gdy ci w pierwszym rzędzie zrozumieli, co widzą.

- Zabić! Zabić ich wszystkich! - zaryczał Malevolyn, przekrzykując grom.

Demony ryknęły i rzuciły się na żołnierzy przeciwnika, liczniejszych, ale przy tym tylko śmiertelników. Wpadły na ludzi, z piekielną siłą urywając kończyny, a nawet głowy stojących najbliżej. Pierwsze szeregi obrońców Lut Gholein zginęły w okropny sposób, niektórych rozplątano mieczami, innych rozdarło pazurami. Miecze i włócznie niewiele robiły siłom generała, czasem sułtańskim udawało się powalić demona. Jednak mimo tych strat szala bitwy zaczynała się przechylać na stronę Malevolyna. Ciała poległych piętrzyły się, tylne szeregi, wciąż jeszcze nie do końca świadome okrutnej prawdy, pchały towarzyszy w paszczę bezlitosnej śmierci.

Na murach zabrzmiał znowu róg i na atakujących spadł następny deszcz strzał. Niestety, ta salwa nie odniosła skutku, wręcz przyczyniła się do rzezi obrońców, którzy stali się ofiarami łuczników. Po strzałach róg zabrzmiał ponownie, ale wtedy już zginęły dziesiątki obrońców.

Malevolyn walczył pośród swoich demonów jak opętany. Czarne ostrze zbierało krwawe żniwo, z łatwością przecinając zbroje i kości. Nawet piekielna horda zrobiła mu miejsce, okrucieństwo wodza przerastało niemal to, do czego zdolne były demony. Czarna zbroja Malevolyna była od stóp do głów zbryzgana krwią, co tylko pobudzało go do jeszcze większej brutalności.

Ziemia wokół generała nagle eksplodowała, jego koń padł. Malevolyn miał więcej szczęścia i wylądował kilka jardów dalej. Wybuch, który zabiłby zwykłego człowieka, generała tylko ogłuszył.

Augustus podniósł się i spojrzął na wały. Stały tam dwie postacie w długich szatach. Vizjerei, niewątpliwie w służbie młodego sułtana. Malevolyn spodziewał się, że Lut Gholein użyje przeciw niemu magii, ale tak zapamiętał się w masakrze, że o tym zapomniał.

Opanowała go furia, jakiej jeszcze nigdy nie czuł. Przypomniawszy sobie Viz-jun, przypomniał sobie, jak Horazon i pozostali oszukali go, zawiedli

jego piekielne zastępy w pułapkę...

– Nie *ty* razem! - Augustus Malevolyn uniósł pięść i wykrzyczał słowa, których nigdy nie znał. Niebiosa nad nim zdawały się gotowe wybuchnąć.

Silny wiatr zawył nad blankami, ale tylko tam, gdzie stali czarodzieje. Para magów znalazła się wysoko w powietrzu i machała rękami, prawdopodobnie rzucając kontrzaklęcia.

Generał opuścił pięść. Z dzikim wrzaskiem Vizjerei runęli w dół.

Gdy upadli, nawet demony się cofnęły, zdumione siłą, z jaką para magów uderzyła w ziemię. Tylko Malevolyn przyglądał się temu z zadowoleniem, był to początek pomsty za jego porażkę pod Viz-jun. Jego wspomnienia tak stopiły się ze wspomnieniami Bartuka, że nie potrafił ich już odróżnić. Może być tylko jeden Krwawy Pan - i stał właśnie u bram tego trzęsącego się miasta.

Wyłowił wśród obrońców oficera wysokiej rangi. Demon zmusił brodatego wojownika, by przed nim klęknął.

Generał Malevolyn działał szybko, przywołał magiczny miecz i w mgnieniu oka zatopił ostrze w plecach zaskoczonego demona. Potwór zaskrzeczał, gdy ciało wewnątrz zbroi skurczyło się, wysuszyło, aż pozostała tylko cienka, pergaminowa warstwa wyschniętej tkanki rozciągniętej na szkielecie. Znad zwłok uniósł się kłęb zielonego dymu, który szybko się rozwiął.

Przeszedłszy ponad stertą kości i metalu, Malevolyn zbliżył się do oficera, którego ocalił. Generał wiedział, że demon nie zatrzymałby się w porę, a strata jednego sługi nic dla niego nie znaczyła. Gdy zdobędzie Lut Gholein, będzie mógł przywołać z Piekła dowolną bestię.

Oslabiony oficer próbował walczyć, ale Malevolyn wyrwał mu miecz i odrzucił tak, że klinga utkwiała w szyi innego żołnierza.

Chwycił nieszczęsnego oficera za gardło i podniósł.

– Posłuchaj mnie, a może przeżyjesz, głupcze!

– Równie dobrze możesz zabić mnie teraz.

Malevolyn zacisnął dłoń i przytrzymał, aż oficer niemal się udusił. W ostatniej chwili generał rozwarł nieco palce, pozwalając tamtemu ponownie złapać oddech.

– Twoje życie i życie każdego mieszkańca Lut Gholein należy do mnie! Tylko jedno może was teraz ocalić! Tylko jedno!

– C-co? - wyszeptał jeniec znacznie rozsądniej.

– W mieście jest obcy! Mężczyzna w zbroi koloru krwi, która pokrywa nas obu i która być może nadal będzie płynąć w twoich żyłach! Sprowadź go do mnie! Wywlecż przez bramę i sprowadź do mnie!

Widział, jak jeniec rozważa wszystkie za i przeciw.

– Czy... czy zakończysz tę bitwę?

– Zakończę ją wtedy, gdy dostanę to, czego chcę... a dopóki nie ujrzę mężczyzny w zbroi koloru krwi, Lut Gholein nie zazna spokoju! Przemyśl to, bo chyba już wiesz, że te mury nie obronią was przede mną!

Brodaty wojownik nie zastanawiał się długo.

– Z...zrobię to!

– Idź! - Generał pogardliwie odepchnął oficera, machnięciem dłoni powstrzymując demonicznych żołnierzy, gotowych zaatakować. - Ogłoś odwrót! Każdy, kto przejdzie przez bramę, nie zostanie zabity! Każdy, kto będzie zbyt wolny, posłuży za pokarm dla kruków! To wszystko, co ci daję. I ciesz się, że daję aż tyle!

Oficer, zataczając się, uciekł w stronę Lut Gholein. Malevolyn przyglądał się, jak macha do kogoś na murach. A potem róg zagrał żalosną melodię.

Do generała zbliżyła się opancerzona postać o oczach tak czerwonych jak krew na zbroi. Twarz ta kiedyś należała do Zako.

– Puścić ich, wodzu?

– Oczywiście, że nie. Bierzcie się za nich, niech nie przeżyje nikt, kto nie zdąży do bramy. Nie wolno jednak dotknąć tych, którzy przez nią przejdą, żaden z was nie może wejść do miasta!

Spojrzał na brodatego oficera, który nie raczył nawet zaczekać na swoich.

– Upewnij się, że ten tam przeżyje! Ma im wiele do powiedzenia.

– Tak, panie... - Demon Zako uklonił się, po czym zawahał. - Nie wchodzić do miasta? Zostawimy Lut Gholein w spokoju?

– Chcę dostać zbroję! Będziemy ich nękać, zrobimy, co się da, by osłabić system obronny, ale dopóki nie dostanę zbroi i głowy tego, który ośmielił się ukrywać pancierz przede mną, miasto pozostanie nietknięte! - Generał Malevolyn, wódz Malevolyn, uśmiechnął się ponuro. - Obiecałem zakończyć bitwę, ale Lut Gholein nie zazna spokoju, dopóki nie będę miał zbroi. Gdy ją dostanę, dam tym ludziom to, co obiecałem. *Ostateczny koniec bitwy... i śmiertelny spokój.*

# SIEDEMNAŚCIE



– Co to za dźwięk? - zapytał Norrek, podnosząc głowę znad wzoru, który kreślił na piasku.

Siedząca u jego boku Galeona potrząsnęła głową.

– To tylko grzmot, mój rycerzu.

Wstał, ponownie nasłuchując.

– Brzmi jak bitwa... od strony miasta.

– Może jakieś święto. Pewnie urodziny sułtana.

Norrek skrzywił się w duchu, jej nieustanne zaprzeczenia temu, co przecież doskonale rozpoznawał, budziły w nim nieufność. Choć wspomnienia Bartuka i jego przemieszały się tak, że trudno było je od siebie odróżnić, zgodnie podpowiadały mu, że dobrze słyszał. Szczęk, krzyki... wszystko to wskazywało na przemoc, przelew krwi...

Chciałby wziąć w tym udział.

*Nie...* miał ważniejsze sprawy na głowie. Grób Horazona, który wiedźma nazywała Tajemnym Sanktuarium, musiał znajdować się niedaleko, być może nawet pod nimi.

Znów ukląkł, ignorując ulgę malującą się na twarzy Galeony. Symbol, który narysował, odwrócony trójkąt z okręgami na każdym rogu i trzema półksiężycami poniżej, nie był taki, jak trzeba. To, że nie powinien nawet



znać takich czarów, przestało go już niepokoić. Znał je Bartuk, dlatego znał je też Norrek Vizharan.

– Czego brakuje?

Wiedźma się zawahała.

– Jednego z dwóch. Jeśli szukasz osoby, trzeba w środku trójkąta narysować pentagram. Aby odnaleźć miejsce, musisz narysować pentagram, który opisze pozostałe elementy.

No tak, to miało sens. Norrek skrzywił się, że zapomniał o czymś tak prostym. Nagrodził wiedźmę uśmiechem.

– Bardzo dobrze.

Chociaż jej magiczne umiejętności były wsparciem dla jego wciąż rozwijających się zdolności, a wdzięki niewątpliwie budziły bardziej fizyczne zainteresowanie, to ani przez chwilę jej nie ufał. Mówiła półprawdy i wiele ukrywała. Była ambitna, czuł to. Czarodziejka chciała go wykorzystać do własnych celów, tak samo jak Norrek zamierzał wykorzystać ją. Dopóki wspomagała jego wysiłki, Norrek godził się na jej kłamstwa. Gdyby jednak zamierzała go oszukać, bez wahania postąpiłby z nią tak, jak z każdym innym zdrajcą.

W głębi duszy buntował się przeciwko temu, kim się stał. Nawet teraz Norrek czuł, że to, co myślał o Galeonie, pozostawało w sprzeczności z tym, w co wierzył przez swoje dotychczasowe życie. A jednak akceptował te „nowe” myśli.

Ponownie skupił się na zadaniu. Musiał znaleźć grób Horazona, choć pytanie „dlaczego?” wciąż pozostawało bez odpowiedzi. Być może odpowie na nie, gdy już odnajdzie grobowiec.

Nakreślił większy pentagram, decydując się szukać miejsca, nie człowieka. Z Horazona najpewniej pozostały już tylko kości, a na tym

ciężko byłoby skoncentrować zaklęcie. Grobowiec był znacznie większym i bardziej pewnym celem.

– Czy rzucałaś już kiedyś takie zaklęcie?

Galeona posłała mu wyniosłe spojrzenie.

– Jasne, że tak! - Spuściła oczy. - Ale nigdy nie byłam w Tajemnym Sanktuarium i nie mam niczego, co stamtąd by pochodziło.

– To nie będzie problemem. - Norrek miał już plan. Był pewien, że mógłby wypowiedzieć niezbędną inkantację i zarazem skupić się na miejscu, ale to wymagałoby myślenia o dwóch rzeczach naraz, co zwiększało szanse na niepowodzenie. Tajemne Sanktuarium okazało się miejscem, które wcale nie chciało się ujawnić. Nawet gdy zbroja pokonała Drognana, jakaś inna siła odepchnęła Norreka od celu. Podobnie jak grobowiec Bartuka, miejsce spoczynku Horazona musiało zostać zabezpieczone na wiele sposobów. Budowniczy z pewnością nie chcieli, aby zostało sprofanowane albo splądrowane, i rzucili potężne zaklęcia, takie jak te, które weteran napotkał w komnacie Drognana.

Ale jeśli to Galeona rzuci czar, Norrek będzie mógł się w pełni skupić na celu. To zadziała. Jeśli nie...

Wyjaśnił zamiar czarownicy, a ta skinęła głową.

– Sądzę, że można to zrobić. Musimy być jak jeden umysł, inaczej nasze myśli obrócą się przeciwko nam.

Wyciągnęła dłonie, Norrek położył na nich swoje. Galeona uśmiechnęła się, ale uśmiech ten wydał się żołnierzowi bardziej odpychający niż pociągający. W jej oczach odczytał nieokiełznaną ambicję. Czarodziejka była przekonana, że jeśli udowodni swemu towarzyszowi, jak bardzo jest użyteczna, będzie mogła go kontrolować. To z kolei skłaniało Norreka ku ponurym rozważaniom, co robi z kimś, kto sądzi, że powiedzie mu się coś takiego. Mógł być tylko jeden pan i mógł być nim tylko Norrek.

– Wyobraź sobie - szepnęła - wyobraź sobie miejsce, w którym chcesz, byśmy się znaleźli...

Oczyma duszy Norrek ujrzał grobowiec jak wtedy, gdy zobaczył go po raz pierwszy. Był pewien, że to pierwsza wizja była prawdziwa, a siła próbująca zatrzymać go z dala od sanktuarium zmąciła jego wspomnienia. Szkielety w długich szatach, kamienny sarkofag z symbolem smoka nad półksiężycem... to z pewnością był prawdziwy obraz grobowca.

Galeona odchyliła się, zamknęła oczy i zwróciła twarz ku niebu. Ścisnęła odziane w rękawice dłonie towarzysza, kołysząc się i mrużąc inkantację.

Norrek też zamknął oczy, lepiej, by widok ciała wiedźmy nie rozpraszał go, gdy wyobrażał sobie miejsce wiecznego spoczynku Horazona. Przepelniał go zapach. To się *musi* powieść. Norrek *musi* zostać przeniesiony do Tajemnego Sanktuarium.

A co potem?

Norrek nie miał czasu, aby zastanawiać się nad odpowiedzią. Poczł, że jego ciało staje się lekkie, jakby stał się bardziej duchem niż istotą z krwi i kości. Ciężar miały jedynie jego dłonie, które mocno ścisnęła czarownica.

– *Nezarios Aero!* – krzyknęła Galeona. - *Aerona Jy!*

Przez ciało wojownika przetoczyła się czysta energia.

– *Aerona Jy!*

Norrek czuł, że się przemieszcza w błyskawicznym tempie...

... i stanął na *kamiennej* posadzce.

Otworzył oczy. Zobaczył zasnute pajęczyną ściany i długi szereg wpatrujących się w niego posągów o rozmaitych twarzach. Nie pamiętał imion ich wszystkich, ale znalazł wśród nich wielu, którzy znali go dobrze, którzy znali też jego brata Horazona.

Nie, Horazon *nie był* jego bratem! Dlaczego w ogóle tak pomyślał?

– Dokonaliśmy tego! - krzyknęła Galeona, do której wreszcie dotarło, gdzie się znajdują. Uwiesiła się na Norreku i pocałowała z żarem, któremu nie sposób się było oprzeć. A jednak weteran pragnął tylko odepchnąć czarodziejkę.

– Tak, to tutaj - odparł, kiedy wreszcie zdołał się wyplątać z jej objęć.

– Możemy wszystko osiągnąć, *razem* - zaszemrała. - Nikt nie stanie nam na drodze...

Tak, Galeona z pewnością usiłowała przypieczętować ich sojusz. Ta kusicielka doskonale wiedziała, jaką mocą dysponuje weteran, jaką moc dał mu wreszcie starożytny pancerz. Norrek nie miał wątpliwości, że gdyby mogła, spróbowałaby sama założyć zaklętą zbroję, a gdyby to się udało, nie potrzebowałaby żadnego partnera. Im prędzej się jej pozbędzie, tym lepiej.

Odwróciwszy się od diablicy, Norrek zajrzał w głąb starego korytarza cuchnącego stęchlizną. Wszystko wokół spowijało żółtawe światło pochodzące nie wiadomo skąd. Nie pamiętał tej poświaty ze swojej pierwszej wizyty, ale ponieważ wszystko inne wyglądało tak samo jak wtedy, zbagatelizował tę drobną różnicę. Cel był w zasięgu ręki.

– Tędy. - Nie czekając na czarodziejkę, Norrek ruszył korytarzem tam, gdzie - jak był pewien - znajdował się sarkofag. Galeona dogoniła wojownika i wzięła pod rękę, jakby byli parą spacerującą przy świetle księżyca. Nie wyrywał się, świadom, że w ten sposób ma *tę kobietę* na oku.

Wśród pokrytych pyłem posągów dostrzegał znajome twarze. Każdą odnotował w myślach z zadowoleniem, ponieważ pamiętał, w jakiej kolejności oglądał je w swej wizji. Nie tylko potwierdzały, że idzie w dobrą stronę, ale też wskazywały, że krypta jest już niedaleko.

A jednak... coś w posągach budziło zarazem niepokój weterana. Pozornie były dokładnie takie, jak pamiętał, ale zaczął zauważać drobne różnice. Rysy niektórych twarzy wydawały się nieco zniekształcone - linia nosa,

wygięcie warg, zarys szczęki. Szczególnie oczy miały chyba inny kształt. Niezupełnie inny, ale wystarczająco, aby Norrek zwolnił, by dokładniej się przyjrzeć.

– Co się stało? - szepnęła Galeona, chcąc jak najszybciej dotrzeć do celu.

Twarz, na którą patrzył Norrek, okrągła twarz Oskula, nadgorliwego maga, który popierał Horazona na radzie czarodziejów, przypominała tę zapamiętaną... tylko oczy powinny być węższe, nadto rzeźbiarz nadał im wyraz senności, która nie pasowała do aż nazbyt żywej osobowości Oskula. Poza tym posąg był taki jak trzeba, ale te oczy wystarczyły, by obudzić głęboki niepokój Norreka.

Jednak był w tym grobowcu zaledwie przez chwilę, a jeszcze krócej widział widmowe posągi. Wszystkie błędy, które zauważył, mogły wynikać tylko ze stylu rzeźbiarza.

– Nic - odparł wreszcie żołnierz Galeonie. - Chodź.

Niedługo potem dotarli wreszcie do krypty. Norrek uśmiechnął się. Tu wszystko wyglądało tak, jak powinno. Stojące w niszach po lewej i prawej stronie szkielety Vizjerei powitały ich milczeniem. Znajdujący się na katafalku kamienny sarkofag wyglądał dokładnie tak, jak w wizji.

Sarkofag...

– *Horazon...* - wyszeptał Norrek.

Z rosnącym zapalem pociągnął Galeonę ku trumnie. Zapomniał już o przerażeniu, jakie odczuwał, gdy odwiedził to miejsce we śnie. Teraz Norrek pragnął tylko otworzyć sarkofag. Zostawił wiedźmę i sięgnął do wieka.

Wtedy jego wzrok padł na symbole klanu.

Smok był taki sam - ale pod nim błyszczała ognista gwiazda.

Cofnął się. Prawda powoli do niego docierała. Za wiele było błędów, za wiele różnic w detalach...

– Coś nie tak? Dlaczego nie otworzyłeś?

Patrząc na zdradzieckie znaki, Norrek warknął:

– Bo to nie jest rzeczywiste! - Wskazał na legion umarłych magów. - Nie sądzę, aby *cokolwiek* tutaj było rzeczywiste!

– To szaleństwo! - Galeona dotknęła sarkofagu. - Jest tak samo rzeczywisty, jak ty czy ja!

– Czyżby? - Uniósł dłoń i jak miał nadzieję, pojawił się w niej straszliwy czarny miecz. - Przekonajmy się, jaka jest prawda!

Galeona na poły z przerażeniem, na poły z zaskoczeniem przyglądała się, jak żołnierz unosi ostrze nad głowę i opuszcza na kamienną trumnę.

Klinga opadła, nie napotkawszy oporu, a na kamieniu nie pojawiła się nawet rysa. Wielka płyta nie rozpadła się na dwie części... a potrzaskane kości Horazona nie wysypały się na podłogę.

– Iluzja... lub coś do niej podobnego. - Norrek spojrział na przerażający szereg magów pod ścianami, jakby to oni byli wszystkiemu winni. - Gdzie jest? Gdzie Horazon?

– Może następny korytarz... - podsunęła Galeona, a jej ton sugerował jasno, że nie bardzo wierzy w zdrowe zmysły swego towarzysza.

– Tak, być może następny. - Nie czekając na nią, Norrek wyszedł z krypty. Ruszył korytarzem, szukając jakiejś odnogi, drzwi. Nie przypominał sobie jednak, aby je widział. W obu wersjach snu był tylko jeden korytarz. Tajemne Sanktuarium zawsze składało się tylko z przejścia i komnaty grobowej. Nie było ogromną budowlą, jakiej można by się spodziewać.

Chyba że to, co widział Norrek, powstało, aby oszukać ciekawskich i chciwych intruzów, prawdziwą kryptę zaś ukryto gdzie indziej.

Zirytowany wojownik zatrzymał się, aby spojrzeć na posąg jednego ze swoich - nie, nie swoich, Bartuka - rywali. Brodaty mężczyzna uśmiechał się, jak uznał Norrek, z kpiną.

To sprawiło, że podjął decyzję. Jeszcze raz uniósł czarne ostrze.

– Co zamierzasz tym razem? - warknęła Galeona, jej cierpliwość była już na wyczerpaniu. Może i weteran władał wielką mocą, ale nie zaimponował jej tym bieganiem w kółko.

– Jeśli nie ma żadnego przejścia, sam je sobie wyrąbię!

Popatrzył na posąg, tak bardzo pragnął zetrzeć ten pełen wyższości uśmiezek z wyrzeźbionej twarzy. To będzie idealne miejsce na nowy korytarz. Norrek trzymał miecz, zdecydowany pierwszym ciosem rozbić szyderczy uśmiezek rzeźby.

Ale gdy wziął zamach i ostrze znalazło się o cale od głowy uśmiechniętego posągu, otoczenie wokół Norreka rozpadło się. Podłoga się uniosła, ściany cofnęły, zaś rzędy posągów znikły. Pajęczyny się zwinęły. Schody rozkwitły jak kwiaty, poskręcane i kręte. Część podłogi przestała się unosić i zaczęła opadać, tak że Norrek i Galeona stali teraz na skraju przepaści. Tylko żółte oświetlenie nie uległo zmianie.

– Coś ty zrobił?! - krzyknęła Galeona. - Ty durniu, to wszystko się rozpada!

Norrek nie mógł odpowiedzieć. Walczył, by utrzymać się na nogach. Upadł, pociągnięty ciężarem zbroi. Broń wyleciała mu z ręki i zniknęła. Ziemia zadygotała, uniemożliwiając mężczyźnie powstanie i co gorsza, spychając go ku krawędzi.

– Pomóż mi! - zawołał do czarownicy. Rękawice drapały posadzkę, ale nie mogły znaleźć uchwytu. Wokół Tajemne Sanktuarium przekształcało się bez żadnego rytmu czy sensu, jakby cały grobowiec dostał konwulsji.

Galeona zawahała się, potem spojrzała na prawo, gdzie nagle uformowały się schody.

– Pomóż mi, do diabła!

Prychnęła tylko.

– Co za strata czasu! Ty, Augustus, Xazax - wszyscy! Lepiej zacznę polegać tylko na sobie! Jeśli nawet nie możesz się podnieść, to zostań tu i umieraj, głupcze!

Rzuciwszy mu spojrzenie pełne pogardy, ruszyła do schodów.

– Nie! - Norrekiem targały strach i gniew tak potężne, że niemal go rozsadały. Gdy wiedźma wybrała wolność, zostawiając weterana własnemu losowi, pragnienie, aby się wyrwać i ukarać ją za zdradę, zdominowało wszystkie pozostałe uczucia.

Norrek wskazał na nią lewą ręką. Na jego usta cisnęły się słowa mocy. Jedna fraza wystarczyłaby, aby pozbyć się zdrajczyni.

– Niech to! Nie! Nie zrobię tego! - Odwrócił głowę i opuścił rękę. Niech ucieka, jeśli chce. Norrek nie będzie miał kolejnej śmierci na sumieniu.

Niestety, zbroja uważała inaczej.

Ręka znów się uniosła, tym razem wbrew woli Norreka. Próbował walczyć, ale tak jak na początku tej strasznej wyprawy, był nie panem, ale sługą. Zbroja Bartuka pragnęła zemsty za oszustwo Galeony i dokona jej, niezależnie od woli swego nosiciela.

Rękawica rozbłysła czerwienią.

Ponieważ otoczenie wciąż się zmieniało, czarodziejka zdążyła zaledwie dotrzeć do spiralnej klatki schodowej. Na nieszczęście jednak, schody przesunęły się na bok, zmuszając wiedźmę do zmiany kierunku. Gdy zbroja uniosła obleczone w rękawicę dłoń, Galeona dopiero stanęła na pierwszym stopniu.

– Nie! - krzyknął Norrek do zbroi. Uciekająca kobieta nawet nie zadała sobie trudu, aby po raz ostatni spojrzeć na niedawnego towarzysza. - Uciekaj! Szybko! Wynoś się stąd!

Gdy wykrzyczał swoje ostrzeżenie, Norrek zorientował się, co zrobił. Te słowa, szybciej niż jakiegokolwiek inne, sprawiły, że Galeona zatrzymała się i



spojrzała przez ramię. Kosztowało ją to cenne sekundy.

Mroczne słowa, które wojownik tak bardzo starał się zdławić, wyrwały się na wolność.

Galeona odpowiedziała kontratakiem. Wyciągnęła rękę i wypowiedziała gardłowe słowo, które weteran rozpoznał, dzięki nie swoim wspomnieniom, jako wyjątkowo podły czar.

Połykujące, błękitne płomienie otoczyły wiedźmę, gdy skończyła mówić. Galeona uniosła głowę, zawyła w agonii i w mgnieniu oka spłonęła na popiół.

Jednak Norrek nie miał czasu oglądać jej zgonu, jego ciało skręciło się z bólu, jakby wszystkie kości się łamały. Norrek czuł, jak każda nieubłagane pęka. Choć magia zbroi zniszczyła Galeonę, ta zdążyła rzucić zaklęcie. Wojownik wrzeszczał i dygotał, a zbroja nie uczyniła nic, aby mu ulżyć w agonii, za to próbowała powstać i dotrzeć do schodów, tych samych, na których zginęła czarownica.

Norrekowi udało się tam dotrzeć, ale nie dalej. Za każdym razem, gdy próbował, odpychały go z powrotem. Kierowana zbroją pięść uderzyła w powietrze, posyłając kolejne fale bólu przez ciało wijącego się w cierpieniu żołnierza.

– Proszę! - zaskrzeczał, nie bacząc, że tylko zbroja może go usłyszeć. - Proszę... pomocy...

– *Norrek!*

Choć oczy miał zasnutę łzami, próbował skupić się na głosie - kobiecym głosie. Czy to Galeona wzywała go, aby dołączył do niej w śmierci?

– Norrek Vizharan!

Nie... to był inny głos, młody, ale rozkazujący. Udało mu się odrobinę odwrócić głowę, co tylko zwiększyło męki. W oddali, jak mu się zdawało, znajoma kobieta o bladej skórze i czarnych włosach wyciągała ręce chyba

zza kryształowych wrót u szczytu kolejnych schodów. Za nią Norrek widział jeszcze drugą postać. Mężczyzna o długich, rozwianych siwych włosach i brodzie. Wyglądał na podejrzliwego, zaintrygowanego i przerażonego zarazem. Wydawał się jeszcze bardziej znajomy niż kobieta.

Norrek rozpoznał go od razu.

– Horazon? - wykrztusił.

Jego dłoń uniosła się bez udziału woli, rękawica rozbłysła blaskiem magicznej wściekłości. Zbroja Bartuka zareagowała na imię - i to wcale nie radością. Norrek czuł, jak kształtuje się czar niosący śmierć taką, że ta, która stała się udziałem Galeony, była wcale przyjemna.

W odpowiedzi na działanie zbroi rozległ się straszliwy jęk, jakby sam budynek poczuł się urażony tym, co się działo. Horazon i kobieta zniknęli, schody zmieniły kierunek i uformowały się nowe ściany. Norrek znalazł się w sali z wysokimi kolumnami. Ale i to szybko się zmieniło.

Zbroja nie zwracała uwagi na to, gdzie się znalazła, ani na to, że kobieta i Horazon zniknęli. Z ust wojownika padły słowa następnego czaru, a z jego dłoni wyleciała kula lawy i uderzyła w najbliższą ścianę.

Jęk przeszedł w ryk.

Sanktuarium zadygotało. Potężna siła uderzyła w Norreka. Co gorsza, nie tylko powietrze napierało na niego, ale także sufit. Nawet podłoga się uniosła.

Norrek wyciągnął ramiona, znów należące jedynie do niego, rozpaczliwie usiłując odepchnąć zbliżające się ściany.



Posiłek był wystawny, znacznie lepszy niż jakikolwiek, który Kara jadła w życiu, lepszy nawet niż te serwowane przez Jeronnana. Sprawiłby jej

prawdziwą przyjemność, gdyby nie była więźniem szalonego maga.

Podczas jedzenia nekromantka nie raz próbowała wyciągnąć informacje od swego gospodarza, ale usłyszała tylko niewyraźne słowa i niespójne opowieści. Raz mówił o przypadkowym odkryciu Tajemnego Sanktuarium - jak w legendach nazywano grobowiec Horazona - potem twierdził, że wszystko zbudował sam, korzystając z potężnej magii. Innym razem utrzymywał, że przybył do Aranoch, aby badać wielkie nagromadzenie magicznych linii skupionych tam, gdzie teraz stało miasto, oraz na otaczających je terenach. Nawet Kara słyszała o tym, że magowie mogą wykorzystywać energię tego regionu znacznie lepiej niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie. Jednak później Horazon ze strachem opowiadał o ucieczce na tę stronę morza w obawie, że wciąż go ściga mroczne dziedzictwo brata.

Stopniowo Kara zaczęła czuć się tak, jakby rozmawiała z dwoma różnymi ludźmi, z których jeden naprawdę był Horazonem, a drugi tylko sądził, że nim jest. Doszła do wniosku, że okropne wydarzenia, które stały się udziałem tego nieszczęśnika, a zwłaszcza straszliwa wojna przeciw własnemu bratu oraz trwające wieki odosobnienie, uszkodziły jego i tak wrażliwy umysł. Nekromantka współczuła mu, ale nie zapomniała jednak, że szalony mag nie tylko trzyma Karę w tym podziemnym labiryncie wbrew jej woli, ale na domiar złego posługuje się czarną magią jak Bartuk.

Kara zauważyła jeszcze jedno, co niepokoiło ją niemal równie mocno, jak stan umysłowy gospodarza. Tajemne Sanktuarium działało nie tylko jako demonstracja porażającej potęgi Horazona. Niejednokrotnie Kara gotowa była przysiąc, że posiada ono własny umysł, a nawet osobowość. Dostrzegała, że pokój wokół niej subtelnie się przekształcał, ściany się poruszały, a ogólny wystrój ulegał zmianie nawet wtedy, gdy czarodziej nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Zmieniał się nawet stół i jedzenie. Co

więcej, gdy nekromantka próbowała zagadnąć Horazona o Bartuka, zaczynała zapadać dziwna ciemność, jakby budowla chciała zakończyć ten kłopotliwy temat.

Kiedy się najedli, Horazon kazał dziewczynie wstać. W sanktuarium nie paplał już w kółko o złych mocach, ale nadal zachowywał niezwykłą czujność.

– Musimy być ostrożni - zamruczał. - Przez cały czas musimy być ostrożni... chodź... tyle jest do zrobienia...

Kara bardziej skupiała się planach ucieczki niż na nieustannych ostrzeżeniach. Wstała również, lecz zobaczyła coś tak zaskakującego, że niemal bezwolnie opadła na krzesło.

Ze stołu wyłoniła się ręka całkowicie ukształtowana z drewna. Chwyliła pusty talerz i wciągnęła go do blatu. Zaraz wysunęły się inne ręce, chwytając pozostałe przedmioty i również wciągając je *do środka* stołu. Nadal oszołomiona Kara postąpiła krok do tyłu i zauważyła, że choć przewróciła krzesło, nie usłyszała jego stuku. Dwie inne dłonie, uformowane z marmuru, wychyły się z podłogi i zabrały mebel, zanim o nią uderzył.

– Chodź! - zawołał Horazon wyraźnie zirytowany. Nie zwrócił uwagi na ręce. - Nie ma chwili do stracenia, nie ma chwili do stracenia!

Kiedy jadalnia sprzątała po posiłku, poprowadził Karę w górę po schodach, a potem przez wypolerowane, dębowe drzwi.

Tam znajdowały się następne schody, tym razem prowadzące w dół. Kara miała niejake wątpliwości, czy to dobra droga, ale zachowała je dla siebie, po cichu schodząc za magiem ku następnym drzwiom. Powinny prowadzić do dużej sali. Jednak kiedy Horazon pchnął skrzydło, zamiast sali Kara zobaczyła pracownię maga. Nie zdołała się powstrzymać:

– To niemożliwe! Tego pokoju nie powinno tutaj być!

Spojrzał na nią, jakby to ona postradała zmysły.

– Oczywiście, że powinien! W końcu go szukałem! Jak można mówić takie głupoty! Jeśli szukasz pomieszczenia, to powinno być ono tam, gdzie chcesz, żeby było, chyba to wiesz!

– Ale... - Kara stłumiła słowa protestu, nie mogła spierać się z tym, co zobaczyła na własne oczy. Tu powinna znajdować się sala, w której jadła wraz z Horazonem, a tymczasem weszli do imponującej, choć nieuporządkowanej pracowni. Przypomniawszy sobie niesamowitą drogę przez sanktuarium, nekromantka doszła do wniosku, że prawdopodobnie dom maga nie istnieje wyłącznie w świecie śmiertelników. Bo choć żaden architekt nie uporałby się z problemami, na jakie natrafiła, to najpotężniejsi Vizjerei, jak słyszała, nauczyli się manipulować materią rzeczywistości, aby stworzyć tak zwane „kieszonkowe wszechświaty”, gdzie obowiązywały takie prawa natury, jakie ich twórcy uznali za stosowne.

Czy właśnie tego dokonał Horazon z Tajemnym Sanktuarium? W świetle tego, co widziała, Kara nie potrafiła znaleźć lepszej odpowiedzi. Jeśli tak, to stworzył cud, jakiego dotąd nie widziano na całym świecie!

Aczkolwiek nadal nosił postrzępioną szatę i wyglądał w najlepszym razie niechlujnie, to w tej komnacie Horazon wydawał się bardziej przerażający. Kiedy stanął na jej środku, uniósł ręce i zapatrzył się w sufit, Kara oczekiwała, że z jego palców tryśnie ogień i błyskawice. Spodziewała się, że powieje wiatr, a ciało Vizjerei rozbłyśnie.

Tymczasem starzec obrócił się do niej i powiedział:

– Przyprowaodziłem cię tutaj... ale nie wiem *dlaczego*.

Nekromantka zastanowiła się nad tym dziwnym stwierdzeniem, a potem odparła:

– Czy to z powodu zbroi? Zbroi - twojego - brata?

Znów spojrzał na sufit.

– Dlatego?

Sufit, rzecz jasna, nie odpowiedział.

– Horazonie... musisz pamiętać, co zrobili z ciałem twojego brata twoi i moi pobratymcy.

Znów spojrzenie na sufit.

– Co się z nim stało? Ach tak, nic dziwnego, że nie pamiętałem.

Czując się, jakby sama rozmawiała z sufitem, Kara naciskała:

– Posłuchaj mnie, Horazonie! Ktoś wykradł z grobowca zaklętą zbroję. Śledziłam go aż tutaj! Może być w Lut Gholein! Trzeba go znaleźć, odzyskać zbroję! Nie muszę ci chyba mówić, że wciąż drzemie w niej zło!

– Zło? - Oczy starca zalśniły dziko. - Zło? Tutaj?

Kara stłumiła przekleństwo. Znów wzbudziła w nim niepokój.

– Tyle tu zła! Muszę być ostrożny! - Wskazał na nią palcem. - Ty musisz odejść!

– Horazonie, ja...

Wtedy coś się zmieniło pomiędzy czarodziejem i jego siedzibą. Kara poczuła, że sanktuarium zadrżało, jakby było żywą istotą, a nie budowlą.

– Nie, nie, nie! Muszę się ukryć! Muszę się ukryć! - Horazon wpadł w panikę. Pewnie by i uciekł z komnaty, ale ta uległa zmianie. Stoły z wyposażeniem i chemikaliami odsunęły się, a z podłogi wyłoniła się ogromna, kryształowa kula i kamienna dłoń podtrzymująca kryształ na wysokości ludzkich oczu.

W środku kuli pojawił się obraz człowieka, którego Kara Nocny Cień nigdy tak naprawdę nie widziała, ale rozpoznała natychmiast dzięki szkarłatnej zbroi.

– To on! Norrek Vizharan! On ma zbroję!

– Bartuk! - warknął jej szalony towarzysz. - Nie! Bartuk przyszedł po mnie!

Chwyliła go za ramię, ryzykując życie w nadziei na zakończenie tej niebezpiecznej wyprawy.

– Horazonie! Gdzie on jest? Czy to również część sanktuarium?

W kuli Norrek Vizharan i śniada kobieta szli przez zasnuty pajęczynami korytarz zastawiony statuami wyrzeźbionymi w stylu Vizjerei. Norrek trzymał wielki, czarny miecz i wyglądał na zdecydowanego, aby go użyć. Kara pomyślała, że może jednak Sadun Tryst mówił zbyt dobrze o swoim przyjacielu, bo człowiek, na którego patrzyła, wyglądał na zdolnego do najkrwawszego morderstwa.

Niezależnie od prawdy, Kara wiedziała, że teraz nie może się poddać.

– Odpowiedz! Czy to część sanktuarium? Musi nią być!

– Tak, jest! A teraz zostaw mnie! - Horazon wyrwał się z jej chwytu, skierował ku drzwiom i został zatrzymany przez ręce wyrastające ze ścian i podłogi, ręce, które nie pozwoliły mu porzucić nekromantki.

– Co...? - wykrztusiła zaskoczona gwałtownością magicznych dłoni. Forteca Horazona zdawała się buntować przeciwko niemu, zmuszając go, aby wrócił do Kary.

– Puśćcie mnie, puśćcie! - zawołał szalony mag do sufitu. - To zło! Nie może mnie dostać!

Ale zaraz na pomarszczonej twarzy Horazona pojawiło się przygnębienie.

– Dobrze już... dobrze...

Odwrócił się do kuli, wskazał na obraz. Tym razem Norrek stanął twarzą w twarz z jednym z posągów, wykrzyczał w gniewie coś, czego kryształ nie przekazał, i uniósł czarny miecz, szykując się do zadania ciosu.

A Horazon zawołał:

– *Greikos Dominius est Buar! Greiko Dominius Mortu!*

W korytarzu zapanował chaos. Ściany, podłoga i schody falowały, pojawiały się lub znikwały. W środku tego szaleństwa dwie postacie walczyły o życie. Jednak Norrek Vizharan nie zdołał się uratować, upadł blisko krawędzi i nie mógł się podnieść, bo otoczenie trwało w nieustannym ruchu. Kobieta, wiedźma, zdaniem Kary, porzuciła bezradnego wojownika i ruszyła do solidnie wyglądających schodów.

– *Greiko Dominius Mortu!* - warknął Horazon.

Ton jego głosu sprawił, że Kara spojrzała na starca. Pragnął zgładzić tę parę. Karę pewnie też spotka taki koniec. Nie zginie z rąk wywołańców ani przez własną magię, ale od zaklęć szalonego brata Bartuka. Nie było jej żal wiedźmy, ale opowieści Trysta o przyjacielu sprawiły, że w sercu nekromantki zapłonęła iskierka smutku. Norrek był kiedyś dobrym człowiekiem.

Ale nie teraz. Widać było, że wojownik chce zabić swoją zdradziecką towarzyszkę. Wskazał na nią, wykrzyczał zaklęcie...

I wtedy Kara spostrzegła wyraz przerażenia i żalu na jego twarzy. Nie satysfakcji ani mrocznych intencji, tylko przerażenie tym, co przez niego spotka uciekającą kobietę.

To nie miało sensu, chyba że...

– Co on powiedział, Horazonie? Wiesz, co powiedział? Muszę to wiedzieć!

Z kryształowej kuli rozległ się nagle głos przerażonego mężczyzny.

– *Bądź przeklęta! Nie zrobię tego!* – I potem: - *Nie! Uciekaj! Szybko! Wynoś się stąd!*

To nie były krzyki mściwego mordercy, a jednak Kara widziała, że gotował się do ataku na uciekającą towarzyszkę. Tylko że wyraz jego twarzy zaprzeczał całkowicie temu, co weteran czynił. Norrek Vizharan wyglądał jak ktoś, kto walczy o kontrolę nad sobą albo... albo...



Oczywiście!

– Horazonie! Musisz to powstrzymać! Musimy im pomóc!

– Pomóc? Nie, nie! Zniszczmy ich, a wtedy zniszczymy zło! Tak, nareszcie!

Kara jeszcze raz spojrzała w kulę. Zdążyła zobaczyć przerażającą śmierć czarownicy, a także jej ostatni atak na wojownika. Krzyki Norreka wypełniły komnatę, najwyraźniej kryształ wciąż dostosowywał się do wcześniejszego życzenia nekromantki.

– Posłuchaj mnie! Zło jest w zbroi, nie w człowieku! Nie widzisz tego? Jego śmierć będzie niesprawiedliwością, naruszeniem równowagi!

Ale na twarzy Horazona malował się jedynie upór. Kara spojrzała na sufit. Czarodziej chyba porozumiewał się w ten sposób z siłami, które niewątpliwie istniały nie tylko w jego głowie. Do nich właśnie się zwróciła:

– To Bartuk był potworem, nie ten człowiek w jego zbroi. I tylko Bartuk mógłby tak bezsensownie odebrać komuś życie!

Zerknęła na szalonego maga, po czym zakończyła:

– Czy też Horazon jest taki, jak jego brat?

Reakcja na jej rozpaczliwe zachowanie zaskoczyła nawet Karę. W każdej ścianie, na suficie i w podłodze uformowały się kamienne usta. Z każdego padło tylko jedno, wciąż to samo słowo:

– *Nie... nie... nie...*

Kryształowa kula nagle urosła i co dziwniejsze, otworzyła się. Wewnątrz pojawiły się schody wiodące, jakkolwiek nieprawdopodobne by się to wydało, wprost do szamoczącego się Norreka.

Horazon odmówił pomocy, ale Tajemne Sanktuarium nie.

Nekromantka czym prędzej podeszła do kryształu, zatrzymując się tylko przy pierwszym stopniu. Choć otworzyło dla niej przejście, zaklęte sanktuarium wciąż atakowało Norreka, utrudniając ratunek. Kara

postanowiła najpierw zawołać wojownika, sprawdzić, czy zdoła do niej podejść. Nie chciała narażać się na ten chaos.

Odpowiedział na drugie wezwanie... wykrzykując imię Horazona. Zaskoczona Kara cofnęła rękę, którą wyciągnęła do pomocy. Norrek zareagował dziwnie, jakby wcale nie chciał podejść do nekromantki, lecz ją zabić.

– Zło się budzi... - mruknął ktoś za jej plecami.

Horazon. Nie zauważyła, że wszedł w pole widzenia. Spodziewała się, że szalony mag będzie trzymał się z dala od niebezpieczeństwa. Zrozumiała teraz, dlaczego Norrek, a raczej zbroja zachowała się w ten sposób. Zaklęty pancerz chciał spełnić największe pragnienie swego twórcy i zabić przeklętego brata.

Lecz nim zaatakował, sanktuarium jeszcze raz zdecydowało się przejąć kontrolę nad wydarzeniami. Norrek i jego otoczenie cofnęło się, odciągane coraz dalej, stało się już prawie niewidoczne. Kara widziała, jak ściany zaczynają się łączyć, gdy niezwykła budowla zamykała swojego przeciwnika jak owada w pudełku... Wiedziała, że potem nastąpi coś strasznego. Uświadomiła sobie, że skoro zbroja dąży do zniszczenia Horazona, dla Tajemnego Sanktuarium najlepszym wyjściem jest zakończenie tego raz na zawsze, nawet jeśli oznaczało to śmierć niewinnego człowieka. Lepiej zniszczyć zbroję i Norreka Vizharana, niż dać dziedzictwu Bartuka kolejną szansę na wprowadzenie w czyn krwawych zamierzeń.

Jednak śmierć Norreka była wbrew równowadze, którą Kara Nocny Cień przyrzekła chronić. Widząc nadchodzącą zagładę wojownika, nekromantka wskoczyła w chaos panujący w kryształowej kuli z nadzieją, że rozumne królestwo Horazona zrobi dla niej to, czego nie chciało uczynić dla nieszczęsnego Norreka.

Wolała się nie zastanawiać, co się z nią stanie, jeżeli sanktuarium uzna, że Karę również można poświęcić dla sprawy.

# OSIEMNAŚCIE



Norrek nie mógł się ruszyć, nie mógł nawet oddychać. Miał wrażenie, że pochwyciła go gigantyczna ręka i usiłowała zmiażdżyć. Czekał tylko, aż śmierć położy kres poczuciu winy. Nikt więcej nie zginie tylko dlatego, że Norrek chciał okraść grobowiec i przypadkiem rozpętał koszmar.

Szykował się już na śmierć, gdy poleciał jak wystrzelony z katapulty. Więc nie skończy zmiażdżony, lecz rozbije się o posadzkę. Norrek był pewny, że tym razem nie przeżyje.

Lecz coś... nie, ktoś złapał go za ramię, spowalniając upadek. Norrek chciał się dowiedzieć, kto to, ale gdy spróbował obrócić głowę, paskudnie mu w niej zawirowało. Stracił poczucie kierunku, nie potrafił nawet odróżnić góry od dołu.

Norrek bez ostrzeżenia uderzył o ziemię. Piasek nie złagodził upadku i wojownik prawie stracił przytomność.

Przez jakiś czas poobijany weteran leżał bez ruchu, przeklinając, że nazbyt często ląduje w takiej pozycji. Czuł ból wszędzie, nie widział nic poza kolorowymi plamami. Ale przynajmniej nie konał. Zaklęcie, które rzuciła Galeona przed śmiercią, przestało działać, Norrek nie musiał więc się obawiać, że zostanie zmiażdżony.

Usłyszał grzmot, a z szarości przed oczami wywnioskował, że znów trafił na nękaną przez burzę pustynię niedaleko Lut Gholein. Norrek

wyczuwał również, że nie był tu sam.

– Możesz wstać? - zabrzmiał znajomy łagodny kobiecy głos.

Chciał burknąć, że wcale nie zamierza, jednak nadludzkim wysiłkiem woli zmusił się, by usiąść. Zakręciło mu się w głowie, ale w pewnym sensie był dumny, że zdołał siedzieć o własnych siłach.

Wzrok mu wrócił, Norrek zobaczył nareszcie, kto do niego mówi. Widział już tę ciemnowłosą kobietę na chwilę przed tym, jak wokół niego zaczęły zamykać się ściany. Ale przypomniał sobie także, że jej twarz miał jeden z posągów z wizji grobowca Horazona.

*Horazon.* Myśl o bracie Bartuka przypomniała Norrekowi, kto stał obok bladej kobiety. Horazon - wciąż żywy mimo upływu *stuleci*.

Wzięła jego drżenie za objaw obrażeń.

– Bądź ostrożny. Wiele przeszedłeś, nie wiem, jak to na ciebie wpłynęło.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Kara Nocny Cień - odparła, klękając, aby lepiej przyjrzeć się twarzy Norreka. Szczupła dłoń musnęła jego policzek. - Czy to cię boli?

Tak naprawdę to dotyk jej dłoni był bardzo przyjemny, ale wojownik wiedział, że lepiej o tym nie mówić.

– Nie. Jesteś uzdrowicielką?

– Niezupełnie. Jestem kapłanką Rathmy.

– Nekromantka? - Zaskakujące, ale to wyznanie nie zrobiło na nim takiego wrażenia, jak kiedyś. Ostatnio wszystko wokół Norreka było związane ze śmiercią lub jeszcze czymś gorszym. Nekromantka znakomicie do tego pasowała, choć weteran musiał przyznać, że tak atrakcyjnej dotąd nie spotkał. Kilku kapłanów Rathmy, z którymi się zetknął, było kostycznymi starcami, niewiele różniącymi się od martwych, z którymi się zadawali.

Zorientował się, że choć powiedziała mu swoje imię, on się nie przedstawił.

– Nazywam się Norrek...

– Tak, Norrek Vizharan. Wiem.

– Skąd? - Przypomniawszy sobie, że wołała go po imieniu, a przecież wcześniej się nie spotkali. Z pewnością by ją zapamiętał.

– Szukałam cię od chwili, gdy wraz ze zbroją opuściłeś grobowiec Bartuka.

– Ty? Ale dlaczego?

Odchyliła się, najwyraźniej usatysfakcjonowana, że uszedł cało ze zdumiewającego królestwa Horazona.

– Moi współwyznawcy wraz z Vizjerei wzięli na siebie obowiązek i odpowiedzialność za ukrycie szczątków Krwawego Pana. W owym czasie nie umieliśmy zniszczyć ani ciała, ani zbroi, ale mogliśmy strzec ich przed tymi, którzy chcieliby wykorzystać te szczątki: przed magami, którzy przeszli na niewłaściwą stronę, i śmiertelnie niebezpiecznymi stworami.

Norrek przypomniał sobie morskiego potwora.

– Przed demonami?

– Bartuk początkowo był ich pionkiem, ale nawet władcy Piekła patrzyli z podziwem na jego moc, gdy umarł. Choćby cząstka jego mocy zamknięta w zbroi wystarczy, aby zakłócić delikatną równowagę pomiędzy życiem i śmiercią na świecie... a być może także poza nim.

Po tym, co widział, czego doświadczył, Norrek uwierzył w jej słowa bez trudu. Spróbował wstać, a Kara mu pomogła. Spojrzał na nią, odtwarzając w myślach ostatnie wydarzenia.

– Uratowałaś mnie.

Uciekła spojrzeniem, niemal zmieszana.

– Miałam w tym pewien udział.

– Inaczej bym zginął, prawda?

– Prawdopodobnie.

– Wobec tego uratowałaś mnie... Ale *dlaczego*<sup>7</sup>. Dlaczego nie dałaś mi po prostu umrzeć? Gdyby tak się stało, zbroja pozostałaby bez *nosiciela*. Byłaby bezsilna!

Kara spojrzała mu w oczy.

– Nie założyłeś tej zbroi z wyboru, Norreku Vizharanie. Wybrała cię, choć nie wiem, z jakiego powodu. Cokolwiek się wydarzyło, jakichkolwiek przerażających czynów się dopuściła, ty nie ponosisz za to winy i zasługujesz, by żyć.

– Ale ten pancerz odebrał życie tak wielu! - Gorycz musiała jakoś odmalować się na jego twarzy, bo nekromantka cofnęła się lekko. - Moi przyjaciele, ludzie w zajeździe, załoga „Ognistego Jastrzębia”, a teraz ta wiedźma! Ilu jeszcze musi umrzeć... i to na moich oczach?

Nekromantka dotknęła jego dłoni. Norrek zaniepokoił się, ale zbroja nie uczyniła niczego. Być może to, co nakłaniało pancerz do złych czynów, pozostawało uspięne... lub po prostu czekało na stosowny moment, aby zaatakować.

– Jest sposób, aby to zakończyć - odparła Kara. - Musisz zdjąć zbroję.

Norrek wybuchnął śmiechem. Śmiał się długo i głośno, ale bez cienia nadziei.

– Kobieto, czy myślisz, że nie próbowałem? Myślisz, że przy pierwszej okazji nie próbowałem ściągać rękawic i innych części pancerza? Nie mogłem nawet zdjąć tych przeklętych butów. To wszystko jest przymocowane do mojego ciała! Jedyne rozwiązanie, aby zdjąć zbroję, to obdrzeć mnie ze skóry!

– Rozumiem, w czym problem. Rozumiem też, że w normalnych warunkach żaden mag nie będzie miał wystarczającej mocy, aby naprawić

szkody wyrządzone przez zbroję...

– Więc co masz nadzieję osiągnąć? - warknął sfrustrowany. - Powinnaś zostawić mnie, abym umarł! Tak byłoby najlepiej!

Kara spokojnie przeczekała ten wybuch. Rozejrzała się, jakby szukała kogoś lub czegoś.

– Nie poszedł w moje ślady. Powinnaś była wiedzieć.

– Kto... Horazon?

Kara pokiwała głową.

– Ty też go rozpoznałeś?

– Moje wspomnienia... są pomieszane - wyjaśnił Norrek z westchnieniem. - Wiem, że niektóre z nich są moje, ale inne... - Zawahał się, pewien, że Kara uzna go za wariata. - Sądzę, że pozostałe należą do Bartuka.

– To bardzo możliwe

– I to cię nie dziwi?

– Według legend władca i jego szkarłatna zbroja wydawali się jednością. Przez lata nasączał ją jednym potężnym zaklęciem po drugim, zamieniając w coś więcej niż tylko metalowy pancerz. Mówi się, że do jego śmierci zbroja zachowywała się jak wierny pies, chroniąc Bartuka swoją magią i walcząc dla niego tak zajadle, jak sam by walczył. Nie dziwi mnie, że w tym pancerzu odcisnęło się życie Krwawego Pana... a niektóre złe wspomnienia przeniknęły do twojego umysłu.

Zmęczony weteran wzruszył ramionami.

– Im dłużej będę ją nosił, tym bardziej się temu poddam. Czasami wydawało mi się, że jestem Bartukiem!

– I dlatego musimy ją zdjąć - powtórzyła Kara. - Musimy przekonać Horazona, aby to zrobił. Sądzę, że jest jedyną osobą, która może tego dokonać.



Norrekowi nie do końca podobał się ten plan. Kiedy ostatni raz spotkał się z szalonym starcem, pancierz zareagował z wyraźną wrogością.

– To może znów rozsierdzić zbroję. Może dlatego teraz jest taka cicha. - Nagle uderzyła go myśl, zdawałoby się, oczywista. - Ona chce *jego*. Chce Horazona. Ta cała wyprawa, wszystko, przez co musiałem przejść... wszystko dlatego, że zbroja chce zgładzić brata Bartuka!

Wyraz twarzy nekromantki świadczył, że doszła do tego samego wniosku.

– Tak. Mówią, że krew nie woda, nawet zła krew. Horazon pomógł zgładzić brata w bitwie pod Viz-jun i w zbroi musiało przetrwać tego wspomnienie. Teraz, po tylu latach, wstała i pragnie zemsty, choć Horazon powinien nie żyć od wieków.

– Wcale nie. Mówisz, że krew nie woda. Musiała wiedzieć, że wciąż żyje. - Norrek potrząsnął głową. - Co nie wyjaśnia, dlaczego czekała tak długo. Bogowie! To jest jakieś szaleństwo!

Kara położyła dłoń na jego ramieniu.

– Horazon musi znać odpowiedź. Powinniśmy do niego wrócić. Czuję, że to nasza ostatnia nadzieja, aby położyć kres przekleństwu Krwawego Pana.

– Położyć kres, ona mówi? - zabrzmiał nieludzki, zgrzytliwy głos. - Nie... nie... Ten tutaj chce inaczej...

Kara spojrzała nad ramieniem Norreka, który natychmiast zaczął się odwracać.

– Uważ... - tylko tyle zdążyła powiedzieć.

Coś, co wyglądało jak ostra włócznia, leciało w jego stronę. Przebiłoby głowę Norreka, ale Kara odepchnęła go w ostatniej chwili. Na nieszczęście dziwna włócznia wbiła się w zamian w pierś kobiety.

Ostrze szybko się cofnęło. Kara gwałtownie wciągnęła powietrze i osunęła się na piasek. Po jej bluzce spływała krew. Norrek zamarł, ale

wiedząc, że nie pomoże dziewczynie, jeśli sam zginie, odwrócił się, aby stawić czoła napastnikowi.

Jednak to, co ujrzał, sprawiło, że zamarł. Przypominało owada stojącego na tylnych odnóżach, ale zrodzonego w krainie sennych koszmarów, owada z samego dna Piekła. Na jego ciele pulsowały żyły. To, co Norrek wziął za włócznię, było jednym z odnóży potwora: długim, podobnym do kosy ramieniem z ostrym szpicem na końcu. Poniżej kos wyrastały długie, kościste ręce zakończone pazurami, które otwierały się i zamykały. Ten koszmarny stwór stał na dwóch długich nogach wygiętych podobnie jak u modliszki, którą zresztą przypominał.

– Ten tutaj przybył tu szukać zdradzieckiej, uciekającej wiedźmy, ale takie znalezisko będzie jeszcze lepsze! Ten tutaj długo szukał ciebie i twojej mocy...

Norrek, choć zaskoczony, wiedział, że demonowi, bo kimże innym mógł być ten stwór, chodziło o zbroję, nie o niego.

– Zabiłeś ją! - wykrztusił w odpowiedzi.

Modliszka pochyliła głowę, z ohydneho odnóża wciąż kapała krew.

– Jeden śmiertelnik mniej to żadna różnica. Gdzie wiedźma? Gdzie Galeona?

Znał ją? Norrek wcale się nie zdziwił. Nawet pod wpływem zaklęć zbroi wiedział, że większość opowieści czarodziejki była kłamstwem.

– Nie żyje. Zbroja ją zabiła.

Syk świadczył, że ta wiadomość zaskoczyła demona.

– Nie żyje? Oczywiście! Ten tutaj wyczuwał, że czegoś tu brakuje... ale nie spodziewał się tego!

Demon wydał szczekający odgłos, który Norrek początkowo uznał za przejaw złości. Dopiero po chwili stało się dla niego jasne, że potworny owad się śmiał.

– Więzy zostały zerwane, a jednak ten tutaj wciąż chodzi w świecie śmiertelników! Więzy są zerwane, ale zakłęcie krwi przetrwało! Ten tutaj mógł ją zabić w każdej chwili! Jakim głupcem był Xazax!

Norrek skorzystał z rozbawienia demona, aby spojrzeć na Karę. Na jej piersi rozlewała się krew, a z miejsca, gdzie weteran stał, nie mógł dostrzec, czy dziewczyna oddycha. Bolało go, że na jego oczach umiera jedyna osoba, która chciała mu pomóc. I znów nie mógł nic zrobić.

Niesiony falą gniewu Norrek zrobił krok w stronę modliszki... a przynajmniej *próbował* zrobić. Niestety, nogi nie chciały go słuchać.

– Niech cię! - ryknął do zbroi. - Nie teraz!

Xazax przestał się śmiać.

Duże, żółte oczy skupiły się na bezradnym człowieku.

– Głupcze! Myślałeś, że możesz przejąć wielkość Bartuka? Ten tutaj myślał, że zedrze zbroję z twojego zimnego ciała, ale teraz Xazax widzi, że byłby to wielki błąd! Jesteś potrzebny - przynajmniej na razie!

Modliszka skierowała podobny do włóczni koniec w napierśnik. Lewa dłoń Norreka natychmiast się uniosła, lecz nie w geście obrony. Ku swemu przerażeniu dotknął kończyny demona, jakby na znak przymierza.

– Chcesz być całością, nieprawdaż? - zapytał zbroję Xazax. - Pragniesz, aby wrócił hełm, tak dawno temu oddzielony? Ten tutaj może cię do niego zabrać... jeśli chcesz.

W odpowiedzi jedna noga zrobiła krok do przodu. Nawet Norrek wiedział, co to oznaczało.

– Więc musimy iść... trzeba tego dokonać szybko. - Modliszka odwróciła się i ruszyła.

Norrek nie miał wyboru. Zbroja wkrótce szła obok demona. Za jego plecami Kara traciła ostatnie krople życia, a on mógł dla niej zrobić tyle, co

dla siebie. Zazdrościł jednak nekromantce. Jej cierpienie wkrótce dobiegnie końca, jego czekają tylko gorsze męki. Ostatnia nadzieja przepadła.

– Niebioso, pomóżcie mi... - wyszeptał.

Modliszka musiała mieć dobry słuch, gdyż odparła:

– *Niebioso?! Żaden anioł nie przyleci tu, aby ci pomóc, głupi człowieczku! Zbyt się boją! Są zbyt tchórzliwe! Nasze zastępy chodzą po ziemi, obudził się władca demonów, a ludzką twierdzą Lut Gholein czeka okropny koniec! Niebioso?! Lepiej módl się do Płonących Piekieł!*

Gdy szli dalej, Norrekowi przemknęło przez głowę, że demon może mieć rację.



Kara czuła, jak uchodzi z niej życie, i nic nie mogła na to poradzić. Demon, którego widziała, poruszał się bardzo szybko. Chciałaby wierzyć, że ocalała Norreka, ale w to również wątpiła.

Powoli traciła świadomość, każda uchodząca kropla krwi przybliżała nekromantkę do następnego stadium w ogólnym układzie równowagi. Jednak mimo wiary Kara niczego nie pragnęła bardziej, jak powrócić do świata żywych. Zbyt wiele spraw nie zostało załatwionych, pozostawiła Norreka w sytuacji, z której nie wyjdzie żywy bez pomocy. Co gorsza, po świecie chodziły demony, co jasno wskazywało, że potrzebny był każdy kapłan Rathmy. *Musiła powrócić.*

Ale umierający nie mają takiego wyboru.

– *Co powinniśmy zrobić?* – zapytał głos w oddali, głos, który wydał się Karze znajomy.

– *Powiedział, że powinniśmy to oddać, kiedy uznamy, że tak powinniśmy postąpić. Uważam, że powinniśmy.*

– *Ale bez niego...*

– *Wciąż mamy czas, Sadun.*

– *Może i tak powiedział, ale ja mu nie ufam!*

Krótki, gardłowy śmiech.

– *Ufam więc, że jesteś jedynym, który nie ufa jego wielkiemu rodowi.*

– *Daruj sobie... jeśli trzeba, zrobmy to wreszcie.*

– *Jak sobie życzysz.*

Nagle Kara poczuła na piersi wielki ciężar, było to uczucie tak cudownie przyjemne, że powitała je radośnie i przyjęła. Ciężar zdawał się tak nieskończenie znajomy, przypominał te wszystkie drobiazgi, takie jak matka karmiąca ją owocem, motyl koloru tęczy, który siadł na jej kolanie, gdy uczyła się w lesie, zapach jedzenia przygotowanego przez kapitana Jeronnana... nawet krótka wizja zmęczonej, lecz wcale przystojnej twarzy Norreka Vizharana.

Nekromantka gwałtownie nabrała tchu, gdy życie chwyciło ją w objęcia.

Zamrugła, czując piasek i wiatr. Zagrzmiało, z oddali posłyszała odgłosy podobne do walki.

– *Zadziałało... tak jak mówił... że zadziała. Powinienem... wypróbować to... na sobie.*

Kara знаła ten głos, choć nieco się różnił. Teraz brzmiał tak, jak go zapamiętała: zgrzytliwe słowa wypowiedane przez umarłego.

– *Wierni... wiem... - odrzekł Sadun Tryst na niesłyszalną uwagę. - Tylko jej...*

Otworzywszy oczy, czarodziejka spojrzała na mroczne sylwetki uśmiechniętego upiora i jego towarzysza Vizjerei.

– *Co... jak żeście mnie znaleźli?*

– *Nigdy cię nie... zgubiliśmy. Puściliśmy cię... a potem poszliśmy za tobą. - Tryst spojrzał na nią spod przymrużonych powiek. - Ale tu... na*

Aranoch... wiedzieliśmy, że... gdzieś tu jesteś, ale... nie mogliśmy cię zobaczyć... aż do tej pory.

Nie wiedzieli, gdzie się podziała, gdy Horazon sprowadził ją do swej podziemnej kryjówki. Wiążące ich zaklęcie pozwalało określić ogólny kierunek, ale zarówno lokalizacja sanktuarium, jak i potężna magia niezwykłego miejsca sprawiły, że przywołańcy nie mogli odnaleźć Kary. Nekromantka mogła być dokładnie pod nimi, a żaden by tego nie zauważył.

Czując, że wracają jej siły, próbowała się nieco unieść. Jakiś przedmiot ześlizgnął się z jej piersi. Przytrzymała go odruchowo i spojrzała zaskoczona. Jej sztylet!

Uśmiech Trysta stał się gorzki.

– Więź została... zerwana. Siła życiowa... którą od ciebie wzięliśmy... jest twoja. - Wyglądał na sfrustrowanego. - Nie mamy już... nad tobą... władzy.

Nekromantka spojrzała na swoją pierś. Bluzka była nadal poplamiona krwią, ale straszliwa rana, zadana jej przez demona, zasklepiała się, pozostawiając jedynie okrągły znak, jakby wytatuowany.

– Wygląda... znacznie lepiej.

Zasłoniła to miejsce i spojrzała wrogo na nieumarłych, choć to właśnie od nich dostała szansę na drugie życie.

– Jak to zrobiliście? Nigdy nie słyszałam o czymś takim!

Sadun wzruszył ramionami, jego głowa przekrzywiła się na drugie ramię.

– On... mój przyjaciel... powiedział... że sztylet jest częścią... ciebie. Kiedy byłaś z nami... związana... zaklęciem... przeszła też część... ciebie. Oddaliśmy ją... abyś przeżyła. - Wykrzywił się najładniej jak potrafił. - Nic... nas już... nie wiąże.

– Z wyjątkiem jednego. Norreka. - Kara dźwignęła się niezdarnie. Tryst się cofnął, ale ku jej zaskoczeniu Fauztin wyciągnął rękę. Z początku się

zawahała, ale potem zdała sobie sprawę, że upiór zamierzał tylko jej pomóc. - Dziękuję.

Fauztin zamrugał... i odpowiedział krzywym uśmiechem.

- Przywracasz życie... nawet tym... długo nieżyjącym... - zażartował Sadun Tryst.

- A co z Norrekiem?

- Sądzymy... że zbliża się... do Lut Gholein.

Mimo że zawdzięczała im życie, nekromantka nie zamierzała pozwolić, by zaszlachtowali dawnego towarzysza.

- Norrek nie jest odpowiedzialny za waszą śmierć. Nie mógł zapobiec temu, co się z wami stało.

Dwójka przywołańców wbiła w nią nieruchome spojrzenia. W końcu Fauztin mrugnął, a Tryst odparł:

- Wiemy.

- Dlaczego więc... - Kara urwała. Przez cały czas zakładała, że polują na swego zabójcę, którym mógł być tylko Norrek. Dopiero teraz, spoglądając na obu, zdała sobie sprawę, że złe założenia doprowadziły ją do błędnych wniosków.

- Nie ścigacie Norreka, aby się zemścić... Ścigacie *zbroję Bartuka*. - I choć nie odpowiedzieli, wiedziała, że się nie myli. - Mogliście mi powiedzieć!

Tryst zostawił te słowa bez komentarza.

- Miasto jest... oblężone - oznajmił nieoczekiwanie.

Oblężone? Kiedy to się stało?

- Przez kogo?

- Kogoś, kto... także chce... podnieść z martwych... lub przynajmniej... przywołać krwawe widmo... Bartuka.

*Skąd biorą się ci wszyscy szaleńcy* – zapytała się Kara w duchu... i przypomniała sobie maga, od którego niedawno uciekła. Rozejrzała się, usiłując odnaleźć ślad mogący zaprowadzić ją do Tajemnego Sanktuarium, ale bezskutecznie. Wiatr przesypywał pustynny piach, a wydmy wydawały się niezmienione. Jednak gdzieś tutaj ziemia otworzyła się i wyrzuciła ją wraz z Norrekiem na powierzchnię.

Nie dbając o to, co sobie pomyślał przywołańcy, Kara zawołała:

– Horazonie! Posłuchaj mnie! Możesz nam pomóc, a my możemy pomóc tobie! Pomóż nam ocalić Norreka... i położyć kres dziedzictwu Bartuka!

Wiatr targał jej włosy i sypał w twarz ziarenkami piasku. Kara czekała na pojawienie się Horazona lub jakiś znak wskazujący, że ją usłyszał.

Nic się nie wydarzyło.

Sadun Tryst wreszcie przerwał milczenie.

– Nie możemy... czekać tu dłużej... skoro przywołujesz... inne duchy...

– Nie wzywam... - urwała w pół słowa. Po co tłumaczyć, że Horazon przeżył wieki i mieszka tuż pod ich stopami, do tego obłąkany? I właściwie dlaczego spodziewała się, że brat Bartuka przyłączy się do tej misji? Już pokazał, że gdyby to zależało od niego, Norrek zostałby unicestwiony wraz ze zbroją. Niektóre legendy przedstawiały Horazona jako bohatera, w przeciwieństwie do jego brata. Tenże bohater również przyzywał demony, poddawał je swej woli. Tak, jego wojna z Bartukiem była przede wszystkim walką o przetrwanie. Wiekowy Vizjerei im nie pomoże.

– My idziemy... - odezwał się Tryst. - Idziesz z nami... albo nie... Wybór należy do ciebie, nekromantko.

Cóż jeszcze mogła Kara zrobić? Nawet bez Horazona musiała iść za Norrekiem. Demon musiał zabrać wojownika do tego, kto oblega Lut Gholein, ale po co? Czy zamierzano do reszty zniszczyć umysł Norreka, pozwolić wspomnieniom Krwawego Pana przejąć ciało? Przepotworna



przyszłość, i to dla każdego człowieka, nie tylko biednego Norreka. Wielu uczonych całkiem słusznie przypuszczało, że gdyby Bartuk pokonał swego brata, nękałby ludzkość, dopóki nie ugięłaby przed nim kolana. Teraz, jak przypuszczała Kara, miał drugą szansę.

Jako kapłanka Rathmy nie mogła na to pozwolić, nawet jeśli oznaczało to pozbawienie życia tego, który nosił zbroję. Ta myśl przejęła ją chłodem, ale jeśli utrzymanie równowagi wymagało zgładzenia Norreka, tak się stanie. Nawet jej życie niewiele znaczyło, gdyby w ten sposób musiała położyć kres niebezpieczeństwu.

– Pójdę z wami - zdecydowała. Fauztin skinął głową, po czym wskazał palcem w stronę Lut Gholein.

– Mówi, że... tracimy czas...

Gdy ruszyli, nieumarli ustawili się po bokach Kary. Wiatr zasypał już piaskiem ślady Norreka, ale Tryst i Fauztin nie mieli większych problemów z ich odnalezieniem, prowadziła ich więź z tym, co ich zabiło.

– A co z demonem? - spytała Kara. On również miał swoje plany wobec zbroi i z pewnością będzie walczył z każdym, kto spróbuje odebrać pancerz. Tryst wskazał na sztylet, wiszący u pasa czarodziejki.

– To nasza... największa szansa.

– Jak to?

– Użyj go... i módl się. - Wyglądało na to, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale Fauztin rzucił spojrzenie, które natychmiast uciszyło Saduna.

Jaką tajemnicę skrywali przed nią? Czyżby ich nie doceniała? Czy nadal zamierzali ją wykorzystać jako swoją marionetkę? Nie była to odpowiednia pora na ukrywanie czegoś, co mogło zadecydować o życiu lub śmierci.

– Coście...

– Zajmiemy się... zbroją... - uciął Sadun. - I Norrekiem...

Jego ton nie dopuszczał dyskusji na ten lub jakikolwiek inny temat. Kara miała chęć pytać dalej, ale wolała nie denerwować upiornych towarzyszy. Przywołańcy zachowywali się w sposób, którego nie mogła przewidzieć. Całkowicie odmiennie od tego, czego ją uczono. Czasami postępowali tak, jakby ich serca nadal biły, a krew wciąż płynęła w żyłach. Kiedy indziej poruszali się z tą milczącą determinacją nieumarłych. Rzeczywiście, wyjątkowa sytuacja... ale w tej sprawie wszystko było wyjątkowe.

A także śmiertelnie niebezpieczne.

Wyobraziła sobie Norreka, zastanawiając się, przez co żołnierz musi teraz przechodzić. Wspomnienie demona kładło się cieniem na myśli Kary o wojowniku i sprawiało, że nekromantka zagryzała z troską wargi. W jej pamięci pojawił się też cień trzeciej postaci, która dowodziła atakiem na nadmorskie miasto. Jaka była rola tego człowieka? Jaki cel? Z pewnością nie pragnął zmienić Norreka w drugiego Bartuka, równie dobrze mógłby podpisać na siebie wyrok śmierci. Bartuk z własnej woli nie służyłby śmiertelnikowi ani nie zawarł z żadnym sojuszu.

Wkrótce będzie mogła poznać odpowiedzi na te pytania. O ile pożyje wystarczająco długo, a w tej kwestii Kara miała poważne wątpliwości.

# DZIEWIĘTNAŚCIE



Minęła już ponad godzina, a Lut Gholein wciąż nie wydało zbroi. Generał Malevolyn z trudem powstrzymywał gniew, zastanawiając się, czy przypadkiem mieszkańcy już jej nie znaleźli i nie usiłują teraz wykorzystać mocy przeciw niemu. Jeśli tak, to się bardzo pomylą. Zbroja nigdy nie będzie służyła ich sprawie. A jeśli zaczną manipulować przy pancerzu, prawdopodobnie zaatakuje tych, którzy będą chcieli go zbadać. Nie, dziedzictwo Bartuka należy wyłącznie do niego.

Zgodnie z jego groźbą horda demonów wciąż atakowała mury. Ziemia wokół zasłana była ciałami tych, którzy nie zdążyli dobiec do bramy, a także tych, którzy spadli z murów. Demony-łucznicy oddały wiele wspaniałych strzałów, nawet jak na tych, których ciała zamieszkiwały. Do tego sześć katapult, które sprowadziły, siało zniszczenie w samym mieście. Ochroniane przez demoniczną magię maszyny oblężnicze nie poniosły żadnego uszczerbku w deszczu pocisków z Lut Gholein.

Malevolyn obserwował, jak demony przy najbliższej katapulcie szykują kolejny płomienny pocisk dla mieszczan. Generał zachował tę broń specjalnie, by pokazać przeciwnikom, że nie zaznają wytchnienia. Albo dadzą mu to, czego pragnie, albo nawet wysokie mury im nie pomogą, nie żeby te śmieszne bariery mogły ocalić miasto przed końcem.

A ten koniec był bardzo bliski. Generał zdecydował, że dla Lut Gholein upłynął termin ultimatum. Pozwoli, by katapulty wystrzeliły swój ładunek, a potem rozkaże swoim siłom ruszyć do szturm. Ludzie sądzili, że ich bramy powstrzymają napastników, ale wciąż nie doceniali demonów. Usunięcie tej przeszkody na drodze do miasta będzie bardzo łatwe... a potem rozpocznie się dzień tak krwawy, że o upadku Lut Gholein będzie się szeptać przez wiele lat.

Jeszcze raz szkarłatna zbroja Krwawego Pana rzuci cień strachu na cały świat.

Augustus Malevolyn znieruchomiał, przepełniony dziwnym uczuciem. Szybko obejrzał się, pewien, że *musi* zobaczyć, kto lub co zbliża się od tyłu.

Znad wydmy wychynął znajomy kształt, Xazax szedł przez pustynię. To, że demon podszedł tak blisko Lut Gholein za dnia, zaskoczyło generała... dopóki nie zobaczył, kto kroczy obok potwornego owada.

– *Zbroja...* – wyszeptał niemal z czią.

Zapomniawszy o swoich demonicznych żołnierzach, zapomniawszy o Lut Gholein, Malevolyn pognał do nadchodzącej pary. Nigdy nie przeżył tak chwalebnej chwili. Zbroja Bartuka szła ku niemu. Wreszcie ziściło się jego największe marzenie!

Dlaczego ten prostak, który ukradł ją z grobowca, wciąż jeszcze żyje i ma pancerz na sobie? To mógł wyjaśnić jedynie Xazax. Malevolyn był zdumiony, że demon pozwolił temu człowiekowi żyć tak długo. Może Xazax po prostu nie chciał nieść jej samemu i zmusił tego durnia, aby dostarczył ją na własnym grzbiecie. Za taki czyn generał mógł przynajmniej nagrodzić obecnego nosiciela pancerza szybką i bezbolesną śmiercią.

– Cóż to za nagrodę mi przynosisz, przyjacielu?

Modliszka wydawała się bardzo z siebie dumna.

– Dar, który potwierdza, że zamiary tego tutaj są zgodne z zamiarami władcy. Ten tutaj daje ci Norreka Vizharana, najemnika, hienę cmentarną i nosiciela słynnej zbroi Bartuka!

– Najemnik i hiena cmentarna... - zaśmiał się generał Malevolyn. - Może powinienem wynająć cię ze względu na doświadczenie. Z pewnością muszę ci pogratulować, żeś dostarczył mi wreszcie to, co stanowi ostatni krok na mojej drodze do chwały!

– Ty... chcesz tej zbroi? - zapytał z niedowierzaniem głupiec, jakby on, który tak długo nosił ten pancerz, nie potrafił docenić wielkości, docenić jego mocy...

– Oczywiście! Niczego więcej nie chcę! - Generał postukał się w hełm. Dostrzegł, że Norrek Vizharan rozpoznał fragment pancerza. - Jestem generał Augustus Malevolyn, niegdyś z Zachodniej Marchii, kraju, sądząc z twego spojrzenia, który nie jest ci obcy. Jak widzisz, noszę hełm, zaginiony od czasu, gdy głowa i ciało Bartuka zostały rozdzielone przez głupców, którym przez przypadek udało się go zabić. Tak bardzo, i niebezpodstawnie, lękali się jego potężnych mocy, że złożyli ciało i głowę na dwóch krańcach świata i ukryli, żeby na pewno nikt ich nie znalazł!

– Mylili się... - mruknął najemnik.

– Oczywiście! Ducha Krwawego Pana nie sposób ujarzmić! Wzywał swoich, czekał na tych, którzy dzięki więzi z jego osobą mogliby przywrócić te moce do życia i skierować je ku nowym wyzwaniom.

– Co to znaczy?!

Malevolyn westchnął. Powinien był od razu zabić tego głupca, ale wspaniałomyślnie postanowił przynajmniej wyjaśnić to, czego Norrek najwyraźniej dotąd nie zrozumiał. Generał ostrożnie ściągnął hełm. Wypełniło go niejakie poczucie straty, ale po chwili pocieszył się, że przecież hełm wkrótce wróci na swoje miejsce.

– Wówczas nie znałem jego tajemnic, ale teraz znam... bo sam artefakt mi je wyjawiał. Nawet ty, ośmielę się stwierdzić, przyjacielu mój, Xazaxie, nie znasz całej prawdy.

Modliszka wykonała szyderycki ukłon.

– Ten tutaj byłby zaszczycony, gdyby mógł zostać oświecony, wodzu...

– I zostaniesz! - Malevolyn uśmiechnął się do Norreka. - Założę się, że wielu zginęło w katakumbach, nim tam wszedłeś, prawda?

Vizharan sposepniał.

– Zbyt wielu... niektórzy z nich byli moimi przyjaciółmi.

– Nie obawiaj się, wkrótce do nich dołączysz... - Odziany w czarną zbroję generał pozwolił Norrekowi dokładniej przyjrzeć się hełmowi. - Śmiem twierdzić, że w przypadku tego artefaktu sytuacja miała się podobnie. Ten sam los dla pomniejszych hien, dopóki nie znalazł się jeden złodziej, który posiadał wyjątkową, odziedziczoną cechę umożliwiającą dokonanie tej kradzieży.

Dłonie Malevolyna poczęły nagle drżeć. Szybko, lecz ostrożnie nałożył hełm. Natychmiast spłynęło na niego uczucie ulgi, aczkolwiek upewnił się, że ani człowiek, ani demon tego nie zauważą.

– Czy wiesz, co ty i on macie ze sobą wspólnego?

– Przekłęte życie?

– Raczej wspaniałe pochodzenie. Płynie w was krew wielkich, choć mocno rozcieńczona.

To wyjaśnienie tylko zirytowało Norreka.

– On i ja... byliśmy spokrewnieni?

– Tak, choć w jego przypadku linia krwi stała się nawet bardziej rozwodniona. Dało mu to prawo do zabrania hełmu, lecz okazał się zbyt słaby, aby go używać, i został zabity. Po jego śmierci hełm znów popadł w

uśpienie, czekając na kogoś godniejszego. - Generał z dumą wskazał na siebie. - I wreszcie, jak widzisz, odnalazł mnie.

- Ty również jesteś z nim spokrewniony?

- Bardzo dobrze. Tak, jestem. Moja krew jest mniej rozcieńczona niż w jego przypadku i bez wątpienia znacznie mniej rozcieńczona niż twoja. Tak, Norreku Vizharanie, możesz powiedzieć, że ty, ja i ten, kto odnalazł głowę i hełm, jesteśmy kuzynami. Oczywiście bardzo dalekimi.

- Ale kto... - Oczy wojownika rozszerzyły się, gdy dotarła do niego prawda. - To *niemożliwe!*

Xazax nic nie powiedział, ale najwyraźniej dalej nic nie zrozumiał. Demony nie zawsze pojmowały związki międzyludzkie i ich skutki. Co prawda niektórzy z jego gatunku znali ten proces i nawet rozmnażali się żywiołowo, lecz niczym zwierzęta, nie zwracając uwagi na sprawy dziedziczenia.

- O tak, kuzynie. - Malevolyn uśmiechnął się szeroko. - Wszyscy jesteśmy potomkami wielkiego i szlachetnego *Bartuka* we własnej osobie!

Modliszka zaszczękała swoimi odnóżami, najwyraźniej zaskoczona. Wyglądała na jeszcze bardziej zadowoloną z siebie, prawdopodobnie dlatego, że dokonała słusznego wyboru i przyłączyła się do Augustusa Malevolyna.

Dla Norreka nie była to przyjemna wiadomość, podobnie jak większość zwyczajnych śmiertelników nie do końca rozumiał, co właściwie osiągnął Bartuk. Jak wielu ludzi zyskało szacunek nie tylko u swoich współziomków, ale również w Płonących Piekłach i Królestwie Niebios? Generała rozczarował nieco ten brak uznania, gdyż, jak powiedział, rzeczywiście byli z Norrekiem spokrewnieni. Ale ponieważ najemnikowi pozostało zaledwie kilka chwil życia, rozczarowanie generała nie było zbyt

dojmujące. Usunięty głupiec wciąż pozostawał usuniętym głupcem - dla świata to zawsze korzyść.

– Krew nie woda... - wymruczał Norrek, wpatrując się w piasek. - Krew do krwi, mówiła...

– Zaiste! I dlatego na tobie zbroja mogła działać tak, jak nie mogła przez wiele wieków. W jej wnętrzu spoczywają olbrzymie moce, lecz są pozbawione życia. W tobie płynie życie, które dało magii tę iskierkę. To jakby dwie oddzielone dawno temu połowy złożyły się w jedną całość!

– Krew Bartuka...

Augustus Malevolyn zacisnął usta.

– Tak, już o tym mówiliśmy... powiedziałaś: ona? Czyżby moja Galeona?

– Nekromantka, wodzu - wtrącił Xazax. - Jest już martwa. - Uniósł jedno ze swoich podobnych do kos odnóży, informując w ten sposób, jak doszło do tej śmierci. - A jeśli chodzi o wiedźmę... ona również.

– Szkoda, ale przypuszczałem, że tak się kiedyś stanie. - Nagle generał coś sobie uświadomił. - Przepraszam was na chwilę.

Odwrócił się ku oblężonemu Lut Gholein, wyobrażając sobie demona o twarzy Zako.

W oddali upiorny sługa nagle oderwał się od zadania przy katapulcie i ruszył do Malevolyna. Przed generałem demon ukląkł na jedno kolano.

– Tak, wodzu... - Gwałtowny świst wciąganego powietrza świadczył o tym, że fałszywy Zako zauważył Norreka i zbroję. - Twoje... twoje rozkazy?

– Miasto nie ma już dla mnie żadnej wartości. Możecie się tam zabawić.

Dziki uśmiech rozciągnął się nieprawdopodobnie szeroko na twarzy zmarłego.

– Jesteś bardzo hojny, wodzu...

Generał Malevolyn skinął głową, po czym machnął ręką.



– Idź! Nie oszczędzajcie nikogo. Lut Gholein będzie służyć za przykład, że żadne miasto, żadna inna potęga nie może mi się oprzeć.

Stwór z twarzą Zako odszedł, niemalże skacząc z radości, gdy niósł wiadomość swym pobratymcom. Horda zniszczy miasto, aż nie pozostanie z niego kamień na kamieniu. Będzie to zemsta za to, co stało się pod Viz-jun.

Viz-jun. Malevolyn nie mógł się już doczekać. Teraz gdy posiada zbroję, nawet Kedżystan, legendarny dom Vizjerei, padnie mu do stóp.

Dotknął lisa i mieczy, zdobiących jego napierśnik. Dawno temu, gdy spalił dom i zabił ojca oraz ród, który nigdy go nie uznał, Augustus Malevolyn postanowił nosić ten herb dla przypomnienia, że zawsze osiągał to, czego chciał. Teraz nadszedł czas, aby zamienić ten symbol na lepszy. Krwistoczerwoną zbroję Bartuka.

Odwrócił się do Xazaxa i najemnika.

– Możemy zaczynać?

Xazax popchnął Norreka. Mężczyzna zatoczył się i ośmielił rzucić demonowi gniewne spojrzenie. Opinia Malevolyna o dalekim kuzynie nieco się poprawiła. Przynajmniej ten bufon miał trochę odwagi.

Ale przepojone goryczą słowa, które padły z ust Norreka, wcale generała nie zadowolili.

– Nie mogę ci jej dać.

– A to dlaczego?

– Nie chce zejść. Próbowałem wiele razy i wiem, że nie chce zejść, nawet buty! Nie mam też nad nią kontroli! Sądziłem, że tak jest, ale to była tylko sztuczka! To zbroja decyduje, gdzie pójdę i co zrobię!

Jego tragiczna sytuacja rozbawiła generała Malevolyna.

– To brzmi jak żart! Czy to prawda, Xazaxie?

– Ten tutaj musi przyznać, że ten głupiec mówi prawdę, wodzu. Nawet nie mógł się ruszyć, aby ocalić nekromantkę...

– Fascynujące. Jednak nie jest to problem trudny do rozwiązania. - Wskazał Norreka. - Nie teraz, gdy dysponuję potężnymi mocami.

Zakłęcie przywołane z pamięci innej niż jego własna powinno wysuszyć wojownika wewnątrz zbroi, pozostawiając łatwy do wyjęcia strączek. Bartuk korzystał z tego czaru podczas swego panowania i nigdy się nie zawiódł.

Ale teraz tak. Norrek Vizharan stał z szeroko otwartymi oczyma, nietknięty. Wyglądał, jakby naprawdę spodziewał się śmierci, tym bardziej było zagadką, dlaczego tak potężny czar nie zadziałał.

To Xazax zasugerował rozwiązanie.

– Twoje zakłęcie obejmuje całe ciało, panie. Zapewne zbroja reaguje tak, jakby została zaatakowana.

– Słuszna uwaga. Zrobimy więc to osobiście. - Wyciągnął rękę i pojawiło się w niej demoniczne ostrze. - Ścięcie mu głowy powinno zerwać więź z pancerzem. Potrzebuje żywego nosiciela, a nie trupa.

Kiedy generał się zbliżał, zauważył, że Norrek rozpaczliwie zмага się z pancerzem, usiłując się poruszyć. Brak reakcji ze strony zbroi utwierdził Malevolyna w przekonaniu, że tym razem wybrał właściwy sposób. Załatwi to jednym płynnym cięciem. Vizharan powinien czuć się zaszczycony. Czyż pierwszy Krwawy Pan nie zginął w ten sam sposób? Może Malevolyn zatrzyma głowę krewniaka na pamiątkę tego wspaniałego dnia.

– Zawsze będę o tobie pamiętał, kuzynie Norreku. Za to, co mi dałeś.

Generał Augustus Malevolyn przygotował czarny miecz, mierząc dokładnie w gardło ofiary. Tak... jedno szybkie cięcie. Znacznie bardziej eleganckie niż rąbanie raz po raz, aż głowa odpadnie.

Uśmiechając się, wyprowadził zabójczy cios...

...który został odbity przez identyczne czarne ostrze trzymane w lewej dłoni Norreka.

– Co, na otchłanie *Piekła*?

Najemnik wydawał się tak samo zaskoczony jak generał. Za Norrekiem Vizharanem potworny demon szczekał i świergotał, nie kryjąc konsternacji.

Norrek - a raczej *zbroja* - przyjął pozycję bojową z czarną bronią gotową na odparcie ataku generała.

Na twarzy wojownika pojawiło się tak zaskoczenie, jak i dezorientacja. Po krótkim wahaniu Norrek odważył się nawet przemówić do Malevolyna:

– Myślę, że *zbroja* nie uważa cię za właściwą osobę, generale. Sądzę, że będziemy musieli o nią walczyć. Doprawdy, przykro mi.

Malevolyn powstrzymał gniew. Źle by się stało, gdyby teraz stracił panowanie nad sobą. Spokojnym tonem odparł:

– Zatem będziemy walczyć, Vizharanie - a kiedy uzyskam *zbroję*, zwycięstwo będzie jeszcze słodsze!

Natarł na Norreka.



Xazax bał się, że popełnił straszną pomyłkę. Oto stało przed nim dwóch śmiertelników odzianych w części zbroi Bartuka, a każdy wydawał się zdolny do pewnego stopnia władać starożytną magią Krwawego Pana. Modliszka postawiła na Malevolyna, który do tej pory wydawał się jedynym dziedzicem. Jednakże reszta zbroi uważała inaczej i postanowiła bronić swojego niechętnego nosiciela.

Demon tak ciężko się napracował, aby przekonać piekielnego władcę, Beliala, do poświęcenia tylu pomniejszych demonów. Belial zgodził się, ponieważ oczekiwał, że nowy Bartuk pomoże mu w walce z rywalem, a

także zapobiegnie powrotowi Mrocznej Trójcy. Jeśli zaś Xazax poczynił błędne założenie, jeśli Norrek Vizharan jakimś cudem zwycięży, to wyjdzie na to, że oficer Beliala błędnie pokierował tą sprawą. A Belial nie znosił niekompetencji u swoich sług.

Teraz, przyglądając się, jak ci dwaj szykują się do walki, demon był pewien, że zbroja go oszukała. Przyszła z nim bez żadnych oporów, jakby chciała tylko połączyć się z hełmem, a potem przystać do demona. Teraz jednak Xazax był przekonany, że zbroja tylko szukała hełmu - a potem zamierzała zwrócić się przeciwko *demonowi*.

Musiała wiedzieć, że to Xazax ściągnął morskiego potwora do tego świata i przepytawszy umierającego marynarza, wysłał monstrum za statkiem. W owym czasie Xazax sądził, że uda mu się przyspieszyć bieg spraw i przejąć zbroję, nim ta dotrze na suchy ląd. Galeona wskazała mu w dużym przybliżeniu, gdzie znajduje się Norrek Vizharan. Dla piekielnego morskiego stwora rozdarcie krypy w drzazgi nie było problemem, potem miał tylko ściągnąć zbroję z martwego ciała...

Z tym że... zbroja nie tylko odpędziła ogromnego stwora, ale i bez trudu go pokonała. Xazaxa tak to przeraziło, że uciekł w panice. Nigdy nie sądził, że zbroja może wyzwolić tak potężne zaklęcia...

Modliszka podjęła decyzję, skupiła wzrok na plecach najemnika. Gdyby Malevolyn został wodzem, Xazax mógłby pokazać swemu panu coś wyjątkowego, sojusznika, z którym mogliby zniszczyć Azmodana, a nawet, gdyby zaszła taka potrzeba, całą Trójcę. Jednak póki Norrek Vizharan jest nosicielem, Belial nie będzie ani trochę zadowolony.

A kiedy jego pan jest niezadowolony... ci, którzy go zawiedli, płacą za to wysoką cenę.

Demon uniósł kosopodobne odnoże, czekając na odpowiednią chwilę. W ferworze walki wystarczy jedno uderzenie. Generał może mieć pretensje o

utrata chwały, ale rychło się uspokoi. Potem wróci do zdobywania Lut Gholein.

A stamtąd... reszty świata.



Norrek nawet w połowie nie czuł się tak odważny, jak udawał przed generałem. Choć istotnie zbroja nie chciała się z nim rozstać, jednak Norrek wcale nie wierzył, że uda się jej pokonać dowódcę armii. Tak naprawdę wszystko wskazywało na to, że więź Malevolyna z hełmem była wielokrotnie silniejsza niż wymuszony sojusz Norreka ze zbroją. Malevolyn nie tylko korzystał z wiedzy i umiejętności Krwawego Pana, ale posiadał też własne zdolności, o których nie należało zapominać. A jeśli połączyć umiejętności z możliwościami oferowanymi przez zaklęty hełm, zbroja najpewniej nie miała szans, aby pokonać doświadczonego dowódcę.

Generał natarł z taką furją, że zbroja musiała się cofnąć, aby uratować Norreka. Ostrza zderzały się raz po raz, buchając płomieniami. Gdyby walczyli gdzie indziej, a nie na piaszczystej pustyni, pewnie wokół wzneciliby ogień. Norrek obawiał się, że zabłąkana iskra może paść mu na włosy lub wlecieć do oka. Wystarczyło, że musiał brać udział w tej desperackiej walce i nawet nie mógł wybierać, czy atakować, czy się bronić. Szybko dotarło doń, że zbroja posiada pewne luki w wykształceniu, jeśli chodzi o szermierkę. Owszem, parowała ciosy Malevolyna, ale przepuściła przynajmniej jedną odsłonę przeciwnika. Czyżby krwawy władca demonów nie umiał poprawnie trzymać broni?

– To jak walka z samym sobą, nieprawdaż? - rzucił ironicznie przeciwnik. Augustus Malevolyn wydawał się nieźle bawić, najwyraźniej absolutnie pewny zwycięstwa.

Norrek nic nie odpowiedział. Nawet jeśli miał zginąć, to życzyłby sobie, aby stało się to wskutek jego własnych wysiłków, a nie porażki zaklętej zbroi.

Ostrze Malevolyna minęło jego głowę o kilka cali. Norrek zaklął, mrużąc do zbroi:

– Jeśli nie stać cię na więcej, to ja powinienem prowadzić.

– Naprawdę tak sądzisz? - odparł generał, już nie rozbawiony. - Sądzisz, że taki prostak jak ty jest bardziej godny noszenia tytułu i dźwignięcia dziedzictwa niż ja?

Zbroja musiała obronić się przed serią błyskawicznych ataków Malevolyna. Norrek po cichu przeklął doskonały słuch generała, który sądził, że weteran kpi sobie z niego.

Norrek służył pod wieloma doświadczonymi oficerami, walczył z wieloma zdolnymi wrogami, ale nie mógł sobie przypomnieć nikogo, kto byłby tak elastyczny jak Augustus Malevolyn. To, że generał walczył, wykorzystując nie tylko swoje umiejętności, ale i Bartuka, pozwoliło zbroi przewidzieć większość ruchów. Jednak gdyby nie zaklęcia w pancerzu, Norrek poległby już dawno.

– Masz szczęście, że zaklęcia dobrze cię chronią - zauważył generał. - W przeciwnym razie już byłoby po wszystkim.

– Gdybym umarł tak szybko, oznaczałoby to, że ta zbroja wcale nie jest tak wyjątkowa, jak sądziłeś.

– Racja! - zaśmiał się Malevolyn. - Masz jednak mózg. Zobaczymy, jak będzie wyglądał na piasku?

Wyprowadził pchnięcie, potem kolejne, ominął zastawę Norreka. Zbroja Bartuka dwa razy ledwo się obroniła. Norrek zacisnął zęby. Władca demonów był dobrym szermierzem, ale w stylu fechtunku typowym dla Vizjerei. Po tylu latach w towarzystwie Fauztina, który umiał posługiwać

się nie tylko zakłębem, ale i mieczem, weteran znał wady i zalety tego stylu lepiej niż generał. Wyglądało na to, że Malevolyn uważa połączone zdolności swoje i Bartuka za najlepsze wyjście, jednak gdyby Norrek miał swobodę ruchów, zagroziłby przeciwnikowi co najmniej dwa razy.

Nagle wrzasnął, bo jego prawe ucho zapłonęło żywym ogniem. Generałowi Malevolynowi udało się w końcu zadać cios, choć tylko powierzchowny. Niestety, przy użyciu magicznego miecza oznaczało to bolesną ranę.

Ucho Norreka pulsowało bólem, lecz na szczęście, weteran wciąż słyszał. Wystarczy jednak drugi taki cios...

Gdyby tylko mógł włączyć się do walki. Gdyby tylko zbroja zrozumiała, że miał większe szanse pokonać generała. Znał zachodnie style walki i ich słabe punkty. Istniały sztuczki, o jakich Malevolyn nie miał nawet pojęcia. Podczas kariery najemnika Norrek podchwycił różne sprytne zagrania, żeby zrekompensować brak formalnego szkolenia. Nieraz uratowało mu to życie.

*Pozwól mi walczyć... albo chociaż walczyć wspólnie!*

Zbroja go zignorowała. Odbiła ostatnie natarcie Malevolyna, po czym wyprowadziła cios, który weteran pamiętał z kilku ćwiczeń z Fauztinem. Norrek wiedział jednak, że Vizjerei opracowali ripostę na ten atak, i Malevolyn jej użył.

Jak na razie starcie wygrywał generał. To nie potrwa długo. Zbroja Bartuka mogła uważać Norreka za prostego, podatnego na wpływy nosiciela, ale jeśli sprawy nadal będą tak się toczyć, wkrótce będzie musiała skapitulować przed siłą i umiejętnościami Malevolyna oraz hełmu.

Pochłonięty ponurymi rozmyślaniami Norrek omal nie przeoczył, że jego przeciwnik nagle wyprowadził cięcie na twarz. Weteran natychmiast uniósł miecz, w ostatniej chwili odbijając ostrze. O mały włos klinga generała rozplątałaby czaszkę weterana.

Wtedy Norrek zrozumiał, że *samodzielnie* odbił morderczy cios.

Nie miał czasu rozmyślać nad tą zmianą, gdyż Malevolyn nie zwolnił. Przyszły władca demonów raz po raz nacierał, zmuszając Norreka do cofania się w stronę obserwującego walkę Xazaxa.

A jednak Norrek czuł rosnącą nadzieję. Jeśli zginie, zginie wolny.

Augustus Malevolyn spróbował wyprowadzić cios, który Norrek poznał w trakcie swego pierwszego rajdu. Manewr wymagał sporych umiejętności i zręczności i należał do skutecznych. Ale Norrek nauczył się od jednego ze swoich dowódców, jak można obrócić ten atak przeciwko napastnikowi...

– Co? - Zdziwienie na twarzy Malevolyna uradowało Norreka Vizharana. Zmienił śmiertelne, zdawałoby się, uderzenie w kontratak, który zmusił generała do cofnięcia się pod groźbą utraty głowy.

Nie tracąc czasu, Norrek usiłował odepchnąć przeciwnika, aby utknął lub przewrócił się na miękkim piasku, lecz w ostatniej chwili Malevolynowi udało się rozstrzygnąć to starcie patem.

– Proszę, proszę - wydyszał generał. - Wygląda na to, że zbroja może uczyć się jak człowiek. Ciekawe. Nie sądziłem, że zna takie sztuczki.

Norrek powstrzymał się od wyznania prawdy. Powinien wykorzystać każdą, choćby najmniejszą przewagę. Jednak nie mógł powstrzymać paskudnego uśmiechu.

– Uśmiechasz się? Myślisz, że wystarczy opanować jedną czy dwie sztuczki? Zobaczymy, jak sobie poradzicie, gdy nieco zmienimy reguły...

Malevolyn nagle wyciągnął wolną rękę... i oczy Norreka poraziło oślepiające światło.

Machał bronią jak szalony i dwa razy udało mu się sparować cios generała, gdy nagle ogromna siła wyrwała mu ją z ręki. Norrek cofnął się, potknął i upadł na plecy.



Choć cierpiał od skutków zdradzieckiego zaklęcia, dostrzegł nad sobą niewyraźny zarys postaci triumfującego przeciwnika. W każdej dłoni Malevolyn trzymał czarny miecz.

– Już po walce. Była niezła, kuzynie. Wydawało mi się, że pod koniec radziłeś sobie lepiej, jakbyś przyłączył się do starcia. Sądziłeś, że ocali cię współdziałanie ze zbroją? Pomysł dobry, ale wpadłeś na niego zbyt późno.

– Nie trać czasu! - warknął Xazax gdzieś zza Norreka. - Tnij! Tnij!

Ignorując demona, Malevolyn uniósł oba miecze.

– Znakomicie wyważone - stwierdził z podziwem. - Mogę walczyć oboma naraz bez obawy, że się poszatkuje. Interesujące, że twój jeszcze istnieje. Sądziłem, że zniknie, skoroś go puścił, ale ponieważ go złapałem, stało się inaczej. Zaklęcia Bartuka są pełne niespodzianek, nieprawdaż?

Usiłując skupić wzrok, Norrek poczuł, że jego lewa dłoń drży. Znał to uczucie, doświadczył go już wcześniej. Zbroja coś knuła, ale wojownik nie wiedział co...

Ależ tak, *wiedział*. Wiedza przepełniła umysł Norreka, pozwalając mu zrozumieć, jaką rolę miała odegrać w tym planie nie tylko zaklęta zbroja, ale i on. Aby się powiodło, oboje musieli działać razem. Osobno nie mieli szans.

Norrek opanował uśmiech i odpowiedział przeciwnikowi:

– Owszem... są...

Lewa rękawica rozbłysła.

Miecz Norreka zamienił się nagle w atramentowy cień, który zakłębił się wokół ramienia i głowy Malevolyna.

Przeklinając, generał wypuścił swoją broń i wykonał gest do żarłocznego cienia. Z jego ust popłynęły starożytne słowa Vizjerei. Zielona poświata wystrzeliła z palców Malevolyna i poczęła pochłaniać cień.

Kiedy generał zajęty był walką z nowym zagrożeniem, Norrek rzucił się do ataku, tak jak zaplanowała zbroja. Cień zniknął pod wpływem zaklęcia generała, a Norrek pochwycił Malevolyna za rękę. Zwarli się w uścisku. Teraz żaden nie ośmielił się korzystać z magii Bartuka.

– Walka trwa dalej, generale! - sapnął Norrek, po raz pierwszy czując, że to on, a nie ktoś inny panuje nad sytuacją. Weteran i zbroja mieli w końcu wspólny cel: zatriumfować nad podłym wrogiem. Norreka przepęłniało podniecenie, podniecenie na myśl o nieżywym Malevolynie leżącym u jego stóp.

I przez myśl mu nawet nie przeszło, że ta nowa determinacja, ta pewność siebie może pochodzić z innego źródła. Ani nie przyszło mu do głowy, że gdy zginie nosiciel szkarłatnego hełmu, Norrek skaze się na los, jaki dawno temu wybrała dla niego zbroja Bartuka.



Xazax z przerażeniem obserwował ten nagły zwrot wydarzeń. Nieoczekiwana przewaga, jaką zyskał głupiec w zbroi, zaskoczyła nawet demona. Śmiertelnik, którego Xazax wybrał na swego sojusznika, był bliski przegranej. Xazax nie mógł na to pozwolić. Musiał upewnić się, że starcie wygra Malevolyn.

Wielka modliszka przygotowała się do zadania ciosu...

# DWADZIEŚCIA



Kara wkroczyła na wydnię i prosto w kolejny koszmar.

W oddali odziani w czarne zbroje wojownicy szturmowali bramy Lut Gholein, wrzeszcząc z morderczą, nieludzką wręcz radością. Obrońcy miotali pociski, ale strzały nie robiły atakującym zbyt wielkiej szkody, jakby byli niewrażliwi na broń. Sądząc po tym, co widziała, nekromantka była niemal pewna, że bramy wkrótce ustąpią, a dzika horda wedrze się do miasta.

Jednak zacięta walka o miasto bladła w porównaniu z tą, która toczyła się nieco dalej po prawej. Kara dostrzegła Norreka, a obok nie tylko demona, ale i atakującą wściekle postać odzianą w zbroję podobną do tych, jakie nosili ludzie pod Lut Gholein. Tylko szkarłatny hełm wyglądał obco.

Nekromantka natychmiast rozpoznała hełm Bartuka. Teraz wszystko zaczynało nabierać sensu. Zbroja Krwawego Pana chciała się połączyć, ale miała *dwóch* nosicieli, dlatego musieli walczyć, a zwyciężyć mógł tylko jeden. Na nieszczęście dla Norreka, przegra on niezależnie od wyniku starcia. Pokona przeciwnika, i stanie się marionetką zbroi. Przegra, i umrze u stóp nowego władcy demonów.

Dziewczyna obserwowała starcie, zastanawiając się, co powinna uczynić. Nic nie wpadło jej na myśl, więc nekromantka odwróciła się do swoich martwych towarzyszy.

– Zwarli się w starciu, a kilka jardów za nim stoi demon! Co byście...

Mówiła w próżnię. Zarówno Tryst, jak i Fauztin zniknęli, na piasku nie pozostał żaden ślad. Wyglądało to tak, jakby po prostu ulecieli jak dym.

Niestety, musiała sama podjąć decyzję, a czasu pozostawało coraz mniej. Norrekowi udało się wyrównać przewagę przeciwnika, ale Kara zauważyła, że modliszka z piekła rodem zaczęła zbliżać się ku walczącym. Kara podejrzewała, że istniał tylko jeden powód, dla którego demon to robił.

Wiedząc, że już nie ma wyjścia, dziewczyna rzuciła się do biegu. Jeśli znajdzie się wystarczająco blisko demona, będzie miała szansę.

Modliszka uniosła do góry jedną ze swoich kończyn, czekając na najlepszy moment, by uderzyć...

Kara zdała sobie sprawę, że nie zdąży, chyba że zaryzykuje. Trzymała sztylet, którego, jak uważał Sadun Tryst, mogła potrzebować. Jednak do tej pory strach przed jego ponowną utratą powstrzymywał Karę przed takim posunięciem. Broń była częścią jej powołania, jej *jestestwa*.

I być może jedynym sposobem, by ocalić Norreka.

Bez wahania zamierzyła się na piekielnego stwora...



*Teraz!* – pomyślał Xazax. *Teraz!*

Ale gdy chciał uderzyć, w jego wnętrzu buchnął ogień i zadziwiająco szybko objął całe ciało demona. Potworny owad zachwiał się, niemal przygniatając walczących. Xazax obrócił głowę, aby zobaczyć przyczynę potwornego cierpienia. W plecach błyszczał sztylet wykonany z materiału innego niż metal. Demon poznał skomplikowane runy wyryte na rękojeści i wiedział już, dlaczego tak mała broń zadała mu aż tyle bólu.

Ceremonialny sztylet nekromantów... ale jedyna przedstawicielka tego wstrętnego zawodu, którą Xazax spotkał, została zamordowana, zatem nie mogłaby...

Ale oto biegła w jego stronę, choć powinna już nie żyć. Demon pamiętał, gdzie trafił jego cios, wiedział, że żaden człowiek nie mógł tego przeżyć, nawet taki, który na co dzień obcuje ze śmiercią, jak ta tutaj.

– To niemożliwe! - wykrzyknął z narastającym przerażeniem.

Choć demony wywodziły się z chaosu, to posiadały głębokie poczucie właściwego porządku rzeczy. Ludzie są wrażliwi - wystarczy ich pociąć, przebić lub rozerwać, a umierają. Kiedy już są martwi, pozostają w takim stanie, dopóki ktoś nie zrobi z nich upiornego sługi. Ta kobieta złamała zasady...

– Byłaś martwa i martwa powinnaś pozostać!

– To równowaga dyktuje zasady życia i śmierci, nie ty, demonie. - Zaciśnęła prawą dłoń w pięść i wymierzyła w Xazaxa.

Niesamowita słabość rozlała się po ciele demona. Zadrżał, ale zaraz się opanował. Zaklęcie nekromantki nie powinno tak na niego podziałać, ale przez tkwiący w plecach sztylet Xazax stał się znacznie bardziej wrażliwy na magię.

Nie mógł pozwolić, by ta sytuacja trwała dłużej.

Wyężając wszystkie siły, modliszka górnym odnóżem zgarnęła nieco piasku i cisnęła w twarz dziewczynie. Gdy nekromantka próbowała odzyskać wzrok, środkowe odnóża Xazaxa wygięły się pod niemożliwym kątem i sięgnęły ku zdradzieckiemu sztyletowi.

Parzył, parzył straszliwie, ale stwór zmusił się do uchwycenia rękojeści i spróbował wyrwać ostrze. Zaryczał, magiczna broń przyprawiała go o prawdziwe męki.

Za ten plugawy czyn rozedrze nekromantkę na krwawe strzępy. Zwiąże, a potem powoli zedrze każdą warstwę skóry, każde włókno mięśni... a jej serce będzie bić cały czas.

Kiedy piekielny owad poczuł, że ostrze się porusza, nekromantka wypowiedziała ostatnie zaklęcie.

Przed oczyma Xazaxa pojawiła się postać tak wspaniała, że sama jej obecność paliła oczy modliszki żywym ogniem. Przybysz wyglądał jak człowiek, ale daleko bardziej doskonały. Jego włosy połyskiwały złociście, a piękno twarzy wywarło wrażenie nawet na demonie. Jednak nawet piękno świetlistej postaci w długich szatach nie odwróciło uwagi Xazaxa od błyszczącego miecza, którym władała z gracją i wprawą...

– *Anioł!*

Xazax był przekonany, że to halucynacja. Mówiło się, że nekromanci potrafią tworzyć przerażające iluzje w umysłach swoich ofiar, ale demon czuł pierwotny, paralizujący strach, który odbierał mu zmysły. W końcu Xazax uwierzył, że jeden ze wspaniałych wojowników Niebios przybył po niego.

Z nieludzkim wrzaskiem tchórzliwa modliszka uciekła jak najdalej od nekromantki. Sztylet całkiem wysunął się z rany, a umykający stwór pozostawiał na piasku cienki strumień czarnej juchy.

Kara Nocny Cień patrzyła, jak przeciwnik znika wśród pustkowi Aranoch. Wolałaby bardziej ostateczne rozstrzygnięcie, ale była zbyt wyczerpana, aby sprawić się lepiej. Zaklęcie na jakiś czas powstrzyma demona od wrednych sztuczek. Kara miała nadzieję, że na tyle długo, aby zdołała się uporać z tą plugawą zbroją.

Podniosła sztylet i odwróciła się do Norreka i jego przeciwnika wciąż zmagających się na piasku. Nekromantka zaniepokoiła się. Jeśli wygra obcy

w hełmie, jej zadanie będzie szybkie i proste. Sztylet rychło zapobiegnie pojawieniu się kolejnego Krwawego Pana.

A jeśli wygra Norrek?

Wtedy też Kara nie będzie miała innego wyjścia. Pozbawiona nosiciela zbroja stanie się niegroźna. Niezależnie, kto wygra walkę, nekromantka musi się upewnić, że zwycięzca nie przeżyje dość długo, by zaczerpnąć tchu po wysiłku.



Walka stała się tak zacięta, że ani generał, ani Norrek nie zauważyli starcia, jakie rozegrało się za ich plecami. Obleczone w rękawice dłonie rozbłyскиwały raz po raz, gdy mroczna magia budziła się do życia, po czym gasły. Choć Malevolyn nie nosił zbroi Bartuka, hełm dawał mu siłę i moc porównywalną z tą, którą władał teraz Norrek. Dlatego starcie pozostawało nierozstrzygnięte, choć obaj wiedzieli, że dla jednego z nich musi nadejść koniec.

– Moim przeznaczeniem jest zająć jego miejsce! - warczał Augustus Malevolyn. - Nie tylko jestem jego potomkiem! Jestem jego pokrewną duszą, jego odrodzoną wolą! Jestem Bartukiem, który powrócił do świata śmiertelnych, aby odzyskać właściwe miejsce!

– Nie masz większych praw niż ja - odparł Norrek, nie do końca świadomy, że wyraz jego twarzy jest taki sam, jak aroganckiego dowódcy. - Jego krew płynie także we mnie! Zbroja mnie wybrała! Może powinienes to przemyśleć!

– Nikt mi się nie sprzeciwi! - Generał zahaczył butem o nogę wojownika, wytrącając Norreka z równowagi.

Przewrócili się, Malevolyn przygniół przeciwnika. Piasek nieco złagodził impet, z jakim głowa Norreka uderzyła o ziemię, ale oszołomił weterana. Korzystając z tego, generał Malevolyn sięgnął do twarzy kuzyna.

– Zedrę ci twarz, łeb ci urwę - syknął Norrekowi do ucha. - Zobaczymy, którego z nas zbroja uzna za bardziej godnego...

Czarno-czerwona rękawica generała rozbłysła dziką magią, zaledwie cale dzieliły Malevolyna od spełnienia obietnicy. Augustus przyciskał jedną rękę Norreka, druga dłoń weterana utknęła zaklinowana między zbrojami. Norrek miał niewielkie szanse, by powstrzymać generała od spełnienia obietnicy.

Ale Norrek wyczuł ruch, jakby do walki włączył się ktoś trzeci. Malevolyn uniósł wzrok, a na twarzy Augustusa triumf natychmiast zmienił się w zaskoczenie.

– Ty... - zdołał wykrztusić.

To ponagliło Norreka do działania. Uwolnił rękę i walnął generała w podbródek. Ciosowi towarzyszył wybuch magicznej energii, Malevolyn poleciał do tyłu, jakby pociągnięty za przymocowany do głowy sznurek. Z łupnięciem upadł na piasek kilka jardów dalej, zbyt oszołomiony, aby się podnieść.

Norrek poderwał się i skoczył na leżącego przeciwnika. Coraz bardziej był pewien zwycięstwa. Rzucił się na generała, choć mogło to kosztować go życie. W dłoni Malevolyna pojawiło się jedno z czarnych ostrzy. Norrek w ostatniej chwili zdołał wywinąć się spod morderczej klingi. Generał odtoczył się, potem przykucnął. Trzymał miecz pomiędzy sobą a przeciwnikiem, a szyderczy uśmiech był widoczny nawet zza czerwonego hełmu.

– Teraz cię mam!

I skoczył na Norreka, wyprowadzając *pchnięcie*.



Smoliście czarne ostrze utknęło głęboko, głęboko w piersi... *Augustusa Malevolyna*.

Gdy generał przywołał magiczne ostrze, Norrek przypomniał sobie, że może uczynić to samo. Malevolynowi tak spieszo było skończyć z weteranem, że najwyraźniej o tym zapomniał. Zaatakował Norreka, ale ten potoczył się w przód i też przywołał piekielną klingę.

Ostrze Augustusa Malevolyna omal nie rozcięło przeciwnikowi głowy na pół.

Ostrze Norreka zmaterializowało się, już zagłębione w piersi krewniaka.

Generał spojrział zdumiony na ranę. Klinga przebiła go tak szybko, że ciało jeszcze nie czuło nadchodzącej śmierci. Augustus wypuścił swój miecz, a ten natychmiast rozpląnął się w nicłość.

W przeszłości Norrek Vizharan nie czerpał przyjemności ze śmierci przeciwników. Płacono mu za walkę, więc walczył, lecz zabijanie nigdy nie budziło w nim radości. Jednak teraz poczuł ciarki wzdłuż kręgosłupa, ożywienie, pragnienie dalszego rozlewu krwi...

Norrek podniósł się i podszedł do generała, który osunął się na kolana, spazmatycznie próbując zaczerpnąć powietrza.

– Nie będziesz już tego potrzebował, *kuzynie*.

Zdarł szkarłatny hełm z głowy Augustusa Malevolyna. Generał krzyknął, ale nie z fizycznego bólu. Norrek zrozumiał, co zabolalo tamtego bardziej niż śmiertelne pchnięcie. Rozumiał to, ponieważ tak samo czułby się, gdyby zdzierano mu zbroję. Moc zawarta w pancerzu Bartuka uwiodła ich obu, ale Malevolyn przegrał pojedynek i stracił do niej prawo.

Odłożywszy hełm, Norrek mocniej uchwycił miecz. Uwolnił ostrze bez wysiłku i obejrzał je dokładnie. Na klindze nie została nawet kropla krwi. Zadziwiające. Służyło mu dobrze, tak dobrze, jak pod *Viz-jun*... Nagle

chwyciła go dłoń obleczone w rękawicę. Generał Malevolyn z szaleństwem wypisanym na twarzy rozpaczliwie usiłował wczepić się w Norreka.

Vizharan cofnął się i uśmiechnął.

– Wojna się skończyła, generale. - Uniósł miecz. - Czas przejść w stan spoczynku.

Jeden cios i głowa Augustusa Malevolyna potoczyła się po piasku. Bezgłowe ciało osunęło się chwilę potem.

Gdy Norrek pochylił się, aby podnieść osławiony hełm, usłyszał kobiecy głos:

– Norreku? Wszystko w porządku?

Obejrzał się. Stała za nim Kara. Jej nieoczekiwane zmartwychwstanie radowało z wielu powodów. W tym krótkim czasie, kiedy byli razem, dowiodła swej wierności, poświęciła za niego swoje mniej znaczące istnienie. Gdyby była martwa, Norrek uczciłby jej pamięć, ale udało jej się cudem wykpić śmierci, uniknęła ciosu Xazaxa, więc mogła stać się użyteczna. Nekromantka wykazała się stosownymi umiejętnościami i miała więcej rozsądku niż niegodna zaufania Galeona. Do tego Kara była niebrzydka i miała wcale ponętą figurę. Dlatego Norrek uznał ją za godną roli małżonki. A jaka zdrowa na umyśle kobieta odrzuciłaby propozycję poślubienia Krwawego Pana?

– Czuję się dobrze, Karo Nocny Cieniu... bardzo dobrze. - Rozluźnił dłoń i pozwolił magicznemu mieczowi zniknąć. A potem Norrek uniósł hełm nad głowę. - Tak naprawdę to czuję się nawet *lepiej* niż dobrze!

– Poczekaj! - Kobieta podbiegła, oczy o kształcie migdałów lśniły troską. Ładne oczy, uznał nowy władca demonów. Przypominały mu oczy kobiety, którą znał kiedyś, w czasach swoich studiów w Kedzystanie.

– Hełm...

– Tak... wreszcie jest mój... teraz jestem całością.

Przysunęła się i położyła dłoń na napierśniku. W pięknych oczach zdawało się lśnić błaganie.

– Czy naprawdę tego pragniesz, Norreku? Naprawdę chcesz założyć hełm i oddać się duchowi Bartuka?

– Oddać się? Kobieto, czy wiesz, *kim* jestem? Jestem krwią z jego krwi! A krew nie woda, pamiętasz? W pewnym sensie jestem Bartukiem, tylko o tym nie wiedziałem! Komu lepiej pasuje ten hełm? Kto bardziej zasługuje na tytuł i dziedzictwo?

– Cień Bartuka we własnej osobie - odparła. - Nie będzie już Norreka Vizharana, ani w umyśle, ani w duszy... a jeśli zbroja postawi na swoim, to śmiem twierdzić, że nawet fizycznie zaczniesz przypominać swojego przodka. To Bartuk będzie nosił zbroję. Bartuk, który zajmie swoją pozycję. Bartuk, który zabił niewinnych, tak jak zabił twoich *przyjaciół*...

*Przyjaciół*... Potworne obrazy skręconych, zalanych krwią ciał Saduna Trysta i Fauztina znów pojawiły się w znękanym umyśle Norreka. Zostali brutalnie zamordowani i to on był temu winny, dlatego cierpiał nieustające katusze, paliło go poczucie winy. Przypomniawszy sobie, jak zbroja zabiła każdego z nich... a teraz Kara mówiła, że to dopiero początek korowodu śmierci.

Opuścił nieco hełm, zmagając się ze sobą.

– Nie, nie pozwolę, aby to się jeszcze raz zdarzyło... nie pozwolę...

Jego ramiona nagle się podniosły, ponownie unosząc hełm nad głowę.

– *Nie!* – ryknął Norrek do zbroi. - Kara ma rację! Nie wezmę udziału w tym krwawym pochodzie...

*Ależ cóż to za głupota...* – w jego głowie zabrzmiał głos podobny do jego własnego. *Moc jest twoja... teraz możesz zrobić z nią, co zechcesz... uporządkowany świat, w którym nie ma wojen ani biedy... oto prawdziwe dziedzictwo... tego pragnął Bartuk...*

To brzmiało tak pięknie. Norrek mógłby po prostu założyć hełm i zmienić świat. Nawet demony pomagałyby mu w tym gigantycznym przedsięwzięciu, powolne życzeniom nowego władcy. Stworzyłyby doskonale królestwo, którego nawet Niebiosy by mu *zazdrościły*.

Wszystko, co musiał uczynić, to założyć hełm, zaakceptować swoje przeznaczenie...

Kara się poruszyła...

Norrek oderwał jedną dłoń od hełmu i chwycił nadgarstek nekromantki w żelazny uścisk, który sprawił, że dziewczyna syknęła z bólu. Z jej palców wysunął się błyszczący sztylet, najpewniej wykonany z kości słoniowej.

Zamierzała zrobić z niego użytek.

– *Głupia kobieto...* – warknął Norrek, nie zauważając, że jego głos nie całkiem brzmi tak, jak powinien. Pchnął ją na piasek. – *Zostań tu! Policzę się z tobą później!*

Mimo ostrzeżenia nekromantka spróbowała się podnieść, lecz z piasku uformowały się mocarne ramiona i przycisnęły dziewczynę do ziemi. Jeszcze trochę piasku, żeby nie mogła rzucać zaklęć.

Z oczami błyszczącymi oczekiwaniem Norrek uniósł hełm... i założył.

Wojownik zobaczył świat, jakiego jeszcze nie widział. Poznał moc, jaką władał, legiony, którymi mógł dowodzić. Przeznaczenie kiedyś odebrane mu przez innych Vizjerei.

Krwawy Pan ożył.

Ale wódz potrzebuje żołnierzy. Pozostawiając szamoczącą się Karę, Norrek wspiął się na szczyt wydmy i spojrzął na Lut Gholein. Z ogromnym zaciekawieniem przyglądał się, jak demoniczni wojownicy szturmują mury i bramy. Zaledwie chwila dzieliła miasto od krwawej zagłady. Pozwoli swej hordzie się zabawić, pozwoli jej najechać Lut Gholein, zabić każdego

mężczyznę, kobietę i dziecko, a potem ujawni, że znów kroczy po tym świecie.

Wyobraził sobie spływającą krew, krew tych, którzy się go bali i nienawidzili. Krew tych, którzy zginą z jego rozkazu...

Wydma buchnęła piaskiem, wynurzyły się zeń dwie ciemne postacie. Dwie pary silnych ramion wykręciły mu ręce.

– Witaj... stary druhu... - zabrzmiał cichy, przerażająco znajomy głos. - Całe życie upłynęło... od czasu... gdyśmy się ostatnio widzieli.

Władza, jaką zbroja miała nad Norrekiem, załamała się pod ciężarem jego zrozumienia zmieszanego z dławiącym przerażeniem.

– S...Sadun?

Wojownik obrócił głowę w stronę, z której dobiegał głos, i spojrzał w gnijące oblicze swojego martwego towarzysza.

– Miło, że... nie zapomniałeś o nas... - Trup uśmiechnął się, ukazując czarne dziąsła i poźółkłe zęby.

Ponieważ nie mógł uciec, Norrek odwrócił tylko wzrok... I napotkał spojrzenie Fauztina. Osłona zsunęła się z szyi martwego Vizjerei, ukazując dziurę ziejącą w gardle.

– Nie... nie... nie...

Ściągnęli go z wydmy i zawlekli tam, gdzie Kara nadal próbowała się uwolnić.

– Próbowaliśmy... zobaczyć się z tobą... na statku, Norrek... - ciągnął Tryst. - Ale ty... najwyraźniej... nie chciałeś... zobaczyć się... z nami...

Przyjaciele patrzyli na Norreka, oczy mieli nieruchome, ani razu nie mrugnęli. Im dłużej go trzymali, tym bardziej dławił go odór śmierci. Ich obecność tak przytłoczyła Norreka, że zbroja nie mogła dłużej utrzymać nad nim kontroli.

– Przepraszam! Tak mi przykro! Sadun... Fauztin... wybaczcie mi!

– Jemu... jest przykro... Fauztin - stwierdził Sadun. - Wiedziałaś o tym?  
Norrek spojrzał na chudego Vizjerei, który poważnie skinął głową.

– Przyjmujemy twoje... przeprosiny... ale obawiam się... że musimy zrobić... to, co zaraz... zrobimy... przyjacielu...

Z zadziwiającą szybkością i siłą Sadun Tryst zdarł Norrekowi hełm z głowy.

Ból był potworny, żołnierz sądził, że stracił również i głowę. Teraz dokładnie rozumiał, co czuł Malevolyn. Norrek wrzeszczał i wrywał się zmarłym kamratom z taką siłą, że z trudem go powstrzymali.

– Trzymaj... go! Trzymaj...

Obie rękawice rozbłysły wściekłą czerwienią. Nawet w paroksyzmach straszego bólu Norrek zauważył to i bał się... bał się o swoich przyjaciół, którzy już raz zginęli, bo nie zdołał powstrzymać zbroi. Doskonale rozumiał, dlaczego ich umęczone duchy go ścigały. Taka niesprawiedliwość musiała być ukarana. Niestety, zbroja nie chciała na to pozwolić.

Ziemia wokół Norreka wybuchła, ciskając nieumarłymi, aż przetoczyli się po wydmie, z której niedawno zeszli. Norrek patrzył w przerażeniu na ciała, przekonany, że zginęli po raz drugi.

– Nie! Nie znowu! Nie pozwolę ci zrobić tego po raz wtóry! - Chwyć jedną rękę drugą i choć obie stawiały mu opór, tym razem jego determinacja okazała się zbyt wielka nawet dla dziedzictwa Bartuka. Norrek szarpnął, wykorzystując ból, aby zwiększyć swoją siłę...

Prawa rękawica zeszła mu z dłoni.

Bez wahania odrzucił ją tak daleko jak mógł. Zbroja natychmiast zwróciła się w tamtą stronę, chcąc odzyskać utracony fragment, ale Norrek nie zamierzał dłużej się poddawać. Zmusił ją do skrętu w inną stronę, ku widocznemu zza wydmy Lut Gholein.

Nie potrafił stwierdzić, jak długo zdoła panować nad mocą, zanim ona znów przejmie nad nim kontrolę. Wiedział jedynie, że musi zrobić jak najwięcej dobrego. Póki gniew i poczucie winy dodawały mu sił, miał przewagę - zaś Lut Gholein pozostało niewiele czasu.

Wyciągnął rękę w stronę odległego miasta. Demony przedarły się już przez jedną z bram. Norrek nie mógł dłużej się wahać.

Nikt nie uczył go słów, które wypowiadał. To były słowa Bartuka, magia Bartuka. Ale wspomnienia Bartuka, wspomnienia *przodka* Norreka, stały się już w znacznej mierze jego własnymi. Wiedział, co te słowa mogą zrobić, co powinny zrobić, i dlatego wymawiał je, choć zarazem starał się wyrwać spod władzy zbroi i wszystko powstrzymać.

Gdyby widział, jak Xazax i Malevolyn rzucają piekielne zaklęcie w namiocie generała, mógłby powiedzieć, że to, co mówi, brzmi tak samo, tylko jak wypowiedziane od tyłu. Teraz jednak wiedział, że jeśli temu nie zapobiegnie, to miasto wkrótce spłynie krwią swoich mieszkańców.

Potomek Krwawego Pana wykrzyczał wreszcie ostatnie słowa:

– *Mortias Diablum! Mortias Diablum!*



W bramach Lut Gholein walczyli obrońcy, wiedząc już, że ścierają się z napastnikami, którzy nie mają dusz i nie są tak naprawdę ludźmi, ale czymś znacznie gorszym. Mimo to sułtańscy gwardziści gotowali się na śmierć, aby zapewnić mieszkańcom czas na starcie się ze wzburzonym morzem.

Jednak kapitanowie statków nie mieli zbyt wielkiej nadziei, gdyż jeden z okrętów poszedł już na dno, a drugi rozbił się o ścianę doków. Fale z rykiem wdzierały się w głąb lądu, niebezpiecznie było nawet stać w pobliżu

wody. Trzech mężczyzn zostało zmytych, gdy próbowali odcumować łodzie dla uchodźców.

Ale gdy zgasła już wszelka nadzieja, stało się coś zdumiewającego i cudownego zarazem... Wkraczający do miasta, odziani w czerń wojownicy o dzikich oczach zatrzymali się, odwrócili głowy z przerażeniem... i wypuścili broń z chóralnym, nieludzkim wyciem.

A potem z pleców każdego wystrzeliły odrażające, widmowe stwory o groteskowych, nieludzkich twarzach i powykręcanych kończynach zbrojnych w długie szpony. Ci, którzy to widzieli, mówili potem, że na tych demonicznych obliczach malowały się zarówno gniew, jak i rozpacz, a później zjawy, wrzeszcząc rozdzierająco, zostały ciśnięte w różne strony pustyni Aranoch.

Armia ciemności stanęła na baczność, żołnierze wbili puste oczy przed siebie. Potem, jakby wraz ze zjawami utracili wszystko to, co mieli w środku, zaczęli się zapadać w sobie. Jeden po drugim, szereg za szeregiem legł - kości, wyblakła skóra i fragmenty pancerzy rozsypywały się w stosy, które sprawiły, że niejeden z obrońców Lut Gholein pozbył się zawartości żołądka.

Dowódca sułtańskich, któremu generał Augustus Malevolyn rozkazał znaleźć Norreka Vizharana, był pierwszym, który powiedział głośno to, co wszyscy myśleli. Podszedłszy do najbliższych obrzydliwych szczątków, oficer ostrożnie je potrącił.

– Są martwi... - wykrztusił. Nie mógł uwierzyć, że miasto jednak ocalało, a wraz z nim mieszkańcy. - Nie żyją... ale jak to się stało?



– Norreku.



Kara wolną od piasku dłonią ścisnęła lśniący sztylet z kości słoniowej. U boków nekromantki stanęli martwi przyjaciele Norreka, na ich twarzach wypisana była tak właściwa nieumarłym determinacja.

– Karo. - Spojrzał na swoich byłych towarzyszy. - Fauzynie. Sadunie.

– Norreku - powtórzyła nekromantka - proszę, wysłuchaj mnie.

– Nie! - Najemnik natychmiast pożałował swojego ostrego tonu. Ona tylko zamierzała zrobić to, co nawet on uważał za słuszne. - Nie... to ty posłuchaj mnie. Ja... ja do pewnego stopnia panuję nad zbroją, ale już czuję, że mi się wymyka. Chyba jestem zbyt zmęczony, by dłużej z nią walczyć...

– Jak byłeś w stanie z nią w ogóle walczyć?

– W końcu... jest potomkiem... Bartuka... - przypomniał Sadun. - Zbroja... potrzebowała... kogoś takiego... aby wypełnić swoje... przeznaczenie... ale nie rozumiała... że to działa... w obie strony... Jak... inaczej to... wytłumaczyć?

Kara spuściła wzrok. Norrek widział w jej oczach ból. Była nekromantką, jednak zabicie kogoś, kto nie chciał czynić zła, nie sprawiało jej przyjemności czy satysfakcji. Jednak dopóki Norrek żył, ludzkość była zagrożona.

– Zrób to szybko. Jednym szybkim cięciem po gardle. To jedyny sposób!

– Norreku...

– *Pospiesz się...* nim zmienię zdanie! - Wiedzieli, że nie chodzi to, że wojownik nagle się rozmyśli. Wciąż istniało ryzyko, że zbroja zmieni go w idealnego nosiciela i zmusi do spełnienia jej niecznych zamiarów.

– Norreku...

– Zrób to!

– To nie tak... miało być... - wychrypiął Sadun z goryczą. -Fauzynie! Obiecał... nam...

Vizjerei, rzecz jasna, nie powiedział nic, ale podszedł do Norreka. Sadun postąpił podobnie z wielką ostrożnością. Norrek przełknął ślinę, miał nadzieję, że to szaleństwo wkrótce się skończy.

Dłoń, która wciąż była obleczona w rękawicę, uniosła się nagle.

Fauztin ją pochwycił.

– Lepiej rób... jak mówi... nekromantko... - zamruczał ponuro Tryst. - Wygląda na to... że nie mamy... wiele...

Kara podeszła. Nie kryła, że zbiera siły, by zrobić, co trzeba.

– Przykro mi, Norreku. Nie tak chciałam to zakończyć, nie tak powinno być...

– I tak nie będzie - zabrzmiał beznamiętny, obcy głos.

Niedaleko stał Horazon, ale był to Horazon nieco odmieniony. Norrek, który wcześniej widział starego maga, myślał o nim jako o tchórzliwym pustelniku, który najpewniej postradał rozum. Jednak ta postać, choć nadal odziana w łachmany i o skołtunionych włosach, robiła teraz imponujące wrażenie. Wszystko inne wydawało się już nieważne. Norrek podejrzewał, że podczas walki to pojawienie się Horazona skłoniło generała Malevolyna do spojrzenia w górę. Wygląd dawnego maga z pewnością wstrząsnął na wpół opętanym generałem.

W wojowniku wezbrała ogromna, niespodziewana fala goryczy i nienawiści wobec swojego przekłętogo brata...

*Nie!* Horazon nie był jego bratem! Zbroja jeszcze raz próbowała odzyskać kontrolę, obudzić ducha *Bartuka*. Norrekowi udało się stłumić te emocje, ale wiedział, że następnym razem może się nie udać.

Starzec podszedł, otaczał go blask. Norrek zmrużył oczy, próbując lepiej się przyjrzeć.

Ciało Horazona było otoczone cienką warstwą błyszczących, niemal przezroczystych ziarenek piasku.

– Krew nie woda - mruknął Vizjerei. Oczy miał jasne, ani razu nie mrugnął. Nawet dwóch trzymających Norreka nieumarłych wydawało się zaskoczonych dumną postawą przybyłego. - I krew położy kres tej parodii życia.

Norrek czuł, jak wola zbroi walczy w jego umyśle o ciało. Powstrzymywał ją tylko wspólny wysiłek towarzyszy Norreka.

– Horazonie? - szepnęła Kara. Gdy siwy czarodziej spojrział na nią, cofnęła się o krok. - Nie... jesteś *nim*, ale i *nie jesteś*.

Posłał jej, im wszystkim, łaskawy uśmiech.

– Ta żywa skorupa to kolejny zbyt ciekawski czarodziej, który przypadkowo odnalazł Tajemne Sanktuarium, ale przy tym postradał zmysły. Opiekuję się nim od tamtej pory, ponieważ czuję się niejako odpowiedzialny... - Pomijając dalsze wyjaśnienia, co takiego w podziemnym sanktuarium mogło zniszczyć umysł, Horazon spojrział na swe pożyczone ręce. - Ciało jest tak wrażliwe. Ziemia i kamień są bardziej wytrzymałe...

– Ty! - wykrztusiła Kara, otwierając oczy tak szeroko jak usta. - Wreszcie cię poznałam! Rozmawiał z tobą, zdawał się taki posłuszny. Wielki Horazon tak *chętny*, by wykonywać polecenia. Aż do tej pory to nie miało sensu! To twoją obecność wyczuwałam... obecność samego *sanktuarium!*

Pokiwał głową, nawet nie mrugnął.

– Tak... przez lata wydawało się to naturalną drogą, naturalną kolejną rzeczą...

Ponieważ Norrek wciąż zmagał się z podstępными próbami zaczarowanej zbroi Bartuka, minęło trochę czasu, zanim do niego dotarło. Kiedy wreszcie zrozumiał, prawda tak go zaskoczyła, że prawie przestał się bronić przed wpływem pancerza.

Horazon i Tajemne Sanktuarium byli jednością.

– Niemal straciłem swój umysł przez to, czego doświadczyłem. Przybyłem tu, aby uciec od wspomnień, od tych okropności, dlatego zbudowałem sanktuarium i żyłem głęboko pod piaskami, z dala od zgiełku świata. - Na twarzy fałszywego Horazona znowu pojawił się uśmiech. - Gdy przebudowywałem własną domenę na swój obraz i podobieństwo, stawała się mną bardziej niż ta rozsypująca się skorupa, którą nosiłem. Wreszcie któregoś dnia opuściłem ją i przybrałem nową, mocniejszą, bardziej wytrzymałą postać... I od tej pory...

Horazon może mówiłby dalej, ale dla Norreka świat stał się nagle krwistoczerwony. Weteran czuł narastającą szaleńczo wściekłość. Nie przegra po raz kolejny! Horazon umknął mu pod Viz-jun, ale choćby miał spalić całą pustynię, *władca demonów* wyrze zemstę!

Marionetka Horazona wyciągnęła rękę, jakby prosząco, do wojownika w zbroi.

Rękawica, którą Norrek zdjął i odrzucił, zmaterializowała się w dłoni czarodzieja.

– Krew do krwi... Wzywam cię, bracie. Nasza wojna się skończyła. Nasz czas przeminął. *My* przeminęliśmy. Twoja moc znosi moją, a moja twoją. Przyłącz się do mnie w świecie, do którego obaj należymy... z dala od ludzkich oczu...

Druga rękawica oderwała się od Norreka i wsunęła na dłoń błyszczącej postaci. Potem, jedna po drugiej, odpadały fragmenty zbroi z nóg, torsu i ramion, i pojawiały się na starcu. Zniszczoną szatę pustelnika zastąpił strój bardziej odpowiedni pod pancerz. Nawet buty porzuciły Norreka, aby dołączyć do zbroi. Gdy ten zadziwiający proces trwał, fałszywy Horazon uniósł ramiona. Wargi miał zaciśnięte w ponurym grymasie.

Z każdym oderwanym elementem pancerza umysł Norreka wracał do stanu, w jakim się znajdował, nim zawładnęła nim zbroja. Myśli i

wspomnienia należały już tylko do weterana, nie do morderczego władcy demonów. Norrek nigdy nie zapomni tych strasznych dni, kiedy wyszedł z grobowca, nigdy nie zapomni okropności i śmierci, w których odegrał, choć niechętnie, wielką rolę.

Gdy opadła cała zbroja, siwowłosa postać jeszcze raz wyciągnęła urękawiczoną dłoń i przywołała hełm. Ułożywszy go w za-głębieniu ramienia, marionetka Horazona spojrzała na Norreka i pozostałych.

– Pora, aby świat zapomniał o Horazonie i Bartuku. Najlepiej, żebyście wy również tak uczynili.

– Czekaj! - Kara odważyła się podejść. - Jedno pytanie. Powiedz mi, proszę, czy go wysłałeś - wskazała na czarodzieja, który był teraz Horazonem - aby odnalazł mnie w Lut Gholein?

– Tak... wyczuwałem, że dzieje się coś złego, i wiedziałem, że nekromanta, nekromanta, którego nie powinno być w mieście, musi mieć z tym jakiś związek. Chciałem, abyś znalazła się bliżej mnie, w ten sposób mogłem się dowiedzieć, po co tu przybyłaś. Gdy jadłaś czy spałaś, zyskiwałem od ciebie wiedzę, która była mi potrzebna. - Cofnął się o krok. - Nasza rozmowa się kończy. Zostawiam was. Jak wiecie, Tajemne Sanktuarium istnieje w wielu i miejscach i ma wiele drzwi, ale radzę, *nigdy* już ich nie szukajcie.

Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, co ma na myśli. Horazon nie chciał stać się po raz kolejny częścią świata żywych. Ci, którzy zakłócają jego spokój, drogo za to zapłacą.

Horazon zaczął tracić kształt i materialność, rozsypywał się, nawet jego ciało się rozpadało, jakby było zrobione z ziaren piasku. Z każdą chwilą odziany w zbroję mag przestawał przypominać człowieka, a stawał się częścią krajobrazu.

– Norreku Vizharanie - zawołał Horazon tym dziwnym, głębokim tonem  
- czas, abyś postarał się o własne dziedzictwo...

Odziany tak samo jak wtedy, gdy wszedł do grobowca Bartuka - potężny mag zwrócił nawet buty - Norrek wyrwał się nie-umarłym i rzucił do przodu.

– Zaczekaj! Co chcesz przez to powiedzieć?

Ale nosiciel Horazona, człowiek utworzony z piasku, potrząsnął jedynie głową. Tylko oczy wyglądały jeszcze jak u istoty ludzkiej. Piaszczysta postać rozsypała się wśród okolicznych wydm. A gdy wojownik tam dotarł, było już za późno... w miejscu, gdzie stał Horazon, pozostała tylko mała sterta piasku.

Zaraz i ona przestała istnieć.

– Już po wszystkim - powiedziała cicho Kara.

– Tak - zgodził się Sadun Tryst.

Ton jego głosu sprawił, że Norrek spojrział na oba upiory. Oczy nieumarłych lśniły, jakby czekali, że zdarzy się coś jeszcze.

Nekromantka odgadła pierwsza.

– Wypełniliście swoją misję, prawda? Wasz czas na tym świecie, podobnie jak czas Horazona, dobiegł już końca.

Fauztin skinął głową. Sadun uśmiechnął się smutno, a może to martwe ciało i mięśnie stworzyły takie wrażenie.

– Nadszedł... gdy poczuł... że zbroja się porusza... ale przybył... zbyt późno... więc wysłał nas... w pogoń... obiecując... że kiedy się zakończy... my też odejdziemy.

– On? – spytał Norrek, stanąwszy obok Kary.

– Ale to mój sztylet i moje zaklęcie sprowadziły was z powrotem!

– To była... jego sztuczka... aby cię... zmylić... - Sadun się rozejrzał. - Świętoszkowaty... drań... nawet się nie pokaże... kiedy jest już... po

wszystkim.

Ledwo to powiedział, na całą czwórkę spłynęło jasne, błękitne światło, jakby na niewielkim skrawku pustyni nastąpiło południe bezchmurnego dnia.

Gdyby tylko Sadun Tryst mógł to zrobić, splunąłby pewnie z niesmakiem. Zamiast tego potrząsnął głową, a raczej pozwolił jej zakołysać się w tył i przód, po czym dodał:

– Powinienem był... wiedzieć... przeklęty, spóźniony... anioł!

*Anioł?* Norrek spojrział w światło, ale nie dostrzegł nic, a już na pewno nie anioła. Jednak jak inaczej miał wytłumaczyć to, co się wokół działo?

Zmartwychwstaniec spojrział w blask.

– Przynajmniej... pokaż się... - Gdy nic się nie stało, kompan spojrział na Norreka i dodał: - To typowe. Jak inni... jego gatunku... kryją się... i udają, że są... ponad tym wszystkim... choć tak naprawdę... wszędzie... wtykają nos.

– Znam to światło - mruknęła Kara. - Widziałam je w grobowcu. To ono odciągnęło mnie od waszych ciał.

– Archanioł... bardzo lubi... swoje sztuczki. - Tryst spojrział na Fauztina, który znów pokiwał głową.

– A teraz czas... na ostatnią...

– Niech cię, Sadun, nie! - Norrek krzyknął w niebo i do niewidocznego archanioła. - To nieuczciwe! Oni nie mieli wyboru...

– Proszę... nadszedł... nasz czas... a my... tego chcemy... Norreku...

– Chyba nie mówisz poważnie!

Sadun zaśmiał się ochryple.

– Przysięgam... na swoje życie... przyjacielu...

Błękitna poświata otuliła nieumarłych, Norrek musiał przysłonić oczy. Coraz trudniej było dostrzec Fauztina i Saduna.

– Czas, żebyś wreszcie... kupił tę farmę... o której marzyłeś... Norreku...

Światło rozbłysło, stało się tak mocne, że oślepiło weterana i nekromantkę. Na szczęście trwało to krótko i kiedy wreszcie odzyskali wzrok, niebiańska iluminacja znikła, a wraz z nią dwaj nieumarli.

Norrek wpatrywał się w to miejsce, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

Poczuł dotyk na dłoni. Kara Nocny Cień spojrzała na niego ze współczuciem.

– Rozpoczęli kolejny etap wiecznej wędrówki i podjęli kolejny wysiłek utrzymywania świata w równowadze.

– Być może... - Gdziekolwiek się nie udali, Norrek wiedział, że nie mógł im towarzyszyć.

Mógł tylko zachować ich w pamięci i zrobić coś ze swoim życiem, aby uczcić ich przyjaźń.

Burzowe chmury wreszcie zaczynały się rozwiewać, odsłaniając pierwsze skrawki błękitnego nieba.

– Co zamierzasz zrobić? - spytała nekromantka.

– Nie wiem. - Norrek pojrzał na Lut Gholein, jedyny symbol cywilizacji w promieniu wielu mil. - Sądzę, że najpierw pójdę w tamtą stronę. Zobaczę, czy potrzeba pomocy przy sprzątnięciu. A potem... nie wiem. A ty?

Ona również popatrzyła w stronę odległego miasta. A Norrek mógł podziwiać jej profil.

– To brzmi ciekawie. Poza tym chciałabym zobaczyć, czy jest tam kapitan Jeronnan i „Królewska Tarcza”. Jestem im to winna. Traktował mnie dobrze, jakbym była jego rodzoną córką... a teraz sądzi, że utonąłam.

Norrek nie zamierzał się z nią rozstać, więc zaproponował:

– Pójdę zatem z tobą, jeśli pozwolisz.

To sprawiło, że Kara się uśmiechnęła. A Norrekowi spodobał się ten uśmiech.

– Oczywiście.



Przypomniawszy sobie maniere szlachciców, którym służył, Norrek podał jej ramię. Przyjęła je po krótkim wahaniu. Potem zmęczona para pomaszerowała przez wydmy do cywilizacji. Żadne z nich nie obejrzało się na miejsce, gdzie ciało generała Augustusa Malevolyna leżało na wpół zasypane przez piasek i gdzie Horazon zapadł się w ziemię wraz ze zbroją. Wojownik nie chciał przypomnienia, co się tu zdarzyło... i co *mogło* się wydarzyć, gdyby sprawy przybrały niewłaściwy obrót.

Krwawe dziedzictwo Bartuka, spuścizna Krwawego Pana, zostało znów pogrzebane głęboko... I oby tym razem na zawsze.

# EPILOG



Nad pustynią Aranoch zapadła ponura noc. Zwierzęta aktywne w ciągu dnia umknęły do swoich bezpiecznych kryjówek, a te, które polowały w nocy, wyruszały na poszukiwanie nieostrożnej ofiary.

Spod piasku powoli wyłoniła się postać, na której widok piaseczniki, skarabeusze i sępie demony uciekłyby w panice. Żuwaczki kilka razy otwierały się i zamykały, zaś lśniące w ciemności, wypukłe żółte oczy ostrożnie przesunęły się po bezlitosnym krajobrazie... ze strachem.

Xazax powstał chwiejnie, pod nim zebrała się kałuża słonawego, czarnego płynu. Nie zdołał przy użyciu mocy zamknąć rany, którą zadał mu sztylet nekromantki. Demon wiedział, że nie może zwrócić się o pomoc do swego pana Beliala. Do tej pory Belial zdążył już dowiedzieć się o jego porażce i co gorsza, o zdziesiątkowaniu piekielnej hordy wezwanej, by pomóc generałowi Malevolynowi.

Modliszka wyczuła, jak rzucono straszliwe zaklęcie, choć sama akurat salwowała się ucieczką. Xazax mógł się tylko domyślać, kto jest za to odpowiedzialny. Dla wielu pomniejszych stworów z piekła rodem zaklęcie to oznaczało zagładę. Przyzwanie tak dużej liczby demonów w tak krótkim czasie wymagało, by każdy piekielny wojownik został *związany* ze śmiertelnym ciałem, które zostało mu dostarczone. Z upływem czasu, choćby miesiąca, zaadaptowaliby się do życia w tym świecie, byliby zdolni

do odrzucenia skorup. Jednak tamto zakłęcie oderwało ich od ziemskich powłok stanowczo zbyt wcześnie. Moc wyzwoloną gwałtownym oddzieleniem przeżyli tylko najsilniejsi. Mówiąc po ludzku, przypominało to wyjęcie dziecka z łona matki na długo przed terminem. Przeżyją tylko najsilniejsi...

A tych niewielu, którzy przetrwają, zostanie skazanych na błąkanie się po Aranoch, albowiem nie będą wiedzieli, jak samodzielnie wrócić do Piekła. W przeciwieństwie do Xazaxa większość nie była zdolna snuć długofalowych planów. Belial wierzył, że poprowadzi ich jego porucznik.

Dla modliszki była to jedyna szansa na odkupienie win. Mroczny Władca wybaczy mu, jeśli Xazax zbierze ocalałych i odeśle ich z powrotem do Piekła. Aby tego dokonać, demon musiał znaleźć kolejnego ludzkiego pionka znajdującego się na magii, ale takich było pod dostatkiem. Jednak wcześniej musiał coś upolować, aby zapewnić sobie energię niezbędną do wyleczenia rany. Modliszka gustowała najchętniej w miłych, dojrzałych kupcach obozujących na pustyni, ale w tej chwili zjadłaby cokolwiek, co udałoby się złapać.

Demon nerwowo poruszył się na piasku. Czar przeklętej nekromantki wciąż się utrzymywał, choć jego działanie nieco osłabło. Wizje aniołów i innych przerażających postaci stawały mu przed oczyma, ale za każdym razem udawało się zwalczyć chęć ucieczki.

Gdy odzyska siły i wyliże się z ran, Xazax odnajdzie Norreka Vizharana i tę kobietę. Przebije oboje, tak by zachowali życie, i obierze z ciała najpierw jedno, a potem drugie. A później Xazax zacznie ich powoli pożerać, rozkoszując się każdym krwawym kąskiem...

*Xazax...*

Zamarł, gdy poczuł kolejną falę strachu. *Przeklęty ludzki czar! Czy Xazax nigdy nie wyrwie się spod tego wpływu? Ile jeszcze będzie musiał*

znosić iluzji, ile szepczących głosów, nim to się skończy?

*Poczułem twą woń z daleka... od razu cię poznałem...*

Wielka modliszka rozejrzała się, ale nikogo nie dostrzegła. To tylko nadpobudliwa wyobraźnia. Xazax jakoś to zniesie...

Ponad Xazaxem przesunął się cień ciemniejszy niż noc, wprawiając rannego potwora w osłupienie.

*Przebiegły... kłamliwy... zdradziecki mały owad...*

Xazax zamarł. Żadna istota stworzona przez zakłęcie kobiety nie wyrażała się z takim przekonaniem.

– Kto śmie? - zazgrzytał, obracając się w stronę, z której zdawał się pochodzić głos rozbrzmiewający w jego głowie. - Kto...

Przed modliszką z piekła rodem pojawił się najgorszy z koszmarów, jaki mogła wyśnić. Żuwaczki demona wyprostowały się i jedno, prawie płacząco wypowiedziane słowo usiłowało wyrwać się ze ściśniętego gardła:

– *Diab...*



Nocną ciszę na pustyni przerwał nieludzki krzyk. Sprawił, że wszystkie stworzenia z Aranoch przerwały swoje zajęcia i słuchały w zupełnym przerażeniu. Nawet gdy krzyk gwałtownie się urwał, one długo jeszcze nie ruszały się w obawie, że to, co polowało na krzyczącego, przyjdzie też i po nie.

Wśród demonów Beliala, które przeżyły klęskę pod Lut Gholein, zapanował jeszcze większy strach. Wyczuły, co się stało, wyczuły, co się za tym kryje, i wiedziały, że dla nich i ludzi z tego świata koszmar dopiero się rozpoczynał.



**MEL ODOM**  
**CZARNA DROGA**

# DIABLO



# JEDEN



Darrick Lang zagarnął wodę wiosłem i obrzucił uważnym spojrzeniem spowite mrokiem klify nad rzeką Dyre. Miał nadzieję, że udało mu się utrzymać poza zasięgiem wzroku piratów, na których polowali. Oczywiście to, że zostali zauważeni, okaże się dopiero, gdy piraci rozpoczną atak - nie słynęli z wielkoduszności względem żołnierzy marynarki Zachodniej Marchii. A już szczególnie względem tych, którzy polowali na nich stosownie do stale obowiązujących rozkazów króla Marchii. Myśl, że Lang i reszta obsady łodzi mogą wpaść w ręce piratów, nie była zbyt przyjemna.

Barkas płynął górę rzeki, ale dziób przecinał wodę tak czysto, że fale nie chlapały o kadłub. Posterunki wystawione na klifach podniosłyby alarm, gdyby tylko zobaczyły lub usłyszały łódź, a wtedy ludzie z barkasa znaleźliby się w prawdziwych kłopotach. Darrick miał pewność, że gdyby tak się stało, żaden z nich nie powróciłby na pokład „Samotnej Gwiazdy”, czekającej w Zatoce Zachodniej Marchii. Kapitan Tollifer, dowódca okrętu, był jednym z najbardziej surowych w marynarce królewskiej i nie zawahałby się przed wypłynięciem, nawet gdyby Darrick i jego ludzie nie wrócili przed świtem.

Darrick pochylił się i wyjąwszy wiosło z wody, wyszeptał:

– Spokojnie, chłopcy. Tylko spokojnie, a na pewno się nam uda. Wejdziemy i wyjdziemy, zanim ci przekłęci piraci zauważą, że tam byliśmy.

– Jeśli będziemy mieli szczęście - odszepnął Mat Hu-Ring.

– Zaufam szczęściu - odpowiedział Darrick. - Nigdy nie narzekałem na szczęście, a wygląda na to, że i ty masz go zawsze pod dostatkiem.

– Ty nigdy nie zabiegałeś o szczęście - stwierdził Mat.

– Nigdy - zgodził się Darrick, który czuł się bardzo pewny siebie mimo grożącego im niebezpieczeństwa. - Ale za to nie zapominam o przyjaciółach, którzy je mają.

– To dlatego zabrałeś mnie ze sobą na swój mały wypad?

– Właśnie - przyznał Darrick. - I jeśli dobrze pamiętam, ostatnim razem uratowałem ci życie. Chyba więc jesteś mi coś winien.

Mat uśmiechnął się szeroko i białe zęby błysnęły w jego ciemnej twarzy. Podobnie jak Darrick wysmarował się sadzą, by wtopić się w mrok. Darrick miał jednak rudawe włosy i skórę barwy brązu, podczas gdy włosy Mata były czarne, a skóra orzechowa.

– No ale tej nocy sprawdzimy, na ile masz szczęście, nieprawdaż, przyjacielu? - zapytał Mat.

– Mgła się utrzymuje. - Darrick skinął głową na srebrnoszarą zasłonę, która unosiła się nad powierzchnią rzeki. Tej nocy wiatr i woda współpracowały, więc kłęby mgły wytoczyły się w morze. Przez tę mgłę odległość, którą mieli do pokonania, wydawała się większa. - Pewnie bardziej możemy polegać na pogodzie niż na twoim szczęściu.

– A jak wciąż będzieta tak kłapać jadaczkami - warknął stary Maldrin - to może te pirackie straże, które się nie pospali, usłyszą was i zaraz naszykują jaką zasadzkę. Gadanie nad wodą niesie się dalej niż nad lądem.

– Owszem - zgodził się Darrick. - Ale głos nie poniesie się na szczyt tych klifów. Są dobre czterdzieści stóp nad nami, jak nic.

– Durny obcy z Hillsfar - warknął Maldrin. - Mleko masz pod nosem i za młodyś na taką robotę. Jakby mnie kto pytał, to stary kapitan Tollifer cheba



się z głupim na rozumy powymieniał.

– Wystarczy, bosmanie Maldrin - uciął Darrick. - Nikt was, psiakrew, nie pytał.

Kilku innych marynarzy się rozeźmiało. Choć Maldrin miał reputację świetnego marynarza i nieustraszonego wojownika, młodszy członek załogi uważali go za kwokę i histeryka.

Bosman był mężczyzną niewysokim, ale ramiona miał szerokie jak toporzysko. Siwiejącą brodę przycinał krótko, stracił włosy na czubku głowy, lecz po bokach zostało mu ich tyle, że zaplatał je w warkoczyk. Wilgoć z rzeki i mgły błyszczała na poplamionych smołą spodniach i przemoczyła ciemną koszulę.

Darrick i pozostali odziani byli w podobny sposób. Wszyscy owinęli ostrza kawałkami płótna żaglowego, by światło księżyca albo wilgoć nie miały do nich dostępu. Słodka woda rzeki Dyre nie szkodziła metalowi równie mocno, co sól z Zatoki Zachodniej Marchii, ale nawyki bojowe z królewskiej marynarki pozostały.

– Bezczelny szczeniak - mruknął Maldrin.

– I kochasz mnie za to, choć się do tego nie przyznajesz - stwierdził Darrick. - Jeśli sądzisz, że teraz jesteś w kiepskim towarzystwie, pomyśl tylko, co byś robił, gdybym cię zostawił na pokładzie „Samotnej Gwiazdy”. Mówię ci, człowieku, siedziałbyś całą noc i załamywał ręce. Naprawdę, jakoś nie widzę, byś się do tego palił. A ty tak mi dziękujesz, że ci tego oszczędziłem.

– To nie będzie tak łatwe, jak ci się cheba wydaje.

– A czym się mamy martwić, Maldrin? Kilkoma piratami? - Darrick umieścił wiosło w dulkach, sprawdził, czy załoga barkasa nadal porusza się w równym rytmie, po czym zagarnął piórem wodę. Łódź sunęła po rzece w

dobrym tempie. Ćwierć mili wcześniej zauważyli niewielkie ognisko pierwszego z posterunków. Port, którego szukali, musiał być niedaleko.

– To nie pierwsze z brzegu byle jakie piraty - odrzekł Maldrin.

– Nie - przyznał Darrick. - Muszę się z tobą zgodzić. Ci tutaj to piraci, którym mamy narobić kłopotów, zgodnie z rozkazami kapitana Tollifera. A jak się dostało taki rozkaz, to lepiej, żebyś nie myślał, że wystarczyliby mi byle jacy piraci.

– Mnie też nie - wtrącił Mat. - Dowiodłem już, że jestem bardzo wybredny, jeśli chodzi o walkę z tymi psubratami.

Kilku pozostałych też przytaknęło ze śmiechem.

Nikt, co zauważył Darrick, nie wspomniał o chłopcu, którego porwali piraci. Ponieważ jego ciała nie znaleziono w miejscu, gdzie nastąpił atak, wszyscy byli przekonani, że chłopczyk został porwany dla okupu. I choć musieli jakoś pozbyć się napięcia, dlatego żartowali przed wejściem do twierdzy piratów, myśl o chłopcu była dość trzeźwiąca.

Maldrin tylko potrząsnął głową i skierował całą uwagę na wiosło.

– Taa, istny wrzód na tyłku z ciebie, Darricku Lang. Przysięgam na wszystko, co święte. Ale jeśli na pokładzie statku kapitana Tollifera jest ktoś, kto może taki numer wywinąć, to cheba ino ty.

– Chylę przed tobą kapelusza, Maldrinie - powiedział Darrick, wzruszony. - To znaczy uchyliłbym, gdybym go miał.

– Ty już się lepiej martw, by ci łeb na karku został - warknął Maldrin.

– W rzeczy samej, tak właśnie zamierzam. - Darrick mocniej uchwycił wiosło. - Wiosłujcie, chłopcy, póki rzeka jest spokojna, a mgła nam sprzyja. - I kiedy podnosił wzrok ku góróm, czuł, że jakaś dzika część jego natury raduje się myślą o nadchodzącej bitwie.

Piraci nie oddadzą chłopca za darmo. A kapitan Tollifer, w imieniu króla Zachodniej Marchii, także zażądał krwawej zapłaty.



– Przekłeta mgła - powiedział Raithen i zaklął siarczyście. Ten wybuch emocji kapitana piratów wyrwał Buyarda Cholika z drzemki. Stary kapłan zamrugał kilka razy, aby odpędzić dojmujące zmęczenie, i popatrzył na zwalistego mężczyznę, którego oświetlał blask pochodni padający z komnat wewnątrz budynku.

– O co chodzi, kapitanie Raithen?

Raithen stał niczym góra przy kamiennej barierce balkonu wychodzącego na alabastrowe, pełne kolumn ruiny małego portowego miasta, gdzie od kilku miesięcy obozowali. Pogładził kozią bródkę, która tuszowała masywny podbródek, i podświadomie dotknął szpetnej blizny w prawym kąciku ust, przez którą zdawał się uśmiechać zimno.

– Mgła. Diabelnie trudno dostrzec rzekę. - Białe światło księżyca zaśnięło na czarnej kolczudze, którą Raithen nosił na ciemnozieloną koszulę. Herszt zawsze dbał o szczegóły ubioru, nawet o tak wczesnej porze. Albo tak późno w nocy, poprawił się Cholik, bo właściwie nie wiedział, jak na to patrzy przywódca piratów. Czarne spodnie Raithena były równiutko wsunięte w buty z wywiniętymi cholewami. - Ciągle myślę, że może nie wykręciliśmy się czysto z tego ostatniego interesu.

– Ale przez mgłę nawigowanie po rzece jest bardziej ryzykowne - stwierdził Cholik.

– Może dla ciebie, ale dla człowieka przyzwyczajonego do forteli i rozmaitych wybryków morza rzeka na tym odcinku będzie fraszką - odparł Raithen.

Spoglądając na morze, znów pociągnął bródkę i wreszcie skinął głową.

– Na ich miejscu zaatakowałbym nas dzisiaj w nocy.

– Jesteś przesądny. - Cholik nie mógł nic poradzić na to, że słowa te zabrzmiały nieco pogardliwie. Objął się ramionami. W przeciwieństwie do Raithena Cholik był tak chudy, że sprawiał wrażenie zagłodzonego. Przenikliwy nocny chłód, poprzedzający nadejście zimowych miesięcy, zaskoczył go zupełnie, nie miał na taką pogodę odpowiedniego stroju. A że dawno już pożegnał młodość, nie to, co kapitan, zwracał uwagę na takie niedogodności. Tym dotkliwiej odczuwał, jak wiatr przenika jego czarno-szkarłatne szaty.

Raithen spojrział na Cholika z raczej kwaśną miną, jakby szacował, czy uznać słowa kapłana za obrazę.

– Nie próbuj się kłócić - rozkazał Cholik. - Bo już widzę, że masz taki zamiar. Wierz mi, nie uznaję tego za wadę. Ale ja wybrałem wiarę w rzeczy, które dają mi lepsze pocieszenie niż przesady.

Raithen skrzywił się ponuro. Wszyscy wiedzieli o jego niechęci i podejrzliwości względem tego, co robili akolici Cholika w niższej części miasta, które odnaleźli, pogrzebane pod opuszczonym portem. Miejsce to znajdowało się na odległym, północnym krańcu Zachodniej Marchii, właściwie poza zasięgiem króla. Ponieważ było opuszczone, Cholik sądził, że spodoba się kapitanowi. Ale kapłan zapomniał o tych wszystkich wygodach, jakie zapewniała piratom cywilizacja w rozmaitych portach, gdzie nie wiedziano, kim są - albo nikt o to nie dbał, póki wydawali złoto i srebro równie szybko, jak inni. Pijaństwo i rozpusta, do których piraci się przyzwyczaili, tutaj były im niedostępne.

– Żadne z twoich straży nie wszczęły alarmu - ciągnął Cholik. - A sądzę, że wszyscy się zameldowali.

– Owszem. Ale jestem pewien, że zauważyłem żagle innego statku, kiedy płynęliśmy w górę rzeki.

– Powinieneś był to sprawdzić.

– I sprawdziłem - skrzywił się Raithen. - Sprawdziłem i nic nie znalazłem.

– Właśnie. Widzisz? Nie ma czym się martwić.

Raithen posłał Cholikowi twarde spojrzenie.

– Martwienie się to po części powód, dla którego płacisz mi tyle złota.

– Lecz martwienie mnie jednakże już nie.

Mimo ponurego nastroju na wargach Raithena wykwitł uśmiech.

– Jak na kapłana Zakarum, którzy głoszą łagodność, odzywasz się mało łagodnie.

– Tylko wtedy, kiedy skutki są tego warte.

Raithen roześmiał się, splótł mocarne ramiona na piersi i oparł się o barierkę balkonu.

– Prawdziwie mnie intrygujesz, Choliku. Kiedy poznaliśmy się tych kilka miesięcy temu i powiedziałaś mi, co zamierzasz zrobić, pomyślałem, że jesteś szalony.

– Legenda o mieście pogrzebanym pod innym miastem to żadne szaleństwo - zaprotestował Cholik. Jednakże to, co musiał uczynić, by zabezpieczyć święte i niemal zapomniane teksty Dumąła Lunnasha, czarodzieja z klanu Vizjerei, który tysiące lat temu był świadkiem śmierci Jere Harasha, doprowadziło Cholika niemal na skraj szaleństwa.

Tysiące lat temu Jere Harash był młodym adeptem Vizjerei, który odkrył, jak rozkazywać duchom zmarłych. Młodzieniec twierdził, że wiedza ta została przekazana mu we śnie. Bez wątpienia Harash posiadał nowe umiejętności, a jego moc stała się legendarna. Udoskonalił proces, w którym magowie pobierali energię umarłych, a każdy, kto tego spróbował, stawał się potężniejszy niż ktokolwiek wcześniej. W ten sposób Vizjerei - przed tysiącami lat jeden z trzech głównych klanów tego świata - stali się znani jako Klan Duchowy.

Dumal Lunnash był historykiem i jednym z tych, którzy przeżyli ostatnią próbę, jaką podjął Jere Harash, by całkowicie zawładnąć światem duchów. Kiedy młodzieniec wprowadził się w trans konieczny do przekazania energii tkanemu zaklęciu, jeden z duchów opanował jego ciało i rozpoczął rzeź. Potem Vizjerei dowiedzieli się, że duchy, które przywołali i bezwiednie wypuścili na świat, były demonami z Płonących Piekieł.

Jako kronikarz, świadek tamtych czasów i znawca przepowiedni Vizjerei, Dumal Lunnash nie był pamiętany jako mag, ale jego dzieła poprowadziły Cholika makabrycznym i zawiłym śladem, który zakończył się w opuszczonym, zapomnianym mieście nad rzeką Dyre.

– Nie - powiedział Raithen. - Takie legendy można usłyszeć wszędzie. Sam podążyłem śladem kilku z nich, ale nigdy nie widziałem, aby stawały się rzeczywistością.

– Wobec tego jestem zaskoczony, że w ogóle tu przybyłeś - odparł Cholik. Unikali tej rozmowy przez całe miesiące i był zdziwiony, że doszło do niej akurat teraz. Ale zdziwiony tylko do pewnego stopnia. Na podstawie znaków, które odnalazł w zeszłym tygodniu, kiedy to Raithen przebywał gdzieś daleko, paląc i grabiąc, czy też robiąc cokolwiek innego, co piraci robili na wyprawach, Cholik wnioskował, że oto przybliżył się do odkrycia największej tajemnicy opuszczonego miasta.

– To było twoje złoto - przyznał Raithen. - To mnie przekonało. Teraz kiedy wróciłem, zauważyłem, że twoi ludzie uczynili postępy.

Cholika przepeliła gorzka słodycz. Po części był zadowolony, że zrehabilitował się w oczach kapitana, ale wiedział też, że Raithen już zaczynał myśleć o skarbach, jakie mogą skrywać podziemia. Zapewne jego skwapliwość, płynąca z niewiedzy, doprowadzi do tego, że herszt albo jego ludzie zniszczą to, co Cholik i jego akolici zamierzali ocalić.

– Jak sądzisz, kiedy uda się ci znaleźć to, czego szukasz? - zapytał Raithen.

– Wkrótce - odparł Cholik.

Wielki pirat wzruszył ramionami.

– Byłoby dobrze, gdybym miał o tym jakieś pojęcie. Jeśli dzisiaj ktoś płynął za nami...

– Jeśli ktoś dzisiaj za wami płynął - przerwał mu Cholik - to będzie to wyłącznie twoja wina.

Raithen posłał mu prawdziwie wilczy uśmiech.

– Czyżby?

– Jesteś poszukiwany przez marynarkę Zachodniej Marchii - stwierdził Cholik. - Za przestępstwa przeciwko królowi. Jeśli królewscy cię dopadną, zawieszysz na szubienicy w Diamentowej Dzielnicy.

– Jak zwykły złodziej? - Raithen uniósł brew. - Owszem, może i będę się kołysać na stryczku jak luźny żagiel na noku rei, ale nie sądzisz, że król przygotowuje jakąś specjalną karę dla kapłana Zakarum, który zdradził jego zaufanie i powiedział piratom, które statki wiozą królewskie złoto przez Zatokę Zachodniej Marchii i Wielki Ocean?

Odpowiedź Raithena zaniepokoiła Cholika. Archanioł Yaerius nakłonił młodego ascetę o imieniu Akarat do założenia religii oddającej cześć Światłości. I przez jakiś czas Kościół Zakarum tym właśnie był, ale zmienił się na przestrzeni lat w ogień kolejnych wojen. Niewielu śmiertelników, jedynie ci w wewnętrznym kręgu Zakarum, wiedziało, że Kościół został całkiem zdeprawowany przez demony i teraz jego działaniami kierują mroczne siły zła. Kościół Zakarum był także związany z Zachodnią Marchią i Tristram, stanowił potęgę skrytą za władzą królów. Ujawniając trasy statków wiozących skarby, Cholik umożliwił piratom okradanie także Kościoła Zakarum. A kapłani byli nawet bardziej mściwi niż król.

Odwróciwszy się plecami do większego mężczyzny, Cholik zaczął spacerować po balkonie, próbując w ten sposób nieco się rozgrzać.

*Wiedziałem, że w końcu do tego dojdzie* - powiedział sobie. *Należało się tego spodziewać.* Odetchnął głęboko, z rozmysłem pozwalając Raithenowi myśleć, że tym razem wygrał. Przez lata kapłaństwa Cholik odkrył, że ludzie często popełniają wyjątkowo głupie, skandaliczne wręcz błędy, gdy ktoś chwali ich za inteligencję czy siłę.

Cholik wiedział, czym jest prawdziwa siła. Dlatego właśnie przybył do Portu Tauruka. Chciał odnaleźć pogrzebane od wieków Ransim, które uległo zagładzie podczas trwającej przez stulecia Wojny Grzechu, gdy Chaos cicho, lecz gwałtownie walczył ze Światłością. Ta wojna dawno temu rozgrywała się na Wschodzie, zanim jeszcze Zachodnia Marchia stała się cywilizowana i urosła w siłę. Wiele miast i miasteczek uległo w tamtych czasach zagładzie, większość przy tym ograbiono z wszystkiego, co wartościowe. Ransim jednak pozostało ukryte prawie przez cały okres Wojny Grzechu. Niewielu ludzi wiedziało cokolwiek o Wojnie Grzechu poza tym, że toczyły się bitwy, choć nie dlatego, że walczyły ze sobą demony i Światłość. O Ransim prawie nikt nie miał pojęcia. Portowe miasto stanowiło zagadkę, coś, co nie powinno było powstać. Niektórzy ze wschodnich magów wybrali je jednak na miejsce pracy i kryjówkę. I pozostawili po sobie tajemnice. Teksty Dumala Lunnasha były jedynym źródłem, w którym Cholik znalazł informacje o położeniu Ransim, lecz nawet to, co znalazł, okazało się jedynie początkiem żmudnego poszukiwania prawdy wśród starannie skonstruowanych kłamstw i półsłówek.

– Co chcesz wiedzieć, kapitanie? - zapytał Cholik.

– Czego tu szukasz? - rzucił bez wahania Raithen.

– To znaczy czy są tu złoto i klejnoty? - upewnił się Cholik.



– Kiedy myślę o skarbach - stwierdził Raithen - to myślę głównie o złocie i klejnotach i to złoto i klejnoty mam zamiar zdobyć.

Cholik potrząsnął głową zdumiony, jak ograniczonym człowiekiem okazał się pirat. Bogactwo, owszem, lecz moc, moc była prawdziwą nagrodą, której pożądał kapłan.

– Co? - podjął Raithen. - Jesteś za dobry, by mieć nadzieję na złoto i klejnoty? Jak na człowieka, który zdradził królewski skarbiec, masz zaiste dziwne pomysły.

– Dobra materialne to rzecz ulotna - odparł z namysłem Cholik. - Ich wartość jest skończona, określona. Często znika, zanim się obejrzysz.

– Trochę sobie odłożyłem na czarną godzinę.

Cholik uniósł wzrok w rozgwieżdżone niebo.

– Ludzkość jest obrazą dla Niebios, kapitanie Raithen. Niedoskonałym naczyniem niedoskonale wykonanym. Udajemy wszechpotężnych, świadomi potencjału, który być może w nas istnieje, ale z którego nie wolno nam korzystać.

– Nie mówimy o złocie i klejnotach, nie tego szukasz, prawda? - Ton Raithena sugerował, że pirat czuje się niemalże zdradzony.

– Może jakieś znajdziemy - przyznał Cholik. - Ale nie to mnie tu ściągnęło.

Odwrócił się i spojrzał na kapitana.

– Przywiódł mnie tu zapach mocy, kapitanie Raithen. Zdradziłem króla Zachodniej Marchii i Kościół Zakarum, by tu dotrzeć, i upewniłem się, że twój okręt będzie do mojej dyspozycji.

– Moc? - Raithen z niedowierzaniem potrząsnął głową. - Daj mi kilka stóp ostrej jak brzytwa stali, a pokażę ci moc.

Rozzłoszczony Cholik wykonał gest w stronę swego rozmówcy. Z dłoni kapłana trysnęły migoczące strumienie mocy, które podążyły ku

Raithenowi. Pasma owinęły się wokół szyi potężnego pirata niczym stalowe obręcze i odcięły powietrze. Potem Cholik sprawił, że stopy Raithena oderwały się od ziemi. Żaden kapłan nie mógł władać taką mocą i nadszedł czas, by herszt piratów dowiedział się, że Cholik nie był kapłanem. Już nie. Nigdy więcej.



– Brzeg! - zawołał triumfalnie jeden z marynarzy na dziobie. Wołał cicho, żeby jego głos nie poniósł się zbyt daleko.

– Odłożyć wiosła, chłopcy - nakazał Darrick, wyjmując własne z wody. Puls mu przyspieszył, łomotał w skroniach. Darrick wstał i popatrzył na rozciągające się przed nimi góry.

Wszystkie wiosła podniosły się i zostały złożone pośrodku łodzi.

– Rufa - zawołał Darrick, spoglądając na jarzące się kręgi światła z latarni czy ognisk niedaleko przed nimi.

– Sir - odpowiedział Fallan przy sterze.

Teraz kiedy obsada przestała wiosłować, łódź nie przecinała już fal. Zdawała się wyskakiwać z rzeki, po czym poddawała się z szarpnięciem prądowi.

– Zabierz nas do brzegu - nakazał Darrick. - I zobaczmy, co z tymi cholernymi piratami, którzy zabrali królewskie złoto. Wysadź nas w odpowiednim miejscu, jeśli łaska.

– Aye, sir. - Fallan napał na rumpel i skierował barkas na lewy brzeg.

Prąd spychał łódź, ale Darrick wiedział, że stracą najwyżej kilka jardów. Najważniejsze było znalezienie bezpiecznego miejsca, w którym mogli przycumować i wypełnić misję zleconą im przez kapitana Tollifera.

– Tutaj. - Maldrin wskazał na lewy brzeg. Mimo swojego wieku stary żeglarz miał najlepszy wzrok wśród załogi „Samotnej Gwiazdy”. A w ciemnościach widział jak kot.

Darrick wpatrywał się we mgłę i wreszcie dostrzegł zarys urwistego brzegu, jakby coś wygryzło skałę. Była to właściwie krótka kamienna półka wystająca z klifów, które wyglądały, jakby zostały wycięte w Górach Orlego Dzioba ogromnym toporem.

– To najbardziej niegościnna przystań, jaką widziałem - skomentował Darrick.

– Nie, jeśli jesteś kozicą - zaśmiał się Mat.

– Nawet przekłeta kozica nie chciałaby się tu wspinać - stwierdził Darrick, szacując czekające ich strome podejście.

Maldrin zmrużył oczy i uniósł głowę.

– Jeśli tędy pójdziemy, czeka nas niezła wspinaczka.

– Sir - zawołał Fallan z rufy - co mam zrobić?

– Przybij tam, Fallan - rozkazał Darrick. - Zaryzykujemy i wykorzystamy tę okazję. - Uśmiechnął się. - Skoro droga jest tu tak trudna, to piraci nie będą się nikogo spodziewać. Wykorzystam to i dodam do szczęścia, które i tak nam dzisiaj sprzyja.

Fallan umiejętnie podprowadził barkas do brzegu.

– Tomas - powiedział Darrick - tu zakotwiczymy, szybko, jeśli łaska.

Marynarz podniósł kamienną kotwicę ze środka łodzi, oparł na burcie i rzucił w wodę. Olbrzymi ciężar spadł na płyciznę niedaleko od brzegu. Marynarz chwycił linę i zaczął ciągnąć kotwicę po dnie.

– Kotwica pod łodzią - szepnął Tomas, gdy lina się szarpnęła i napięła. - Dno skaliste.

– W takim razie miejmy nadzieję, że uda ci się ją zaczepić o coś solidnego - odpowiedział Darrick. Nie mógł usiedzieć spokojnie, chciał już

zabrać się do niebezpiecznego zadania, jakie na nich czekało. Im szybciej się ruszą, tym szybciej skończą i wrócą na pokład „Samotnej Gwiazdy”.

– Odciąga nas od brzegu - zauważył Maldrin, gdy zdryfowali kolejne kilka jardów w dół rzeki.

– Może zaczniemy noc od przyjemnej kąpieli - odpowiedział Mat.

– Człek się może na śmierć pochorować od takiej zimnej wody - narzekał Maldrin.

– Może piraci się o to postarają dla ciebie, zanim skończysz żywot we własnym łóżku, dzieciłniały ze starości - zakpił Mat. - Na pewno nie oddadzą nam łupu, nawet jeśli ładnie poprosimy.

Darrick poczuł, że ściska mu się żołądek. „Łup”, który przetrzymywali piraci, był głównym powodem, dla którego kapitan Tollifer wysłał Darricka i innych marynarzy w górę rzeki, zamiast sprowadzić tam „Samotną Gwiazdę”.

Z zasady piraci, którzy napadali na statki króla wypływające z Zachodniej Marchii, nie brali jeńców i nie zostawiali żywych. Tym razem oszczędzili kupca jedwabnego z Lut Gholein, który uczepił się złamanego masztu, na tyle dużego, by mógł służyć za tratwę. Kupcowi nakazano, aby przekazał królowi, że jeden z królewskich bratanków został pojmany. Darrick wiedział, że wkrótce pojawi się żądanie okupu.

Byłby to pierwszy kontakt, jaki piraci nawiązali z Zachodnią Marchią. Od wielu miesięcy trwały napaści na królewskie statki handlowe, nikt jednak nadal nie wiedział, skąd rabusie uzyskali informacje o transportach złota. Jedyne człowiek, jakiego pozostawili przy życiu, pochodził z Lut Gholein, co pozwoliło przypuszczać, że piraci wymordowali wszystkich z Zachodniej Marchii, bo ktoś mógłby ich zidentyfikować.

Kotwica szorowała po kamiennym dnie, cal po calu zmniejszając margines bezpieczeństwa. Jej chrobotanie i zgrzytanie po skałach tłumił

chlupot płynącej szybko wody. Nagle kotwica zatrzymała się, a lina naprężyła w rękach Tomasa. Marynarz chwycił ją mocno w pokryte odciskami dłonie.

Barkas się zatrzymał, nie przestał jednak podskakiwać na falach.

Darrick spojrział na brzeg oddalony o niewiele ponad sześć stóp.

– Musimy zadowolić się tym, co jest, chłopcy. - Spojrział na Tomasa. - Ile mamy pod kilem?

Tomas sprawdził węzły związane na linie.

– Osiem i pół stopy.

Darrick raz jeszcze obrzucił spojrzeniem brzeg.

– Dno musi gwałtownie opadać.

– Dobrze, że nie jesteśmy w zbrojach - skomentował Mat. - Choć z drugiej strony wolałbym mieć na sobie kolczugę, żeby chroniła mnie w trakcie całej awantury.

– Wtedy utonąłbyś jak trafiona piorunem ropucha - stwierdził Darrick. - A do walki może wcale nie dojdzie, jeżeli uda nam się wejść na pokład pirackiej łajby i uratować młodzika bez zamieszania.

– Taa - mruknął Maldrin. - Jak cię znam, to takie coś rzadko ci się udaje.

Darrick wyszczerzył się mimo zmartwienia czającego się w zakamarkach umysłu.

– Czyżbym słyszał w twoich słowach wyzwanie, Maldrin?

– A mnie tam zajędo, co słyszysz - burknął stary żeglarz. - Ja tam radzę z dobroci serca, coby się powiodło. Tylko coś mi się widzi, że te moje rady to są całkiem inaczej przyjmowane, niżbym chciał. Jak dla mnie, to piraty pewnie pokumali się z truposzami i innymi takimi.

Słowa bosmana otrzeźwiły Darricka, przypominając mu, że choć uważał tę nocną wyprawę za przygodę, nie była to wcale zabawa. Niektórzy hersztowie piratów władali magią.

– Polujemy na piratów - zaprotestował Mat. - Tylko na piratów. Zwykłych ludzi, których można zranić i którzy krwawią.

– Właśnie - poparł go Darrick, ignorując suchość w gardle, którą wywołały słowa Maldrina. - Zwykłych ludzi...

Tylko że zaledwie kilka miesięcy wcześniej, podczas patrolu, załódze przyszło stawić czoła statkowi żywych trupów. Walka była brutalna i przerażająca, kosztowała życie wielu marynarzy, nim nieumarli i ich statek zostali posłani na dno.

Młody dowódca spojrzął na Tomasa.

– Stanęliśmy na kotwicy?

Tomas pokiwał głową, ciągnąc linę.

– Aye. Na tyle, na ile mogę powiedzieć.

Darrick uśmiechnął się szeroko.

– Chciałbym wrócić do tej łódki, Tomasie. A kapitan Tollifer potrafi być bardzo uciążliwy, gdy jego załoga zgubi sprzęt. Kiedy dotrzemy do brzegu, upewnij się i raz jeszcze zabezpiecz kotwicę.

– Aye. Tak zrobię.

Wyjąwszy swój kordelas ze stosu broni owiniętej w tkaninę, Darrick wyprostował się ostrożnie, aby nie wywrócić łodzi. Spojrzął na szczyty klifów. Ostatni posterunek, który wypatrzyli, znajdował się sto jardów za nimi. Ognisko wciąż było widać w kłębach mgły nad głowami żeglarzy. Darrick popatrzył na odległe światła przed nimi, a do jego uszu doszło trzeszczenie takielunku uderzającego o maszty.

– Chyba nie da się nic na to zaradzić, chłopcy - westchnął Darrick. - Czeka nas zimna kąpiel.

Zauważył, że Mat ma już w dłoni swój miecz, a Maldrin młot.

– Ty pierwszy. - Mat szerokim gestem wskazał rzekę.

Darrick bez słowa zsunął się po burcie. Zimna woda zamknęła się nad nim, odbierając dech. Walcząc z prądem, popłynął do brzegu.

# DWA



Raithen walczył z zaklęciem Cholika, skręcał się i zwijał, młócił rękami, próbując rozerwać pętające go pasma niewidzialnej mocy. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie zmieszane ze strachem. Cholik wiedział, że herszt właśnie sobie uświadomił, z kim ma do czynienia - bynajmniej nie ze starym i słabym kapłanem, którego traktował z takim lekceważeniem. Wielki pirat otworzył usta, ale nie zdołał wykrztusić ni słowa. Jednym gestem Cholik sprawił, że Raithen wypłynął poza krawędź balkonu i wysokiego na sto stóp urwiska. Poniżej leżały już tylko popękane głazy i ruiny budynków, które kiedyś tworzyły Port Tauruka.

Kapitan przestał walczyć, a na jego siniejącej twarzy pojawiło się przerażenie.

– Moc przyprowadziła mnie do Portu Tauruka - oznajmił Cholik zgryźliwie, czuł nieprzyzwoitą przyjemność płynącą z utrzymywania magicznego chwytu. - I do ukrytego pod nim Ransim. Moc, jaką ty nigdy nie władałeś. Moc, która nie zda ci się na nic. Nie wiesz, jak nią władać. Naczynie tej mocy musi być uświęcone, i to ja zamierzam stać się tym naczyniem. Tym, czym ty nigdy nie mógłbyś się stać. - Kapłan rozwarł dłonie.

Krztusząc się i dysząc ciężko, Raithen poszybował z powrotem na balkon i opadł na kamienne płyty. Leżał na plecach, spazmatycznie łapiąc



powietrze i masując posiniaczoną szyję lewą ręką. Prawa szukała rękojeści ciężkiego miecza u boku.

– Dobądź broni - ostrzegł Cholik - a sprawię, że twój pierwszy oficer na okręcie flagowym dostanie awans na kapitana. Mógłbym też ożywić twojego trupa, ale wątpię, by spodobało się to załodze. Choć, szczerze mówiąc, niewiele mnie obchodzi, co myślą twoi rabusie.

Dłoń Raithena znieruchomiała. Herszt spojrział na kapłana.

– Potrzebujesz mnie - wycharczał.

– Owszem - zgodził się Cholik. - Dlatego pozwoliłem ci żyć tak długo i pomagać mi w pracy. Ani to było przyjemne, ani podyktowane poczuciem przyzwoitości, płynącym z braku silnej woli. - Zbliżył się do potężnego mężczyzny, który siedział wsparty plecami o balustradę.

Na szyi Raithena już zaczęły pojawiać się fioletowiejące siniaki.

– Jesteś narzędziem, kapitanie Raithen - powiedział Cholik. - Niczym więcej.

Pirat łypał na niego z wściekłością, ale zmilczał. Przełykanie śliny było dla niego widocznym, bolesnym wysiłkiem.

– Ale jesteś ważnym narzędziem w moim planie. - Cholik ponownie poruszył ręką.

Na widok dłoni kapłana wypisującej mistyczne symbole w powietrzu Raithen się skulił. A potem wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

Cholik wiedział, że pirat nie spodziewał się złagodzenia swoich cierpień. I słusznie. Kapłan co prawda znał zaklęcia uzdrawiające, ale ostatnio lepiej wychodziły mu te do zadawania bólu.

– Proszę, wstań, kapitanie Raithen. Jeśli sprowadziliście kogoś tutaj, a mgła ukryła ich obecność, chciałbym, żebyś się tym zajął.

Raithen podniósł się powoli i ostrożnie pomacał posiniaczoną szyję.

– Czy się rozumiemy? - Gdy Cholik spojrział w oczy kapitana, zrozumiał, że zyskał wroga na całe życie. Szkoda. Planował, że herszt piratów pożyje dłużej.

Aribar Raithen zwany był wśród marynarzy Zachodniej Marchii Kapitanem Szkarłatnych Wód. Naprawdę niewielu ludziom udawało się przeżyć, gdy ten pirat przejmował statek, większość kończyła na dnie Wielkiego Oceanu i, szczególnie ostatnio, Zatoki Zachodniej Marchii.

– Dobrze - warknął Raithen. Nie zabrzmiało to zbyt groźnie, głos miał bowiem bardzo ochrypły. - Zaraz się tym zajmę.

– Cieszę się. - Cholik wstał i spojrział na popękane i wypatroszone budynki Portu Tauruka. Udał, że nie zauważa, jak Raithen wychodzi, nie dał też poznać po sobie, że słyszy lekkie szuranie stóp herszta zdradzające, że pirat rozważa wbicie kapłanowi noża w plecy.

Metal zaszepotał, otarłszy się o skórę. Tym razem jednak, jak wiedział Cholik, ostrze wróciło do pochwy.

Stary człowiek pozostał na balkonie. Wyprostował sztywno kolana, żeby nie dygotać z zimna i wyczerpania, jakie wywołało użycie zaklęcia. Gdyby musiał wydatkować więcej energii, zemdlałby i znalazł się na łasce Raithena.

*Na Światłość, gdzie się podział ten cały czas? Gdzie się podziały moje siły?* Patrząc w gwiazdy płonące na smoliście czarnym niebie, Cholik czuł się stary i słaby. Dłonie miał jak sparaliżowane. Przeważnie był to w stanie kontrolować, ale czasami nie. W takich momentach trzymał ręce ukryte w fałdach szaty i unikał towarzystwa. Dolegliwości zawsze mijały, ale za każdym razem trwały dłużej.

W Zachodniej Marchii nie potrzeba by było wielu lat, nim jeden z młodszych kapłanów zauważyłby postępujące niedołęstwo Cholika i zwrócił na to uwagę wyżej postawionego Zakarum. Cholik wiedział, że

wtedy natychmiast zostałyby usunięty ze świątyni i umieszczony w hospicjum, gdzie pomagałyby przy starych i chorych, umierających po kawałku każdego dnia. Jedyne, w czym mógłby im pomóc, to ułatwić dotarcie do grobu. W hospicjum z każdym dniem sam także zbliżałby się ku śmierci. Nie mógł znieść nawet myśli o takim końcu.

Port Tauruka i ukryte pod nim Ransim oraz informacje zebrane w świętych tekstach stanowiły dla Cholika szansę na osobiste zbawienie. Oczywiście jeśli pozwolą mu na to mroczne siły, z którymi się sprzymierzył.

Przeniósł spojrzenie z gwiazd na skrytą we mgle rzekę. Białe, wełniste kłęby przetaczały się nad rozszczepionym łądem. Dalej na północ plemiona barbarzyńców mogłyby zagrozić odkryciom Cholika, ale tutaj, na pustkowiach daleko na północ od Zachodniej Marchii i Tristram, były bezpieczne.

Przynajmniej, poprawił się Cholik w duchu, o ile ostatnia wycieczka Raithena po statek pełen królewskiego złota nie ściągnęła kogoś jego śladem. Kapłan spojrzał w dół na mgłę, ale widział tylko wysokie maszty pirackich statków, wystające ponad pasma srebrzistoszarych oparów.

Latarnie na pokładach okrętów tworzyły bladożółte i pomarańczowe kręgi światła, z większej odległości przypominające świetliki. We mgle niosły się chrapliwe głosy mężczyzn - głosy piratów, a nie akolitów, których Cholik starannie dobierał przez te wszystkie lata - wołali do siebie z tym typowym lekceważeniem. Rozmawiali o kobietach i wydawaniu złota, które zdobyli tego dnia, nieświadomi mocy, jaka spoczywała pod miastem.

Tylko Raithen zaczął interesować się tym, czego szukali. Piratom wystarczało złoto, które dostawali.

Cholik przeklinał swoje bezwładne ręce i zimny wiatr w Górach Orlego Dzioba. Gdyby tylko był młodszy, gdyby tylko wcześniej odnalazł święty tekst Vizjerei.

– Mistrzu.

Przyłapany na zadumie Cholik szybko się opanował i odwrócił. Schował drżące ręce w fałdach szaty.

– O co chodzi, Nullacie?

– Wybaczcie, że przerywam waszą samotność, mistrzu Cholik - skłonił się Nullat. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat, ciemne włosy i ciemne oczy. Jego szaty poplamione były ziemią i kurzem, a gładką twarz i ramię przecinały płytkie skaleczenia po wypadku, który pochłonął życie dwóch innych akolitów.

Cholik skinął głową.

– Wiesz, że nie należy mi przerywać bez ważnego powodu.

– Tak. Brat Altharin kazał mi po was pójść.

Cholik poczuł, że serce bije szybciej w jego wychudłej piersi. Udało mu się jednak zapanować nad sobą i swoimi emocjami. Wszyscy akolici, których nagiął do swoich celów, bali się go i bali się jego mocy, ale jednocześnie pragnęli darów, którymi, jak wierzyli, Cholik ich obsypie. Pragnął, by tak pozostało. Milczał, nie zamierzał zadać pytania, które Nullat pozostawił wiszące w powietrzu.

– Altharin jest przekonany, że dotarliśmy do ostatniej bramy -oznajmił w końcu Nullat.

– Czy Altharin wstrzymał prace? - spytał Cholik.

– Oczywiście, mistrzu. Wszystko poszło tak, jak nakazaliście. Pieczęcie nie zostały złamane. - Na twarzy Nullata nagle pojawił się wyraz zatroskania.

– Czy coś się stało?

Nullat wahał się i milczał przez chwilę. Z dołu nieustannie dobiegały głosy piratów i dźwięki lin uderzających o reje i maszty-

– Altharin myśli, że słyszał głosy po drugiej strony bramy - wyznał Nullat. Uciekł wzrokiem przed spojrzeniem Cholika.

– Głosy? - powtórzył Cholik, jego podniecenie jeszcze wzrosło. Nagły przypływ adrenaliny sprawił, że ręce zaczęły się trząść jeszcze bardziej. - Jakie głosy?

– Złe głosy.

Cholik wpatrywał się w młodego akolitę.

– Czy spodziewałeś się jakichś innych?

– Nie wiem, mistrzu.

– Ci o słabym sercu nie powinni kroczyć Czarną Drogą. - W rzeczy samej, jak Cholik wywnioskował ze świętych tekstów Vizjerei, skrzydła bramy zostały wykonane z kości mężczyzn i kobiet wychowanych w wiosce wolnej od zła i wszelakich sporów. Ludzie ci nigdy nie zaznali potrzeb czy pragnień, póki ich populacja nie wzrosła na tyle, że mogli posłużyć celom demonów. - Co mówią te głosy?

Nullat potrząsnął głową.

– Nie wiem, mistrzu. Nie rozumiem ich.

– A Altharin?

– Nawet jeśli rozumie, mistrzu, nie powiedział mi. Nakazał tylko, bym przyszedł po was.

– A jak wygląda ostatnia brama? - zapytał Cholik.

– Tak jak nam mówiliście, mistrzu. Ogromna i przerażająca. -Nullat szerzej otworzył oczy. - Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

*Ani nikt inny od setek lat - pomyślał Cholik.*

– Przynieś nową pochodnię, Nullacie. Zobaczymy, co odkrył brat Altharin. - *I módlmy się, żeby święte teksty się nie myliły. Inaczej zło, które*

*uwolnimy po otwarciu tej bramy, zabije nas wszystkich.*



Wciśnięty w wilgotną od mgły ścianę klifu, trzymając się na czubkach butów i palcami jednej dłoni, Darrick Lang szukał kolejnego uchwytu. Miał świadomość, że jego talię i biodra oplata lina. Przeciągnął sznur przez hak wbity w ścianę pięć stóp poniżej, jeden z wielu, jakimi oznaczał drogę dla tych, którzy wspinali się za nim. Gdyby się poślizgnął, a wszystko zadziało jak trzeba, lina uchroniłaby go też przed upadkiem na skały lub do rzeki sześćdziesiąt stóp poniżej. Gdyby jednak nie zadziało, mógłby pociągnąć za sobą dwóch mężczyzn, którzy go ubezpieczali. Mgła była tak gęsta, że Darrick nie widział barkasa.

*Mogłem zabrać ze sobą Carona* - pomyślał. Zacisnął palce wokół kamiennego występu, który wydawał się na tyle stabilny, by utrzymać jego ciężar. Ale Caron był jeszcze chłopcem i nie powinno się go narażać na niebezpieczeństwo. Na pokładzie „Samotnej Gwiazdy” Caron był absolutnym królem takielunku. Nawet gdy nie pełnił służby na rejach, i tak tam przesiadywał. Chłopak miał upodobanie do wysokości.

Darrick zatrzymał się, czując drżenie mięśni pleców i karku, i odetchnął głęboko wilgotnym, stęchłym zapachem kamienia i ubitej ziemi. Nie mógł odpędzić myśli, że tak pachnie świeżo wykopany grób. Ubranie miał mokre po kąpieli w rzece i było mu zimno, ale jednocześnie jego ciało znajdowało w sobie tyle ciepła, że się pocił. Dziwiło go to.

– Nie planujesz rozbijać tam obozu, prawda? - zawołał Mat z dołu. Brzmiało to tak, jakby nie miał nic a nic przeciwko postojowi, ale ktoś, kto go dobrze znał, mógł w jego głosie wyczuć nutę napięcia.

– Wiesz, to przez te widoki - odgryzł się Darrick. Bawiło go, że zachowują się, jakby czekała ich igraszka, a nie poważna przeprawa. Ale zawsze tak się zachowywali.

Obaj mieli po dwadzieścia trzy lata (Darrick był o siedem miesięcy starszy) i spędzili większość życia, dorastając w Hillsfar. Przyjaźnili się. Mieszkali wśród górali, ładowali towary w rzeczonym porcie i nauczyli się zabijać, gdy plemiona barbarzyńców przyszły z północy, aby łupić i plądrować. Gdy przyjaciele skończyli piętnaście lat, wyruszyli w podróż do Zachodniej Marchii i złożyli przysięgę wierności w królewskiej marynarce. Darrick uczynił to, by uciec przed ojcem, ale Mat pozostawił za sobą kochających bliskich i przyszłość w rodzinnym młynie. Gdyby Darrick nie opuścił wioski, Mat pewnie też by tego nie zrobił i czasem Darrick czuł się z tego powodu winny. Wiadomości z domu zawsze sprawiały, że Mat mówił o rodzinie, za którą tęsknił.

Darrick skupił się ponownie i spojrzał ponad rozłupanym urwiskiem na przystań mniej niż dwieście jardów przed nimi. Na klifie przy porcie wystawiono kolejny posterunek. Strażnik rozpałił małe ognisko, niewidoczne z rzeki.

Dalej, kołysząc się na kotwicach w naturalnej zatoce naprzeciwko ruin, stały trzy kogi o wysokich masztach, płaskodenne i pękate, stworzone do żeglugi po rzekach i wodach przybrzeżnych, nie zaś na pełnym morzu. Według map kapitana Tollifera miasto nazywało się Port Tauruka, jednak niewiele było o nim wiadomo prócz tego, że zostało opuszczone wiele lat temu.

Na statkach poruszały się latarnie i pochodnie, kilka innych błąkało się w obrębie miasta. Darrick był pewien, że trzymali je piraci. Nie miał jednak pojęcia, czemu o tak wczesnej porze wykazują się taką pracowitością.

Kłębiąca się mgła sprawiała, że widoczność na większe odległości była słaba, jednak Darrick zauważył przynajmniej tyle.

W barkasie przyplłynęło piętnastu ludzi razem z Darrickiem. Wyglądało na to, że piraci mają przewagę ośmiu na jednego. Angażowanie się w jakąś dłuższą potyczkę było wykluczone, lecz może uda im się uwolnić królewskiego bratanka i w miarę możliwości uszkodzić parę pirackich statków. Darrick już wcześniej zgłaszał się do takiej roboty i wychodził z niej cało.

*Jak na razie, chłopie* - upomniał siebie ponuro.

Choć się bał, w głębi duszy cieszył się też wyzwaniem. Przycisnął się do ściany, uniósł but i wypchnął ciało do góry. Do szczytu klifu zostało jakieś piętnaście stóp. Wyglądało na to, że stamtąd będzie można bezpiecznie dojść do ruin miasta i ukrytego portu. Palce u rąk i nóg bolały go od wspinaczki, ale starał się o tym nie myśleć i piał się dalej.

Kiedy dotarł do szczytu, musiał powstrzymać okrzyk triumfu. Odwrócił się i spojrzał na Mata, po czym zacisnął dłoń w pięść.

Nawet z tej odległości zobaczył przerażenie na twarzy przyjaciela.

– Uważaj!

Darrick gwałtownie podniósł głowę, choć przeczucie ostrzegało go, by tego nie robić. Kątem oka pochwycił błysk księżycowego światła na opadającej stali. Schylił głowę i puścił krawędź klifu, szukając jednocześnie innego oparcia dla rąk.

Miecz uderzył o kamień, krzesząc iskry. Dłonie Darricka zacisnęły się na niewielkiej półce, z której odepchnął się ostatnim razem. Ciało uderzyło mocno o skalną ścianę.

– Mówiłem ci, że kogoś tam widziałem - powiedział mężczyzna z mieczem, ostrożnie stąpając po krawędzi urwiska. Jego podkute buty zgrzytały o skałę.



– Taa - zgodził się drugi, przyłączając się do polowania na Darricka.

Trzymając się krawędzi klifu ze wszystkich sił, Darrick skrobał butami o ścianę, bezskutecznie próbując znaleźć podparcie dla nóg. Dziękował Światłości, że dla piratów teren stanowił równie trudne wyzwanie.

– Oberżnij mu paluchy, Lon - zachęcał drugi z prześladowców. Był niskim osobnikiem o twarzy łasicy, z brzuchem piwosza opiętym wytartą koszulą. W jego oczach płonęły iskierki szaleństwa. - Oberżnij mu paluchy i patrz, jak spada na pozostałych. Zanim dostaną się na górę, my wrócimy do ogniska i ostrzeżemy kapitana Raithena, że nadchodzą.

Darrick pamiętał to nazwisko. W czasie lat służby w marynarce Zachodniej Marchii słyszał o Raithenie. Kapitan Tollifer mówił nawet, że podczas Kapitańskiego Stołu, kwartalnego spotkania dowódców wybranych okrętów, wysunięto przypuszczenie, iż Raithen może być odpowiedzialny za ostatnie pirackie rajdy. Dobrze było wiedzieć, że się nie mylili, ale ciężko będzie przekazać tę informację, jeżeli nikt z oddziału nie zostanie przy życiu.

– Cofnij się, Orfik - warknął Lon. - Będziesz się tak kręcił i brzęczał mi nad uchem jak mucha, to ciebie przebiję.

– Spadaj, Lon. Ja się nim zajmę. - Głos niskiego mężczyzny aż drżał z podniecenia.

– Niech cię diabli - zaklął Lon. - Zejdź mi z drogi!

Szybko, niczym lis w kurniku, Orfik dał nura pod wyciągniętym ramieniem towarzysza i rzucił się na Darricka z nożami tak długimi, że właściwie można by je uznać za krótkie miecze.

– Mam go, Lon. Mam go - śmiał się. - Cofnij się i patrz. Założę się, że będzie wrzeszczał przez całą drogę w dół.

Pilnując, by ciężar jego ciała rozłożony był jak najbardziej równomiernie, pełen nowych sił płynących mu w żyłach z adrenaliną,

Darrick przerzucał chwyt z jednej ręki na drugą, unikając ciosów Orfika. A jednak piratowi udało się ciąć przez kostkę małego palca lewej ręki. Ból pomknął w górę ramienia Darricka, ale marynarz bardziej obawiał się, że przez krew palce mu będą się ześlizgiwać ze skały.

– Niech cię diabli! - zaklął Orfik, znów krzesząc iskry z kamienia. - Nie ruszaj się tylko, a za chwilę będzie po wszystkim.

Lon zatoczył się do tyłu.

– Uważaj! Uważaj, Orfik! Tam ktoś ma łuk! - Większy pirat podniósł rękaw, ukazując strzałę, która wciąż wisiała na nim zaczepiona pierzyskiem.

Orfik, zdekoncentrowany nieco tą demonstracją i świadomy, że za pierwszą strzałą zaraz polecą następne, cofnął się odrobinę. Podniósł nogę i spróbował kopnąć swą ofiarę w głowę.

Darrick przechylił się i chwycił pirata okrwawioną ręką. Wolał nie rezygnować z oparcia, jakie dawała mu zdrowa dłoń. Zaciśnął palce na spodniach napastnika. Choć nogawki bryczesów wciśnięte były w podkute bucior, i tak pozostało sporo luźnego materiału. Balansując ciałem, by utrzymać się na jednej ręce, Darrick szarpnął drugą.

– Przeklęty! Lon, pomóż mi, zanim ten szczur pokładowy zrzuci mnie z klifu! - Orfik wyciągnął rękę, a kompan chwycił ją posłusznie. Kolejna strzała z dołu odbiła się od ściany za nimi i sprawiła, że obaj piraci się schylili.

Wykorzystując zamieszanie i wiedząc, że drugiej takiej okazji nie będzie, Darrick przerzucił ciężar na bok i do góry. Wypchnął nogi do przodu z nadzieją, że uda mu się przewiesić nad krawędzią klifu. Może lina obwiązana wokół bioder uratowałaby go podczas upadku, ale Mat i pozostali mogli o niej zapomnieć, gdyż wszystko działo się tak szybko...

Wygięty w łuk Darrick uderzył mocno o ścianę. Zaczął się osuwać, ale w ostatniej desperackiej próbie wyciągnął ramię, modląc się, żeby to wystarczyło. Przez szarpiącą nerwy chwilę kołysał się nad krawędzią, potem jednak równowaga się zmieniła i spadł, lądując na szczycie klifu.

# TRZY



Buyard Cholik podążył za Nullatem przez poskręcane trzewia Portu Tauruka do gniazda zarazy, jakim było Ransim. Przystań, otoczona skałami i warstwą ruin stanowiącą fundament młodszego miasta, wydawała się odległa o miliony mil, jednak chłód, który przywlokła stamtąd mgła, został ze starym kapłanem. Bóle i strzykanie w kościach, które ustępowały nieco pod wpływem ciepła w komnatach, teraz powróciły ze zdwojoną siłą.

Akolita niósł pochodnię, sklepienie tutaj było tak nisko, że wijący się i skręcający płomień pozostawiał ślad sadzy na granicie. Nullat emanował niepokojem, spoglądał z prawa na lewo, a jego głowa poruszała się jak szybki metronom.

Cholik ignorował obawy akolity. Kiedy przed wieloma miesiącami zabrali się do kopania na dużą skalę, Port Tauruka nękała plaga szczurów. Kapitan Raithen sądził, że szczury opanowały miasto, wędrując śladami obozowisk barbarzyńców, którzy przybyli z mroźnej północy. W czasie szczególnie ciężkich zim, a ostatnia do takich właśnie należała, barbarzyńcy ruszali na południe w poszukiwaniu łagodniejszego klimatu.

Ale szczury, dotarwszy do Portu Tauruka, znalazły źródło pożywienia i zostały. Cholik uświadomił sobie tę przerażającą prawdę dopiero, gdy rozpoczęły się prace przy wykopie.

Podczas Wojny Grzechu, gdy Veran stworzył potężną bramę i pozwolił Kabraxisowi powrócić do świata ludzi, na Port Tauruka zostały nałożone zaklęcia, które miały chronić i ukrywać miasto przed wojną na Wschodzie. Choć w tamtych czasach miasto mogło zwać się Ransim. Cholik nie miał pewności, które z nich właściwie zostało zaczarowane.

Rzucone zaklęcia wskrzesiły umarłych, nadając im podobieństwo życia, aby byli w stanie wykonywać rozkazy demonów, które podniosły ich z martwych. Praktykujący sztuki magii w większości byli zaznajomieni z nekromancją, choć zasadniczo się nią nie parali. Wierzyli, że nekromancja często wiązała użytkowników z demonami takimi jak Diabło, Baal i Mefisto, zwanymi Mroczną Trójcą. Jednakże nekromanci z dżungli Wschodu oddawali cześć Rathmie, walczyli o równowagę między siłami Niebios i Piekła. Byli wojownikami o czystych sercach, choć ludzie bali się ich i nienawidzili.

Pierwsza grupa kopaczy, która przebiła się przez dolną warstwę Portu Tauruka, natrafiła na nieumarłych, kryjących się w ruinach niższego z miast. Cholik zgadywał, że demon, który zrównał Ransim z ziemią, niedbale rzucił czar albo się spieszył. Ransim zostało podbite, a wszyscy mieszkańcy zginęli, czego milczącym świadectwem były wypalone szkielety budynków i ślady rzezi. Później ktoś władający znaczną mocą przybył do miasta i ożywił zabitych.

Tam gdzie leżały świeże trupy, powstały zombie, jednak również szkielety wygrzebały się z podziemnych grobów. Nie wszystkie z nich przebudziły się do nieżycia na czas, by pójść za tym, który je wezwał. Może, jak przypuszczał Cholik, reszcie mieszkańców powrót z martwych zajął lata lub nawet dziesięciolecia.

Zmarli jednak powstałi, a ich ciała zostały zatrzymane o włos od śmierci. Kończyny uwiędły, lecz ciało tylko wyschło, nie uległo rozkładowi. Gdy do

miasta dotarły szczury, przeszły pęknięciami i szczelinami z Portu Tauruka do dolnego miasta. I rozpoczęły uctowanie, co pozwoliło ich populacji osiągnąć niespotykaną liczebność.

Oczywiście, mając do wyboru ofiarę, która mogła walczyć nawet z odgryzioną kończyną, i człowieka o świeżym mięsie, który upadnie i skona, jeśli zada mu się wystarczająco wiele ran, szczury zdecydowały się na kopaczy. Przez jakiś czas śmiertelność wśród robotników gwałtownie rosła. Szczury okazały się odpornym i sprytnym wrogiem.

Kapitan Raithen miał wtedy pełne ręce roboty przy napadach na statki Zachodniej Marchii, a później zajął się kupowaniem niewolników za część zysków Cholika. Jeszcze więcej złota poszło na najemników, których kapłan wynajął do pilnowania siły roboczej.

– Ostrożnie, mistrzu. - Nullat uniósł pochodnię, by pokazać ziejący przed nimi otwór. - Tu jest przepaść.

– Przepaść była i poprzednim razem, kiedy tędy szedłem - warknął Cholik.

– Oczywiście, mistrzu. Pomyślałem sobie po prostu, że mogliście zapomnieć, ponieważ tak dawno tu nie byliście.

Cholik upewnił się, że jego głos zabrzmiał twardo i zimno.

– Ja nie zapominam.

Twarc Nullata zbladła, akolita uciekł spojrzeniem.

– Oczywiście, mistrzu. Ja tylko...

– Zamilknij. Twój głos odbija się echem od korytarzy, to mnie męczy. - Cholik szedł dalej. Zobaczył, że Nullat wzdrygnął się na widok stada czerwonoookich szczurów, przelewającego się przez głązy po lewej.

Szczury, każdy długi jak męskie przedramię, przechodziły po kamieniach i po sobie nawzajem, gdy walczyły, aby znaleźć się jak najbliżej dwóch wędrowców. Skrzeczały i piszczały nieustannie, przenikliwa kakofonia

wypełniała całe pomieszczenie. Ciała gryzoni, od wilgotnych nosów po tłuste zady, pokrywało błyszczące czarne futro, tylko ogony pozostawały nagie. Sterty starych, a może nawet i świeżych kości zalegały na spękanych kamieniach, pokruszonych ceglach i gruzie z resztek budynków.

Nullat zatrzymał się i drżącą ręką wyciągnął pochodnię w stronę stada szczurów.

– Mistrzu, może powinniśmy zawrócić. Od wielu tygodni nie widziałem takiego stada szczurów. Jest ich tyle, że mogą nas z łatwością pokonać.

– Uspokój się - nakazał Cholik. - Daj mi pochodnię.

Jeszcze tego brakowało, żeby Nullat znów zaczął jak obłąkany bredzić o omenie. Ostatnio robił to zbyt często.

Zawahawszy się, jakby w obawie, że Cholik może mu zabrać łuczywo i zostawić samego w ciemnościach, Nullat podał żagiew starszemu mężczyźnie.

Cholik pochwycił pochodnię pewną ręką. Wyszeptał słowa mocy i odetchnął. Jego oddech sięgnął płomienia i stał się falą ognia, która uderzyła w głązy gorącym kowalskiego paleniska. Cholik przesunął głownię w prawo i lewo wzdłuż szczurzych szeregów.

Nullat z krzykiem przypadł do ziemi i ukrył twarz, umykając przed żarem i wytrącając zarazem pochodnię z ręki kapłana. Płomień liznął brzeg szaty Cholika.

Kapłan szarpnął materiał.

– Przeklęty głupcze. Prawie mnie podpaliłeś.

– Wybaczcie mi, mistrzu - zaskomlił Nullat, gwałtownie odsuwając pochodnię. Poruszył łuczywem tak szybko, że niemal stłumił płomienie. Na posadzce, gdzie wcześniej leżało, płonęła kałuża oliwy.

Cholik byłby łajał dalej, ale nagle ogarnęła go słabość. Zachwiał się, ledwo zdołał ustać. Zamknął oczy, by zwalczyć zawroty głowy. Zakłęcie,

użyte tak szybko po poprzednim, tym zastosowanym na Raithenie, i do tego dużo potężniejszym, całkiem pozbawiło go sił.

– Mistrzu - zawołał Nullat.

– Milcz - nakazał Cholik. Nawet jego zaskoczyło ochryple brzmienie własnych słów. Ohydny smród palonego mięsa wypełniający komnatę przyprawiał go o mdłości.

– Oczywiście, mistrzu.

Zmuszając się do głębszego oddechu, Cholik skoncentrował się na swoim wnętrzu. Jego ręce drżały i bolały, jakby połamał sobie wszystkie palce. Moc, dla której był naczyniem, stawała się zbyt potężna dla starego ciała. Jak to jest, że Światłość może powołać człowieka do istnienia i zezwolić mu na władanie potężną magią, a jednak ta moc zdolna jest zrywać z kości ciało, które jest mu kotwicą na tym świecie? Właśnie to pytanie sprawiło, że niemal przed dwudziestu laty Cholik począł odwracać się od nauk Zakarum. Wtedy to zwrócił się ku demonom. One przynajmniej wraz z potęgą oferowały także pewnego rodzaju nieśmiertelność. Cholik musiał tylko pozostać przy życiu, kiedy już ją otrzyma.

Gdy słabość częściowo przeminęła, otworzył oczy.

Nullat kulił się przy nim.

*Próbuje stać się jak najmniejszym celem, gdyby zostały tu jeszcze jakieś żądne zemsty szczury* – domyślił się Cholik. Rozejrzał się.

Magiczny ogień oczyścił pomieszczenie. Na rumowiskach pod ścianami leżały poczerńiałe szczurze truchła. Spalone tkanki odpadły od kości, pozostawiając ohydny smród. Słysząc było zaledwie słabe piski kilku niedobitków, ale żaden gryzoń nie miał zbyt wielkiej ochoty na wyjście z ukrycia.

– Podnieś się, Nullat - nakazał Cholik.



– Tak, mistrzu. Byłem tam tylko po to, by was przytrzymać, gdybyście upadli.

– Nie upadnę.

Z lewej Cholik mógł zajrzeć w przepaść. Ostrożne badanie dowiodło, że otchłań miała dno, lecz naprawdę bardzo głęboko. Kopacze wrzucali tam zwłoki niewolników i innych oraz gruz, który usuwali z odkrytych fragmentów tuneli.

Mimo że Cholik nie schodził do korytarzy pod Portem Tauruka od tygodni, posiadał dogłębną wiedzę o wijących się i skręcających tunelach, które odkopano. Każdego dnia przeglądał rozmaite rzeczy, które kopacze wynosili na powierzchnię. Starannie notował co ważniejsze lub co bardziej interesujące znaleziska w swoim dzienniku. Tylko te zapiski w Zachodniej Marchii byłyby warte tysiące sztuk złota. Gdyby pieniądze mogły przywrócić mu życie i moc, którą stopniowo tracił, Cholik przyjąłby je bez wahania. Ale pieniądze na nic w tym przypadku by się nie zdały, pomoc mogło jedynie zdobycie magii.

A tylko demony hojnie obdarzały tą mocą.

Szlak, którym podążali z akolitą, opadał powoli, wgrzyzając się w górę. Cholik doszedł do wniosku, że mogli nawet zejść poniżej poziomu rzeki Dyre. Chłód i wilgoć osadzająca się na ścianach potwierdzały to przypuszczenie.

Po tym, jak skręcili w kolejną odnogę tuneli wykopanych w pozostałościach Ransim, Cholik dojrzał intensywny blask licznych pochodni i ognisk rozpalonych przez kopaczy. Wszystkich niewolników podzielono na zmiany. Każda grupa pracowała przez szesnaście godzin, przy czym przez osiem pracowała równocześnie z kolejną zmianą, aby oczyścić tunele z gruzu. Robotnicy spali osiem godzin na dobę, albowiem

Cholik odkrył, że nie wytrzymują wysiłku dłużej niż szesnaście godzin bez odpoczynku i snu.

Śmiertelność została ograniczona między innymi dzięki wystawieniu straży, które chroniły kopaczy przed szczurami i nie-umarłymi. Ale i tak ludzie umierali przy pracy, przy czym Cholik martwił się tylko, że Raithenowi zbyt dużo czasu zajmuje znalezienie zastępców.

Kapłan przeszedł przez główną komnatę, gdzie spali niewolnicy. Wszedł za Nullatem w jeden z nowszych tuneli, omijając sterty gruzu leżące przy wejściu i w pierwszej jego części. Stary kapłan nawet nie zauważył tych utrudnień, nie odrywał bowiem wzroku od potężnych, szaro-zielonych wrót na końcu tunelu.

Przy krawędziach wielkiej bramy nadal wrzała praca. Ludzie stali na drabinach wysokich na co najmniej dwadzieścia stóp. Młotki i dłuta uderzały o kamień, a huk odbijał się echem w tunelu i komnacie za nim. Inni kopacze zgarniali gruz na taczki i wyrzucali go na sterty przy wejściu do korytarza.

Nad potężną bramą migotała pochodnia, oświetlając umieszczony na wrotach symbol. Składał się on z sześciu koncentrycznych elips przeplecionych poskręcaną linią. Czasem linia przechodziła pod pierścieniami, a czasem nad nimi. Patrząc na bramę, Cholik szepnął:

– Kabraxis, Pogromca Światłości.



– Łap go, łap go! Jest z nami na górze! - krzyczał Orfik.

Gdy zobaczył szarżującego pirata, Darrick próbował uniknąć spotkania z wielkimi nożami. Podkute buciory krzeszały iskry na granicie.

– Cholerny sukinsyn prawie mnie dostał, Lon - zaskrzeczał Orfik, a jego ostrza zatańczyły dziko. - Nic nie rób, ja go potnę, ani się obejrzysz. Tylko patrz.

Darrickowi ledwo starczyło czasu, żeby podnieść się na rękach. Lewa dłoń, pokryta krwią ze zranionego palca, ześlizgnęła się pod niego, ale zdołał zacisnąć ją na wystającym kawałku kamienia i zerwał się na równe nogi.

Orfik zamachnął się nożami w podwójnym ataku, prawa ręka nad lewą, tnąc powietrze zaledwie cale od oczu Darricka. Marynarz cofnął się o kolejny krok, gdy pirat próbował dostać go, wyprowadzając uderzenie zza głowy. Wołał jednak nie cofać się jeszcze dalej, świadomy, że wciąż jest zbyt blisko krawędzi klifu i fałszywy krok może skończyć się śmiertelnie. Dlatego przy kolejnym natarciu Darrick schylił się w uniku i zanurkował pod ramieniem pirata.

A gdy go mijał, dobył długi nóż z cholewy lewego buta. Rękojeść prawie wyślizgnęła mu się z zakrwawionych palców, ale jakoś zdołał ją utrzymać. Orfik chciał się obrócić przodem do przeciwnika. Jednak Darrick ciął mocno, bez litości, wiedząc, że jemu nikt nie okaże zmiłowania. Ostrze przeszło przez cholewę buta niczym przez masło i przecięło piratowi ścięgno pod kolanem.

Orfik stracił władzę w zranionej nodze. Ciągnął ją za sobą, podskakując dla utrzymania równowagi. Klął i wołał o pomoc, próbując zastawić się swoimi nożami.

Darrick skoczył, odbił nadgarstek pirata i ramieniem uderzył go w brzuch. To, że Darrick poruszał się z rosnącą szybkością i do tego ważył więcej niż jego przeciwnik, sprawiło, że Orfik oderwał się od ziemi, zupełnie jakby sam skoczył z klifu. Przez całą drogę do rzeki krzyczał i machał ramionami. Chybił Mata i innych marynarzy o kilka cali, a to i tak

tylko dlatego, że tamci zauważyli, co się dzieje, i w miarę możliwości przywarli płasko do skalnej ściany.

Darrick nie poszedł w ślady pirata, bo padł na kolana i złapał się grubego korzenia, który dostrzegł w ostatniej chwili. Jak zahipnotyzowany śledził upadek pokonanego.

Orfik nie wpadł w głęboki nurt. Głową naprzód poleciał na płyciznę. Obrzydliwy chrzęst pękającej czaszki poniósł się echem wśród skał.

– Darrick! - zawołał z dołu Mat.

Uświadamiając sobie, w jak niebezpiecznej sytuacji się znajduje, Darrick odwrócił się do drugiego pirata, niemal pewien, że tamten stoi tuż nad nim. Ale Lon wycofał się na górską ścieżkę. Sadził długimi susami, których odgłos odbijał się od kamieni.

– Biegnie do ogniska sygnałowego - zawołał Mat. - Jeśli tam dotrze, ostrzeże piratów, a życie królewskiego bratanka znajdzie się w niebezpieczeństwie. Nasze pewnie też.

Darrick podniósł się z przekleństwem. Już miał rzucić się w pogoń, gdy przypomniał sobie o linie obwiązanej wokół bioder. Chwycił nóż w zęby, zręcznymi palcami zaczął rozwiązywać węzły. Obrócił się, przeciągnął linę wokół korzenia z biegiem i spokojem marynarza w obliczu szkwału, nie spuszczać przy tym oka z uciekającego pirata. *Jak daleko jest do ogniska sygnałowego?* Zabezpieczywszy linę, co Lonowi dało zaledwie trzy kroki dodatkowej przewagi, Darrick szarpnął ją i zawołał usatysfakcjonowany:

– Lina zabezpieczona! - I rzucił się za uciekającym piratem.



– Wstawaj i ubieraj się - rozkazał kapitan Raithen, nie patrząc nawet na kobietę, która leżała obok niego.

Wstała bez słowa, zdążyła już bowiem wyciągnąć nauczkę z wcześniejszych błędów i wiedziała, że ma milczeć, po czym przeszła przez pokój do skrzyni, na której pozostawiła ubranie.

Choć nic do niej nie czuł, a nawet nią pogardzał, bo po raz kolejny pokazała mu, że nie był w stanie kontrolować swego pożądania, Raithen nie odrywał od kobiety spojrzenia, obserwując, jak się ubiera. Jego ciało pokryte było potem ich obojga, gdyż ogień ryczący w kominku zbytnio ogrzewał komnatę. W Porcie Tauruka pozostało niewiele budynków nadających się do zamieszkania, a jednym z nich była ta właśnie gospoda. Piraci wprowadzili się tutaj, służyła za skład jedzenia, sprzętu i towarów, które rabowali ze statków.

Kobieta była młoda i nawet trudy życia wśród piratów nie zniweczyły miękkich linii jej smukłego ciała. Na udach wciąż miała na wpół zagojone rany po tym, jak poprzednim razem Raithen zdyscyplinował ją pejcem.

Nawet teraz, gdy się ubierała, świadomie używała swego ciała, by pokazać Raithenowi, że wciąż ma nad nim władzę. Pożądał jej, choć w ogóle o nią nie dbał, i kobieta o tym wiedziała.

Takie zachowanie frustrowało Raithena, nie zabił jej jednak od razu. Nie pozwolił też wykorzystać innym, zatrzymawszy brankę do swego prywatnego użytku. Gdyby zginęła, żadna z kobiet, które zabrali ze zdobytych statków, nie byłaby w stanie go zadowolić.

– Nadal myślisz, że jesteś taka dumna, kobieto? - zapytał Raithen.

– Nie.

– Więc chcesz mi coś pokazać?

– Nie. - Jej odpowiedź pozostała cicha i spokojna.

Ten widoczny brak emocji podsycił gniew, nad którym Raithen i tak z trudem panował. Wciąż nie mógł też zapomnieć o oślepiającym bólu i upokorzeniu, którego doznał ze strony Cholika.

Pomyślał o tym, jak kapłan zawiesił go nad przepaścią, udowadniając, że wcale nie był starym, trzęsącym się durniem, za którego uważał go Raithen. Kapitan sięgnął po smukłą butelkę z winem, która stała na stoliku przy łóżku. On i jego załoga zabierali ze statków nie tylko złoto i srebro.

Raithen wyjął korek z butelki i pociągnął długi łyk ciemnego, czerwonego wina. Paliło go w gardle i diabelnie mało brakowało, aby się zakrztusił, ale pił dalej. Wreszcie wytarł usta grzbietem dłoni i spojrzał na kobietę.

Stała przy skrzyni w prostej sukience, boso. Po laniu, jakie sprawił jej za pierwszym razem, nie ośmieliłaby się nawet marzyć, by wyjść bez pozwolenia. Albo o nie poprosić.

Raithen zakorkował butelkę.

– Nigdy nie spytałem, jak masz na imię, kobieto.

Na te słowa uniosła odrobinę podbródek, jej spojrzenie poszukało jego, a potem opuściła wzrok.

– Czy chcesz poznać moje imię?

Raithen wyszczerzył się.

– Gdybym chciał, żebyś miała imię, tobym ci je nadał.

Kobieta niemal straciła nad sobą panowanie, policzki płonęły jej z gniewu i wstydu. Zmusiła się do przełknięcia śliny. Z daleka widać było bicie pulsu w miękkim zagłębieniu szyi.

Raithen złapał koc, który go okrywał, otarł twarz rogiem i podniósł się z łóżka. Miał nadzieję napić się, aż zaśnie, ale nie zdołał.

– Czy w Zachodniej Marchii byłaś kimś ważnym, kobieto? - Raithen wciągnął spodnie. Z przyzwyczajenia pozostawiał miecz i nóż w zasięgu ręki, ale kobieta na żadnym nie zatrzymała spojrzenia na dłużej. Wiedziała, że jeśli ulegnie tej pokusie, źle się to dla niej skończy.

– Nie pochodzę z Zachodniej Marchii - odpowiedziała.

Raithen założył koszulę. Na statku czekały na niego inne ubrania, a także gorąca kąpiel, chłopak okrętowy już dobrze wiedział, że woda nie może wystygnąć.

– A skąd?

– Aranoch.

– Lut Gholein? Wydawało mi się, że słyszę akcent w twoim głosie.

– Na północ od Lut Gholein. Mój ojciec handlował z kupcami z Lut Gholein.

– Czym handlował?

– Był dmuchaczem szkła. Wytwarzał przedmioty ze szkła tak wspaniałe, że rzadko spotyka się lepsze. - Jej głos nieco się załamał.

Raithen popatrzył na nią z zimną obojętnością, wiedział, skąd biorą się te emocje. A skoro wiedział, nie mógł powstrzymać się, by nie rozdrapać bardziej tej rany.

– A gdzie jest teraz twój ojciec?

Usta kobiety zadrżały.

– Twoi piraci go zabili. Bez litości.

– Prawdopodobnie stawiał opór. Nie pozwalałam im okazywać litości. - Raithen przeczesał palcami rozczochrane włosy.

– Mój ojciec był starym człowiekiem - odpowiedziała. - Z nikim by nie walczył. Był łagodny i dobry i nie powinien zostać zamordowany.

– Zamordowany?! - powtórzył Raithen. Dwoma krokami pokonał dzielącą ich odległość. - Jesteśmy piratami, a nie jakimiś przeklętymi mordercami i życzę sobie, abyś uważała, jak się wyrażasz o tej profesji.

Nie podniosła wzroku. Łzy strachu płynęły po jej posiniaczonych policzkach. Ocierając je wierzchem dłoni, Raithen pochylił się i szepnął:

– I uważaj, co mówisz o mnie, albo oddam cię moim wilkom morskim, a pierwszej utnę język.

Gwałtownie uniosła głowę. Jej oczy rozbłysły, odbijając płomień buzujący w kominku.

Raithen czekał, zastanawiając się, czy kobieta się odezwie. Nie przestawał jej drażnić.

– Czy twój ojciec miał lekką śmierć? Nie pamiętam. Walczył czy też skonał, wrzeszcząc jak stara baba?

– Przeklęty! - krzyknęła. Zamierzyła się na niego pięścią.

Raithenowi wystarczyło ruszyć ręką, by powstrzymać cios. Złapał jej zaciśniętą dłoń w swoją. Kobieta odchyliła się i kopnęła, celując w krocze. Obróciwszy nogę i biodro, kapitan przyjął cios na udo. I spoliczkował brankę wierzchem dłoni.

Siła uderzenia cisnęła kobietę na przeciwległą ścianę. Brankę zamroczyło, oczy uciekły jej w głąb czaszki i wylądowała na podłodze z szeroko rozłożonymi nogami.

Raithen possał skaleczenie na grzbiecie dłoni, gdzie jej zęby przecięły mu skórę. Ból sprawił, że kapitan poczuł się bardziej żywy, a widok leżącej bezradnie kobiety przywrócił mu poczucie panowania nad sytuacją. Szyja wciąż go bolała, ale teraz dzielił z kimś upokorzenie, nawet jeśli ten ktoś był tego nieświadomy.

– Zabiję cię - powiedziała ochryple branka. - Przysięgam na Światłość i wszystko, co święte, że jeśli mnie nie zabijesz, znajdę jakiś sposób, by pozbawić cię życia. - Otarła krew z ust, plamiąc czerwienią palce.

Raithen uśmiechnął się szeroko.

– Możesz powiedzieć, że jestem głupi, ale radują mnie te słowa, dziewczko. Mówisz, jakbyś zajrzała w głąb mojej duszy. - Popatrzył na nią. - Widzisz? Większość pomyślałaby, że to tylko słowa. Że miałisz ozorem, aby poczuć się lepsza, może nieco odważniejsza. Ale ja patrzę ci w oczy i widzę, że mówisz prawdę.



– Jeśli będę żyć - odpowiedziała - przez resztę swojego życia będziesz musiał oglądać się przez ramię. Bo jeśli cię kiedyś odnajdę, zabiję.

Raithen skinął głową. Wciąż uśmiechał się szeroko, życie wydało mu się lepsze, choć był zaskoczony sposobem, w jaki do tego doszedł.

– Wiem, że tak zrobisz, kobieto. A gdybym był tak zadufanym w siebie chwalipiętą, jak pewien stary klecha, prawdopodobnie uczyniłbym ten błąd i poniżył cię, a potem zostawił przy życiu. Większość ludzi wystarczy zdrowo przerazić, a potem już można się nie martwić.

Kobieta dźwignęła się chwiejnie. Był to otwarty bunt.

– Ale ty i ja, kobieto - ciągnął Raithen - jesteśmy inni. Ludzie uważają, że jesteśmy niczym, że pleciemy, co ślina na język przyniesie. Nie rozumieją, że kiedy już zaczniemy ich nienawidzić i spiskować przeciwko nim, będziemy tylko czekać, aż wykażą się słabością, którą będziemy mogli wykorzystać. - Przerwał. - Podobnie jak ty zniesiesz każdą zniewagę, każde upodlenie, które wymyślę, żeby cię złamać, a jednak pozostaniesz na tyle silna, by próbować mnie zabić.

Stała naprzeciw niego z krwią rozmazaną na policzku.

Raithen kolejny raz uśmiechnął się, tym razem ciepło i szczerze.

– Chciałbym ci za to podziękować. Znowu poczułem wiatr w żaglach. Dzięki tobie. Przypomniałaś mi o właściwym kursie, którego muszę trzymać się w tym przedsięwzięciu. Niezależnie od tego, jak wiele ochłapów rzuci mi Arcymistrz Buyard Cholik, nie jestem psem, który bije się o gnaty i zbiera razy od swego pana.

Podszedł do niej.

Tym razem się nie cofnęła. Patrzyła na niego tak, jakby był ze szkła.

– Masz moje podziękowania, kobieto - powtórzył, zbliżając swoje usta do jej.

Z szybkością i determinacją, których się po niej nie spodziewał, zatopiła Raithenowi zęby w gardle, chcąc przegryźć tętnicę.

# CZTERY



Darrick ostrożnie stawiał stopy na skalistej krawędzi klifu, świadom, że tuż obok rozpościera się przepaść, w dole zaś płynie spowita mgłą rzeka. Tu i tam światło księżyca muskało jej powierzchnię, pozostawiając diamenty blasku. Darrick oddychał raptownie, ze świstem. Świadomość, że Mat i inni marynarze już wspinają się po linie, poprawiała mu samopoczucie. Ale myśl, że biegnie w ciemnościach tylko po to, by wypaść wprost na grupkę obozujących na klifie piratów, była raczej ponura.

W dłoni ścisnął rękojeść noża, kordelas miał w pochwie przy pasie. Ciężkie ostrze obijało się mu o biodro. Zasłaniał się przedramieniem, więc jodłowe i sosnowe gałęzie nie biły po oczach. Ale i tak witki smagały go po policzkach, pozostawiając nabrzmiałe pręgi.

Wysoki pirat pobiegł przez iglasty lasek wydeptaną przez zwierzynę ścieżką, ale szybko ją opuścił, zanurkował w wielką kępę bujnych krzaków i przepadł.

Darrick zdwoił wysiłki, niemal przekraczając przy tym swoje siły nadwerężone po długiej, wyczerpującej wspinaczce. Przed oczyma latały mu czerwone płatki, nie mógł złapać tchu.

Wiedział, że jeśli piraci ich odkryją, to on i jego ludzie będą mieli niewielką szansę na dotarcie do „Samotnej Gwiazdy” w Zatoce Zachodniej

Marchii, morscy rabusie dopadną ich wcześniej. W najlepszym wypadku zginą szybko, prawdopodobnie razem z porwanym chłopcem.

Darrick dotarł do miejsca, gdzie pirat zniknął między krzakami, i rzucił się za nim. Las tonął w ciemnościach i marynarz niemal stracił orientację. Odruchowo spojrział do góry, ale gruba zasłona z gałęzi nie pozwalała dojrzeć migotania gwiazd, więc nie mógł się nimi kierować. Biegł zatem na słuch.

Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, ciemność plunęła kształtami. Nawet w otaczającym mroku Darrick zdołał dostrzec duże, skórzaste skrzydła, błyszczące czarne oczy i zbliżające się, lśniąco białe zęby. Opadł go prawie tuzin nietoperzy, rozjuszonych przejściem pirata. Ich ostre krzyki były niemal ogłuszające, a kły pozostawiły na skórze marynarza krwawe ślady.

Darrick ciął nożem na oślep, ale nie zwalniał. Czarne nietoperze były znane ze swych zdolności myśliwskich, polowały w stadzie i często razem atakowały pomniejszą zwierzynę. Darrick słyszał też, choć nigdy nie widział tego na własne oczy, że duże stada tych drapieżnych krwiopijców były zdolne powalić rosnącego mężczyznę i oczyścić kości z ciała.

Chwilę później, wciąż mając za plecami nietoperze, Darrick przewrócił się o zwalone drzewo i legł jak długi. Poturlał się, ale nie wypuścił noża. Kordelas uderzył go w biodro z siłą, która z pewnością zostawiła potężny siniec. Marynarz poderwał się jednak na równe nogi, gotów podjąć pościg.

Biegł przez las, a oddech palił mu gardło. Serce tłukło się w piersi, w uszach ryczała tętniąca krew. Wolną ręką uchwycił się drzewa i wykonał ostry zakręt, niemal wybijając sobie bark ze stawu.

Wielki pirat również nie radził sobie zbyt dobrze. Jego oddech był urywany, ciężki i nieregularny.

Darrick wiedział, że gdyby miał czas, w końcu zagoniłby tamtego do upadłego. Ale właśnie czasu nie miał. Już widział żółty blask ogniska, prześwitujący przez gałęzie świerków i jodeł.

Pirat wybiegł z lasu i pognął w stronę ognia.

*Pułapka?* – myślał gorączkowo Darrick. *Czy desperacja? Tak się boi gniewu kapitana, że nie dba o to, czy go dopadnę?* Nawet w Zachodniej Marchii kapitanowie utrzymywali surową dyscyplinę. Darrick nadał im bliźny od batów, które otrzymał, gdy jeszcze piął się po szczeblach okrętowej hierarchii. Oficerowie nigdy nie serwowali kar sroższych, niż mógłby wytrzymać, ale pewnego dnia niektórzy z nich pożałują, że w ogóle go karali.

Bez wahania, świadom, że nie ma innego wyjścia, jak tylko próbować zatrzymać pirata, Darrick wyskoczył z lasu, zebrawszy resztki sił. Jeśli było tam więcej ludzi niż ten ocalały pirat, to marynarz właśnie podpisał na siebie wyrok śmierci. Biegł swoim zwykłym wyciągniętym krokiem, niemalże się zatraciwszy.

Ognisko płonęło u stóp niewielkiego wzniesienia. Płomienie rzucały ruchliwe cienie na zbocze. Powyżej, na trzech postawionych na sztorc polanach, wisiał niewielki kociołek, wypełniony najpewniej smołą: ognisko sygnałowe.

Darrick wiedział, że kociołek jest doskonale widoczny dla następnego posterunku w górze rzeki. Jeśli piratowi uda się zapalić tam ogień, nic już nie powstrzyma alarmu.

Rzęząc i spazmatycznie dysząc, pirat chwycił leżącą obok małego ogniska pochodnię i wepchnął ją w płomienie. Zająła się natychmiast żółtoniebieskim ogniem, była nasączona tranem. Trzymając żagiew, Lon ruszył dość zwawo w górę zbocza.

Darrick rzucił się na pirata. Miał nadzieję, że pozostało mu dość siły i rozpędu, aby pokonać dzielącą ich odległość. Złapał go pod kolana i pociągnął. Lon uderzył twarzą w granitową skałę i zwalił się na marynarza, po czym obaj zsunęli się ze stromego zbocza na spękaną, kamienistą ziemię.

Pirat oprzytomniał pierwszy, zerwał się i wyciągnął miecz. Blask ogniska oświetlił jego twarz, na której mieszały się strach i gniew. Ujął broń oburącz i zaatakował.

Darrick odtoczył się, nie mógł uwierzyć, że tamten chybił. Zakończył przewrót na klęczkach, zarazem sięgając po broń, po czym dźwignął się szybko. Ściskając w jednej ręce nóż, a w drugiej kordelas, stanął twarzą w twarz z piratem niemal dwa razy większym od niego.



Ból znowu przeszył Raithena, gdy kobieta zatopila zęby w jego szyi. Poczuł własną krew, ciepłą strugę na szyi, i gwałtowny przypływ paniki, która wezbrała gdzieś w głębi i popędziła spienioną falą, by uderzyć w podstawę czaszki jak dziki tygrys. Przez jedną przerażającą chwilę Raithen był pewien, że padł ofiarą wampira. Że kobieta znalazła sposób, aby zaprzedać swoją duszę jednemu z nieumarłych potworów, które, jak podejrzewał kapitan, Buyard Cholik ścigał w ruinach dwóch miast.

Opanowując zimny dreszcz, który przemknął mu wzdłuż kręgosłupa, Raithen usiłował się cofnąć. *Wampiry nie istnieją!* – krzyczał do siebie w myślach. *Nigdy nie widziałem ani jednego.*

Wyczuwając ruch, kobieta przywarła do pirata, uderzając go w podbródek czubkiem głowy. Opasała Raithena rękami, przylgnęła jak

pijawka. Jej usta i zęby szukały odpowiedniego miejsca, by ponownie rozerwać piratowi skórę.

Raithen krzyczał z bólu, bo chociaż spodziewał się, że kobieta nie pozostanie bierna, to ten manewr go zaskoczył. Skręcił prawe ramię, szarpnął. Mały nóż do rzucania, ukryty w przemyślnie wykonanej pochwie, wpadł w nadstawioną dłoń ręką naprzód. Chwycił go mocno, obrócił rękę i wbił ostrze w brzuch branki.

Jej usta rozchyliły się w westchnieniu, pieszczotę oddechu Raithen poczuł na policzku. Kobieta zacisnęła ręce na jego ramieniu, próbując w ten sposób wyrwać nóż ze swego ciała. Potrząsnęła głową, jakby nie mogła uwierzyć w to, co ją spotkało, i cofnęła się chwiejnie.

Raithen złapał ją za włosy, mocno owijając palce miękkimi kosmykami, żeby nie mogła mu się wymknąć albo, gorzej jeszcze, wyjść z kajuty. Przycisnął brankę do ściany. Kobieta oczy miała rozszerzone ze zdumienia, gdy pirat skierował ostrze ku górze i wepchnął głębiej, do serca.

– Sukinsyn - wyszeptała. Na jej ustach wykwitła krwawa bańka, a słowo spowite szkarłatną mgiełką było ledwie zrozumiałe.

Raithen podtrzymał kobietę, patrząc, jak w jej oczach gaśnie życie i świadomość, sam w pełni świadom tego, co jej odbierał. Powrócił doń własny strach, gdy pirat poczuł krew płynącą mu po szyi. Bał się, że branka zdołała przegryźć tętnicę, co oznaczałoby, że Raithen wykrwawi się na śmierć - nie miałby szans, aby to krwawienie powstrzymać. Na żadnym ze statków pirackich w Porcie Tauruka nie było uzdrowicieli, a kapłani zostali zamknięci na noc lub zajmowali się rozkopywaniem grobów. Zresztą i tak nie wiedział, czy znaleźliby się wśród nich uzdrowiciele.

Kobieta zwiotczała, martwe ciało zwisło mu w ramionach.

Raithen, podejrzliwy z natury, nie wyjął noża ani nie pozwolił jej upaść. Mogła udawać - nawet z czterocalowym ostrzem w piersi. Jemu udało się

coś takiego w przeszłości, zdołał wtedy zabić dwóch ludzi.

Po chwili był pewien, że kobieta nigdy się nie poruszy. Jej usta pozostały rozchylone, zabarwione z lekka krwią, która już przestała płynąć. Oczy, matowe i bez życia, wpatrywały się w kapitana. Twarz miała bez wyrazu.

– Niech mnie, kobieto - wyszeptał Raithen z prawdziwym żalem. - Gdybym wiedział, że masz w sobie taki ogień, czas, który spędziłem razem, byłby o wiele przyjemniejszy. - Odetchnął głęboko, wciągając słodki aromat perfum z ostatniego łąpu, które dał jej i nakazał używać do łóżka. Wyczuł też metaliczną woń krwi. Oba zapachy były upajające.

Drzwi do komnaty otworzyły się nagle.

Raithen, gotowy na najgorsze, obrócił się, trzymając trupa między sobą a wejściem. Uniósł nóż, wyciągnięty z trzewi martwej branki.

Do środka wszedł posiwiwały mężczyzna z kuszą w dłoniach. Mrużył oczy, oślepiiony blaskiem padającym z kominka.

– Kapitanie? Kapitanie Raithen? - Bełt nieruchomej kuszy wycelowany był w oboje kochanków.

– Wyceluj to diabelstwo w inną stronę, Mały - warknął Raithen. - Kuszy nigdy nie można ufać.

Pirat posłuchał i oparł okutą metalem kolbę na biodrze. Podniósł dłoń i zdjął trójgraniasty kapelusz.

– Wybaczenia upraszam, ale żem myślał, żeście, kapitanie, trafili tu na jakie wzburzone wody. Znaczą się o te hałasy i krzyki mnie się rozchodzi. Nie wiedziałem, że zabawiacie się z dziewczką.

– Bawiłem się - powiedział Raithen z udawanym spokojem, ponieważ nadal chciał wiedzieć, jak mocno został ranny. - I nie tylko ja. - Puścił ciało kobiety, które z łomotem upadło u jego stóp.

Jako herszt najokrutniejszych piratów, jacy pływali po Zatoce Zachodniej Marchii i Wielkim Oceanie, musiał utrzymać stosowny wizerunek. Gdyby



załoga wyczuła jego słabość, ktoś mógłby się skusić, żeby skorzystać z okazji. On sam dowództwo „Barakudy” zabrał wraz z życiem poprzedniego kapitana.

Mały wyszczerzył się i splunął do wyszczerbionej brązowej spluwaczki w rogu komnaty. Wytarł usta wierzchem dłoni, po czym oznajmił:

– Wygląda na to, żeśta się zmęczyli. Przysłać następną?

– Nie. - Tłumiąc szalejące w nim strach i ciekawość, Raithen wytarł spokojnie nóż o ubranie kobiety i podszedł do lustra. Było popękane i poplamione ze starości w miejscach, gdzie wytarła się warstwa srebra. - Ale o czymś mi przypomniała, Mały.

– O czym, kapitanie?

– Ten przekłety kapłan, Cholik, uważa nas za swoich sługusów. - Raithen w lustrze przyglądał się ranie na szyi i macał palcem jej brzegi. Dzięki Światłości, nie krwawiła bardziej niż wcześniej, właściwie to krwawienie ustawało powoli.

Ciało między śladami zębów już napuchło i zaczynało nabierać fioletowej barwy. Kawałki skóry, a nawet mięśnia, wisiały w strzępach. Pozostanie blizna, co do tego Raithen nie miał wątpliwości. Ta myśl była raczej gorzka, kapitan wyjątkowo dbał bowiem o swój wygląd. Był przystojnym mężczyzną i bardzo się starał, by tak pozostało. Z drugiej strony, otrzymał właśnie barwniejsze i łatwiejsze do przyjęcia wyjaśnienie tych wszystkich sińców wokół szyi.

– Ano - chrząknął Mały. - Te klechy zawsze zależą człowiekowi za skórę całym tym, co to nie oni. Jakby paluchem pokazywali, jacy to oni są potężni i wielcy. Zawsze zachowują się tak, jakby byli o niebo lepsi od takich jak wy czy ja. Jak zem miał straż, to takem sobie myślał, coby capnąć takiego klechę, wypatroszyć i pozostawić, żeby inni znaleźli. Zaraz by zaczęli lepiej myśleć o tym, co tutaj robimy.

Zadowolony, że jego życiu nie grozi niebezpieczeństwo, o ile kobieta nie roznosiła jakiejś choroby, która jeszcze się nie ujawniła, Raithen wyjął chustkę z kieszeni i zawiązał na szyi.

– Nie jest to zły pomysł, Mały.

– Dziękuję wam, kapitanie, ja tam zawsze myślę. No i to opuszczone miasto, z tymi wszystkimi historyjkami o demonach i im podobnych, to doskonałe miejsce na taki numer. Zaraz by się okazało, który klecha Cholika naprawdę w to wierzy. - Uśmiechnął się, ukazując poczerwiałe pieńki zębów.

– Niektórzy z naszych też się mogą zacząć martwić.

Patrząc w lustro, Raithen ocenił chustkę. Wyglądała nie najgorzej. W odpowiednim czasie, kiedy rana już się zagoi, wymyśli historię, jak to dorobił się śladów w ramionach kochanki, którą zabił albo okradł, albo może od jakiejś szalonej i namiętnej księżniczki z Kurast, którą porwał dla okupu i oddał ojcu za tyle złota, ile ważyła, pozbawiwszy ją uprzednio cnoty.

– Możemy powiedzieć ludziom, co to było.

– Tajemnicy, Mały, może dotrzymać jeden człowiek. Jak się nią podzieli z drugim, to już ryzykuje, że sprawa się wyda. Powiedzieć całej załodze? - Raithen potrząsnął głową i spróbował się nie skrzywić, gdy zaboląła go szyja. - To byłoby głupie.

Mały zmarszczył brwi.

– No, coś zrobić trza. Klechy odkryli drzwi w tych swoich norach. A jak się tak będą dalej zachowywać, to raczej nie dowiemy się, kapitanie, co jest za tymi wrotami.

– Drzwi? - Raithen odwrócił się do swojego zastępcy. - Jakie drzwi?



Pirat Lon zaatakował Darricka w sposób, który miał niewiele wspólnego z szermierką. Chwycił miecz oburącz i zamachnął się w głowę przeciwnika, z zamiarem przecięcia jej na pół na podobieństwo przejrzałego melona.

Darrick zasłonił się kordelasem. Wiedział, że większy miecz może zgruchotać jego ostrze, ale nie miał innej możliwości obrony. Nie próbował więc zatrzymać ciężkiej klingi, tylko odbić ją na bok. Jednocześnie zrobił krok w bok, uprzedzając zmianę kierunku, której spróbował pirat. Jednak nie udało mu się do końca zablokować ciosu i dostał płazem w skroń - niemal stracił przytomność.

Instyktownie i zgodnie z wyuczonymi odruchami Darrick zablokował ostrze przeciwnika swoim, próbując zarazem otrząsnąć się po uderzeniu. Jego wzrok i słuch słabły, podobnie jak czasem zanikał świat, gdy „Samotna Gwiazda” płynęła wzdłuż długich fal, zamiast je przecinać.

Lon, zebrawszy resztki sił, zepchnął Darricka o kilka kroków, ale niewiele mu to dało.

Darrick stawał z ogromną wprawą, wypełniało go mroczne okrucieństwo, jak zawsze, kiedy walczył. Zrobił krok do przodu i czołem uderzył pirata w twarz.

Lon zatoczył się z jękiem.

Darrick natarł na niego bezlitośnie. Pirat najwyraźniej osiągnął kres swych szermierczych możliwości, starał się tylko utrzymać przy życiu, cofał się, zataczał i potykał o kamienie, kiedy próbował wejść na wzniesienie za plecami. Zaledwie chwilę później zrobił o krok za dużo.

Darrick usłyszał jakby z daleka, że buty mężczyzny zgrzytają na nierównej ziemi. Potem pirat upadł, machając rękami i wrzeszcząc. Osłonił głowę. Darrick szybko i bez litości ciął go w dłonie. Wielki miecz poszybował i znikł w gęstych krzakach kilkanaście jardów dalej. Lon podniósł rękę.

– Poddaję się! Poddaję się! Litości!

Choć Darrick był wciąż oszołomiony po ciosie płazem, to litość znajdowała się poza jego zasięgiem. Pamiętał trupy, unoszące się wśród szczątków statku z Zachodniej Marchii złupionego przez piratów. Lecz nie mógł zatrzymać tego obrazu, bo jego sponiewierany umysł coraz bardziej pograżał się w przeszłości i Darrick przypomniał sobie, jakie baty brał od ojca, kiedy był dzieckiem. Ojciec był rzeźnikiem, wielkim i szorstkim, o potężnych, pokrytych odciskami dłoniach, które jednym ciosem potrafiły rozciąć skórę na policzku.

Przez lata Darrick nie potrafił pojąć przyczyny gniewu i wściekłości rodzica. Zawsze zakładał, że to jego wina, że nie był dobrym synem. Dopiero gdy dorósł, zrozumiał, co wpływało na ich relacje.

– Litości - błagał pirat.

Darrick jednak słyszał głos ojca, przeklinającego, grożącego zakatowaniem na śmierć albo wykrwawieniem jak świeżo zaslachtowanego prosiaka. Darrick uniósł kordelas i zamachnął się, pragnąc odciąć piratowi głowę.

Nagle pojawił się miecz, który zablokował cios marynarza i sprawił, że ostrze wbiło się w ziemię cale od zasłoniętej rękami twarzy pirata.

– Nie - powiedział ktoś.

Darrick jednak wciąż zatopiony był w bolesnych wspomnieniach i przeszłość nakładała mu się na teraźniejszość. Obrócił się i uniósł broń. Zdumiewające, ale ktoś chwycił go za ramię, zanim marynarz zdążył się zamachnąć, i powstrzymał cios.

– Darrick, to ja. To ja, Mat. - Głos Mata, ochryply od emocji, był właściwie szeptem. - Do diabła, to ja, przestań. Musimy go mieć żywego.

Darrick zmrużył oczy i spróbował skupić wzrok. Głowę wciąż wypełniał mu ogłuszający ból, przed oczyma latały ciemne płatki. Choć został

zmuszony do powrotu do rzeczywistości, nie mógł do końca otrząsnąć się ze wspomnień.

– To nie twój ojciec, Darrick - powiedział Mat.

Darrick skupił się na przyjacielu, czując, że emocje mu opadają, pozostawiając słabym i drżącym.

– Wiem. Wiem o tym. - Ale tak naprawdę to wcale nie wiedział na pewno. Cios pirata niemal pozbawił go zmysłów. Odetchnął głęboko, żeby odzyskać przytomność.

– Musimy go mieć żywego - powtórzył Mat. - Chodzi o królewskiego bratanka. Ten człowiek ma informacje, które mogą nam się przydać.

– Wiem. - Darrick spojrzał na Mata. - Puść mnie.

Mat zajął mu w oczy, ale wciąż trzymał mocno.

– Jesteś pewien?

Za ramieniem przyjaciela Darrick zobaczył innych marynarzy. Tylko stary Maldrin nie wydawał się zdziwiony żądzą krwi młodszego żeglarza. Niewielu z załogi wiedziało o mrocznej furii, która czasem wymykała się Darrickowi spod kontroli. Od dawna mu się to nie zdarzało.

– Jestem pewien - potwierdził Darrick.

Mat zwolnił uścisk.

– Te czasy już minęły. Nie musisz do nich wracać. Twój ojciec został w Hillsfar. Zostawiliśmy go tam wiele lat temu. Pozbyliśmy się raz na zawsze.

Kiwając głową, Darrick schował kordelas do pochwy i odwrócił się od towarzyszy. Omiótł spojrzeniem horyzont, świadom, że Mat nadal obserwuje go uważnie. To, że przyjaciel nie ufał zapewnieniu, że wszystko w porządku, martwiło i złościło zarazem Darricka.

A w uszach wciąż dzwonił mu śmiech ojca, zawsze tak się śmiał, gdy udowadniał Darrickowi, że chłopak jest bezradny i do tego pozbawiony jakiegokolwiek wartości. Niezależnie od tego, jak bardzo Darrick się starał,

jak wysoko zaszedł w hierarchii marynarki Zachodniej Marchii, nie był w stanie pozostawić tego głosu za sobą, w Hillsfar. Odetchnął głęboko.

– W porządku, lepiej bierzmy się za to, chłopcy. Maldrin, weź paru ludzi i przynieście wody, jeśli łaska. Chcę, byście zalali to ognisko, żeby nikt go nie mógł rozpaścić, wszystko jedno, celowo czy przez przypadek.

– Aye, sir - odpowiedział Maldrin, odwrócił się i wskazał na dwóch ludzi, żeby mu towarzyszyli. Przeszukali szybko rzeczy strażników, znaleźli parę bukłaków. Opróżnili je nad pochodnią i ruszyli do krawędzi klifu, by dokończyć robotę.

Darrick odwrócił się i spojrzał na pirata, któremu Mat właśnie kończył wiązać ręce.

– Ilu tu pełniło straż? - zapytał Darrick. Mężczyzna milczał. - Nie będę się trudził pytaniem cię po raz drugi - ostrzegł Darrick. - W tej chwili, i spróbuj zrozumieć, co do ciebie mówię, dla mnie lepiej, żebyś był martwy niż żywy. Wcale mi się nie uśmiecha wypełnić misję z jeńcem na plecach.

Lon przełknął ślinę i próbował patrzeć wyzywająco.

– Na twoim miejscu bym mu uwierzył - wtrącił Mat, klepiąc pirata po policzku. - Kiedy jest w takim nastroju, prędzej każe cię zrzucić z klifu, niż pozostawi przy życiu w nadziei, że znasz jakiegokolwiek odpowiedzi na jego pytania.

Darrick wiedział, że pirat, leżąc na ziemi, czuje się bezbronny. A słowa Mata miały sens. Lon nie wiedział tylko, że Mat nie pozwoli Darrickowi zadziałać pod wpływem takiego impulsu. Tak czy inaczej, Darrick odzyskał już panowanie nad sobą.

– Lepiej mów - zachęcał Mat w charakterystyczny dla siebie dobroduszny sposób, kucając obok jeńca. - Powiedz nam, co wiesz.

Pirat popatrzył na nich podejrzliwie.

– Pozwolicie mi żyć?

– Ano - zapewnił go Mat bez wahania. - Daję ci słowo, naprawdę, i nawet splunę na rękę, żeby przybić umowę.

– A skąd mam wiedzieć, że mogę wam ufać? - spytał pirat.

Mat się roześmiał.

– Stary, w końcu daliśmy ci żyć jak na razie, co nie?

Darrick spojrział z góry na mężczyznę.

– Ilu was tu było?

– Tylko dwóch - odpowiedział pirat ponuro.

– Kiedy zmienia się straż?

– Wkrótce. - W głosie pirata zabrzmiało wahanie.

– Szkoda - stwierdził Mat - bo jeśli ktoś tu się pojawi w ciągu najbliższych kilku minut, będę ci musiał poderżnąć gardło, jak nic.

– Myślałem, że darujecie mi życie - zaprotestował Lon.

Mat znów poklepał go po policzku.

– Tylko jeśli nie spotkają nas żadne paskudne niespodzianki.

Pirat oblizał wargi.

– Warta zmienia się przed świtem. Powiedziałem wam, że zaraz, bo może byście sobie poszli i Raithen nie byłby na mnie wściekły, że nie zapaliłem sygnału.

– No - przyznał Mat - to był niezły plan. Sam pewnie spróbowałbym czegoś takiego. Ale my jesteśmy tu w ważkiej sprawie, rozumiesz.

– Pewnie. - Pirat pokiwał głową. Mat, jak w większości wypadków, zachowywał się tak łagodnie i z takim zrozumieniem, że każdy dawał się zwieść.

Darricka natychmiast ogarnęło poczucie ulgi. Nie spodziewał się wprawdzie, iż zmiana warty nastąpi w nocy, ale potwierdzenie znaczyło, że wciąż mieli kilka godzin na sprowadzenie królewskiego bratanka, zanim nad klifami wstanie świt.

– Co z królewskim bratankiem? - zapytał Mat. - To tylko dziecko i raczej bym nie chciał usłyszeć, że spotkał go jakiś niefortunny wypadek.

– Chłopiec żyje.

– Gdzie? - zapytał Darrick.

– Ma go kapitan Raithen. - Pirat otarł krew z warg. - Trzyma go na pokładzie „Barakudy”.

– A gdzie znajdziemy „Barakudę”? - indagował Darrick.

– Jest na przystani. Kapitan Raithen nigdzie nie puszcza „Barakudy”, chyba że sam jest na pokładzie.

– Dobrze. - Darrick odwrócił się na wschód i zauważył, że Maldrin i pozostali już wrócili z bukłakami, które napełnili wodą z rzeki przy pomocy pozostawionej liny. - Podnieś tego człowieka, Mat. Chcę, żeby został porządnie zakneblowany.

– Aye. - Mat podniósł pirata szarpnięciem i wyjął z kieszeni chustę, by zrobić z niej knebel.

To, że Lon skrzywił się i cofnął, gdy Darrick się doń zbliżył, pozostawiło gorzki posmak w ustach marynarza. Pirat nie ruszył się tylko dlatego, że Mat go przytrzymał.

– Rozumiemy się, prawda? - spytał Darrick cicho, z twarzą zaledwie cale od twarzy jeńca.

Gdy cisza przedłużała się, pirat spojrzał na Mata, w którym jednak nie znalazł wsparcia. Wówczas odwrócił się do Darricka i pokiwał z nadzieją głową.

– Dobrze - powiedział Darrick, uśmiechając się lodowato. - Jeśli spróbujesz ostrzec swoich towarzyszy, co mogłoby ci przyjść do głowy, bo pewnie niektórych nawet darzysz sympatią, poderżnę ci gardło równie spokojnie jak człowiek patroszący rybę. Pokiwaj głową, jeśli rozumiesz.

Pirat pokiwał głową.



– Nie kocham piratów - stwierdził Darrick. - Uczciwy człowiek może utrzymać się na wiele sposobów, nie żerując na bliźnich. Zabiłem wielu piratów na Wielkim Oceanie i w Zatoce Zachodniej Marchii. Jeden więcej nie wpłynie jakoś znacząco na wynik, ale poprawi mi humor. Jasne?

Pirat znów pokiwał głową, a w jego oczach wezbrały krokodyle łzy.

– Jak słońce - dodał Mat energicznie, klepiąc pirata po ramieniu. - Myślę, że po takich wyjaśnieniach nie będziemy mieli żadnych problemów z tym człowiekiem.

– Dobrze. Zabierz go ze sobą, ale trzymaj blisko.

Darrick odwrócił się i skierował na wschód, wzdłuż grzbietu Gór Orlego Dzioba, który miał zaprowadzić ich do Portu Tauruka.

# PIĘĆ



Raithen patrzył, jak Mały sięga do kieszeni pod kamizelką i wyjmując kawałek papieru.

– To dlatego że tu przyszedł, kapitanie - powiedział pierwszy oficer. - Valdir przysłał to na górę zaraz, jak tylko mógł, kiedy kapłani znaleźli zasypane drzwi w tych swoich ruinach.

Raithen wziął arkusik. Rozwinął go i pochylił się do kominka i lampy stojącej na gzymsie.

Valdir był szpiegiem, którego kapitan przydzielił do kopaczy Cholika. Raithen wymieniał szpiegów z przybyciem każdej nowej grupy niewolników. Ludzie nie byli zachwyceni, gdy otrzymywali to zadanie, ale przynajmniej nie musieli wykonywać go długo. To, że nie stawali się tak słabi i wychudzeni jak pozostali kopacze, z pewnością zwróciłoby uwagę najemników, lojalnych wobec Cholika i jego złota.

Na papierze widniał rysunek serii koncentrycznych pierścieni przeplecionych linią.

– Co to? - zapytał Raithen.

Pochylając się, Mały znów splunął. Tym razem nie trafił do spluwaczki. Wytarł nitki śliny z podbródka.

– Taki symbol, co to Valdir widział na tej odkopanej bramie. To wielgachne wrota, kapitanie, wysokie prawie na trzech chłopa, jak twierdzi

Valdir.

– Rozmawiałeś z nim?

Mały pokiwał głową.

– Poszedłem pogadać z najemnikami, co to z nimi robimy interesy. Wiecie, tak żeby dopilnować, co by oni się trzymali po naszej stronie. Wziąłem dla nich parę butelczyn brandy, co to ją mamy z ostatniego statku Zachodniej Marchii.

Raithen wiedział, że nie był to jedyny powód, dla którego Mały zszedł do tuneli. Ponieważ piraci mieli wszystkie kobiety w porcie, czym Cholik i kapłani w ogóle nie byli zainteresowani, wynajęci przez nich najemnicy musieli negocjować cenę za kobiece towarzystwo z Małym.

Chciwość była jedną z tych cech, które sprawiły, że Raithen wybrał Małego na swojego pierwszego oficera. Mały z kolei doskonale wiedział, że lojalność jest gwarancją nie tylko jego kariery, ale i życia, znał więc swoje miejsce. Nadto w podjęciu decyzji pomogła Raithenowi świadomość, że Mały nigdy nie widział się w roli kapitana i pragnął jedynie służyć dowódcy, który doceni jego okrucieństwo i spryt.

– Kiedy kapłani znaleźli wrota? - zapytał Raithen.

Jeśli Cholik wiedział o odkryciu, dlaczego go tam nie było? Raithen nadal nie pojmował, czemu Cholik i jego sługusy w pocie czoła przekopywali się przez ruiny dwóch miast, ale wyraźny zapach klechów nawet herszta wprowadził w podniecenie.

– Dopiero co - odpowiedział Mały. - Tak wyszło, że byłem w tych tam korytarzach akurat, jak Valdir przyniósł wieści o znalezisku.

Bystry umysł Raithena natychmiast połączył fakty. Znów popatrzył na prymitywny rysunek.

– Gdzie ten sukinsyn Cholik? - Jego szpiedzy obserwowali też kapłana.

– Poszedł do kopaczy.

– Cholik zszedł na dół? - Raithen zainteresował się jeszcze bardziej.

– Tak jest, kapitanie. Jak mu tylko donieśli o tych drzwiach, natychmiast popędził na dół.

– A my nie mamy pojęcia, co jest za drzwiami? - Oczywiście Cholik z kolei nie wiedział o królewskim bratanku, którego Raithen i piraci porwali dla okupu. Obie strony miały swoje tajemnice, tylko że Raithen przynajmniej wiedział, że Cholik coś ukrywa.

– Nie, kapitanie, ale Valdir zara nam powie, jak tylko się sam dowie.

– Jeśli zdoła. - Kiedy tylko kapłani znajdowali coś, co ich zdaniem mogło okazać się ważne, natychmiast wyganiali niewolników z okolicy, póki nie wydobyli całkiem znaleziska.

– Ano, kapitanie, ale jeśli ktokolwiek da radę to zrobić, to Valdir.

Raithen zwinął kartkę, schował ją do kieszeni i pokiwał głową.

– Wolałbym, żeby ktoś z naszych był na dole z kapłanami. Zbierz załogę. Wyślij ich pod pretekstem, że dostarczają zapasy dla niewolników.

– Jeszcze nie czas na dostawę.

– Cholik nie będzie o tym wiedział. Zmusza ich do roboty, aż padną, a potem wrzuca do tej swojej krwawej przepaści.

– Ano, kapitanie. Już się za to biorę.

– A co z naszym gościem na pokładzie „Barakudy”?

Mały wzruszył ramionami.

– Trzyma się dobrze, kapitanie. Zdrowszy jak rybka. Żywy jest dużo wart, ale martwy już nie, kapitanie? - Pierwszy oficer potrząsnął tłustymi kulkami. - Toć to marny gnojek, co?

Raithen ostrożnie dotknął osłoniętej chustą rany. Skrzywił się, gdy ból załomotał pod czaszką.

– Ten chłopiec jest bratankiem króla, Mały. A król Zachodniej Marchii szczyli się wiedzą swoją i tych ze swojego rodu. Dzieci w większości

kształcą kapłani, szczególnie nacisk kładzie się na historię, czyli sprawy, które moim zdaniem lepiej zapomnieć. - *No może poza mapą skarbów od czasu do czasu albo zapiskami, gdzie wyladowany złotem okręt zatonął wśród wzburzonych fal.*

- Tak jest, kapitanie. Niepotrzebne głupoty. Gdyby mnie kto pytał.

Raithen nie pytał, ale teraz nie miał zamiaru się czepiać.

- Jakie twoim zdaniem mamy szanse, że chłopiec sporo wie o historii i innych sprawach, którymi interesują się kapłani? Może nawet wie coś o tym? - Poklepał kieszeń na piersi, gdzie schował papier z symbolem.

W kaprawych oczach Małego błysnęło zrozumienie. Podrapał się po szczeciniastym podbródku, odsłaniając resztki zębów zbrązowiałych od tytoniu.

- Ja, kapitanie? No jak na moje, to szanse są spore, no całkiem.

- Zamierzam porozmawiać z chłopakiem. - Raithen ze skrzyni w nogach łóżka zdjął kapelusz z piórem i nasadził sobie na głowę.

- Będziecie go musieli obudzić - uprzedził Mały. - I on za bardzo to nie jest skory do pogawędek. Kiedy dziś wieczór stary Byku poszedł go nakarmić, ten mały łotrzyk prawie mu ucho oberwał.

- Jak to?

- Stary Byku jak gdyby nigdy nic poszedł do ładowni, gdzie trzymamy chłopaka. Młodziak schował się za belką i stamtąd zeskoczył na Byka. Popieścił go parę razy po łbie deską, którą wydłubał ze ściany. Gdyby łepetyna Byka nie była tak twarda, mały zwierzak zatłukłby go na śmierć. A potem pewnie zabrałby dupę w troki z „Barakudy”.

- Chłopiec jest ranny? - spytał Raithen.

Mały machnął lekceważąco ręką.

- Nie-e. Dostał kilka razy przez łeb, żeby nie robił kłopotów, ale za dzień, dwa nawet śladu nie będzie.

– Nie życzę sobie, by chłopcu stała się krzywda, Mały. - Raithen postarał się, żeby jego głos brzmiał odpowiednio twardo.

Mały skulił się nieco i podrapał po karku.

– Nie pozwolę, aby ktoś z załogi go skrzywdził.

– Jeśli temu chłopakowi włos z głowy spadnie, zanim z nim skończę - ostrzegł Raithen, przestępując nad rozciągniętym na podłodze ciałem kobiety - uznam, że to twoja wina, Mały. I dostanie ci się za to.

– Rozumiem, kapitanie. Zaufajcie mi, nie musicie się tym martwić.

– Zbierz tych dostawców, ale niech nikt się nie rusza, dopóki nie powiem.

– Jak każecie, kapitanie.

– Zamierzam porozmawiać z tym chłopakiem. Może wie coś o symbolu.

– Jeśli mogę coś doradzić, kapitanie, to uważajcie na uszy. Ten dzieciak jest naprawdę szybki.



Buyard Cholik patrzył na ogromne wrota. Przez całe lata, odkąd dowiedział się o Kabraxisie i losie Ransim pogrzebanego pod Portem Tauruka, nie potrafił sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy wreszcie stanie przed drzwiami skrywającymi sekret demona. Nawet miesiące planowania i pracy, kiedy to schodził do podziemi, aby sprawdzić postępy i wywołać w podległych sobie akolitach strach lub chęć odwetu, nie przygotowały go na ten widok.

I choć spodziewał się, że będzie czuł dumę i radość z odkrycia, zapomniał o strachu, który teraz go przepełnił. Cholika ogarnęło drżenie, niczym ziemię, gdy wstrząsy rozpoczynają się głęboko w jej trzewiach. Chciał skomleć i wzywać archanioła Yaeriusa, który pierwszy zapoznał

ludzi z nauką Zakarum. Ale nie zrobił tego. Cholik wiedział, że dawno już przekroczył granicę tego, co można było wybaczyć wyznawcy Światłości.

Zresztą na cóż wybaczenie człowiekowi nad grobem? Szydził z siebie tym pytaniem, tak jak czynił to przez ostatnie miesiące, gdy coraz bardziej utwierdzał się w swoich decyzjach. Do śmierci zostało mu zaledwie kilka pustych, jałowych lat.

– Mistrzu - wyszeptał brat Altharin - czy dobrze się czujecie?

Stał po prawej stronie Cholika, o dwa kroki z tyłu, jak wymagał szacunek dla starszego kapłana.

Cholik pozwolił, by irytacja wypaliła resztki gniewu i oburzenia, jakie ogarniały go na myśl o zbliżającej się śmierci.

– Oczywiście, że czuję się dobrze - odpowiedział. - Czemu miałbym czuć się źle?

– Tak zamilkliście - odparł Altharin.

– Kontemplacja i medytacja - wyjaśnił Cholik - to kluczowe umiejętności dla każdego kapłana, jeśli chce on zrozumieć wielkie tajemnice, pozostawione nam przez Światłość. Lepiej to sobie zapamiętaj, Altharinie.

– Oczywiście, mistrzu. - Gorliwość, z jaką przyjmował łajanie, oraz gotowość Altharina do nieustannej pracy uczyniły z niego oczywistego kandydata na zarządzającego wykopaliskami.

Cholik przyglądał się potężnym drzwiom. *A może powinienem myśleć o nich jak o bramie?* Według tajemnych tekstów, które czytał, drzwi Kabraxisa strzegły innego miejsca, a nie tylko ukrytych rzeczy pozostawionych przez demona.

Niewolnicy pracowali dalej, w świetle latarni i pochodni gołymi rękoma ładując taczki kamieniami. Ich łańcuchy brzęczały o twardą posadzkę. Inni pracowali kilofami, stojąc na skale otaczającej drzwi lub na kruchych rusztowaniach, które dygotały przy każdym ruchu. Kiedy niewolnicy się

odzywali, w ich głosach dźwięczał strach, ale jednocześnie spieszyli się z odsłanianiem wrót. Cholik uznał, że mieli nadzieję na odpoczynek po zakończeniu tej pracy. *Jeśli coś zza tych drzwi ich nie pozabija – myślał Cholik - może przez jakiś czas będą odpoczywać.*

– Odślonięto już większość drzwi - powiedział Cholik. - Dlaczego nie posłano po mnie wcześniej?

– Mistrzu - odrzekł Altharin - nic nie wskazywało na to, że jesteście tak blisko ich odnalezienia. Natrafiliśmy na kolejną przeszkodę, tę ścianę, którą widzisz przed sobą. Skrywała bramę. Myślałem, że to jeszcze jedna ściana jaskini. Tak wiele razy droga, którą nam wskazałeś, sprawiała, że przebijaliśmy się do istniejących katakumb.

Cholik pamiętał z tekstów, że twórcy miasta zbudowali Ransim tak, by wykorzystać naturalne korytarze w okolicach Dyre. Jaskinie służyły jako magazyny towarów, którymi handlowali, naturalne zbiorniki wód podziemnych, z których mogli korzystać podczas oblężenia (co zdarzyło się kilka razy w historii miasta) oraz ochrona przed żywiołami, gdyż ze szczytów Gór Orlego Dzioba często schodziły burze. Z Portu Tauruka, wybudowanego po zniszczeniu Ransim, nie było dostępu do tych korytarzy.

– Gdy skuwaliśmy tę ścianę - kontynuował Altharin - zaczęła odpadać w dużych fragmentach. Właśnie dlatego przed drzwiami pozostało tyle gruzu.

Cholik patrzył, jak niewolnicy ładują wielkie kawały kamienia, po czym z wysiłkiem pchają pełne wózki na zwałowisko. Mniejsze odłamki wkładali do wiader i zrzucali na kolejne wózki. Okute żelazem koła trzeszczały na suchych osiach i chrzęściły na kamieniach.

– Odkrywanie drzwi postępowało bardzo szybko - wyjaśniał Altharin. - Jak tylko zrozumiałem, co znaleźliśmy, posłałem po ciebie.

Cholik zebrał resztki sił i ruszył do wrót. Nogi miał jak z ołowiu, a serce waliło mu o żebra. Za bardzo się wysilił, wiedział o tym. Konfrontacja z



Raithenem, a potem zaklęcie rzucone przeciwko szczurom wyczerpały go do cna. Ledwie oddychał. Władanie magią z trudem przychodziło starcom i kalekom. Używanie zaklęć miało swoją cenę, zdarzało się, że moc niszczyła albo okaleczała tych, którzy byli zbyt słabi, by sobie z nią poradzić. On zaś zaczął ich używać, mając najlepsze lata za sobą, bo zmarnował je wśród Zakarum.

Podłoga opadała w kierunku drzwi i Cholik przyspieszył mimowolnie. Niewolnicy zauważyli, że kapłan się zbliża, i schodzili mu z drogi, wołając do pozostałych, by zrobili to samo.

Młoty podnosiły się i opadały, gdy kolejni niewolnicy budowali następne rusztowania, wspinając się coraz wyżej. Spieszyli się tak bardzo, że jedna z kratownic odpadła od ściany, a wraz z nią czterech ludzi. Któryś wypuścił latarnię, roztrzaskała na kamiennej podłodze, rozlewając płonąca oliwę.

Jeden z leżących mężczyzn krzyczał z bólu, zaciskając ręce na strzaskanej nodze. W świetle pochodni zabłysnął biało ostry kawałek złamanej kości.

– Ugaście ten ogień - rozkazał Altharin.

Niewolnik posłusznie chlusnął na płomienie wodą z wiadra, ale tylko posłał deszcz płonących kropeł w stronę drzwi.

Jeden z najemników podszedł i nożem rozciął koszulę niewolnika. Zanurzył ją w innym wiadrze i przykrył płomienie mokrą szmatą. Ogień zgasł z sykiem.

Cholik przeszedł przez ogień, chcąc pokazać, że nie boi się płomieni. Stworzył małą tarczę, która chroniła go przed żarem, i przedostał się przez płonąca oliwę bez uszczerbku. Efekt był taki, jakiego Cholik oczekiwał, niewolnicy zapomnieli o strachu przed ponurymi wrotami, teraz bali się kapłana.

Drzwi budziły obawy, ale nie mogły kąsać. Cholik zaś udowodnił kilkakrotnie, że nie waha się zabijać niewolników i wrzucać ciał do przepaści. Teraz zebrał się w sobie i odwrócił do kopaczy. Stał mimo ogarniającej go słabości tylko dlatego, że nie chciał się poddać i zachwiać.

Wszystkie gorączkowe szepty ucichły, słyszeć było jedynie jęki rannego mężczyzny, ale nawet on zakrył usta ręką i tylko skomlał, nie krzyczał.

Wiedząc, że potrzebuje więcej siły, by stawić czoła temu, co czekało po drugiej stronie drzwi Kabraxisa, Cholik wypowiedział słowa mocy. Wezwał ciemność, której bał się dziesiątki lat wcześniej, a z którą zaczął flirtować kilka lat temu i do której przyzwyczał się ostatnimi czasy.

Stary kapłan uniósł prawą dłoń i rozłożył szeroko palce. Gdy wypowiadał słowa, zakazane dla wiernych Zakarum, poczuł, jak wypełnia go moc, jak wgryza się w ciało i szarpie kości ostrymi pazurami. Był pewien, że gdyby zaklęcie nie zadziało, upadłby i zapadł w śpiączkę do czasu, aż odzyskałby siły.

Jego dłoń otoczyła fioletowa aureola. Fioletowa błyskawica wystrzeliła w niewolnika ze złamaną nogą. Mężczyzna krzyknął, gdy spowiła go sina poświata i pochwyciły niewidzialne ręce.

Cholik mówił nadal i w miarę jak zaklęcie wiązało go z rannym, czuł się coraz silniejszy. Słowa padały coraz szybciej, coraz pewniej. Niewidzialne ręce rozciągnęły mężczyznę na ziemi, po czym uniosły.

– Nie! - krzyknął niewolnik. - Proszę! Błagam! Będę pracować! Będę pracować!

Kiedyś ten strach i błagania poruszyłyby pewnie Cholika, choć nie do głębi, gdyż stary kapłan nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przedkładał potrzeby innych nad swoje. Kiedyś jednak ruszał z misjonarzami Zakarum, by leczyć chorych i zajmować się rannymi. Niedawne niesnaski między Zachodnią Marchią i Tristram dostarczyły wielu takich okazji.

– Niiieee! - wrzeszczał ranny.

Inni niewolnicy cofnęli się ze strachem. Kilku zawołało coś do cierpiącego mężczyzny.

Cholik odezwał się ponownie, po czym zacisnął rękę. Fioletowa aureola pociemniała jak obita śliwka i popłynęła promieniem do niewolnika.

Gdy ciemność dotknęła rannego, jego ciało skręciło się w konwulsjach. Ohydny chrzęst odbijał się echem od ścian, gdy ręce i nogi mężczyzny zaczęły pękać w stawach. Krzyknął raz jeszcze. Mimo potwornego cierpienia pozostał świadomy i przytomny.

Kilku kapłanów, którzy opuścili Zachodnią Marchię z Cholikiem, ale nie porzucili jeszcze wiary Zakarum, uklękło i przycisnęło twarze do kamiennej posadzki. Nauki Kościoła głosiły jedynie słuszność leczenia, nadziei i zbawienia. Tylko Ręka Zakarum, zakon rycerzy wyświęconych przez Kościół, i Dwunastu Wielkich Inkwizytorów, którzy walczyli z demonami wśród członków zgromadzenia, wykorzystywali błogosławieństwa, które Yaerius i Akarat dali swoim pierwszym uczniom.

Buyard Cholik nie był jednak ani jednym, ani drugim. Kapłani, którzy uwierzyli w niego, wiedzieli o tym i mieli nadzieję, że Cholik pomoże im stać się kimś więcej, niż byli dotychczas, po raz pierwszy mieli jednak okazję zobaczyć, kim tak naprawdę mogli się stać. Cholik, karmiąc się strachem i życiem niewolnika, które wypełniały go dzięki zaklęciu, wiedział, że niektórzy z jego akolitów spoglądali z przerażeniem, podczas gdy inni pożądliwie.

Altharin należał do przerażonych.

Zebrawszy się w sobie, gdyż nie wiedział, czego oczekiwać, Cholik wypowiedział ostatnie słowo zaklęcia.

Niewolnik wrzasnął w agonii, ale krzyk urwał się nagle. Zaklęcie rozerwało mężczyznę na kawałki. Fontanna krwi spryskała szkarłatem

przerażone twarze stojących najbliżej, jak również zgasła dwie pochodnie i resztki płomyków z rozbitej latarni.

Chwilę później wysuszone pozostałości niewolnika spadły na kamienie.

Mimo że Cholik spodziewał się jakichś wrażeń, nie oczekiwał nagłej fali euforii, która go zalała. Czuł w sobie również echo bólu, słodkiego cierpienia, gdy wampiryczny czar przywracał mu siły. Minęło osłabienie po wcześniejszych zaklęciach. Nawet niektóre artretyczne bóle, zadomowione w stawach, straciły na intensywności. Część ukradzionej energii życiowej popłynęła do Cholika i mógł ją dowolnie wykorzystać, ale część została przekazana do świata demonów. Zaklęcia wymyślone i dane przez demony zawsze przynosiły im korzyść.

Cholik wyprostował się, a otaczająca go aura zmieniła barwę z czarnej na fioletową. Później piekielny blask został wchłonięty przez ciało starego kapłana. Odświeżony, ze wszystkimi zmysłami napiętymi do granic możliwości, przyglądał się widowni. To, co zrobił, wywoła reakcję niewolników, najemników, piratów Raithena, a nawet kapłanów. Niektórych z nich rano już tu nie będzie.

Będą bali się Cholika i tego, co może zrobić.

Ta świadomość sprawiła, że starzec poczuł się świetnie. Był potężny. Nawet kiedy był młodym kapłanem w Kościele Zakarum i miał wysoką pozycję w Zachodniej Marchii, tylko prawdziwie skruszeni grzesznicy i ci, którzy nie mieli nadziei, a rozpaczliwie pragnęli w coś uwierzyć, słuchali uważnie jego słów. Tymczasem ludzie tutaj, w jaskini, obserwowali go niczym kanarki jastrzębia.

Odwracając się od martwego niewolnika, Cholik znów podszedł do drzwi. Teraz kroczył pewnie i lekko. Nawet jego własne lęki skryły się gdzieś w zakamarkach umysłu.

– Altharin - zawołał Cholik.

– Tak, mistrzu - odpowiedział cicho Altharin.

– Każ niewolnikom powrócić do pracy.

– Tak, mistrzu. - Altharin natychmiast wydał stosowne rozkazy.

Najemnicy, eksperci w sztuce przetrwania, do tego świadomi, że nie składali kapłanowi przysięgi wierności, nie zwlekali z poganianiem robotników. Niewolnicy ponownie podnieśli rusztowanie i wrócili do pracy. Kilofy uderzały w skałę zakrywającą szaro-zielone drzwi. Jednostajny łomot narzędzi i trzask pękającego kamienia odbijały się echem od ścian.

Tłumiąc niecierpliwość, Cholik obserwował postępy. Najemnicy kręcili się wśród niewolników, rozdzielając uderzenia batem, które pozostawiały pręgi i rozcięcia na złanej potem skórze. Czasem jednak pomagali popychać wypełnione wózki.

Praca szła szybciej. Wkrótce w polu widzenia pojawił się zawias, a zaraz potem drugi. Cholik przyglądał się im z rosnącym podnieceniem.

Zawiasy były wielkie i poskręcane, wykonano je z metalu i bursztynu, dokładnie tak, jak Cholik wyczytał w świętych tekstach. Do ich wykonania użyto metalu, ponieważ wykuli je kowale, by powstrzymywały i ograniczały, a bursztynu, gdyż w swych złocistych głębiach ukrywał kwintesencję przeszłości.

Usunięto dość gruzu, aby Cholik mógł podejść do wrót, co też natychmiast uczynił. Energia, którą zabrał od niewolnika, nie utrzyma się w nim zbyt długo, tak w każdym razie czytał. A kiedy już ją straci, będzie czuł się jeszcze gorzej niż wcześniej, chyba że dotrze do swojej komnaty i trzymany tam wzmacniających eliksirów.

Zbliżając się do drzwi, Cholik czuł ukrytą za nimi moc. Ta potężna obecność wypełniała jego umysł, zarazem przyciągając i odpychając. Spod szaty wyjął rzeźbione puzderko wykonane z doskonałej czarnej perły.

Trzymał je w dłoniach, wyczuwając jego lodowaty chłód. Odnalezienie tego przedmiotu kosztowało go lata wysiłku. Tajemne teksty dotyczące artefaktu i drzwi Kabraxisa zostały ukryte głęboko wśród zbiorów kościoła w Zachodniej Marchii. Utrzymanie puzderka w tajemnicy wymagało morderstw i oszustw. Nawet Altharin o nim nie wiedział.

– Mistrzu - odezwał się Altharin.

– Cofnij się - zażądał Cholik. - I zabierz tę swoją bandę.

– Tak, mistrzu. - Altharin cofnął się, szepcząc coś do ludzi. Wpatrując się w gładką powierzchnię czarnego puzderka, Cholik miał świadomość, że ludzie uciekali jak mogli najszybciej od niego i od bramy. Stary kapłan odetchnął głęboko. Przez te wszystkie lata, gdy puzderko było w jego posiadaniu, gdy szukał informacji i dowiadywał się, gdzie leży pogrzebane Ransim, gdy zbierał odwagę niezbędną dla tego przedsięwzięcia i desperację na tyle silną, że pozwoli mu stawić czoła demonowi i dostać to, czego chciał, przez te wszystkie lata nigdy nie mógł otworzyć puzderka. Dopiero teraz miał się dowiedzieć, co kryło się w środku.

Odetchnąwszy głęboko, Cholik skoncentrował się na puzderku i drzwiach, po czym wypowiedział pierwsze Słowo. Nie było przeznaczone dla ludzkich języków, więc Cholika zapiekło w gardle. Gdy Słowo spłynęło z jego warg, jaskinię wypełnił ogłuszający grzmot i wicher, choć żaden wiatr nie powinien dąć wśród tych kamiennych ścian.

Eliptyczny wzór na szaro-zielonej powierzchni stał się czarny. Brzęk odbijał się echem w jaskini, głośniejszy nawet niż grzmot i wyjący wicher.

Zaciskając lewą dłoń na czarnym puzderku, Cholik zrobił krok do przodu, czując chłód metalu. Wypowiedział drugie Słowo, jeszcze trudniejsze do opanowania niż pierwsze.

Bursztynowe części zawiasów zapłonęły nieziemskim żółtym światłem, które było niczym blask pochodni odbijający się nocą w oczach wilka.

Wiatr wzmógł się jeszcze, unosząc drobniutkie cząsteczki kamienia, które boleśnie raniły skórę. Jaskinię wypełniły modlitwy, wszystkie zanoszone do Światłości, nie do demonów. Cholik byłby się uśmiechnął, gdyby nie to, że w głębi duszy był tak samo przerażony, jak pozostali ludzie w jaskini.

Przy trzecim Słowie czarne puzderko się otworzyło. Uniosła się z niego przezroczysta sfera płonąca trzema odcieniami zieleni i zawisła przed oczami Cholika. Wedle czytanych przez niego materiałów jej dotknięcie zabijało natychmiast.

A gdyby teraz się poddał, sfera pochłonęłaby go, pozostawiając jedynie popiół. Cholik wypowiedział czwarte Słowo.

Sfera zaczęła rosnać, jak węgorez, wyławiane czasem z Wielkiego Oceanu. Uznawane za wyjątkowy przysmak mięso węgorzy wywoływało narkotyczną błogość, jeśli zostało przygotowane w należyty sposób. Czasami jednak, nawet podane przez mistrza kuchni, niosło śmierć. Cholik nigdy nie jadł węgorzy, ale rozumiał, jak musieli się czuć ludzie, którzy umierali.

Przez chwilę Cholik był przekonany, że podpisał na siebie wyrok śmierci.

Wtedy płonąca sfera odpłynęła od niego i uderzyła w drzwi Kabraxisa. Wzmocniony po tysiącokrotnie huk, z jakim magia weszła w reakcję z wrotami, przybrał fizyczną postać. Zrzucił resztki kamienia z krawędzi drzwi i stalaktyty ze sklepienia jaskini.

Stalaktyty spadły na zbitych w gromadę niewolników, najemników i leżących na posadzce kapłanów Zakarum. Cholik zdołał się utrzymać na nogach, ale wszyscy wokół niego się przewracali. Patrząc przez ramię, kapłan zobaczył trzech ludzi krzyczących w męce, ale nic nie słyszał. Zdawało mu się, że jego głowę wypełnia bawełniana przędza. Jeden z

najemników odtańczył makabryczny taniec ze stalaktytem, który go przebił, po czym upadł. Mężczyzna zadygotał w konwulsjach, gdy wypłynęło z niego życie.

W ciszy i bezruchu, które ogarnęły jaskinię, Cholik wypowiedział piąte, ostatnie Słowo. Eliptyczny wzór zapłonął u góry, poza pierścieniem. Kropla ognistego szkarłatu zaczęła przesuwać się wzdłuż elips, przeskakując z jednej na drugą, a potem na linię, która je łączyła, poruszając się coraz szybciej.

Gdy kropla dotarła do końca wzoru, zapłonęła karmazynowym blaskiem.

Potężne szaro-zielone wrota się otworzyły i do jaskini powrócił dźwięk. Skrzydła zepchnęły na bok resztki rumowiska.

Cholik z przerażeniem patrzył, jak z jakiegoś zapomnianego zakątka Płonących Piekieł przez otwartą bramę nadciąga śmierć.



# SZEŚĆ



Darrick spoglądał z góry na Port Tauruka, przeklinając przesłonięty chmurami księżyc - który zaledwie przez chwilę był im sprzymierzeńcem. Nawet gdy zeszli już niżej, okrywająca miasto ciemność utrudniała rozróżnianie szczegółów.

Rzeka Dyre płynęła ze wschodu na zachód kanionem, który czas wyciął w skale. Ruiny Portu Tauruka leżały na jej północnym brzegu. Miasto rozszerzało się ku rzece, wykorzystując zatokę utworzoną przez naturę.

– W swoim czasie Port Tauruka musiał nieźle prosperować - powiedział cicho Mat. - Tak głęboka przystań nad rzeką biegnącą przez wiele mil i tak szeroką, że można żeglować, ludzie tutaj musieli mieć dobre życie.

– No, a teraz ich tu nie ma - wytknął Maldrin.

– Zastanawiałeś się czemu? - zapytał Mat.

– Ktoś przyszedł i zawalił im całe cholerne miasto na głowy - stwierdził bosman. - Choć taki mądrała jak ty powinien sam się domyślić, bez mojego podpowiadania.

Mat nie poczuł się dotknięty tą uwagą.

– Zastanawiałeś się, kto to zrobił?

Darrick zignorował przekomarzenia tej dwójki, czasem te sprzeczki były męczące, a kiedy indziej zabawne, i wyjął lunetę z torby przy pasie. Była to jedna z niewielu rzeczy, które posiadał na własność. Mosiężna obudowa

sprawiła, że luneta była niemal niezniszczalna, a do tego jeszcze składana dzięki sprytnemu mechanizmowi. Rozłożył ją i uważnie przyjrzał się miastu.

W porcie stały trzy statki. Wszystkie oświetlone były latarniami, które trzymali piraci na wachcie.

Darrick podążył wzrokiem za linią piratów i świateł na brzeg, koncentrując się na dużym, po części zniszczonym budynku. Budowla znajdowała się pod grubą skalną półką wyglądającą, jakby przeniósł ją ten, kto zniszczył miasto.

– Niezłą sobie urządzili norę - stwierdził Maldrin.

Darrick pokiwał głową.

– I pewnikiem ściągnęli tu wino i kobiety - gadał dalej bosman. - Na Światłość, wiem, chłopcze, żeśmy tu przyszli za królewskim bratankiem, ale jakoś mi się nie podoba, żebyśmy zostawili tu kobiety. Pewnikiem zabrali je ze statków, które złupili i zatopili. Nie sposób było się doliczyć, kto zginął, a kogo zeżarły rekiny.

Darrick zacisnął zęby, próbując nie myśleć o tym, co kobiety musiały znosić w łapach piratów.

– Wiem. Jeśli będzie to tylko możliwe, Maldrin, spróbujemy też uwolnić kobiety.

– Dobry chłopak - pochwalił bosman. - Znam załogę, co to ją wybrałeś, Darrick. To dobrzy ludzie. Każdy jeden. Byliby gotowi umrzeć jak bohaterowie.

– Nie przyszliśmy tu umierać - odrzekł Darrick. - Przyszliśmy zabijać piratów.

– I sprawić im prawdziwe piekło, na ile tylko się da. - Mat błysnął w ciemności uśmiechem. - Coś mi się widzi, że strażnicy nie traktują obowiązków zbyt poważnie.

– Wystawili posterunki wzdłuż rzeki - zgodził się Maldrin. - Gdybyśmy próbowali wprowadzić tu „Samotną Gwiazdę”, zaraz by nas wypatrzyli. Nie pomyśleli o grupie kilku chłopów, zdecydowanych na wszystko.

– Mała grupa to mała grupa - stwierdził Darrick. - Poruszamy się szybko i cicho, ale w walce nie jesteśmy dla nich żadnym przeciwnikiem. Jest nas tuzin i raz-dwa wytną nas do nogi, jeśli podejmiemy do tego w zły sposób i będziemy mieli pecha. - Przesuwając lunetę, zapamiętał, gdzie przypadają granice zrujnowanego miasta. Potem znów popatrzył w kierunku doków.

Dwa niewielkie pomosty unosiły się na powierzchni wody, utrzymywane przez puste, zasmolowane dokładnie beczki. Sądząc po szczątkach na wschód od prowizorycznych doków, kiedyś istniała tu jakaś bardziej trwała konstrukcja. Nierówna rzeźba warstw skalnych nad rzeką dowodziła, że w przeszłości ich fragmenty wylądowały w rzece. Wybudowane dawniej doki prawdopodobnie znajdowały się w porcie na tyle głęboko, że nawet po osunięciu się skał do portu nadal mogły przybijać statki.

Ze skał nad brzegiem, jakieś trzydzieści stóp nad pokładami kog, zwieszały się talie, obok nich zaś piętrzyły się sterty skrzyń i sporych beczek. Składu pilnowało kilku mężczyzn, ale byli bez reszty pochłonięci grą w kości i pochylali się nisko, by dokładnie przyjrzeć się wynikom każdego rzutu. Raz po raz do uszu Darricka dochodziły okrzyki radości. Piraci mieli dwie latarnie, umieszczone po obu stronach pola gry.

– Która to „Barakuda”? - zapytał Maldrin. - Pirat mówił, że na tym statku trzymają chłopaka, tak?

– Tak - odrzekł Darrick - i założę się, że „Barakuda” to ta pośrodku.

– Tam gdzie są strażnicy - uzupełnił Mat.

– Właśnie. - Darrick złożył lunetę, zamknął pokrywki na obu końcach i wsunął ją do sakiewki. Szkło wyszlifowane tak dokładnie, jak soczewki w jego lunecie rzadko trafiało się poza Kurast.

– Masz jakiś plan, Darrick? - spytał Mat.

– Jak zawsze - zgodził się Darrick.

Mat spojrział na niego z powagą.

– Wychodzi na to, że łatwo nie będzie, prawda? - zapytał.

– Nie - Darrick ponownie przyznał mu rację. - Ale nadal uważam, że może nam się udać. - Wyprostował się. - Najpierw ja i ty, Mat. Tak szybko i cicho, jak się da. Maldrin, potrafisz jeszcze chodzić cicho czy masz za wiele na trawersie od ciastek kuka?

„Samotna Gwiazda” miała nowego piekarza, a zdolności młodzieńca stały się już legendą w marynarce Zachodniej Marchii. Kapitan Tollifer musiał pociągnąć niejednego sznurek, żeby przypisać piekarza do ich statku. Każdy marynarz na pokładzie „Samotnej Gwiazdy” nagle zaczął mieć słabość do słodczy, ale Maldrin jako pierwszy zauważył, że piekarz tak naprawdę chciał nauczyć się żeglować, i wykorzystał to, pozwalając chłopakowi stawać za kołem sterowym w zamian za ciastka.

– Może i przybyło mi z funt albo trzy w ostatnim miesiącu - przyznał Maldrin - ale nigdy nie będę tak stary czy gruby, żeby nie dotrzymać tempa wam, szczeniaki. Jeśli tak się stanie, to zawiążę sobie linę na szyi i skoczę z kubryka.

– Więc chodź z nami - zaproponował mu Darrick. - Zobaczymy, czy uda nam się przejąć zapasy.

– A po co? - burknął Maldrin.

Darrick ruszył w dół zbocza, trzymając się rzeki. Do talii i strażników mieli prawie dwieście jardów. Wzdłuż wysokiego brzegu rosły krzaki i niskie drzewa. Piraci Raithena nie kwapili się, żeby oczyścić więcej terenu, niż było to konieczne.

– O ile dobrze myślę - powiedział Darrick - to w tych baryłkach jest tran i whisky.

– Lepiej by było, gdyby były w nich te czarodziejskie eliksiry, co to wybuchają - skrzywił się Maldrin.

– Się nie ma, co się lubi - stwierdził Darrick - to się lubi, co się ma.

Przywołał Tomasa.

– Aye. - Tomas wynurzył się z cienia.

– Kiedy już damy znak - rozkazał Darrick - poprowadzisz resztę. Wejźmy na pokład środkowego statku, żeby poszukać królewskiego bratanka. Kiedy już znajdziemy, jak najszybciej zabiorę go z tego statku. Wykorzystamy talię, rozumiesz?

– Tak - odpowiedział Tomas. - Wciągniemy go na górę.

– Chcę, żeby był w jednym kawałku, Tomas - zagroził Darrick - albo sam będziesz wyjaśniał królowi, jak to się stało, że jego bratanek jest ranny czy martwy.

Tomas pokiwał głową.

– Będziemy się z nim cackać jak z niemowlęciem. Własna matka by go lepiej nie potraktowała.

Darrick poklepał Tomasa po ramieniu i uśmiechnął się szeroko.

– Wiedziałem, że jesteś odpowiednim człowiekiem do tej roboty.

– Tylko uważajcie tam na siebie i nie pokazujcie, jakie to z was zuchy, póki do was nie zejdziemy - ostrzegł jeszcze bosman. Darrick pokiwał głową i zaczął schodzić ze zbocza na brzeg. Mat i Maldrin podążyli za nim, cicho jak padające na ziemię płatki śniegu.



Nad statkami Raithen wszedł po stopniach wykutych w skalistym brzegu rzeki. Gdy stopnie te wycinano, z pewnością były równe. Teraz jednak, po upadku miasta, przechyliły się, przez co korzystanie z nich było dość

niebezpieczne. Od kiedy załoga Raithena ukrywała się w Porcie Tauruka, niejeden pijany pirat skończył w wodzie, a dwóch zostało porwanych przez prąd i pewnie utonęło, zanim dotarli do Zatoki Zachodniej Marchii.

Kapitan niósł latarnię, a jej złocisty blask prześlizgiwał się po kolejnych warstwach zbocza. W ciągu dnia kamień był niebieski i stalowy, a kolejne warstwy odznaczały się ciemniejszą barwą, aż w końcu, tuż przy powierzchni wody, zmieniał się w grafitowy.

Piraci pełniący straż na widok kapitana stawali na baczność i próbowali wyglądać na czujnych. Odnosili się do herszta z grzecznością, której kilku z nich nauczył kijem.

Nagły zgrzyt liny w bloczku ostrzegł Raithena, że na górze coś się dzieje.

– Ruszta się, durnie - rozległ się z góry ochrypły głos. - Mam dla was pełno żarcia, słowo.

– Dawaj je na dół - zawołał ktoś z kogi na prawo od Raithena. - Już myślałem, że się nie doczekam. Żołądek chyba mi przyrósł do pleców.

Przyciskając się do zbocza, Raithen obserwował, jak mała, pękata baryłka zjeżdża na linie. Ładunek najwyraźniej nie był zbyt ciężki. Raithen poczuł woń solonej wieprzowiny.

– Mam tam dla was i butelkę wina - zawołał ten z góry.

– I prawieś uderzył kapitana Raithena, ty skończony durniu - zaryczał strażnik stojący zaledwie kilka stóp od herszta. Rozległo się stłumione przekleństwo.

– Proszę o wybaczenie, kapitanie - powiedział mężczyzna ze skruchą. - Nie wiedziałem, że to wy.

Raithen uniósł latarnię, aby tamten mógł dobrze się przyjrzeć jego twarzy.

– Pospieszcie się.

– Aye, sir. Natychmiast, sir. - Pirat podniósł głos. - No chłopcy, dźwignijcie no tą beczkę. Potrzebujemy następnej, tą zajmę się potem.

Piraci na pokładzie pierwszej kogi rzucili liny, które zaraz zostały wciągnięte na górę.

Raithen przeszedł do pierwszego z tymczasowych doków, unoszących się na powierzchni czarnej wody. Wspiął się po sieci zwisającej z burty i wszedł na pokład.

– Dobry wieczór, kapitanie - powitał go pirat o twarzy poznaczonej bliznami. Sześciu innych zrobiło to samo, nie przerywając wyciągania żywności z beczki.

Raithen kiwnął mu głową, czując ból w zranionej szyi. Kiedy statki stały w porcie, dbał, by jego ludzie trzymali się z dala od zapasów w ładowni. Wszystkie kogi były przez cały czas w pełni załadowane na wypadek, gdyby musieli natychmiast wychodzić w morze. Inne statki znajdowały się o kilka dni drogi stąd przy północnym wybrzeżu, w zatoce, która była niebezpieczna dla okrętów z niepełną załogą.

Pomiędzy kogami przerzucono trapy. Prąd rzeki był na tyle łagodny, że okręty nie szarpały się na kotwicy. Na pokładzie „Barakudy” kapitan dostrzegł Byka siedzącego na dziobie i kurzącego fajkę.

– Kapitanie - przywitał go tamten, wyciągając fajkę z ust. Był ogromnym mężczyzną, sprawiał wrażenie zbudowanego z okrętowych masztów. Owinięta wokół głowy chusta zasłaniała zranione ucho, ale na szyi olbrzyma wciąż widać było zaschłe smugi krwi.

– Jak tam chłopak, Byku? - zapytał Raithen.

– Dobrze, kapitanie - odparł osiłek. - Czemu miałby nie być?

– Słyszałem o twoim uchu.

– O tej drobnostce? - Byku dotknął rany i wyszczerzył zęby. - Nie ma się czym martwić, kapitanie.

– Nie martwię się - zapewnił Raithen. - Tylko tak sobie myślę, że pirat, który dał się pokonać chłopcu, nie jest wart pieniędzy, które mu płacę.

Twarz Byka pociemniała, ale Raithen wiedział, że to ze wstydu.

– To przez to, że on tak niewinnie wygląda, kapitanie. Bym go nie podejrzewał o takie podstępny. No i deską mi przyłożył. Chciał mnie wziąć z zaskoczenia. Jeśli król nie zapłaci okupu, to ja go chętnie przygarnę. Po prawdzie, kapitanie, w sam raz by się nam chłopak nadał do załogi.

– Zapamiętam to - rzucił Raithen.

– Aye, sir. Ja to tylko z szacunku dla was i tego wrednego chłopaczka w ładowni.

– Chcę go zobaczyć.

– Przysięgam, kapitanie, nic mu nie zrobiłem.

– Wiem, Byku - odpowiedział Raithen. - Mam swoje powody.

– Aye, sir. - Pirat wyciągnął duży klucz z sakiewki przy pasku i stuknął fajką o burtę, żeby wysypać żar do rzeki. W ładowniach nie mogło palić się nic poza latarniami wachty, a i z nimi rzadko schodzono na dół.

Byku ruszył przodem. Raithen szedł za nim, wdychając znajomy fetor pod pokładem. Kiedy służył w marynarce Zachodniej Marchii, było nie do pomyslenia, aby okręt tak śmierdział. Żeglarze czyścili kadłub nieustannie, polewając słoną wodą i octem, aby wygubić grzyb i pleśń, które próbowały zadomowić się między deskami.

Chłopiec przetrzymywany był w małym areszcie na rufie.

Otworzywszy drzwi, Byku wsadził swoją wielką głowę do środka i niemal równie szybko ją cofnął. Złapał wycelowaną w swoją twarz deskę i szarpnął mocno.

Chłopiec plasnął o pokład, lądując na brzuchu i twarzy. Błyskawicznie, niczym ryba wyciągnięta z wody, spróbował się poderwać, ale Byku przycisnął go do pokładu swoim masywnym buciorem.



Chłopiec wykazał się zaskakująco rozległą wiedzą w zakresie plugawych wyzwisk.

– Jak żem mówił, kapitanie - uśmiechnął się Byku. - Z tego smarka byłby niezły pirat, oj tak.

– Kapitanie? - pisnął chłopiec. Nawet przyciśnięty butem Byka obracał głową i próbował obejrzeć Raithena. - Jesteś kapitanem tego chlewu? Na twoim miejscu kazałbym sobie sprawić worek na głowę z dziurą na oko, żeby ukryć swój wstyd.

Po raz pierwszy tej nocy szczerze rozbawiony Raithen popatrzył na chłopca.

– On się nie boi, Byku?

– Boi? - zapiszczał znów chłopak. - Boję się, że umrę tu z nudów. Trzymacie mnie już od pięciu dni. Na tym statku siedzę od trzech. Kiedy znajdę się u tatki, a on porozmawia ze swoim bratem, królem, to wrócę i osobiście pomogę cię wybatożyć. - Zacisnął pięści i zaczął walić nimi w deski. - Puść mnie i daj miecz. Będę z tobą walczył. Na Światłość, dam ci nauczkę na całe życie.

Zachowanie chłopaka zdumiało Raithena, przyjrzał się swojemu jeńcowi uważniej. Wyrostek był chudy i muskularny, zaczynał już tracić dziecięcy tłuszcz. Mógł mieć jedenaście, dwanaście, a może nawet i trzynaście lat. Głowę wieńczyła szopa ciemnych włosów, a w świetle latarni jego oczy były szare lub zielone.

– Czy ty w ogóle wiesz, gdzie się znajdujesz, chłopcze? - zapytał Raithen.

– Kiedy królewska marynarka ci zapłaci albo cię wyśledzi - odparł chłopak - będę wiedział, gdzie ty się znajdujesz. Nie myśl, że tak się nie stanie.

Raithen kucnął, przysunął latarnię do twarzy chłopca, a potem po raz kolejny uwolnił sztylet z pochwy przypiętej do ramienia. Wbił ostrze w pokład o centymetr od nosa wyrostka.

– Ostatnia osoba, która dziś próbowała mnie zastraszyć - wycedził ochryple - umarła kilka minut temu. Bez problemu zabiję następną.

Oczy chłopca skupiły się na broni. Z trudem przełknął ślinę, ale zachował milczenie.

– Masz jakieś imię? - zapytał Raithen.

– Lex - wyszeptał chłopiec. - Nazywam się Lex.

– Jesteś królewskim bratankiem?

– Tak.

Raithen obrócił nóż, ostrze pochwyliło blask latarni.

– Ilu synów ma twój ojciec?

– Pięciu. Razem ze mną.

– Czy będzie mu brakować jednego?

Lex znowu przełknął ślinę.

– Tak.

– To dobrze. - Raithen uniósł latarnię, aby chłopiec mógł zobaczyć jego uśmiech. - To wcale nie musi być dla ciebie trudne, chłopcze. Ale chcę się czegoś dowiedzieć i po to tutaj przyszedłem.

– Nic nie wiem.

– Zobaczymy. - Raithen się wyprostował. - Podnieś go, Byku. Porozmawiam z nim w areszcie.

Cofnąwszy nogę i schyliwszy się, Byku chwycił chłopaka za koszulę swoim wielkim łapskiem i uniósł jak piórko. Bez wysiłku zabrał go z powrotem do małego aresztu. Z przesadną delikatnością posadził jeńca pod ścianą i stanął obok.

– Zostaw nas, Byku - rozkazał Raithen.

– Kapitanie - zaprotestował pirat - może nie zauważyliście, do czego ten smark jest zdolny.

– Potrafię sobie poradzić z małym chłopcem - zapewnił Raithen, zawieszając latarnię na haku. Wziął od Byka klucz i wzrokiem wskazał wyjście. Potem jedną ręką złapał za pręt w drzwiach i zamknął je za Bykiem. Szczęk metalu zabrzmiał wyjątkowo głośno w ograniczonej przestrzeni.

Lex zaczął się podnosić.

– Nie wstawaj - ostrzegł go Raithen. - Jeśli będziesz próbował, przybiję ci rękę sztyletem do ściany za tobą.

Zatrzymawszy się w pół ruchu, Lex popatrzył na Raithena. W spojrzeniu malowała się cała dziecięca niewinność i wyzwanie, próba upewnienia się, czy herszt piratów dotrzyma słowa.

Raithen odpowiedział lodowatym spojrzeniem, nigdy nie rzucał pustych gróźb.

Najwyraźniej Lex doszedł do tego samego wniosku. Krzywiąc się, chłopiec usiadł, ale niechętnie, podciągnął kolana i dla bezpieczeństwa oparł się plecami o ścianę.

– Pewnie myślisz, że jesteś kimś - warknął. - Zastraszyłeś dzieciaka. A co robisz z rana? Kopiesz szczeniaki?

– Właściwie - odparł Raithen - kazałem jednemu obciąć łeppek i podać ci na śniadanie w potrawce. Na obiad dostaniesz go obsmażonego jak kurczaka.

W oczach Lexa pojawiła się groza. Milczał, przyglądając się Raithenowi.

– Gdzieś ty się nauczył tak zachowywać, mały? - zainteresował się kapitan.

– Moi rodzice obwiniają się nawzajem - odparł Lex. - Sądzę, że przejąłem to od nich.

– Sądziś, że wyjdiesz z tego żywy?

– Tak czy inaczej, nie wyjdę z tego przerażony. Bałem się tyle, że mam już dość. Przez trzy pierwsze dni rzygałem.

– Jesteś bardzo niezwykłym chłopcem - zauważył Raithen. - Szkoda, że nie poznałem cię wcześniej.

– Szukasz przyjaciela? - spytał Lex. - Pytam, bo większość tych piratów się ciebie boi. Nie są tu dlatego, że cię lubią.

– Strach jest lepszym narzędziem dowódcy niż przyjaźń - wyjaśnił Raithen. - Strach jest natychmiastowy i zmusza do posłuszeństwa bez pytań.

– Wolałbym raczej, aby ludzie mnie lubili.

Raithen się uśmiechnął.

– Założę się, że Byku cię lubi.

– Bez niektórych mogę się obejść.

– Mądry chłopak - przyznał Raithen. Urwał, czując, że okręt kołysze się lekko, szarpany prądem.

Chłopiec odruchowo poruszył się wraz ze statkiem jak wytrawny marynarz.

– Od jak dawna jesteś na morzu, Lex?

Wyrostek wzruszył ramionami.

– Od Lut Gholein.

– Byłeś tam?

– Okręt wypłynął z Lut Gholein - powiedział Lex, przyglądając się Raithenowi z namysłem spod zmrużonych powiek. - Jeśli tego nie wiedziałeś, to jak go znalazłeś?

Raithen zignorował pytanie. Informację dostał od szpiegów Buyarda Cholika, działających w Zachodniej Marchi.

– Co robiłeś w Lut Gholein?

Lex nie odpowiedział.

– Nie lekceważ mnie - ostrzegł go kapitan. - I tak nie jestem w najlepszym nastroju.

– Uczyłem się - odparł Lex.

Raithen uznał, że to brzmiało obiecująco.

– Uczyłeś się czego?

– Mój ojciec chce, abym otrzymał solidne wykształcenie. Jako młodszy brat króla został wysłany za granicę i pobierał nauki od mędrców z Lut Gholein. Chciał, aby ze mną było podobnie.

– Jak długo tam przebywałeś?

– Cztery lata - odparł chłopiec. - Od kiedy miałem osiem lat.

– I czego się uczyłeś?

– Wszystkiego. Poezji. Literatury. Zasad handlu. Przepowiadania zysków, choć to babranie się we flakach kurczaków jest dość obrzydliwe i wcale nie lepsze od zwykłego zgadywania.

– A historia? - zapytał Raithen. - Uczyłeś się historii?

– Oczywiście, że tak. Co by to było za wykształcenie bez znajomości historii?

Raithen wyciągnął kartkę, którą dał mu Mały.

– Spójrz na to i powiedz mi, co to znaczy.

W oczach chłopca pojawiło się zainteresowanie.

– Stąd nie widzę.

Raithen zawahał się, po czym zdjął latarnię.

– Jeśli spróbujesz jakichś sztuczek, mały, każę cię okulić. Jeśli twojemu ojcu uda się przekonać króla, aby cię wykupił, będziesz musiał liczyć na to, że uzdrowiciele poskładają cię do kupy. Inaczej będziesz wyglądał jak dziwoląg z cyrku.

– Niczego nie będę próbował - przyrzekł Lex. - Daj tu ten papier. Całymi dniami gapiłem się na ściany.

*Poza tymi chwilami, kiedy wyrwałeś deskę z koi? I zaatakowałeś Byka - pomyślał Raithen.*

Zrobił krok do przodu, pamiętając o szybkości i zdolnościach młodzika. Inny dzieciak w tym wieku byłby już zasmarkanym, zapłakanym nieszczęściem. Tymczasem królewski bratanek obmyślał plan ucieczki, czekał w gotowości i jadł, aby zachować siły i zdrowie.

Lex wziął papier i szybko go obejrzał. Z wahaniem obrysował symbol palcem.

– Skąd to masz? - zapytał cicho.

Statek zakołysał się, fala uderzyła o kadłub, aż echo poszło. Raithen zamortyzował przechył, nawet o tym nie myśląc.

– Nieważne. Czy wiesz, co to jest?

– Tak - stwierdził chłopiec. - To jakiś rodzaj pisma demonów. Ten znak należy do Kabraxisa, demona, który ponoć stworzył Czarną Drogę.

Raithen cofnął się i zmarszczył brwi.

– Demony nie istnieją, chłopcze.

– Moi nauczyciele wpajali mi, bym miał otwarty umysł. Może demonów teraz tu nie ma, ale to nie oznacza, że nigdy ich nie było.

Raithen spojrział na papier, próbując znaleźć w nim sens.

– Czy możesz to przeczytać?

Lex prychnął niegrzecznie.

– A czy znasz kogoś, kto potrafi czytać pismo demonów?

– Nie - odparł kapitan. - Znałem za to kilku takich, co to sprzedawali pergaminy, które miały być ponoć mapami wskazującymi drogę do skarbów demonów. - Sam kiedyś kupił i sprzedał kilka takich map, gdy dawno temu

jeszcze wierzył w te brednie o istnieniu demonów. Z czasem jednak mu przeszło.

– Nie wierzysz w demony? - spytał chłopiec.

– Nie - uciał Raithen. - Nadają się tylko do bajek opowiadanych w tawernach i przy ogniskach, gdy nie ma nic innego do roboty.

Mimo to słowa chłopca zaintrygowały herszta. Kapłan przybył tu polować na demona? Raithen nie mógł w to uwierzyć.

– Co jeszcze możesz mi powiedzieć o tym wzorze?



Szlak przecinał zbocze równoległe do rzeki Dyre i Darrick był pewien, że piraci tamtędy właśnie udawali się i schodzili z posterunków. Dlatego wybrał trudniejszą drogę przez krzaki.

Mat i Maldrin szli jego śladem.

Gdy zbliżyli się do miejsca, gdzie w dole cumowały żaglowce, zauważył srebrzyste pasemka wśród gałęzi. Od tytoniowego dymu Darricka zaswedział nos. Choć kapitan Tollifer nie zezwalał na palenie na pokładzie „Samotnej Gwiazdy”, Darrick nieraz spotykał palaczy w portach. Nigdy nie popadł w ten nałóg i uważał go za obrzydliwy. Za bardzo przypominało mu to fajkę ojca.

Krzaki i drzewa kończyły się jakieś dwadzieścia jardów od miejsca, które piraci wykorzystywali do przeładowywania skradzionych towarów. Sterty skrzyń i beczek otulał cień, który mógł zapewnić Darrickowi i jego ludziom dodatkową przewagę.

Jeden z piratów zostawił czterech swoich kamratów grających w kości.

– Piwo mnie pędzi - oznajmił. - Zajmijcie mi miejsce, zaraz wracam.

– Jak masz jeszcze złoto - zastrzegł inny z piratów - zajmiemy ci miejsce w tej grze. Dla ciebie pechowa noc, a dla nas szczęśliwa.

– Cieszcie się tylko, że kapitan Raithen tak nas prowadzi, że sakiewki mamy wypchane - stwierdził pirat i skręcił za skrzynie, gdzie Darrick ukrywał się w krzakach.

Darrick spodziewał się, że mężczyzna sobie ulży, stając na brzegu rzeki, i zdziwił się, widząc, jak pirat, gdy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku towarzyszy, sięgnął do sakiewki u pasa. Blask księżyca oświetlił kości, które wypadły na jego nadstawioną rękę.

Pirat wyszczerzył się i zamknął kości w dłoni. Dopiero potem sobie ulżył.

Poruszając się z kocią zręcznością, Darrick podniósł kamień i zakradł się za plecy tamtego. Pirat kończył właśnie, nucąc szantę. Darrick rozpoznał melodię „Amergo i dziewczyna-delfin”, sprośnej piosenki lubianej przez wielu żeglarzy.

Darrick zamachnął się, poczuł łupnięcie, gdy kamień trafił w ciało, i chwycił nieprzytomnego pirata w ramiona, po czym powoli opuścił na ziemię. Ułożył nieprzytomnego tak, by pozostali nie mogli go dojrzeć, i prześlizgnął się do krawędzi klifu. Tak jak się spodziewał, zobaczył trzy kogi stojące na kotwicach pod nawisem.

Wrócił do skrzyń, oparł się o nie plecami i wyciągnął kordelas. Skinął na Maldrina i Mata. Podeszli, kryjąc się przed piratami.

– Hej, Timar - zawołał jeden z graczy. - Wracasz dzisiaj?

– Mówiłem ci, że za dużo wypił - wtrącił inny. - Pewnie zaraz zaczniesz oszukiwać.

– Jeśli znowu zobaczę te jego trefne kości - odezwał się jeszcze inny - przysięgam, że obetnę mu nochalę.



Darrick spojrział w stronę wnoszącego się lekko terenu, gdzie leżał Port Tauruka. Nikt nie schodził szlakiem, który wił się wśród ruin.

– Zostało czterech - szepnął. - Jeśli choć jeden narobi hałasu, dowiedzą się o nas wszyscy.

Mat pokiwał głową.

Maldrin zmrużył oczy i przeciągnął kciukiem po trzymanym w ręku nożu.

– Więc lepiej, żeby nie mieli okazji narobić hałasu.

– Zgadza się - szepnął Darrick. - Maldrin, zajmij się stopniami. Przyjdą z dołu, jak tylko damy o sobie znać. A damy. Mat, ty i ja podpalimy statki na dole.

Mat uniósł brwi.

– Baryłki z tranem - wyjaśnił Darrick. - Nie powinno być trudno zrzucić je z klifu. Spadną prosto na statki. Ty zrzucisz na pokład tego z bakburty „Barakudy”, a ja tego od sterburty.

Mat skinął z uśmiechem głową.

– Będą bardzo zajęci ratowaniem statków.

– Tak - powiedział Darrick. - Wykorzystamy zamieszanie, żeby wejść na pokład „Barakudy” i poszukać królewskiego bratanka.

– Będziecie mieli szczęście, jeśli od razu was nie zabiją - narzekał Maldrin. - A i mnie przy okazji.

Darrick uśmiechnął się, czując przyływ odwagi, jak zawsze, gdy znalazł się w niebezpiecznej sytuacji.

– Jeśli przeżyjemy, będziesz mi winien piwo w tawernie Rika w Zachodniej Marchii.

– Ja tobie? - Maldrin wyglądał, jakby nie mógł w to uwierzyć. - A kiedy ty mi postawisz piwo?

Darrick wzruszył ramionami.

– Jeśli poprowadzę was wszystkich na śmierć, postawię ci pierwsze zimne piwo w Piekło.

– Nie - zaprotestował Maldrin. - To niesprawiedliwe.

– Następnym razem odezwij się jako pierwszy i sam ustalaj warunki - poradził Darrick.

– Timar! - wrzasnął jeden z piratów.

– Pewnie się gdzieś przewrócił - powiedział inny. - Pójdę go poszukać.

Darrick wstał powoli i wyjrzał zza sterty skrzyń. Z kordelasem w rękę nakazał gestem Matowi i Maldrinowi się pochylić. Jeśli uda im się wyeliminować jeszcze jednego, zanim wkroczą do akcji, to nieco zwiększą swoje szanse.

Kiedy pirat wyszedł zza stosu skrzyń, Darrick chwycił go, zacisnął mu rękę na ustach, poderżnął gardło i przytrzymał, aż tamten wykrwawił się na śmierć. Na twarzy Mata pojawiło się przerażenie.

Darrick uciekł wzrokiem przed oskarżycielskim spojrzeniem przyjaciela. Mat potrafił zabijać, żeby uratować towarzysza w bitwie, ale nie był zdolny do czegoś takiego. Darrick nie czuł winy ani żalu. Piraci zasługiwali na śmierć, wszystko jedno, czy z jego ręki, czy też na szubienicy Zachodniej Marchii.

Pirat wierzgnął po raz ostatni, Darrick puścił trupa i odstąpił. Świadom, że nie mają zbyt wiele czasu, chwycił krawędź jednej ze skrzyń i przeskoczył nad stertą. Wylądował pewnie na ziemi i od razu rzucił się w stronę trzech mężczyzn wciąż zajętych grą w kości.

Jeden z piratów zauważył ruch i podniósł wzrok. Otworzył usta, żeby wykrzyknąć ostrzeżenie.

# SIEDEM



– Kabraxis to demon, który stworzył Czarną Drogę - wyjaśnił Lex.

– Czym jest Czarna Droga? - spytał Raithen.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– To tylko legenda. Stare opowieści o demonach. Niektórzy twierdzą, że Kabraxis to jedno wielkie kłamstwo.

– Ale, jak sam powiedziałaś, demon maczał w tym palce - stwierdził Raithen. - Czyli kiedyś było to prawdą.

– Powiedziałem, że opiera się na czymś, co może być prawdą - sprecyzował Lex. - Od czasu kiedy Vizjerei *mieli ponoć* przyzywać demony z innych światów, powstało mnóstwo opowieści na ten temat. Niektóre opierają się na wydarzeniach, które mogą, ale nie muszą być związane z demonami, wiele z nich to po prostu zmyślane historyjki. Albo czasem jakaś historia trafiła między ludzi we fragmentach, które potem zostały przerobione i powtarzane dalej. Babcine bajeczki. Harsus, demon o twarzy ropuchy z Kurast - jeśli w ogóle istniał - to w lokalnych opowieściach stał się czterema różnymi demonami. Mój nauczyciel historii mówił, że niektórzy mędrcy próbują połączyć różne opowieści, szukając wspólnych cech, i widzą jednego demona tam, gdzie kiedyś były dwa.

– A po co ktoś miałby się zajmować czymś takim?

– Ponieważ wedle tych mitów dla maluczkich demony przemierzają ten świat - powiedział Lex. - Mój nauczyciel wierzył, że ludzie poświęcali tyle czasu, by nadać imiona demonom, żeby łatwiej było je wytropić, a nie czekać, aż one zaczną działać. Aby wytropić swą zwierzynę, łowcy demonów musieli wiedzieć, ile demonów jest na świecie i gdzie je znaleźć. Mędrzy to badają. - Chłopiec prychnął. - Osobiście uważam, że te wszystkie demony zostały nazwane, aby mądry i pomarszczony mędrzec mógł zlecić zatrudnienie łowców demonów. Oczywiście mędrzec otrzymywał część złota za uwolnienie miasta czy królestwa od demona. To wszystko oszustwo. Doskonale obmyślona przerażająca historia do opowiadania zabobonnym ludziom, żeby pozbawić ich złota.

– Kabraxis - przypomniał Raithen z rosnącą niecierpliwością.

– Na początku swoich eksperymentów z wzywaniem demonów - Lex wrócił do sedna - Vizjerei ponoć szczególnie często wzywali Kabraxisa.

– Czemu?

– Ponieważ Kabraxis z wyjątkową łatwością posługiwał się mistycznymi mostami, które rozciągają się między światem demonów i naszym.

– Czarna Droga jest mostem prowadzącym do Piekła? - upewnił się Raithen.

– Być może. Mówiłem ci, że to tylko historyjka. Nic więcej. - Lex postukał w rysunek elips przeplatanych przez pojedynczą linię. - Ten rysunek przedstawia moc Kabraxisa, dzięki której wędrował między Płonącymi Piekłami a tym światem.

– Jeśli Czarna Droga nie jest mostem, to czym innym może być? - indagował Raithen.

– Niektórzy mówią, że to ścieżka do oświecenia. - Lex potarł twarz, jakby czuł się znudzony, i zdusił ziewnięcie.

– Jakiego oświecenia? - zapytał Raithen.

– Mocy - stwierdził Lex. - Co innego mogą oferować legendy?

– Jakiego rodzaju mocy?

Lex skrzywił się, udał ziewnięcie i oparł wygodniej o ścianę.

– Jestem zmęczony i nudzi mnie opowiadanie ci bajeczek na dobranoc.

– Jeśli chcesz - zaproponował Raithen - mogę zawołać Byka, żeby utulił cię do snu.

– Może tym razem dorwę mu się do drugiego ucha - odgryzł się Lex.

– Jesteś złym dzieckiem - stwierdził Raithen. - Domyślam się, dlaczego ojciec odesłał cię na nauki.

– Jestem samowolny - poprawił go Lex. - To pewna różnica.

– Niewielka - zastrzegł Raithen. - Mam tyle złota, że nie trzeba mi okupu za ciebie, chłopcze. Zmuszenie króla do zapłaty jest tylko zemstą za upokorzenia, których doznałem z jego rąk.

– Znasz króla? - Lex uniósł brwi.

– Jaką moc może zaoferować Kabraxis? - naciskał pirat.

Prąd rzeki znów poruszył „Barakudę”. Podniosła się wysoko i powoli opadła, po czym znów ustabilizowała. Olinowanie uderzało o maszty i reje.

– Mówią, że Kabraxis może dać nieśmiertelność i wpływy - odrzekł Lex.

- No i oczywiście dla tych wystarczająco odważnych, choć nie wyobrażam sobie, by było ich wielu, może otworzyć drogę do Płonących Piekieł.

– Wpływ na co?

– Ludzi. Kiedy Kabraxis ostatni raz chodził po świecie, to wedle mitów, które czytałem, gdy uczyłem się filozofii, wybrał sobie proroka. Człowieka imieniem Kregn, mędrca i filozofa, który napisał księgę o naukach Kabraxisa. I mówię ci, to bardzo głębokie dzieło. Wynudziłem się nad nim jak diabli.

– Nauki demona? I ta księga nie była zakazana?

– Oczywiście, że była - zachnął się Lex. - Ale kiedy Kabraxis po raz pierwszy chodził wśród ludzi, nikt nie wiedział, że jest demonem. Przynajmniej tak mi mówiono, chociaż nie ma żadnych na to dowodów. Ale Kabraxis cieszył się lepszą opinią niż inne demony z legend.

– Czemu?

– Ponieważ nie był tak żądny krwi, jak jego pobratymcy. Czekał na właściwy czas, gromadząc coraz więcej zwolenników, którzy przyjęli zasady głoszone przez Kregna. Uczył swoich zwolenników o trzech jaźniach. Słyszałeś coś o tym?

Raithen potrząsnął głową. W głowie aż mu szumiało, tak intensywnie próbował zrozumieć, dlaczego Buyard Cholik miałby szukać pozostałości po takiej istocie.

– Na trzy jaźnie - kontynuował Lex - składają się: zewnętrzna, czyli sposób, w który człowiek przedstawia się innym; wewnętrzna, czyli sposób, w który człowiek postrzega się sam; i ciemna. Ciemna jaźń to prawdziwa natura każdego człowieka, część, której najbardziej się obawia... mroczna część, którą każdy z całej siły próbuje ukryć. Kukulach uczy nas, że większość ludzi zbyt się boi samych siebie, żeby stawić czoło tej prawdzie.

– I ludzie w to wierzą?

– Istnienie trzech jaźni jest powszechnie przyjęte - stwierdził Lex. - Nawet po tym, jak Kabraxis został rzekomo wygnany z tego świata, inni mędrcy i uczeni kontynuowali pracę Kregna.

– Jaką pracę?

– Badania nad trzema jaźniami. - Lex skrzywił się, wyraźnie niezadowolony z umiejętności słuchania, jaką wykazywał się Raithen. - Ta teoria pojawia się po raz pierwszy w legendzie o Kabraxisie, ale później inni uczeni, na przykład Kukulach, sprawili, że ją zrozumieliśmy. Po prostu

brzmi to lepiej ujęte w te wszystkie nazwy, dzięki czemu przesądni wierzą, że jest to jeden z okruchów wiedzy, które powinniśmy uratować przed demonami. A wszystko to bajeczki i mechanizmy mające podtrzymać porządek społeczny.

– Nawet jeśli - skrzywił się Raithen - to i tak nie ma w tym mocy.

– Wyznawcy Kabraxisa radowali się ukazywaniem swoich ciemnych jaźni - stwierdził chłopiec. - Cztery razy do roku, podczas przesileń i równonocy, wierni Kabraxisa spotykali się i bawili, upajając się tkwiącym w nich mrokiem. Podczas trzech dni święta każdy grzech znany ludzkości był dozwolony w imieniu Kabraxisa.

– A później? - spytał Raithen.

– Ich grzechy zostawały wybaczone, a oni sami obmyci w symbolicznej krwi Kabraxisa.

– Ta wiara brzmi głupio.

– Mówiłem ci. Dlatego to mit.

– Jak Kabraxis dostał się tutaj? - chciał wiedzieć Raithen.

– Podczas Wojen Klanów Magów. Istniały pogłoski, że jednemu z uczniów Kregna udało się ponownie otworzyć portal dla Kabraxisa, ale nie zostały nigdy potwierdzone.

*Czy Cholik to potwierdził? – zastanawiał się Raithen. I czy trop zaprowadził go tutaj, do potężnych drzwi umieszczonych pod ruinami Portu Tauruka?*

– Jak Kabraxis został wygnany z tego świata? - zapytał.

– Wedle legendy, przez wojowników Vizjerei i magów z Klanu Duchowego - odrzekł Lex - i tych, którzy stali przy nich. Zrównali z ziemią świątynie Kabraxisa w Viz-jun i innych miejscach. Tam, gdzie kiedyś były przybytki demona, pozostały tylko ruiny i zniszczone ołtarze.

Raithen zastanowił się nad tym głębiej.

– Gdyby ktoś mógł skontaktować się z Kabraxisem...  
– I zaproponował demonowi powrót do tego świata? - spytał Lex.  
– Aye. Czego mógłby ktoś taki oczekiwać?  
– Czy obietnica nieśmiertelności nie wystarczy? To znaczy gdybyś wierzył w takie bzdury.

Raithen pomyślał o Buyardzie Choliku zgiętym ze starości i bliskim niedołęstwa.

– Aye, to mogłoby wystarczyć.

– Gdzie to znalazłeś? - spytał tym razem Lex.

Zanim Raithen mógł odpowiedzieć, drzwi otworzyły się i do środka wszedł Byku.

– Kapitanie Raithen. - Wielki pirat uniósł wysoko latarnię. Twarz miał zatroskaną. - Zostaliśmy zaatakowani.



Od otwierającego usta pirata dzieliło Darricka kilka kroków. Skoczył. Dwaj pozostali piraci sięgnęli po broń, gdy tylko stopy Darricka sięgnęły głowy ich kamrata.

Tamten zaś, niemal zbyt pijany, by ustać na nogach, popchnięty ciężarem ciała Darricka, przeleciał nad krawędzią klifu. Nawet nie krzyknął. Głośny łomot świadczył, że pirat uderzył w drewniany pokład.

– Co to, do diabła, było? - zawołał jeden z piratów na dole.

Darrick wylądował na gołym kamieniu, objając sobie biodro. I natychmiast ciął w nogi najbliższego pirata. Udało mu się sięgnąć w oba uda. Na jasnych spodniach tamtego rozlała się plama szkarłatu.

– Ratunku! - zawołał ranny. - Ahoj, okręt! Zaraza, ale głęboko mnie ciął.  
- Zatoczył się, próbując dobyć miecza, ale zapomniał puścić butelkę piwa,



którą ścisnął w dłoni.

Darrick podniósł się z ziemi i zaatakował po raz kolejny, zmuszając pirata do cofnięcia się ku krawędzi. Ciął mocno zza głowy i prosto w szyję tamtego, z przeciętego gardła bryznęła krew. Ostrze utkwilo w kręgosłupie. Kopnięciem w pierś Darrick zrzucił pirata z klifu. Odwrócił się, nasłuchując plusku, który rozległ się niemal w tym samym momencie. Darrick zobaczył, jak Mat naciera na ostatniego strażnika.

Pirat zastawił się przed ciosem. Ale Mat łatwo spenetrował zasłonę przeciwnika, zawahał się jednak, gdy miał utoczyć krwi tamtego.

Przeklinając pod nosem, świadomy, że mają piekielnie mało czasu na uratowanie chłopca, a nawet nie wiedzą, czy na pewno znajduje się na jednym z okrętów poniżej, Darrick zbliżył się i jednym ciosem z góry rozplątał czaszkę ostatniego pirata. Kordelas nie był fantazyjną bronią do ozdoby, miał rąbać i ciąć, albowiem walki na okrętach, niesionych przez fale, były zwykle brudne i krwawe. Zaś szalę zwycięstwa przechylały nie umiejętności, a rozpacz, siła i szczęście.

Krew pirata zbryzgała Mata i Darricka.

Mat sprawiał wrażenie wstrząśniętego. Darrick wiedział, że przyjaciel nie pochwali ciosu zadanego od tyłu, i to wtedy, gdy pirat był już zaangażowany w starcie. Mat starał się zawsze walczyć uczciwie.

– Weź baryłki - popędził go Darrick, szarpnięciem uwalniając ostrze.

– Nawet nie widział, że się zbliżasz - zaprotestował Mat, patrząc na martwego pirata.

– Baryłki - powtórzył Darrick.

– Był zbyt pijany, żeby walczyć - dodał Mat. - Nie mógł się bronić.

– Nie jesteśmy tu po to, by walczyć. - Darrick chwycił przyjaciela za skrwawioną koszulę. - Jesteśmy tutaj, by uratować dwunastoletniego

chłopca. A teraz *ruszaj!* - Popchnął Mata w stronę baryłek. - Na dole zostanie ci jeszcze sporo uczciwych pojedynków, jeśli tylko zechcesz.

Mat niepewnym krokiem ruszył do baryłek.

Darrick nasłuchiwał krzyków i hałasów ze statków poniżej. Zerknął na szczyt wyciętych w zboczu schodów.

Maldrin stał tam, trzymając okuty żelazem trzonek młota bojowego. Aby władać młotem, trzeba było obu rąk, ale kwadratowy obuch obiecywał zmiażdżone czaszki, połamane kości i rozbitą broń.

- Uważaj na strzały, Maldrin - zawołał Darrick.

Bosman uśmiechnął się kwaśno.

- Już ty lepiej pilnuj własnego dupska. Było nie było, ja tam laźl nie będę.

Darrick przechylił baryłkę, usłyszał, jak bulgocze gęsty płyn w środku. Pospiesznie potoczył ją ku krawędzi.

A kiedy już zaczęła się turlać, wiedział, że łatwo by jej nie zatrzymał. Pchnął po raz ostatni i obserwował, jak wypada poza krawędź i znika. Wychylił się, by popatrzeć za nią, akurat w chwili, gdy się rozbiła, uderzywszy w pokład jednego ze statków. Co prawda wokół okrętu snuły się siwe pasma mgły, ale Darrick dostrzegał tu i ówdzie srebrzyste plamy, gdzie tran odbijał światła pirackich latarni.

Zabrzmiało kolejne uderzenie. Darrick, spojrzawszy w bok, zorientował się, że Matowi udało się zrzucić beczkę z tranem na następny statek. Piraci, którzy wybiegli na pokład, ślizgali się po rozlanym tłuszczu.

- Tran! - krzyknął ktoś. - Wylali na nas beczkę tranu!

Skoczywszy z powrotem ku beczkom, Darrick przewrócił następne dwie i poturlał je nad brzeg rzeki. Wokół rozlegało się grzmiące dudnienie drewnianych klepek obijających się o kamienie. Złapał jedną z latarni, które nosili strażnicy. Mat dołączył do niego, chwyciwszy następną.

– Ludzie tam na dole nie będą mieli zbyt wielu szans na ucieczkę, gdy to zrobimy.

– Nie - zgodził się Darrick, spoglądając na zasmuconą twarz przyjaciela.  
- My również nie będziemy mieli, kiedy już odnajdziemy chłopca. Nie chcę cały czas się bać, że te okręty ruszą śladem „Samotnej Gwiazdy”.

Kiwnąwszy ponuro głową, Mat odwrócił się i pobiegł w stronę brzegu.

Darrick wstrzymał się do chwili, kiedy zobaczył resztę załogi „Samotnej Gwiazdy”, zbiegającą ze zbocza góry.

– Nadchodzi pomoc, Maldrin! - krzyknął, kierując się ku rzece.

– Daję radę z tym, co tu mam - odpowiedział bosman.

Na brzegu Darrick wybrał odpowiednie miejsce, błyskawicznie ocenił, w jakim tempie okręt podnosił się i opadał na fali, i rzucił latarnię. Obróciła się w powietrzu, osłonięty szkłem płomień wciąż palił się jasno, i wreszcie roztrzaskała się o pokład w samym środku kałuży tranu.

Knot zasyczał i niemal zatonął w gęstej cieczy. Potem płomienie powoli uniosły się z tranu, wreszcie strzeliły w górę i pomknęły na wszystkie strony.

– Ogień! - wrzasnął któryś z piratów.

Na pokładzie zaroilo się od ludzi.

– Ratować okręty! - ryczał ktoś. - Kapitan Raithen was pozabija, jeśli pójda na dno!

Darrick miał nadzieję, że statki spłoną do poziomu zanurzenia. To dałoby kapitanowi Tolliferowi szansę powrócić „Samotną Gwiazdą” do Zachodniej Marchii, zebrać więcej ludzi i zdążyć pojmać Raithena i jego podwładnych, gdy będą maszerować ku miejscu, gdzie pozostawili resztę statków.

Darrick spojrział na drugi okręt i upewnił się, że i ten płonie. Najwyraźniej Mat trafił swoją beczką w sterówkę, dzięki czemu płomienie

sięgnęły żagli. Ogień lizał już główny maszt, w szybkim tempie piął się po olinowaniu.

– Mat - zawołał Darrick.

Przyjaciół podniósł głowę.

– Jesteś gotów?

Mat sprawiał wrażenie odrobinę niepewnego, ale skinął głową.

– Jak zawsze.

– Tam na dole będziemy tylko ty i ja - ostrzegł Darrick. - Muszę na tobie polegać.

Skierował się do środkowego okrętu, coraz bardziej wydłużając krok.

– Nie zawiodę cię - obiecał Mat.

Darrick, nie zatrzymując się na chwilę, skoczył z klifu, wyciągając ręce do takielunku kogi. Miał nadzieję, że da radę. Jeśli spadnie na pokład, połamię się na pewno. I nie ucieknie.

Nie zdążył do końca sformułować tej myśli. Nie zdążył nawet złapać lin. Zaledwie wyciągnął ku nim ramiona, a wtedy skalny nawis rozpadł się, zasypując wszystkie trzy statki odłamkami skał.



– Atakuje?! Kto?! - Raithen odruchowo ruszył ku drzwiom. Nieprawdopodobna wręcz wiadomość na chwilę wyparła wszystkie inne jego myśli.

– Nie wiem - odpowiedział Byku. - Ale atakują i podpalili pozostałe okręty...

*Ogień?* – pomyślał Raithen. Dla marynarza była to najbardziej przerażająca z wieści. Gdyby okręt nabierał wody, załoga mogłaby ją wypompowywać i utrzymywać żaglowiec na powierzchni, dopóki nie

dotarliby do portu. Ale ogień szybko pożerał tę niewielką wysepkę z drewna i płótna, na której polegali ludzie morza.

Obaj piraci z przejścia nie zwracali uwagi na chłopca. Raithen nie usłyszał szelestu ubrania, póki nie było za późno. Odwrócił się, pewien, że Lex wybrał ten właśnie moment, by wykonać swój ruch.

Chłopak w mgnieniu oka znalazł się za Raithenem. A kiedy ten chciał go pochwycić, Lex zanurkował i z całej siły pchnął herszta barkiem. Raithen stracił równowagę i wpadł na Byka. A chłopak wyskoczył za próg.

– Diabli - zaklął Raithen, widząc, jak Lex pędzi przez mrok ładowni i wpada na schody prowadzące na pokład. - Łap go, Byku. Chcę go żywego.

– Aye, kapitanie. - Pirat ruszył długimi susami, szybko zmniejszając dystans między sobą a uciekinierem.

Raithen pośpieszył w tę samą stronę, z dłonią zaciśniętą na rękojeści miecza. Już widział łunę pożaru. Szare macki dymu zmieszane z białymi pasmami mgły unosiły się nad rzeką.

Miał rację. Ktoś śledził ich przez całą Zatokę Zachodniej Marchii. Ale czy to inni piraci, czy może królewska marynarka? Kilku ludzi czy też mała armada blokująca rzekę?

Drabinka drżała i dygotała w dłoniach Raithena, gdy Byku pokonywał kolejne szczeble. Herszt deptał olbrzymowi po piętach. Miał już wyjść na pokład, gdy skalny nawis nad jego głową pękł i rozpadł się na kawałki. Raithen patrzył z niedowierzaniem, jak odłamki mkną niczym pociski z katapulty.

Duży kawał granitu spadł na dziób „Barakudy”. Siła uderzenia strzaskała deski pokładu, zniszczyła reling. „Barakuda” zadygotała jak uderzona przez szkwał.

Raithen nie zdołał ustać, latarnia wypadła mu z ręki, poturlała się po pokładzie i zniknęła za burtą.

Herszt piratów podniósł się i na ugiętych nogach, by zrównoważyć dzikie podrygi „Barakudy”, która szarpała się na jęczących cumach, rozejrzał się, sprawdzając, jak wygląda sytuacja dwóch pozostałych okrętów. Obu niewiele brakowało do smutnego końca. Płomienie już pożerały olinowanie okrętu po lewej, a ten po prawej był w niewiele lepszym stanie.

*Kto to, do diabła, zrobił?*

Raithen dostrzegł chłopaka. Dzieciak nie miał już gdzie uciekać. Stał plecami do krawędzi kołyszącego się pokładu. Po minie, z jaką zerknął za burtę, widać było, że wyrostkowi niespieszno próbować szczęścia w wodzie. Byku szedł na niego, wrzeszcząc, klnąc i nakazując zostać na miejscu.

Raithen wrzeszczał na załogę. Kazał im brać się do wiader i próbować ocalić statki. Jeśli kryjówka została odkryta, chciał mieć wszystkie okręty, aby wyjść jak najszybciej w morze.

Wokół kadłuba unosiły się beczułki i skrzynie, ale większość szybko tonęła. Okręt też osiadał coraz głębiej, Raithen wiedział, że „Barakuda” nabiera wody. Kamień, który uderzył w dziób, musiał też dokonać zniszczeń poniżej linii zanurzenia.

Raithen wpatrywał się w resztki nawisu. Doszedł do wniosku, że ta katastrofa nie była naturalna. Coś się wydarzyło, coś, co ją spowodowało. Od razu pomyślał o Buyardzie Choliku. Ruiny, w których grzebali się kapłani, były pod ziemią. Raithenowi przemknęło przez głowę, że warto by przekonać się, czy stary klecha przetrwał próbę zaspokojenia swojej chciwości.

Wtedy jego uwagę przykuł ruch wśród lin. Herszt piratów odwrócił się, unosząc miecz.

# OSIEM



Darrick zdołał zatrzymać się wśród olinowania „Barakudy”. Miał właśnie sięgnąć po węzlicę i zjechać na pokład, gdy obok niego wylądował Mat.

– Udało ci się - powiedział Darrick, jednym cięciem uwalniając sznurową drabinę.

– Ledwie - odparł Mat. - I co z tym moim niesamowitym szczęściem, o którym żeś tyle gadał? Ta przeklęta skała wybuchła.

– Ale my nie - wytknął mu Darrick. Rzucił okiem na płonące kogi i poczuł dumę. Sprawdził kamienne schody i zobaczył, że Maldrin właśnie się podnosi. Wybuch najwyraźniej go przewrócił.

– Tam jest chłopiec - zorientował się Mat.

Darrick szybko obrzucił spojrzeniem pokład pod nimi i ujrzał niewielką postać zapędzoną na połamany dziób przez potężnego mężczyznę. Nie wątpił, że chłopiec był królewskim bratankiem - na pirackich statkach raczej nie spotykało się dzieci.

– Darrick!

Darrick uniósł głowę. Tomas stał obok jedynej ocalałej talii, druga skończyła w morzu razem z fragmentami zbocza.

Marynarz machnął ręką.

– Dawaj to na dół - nakazał Darrick. Chwycił wężlicę i zeskoczył z rei. I choć okręt zanurzał się coraz głębiej - zapewne nabierał wody - Darrick tak oszacował swój skok, że linowa drabinka, której się trzymał, wyniosła go szerokim łukiem za plecy wielkiego pirata. Marynarz na wężlicy dotarł do najwyższego punktu i lina poniosła go z powrotem. Tym razem Darrick celował w pirata.

– Byku! - krzyknął ostrzegawczo mężczyzna za plecami olbrzyma. Wielkolud rozejrzał się, ale nie spojrział w górę i nie zobaczył Darricka. Dopóki nie było za późno.

Ugiąwszy nieco kolana, żeby zamortyzować uderzenie, Darrick obiema stopami trafił wielkoluda na wysokości ramion. Poczul ból w kolanach i był pewien, że tamten ani drgnie, za to on rozbije się o olbrzyma jak fala o skały.

Ale stopy wielkoluda oderwały się wreszcie od pokładu i pirat poleciał do przodu.

Darrick puścił drabinkę i upadł na pokład kilka stóp od chłopca. Natychmiast zerwał się na równe nogi i wyciągnął kordelas.

– Brać go - rozkazał mężczyzna w czarnej kolczudze.

Darrick zdążył się wyprostować akurat w porę, by stawić czoła dwóm piratom, którzy rzucili się wypełnić ten rozkaz. Zbił ich ostrza w bok, zrobił krok i uderzył jednego łokciem w twarz. Nos tamtego złamał się z głośnym trzaskiem. Nie było to honorowe zagranie, ale Darrick wiedział, że nie walczy z honorowymi przeciwnikami. Piraci zatopiliby mu ostrze w plecach tak samo chętnie jak on im.

Pirat ze złamanym nosem zatoczył się z twarzą zalaną krwią. Nie upadł jednak.

Nie zatrzymując się, Darrick wyjął sztylet z buta, obrócił się na pięcie i wbił go między żebra napastnika, rozrywając pierś i bijące w niej serce.



Niemal jednocześnie podniósł kordelas, sparował niezgrabny atak drugiego pirata i natychmiast odpowiedział ripostą.

Mat wylądował na pokładzie chwilę później.

– Bierz chłopaka - nakazał Darrick. Potem podniósł głos. - Tomas!

– Aye, sir - odpowiedział Tomas z góry. - Się robi.

Darrick udaremnił kolejną próbę nadziania go na klingę jak na rożen, dostrzegając, że wielki jak góra pirat zaczyna się podnosić. Tymczasem z talii nad jego głową zjechała niewielka sieć do podnoszenia ładunków.

– Lex. - Mat demonstracyjnie rozłożył puste dłonie. - Nie bój się, chłopcze. Mój przyjaciel i ja jesteśmy z królewskiej marynarki i żeśmy przyszli zabrać cię bezpiecznie do domu. Jeśli pozwolisz.

Siatka opadła na deski pokładu, tworząc plątaninę konopnych lin.

– Tak - powiedział chłopak.

– Dobrze. - Mat uśmiechnął się do niego, sięgnął po siatkę i pociągnął ją w stronę chłopca. - To zabierajmy się stąd. - Podniósł głos. - Darrick!

– Momencik - odpowiedział Darrick, zajęty walką. Odbił wymierzony w niego miecz, odpowiedział niskim cięciem, a potem zanurkował i barkiem rąbnął pirata w bok. Naparł i wypchnął przeciwnika za burtę.

– Do mnie! - mężczyzna w czarnej kolczudze wezwał swoich ludzi ze sterburty.

Darrick odwrócił się, by stawić czoła ogromnemu piratowi. Niemal natychmiast zauważył zakrwawioną chustę na głowie wielkoluda. Sparował jego cios, sprawdzając przy okazji siłę przeciwnika. Olbrzym był nieludzko mocny. Pirat, absolutnie pewny siebie, uśmiechnął się do marynarza szeroko.

Uchyliwszy się przed ciosem, Darrick zrobił krok w bok i wbił stopę w kolano przeciwnika. Coś trzasnęło, ale olbrzym utrzymał się na nogach i

odpowiedział uderzeniem, którym zdjąłby Darrickowi głowę, gdyby nie to, że było chybione.

Szybko jak atakujący wąż Darrick walnął wielkoluda w krocze. A gdy ten zgiął się z bólu, Darrick kopnął go z półobrotu w zranioną stronę głowy. Olbrzym zawył z bólu i upadł.

Mężczyzna w czarnej kolczudze postąpił do przodu i uniósł ostrze. Zaatakował bez słowa. Tylko klinga błyskała raz po raz, a każdy jej ruch dowodził umiejętności szermierza.

– Jestem Raithen, kapitan tego statku. A ty jesteś już martwy.

Rozgorzał śmiertelnie zajadły pojedynek. Choć Darrick był świetnym szermierzem, z trudem nie dopuszczał ostrza kapitana do swego gardła, oczu lub krocza. Dla Raithena żadna sfera nie była zakazana czy niedostępna. Najwyraźniej kapitan miał zamiar dostać Darricka tak czy inaczej i nie robiło mu różnicy, czy przeciwnik skończy martwy, ślepy, czy pozbawiony męskości.

Wyjąc z bólu i wściekłości, olbrzym dźwignął się z pokładu i ruszył na Darricka. Chusta, którą miał na głowie, pociemniała od świeżej krwi.

– Byku! - huknął Raithen. - Nie! Cofnij się!

Ale olbrzym był zbyt wściekły tudzież zbyt obolały, by usłyszeć kapitana albo żeby go posłuchać. Sadził na Darricka, wymachując wielgachnym mieczem w sposób daleki od finezji. Szarża Byka przeszkodziła Raithenowi w ataku, herszt piratów musiał się cofnąć, by nie odsłonić się zupełnie.

Darrick też się cofnął, ustępując pola olbrzymowi. Upewnił się przy okazji, że Mat już bezpiecznie umieścił chłopca w sieci.

– Tomas, podnieś ich.

– Darrick! - zaprotestował Mat.

Cienie popędziły po pokładzie w dzikim tańcu, gdy latarnie zakołysały się, powolne ruchom okrętu. Załogi na pokładach pozostałych kog

przegrywały walkę z płomieniami, nie potrwa długo, zanim ogień pochłonie oba żaglowce. Darrick poczuł podmuch żaru. Tomas i jego ludzie zaczęli ponosić siatkę z nietypowym ładunkiem.

– Darrick! - zawołał Mat, a jego głosie wyraźnie dźwięczał niepokój.

– Zostań z chłopcem - nakazał mu Darrick. - Chcę, żebyście go stąd zabrali.

Rzucił się do tyłu, unikając kolejnego ciosu olbrzyma, przetoczył po deskach i znów zerwał na równe nogi.

Był świadom, że siatka szybko się podnosi i że załoga drugiej kogi zdołała przerzucić między burtami trap z dębowych desek. Darrick dał dwa szybkie susy, zgadując, jaka odległość dzieli go od Byka. Skoczył, przyciskając podbródek do piersi, i zrobił salto do przodu, gdy wielkolud zaczął wyprowadzać cios.

Odwrócony do góry nogami, w połowie salta, Darrick widział, jak ostrze Byka mija go zaledwie o włos. Cios pirata wytrącił Darricka odrobinę z równowagi, przez co marynarz musiał się przechylić. Wylądował na ramionach i plecach Byka, odzyskał równowagę, wyprostował się i skoczył.

Ściskając w jednej ręce kordelas, drugą wyciągnął jak najdalej, próbując ze wszystkich sił zacisnąć palce na siatce. Chybił o cal.

I wtedy mocna dłoń Mata zacisnęła się na nadgarstku Darricka i nie pozwoliła mu spaść.

– Mam cię.

Wisząc tak, Darrick dostrzegł, jak Raithen potrząsa ręką. Coś błysnęło metalicznie w dłoni kapitana, kiedy ten podniósł ramię i zamierzył się do rzutu. Darrick zobaczył, jak smukły nóż pędzi ku niemu z nieuchronną precyzją. Światło pochodni rozszczepiło się na klindze ostrej jak brzytwa. Darrick, świadom, że nie może wykonać uniku, podniósł rękę i zanim jeszcze zdołał pomyśleć, machnął kordelasem.

Metal zadźwięczał o metal, klinga Darricka odbiła nóż. Marynarz poczuł, że oddech uwiązał mu w gardle.

– A niech to diabli, Darrick - stwierdził Mat. - Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– To twoje szczęście - odrzekł Darrick, spoglądając na wykrzywioną wściekłością twarz herszta piratów, który teraz już nie mógł ich zatrzymać. Darrick, nagle bardzo pewny siebie i diabelnie szczęśliwy, że żyje, zasalutował Raithenowi ostrzem. - Do następnego razu.

Darrick, obracając się wokół własnej osi pod wciągana siecią, zobaczył kamienne stopnie, na których Maldrin walczył z piratem. Kilka machnięć młotem i korsarz spadł ze schodów.

Później inni marynarze pochwycili siatkę i wydzwignęli ją poza krawędź klifu. Darrick wciągnął się na rękach, złapawszy się kamiennego brzegu, a Mat w tym czasie rozciął sieć, uwalniając z jej splotów siebie i królewskiego bratanka.

Chłopiec podniósł się pośpiesznie. Krew płynęła mu z rozcięć na czole, nosie i płatku jednego ucha. Patrzył na pęknięcia w klifie.

– Wyście to zrobili? - spytał.

– Nie - odpowiedział Darrick, patrząc na ruiny. Wyglądały inaczej, jakby jakaś siła poprzestawiała budynki. Na przykład te, których wcześniej używali piraci, znikły pod stertą gruzu.

Lex odsunął się stanowczo od Mata, który upewniał się, czy aby chłopak nie odniósł poważniejszych obrażeń.

– Co oni narobili? - spytał martwym głosem. - Kabraxis to tylko mit. Brama do Piekła to tylko mit. - Spojrzał na Darricka. - Prawda?

Chłodny wiatr od Gór Orlego Dzioba zmierzwił im włosy.

Darrick nie potrafił odpowiedzieć na pytanie królewskiego bratanka.



Rój demonicznych insektów wyleciał z ziejących ciemnością wrót prosto na Buyarda Cholika.

Kapłan, usiłując nie poddawać się przerażeniu, uniósł ramiona i wymówił słowa zaklęcia ochronnego, przekrzykując straszliwe buczenie tysięcy skrzydełek. Nie miał pojęcia, czy czar zadziała na te stwory, ale wiedział, że w swoim obecnym stanie nie zdoła uciec.

Owady minęły Cholika. Masa turkusowych i butelkowitzelonych odwłoków oraz skrzydeł, rozświetlonych blaskiem lamp i pochodni, pomknęła przez jaskinię.

Gdy owady zbliżyły się do pierwszych szeregów niewolników, wystrzeliły niczym strzały, wbijając się głęboko w ich ciała, rozdzierały odzienie i skórę, chcąc dostać się do mięsa.

Niewolnicy wyli w mękach, ale odgłosy ich konania zagłuszyło brzęczenie owadzich skrzydeł.

Cholik, przepelniony zarazem ciekawością i obrzydzeniem, miał tylko nadzieję, że kopacze okażą się wystarczającą ofiarą dla demonów. Patrzył, jak co rusz któryś niewolnik podrywa się ze swojej kryjówki. Owady wgryzały się w ich ciała, drążąc w nich korytarze, wyglądały jak żywe narośle albo wrzody. Niewolnicy, obłąkani z cierpienia i przerażenia, próbowali uciekać. Udawało im się zrobić trzy, może cztery kroki, nim ich ciała otwierały się w fontannach krwi. Razem z nimi padały pochodnie, znacząc pojedynczymi płomieniami drogę do wyjścia.

Wystarczyły sekundy. Ponad połowa niewolników, najemników i kapłanów leżała martwa, a ich kości zostały objedzone do czysta. I tylko szkielety połyskiwały w blasku płomieni. Podczas gdy owady objadały trupy, w jaskini pojawiła się jakby krwawa mgiełka. Porzucając zwłoki,

demoniczne insekty wzbily się i ukryły między stalaktytami. Ich bzyczenie nieco ucichło, kiedy to zmieniły się w obserwatorów kolejnych wydarzeń.

Buyard Cholik wpatrywał się w czerń za wrotami. Strach przepełniał go do głębi, ale nie strach przed tym, co znajdowało się przed nim. Owszem, w pewnym stopniu obawiał się nieznanego, najbardziej jednak lękał się, że moc, którą znajdzie po drugiej stronie wrót, nie wystarczy, by odwrócić zniszczenia, jakich dokonał czas.

Lub też moc po drugiej stronie drzwi nie uzna go za odpowiedniego albo zwyczajnie go nie zechce.

Myśl, że mógłby zostać odrzucony przez demona po tym, jak sam odrzucił Kościół Zakarum, była głęboko przerażająca.

– Mistrzu - wyszeptał Altharin. Jakimś cudem przetrwał potworności, które pochłonęły większość ludzi wokół Cholika. - Mistrzu, powinniśmy iść.

– Idź - odparł Cholik, nie spojrzawszy nawet na akolitę.

– To złe miejsce - nalegał Altharin.

– Oczywiście. - Cholik owinął się szatą, odetchnął głęboko i pomaszerował do drzwi na spotkanie przeznaczenia.

Nawet stanąwszy u wrót, Cholik widział jedynie rozciągającą się za nimi nieskończoną ciemność. Zatrzymał się w progu, czując pokusę, by krzyknąć. Czy demon by mu odpowiedział? Tego Cholik nie wiedział. Wszystkie teksty, które przestudiował, nie dały mu wiedzy o tym, co nastąpi dalej.

Gdzieś tam Kabraxis miał ponoć czekać na człowieka, który pozwoli mu powrócić do świata śmiertelnych.

Poryw zimnego wiatru wionął ku kapłanowi z ciemności. Być może Cholik byłby gotów zawrócić jeszcze chwilę wcześniej, ale lodowaty powiew przywiódł kapłanowi na myśl chłód grobu. Lepiej umrzeć nagle

tego wieczora, niż żyć ze świadomością, że wszystkie nadzieje umarły, nim się narodziły.

A jeszcze lepiej byłoby żyć, gdyby jego wysiłki zostały uwieńczone sukcesem.

Zrobił krok i wszedł w ciemność. Ciągłe buczenie demonicznych owadów ucichło. Nie dlatego, że Cholik wkroczył do kolejnej jaskini pod Ransim i Portem Tauruka, ale dlatego, że ten jeden krok przeniósł go bardzo daleko.

Zimno kąsało bezlitośnie, ale strach przed śmiercią i pragnienie uniknięcia tego, co dla ludzi było nieuniknione, pchały Cholika naprzód. Światła jaskini, którą zostawił za sobą, pozwalały mu dostrzec ściany wąskiego tunelu, ale nic z tego, co leżało przed nim.

*Jesteś człowiekiem* - rozległ się głęboki głos w głowie kapłana. Cholik niemal przewrócił się z zaskoczenia.

– Tak - powiedział.

*Słabym człowiekiem. A chcesz stanąć twarzą w twarz z demonem?* - w głosie dźwięczało rozbawienie.

– Ludziom zdarzało się już zabijać demony - odparł Cholik, podejmując marsz tunelem.

*Nie, nie zabijać* - stwierdził stanowczo głęboki głos. *Co najwyżej wygnąć z waszego świata. Ale tylko na jakiś czas. Diabło powrócił. Inni nigdy nie zostali wygnani. Jeszcze inni pozostali w ukryciu i nikt o nich nie wiedział.*

– Ty zostałeś wygnany - stwierdził Cholik.

*Szydzisz ze mnie, człowieku?*

– Nie - odpowiedział Cholik, zbierając całą odwagę. Starożytne teksty nie wspominały o tym, co miało wydarzyć się po drugiej stronie wrót, ale Cholik wiedział z innych ksiąg, że demony pogardzają strachem. Było to narzędzie na podobieństwo młota kowalskiego, służące do kształtowania

ludzi, nad którymi miały władzę. Spotkanie z demonem oznaczało konieczność kontrolowania strachu.

*Nie okłamuj mnie, człowieku. Lękasz się mnie.*

– Tak jak bałbym się upadku z wysokiego klifu - przyznał Cholik. - A jednak aby się wspiąć, człowiek musi przezwyciężyć strach przed upadkiem.

*A ty przezwyciężyłeś swój strach?*

Cholik oblizał wargi. Wszystkie bóle i dolegliwości związane ze starością ponownie dawały o sobie znać, przypominając mu, że zaklęcie, które wykorzystał do pozbawienia niewolnika energii życiowej, nie będzie trwać wiecznie.

– Bardziej niż nagłej śmierci boję się życia więźnia tej rozpadającej się skorupy, jaką jest moje ciało.

*Jestem demonem, Buyardzie Choliku. Nie wiesz, że ryzykujesz umieranie przez całe stulecia?*

Cholik zmylił krok w ciemnościach. O tym nie pomyślał. Przez te wszystkie lata, gdy zbierał informacje o Kabraxisie i Czarnej Drodze, szukał tylko wiedzy. A po tym, jak już przekonał Raithena, by ten wsparł go w poszukiwaniach, dostarczał niewolników i zapewniał transport, myślał jedynie o przekopaniu ruin Ransim i znalezieniu wrót.

Cholik postarał się, by jego głos brzmiał pewnie.

– Szukasz drogi wyjścia ze swego więzienia, panie Kabraxisie. Mogę być tą drogą.

*Ty?! Kruchy i słaby, i o krok od śmierci?!* – zaśmiał się demon, a jego gromki śmiech w ciasnej przestrzeni tunelu zawibrował w całym ciele Cholika.

– Ty możesz uczynić mnie zdrowym i silnym - odpowiedział Cholik. – Możesz przywrócić mi młodość. Czytałem, że masz taką moc. Potrzebujesz



młodego człowieka, by odzyskać władzę, którą kiedyś miałeś w naszym świecie. - Przerwał. - Możesz mnie uczynić takim człowiekiem.

*Czy w to wierzysz?*

- Tak. - I Buyard Cholik wierzył w moc demona tak samo, jak kiedyś wierzył we wszystko, co głosił Kościół Zakarum. Jeżeli jedno było fałszywe, to i reszta też. Ale jeśli była to prawda...

*Pójdź więc, Buyardzie Choliku, niegdyś kapłanie Zakarum i wrogu demonów. Pójdź, a zobaczymy, cóż można z ciebie uczynić.*

Stary kapłan poczuł, jak wzbierają w nim niecierpliwość i obawa zarazem. Ogarnęły go mdłości i myślał, że zwymiotuje. Skoncentrował się, wykorzystując techniki, których nauczył się, gdy służył Kościołowi, i zmusił obolałe ciało, by podjęło marsz.

W ciemnościach przed nim zajaśniała gwiazda. Kamienne ściany tunelu rozpląnęły się, ustępując miejsca mrokom nocy. Cholik nie był już w zamkniętej przestrzeni. Nagle uświadomił sobie, że nie kroczy już po kamieniach, lecz po wiszącym moście, zbudowanym z ludzkich kości.

Wśród piszczeli, kości ud, ramion i żeber od czasu do czasu widać było ludzką czaszkę albo jakąś jej część. Cholik zwolnił, czując, jak most kołysze się pod nim. Gdzieś z przodu czaszka wyslizgnęła się ze swojego miejsca, potoczyła się z hałasem po moście, odbiła od miednicy i spadła w przepaść.

Cholik przyglądał się, jak czaszka spada, wyłamana szczeka zwiła krzywo, więc wydawało się, że czerep krzyczy rozpaczliwie. Długo wirowała, aż w końcu zniknęła w ciemnościach poza srebrzystym blaskiem gwiazdy, która czekała na drugim końcu mostu. I wtedy Cholik zrozumiał, że kości nie są połączone zaprawą, ale wciśnięte jedna w drugą.

*Czy chciałbyś zawrócić, Buyardzie Choliku?*

Cholik nie zdołał się powstrzymać i spojrzął do tyłu. W pewnej odległości za nim, nie był w stanie powiedzieć, jak daleko, widział prostokąt wrót, za którymi znajdowała się jaskinia pod Ransim. Migotały w niej płomienie lamp i pochodni, a na skalistej podłodze leżały obrane z ciała szkielety. Cholikowi przemknęła przez głowę myśl o powrocie do względnego bezpieczeństwa, jakie oferowała jaskinia.

Mostem wstrząsnął wybuch. Cholik przerażony patrzył, jak część splecionych kości uniosła się wysoko. Fragmenty szkieletów spadały w ciemność, niczym liście niesione wiatrem, wirując i dryfując.

Cholik nie mógłby przeskoczyć wyrwy w moście, była zbyt duża. Uświadomił sobie, że został uwięziony na tej dziwnej ścieżce z kości.

*Niech to będzie twoja pierwsza lekcja - powiedział demon. Będę twoją siłą, gdy zabraknie ci własnych.*

Wiedząc, że jest zgubiony, Cholik odwrócił się i spojrzął na most przed sobą. Srebrna gwiazda świeciła jaśniej, ukazując więcej niż przed chwilą. Most z kości wznosił się coraz wyżej, lecz robił to zakosami. W załamaniach wyrastało coś, co przypominało drzewa.

Cholik zwlekał, starając się zebrać siły, choć wiedział, że w starym ciele już dawno ich brakło.

*Pójdź, Buyardzie Choliku, pójdź – zakpił demon. Dokonałeś wyboru, kiedy przeszedłeś przez próg wrót. Tylko ci się wydawało, że będziesz mógł zmienić zdanie po drodze.*

Cholik czuł, jakby wielka dłoń ścisnęła jego pierś i odebrała oddech. Czy to jego serce? Czy w końcu go zawiodło? A może to Kościół Zakarum mścił się za porzucenie wiary?

*Oczywiście - powiedział Kabraxis - możesz rzucić się z mostu.*

Cholik odczuwał taką pokusę, lecz tylko przez chwilę. Ale to nie był strach, tylko bunt. I trwało to jedynie okamgnienie. Strach przed śmiercią

płonął w nim niczym potężne ognisko. Ruszył więc dalej.

Gdy podszedł do pierwszego z drzew, okazało się, że rodzi ono owoce. Zbliżywszy się jeszcze bardziej, odkrył, że owoce były malutkimi ludzkimi głowami. Na ich twarzyczkach malował się strach, a usteczka poruszały się w błaganiach, które dopiero wtedy stały się dla Cholika słyszalne. Choć nie rozumiał, co mówią, pojmował udrękę. W słowach kryła się nieskończona rozpacz i ból, w jakiś przerażający sposób brzmiało to melodyjnie.

*Głosy udręczonych* - powiedział Kabraxis. *Czyż to nie jest najśłodszy z dźwięków?*

Cholik szedł dalej. Do kolejnego zakrętu, kolejnego drzewa i kolejnej pieśni o beznadziei i cierpieniu. Płuca paliły go żywym ogniem, miał wrażenie, jakby pierś zakuto mu w metalowe obręcze.

Zachwiał się.

*Pójdź, Buyardzie Choliku, już niedaleka droga przed tobą. A może chcesz skonać tutaj i stać się jednym z owoców na drzewie?*

Ból przyćmił Cholikowi wzrok, ale za następnym zakrętem podniósł głowę i ujrzał, że dalej most był już prosty i prowadził do niedużej wyspy pośrodku ciemności. Srebrna gwiazda wisiała nad ramieniem potężnej postaci o ludzkich kształtach, siedzącej na kamiennym tronie.

Cholik walczył o każdy haust powietrza, świadom, że od śmierci dzieli go tylko chwila. Pokonał ostatnie wzniesienie i zatrzymał się przed postacią na tronie. Nie zdołał jednak ustać przed demonem i osunął się na kolana, na szorstki czarny kamień, z którego zbudowana była wyspa. Zakaszłał słabo. Poczł w ustach metaliczny posmak i zauważył na kamieniu szkarłatne rozbryzgi. Ogłuszony z przerażeniem patrzył, jak kamień pochłania krew, spija ją do ostatniej kropelki.

*Spójrż na mnie.*

Pokonany przez ból, pewien rychłej śmierci Cholik uniósł głowę.

– Lepiej się pospiesz, panie mój, Kabraxisie.

Nawet siedząc, demon był wyższy niż stojący Cholik. Stary kapłan domyślał się, że Kabraxis dwukrotnie przewyższał człowieka, mógł mieć nawet piętnaście stóp. Potężne ciało było czarne, poprzecinane żyłami błękitnego płomienia. Twarz o rysach ostrych i nie do końca wykształconych budziła przerażenie. Demon miał dwoje oczu o kształcie odwróconych trójkątów, w miejscu nosa dwie czarne dziury, a usta bez warg, jak wstrętna rana pełna żółtych kłów. Z głowy wyrastały mu wijące się jadowite węże, wszystkie w pięknych, jasnych kolorach tęczy.

*Czy wiesz o Czarnej Drodze?* - zapytał demon, pochylając się nieco. W głosie nie było już szyderstwa.

– Tak - wycharczał Cholik.

*Czy jesteś gotów stawić czoła temu, co leży na Czarnej Drodze?*

– Tak.

*Więc uczyn to.* Kabraxis sięgnął i ujął głowę Cholika w swoje wielkie, trójpalczaste ręce. Szpony demona wbiły się w głowę kapłana, przebijając czaszkę.

Cholik stracił zmysły. Oczy mu łzawiły, gdy wpatrywał się w przerażającą twarz demona i posmakował jego ohydneho oddechu. Zaczął krzyczeć, nim uświadomił sobie, co robi.

Demon tylko się zaśmiał i dmuchnął na niego ogniem.

# DZIEWIĘĆ



Raithen wiedział, że dwie z trzech kog były stracone. Płomienie pełzały po masztach, pochłonęły już niemal całe olinowanie - ugaszenie pożarów było niemożliwe.

Z zimnym zdecydowaniem przeszedł po pokładzie „Barakudy”.

– Opuścić okręty! - krzyknął do piratów, którzy bali się go bardziej niż ognia, więc nie ustawali w walce. Od krzyku rozboleło go zranione gardło.

Piraci usłuchali natychmiast, nie wyglądali na strapionych, że przyszło im porzucić statek. Gdyby ceną za uratowanie okrętu było życie kilku piratów, Raithen zapłaciłby ją z ochotą, ale utrata i statku, i ludzi była niedopuszczalna.

Kapitan wskoczył na trap, prowadzący na wąski pasek lądu u stóp klifu. Teraz na tym wąskim kawałku skały, który wiódł do wyciętych w zboczu schodów, piętrzyły się odłamki skał i kamienie. Na stopniach leżeli martwi piraci, polegli w starciu z drużyną ratunkową marynarki Zachodniej Marchii. A ten staruch z młotem był niczym wcielenie śmierci na swym posterunku u szczytu schodów. Łucznicy wroga siali zaś takie spustoszenie wśród korsarzy, że ci już nawet nie próbowali wspinać się na schody. Na domiar złego Raithen stracił też zakładnika.

Wiedział, że królewscy marynarze już odeszli, zabierając ze sobą chłopca. Kapitan piratów zbliżył się do płonącej kogi znajdującej się bliżej

ujścia niż „Barakuda” i przeciął cumy jednym mocarnym ciosem topora, który wziął z pokładu.

Płonąca koga ześlizgnęła się głębiej w fale rzeki i pochwycona przez prąd, odpłynęła. To już nie był żaglowiec, tylko stos pogrzebowy.

– Na pokład „Barakudy” - nakazał Raithen swoim ludziom. - Przygotujcie bosaki i trzymajcie tę przeklętą płonącą balię z dala od burt mojego okrętu. - Przeszedł do drugiej kogi, poczekał, aż wszyscy piraci staną przy relingu, i przeciął cumę.

Prąd naturalnie znosił płonący żaglowiec wprost na „Barakudę”, a piraci robili, co w ich mocy, by utrzymać go z dala od okrętu, który Raithen chciał uratować. Kadłub „Barakudy” mógł być mniej lub bardziej uszkodzony, ale i tak trzeba było ją ocalić. Bez kogi czekał ich długi spacer do miejsca, gdzie kotwiczyły najważniejsze jednostki z floty.

Raithen klął piratów na czym świat stoi, w końcu się poddał. Wrócił na pokład „Barakudy” i sam chwycił za bosak. Czuł gorąco na twarzy, ale nie przestawał wrzeszczeć na załogę. Powoli, popychany bosakami, płonący statek okrążał „Barakudę”, aż w końcu znalazł się za jej rufą. Piraci dali głośny wyraz swej radości.

Wściekły Raithen chwycił dwóch stojących najbliżej i przerzucił ich przez reling. Pozostali cofnęli się natychmiast, wiedząc, że i ich dotknie gniew kapitana, jeśli znajdą się w zasięgu jego rąk. Tak spieszo im było z tego zasięgu uciec, że przewrócili kolejnych trzech kompanów.

Raithen wyjął miecz. Spojrzał na swoich ludzi.

– Przekłęci durnie. Właśnie straciliśmy dwa statki, nasz port-kryjówkę i ładunek, którego nie zdołamy stąd wywieźć... a wy się cieszyacie, jakby się wam coś udało?!

Twarze piratów brudziła sadza, a niejeden dorobił się ran czy poparzeń w trakcie krótkiej walki z marynarzami Zachodniej Marchii.

– Załoga „Barakudy” ma natychmiast wypompować wodę i zająć się naprawami! - wrzasnął Raithen. - Wyruszamy o świcie. Ci przekłeci marynarze z Zachodniej Marchii nie dotrą do tego czasu do ujścia rzeki. Byku, zbierz resztę i idziemy.

– Dokąd, kapitanie? - spytał Byku.

– Poszukamy tego przekłętego kapłana - powiedział Raithen. - Jeśli zdoła mnie przekonać, to może nawet daruję mu życie i zabiorę stąd. Nie za darmo. - Dotknął obolałego gardła. - Jeśli nie, to zadbam, żeby pożegnał się z życiem, zanim pożegnamy ten port, i ograbie go ze wszystkich skarbów, które udało mu się wygrzebać w tym mieście.

– Kapitanie Raithen - wtrącił się jeden z piratów - ten wybuch, co zniszczył nabrzeże i spłaszczył ruiny, wziął się właśnie z dziury kapłanów. Szłem stamtąd, gdy zwały się na nas domy. Klechy pewno wszystkie wyginęły.

– Więc ograbimy zmarłych, jeśli tylko ich znajdziemy - stwierdził Raithen. - Mnie to bez różnicy.

Odwrócił się i ruszył w stronę urwiska. Kiedy wspinał się po kamiennych stopniach, raz po raz spychał ze swej drogi kamienie i trupy. Miał zamiar zemścić się przynajmniej na Buyardzie Choliku... o ile stary kapłan nie zginął w tajemniczym wybuchu.



– Nie pójdę! Nie pójdę, mówię wam!

Darrick Lang patrzył, jak chłopiec walczy z Matem i drugim marynarzem, którzy ciągnęli go w stronę Gór Orlego Dzioba, w stronę wolności i „Samotnej Gwiazdy” zakotwiczonej w Zatoce Zachodniej Marchii.

– Proszę! - krzyczał chłopiec. - Proszę! Musicie mnie wysłuchać!

Wreszcie Darrick, zirytowany, machnięciem ręki zatrzymał Mata i pozostałych. Weszli już wystarczająco wysoko, by dobrze widzieć przystań i ruiny miasta. Na rzece daleko pod nimi dryfowała druga płonąca koga. Wąski strumień piratów wciąż płynął z ruin ku przystani, ale linia latarni i pochodni przesuwająca się w górę kamiennych stopni stanowiła widomy znak, że korsarze nie byli jeszcze gotowi do porzucenia portu.

– Czego musimy wysłuchać? - spytał Darrick.

– Demon - odparł chłopiec. Dyszał ciężko, bo gdy tylko znaleźli się na szczycie urwiska, zmuszali go do nieustannego wysiłku. Był za duży, żeby po prostu go nieść, więc Darrick chwycił dzieciaka za ubranie i to ciągnąc go, to popychając, włókł na górę, aż ten nie był w stanie biec.

– Jaki demon? - Mat opadł na jedno kolano, żeby znaleźć się na tym samym poziomie co chłopiec.

Dorastając z młodszym rodzeństwem, Mat miał dużo cierpliwości do dzieci. Dużo więcej niż Darrick.

– Nie trza nam gadać o jakichś przeklętych demonach - prychnął Maldrin. Niemal cały umazany był krwią, w większości cudzą. Mimo bitwy na szczycie schodów, mimo uciążliwego marszu, nadal był w pełni sił. Wszyscy marynarze na „Samotnej Gwieździe” wierzyli, że zgryźliwy stary oficer był w stanie zagonić na śmierć każdego z nich, a potem zawiązać buty i przejść jeszcze milę albo dwie. - Dotąd nie mieli my żadnego pecha i już ja bym wolał, żeby tak zostało.

– Kapitan piratów - wyjaśnił Lex - pokazał mi znak Kabraxisa.

– A ten Kabraxis - dopytywał się Mat - to pewnie demon, o którym mówisz, prawda?

– Tak. - Lex odwrócił się i spojrzał na ruiny Portu Tauruka. - Wejście do leża Kabraxisa musi tam gdzieś być. Słyszałem, jak piraci rozmawiali o



kapłanach, którzy tam kopali.

– Jaki znak? - pytał cierpliwie Mat.

– Kapitan Raithen pokazał mi znak Kabraxisa - powtórzył Lex.

– A jakim to sposobem - zapytał ostro Darrick - tak się znasz na demonach?

Lex przewrócił oczami.

– Posłano mnie do Lut Gholein, żebym się szkolił na kapłana. Spędziłem tam cztery lata. Najważniejsze z ksiąg filozoficznych traktowały o walce człowieka z jego demonami. Demony ponoć nie są rzeczywiste. A co, jeśli jednak są? A jeśli Kabraxis jest gdzieś wśród ruin tego miasta?

Podmuch wiatru ze szczytów Gór Orlego Dzioba przejął Darricka chłodem. Jeszcze chwilę wcześniej włosy miał wilgotne po wysiłku, ale owa wilgoć parowała już, gdy patrzył na ruiny. Piraci mrowili się na szczycie klifu, ich latarnie i pochodnie migotały we mgle i odbijały się w rzece poniżej.

– Nie będziemy się zajmować demonami, chłopcze - zdecydował Darrick. - Mamy rozkaz, by bezpiecznie odstawić cię do domu, i zamierzam go wykonać.

– Mówimy o demonie, który jest tutaj, kapitanie - upierał się Lex.

– Nie jestem kapitanem - odparł Darrick.

– Ci ludzie słuchają twoich rozkazów.

– Aye, ale nie jestem kapitanem. Mój kapitan kazał mi ciebie sprowadzić i zamierzam to zrobić.

– A jeśli piraci znajdą demona? - zapytał Lex.

– Jakby kto mnie pytał, to mogą sobie zatrzymać każdego parszywego demona, którego znajdą - oznajmił Maldrin. - Uczciwy człowiek nie zadaje się z demonami.

– Nie - zgodził się chłopiec z powagą. - Ale demony kradną dusze uczciwych ludzi. A Kabraxis, kiedy chodził po ziemi, był najgorszy ze wszystkich.

– Już ja tam nie uwierzę w żadne demony. - Tomas skrzywił się z ponurą podejrzliwością. - To jeno bajki i legendy. Mają człowieka zabawiać i od czasu do czasu wystraszyć.

– Kabraxis - nie dawał za wygraną Lex - zwany był też Złodziejem Nadziei. Ludzie umierali spętani jego łańcuchami, łańcuchami, które sami na siebie nakładali, ponieważ wierzyli, że on da im odpuszczenie grzechów, bogactwo, zaszczyty i wszystko to, co śmiertelnicy zwykli uważać za ważne.

Darrick ruchem głowy wskazał żalosne pozostałości ruin.

– Jeśli to zrobił Kabraxis, to coś mi się wydaje, że nie podziękował zbyt serdecznie kapłanom i piratom za pobudkę.

– Oni go nie przebudzili - sprostował Lex. - Sprowadzili z powrotem do naszego świata. Mroczna Trójca pomagała zapieczętować bramy do jego leża, gdyż stał się zbyt potężny.

– No nie był chyba zbyt wielki w porównaniu z Trójcą - oznajmił Maldrin. - Bo żem nic o nim nie słyszał, obeszło się widać bez krwawej jatki.

Wiatr zmierzwił chłopcu włosy, a niebo przecięła błyskawica, nadając twarzy Lexa barwę wypolerowanej kości.

– Diabło i jego bracia bali się Kabraxisa. To cierpliwy demon, taki, który działa po cichu i czeka na nadarzącą się okazję. Musimy wiedzieć, czy Kabraxis wrócił. Musimy być gotowi, by stawić mu czoła.

– Moim zadaniem jest odwieźć cię do Zachodniej Marchii, do króla - powtórzył Darrick.

– Zatem będziesz musiał mnie zanieść - odparł Lex - bo sam nie pójdę.

– Z całym szacunkiem - wtrącił się Maldrin - ale skoro znowu mamy łązić po tej ścianie jak muchy, to wierzgający młodzik raczej nam nie pomoże. Bezpieczniej z nim też nie będzie.

Darrick był tego świadom. Wziął głęboki oddech, poczuł w wietrze zapach nadchodzącej burzy.

– Mam lepszy pomysł, zostawimy cię tutaj i powiemy królowi, że nie zdążyłem na czas.

Ciemne oczy chłopca tylko przez chwilę spoglądały na Darricka.

– Nie zrobisz tego. Nie możesz.

Darrick wykrzywił się okrutnie, mając nadzieję przestraszyć wyrostka.

– A jeśli zabierzesz mnie bez sprawdzania pogłosek o demonie - zagroził Lex - powiem królowi, że mogłeś dowiedzieć się więcej, ale tego nie zrobiłeś. Po kłopotach w Tristram nie sądzę, aby mój stryj potraktował łagodnie marynarza, który nie dopełnił obowiązku zdobycia jak najwięcej informacji, nieprawdaż? - Chłopiec uniósł brew.

Darrick ugryzł się w język, pragnąc, aby dzieciak cofnął swoje słowa. Ale nawet gdyby Lex to zrobił, to on sam nie mógłby ich zapomnieć. Ani zlekceważyć. Król *chciałby* wiedzieć. A pomimo napawającej go strachem możliwości ujrzenia demona Darrick był ciekawy.

– Nie - przyznał z namysłem. - Nie sądzę, aby król potraktował łagodnie takiego marynarza... Maldrin?

– Aye.

– Czy ty, Mat i reszta moglibyście sami zabrać podrzutka do łodzi? - Darrick spojrzał na chłopca. - O ile zgodzi się współpracować?

– Mogę to zrobić - odparł niechętnie Maldrin. - A jak trza będzie, to się go zwiąże i opuści na linie. - Spojrzał na chłopca, po czym zwrócił się do Darricka. - Tylko coś mi się nie wydaje, że to mądre tak zaraz lecieć nazad.

– Nigdy mi jakoś nie zarzucałeś nadmiaru mądrości - skrzywił się Darrick, ale było to tylko puste gadanie, które wcale nie poprawiło mu samopoczucia.

– No ja nie zostanę z tyłu - zaprotestował Mat, potrząsając głową. - Nie. Jeśli demon rzeczywiście poluje w podziemiach, idę z tobą, Darrick.

Darrick spojrział na najlepszego przyjaciela na świecie, którego znał całe życie.

– Dobrze. I cieszę się, że będę cię miał u boku, ale pamiętaj, że tym razem to nie będzie fraszka.

Mat się uśmiechnął.

– To przygoda, o której będziemy na starość opowiadać naszym wnukom, jak je będziemy huścić na kolanie.

– Powinienem iść z tobą - wtrącił się Lex.

Darrick popatrzył na chłopca.

– Nie. Zrobiłeś, co mogłeś. Resztę pozostaw nam. Król nie będzie zbyt szczęśliwy, jeśli usłyszy, że jego bratanek nie dał się uratować ludziom, którzy ryzykowali życie w tej sprawie. Zrozumiano?

Chłopiec niechętnie pokiwał głową.

– Oczywiście świetnie sobie poradziłeś tam na pirackim okręcie, jakieś się sam uwolnił - dodał Darrick. - Oczekuję takiego samego zachowania, gdy będziesz z ludźmi, którzy mają cię strzec nawet za cenę własnego życia. Umowa stoi?

– Ale mogę rozpoznać demona... - zaproponował chłopak.

– Chłopcze - przerwał mu Darrick - sądzę, że rozpoznam demona, jeśli go zobaczę.



Burza zbierała siły do natarcia, gdy Darrick prowadził grupkę marynarzy z powrotem do ruin. Księżyc chował się za srogimi, ciemnymi chmurami, skrywając świat w mroku, po czym znów się pojawiał, przywołując długie, ostre cienie na posrebrzoną ziemię. Alabastrowe kolumny miasta płonęły wewnętrznym ogniem za każdym razem, gdy dotykało ich światło księżyca.

Marynarze poruszali się w ciszy, nie mieli bowiem zbroi. Królewskie wojsko rzadko udawało się gdziekolwiek bez hałasu i brzęku kolczug czy zbroi płytowych, ale taki pancerz oznaczał wyrok śmierci dla kogoś, kto w trakcie starcia wpadł do wody, a to mogło spotkać każdego z żeglarzy.

Znalezienie w ruinach wejścia do podziemi okazało się proste. Darrick podążył za ostatnimi z piratów Raithena ścieżką, prowadzącą w trzewia ziemi, pod gruzami Portu Tauruka.

W jaskiniach słycać było jedynie uporczywe bzyczenie, nikt się nie odzywał. Zwały ziemi nad głowami chroniły wprawdzie przed wiatrem, ale nie przed chłodem, który sprawiał, że Darrick odczuwał ból w całym ciele. Długa wspinaczka na klif, jak również późniejsza walka pozbawiły go energii, każdy kolejny ruch napędzała już tylko czysta adrenalina. Marzył o swoim hamaku na pokładzie „Samotnej Gwiazdy” i kilkudniowej podróży do Zachodniej Marchii.

Jaskinię wypełniała mgła lub kurz. W świetle niesionych przez piratów latarni wydawała się migotać złościście.

Tunel, którym wędrował Darrick, stopniowo się rozszerzał, aż w końcu marynarz zobaczył potężne drzwi po drugiej stronie wielkiej jaskini.

Raithen i jego piraci zatrzymali się u wejścia jaskini, więc Darrick nie mógł zobaczyć, co jest dalej. Niektórzy z korsarzy sprawiali wrażenie, że najchętniej obróciliby się i wzięli nogi za pas, ale Raithen powstrzymał ich ostrym tonem, grożąc, że użyje miecza.

Kuląc się za głazem, który obsunął się podczas wykopalisk, Darrick popatrzył w głąb groty. Mat dołączył chwilę później, oddychając nieco chrapliwie.

– Co się stało? - wyszeptał Darrick.

– To ten przeklęty kurz - odpowiedział również szeptem Mat. - Chyba nie opadł po tym wybuchu. Ledwie dycham.

Darrick oderwał rękaw swojej i tak już podartej koszuli i podał przyjacielowi.

– Obwiąż nim usta i nos - poradził. - To zatrzyma kurz.

Mat z wdzięcznością przyjął kawałek materiału i zasłonił twarz.

Darrick oderwał drugi rękaw i obwiązał nim sobie głowę. Trochę mu było żal, bo bardzo lubił tę koszulę, choć oczywiście nie mogła się ona równać tym z jedwabiu z Kurast, które trzymał w skrzyni na „Samotnej Gwieździe”. Dorastał w biedzie, więc cenił rzeczy i zwykle dbał o to, co posiadał.

Powoli i ostrożnie Raithen poprowadził swoich ludzi do wnętrza jaskini.

– Darrick, patrz! - Mat wskazał szkielety na kamiennej posadzce. Kilka było starych, ale większość wyglądała, jakby dopiero co obrano je z mięsa. Kości okrywały resztki ubrania, podarte, ale nie zetlałe.

– Widzę je. - Darrick poczuł, jak podnoszą mu się włosy na karku. Nie przepadał za magią, a nie miał wątpliwości, że patrzy na wyraźne dowody na to, że przed chwilą była tu w użyciu.

*Nie powinno nas tutaj być – zgañił się w duchu. Gdybym miał choć trochę rozumu, wyniósłbym się stąd, zanim któremuś z nas stanie się krzywda.* W rzeczy samej, miał właśnie wydać rozkaz do odwrotu, gdy z ogromnych wrót wyłonił się mężczyzna odziany w szkarłatno-czarne szaty.

Wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Jego czarne włosy już siwiały na skroniach, ale rysy miał wciąż ostre i silne. Otaczała go migocząca aura.

– Kapitanie Raithen. - W głosie człowieka w szkarłacie i czerni nie było odrobiny ciepła.

Bzyczenie przybrało na sile.

– Choliku - odpowiedział Raithen.

– Czemu nie jesteście na statkach? - spytał Cholik. Przeszedł przez jaskinię, nie zwracając uwagi na otaczające go trupy.

– Zostaliśmy zaatakowani - wyjaśnił Raithen. - Marynarze z Zachodniej Marchii podpalili moje statki i ukradli chłopca, którego trzymałem dla okupu.

– A więc śledzono was? - Nawet uporczywe bzyczenie nie zagłuszyło gniewu w głosie Cholika.

– Kto to? - wyszeptał Mat.

Darrick potrząsnął głową.

– Nie wiem i demona też nie widzę. Wynośmy się. Ten cały Cholik zaraz się domyśli, co tu robi Raithen i jego piraci. - Gestem nakazał pozostałym przygotować się do odwrotu.

– Może to nie mnie śledzono - sprzeciwił się Raithen. - Może to jeden z ludzi z Zachodniej Marchii, od których kupowałeś informacje, został złapany i cię sprzedał.

– Nie - zaprzeczył krótko Cholik. Wyszedł poza zasięg miecza Raithena. - Ludzie, z którymi prowadzę interesy, baliby się zrobić coś takiego. Jeśli twoje statki zostały zaatakowane, to tylko z powodu twojej własnej nieudolności.

– Darujmy sobie oskarżanie się wzajemnie - zaproponował Raithen.

– I do czego przejdziemy, kapitanie? - Cholik spojrzał na pirata z pogardą i zimnym rozbawieniem. - Do tej części, w której ty i twoja krwiożercza zgraja spróbujecie mnie zabić i zabrać mi to, co myślicie, że tu znalazłem?

Raithen uśmiechnął się szeroko, bez cienia wesołości.

– Nie jest to zbyt ładne sformułowanie, ale owszem.

Cholik majestatycznym gestem owinął się szatą.

– Nie. Nie zrobisz tego tej nocy.

Idąc do przodu, Raithen stwierdził:

– Nie wiem, co sobie zaplanowałeś na tę noc, Cholik, ale chcę dostać to, po co tu przyszedłem. Moi ludzie i ja przelewaliśmy dla ciebie krew i jak się tak zastanowić, nie dostaliśmy w zamian zbyt wiele.

– Twoja chciwość kiedyś cię zabije - zagroził Cholik.

Raithen uniósł miecz.

– Najpierw zabije ciebie.

Przez drzwi przeszła potężna postać. Darrick gapił się struchlały na demona, na wijące się węzowe włosy, barbarzyńskie rysy, potężne trójpalczaste ręce i czarną skórę poprzecinaną bladym błękitem.



# DZIESIĘĆ



Raithen i jego piraci cofnęli się przed demonem, pełni strachu na widok koszmaru z Płonących Piekieł wkraczającego do jaskini. Ludzie krzyczeli w przerażeniu i uciekali.

– Dobra - wyszeptał Mat, a w jego oczach lśnił lęk. - Możemy już powiedzieć chłopcu i jego stryjowi, królowi, że demon istnieje. A teraz zmykajmy.

– Czekaj. - Darrick starał się opanować strach. Wyjrzał zza głazu, za którym się ukryli.

– Na co? - Mat spojrzał nań z niedowierzaniem. Odruchowo wykonał znak Światłości, jak w dzieciństwie, gdy wraz z Darrikiem chodzili do świątyni w Hillsfar.

– Wiesz, ilu widziało demona na własne oczy? - spytał Darrick.

– A ilu przeżyło, żeby o tym opowiedzieć? Najwyżej paru. Chcesz wiedzieć czemu, Darricku? Ponieważ gapili się, zamiast uciekać jak normalni ludzie, więc demony ich zabiły.

– Kapitanie Raithen - głos demona przetoczył się przez jaskinię jak grzmot - jestem Kabraxis, zwany Pogromcą Światłości. Rozłam między tobą i Buyardem Cholikiem nie ma sensu. Możecie nadal pracować razem.

– Dla ciebie? - W głosie Raithena brzmiał strach i podziw, ale herszt piratów stał przed demonem z obnażonym mieczem w dłoni.

– Nie - odparł demon. - Chociaż przeze mnie znaleźć możesz prawdziwą drogę w przyszłość.

Postąpił naprzód i wyszedł przed kapłana.

– Mogę ci pomóc. Mogę podarować ci spokój.

– Spokój mogę znaleźć na dnie kufla piwa - odgryzł się Raithen. - Ale nie poniżę się do służenia demoniemu ścierwu.

Darrick uznał, że ta odpowiedź brzmiałaby lepiej, gdyby kapitanowi głos tak nie drżał, ale nie wątpił, że gdyby sam rozmawiał z demonem, też miałby trudności z opanowaniem przerażenia.

– Zatem zginiesz. - Kabraxis nakreślił dłonią skomplikowany wzór przed sobą.

– Łucznicy! - krzyknął Raithen. - Naszpikujcie tę bestię z piekła rodem!

Piratów zmroził widok demona, reagowali powoli. Zaledwie paru naciągnęło cięciwy i wypuściło strzały. Nie więcej niż tuzin grotów uderzył w demona i odbił się, nie pozostawiając nawet śladu na jego ciele.

– Darricku - szepnął Mat desperacko - inni już uciekli.

Zerknąwszy przez ramię, Darrick przekonał się, że to prawda. Inni żeglarze, którzy mu towarzyszyli, wycofywali się pośpiesznie.

Mat szarpnął przyjaciela za ramię.

– Chodź. Nic tu po nas. Powinniśmy zadbać, aby bezpiecznie dotrzeć do domu.

Darrick skinął głową i wycofał się zza głazu, gdy fale lśniącej energii pomknęły z dłoni demona.

Kabraxis wypowiedział słowa, jakich - tego Darrick był pewien - żaden człowiek nie zdołałby z siebie wydobyć. Brzęczenie w jaskini stało się głośniejsze i z nad stalaktytów uniosły się stworzenia, które na pierwszy rzut oka przypominały świetliki. Przemknęły przez rozświetloną pochodniami jaskinię i uderzyły w piratów Raithena, choć trzymały się z dala od herszta.

Darrick zamarł ze zgrozy, gdy ujrzał, jak insekty zmieniają ludzi w stopy skrwawionych kości. Gdy tylko odarte z mięsa szkielety dotknęły kamiennego podłoża, wstawały i atakowały piratów, którym jeszcze udało się przeżyć.

Wrzaski ludzi, ich przekleństwa w agonii wypełniły jaskinię.

Kabraxis ruszył do tych, którzy pozostali.

– Pójdźcie do mnie, dzieci moje, jeśli chcecie żyć. Oddajcie się mnie. Mogę sprawić, że znowu będziecie cali. Mogę nauczyć was marzyć i stać się kimś więcej, niż przypuszczacie. Pójdźcie do mnie wszyscy.

Garstka piratów podbiegła do demona i padła przed nim na kolana. Łagodnie Kabraxis dotknął ich czoł, pozostawiając na skórze krwawy tatuaż, co chroniło ich przed insektami i szkieletami.

Nawet Raithen podszedł.

Światło w jaskini przygasło, gdy ludzie porzucali lub tracili latarnie i pochodnie. Darrickowi trudniej było obserwować.

Raithen nadal trzymał miecz, gdy zbliżał się do demona. Z jaskini nie było wyjścia. Szkielety blokowały tunel. A nawet gdyby udało się przez nie przebić, pozostawały jeszcze drapieżne owady.

Ale Raithen nie należał do tych, co łatwo się poddają. Gdy tylko znalazł się wystarczająco blisko, pochyliwszy się w hołdzie dla demona, uderzył mieczem prosto w brzuch bestii. Klejnoty na rękojeści i klindze zabłyśły - Darrick domyślił się, że broń zawierać musiała choć trochę magii. Przez głowę przemknęło mu, jakie to szczęście, że nie skrzyżował broni z hersztem piratów. Nawet niewielka rana zadana zaczarowanym ostrzem mogłaby wyrządzić krzywdę, zwłaszcza gdyby zawierało truciznę.

Ostrze Raithena zawierało ogień. Gdy tylko klinga wniknęła w ciało, z rany buchnęły płomienie, paląc skórę i mięśnie.

Kabraxis zawył z bólu i zatoczył się, przyciskając ręce do przebitego brzucha. Raithen odważnie podszedł bliżej i z okrucieństwem obrócił miecz w ranie, aby powiększyć rozcięcie.

– Umrzesz, demonie - warknął, lecz Darrick usłyszał w głosie herszta nutki paniki. Może kapitan piratów uważał, że atak jest najlepszą obroną, a gdy już wykonał pierwszy ruch, musiał brnąć dalej.

Darrick wiedział, że demony ginęły od ludzkich ostrzy i zaklęć wynalezionych przez ludzkich magów, ale stwory mogły się odradzać, więc zabić je było piekielnie trudno. Najczęściej udawało się co najwyżej na jakiś czas wygnać demona z ludzkiej domeny, a przecież dla potworów stulecia były niczym. Potwory zawsze wracały, aby znowu polować na ludzi.

Raithen zaatakował powtórnie, wbijając miecz jeszcze głębiej. Ogień buchnął ponownie, ale Kabraxis wyglądał jedynie na zdziwionego, nie zaniepokojonego.

Zanim kapitan zdążył się cofnąć, demon wyciągnął ramię i zacisnął trójpalczastą dłoń na jego głowie.

Kabraxis przemówił znowu i z jego palców buchnął ogień, który otoczył głowę i ramiona Raithena. Herszt piratów nie zdołał nawet krzyknąć, zeszywniał. Kiedy demon go uwolnił, pożar strawił górną część jego ciała, pozostawiając tylko spieczoną i szerniałą skorupę tam, gdzie niedawno jeszcze stał dobrze zbudowany mężczyzna. Pomarańczowy żar załśnił na zwłokach, a znad spalenizny uniósł się dym. Usta kapitana Raithena były otwarte w krzyku, którego nikt już nigdy nie usłyszy.

– Darrick - wyszeptał ochryple Mat i szarpnął znowu przyjaciela za ramię.

Na skale zazgrzytały kości, uświadamiając Darrickowi, że w cieniach wokół czają się inne zagrożenia niż demon. Obrócił głowę. Dostrzegł

szkielet, który wymierzył właśnie krótki miecz w plecy Mata.

Darrick chwycił przyjaciela za koszulę i odciągnął od szkieletu, sięgając po kordelas. Sparował cios miecza i kopnął napastnika w głowę. Szczeka nieumarłego stwora zawisa luźno, we wszystkie strony poleciały wybite zęby. Szkielet zatoczył się, ale próbował znowu unieść miecz.

Mat rzucił się na niego z własnym mieczem. Ciężkie ostrze przecięło szyję i pozbawiło nieumarłego czaszki.

– Łapać tych ludzi! - ryknął demon z głębi jaskini.

– Wiejemy! - Darrick pchnął Mata przodem. Pognali ramię w ramię, omijając wolno poruszające się szkielety, wskrzeszone przeklętą magią demona. Darrick walczył kiedyś z takimi szkieletami - łatwo można się było od nich uwolnić, wystarczyło się oddalić. Jednak jeżeli gromada nieumarłych dopadła człowieka, mogła go pokonać dzięki przewadze liczebnej, ponieważ potrafiły przyjąć naprawdę wiele ciosów, zanim obrażenia uniemożliwiały im walkę.

Głośnie brzęczenie wypełniło jaskinię za plecami uciekinierów i poniosło się w korytarzu. Przed Matem i Darrickiem powstały kolejne szkielety. Niektóre miały na jasnych kościach zaschniętą krew, innym pozostały jeszcze strzępy ubrań niemodnych od wieków. Port Tauruka skrywał nieprzeliczone rzesze umarłych, którzy teraz powstali na wezwanie demona.

Darrickowi oddech świszczwał w płucach, ale marynarz gnał, nie zwracając uwagi na ból i zmęczenie. Pierwotny strach dodawał mu skrzydeł.

– Biegnij! - wrzasnął do Mata. - Uciekaj, do diabła, albo szkielety cię dorwą!

*A jeżeli tak się stanie, będzie to tylko moja wina.* Myśl ta dręczyła Darricka, odbijała się echem w jego głowie, gdy stopami wybijał szybki

rytm na skalistym podłożu. *Nie powinienem pozwolić, aby ten chłopak mnie do tego namówił. I nie powinienem pozwolić Matowi iść ze mną.*

– Zaraz nas dopadną - wydyszał Mat, zerknąwszy za siebie.

– Nie oglądaj się - rozkazał Darrick. - Patrz pod nogi. Jeśli się potkniesz, nie zdążysz już wstać.

Nie mógł jednak powstrzymać się od zlekceważenia własnej rady i popatrzył przez ramię.

Szkielety podążały za nimi z bronią uniesioną do ataku. Ich kościste stopy klekotały głucho na kamieniach. Na oczach Darricka kilku stworom odpadły palce i poturlały się w mrok. Insekty zbliżały się, ich brzęczenie brzmiało coraz głośniejsze w uszach marynarza.

Szkieletów wychodzących z ciemności łatwo było unikać, nieumarli byli powolni, a brakowało miejsca, żeby mogli uciekinierów zgnieść liczebnością. Darrick używał kordelasa bez finezji, nie miał jak w pełnym biegu, ale i tyle wystarczało, żeby odeprzeć włócznie i miecze dzierżone przez przeciwników. Jednak każde takie starcie kosztowało go całe, które trudno było nadrobić.

*Jak daleko do rzeki?* – Darrick próbował sobie przypomnieć, ale nie potrafił. Nagle dystans rozciągnął się w nieskończoność.

Brzęczenie stawało się głośniejsze, grzmiące.

– Dopadną nas - stwierdził Mat.

– Nie. - Darrick, choć wiedział, że nie powinien marnować oddechu, zmusił się, żeby wydyszeć odpowiedź. - Nie, do diabła. Nie wziąłem cię tutaj na śmierć, Mat. Biegnij.

Za zakrętem, jak Darrick sądził, ich ostatnim, pojawiło się wyjście z tunelu. Niebo przecinały poszarpane błyskawice, na okamgnienie rozprasząc mroki nocy. W obu uciekinierach wezbrała nadzieja. Darrick

ujrzał to w twarzy przyjaciela i wiedział, że podobnie wygląda jego własna. Kilka szkieletów wychynęło z cieni.

– Jeszcze trochę - wydusił Darrick.

– I potem długi bieg do rzeki, chciałeś powiedzieć? - Mat dyszał ciężko. Zawsze był lepszym biegaczem z nich dwóch, gibkim i szybkim, równie sprawnym w biegu, jak Caron na takielunku.

Darrick zastanawiał się, czy jego przyjaciel się wstrzymywał, nie pędził z pełną prędkością. Ta myśl go rozgniewała. Mat powinien zostawić go i uciec wraz z innymi marynarzami, którzy już dawno opuścili korytarze.

Cudem dotarli do ostatniego wzniesienia przed wyjściem z tunelu wiodącego do Portu Tauruka. Mięsożerne insekty były już tak blisko, że Darrick widział ich jasnozielone ubarwienie.

Na zewnątrz uderzył w nich wiatr i deszcz. Ostry odłamek wytoczył się spod stopy Mata. Z zaskoczonym jękiem przyjaciel upadł i poturlał się po gruzowisku, jakie osunęło się z ruin.

– Mat!

Darrick zatrzymał się z niejakim trudem i patrzył ze zgrozą. Ulewa niemal go oślepiła, uderzała w twarz i ramiona. Burza nie należała do naturalnych i zaczął się zastanawiać, jak bardzo przybycie demona wpłynęło na pogodę. Ziemia robiła się coraz bardziej błotnista.

– Nie stawaj! - wrzasnął Mat, desperacko usiłując się podnieść. Splunął deszczem, który wpadł mu do ust, rękaw oddarty od koszuli Darricka zwisał mu na szyi. - Ani się waż zatrzymywać przeze mnie, Darricku Lang! Nie będę miał twojej śmierci na sumieniu!

– A ja nie pozwolę ci umrzeć samotnie - odparł Darrick, mocniej chwyciwszy oburącz kordelas. Deszcz spływał mu po ciele, marynarz przemókł do suchej nitki. Zimne krople siekły usta i smakowały zgnilizną, z jaką się dotąd nie spotkał. A może tak właśnie smakował jego strach?

A potem dopadły ich insekty. Mat zdołał wstać, ale ledwie zaczął biec, rój otoczył go morderczą chmarą.

Darrick odpędzał owady kordelasem, choć wiedział, że na próżno. Ostrze przecięło dwa lub trzy demoniczne stworzenia - deszcz zmył szybko zielone smugi na stali. Nagle jednak owady zniknęły w wilgotnym trzasku zielonego ognia, po którym pozostał tylko smród siarki.

Zaskoczony Darrick patrzył, jak reszta robactwa traci swoją cielesność w ten sam sposób. Nadal leciały na niego i wyglądały jak szmaragdowa ściana płomieni.

– Te wstrętne robale mają chyba kłopoty z utrzymaniem się na tym świecie - stwierdził Mat z podziwem.

Darrick nie miał pojęcia. Z nich dwóch to Mat interesował się bardziej opowieściami o magach i innych legendarnych postaciach. Insekty nie przerwały ataku i ginęły zaledwie o cale od swoich potencjalnych ofiar. Chmara stawała się coraz mniej liczna, a zieleń rozplynęła się jak dym, nim Darrick i Mat zdążyli zaczerpnąć tchu.

Wtedy właśnie Darrick dostrzegł pierwszy ze szkieletów wychodzących z podziemi. Ten już uniósł topór do ataku. Marynarz uchylił się przed cięciem i kopnął, przewracając napastnika. Nie-umarły upadł i stoczył się po błotnistym gruzowisku, odbijając się jak kamyk rzucony na powierzchnię stawu, po czym uderzył o ścianę zwałonego budynku.

– Ruszaj! - zawołał Darrick. Chwycił Mata i zmusił go do biegu-

Pognali znowu w kierunku rzeki. A szkielety wylały się za nimi, milczące jak duchy, słyhać było tylko mlaskanie kościstych stóp na mokrej od deszczu ziemi.

Dwaj marynarze nie mieli już powodu się ukrywać, byli pewni, że między nimi a rzeką nie pozostał żaden pirat, a jeśli nawet, to nie próbowałby atakować. Dlatego Darrick gnał środkiem opuszczonego



miasta. Zygzaki błyskawic rozdzierające purpurowe niebo utrudniały widzenie - teren wydawał się niepewny i zdradliwy. Ale nie to ich pokonało na końcu, lecz to, że byli ludźmi, w dodatku bardzo zmęczonymi. Darrick i Mat zwolnili, serca, płuca i nogi niezdolne były do dalszego wysiłku. Ale szkielety nie zatrzymały się ani na okamgnienie, nie wahały się i nie zwalniały.

Darrick obejrzał się. Za nimi była tylko śmierć. Przed oczyma latały mu czarne plamy, a każdy oddech wydawał się pozbawiony powietrza, jakby nie docierało do płuc. Deszcz i wiatr siekące marynarza w twarz jeszcze bardziej utrudniały złapanie tchu.

Mat również zwolnił, choć od rzeki dzieliło ich najwyżej sto jardów. Jeżeli dotrą do krawędzi urwiska, pomyślał Darrick, i skoczą do wody - o ile przeżyją uderzenie w usiane głazami dno rzeki - może będą mieli szansę. Rzeka była głęboka, a szkielety nie mogły pływać, nie miały ciał, które utrzymałyby je na powierzchni.

Zerwał się znowu do biegu. Wyrzucił kordelas, uświadamiając sobie dopiero teraz, że stanowi śmiertelne obciążenie, które spowalnia Darricka. Przeżycie nie zależało już od walki, lecz od szybkości. Przebiegł dziesięć jardów, wlokąc nogi po błocie, choć nie wierzył, że jeszcze może nimi poruszać.

A potem nagle znalazł się na krawędzi urwiska. Mat był przy nim, błąd od wiatru i zbyt długiego wysiłku. I wtedy, gdy Darrick poczuł pewność, że może się rzucić w dół, a impet upadku przeniesie go do Dyre, coś chwyciło go za kostkę. Upadł. Myślami był już w wodzie i prawie zemdłał, gdy podbródkiem uderzył w twardy grunt.

– Wstawaj, Darrick! - Mat chwycił go za ramię.

Instynktownie, pchany strachem, Darrick kopnął, uwalniając się od szkieletu, który skoczył i złapał go za nogę. Reszta nie-umarłych szła za

tym pierwszym, zbita w ciasną gromadę jak stado szczurów.

Mat pchnął Darricka z krawędzi, po czym sam przygotował się do skoku.

Darrick widział to, spadając do spienionej rzeki tak daleko w dół. Widział, jak szkielet rzucił się i złapał Mata, nim przyjaciel odbił się z klifu.

– Nie! - Darrick odruchowo wyciągnął ręce do Mata, chociaż wiedział, że jest za daleko, aby coś zdziałać.

Nieumarłemu udało się strącić Mata w przepaść. Spadali w śmiertelnym uścisku i odbili się od skalnej ściany zaledwie dziesięć stóp od tafla rzeki.

Trzask pękających kości dotarł do uszu Darricka tuż przedtem, jak marynarz wpadł w lodowate fale. Gdy tylko zaczęła się burza, prąd zrobił się silniejszy. Wcześniej płynął równo ku Zatoce Zachodniej Marchii, teraz zmienił się w kipieli. Darrick szarpał się, nogi i ramiona ciążyły mu jak głazy i czuł, że nie zdoła wypłynąć i zamiast powietrza nabierze w płuca tylko wody.

Niebo znowu przecięła błyskawica, zmieniając na chwilę ścianę klifu w ostrą płaskorzeźbę. Błysk był oślepiający.

*Mat!* Darrick rozejrzył się rozpaczliwie za przyjacielem. Płuca go paliły, gdy próbował wydostać się na powierzchnię. A potem wypłynął. Wzrok mu się rozmywał, gdy marynarz zaczerpnął tchu.

Zalewały go spienione fale. Mgła zgęstniała, wirowała w wąwozie między zboczami gór. Darrick starł wodę z oczu i znowu rozejrzył się desperacko za Matem. Wraz z przyjacielem spadł szkielet. Pociągnął Mata na dno?

Piorun rozdarł noc. Po nim w wodę uderzyły pociski. Śledząc ich tor, Darrick zobaczył, że szkielety skaczą z klifu. Uderzały w wodę prawie trzydzieści stóp od marynarza, co pozwoliło mu oszacować, jak daleko poniósł go nurt. Przyglądał się powierzchni, zastanawiając, czy szkieletom

dane jest pływać. Nigdy o tym o nie słyszał, ale też nigdy do tej nocy nie widział demona.

*Mat!*

Poczuł uderzenie w nogę. Instynktownie zareagował kopnięciem i odpłynięciem. Wtedy jedno z ramion Mata wynurzyło się nieopodal.

– Mat! - wrzasnął Darrick. Chwycił ramię i wyciągnął przyjaciela. Błyskawica znowu rozświetliła niebo. Przycisnął Mata do piersi, walcząc, aby utrzymać siebie i przyjaciela na powierzchni. Fale uderzały marynarza w twarz. Zaraz potem pierwsza czaszka wynurzyła się spod wody i Darrick się domyślił, że nieumarły nadal trzyma Mata za nogę.

Darrick kopnął szkielet, gdy prąd rzeki złapał ich jeszcze mocniej. Ściany klifu zaczęły umykać z coraz większą szybkością, a ciężar Mata wraz z nieumarłym ciągnął marynarza ku dnu. Wynurzył się raz czy dwa za plecami przyjaciela, żeby złapać oddech, po czym znowu się zanurzył, aby walczyć o utrzymanie głowy Mata nad linią wody.

*O Światłości! Daj mi siłę, abym zdołał tego dokonać!*

Dwukrotnie prąd zawirował i zmienił szybkość, a Mat niemal został wyrwany z objęć Darricka. Woda była zimna i drętwiały mu ręce, z wyczerpania ogarniała go coraz większa słabość.

– Mat! - wrzasnął w ucho przyjaciela, zanim znowu poszedł pod wodę. Udało mu się jeszcze dwa razy zawołać, gdy rzeka pchała ich coraz szybciej, nie doczekał się jednak żadnej reakcji. Mat pozostał śmiertelnie bezwładny w ramionach Darricka.

Błyskawica rozdarła niebo ponownie i tym razem Darrickowi wydało się, że na swoim ramieniu dostrzegł krew. Nie była to jego krew, więc domyślił się, że Mata. Ale kiedy uderzyła w nich kolejna fala i Darrick wynurzył się znowu, krwi nie było i marynarz nie miał nawet pewności, czy w ogóle ją widział.

– Darrick!

Głos Maldrina nieoczekiwanie rozległ się w mroku. Darrick próbował odwrócić głowę, ale wysiłek posłał go znowu pod wodę. Zaczął wściekle kopać nogami, starając się utrzymać Mata. Kiedy wynurzył się po raz drugi, uderzył piorun.

– ...rick! - wołał Maldrin. Miał tubalny głos, który docierał na topy masztów lub mógł opróżnić tawernę z żeglarzy zamustrowanych na „Samotnej Gwieździe”.

– Tutaj! - odpowiedział Darrick, plując i krztusząc się wodą. - Tutaj, Maldrin!

Zanurzył się i znowu musiał walczyć, żeby się wydostać nad linię wody. Za każdym razem przychodziło mu to coraz trudniej. Szkielet nie puszczał nogi Mata i dwa razy Darrick musiał kopać, aby nie złapał też jego.

– Trzymaj się, Mat. Proszę, trzymaj się. Już niedaleko. Maldrin... - Prąd znowu go wciągnął, ale tym razem Darrick zauważył latarnię na bakburcie.

– ...widzę ich! - ryknął bosman. - Napierać na wiosła, chłopcy!

Darrick znowu się wynurzył, obrócił. Za jego plecami rósł głęboki cień, a gdy błyskawica znowu rozświetliła koryto rzeki i odbiła się w falach, rozpoznał tak znajome oblicze Maldrina.

– Widzę cię! - bosman przekrzykiwał sztorm. - Widzę cię! Płyn do starego Maldrina, a zaraz ci ulżę...

Darrick bał się, że bosman go zgubi. Wtedy jednak poczuł, że Maldrin łapie go za włosy - tonącego najłatwiej złapać właśnie za włosy. Darrick krzyknąłby z bólu, gdyby nie krztusił się wodą. A potem, niewiarygodne, Maldrin przyciągnął go do łodzi, którą przy płynęli.

– Pomóżcie! - zawołał.

Tomas wychylił się za burtę i złapał Mata pod pachy, po czym zaczął wciągać ciało na pokład.

– Mam go, Darrick. Puść.

Wolny od ciała Mata Darrick opuścił bezwładnie ramiona. Gdyby Maldrin go nie podtrzymał, z pewnością marynarza porwałby prąd. Starał się pomóc olbrzymowi wciągnąć się na pokład, zauważając przy tym, że jest tam chłopak, Lex, otulony pledem, który już przemókł od deszczu.

– Czekali my na ciebie. - Maldrin wciągnął Darricka. - Trzymali my się nurtu, bo wiedzielim, że tu będziesz. Zawsześ dawał radę, nieważne, w jakiej kołomyi. - Klepnął Darricka w ramię. - I znowu żeś dał radę. Przysięgam, że o tym wyczynie będą krążyć opowieści.

– Coś go trzyma - zauważył Tomas, nadal walczący, by Mat znalazł się na pokładzie.

– Szkielet. Złapał go za nogę - wyjaśnił Darrick.

Bez ostrzeżenia nieumarły wyskoczył z wody, kłapiąc zębami jak wygłodniały wilk. Pchnięty strachem Tomas cofnął się, wciągając przy tym Mata do łodzi.

Spokojnie, jakby sięgał po miskę w tawernie, Maldrin uniósł swój topór i rozplatał szkieletowi czaszkę. Nieumarły zwiotczał, uwolnił nogę Mata i zniknął w odmętach.

Darrick z trudem wciągał powietrze.

– Rzeka jest pełna szkieletów. Gonily nas. Nie mogą pływać, ale są pod wodą. Jeżeli znajdą kotwicę...

Barkas nagle zadrzał i zakołysał się, już nie stojąc dziobem z nurtem, aby łatwiej utrzymać się na wzburzonej rzece. Znarowił się jak mustang, a marynarze rozsypali się po pokładzie niczym szmaciane lalki.

– Coś trzyma za cumę! - krzyknął ktoś z załogi.

Odepchnąwszy innych, Maldrin wyszarpnął zza cholewy nóż i przeciął linę kotwicy, gdy szkielety już chwyciły się burt. Barkas jak opętany zawirował na spienionych grzywaczach.

– Do wiosła! - Maldrin chwycił jedno sam. - Trzymajcie tę krypę w prądzie albo pójdziemy wszyscy na dno!

Walcząc z wyczerpaniem, gdy łódź targana wirami rzucała nim jak zabawką, Darrick przyczołgał się do Mata Hu-Ringa.

– Mat! - zawołał.

Zajaśniała błyskawica, a między zboczami Gór Orlego Dzioba przetoczył się grzmot.

– Mat... - Darrick czule obrócił głowę przyjaciela, przerażony tym, jak była bezwładna. Szeroko otwarte ciemne oczy spoglądały w dal, odbiła się w nich kolejna błyskawica. Prawą stronę twarzy pokrywała krew, a spośród ciemnych włosów wystawały odłamki kości.

– Nie żyje - powiedział Tomas, napierając na wiosło. - Przykro mi, Darrick. Wiem, że byliście blisko...

*Nie!* Darrick nie mógł w to uwierzyć - nie *chciał* uwierzyć. Mat nie mógł umrzeć. Nie przystojny i dowcipny, radosny Mat. Nie Mat, który zawsze wiedział, co powiedzieć dziewczynom w porcie, gdy schodzili na ląd. Nie Mat, który pielęgnował go i pomagał za każdym razem, gdy kary ojca sprawiały, że Darrick nie mógł się podnieść przez kilka dni i leżał w stodole przy rzeźni.

– Nie - powiedział Darrick. Ale zaprzeczenie zabrzmiało słabo nawet w jego własnych uszach. Popatrzył na zwłoki przyjaciela.

– Przynajmniej skonał od razu - odezwał się Maldrin za plecami Darricka. - Musiał walnąć głową o skałę. Albo dostał od tego szkieleta, co to z nim walczył.

Darrick przypomniał sobie, jak Mat uderzył w ścianę klifu, gdy spadał do rzeki.

– Wiedziałem, że nie żyje, gdy tylko go dotknąłem - mówił Maldrin. - Nic żeś nie mógł zrobić, Darrick. Każdy, kto przyjął to zadanie od kapitana

Tollifera, wiedział, jakie mamy szanse. Po prostu pech i tyle.

Darrick siedział na śródpokładzie barkasa, czuł siekące krople deszczu, słyszał grzmot toczący się po niebie. Oczy go piekły, ale nie pozwolił sobie na płacz. Ojciec nauczył go, że płacz tylko pogarsza ból.

– Widziałeś demona? - zapytał chłopak, dotknąwszy ramienia Darricka.

Darrick nie odpowiedział. Odkąd zrozumiał, że Mat nie żyje, nie pomyślał nawet o Kabraxisie.

– Czy demon tam był? - zapytał znowu Lex. - Przykro mi z powodu twojego przyjaciela, ale muszę wiedzieć.

– Aye - wydusił Darrick. - Owszem, demon tam był, a jakże. To jego robota. W zasadzie to zabił Mata, choć nie własnymi rękami. On i jego kapłan.

Kilku marynarzy dotknęło swoich amuletów na wzmiankę o demonie. Naparli na wiosła, gdy Maldrin na nich krzyknął, ale uprzedzili rozkaz. Wzburzony nurt pchał łódź szybko.

W górze rzeki zapłonęły latarnie na kodze szarpiącej się na cumach wśród spienionych fal. Załoga kapitana Raithena czekała na pokładzie, jak domyślił się Darrick. Nie wiedziała, że kapitan już się nie pojawi.

Ulegając zmęczeniu i szarpiącym emocjom, Darrick ułożył się przy ciele Mata, jakby zamierzał chronić je przed zacinającym wiatrem i deszczem - jak to zwykle robił dla niego Mat, kiedy Darrick trząsał się z gorączki wywołanej biciem ojca. Marynarz czuł krew od przyjaciela, a to przypomniało mu o krwi, jaką przesiąkł sklep ojca.

Zanim się zorientował, zapadł w oczekującą go ciemność i nigdy nie chciał już wrócić.

# JEDENAŚCIE



Darrick leżał na swojej koi pod pokładem „Samotnej Gwiazdy”, dłonie splótł za głową i próbował nie myśleć o koszmarach, które nawiedzały go przez ostatnie dwie noce. W tych snach Mat nadal żył, ale Darrick mieszkał z rodzicami nad sklepem rzeźnika w Hillsfar.

Przez lata od opuszczenia miasteczka Mat składał wizyty rodzinie przy specjalnych okazjach. Przy pływał tam na kupieckim statku, mustrując się jako strażnik ładunku podczas urlopów z marynarki Zachodniej Marchii. Darrick zawsze podejrzewał, że Mat chciałby odwiedzać bliskich częściej. Ale wierzył, że będzie na to jeszcze czas. Taki miał charakter - nigdy się nie śpieszył, przekonany, że wszystko ma swoje miejsce i czas.

Lecz teraz Mat nigdy już nie wróci do domu.

Darrick zdusił ból. Miał żelazną kontrolę nad emocjami. Budował ją starannie po kolejnych razach, po okrutnych słowach ojca, aż opanowanie emocji stało się równie mocne i pewne jak kowadło.

Darrick uniósł głowę, czując ból w plecach, szyi i ramionach - dolegliwości po wspinaczce, jaką odbył przedwczoraj. Spojrzał przez bulaj na błękitnozielone wody Zatoki Zachodniej Marchii. Sądząc po tym, jak światło odbijało się od fal, dochodziło południe - już prawie pora.

Wziął głęboki oddech, zdusił ból, który omal nie wyrwał się spod kontroli, i czekał. Próbował liczyć uderzenia serca, odbijające się echem w



skroniach, ale czekanie było tym trudniejsze, gdy musiał pilnować upływu czasu. Lepiej popaść w odrętwienie i nie pozwolić, by cokolwiek go wzruszało.

A potem rozległa się sygnałówka, przenikliwy jęk, nieco słodki, który poniósł się nad niezmiennym szumem fal oceanu. Wezwanie dla całej załogi.

Darrick zamknął oczy i starał się o niczym nie myśleć, niczego nie pamiętać. Ale kwaśny zapach mokrego siana na strychu przy zagrodzie, w której ojciec trzymał zwierzęta do zarznięcia i wykrwawienia, drażnił mu nos. Zanim Darrick się zorientował, wróciło wspomnienie Mata jako dziewięciolatka w za dużym ubraniu, który wskoczył z dachu do stodoły. Mat wspinał się po kominie wędzarni za sklepem rzeźnika i wdrapał się na dach, skąd mógł dostać się na stryszek.

– *Hej* - przywitał się, po czym wsunął rękę w kieszenie luźnej koszuli i wyjął jabłka oraz ser. - *Nie widziałem cię wczoraj. Pomyślałem, że tu cię znajdę.*

Posiniaczony Darrick ze wstydu próbował zachowywać się nieprzyjaźnie, żeby odpędzić Mata. Ale nie wyszło mu przekonująco, bo chłopak zachował spokój. A hałasowanie tak, że przyciągnęłoby to uwagę ojca Darricka - i uświadomiło rzeźnikowi, że ktoś jeszcze dowiedział się, jak ukarał syna - pozostawało poza wszelką dyskusją. Kiedy Mat położył jabłka i ser, po czym dodał uwiedły kwiatek, aby posiłek przypominał radosną ucztę, Darrick nie zdołał udawać i nawet wstyd nie przesłonił mu głodu.

Gdyby ojciec dowiedział się o odwiedzinach Mata, Darrick na pewno już nigdy nie ujrzałby chłopaka.

Marynarz otworzył oczy i popatrzył w sufit. Tak jak teraz nigdy go już nie ujrzy. Darrick zanurzył się w zimnym odrętwieniu, jakim zwykł się

chronić, gdy wydarzenia go przerastały. Otoczyło go jak zbroja pasująca jak ulał. Nie został w nim nawet ślad słabości.

Sygnalówka zapłakała znowu.

Bez ostrzeżenia otworzyły się drzwi do kajuty oficerskiej.

Darrick nie podniósł wzroku. Ktokolwiek to był, mógł odejść, i lepiej, gdyby to zrobił, jeżeli mu życie miłe.

– Panie Lang - rozległ się silny, rozkazujący głos.

Darrick zerwał się i zeskoczył z posłania z wprawą, choć okręt przeciął falę i zakołysał się mocno.

– Aye, sir - odpowiedział Darrick.

W progu stał kapitan Tollifer. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną po czterdziestce. Siwizna posrebrzyła mu zadbane kędzierzawe bokobrody okalające gładko wygoloną twarz. Włosy kapitan miał związane ciasno i zaplecione, nosił też swój galowy mundur marynarki Zachodniej Marchii, zielony ze złotymi dodatkami. W dłoni trzymał trójgromny kapelusz. Buty lśniły mu jak wypolerowany heban.

– Panie Lang - powtórzył kapitan. - Kiedy ostatnio badał pan sobie słuch?

– Jakiś czas temu, sir. - Darrick wyprężył się na baczność.

– Chciałbym zatem zasugerować, że kiedy pojutrze, z woli Światłości, dobijemy do portu w Zachodniej Marchii, powinien pan się udać do doktora na takie badanie.

– Oczywiście, sir. Tak zrobię.

– Wspomniałem o tym tylko dlatego, panie Lang, że słyszałem wyraźnie sygnał wzywający całą załogę na pokład.

– Aye, sir. Ja też słyszałem.

Tollifer uniósł pytająco brew.

– Pomyślałem, że tym razem moja nieobecność będzie usprawiedliwiona, sir - wyjaśnił Darrick.

– To pogrzeb jednego z moich ludzi - rzekł Tollifer. - Człowieka, który zginął mężnie, wykonując swoje obowiązki. Żadna nieobecność nie będzie usprawiedliwiona.

– Proszę o wybaczenie, kapitanie. Myślałem, że będę usprawiedliwiony, ponieważ Mat Hu-Ring był moim przyjacielem.

*I to przede mnie zginął.*

– Pańskie miejsce zatem jest u boku przyjaciela.

Darrick utrzymał swój głos zimny i obojętny, wewnątrz czuł się podobnie i czerpał z tego zadowolenie.

– Nie zostało nic, co mógłbym dla niego zrobić. To ciało nie jest już Matem Hu-Ringiem.

– Może pan stanąć przy nim, panie Lang - odparł kapitan. - Przed jego kolegami i przyjaciółmi. Myślę, że pan Hu-Ring tego właśnie po panu by oczekiwał. Tak samo, jak oczekiwałby, że odbędę z panem tę rozmowę.

– Tak jest, sir.

– Oczekuję zatem, że umyje się pan i pojawi w rozsądnie krótkim czasie na pokładzie.

– Tak jest, sir.

Chociaż darzył kapitana szacunkiem, a jego szarżę należną obawą, Darrick z trudem powstrzymał się od ciętej riposty, która wpadła mu do głowy. Żal po stracie Mata był tylko jego, nie należał do marynarki Zachodniej Marchii.

Kapitan odwrócił się, by odejść, po czym zatrzymał jeszcze w progu. Przemówił, spoglądając szczerze na Darricka:

– Traciłem przyjaciół, panie Lang. To nigdy nie jest łatwe. Wyprawiamy pogrzeb, abyśmy mogli pozwolić im odejść jak należy. To nie znaczy

zapomnieć o nich, tylko przypominać sobie, że trzeba się pożegnać i przygotować w swoim sercu wieczne miejsce dla tych, co odeszli. Niewiele dobrych ludzi narodziło się na tym świecie i nigdy nie powinni zostać zapomniani. Pan Hu-Ring do nich należy i jestem dumny, że mogłem z nim służyć i poznać go. Nie powiem tego na pokładzie, ponieważ muszę trzymać się procedur i zwyczajów, ale chcę, żeby pan o tym wiedział.

– Dziękuję, sir - odrzekł Darrick.

Kapitan włożył kapelusz.

– Dam panu trochę czasu na przygotowanie, panie Lang. Proszę się pośpieszyć.

– Tak jest, sir.

Darrick patrzył, jak kapitan wychodzi. Ból, który czuł, zmienił się w gniew ciężący mu jak głaz, stary gniew, duszony tak długo. Marynarz zamknął oczy, zadrżał, po czym wypuścił wstrzymywany oddech i znowu zapieczętował swoje uczucia.

Kiedy otworzył oczy, powtórzył sobie, że nic nie czuje. A skoro nic nie czuł, nie można go było zranić. Ojciec go tego nauczył.

Mechanicznie, ignorując dolegliwości i ból, które dręczyły go od tamtej nocy, Darrick pochylił się i otworzył skrzynię pod hamakiem. Od wydarzeń w Porcie Tauruka nie podjął obowiązków na pokładzie. Nikt z załogi tego nie zrobił, poza Maldrinem, który nie mógłby leżeć na koi, kiedy tyle było do zrobienia.

Darrick wyjął czysty mundur, ogolił się pośpiesznie brzytwą i nawet nie zaciął za bardzo, po czym ubrał się szybko. Na pokładzie „Samotnej Gwiazdy” służyło jeszcze trzech młodszych oficerów, Darrick był z nich najstarszy.

Idąc na pokład, naciągnął białe rękawiczki wymagane podczas ceremonii. Rozejrzał się po twarzach załogi, która mu się przyglądała. Był

spokojny, niewzruszony. Żeglarze niczego nie dostrzegą, ponieważ nic nie było do zobaczenia. Sztywno jak należy salutował w odpowiedzi na ich salutę.

Południowe słońce stało wysoko nad „Samotną Gwiazdą”. Światło migotało na falach, lśniło jasno jak rozsypane klejnoty pomiędzy pasmami zieleni i turkus. Takielunek trzeszczał i łopotał na wietrze, gdy okręt zbliżał się do Zachodniej Marchii, niosąc wieść o śmierci herszta piratów i niewiarygodnym powrocie demona do świata ludzi. Załoga „Samotnej Gwiazdy” o niczym innym nie mówiła, odkąd drużyna ratunkowa wróciła na pokład, a Darrick wiedział, że wkrótce wieść wstrząśnie całą Zachodnią Marchią. Wydarzyło się niemożliwe.

Darrick zajął miejsce pomiędzy pozostałymi młodszymi oficerami przed szeregami marynarzy. Wszyscy trzej byli młodsi od Darricka, jeden jeszcze nastoletni - stanowisko oficerskie kupił mu ojciec.

Darrick poczuł w sercu falę niechęci, gdy stanęli przy ciebie Mata leżącym na desce opartej o reling sterburty. Żaden z pozostałych oficerów nie zasłużył na miejsce u boku Mata, nie należeli do prawdziwych ludzi morza jak on. Darrick wybrał tę drogę kariery i został oficerem, gdy dostał awans, ale Mat nie. Kapitan Tollifer nigdy nie uznał za stosowne awansować Mata, a Darrick nigdy nie mógł zrozumieć dlaczego. W zasadzie, taka promocja niewiele zmieniała i rzadko kiedy odbywała się na pokładzie tego samego okrętu. Ale kapitan Tollifer tak właśnie postąpił.

Oficerowie stojący obok Darricka nigdy nie zakosztowali bosmańskich razów za niewypełnienie rozkazu albo za zbyt wolne wykonywanie kapitańskich poleceń. Darrick tak, i znosił owe rany i obelgi z takim samym stoickim spokojem, jakiego nauczył się pod ręką ojca. Darrick nie obawiał się przejść dowodzenia w polu, nawet gdy powinien wykonywać rozkazy oficerów. Na początku takie zachowanie przynosiło mu tylko baty pod

komendą surowych kapitanów, ale pod rozkazami kapitana Tollifera Darrick dostał awans.

Mat nigdy nie był zainteresowany, żeby zostać oficerem. Podobało mu się twarde życie prostego żeglarza.

Podczas ich wspólnych lat na pokładach jednostek marynarki Zachodniej Marchii Darrick często sądził, że troszczy się o Mata, swojego przyjaciela. Ale teraz, gdy spoglądał na okryte banderą ciało Mata, wiedział, że przyjaciela nigdy szczególnie nie ciągnęło w morze.

*Co byś robił? Dokąd byś poszedł, gdybym nie pociągnął cię ze sobą?* Pytania krążyły w głowie Darricka jak mewy na sprzyjającym wietrze. Odepchnął je. Nie mógł sobie pozwolić, żeby cierpienie go rozpraszało.

Andregai stał u boku kapitana Tollifera przy sterówce i grał hejnał. Wiatr szarpał połami kapitańskiego wojskowego płaszcza. Chłopak - Lex, królewski bratanek - również stał obok dowódcy. Kiedy hejnał się skończył, a ostatnią smutną nutę porwał wiatr, kapitan wygłosił formalne epitafium, z cichą godnością opisując służbę Mata Hu-Ringa i poświęcenie dla marynarki Zachodniej Marchii oraz to, że oddał życie, ratując królewskiego krewniaka. Pomimo wspomnienia o tym, co się zdarzyło, słowa były oficjalne, pełne dystansu.

Darrick słuchał przemowy oraz krzyków mew szybujących za „Samotną Gwiazdą” i żałował, że na wodzie nie można zostawić znaku, wyryć choćby imienia. *Zabity podczas ratowania królewskiego bratanka. Nie tak przecież było. Mat zginął w głupim zadaniu, ponieważ się o mnie martwił. Zginął przeze mnie.*

Darrick popatrzył na załogę wokół. Pomimo walki dwie noce temu, Mat był jedyną ofiarą. Może niektórzy wierzyli w słowa Maldrina, że to tylko pech, ale Darrick wiedział, że inni go obwiniają - to przez Darricka, bo za długo zwlekał w jaskini.

Kiedy kapitan Tollifer skończył przemawiać, rozległa się znowu sygnałówka i żałobne tony poniosły się nad pokładem. Maldrin ubrany w biały żeglarski strój, który wkładał tylko na inspekcje albo gdy okręt kotwiczył w Zachodniej Marchii, stanął z drugiej strony przykrytego banderą ciała Mata. Dołączyło do niego pięciu innych marynarzy.

Sygnałówka znowu zabrzmiała, sygnał do odejścia, który zawsze życzył słuchaczom bezpiecznego rejsu. Znany był we wszystkich nadmorskich okolicach, jakie odwiedził Darrick.

Kiedy sygnał się skończył, Maldrin spojrział na Darricka. W szarych oczach starszego mężczyzny widniało pytanie;

Młodszy marynarz zebrał się w sobie i skinął głową.

– Dobra, chłopaki - szepnął Maldrin. - Zróbcie to szybko, ale z respektem.

Chwycił deskę i przechylił ją na podparciu relingu, a reszta mężczyzn, trzech po jednej stronie, dwóch po drugiej, uniosła ją razem. Maldrin przytrzymał banderę Zachodniej Marchii. Okrywało się nią zmarłych oddawanych morzu, ale bandery się nie porzucało.

Jak jeden mąż Darrick i pozostali oficerowie odwrócili się do sterburty, a zaraz za nimi żeglarze wyprostowani na baczność.

– Niech każdy mężczyzna, który umiera za Zachodnią Marchię - oznajmił kapitan - wie, że Zachodnia Marchia żyje dla niego.

Inni oficerowie i załoga powtórzyli tę rotę.

Darrick milczał. Patrzył z kamienną twarzą. Jakby nie czuł nic, gdy spowite płótnem ciało Mata ześlizgnęło się po desce spod bandery i spadło za burtę w spienione fale. Kamienie balastu umieszczone w całunie pociągnęły ciało w zielonobłękitną głębię. Przez chwilę jeszcze biel całunu sprawiła, że miejsce pochówku Mata było widoczne.

A potem i to znikło, nim jeszcze okręt odpłynął i zostawił zwłoki daleko.

Sygnalówka odegrała „rozejść się” i żeglarze złamali szeregi.

Darrick podszedł do relingu, bez trudu poruszając się po rozkołysanym pokładzie. Na początku to kołysanie doprowadzało go do mdłości. Teraz wbił wzrok w ocean, ale go nie widział. Nozdrza nadal wypełniał mu zapach krwi i mokrego gnijącego siana ze stodoły ojca, wspomnienia przesłaniały widok statku i fal. Wspomnienia niewyprawionego skórzanego pasa, jakim ojciec zwykł karać Darricka, zanim jeszcze tylko uderzenia pięści w ciało syna mogły przynieść satysfakcję.

Darrick nic nie czuł, nawet wiatru na twarzy i we włosach. Większość swojego życia spędził w odrętwieniu. Błędem byłoby się z tego teraz wycofać.



Tej nocy Darrick zszedł do mesy. Nie jadł nic przez cały dzień, ponieważ jego pojawienie wywołałoby zmieszanie u innych żeglarzy, nie chciał też stawiać czoła tym wszystkim niewypowiedzianym pytaniom. Kuk zwykle zostawiał na małym ogniu kociołek z zupą dla tych z psiej wachty.

Marynarz nabrał sobie porcję. Zauważył kuchcika drzemiącego przy długim stole, gdzie załoga posilała się na zmiany. Darrick napełnił metalową miskę gęstą zupą z morskich mięczaków. Młody kuchcik zerwał się nerwowo, zajął się wycieraniem stołu, jakby robił to cały czas.

Bez słowa, nie zwracając uwagi na zawstydzenie kuchcika ani jego obawy, że zaniedbanie obowiązku zostanie zgłoszone, Darrick odkroił pajdę ciemnego chleba przygotowanego przez kuka, a potem nalał sobie kubek zielonej herbaty. Z herbatą w jednej ręce, a miską w drugiej, wyszedł na pokład.



Stanął na śródkręciu, słuchając trzeszczenia i łopotu takielunku. Ponieważ nieśli ważne wieści, a wody były przyjazne, kapitan Tollifer korzystał ze sprzyjającego wiatru i utrzymywał rozpięte wszystkie żagle. „Samotna Gwiazda” przecinała okruchy księżycowego blasku na wodzie. Na falach czasami przemykał też błysk, który nie był odbiciem świateł latarni z okrętu.

Darrick posilił się na rozbujanym pokładzie, utrzymując kubek i miskę jedną ręką, drugą nabierał jedzenia. Wymoczył twardy chleb w zupie, inaczej przeżuwałyby go przez wieki. Zupę ugotowano z małży i ryb ze wschodnimi przyprawami i dużymi kawałkami ziemniaków. Była gorąca, aż parzyła język, pomimo że leżał w niej chleb i chłodził ją nocny wiatr.

Darrick nie pozwolił sobie na wspomnienia nocy, gdy wraz z Matem siedział na psich wachtach, a przyjaciel opowiadał bardzo nieprzyzwoite historyjki, które albo usłyszał, albo wymyślił lub ubarwił i przysięgał, że to prawda. Mata to cieszyło, a Darrickowi pozwalało nie zasnąć podczas długich, nudnych godzin, ani też myśleć o tym, co się stało w Hillsfar.

– Przykro mi z powodu twojego przyjaciela - zabrzmiał cichy głos.

Ponieważ emocje trzymał na wodzy, Darrick nawet nie był zaskoczony, gdy rozpoznał głos Lexa za plecami. Nadal wpatrywał się w morze, przeżuując resztę posiłku.

– Powiedziałem.. - zaczął znowu chłopak trochę głośniej.

– Słyszałem - przerwał mu Darrick.

Zapadła między nimi niezręczna cisza. Darrick nawet nie spojrzał na chłopaka.

– Chciałem z tobą porozmawiać o demonie - odezwał się Lex.

– Nie - odpowiedział Darrick.

– Jestem bratankiem króla. - Ton głosu Lexa zrobił się twardszy.

– Ale jednak nie królem, prawda?

– Rozumiem, jak się czujesz.

– Świetnie. Więc zrozumiesz, jeśli będę zajmował się moim samopoczuciem na tej wachcie.

Chłopak milczał długo i Darrick pomyślał, że dzieciak odszedł. Marynarzowi przyszło nawet do głowy, że może rano mieć kłopoty, jeżeli smarkacz doniesie kapitanowi o grubiaństwie oficera, ale wcale go to nie obeszło.

– Co to za błyski pod wodą? - zapytał Lex.

Darrick odwrócił się do chłopaka zirytowany. Nie chciał czuć nawet tego, ponieważ z wieloletniego doświadczenia wiedział, że choćby najmniejszy okrucuch emocji może pociągnąć za sobą następne, a wtedy Darrick poczuje się jak w pułapce i straci nad sobą panowanie.

– Co, u diabła, jeszcze tu robisz, chłopcze?

– Nie mogłem zasnąć. - Dzieciak stał bosy, miał na sobie koszulę nocną, którą pewnie pożyczył mu kapitan.

– Więc znajdź sobie coś, co cię zabawi, tylko może nie moim kosztem.

Lex objął się ramionami, najwyraźniej zmarzł.

– Nie mogę. Jesteś jedynym, który widział demona.

*Jedynym żywym* – pomyślał Darrick, ale powstrzymał się od dalszych takich rozważań.

– W jaskini byli też inni.

– Żaden z nich nie został tak długo, żeby zobaczyć to, co ty.

– Nie wiesz, co widziałem.

– Byłem przy tym, jak rozmawiałeś z kapitanem. Wszystko, co wiesz, jest ważne.

– A jakie to ma znaczenie dla ciebie? - zainteresował się Darrick.

– Uczyłem się na kapłana Zakarum i całe życie prowadziła mnie Światłość. Za dwa lata miałem przejść próbę i zostać w pełni kapłanem.

– Jesteś jeszcze chłopcem - zauważył Darrick. - I za dwa lata też będziesz jeszcze chłopcem. Powinieneś spędzić ten czas, martwiąc się o chłopięce sprawy.

– Nie - odparł Lex. - Walka z demonami ma być moim powołaniem, Darricku Lang. Wiesz przecież, co to powołanie?

– Pracuję, aby mieć pełny żołądek - stwierdził Darrick. - I żeby utrzymać się przy życiu, i mieć ciepłe miejsce do spania.

– A jednak zostałeś oficerem, awansowałeś z prostego żeglarza, co jest zarówno godne podziwu, jak i trudne do osiągnięcia. Człowiek bez powołania, bez pasji, nie mógłby tego dokonać.

Darrick skrzywił się. Najwyraźniej tożsamość Lexa jako bratanka króla wywarła duży wpływ na kapitana Tollifera i rozwiązała mu język.

– Zamierzam być dobrym kapłanem - zadeklarował chłopiec. - I wiem, że aby walczyć z demonami, muszę o nich jak najwięcej wiedzieć.

– To nie ma ze mną nic wspólnego - odparł Darrick. - Gdy tylko kapitan Tollifer przekaze mój raport królowi, mój udział w tej sprawie się zakończy.

Lex popatrzył nań wyzywająco.

– Naprawdę?

– Aye. Naprawdę.

– Nie wydajesz mi się człowiekiem, który pozwoliłby, aby śmierć przyjaciela pozostała niepomszczona.

– I kogo mam winić za śmierć Mata? - zapytał Darrick.

– Twój przyjaciel zginął z ręki Kabraxisa - odpowiedział Lex.

– Ale to ty namówiłeś nas, abyśmy tam poszli, choć powiedziałem, że chcę tylko odejść i wrócić na pokład. - Głos Darricka brzmiał ochryple. - Ale też to ja czekałem zbyt długo z ucieczką z jaskini, przez co szkielety zdążyły nas dopaść. - Potrząsnął głową. - Nie. Jeżeli ktokolwiek jest winny śmierci Mata, to ty i ja.

Na twarzy chłopca odmalowała się powaga.

– Jeżeli chcesz mnie winić, Darricku Lang, proszę bardzo.

Darrick poczuł się obnażony, gdy jego kontrola nad emocjami zachwiała się i omal nie załamała. Popatrzył na chłopca zdumiony jego postawą.

– Naprawdę cię winię - przyznał.

Lex odwrócił wzrok.

– Jeżeli wybierzesz walkę z demonami - podjął Darrick, ulegając okrucieństwu, które się w nim zbudziło - długo nie pożyjesz. Ale przynajmniej nie będziesz musiał wiele planować.

– Z demonami trzeba walczyć - szepnął chłopiec.

– Ale nie robią tego tacy jak ja. - Darrick wzruszył ramionami. - Król z armią albo kilku władców z wojskami, tak to się załatwia. Jeden żeglarz nie wystarczy.

– Zobaczyłeś demona i przeżyłeś - zaproponował Lex. - Nie stało się to bez powodu.

– Miałem szczęście, jakiego większość z tych, którzy spotkali demona, nie miała.

– Wojownicy i kapłani walczą z demonami. Legendy głoszą, że bez tych bohaterów Diabło i jego bracia nadal mogliby kroczyć po tym świecie.

– Byłeś przy tym, jak składałem raport kapitanowi - stwierdził Darrick. Chłopak nie wahał się użyć swojego pochodzenia, żeby wpłynąć na kapitana, i Tollifer niechętnie zgodził się, aby Lex został w kajucie podczas odprawy zeszłego ranka. - Wiesz tyle, co ja.

– Są widzący, którzy mogliby cię przebadać. Czasami, gdy wokół kogoś działa silna magia, jej ślady pozostają na nim.

– Nie pozwolę się opukiwać i macać - sprzeciwił się Darrick. Wskazał na smugi blasku przecinające fale. - Pytałeś, co to takiego.

Lex skupił uwagę na oceanie, ale wyraz jego twarzy zdradzał, że wolałby kontynuować poprzedni temat rozmowy.

– Niektóre z nich - podjął Darrick - to rekiny ognistogony. Nazwano je tak, ponieważ świecą. Światło przyciąga nocne stworzenia i rekin może łatwo na nie zapolować. Inne światła to róże księżyca, meduzy, które mogą sparaliżować nawet człowieka, jeżeli nieszczęśnik podpłynie w zasięg ich kolczastych macek. Jeżeli chciałbyś się czegoś nauczyć o morzu, mógłbym ci w tym pomóc, bo wiem sporo. Ale jeżeli chcesz rozmawiać o demonach, to nie mam nic więcej do powiedzenia. O demonach dowiedziałem się więcej, niżbym sobie życzył.

Wiatr zmienił nieco kierunek, przez co wielkie żagle załopotwały, po czym znowu się napięły, gdy załoga je lekko skorygowała.

Darrick sięgnął do miski, ale zupa już wystygła.

– Kabraxis jest winien śmierci twojego przyjaciela - zauważył cicho Lex. - Nie zdołasz o tym zapomnieć. Nadal w tym uczestniczysz. Widziałem znaki.

Darrick odetchnął, czując się uwięziony, przerażony i rozgniewany zarazem. Tak samo czuł się, gdy znajdował się w sklepie ojca, a ojciec znowu uznał, że jest z syna niezadowolony. Z trudem odepchnął te wspomnienia, wstrzymał się, aż odzyskał kontrolę nad emocjami, a potem odwrócił się do chłopaka z zamiarem - nieważne, że to bratanek króla - uwolnienia choć częściowo swojej złości.

Ale gdy się obrócił, nikogo nie zobaczył. W blasku księżyca pokład wydawał się srebrzyć wśród cieni masztów i takielunku. Rozgniewany Darrick odwrócił się znowu i cisnął kubkiem i miską za burtę.

Róża księżyca chwyciła miskę w objęcia swoich macek. Zaiskrzyło, gdy metalowe kolce próbowały przebić metal.

Darrick przygarbił się nad relingiem sterburty. Przed oczyma duszy widział szkielet chwytający Mata i spychający go z krawędzi klifu, potem znowu wróciły obrazy upadku przyjaciela i uderzenia o skalną ścianę. Ciało Darricka zrosił zimny pot, jak zawsze na wspomnienie dni straconych w sklepie ojca. Nie chciał do tego wracać - ani fizycznie, ani myślami.

# DWANAŚCIE



Darrick siedział w tawernie „U Zezowatego Sala”, zaledwie kilka ulic od ulicy Doków i dzielnicy Kupców. Tawerna była tak naprawdę spelunką, jednym z miejsc, do których trafiali marynarze pozbawieni środków i szczęścia, zanim podpisali kolejny kontrakt i wrócili na morze. Jednym z tych miejsc, w których wieczorami skręcano knoty lamp, bo dziewczki służebne i jedzenie wyglądały dużo lepiej, gdy nie można im było przyjrzeć się dokładniej.

Porty i przystanie oznaczały pieniądze dla Zachodniej Marchii, napływały w pękatyh sakiewkach kupców oraz w chudych raczej mieszkach marynarzy i dokerów. Płynęły najpierw do sklepów znajdujących się wzdłuż doków i przystani - i w większości tam właśnie zostawały. Niewielka część trafiała do słoczonych tawern, zarówno tych porządnych, jak i tych gorszego gatunku.

Tawernę „U Zezowatego Sala” zdoził szyld przedstawiający dorodną, rudowłosą dziewczę podaną na parującej muszli ostrygi, okrytą jedynie włosami. Knajpa znajdowała się w podupadłej części miasta, którą stanowił pas starszych już budynków rozciągający się wyżej na zboczu nad przystanią. Przez lata istnienia Zachodniej Marchii i portu wszystkie części zabudowy nadmorskiej zostały zburzone i postawione na nowo.

Tylko kilka starszych budynków, wzniesionych przez prawdziwych artystów, pozostawiono jako zabytki. Ale za przedsięwzięciami, które zgarniały większość pieniędzy, ciągnął się odizolowany pas biznesów prowadzonych przez kupców i właścicieli tawern, którzy z trudem zarabiali na comiesięczne rachunki i opłaty. Utrzymywali się jedynie dzięki bezrobotnym marynarzom i dokerom, na których przyszły ciężkie czasy.

„Zezowatego Sala” wypełniał po brzegi tłum klientów. Żeglarze trzymali się z dala od dokerów, gdyż obie grupy od niepamiętnych czasów pozostawały w konflikcie. Marynarze patrzyli z góry na dokerów, bo uważali, że ci nie mają odwagi wyruszyć w morze. Dokerzy spoglądali z góry na marynarzy, bo ci nie byli prawdziwą częścią tutejszej społeczności. Jednak obie grupy trzymały się z dala od najemników, którzy zaczęli ostatnio pojawiać się w mieście.

„Samotna Gwiazda” zawinęła do macierzystego portu przed dziewięcioma dniami i nadal oczekiwała na rozkazy. Darrick pił sam przy stole. Przepustkę ze statku spędzał samotnie. Większość z załogi „Samotnej Gwiazdy” przebywała w jego towarzystwie ze względu na Mata, któremu zawsze dopisywał humor i który zawsze miał w zanadrzu jakąś ciekawą historyjkę. Nigdy nie narzekał na brak towarzystwa, przyjaciół czy pełnego kufła piwa w trakcie spotkań.

Nikt z załogi nie próbował spędzać czasu z Darrickiem. Pomijając już, że kapitan krzywo patrzył na bratanie się oficerów z załogą, to Darrick nigdy nie był dobrym kompanem. Teraz zaś, gdy Mat odszedł, Darrick wcale nie pragnął towarzystwa.

Przez ostatnie dziewięć dni sypiał raczej na pokładzie statku niż w ramionach chętnych kobiet i marnował czas w spelunkach podobnych do „Zezowatego Sala”. Normalnie Mat zaciągnąłby go do jednej czy drugiej wesołej gospody albo załatwił im zaproszenia na imprezy organizowane



przez mniej znaczących polityków z Zachodniej Marchii. Jakimś sposobem Matowi udało się nawiązać znajomość z żonami tudzież metresami tych mężczyzn, gdy zwiedzał, badał i poznawał muzea, galerie i świątynie Zachodniej Marchii. Darrick tych upodobań nigdy nie podzielał. A przyjęcia u poznanych w ten sposób ludzi uważał za irytujące.

Darrick znów ujrzał dno w kubku z grzanyim winem i rozejrzał się za szynkarką. Stała trzy stoły dalej, otoczona ramieniem potężnego najemnika. Jej śmiech wydał mu się sprośnym i Darrick poczuł, że wzbiera w nim fala gniewu, którego nie umiał zdusić.

– Dziewczyno - zawołał niecierpliwie, stukając cynowym kubkiem o nierówny blat.

Szynkarka, chichocząc, odepchnęła najemnika w sposób, który miał ją uwolnić, ale i przy tym kusić. Przeszła przez zatłoczone pomieszczenie i wzięła kubek od Darricka.

Najemnicy rzucili marynarzowi kilka wrogich spojrzeń i zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami.

Darrick zignorował ich i oparł się o ścianę za plecami. Był w takich knajpach niezliczoną ilość razy i widział setki takich najemników. Normalnie chadzał w towarzystwie innych członków załogi, bo kapitan Tollifer domagał się, by żaden z jego marynarzy nie pił sam. Ale od zawinięcia do portu Darrick zawsze pił sam, wracając na statek każdego ranka przed świtem, chyba że miał wczesną wachtę.

Dziewka przyniosła Darrickowi pełny kubek. Zapłacił, dodając skromny napiwek, co nie zaskarbiło mu przychylności dziewczyny. Normalnie Mat rozstałby się ze sporą sumką, zdobywając sympatię dziewczek służebnych. Tej nocy Darricka to nie obchodziło. Pragnął tylko pełnego kubka, póki nie będzie musiał stąd wyjść.

Popatrzył na zimne jedzenie, stojące przed nim na drewnianym talerzu. Posiłek składał się z żylastego mięsa i przypalonych ziemniaków, pokrytych kawałkami zastygniętego tłuszczu, równie apetycznymi, co psia ślina. Właścicielowi tawerny uchodziło na sucho serwowanie tak podłych dań, bo całe miasto kwitło dzięki najemnikom żyjącym z królewskiego skarbcza. Darrick odgryzł kawałek mięsa i żuł je wytrwale, patrząc, jak potężny najemnik wstaje ze swojego miejsca, eskortowany przez dwóch towarzyszy.

Pod stołem Darrick przesunął swój nowy kordelas na kolana. Przyzwyczał się do jedzenia lewą ręką, żeby prawą mieć zawsze wolną.

– Ty tam, żeglarzu - burknął wielki najemnik i usiadł naprzeciw Darricka, nie czekając na zaproszenie. Ton jasno sugerował, że olbrzym uważa to określenie za obelżywe. I choć dokerzy wytykali marynarzom, że są w mieście zaledwie gośćmi, a nie mieszkańcami, to najemnicy byli tutejsi w jeszcze mniejszym stopniu. Najemnicy nazywali się dzielnymi wojownikami, nawykłymi do walki, a kiedy usłyszeli, że jakikolwiek marynarz mówi o sobie tymi słowy, natychmiast umniejszali odwagę ludzi morza.

Darrick czekał, świadom, że ta rozmowa nie zakończy się dobrze, właściwie to nawet na to liczył. Nie wiedział wprawdzie, czy choćby jeden z klientów tawerny stanie po jego stronie, ale nie dbał o to.

– Nie powinienesz przeszkadzać młodym dziewczynom zajęтым własnymi sprawami, jak ta szynkarka - pouczył go najemnik. Był to młody blondyn o szerokiej twarzy i niepełnym uzębieniu, który większość przeciwników zastraszał samym wyglądem. Blizny na twarzy i rękach świadczyły, że nie był bynajmniej człowiekiem stroniącym od przemocy. Nosił tani skórzany kaftan, a przy jego boku zwisał krótki miecz z owiniętą drutem rękojeścią.

Dwaj inni najemnicy byli w podobnym wieku, ale wyglądali na mniej doświadczonych. Darrick uznał, że po prostu szli za swoim druhem. Nawet sprawiali wrażenie zaniepokojonych możliwością starcia.

Darrick pociągnął z kufła. Poczuł nagle ciepło w brzuchu i wiedział już, że tylko część tego ciepła pochodziła z wina.

– To mój stół - odpowiedział - i nikogo tu nie zapraszałem.

– Wyglądałeś na samotnego - odparł wielkolud.

– Powinniście przebadać oczy - poradził Darrick.

Tamten zmarszczył gniewnie brwi.

– Nie jesteś zbyt towarzyski.

– Nie jestem - zgodził się Darrick. - To żeście dobrze zgadli.

Najemnik pochylił się do przodu, opierając łokcie na stole i kładąc kwadratową szczękę na złożonych palcach.

– Nie lubię cię.

Darrick ścisnął pod stołem rękojeść kordu i mocniej wsparł się o ścianę za plecami. Migocząca świeczka na sąsiednim stole rzucała cienie na twarz potężnego mężczyzny.

– Syrnon - odezwał się jeden z jego towarzyszy - ten człowiek ma na kołnierzu oficerski wieniec.

Spojrzenie niebieskich oczu przesunęło się na szyję Darricka. Na wieniec z dębowych liści, ozdobiony dwoma granatami oznaczającymi rangę. Darrick przypinał go do tego stopnia odruchowo, że nawet o nim nie pamiętał.

– Jesteś oficerem na królewskim statku? - spytał Syrnon.

– Tak. Obawiasz się, że król może cię ukarać za napaść na oficera jego marynarki? - zaszydził Darrick.

– Syrnon - wtrącił się drugi z towarzyszy najemnika - lepiej zostawmy tego człowieka.

I może wielkolud by oszedł. Nie był na tyle pijany, by nie posłuchać rozsądnej rady, a lochy Zachodniej Marchii nie słynęły z gościnności.

– Idź - powiedział cicho Darrick, poddając się ponuremu nastrojowi, który go przepęniał - i nie zapomnij podkulić ogona.

W przeszłości Mat zawsze wyczuwał, kiedy Darrick miał ataki podłego nastroju, i zawsze wiedział, jak mu ów nastrój poprawić, albo ciągnąć gdzieś, gdzie pragnienie samozniszczenia nie mogło się w Darricku objawić w pełni.

Ale Mata tu nie było, tak jak nie było przez ostatnie dziewięć długich nocy.

Ryjąc z wściekłości, Syrnon zerwał się i sięgnął przez stół z zamiarem chwycenia Darricka za koszulę na piersi. Darrick pochylił się do przodu i głową uderzył najemnika w twarz, łamiąc mu nos i upuszczając krwi. Olbrzym zatoczył się ciężko.

Dwaj pozostali najemnicy próbowali wstać.

Darrick machnął kordem, trafiając jednego płazem w skroń i natychmiast pozbawiając go przytomności. Zanim tamten zdążył upaść, Darrick zwrócił się ku drugiemu. Najemnik sięgał do miecza, zanim jednak zdołał go dobyć, Darrick kopnął go w pierś. Najemnik wywrócił sąsiedni stół, padając. Czterech siedzących przy nim mężczyzn zerwało się, klnąc obu walczących.

Syrnon wyciągnął krótki miecz i zamachnął się, sprawiając, że wszyscy wkoło skulili się lub odskoczyli. Na jego głowę posypały się kolejne przekleństwa.

Darrick przesadził stół, przeskoczył nad klingą Syrnona, zrobił salto do przodu, od czego w głowie mu zawirowało z nadmiaru wypitego wina, i wylądował za plecami wielkiego najemnika. Syrnon odwrócił się. Twarz

najemnika była szkarłatną maską. Klął Darricka, plując krwią. Ciął w głowę.

Darrick odbił kordelasem. Stal zadzwoniła o stal. Darrick zablokował ostrze przeciwnika i z całej siły rąbnął go pięścią w głowę. Policzek najemnika pękł. Darrick uderzył jeszcze dwa razy, co przepelniło go satysfakcją. Syrnon był od niego większy, tak jak kiedyś jego ojciec, na tyłach sklepu rzeźnika. Tyle tylko, że Darrick nie był już przerażonym chłopcem, zbyt małym i zbyt niedoświadczonym, by się bronić. Uderzył Syrnona jeszcze raz, aż tamten się zatoczył.

Po twarzy olbrzyma było widać, że wziął cięgi. Prawe oko zaczynało już mu puchnąć, a do rozciętego policzka dołączyły rozcięta warga i ucho.

Ręka Darricka pulsowała od uderzeń, ale prawie tego nie czuł. Ciemność w nim wreszcie wyrwała się na wolność, uwolniła spod jego kontroli jak nigdy wcześniej. Emocje przybierały na siłę jak szkwał. Syrnon zamachnął się i jego pięść wylądowała na twarzy Darricka. Głowa marynarza poleciała do tyłu. Na uderzenie serca Darrick stracił kontakt z rzeczywistością, jego usta wypełnił żelazisty posmak krwi, a nos smród zapleśniałego siana.

W głowie rozległ się głos Orvana Langa. *Nikt nie powie, że jesteś do mnie podobny. Jak myślisz, dlaczego chłopiec nie jest podobny do swojego ojca? Wszyscy tylko mielą ozorami. A ja, przeklęty głupiec, kocham twoją matkę.*

Parując kolejny rozpaczliwy atak najemnika, Darrick zrobił następny krok do przodu. Jego umiejętności szermiercze znane były w całej marynarce Zachodniej Marchii każdemu, kto stawiał mu czoła lub stał u jego boku w walce z piratami i przemytnikami.

Przez jakiś czas po tym, jak dotarli z Matem do Zachodniej Marchii, Darrick uczył się u mistrza szermierki za pracę i usługę. Przez sześć lat Darrick naprawiał i posypywał piaskiem podłogi i ściany pokoju do

ćwiczeń, a później sam zaczął uczyć innych, jednocześnie rozpoczynając karierę w marynarce Zachodniej Marchii.

Ćwiczenia utrzymywały Darricka w równowadze, aż mistrz Coro zginął w wyniku starcia z pewnym księciem o honor kobiety. Darrick wytropił dwóch zabójców, jak również samego księcia, i zabił ich wszystkich. Zwrócił tym na siebie uwagę komodora marynarki Zachodniej Marchii, który wiedział o pojedynku i zabójstwie. Mistrz Coro szkolił kilkunastu oficerów i trenował z kapitanami. W efekcie Darrick i Mat dostali koje na swoim pierwszym statku.

Po śmierci mistrza Coro służba w marynarce, gdzie panowały surowe zasady i regulamin, zapewniła Darrickowi spokój. A Mat w tym pomagał.

Teraz gdy walczył, wreszcie czuł się dobrze. Utrata Mata i dziewięciodniowe oczekiwanie na jakiś sensowny przydział szargały mu nerwy. „Samotna Gwiazda”, kiedyś dom i przystań, teraz była tylko bolesnym przypomnieniem, że Mata już nie ma. Poczucie winy znaczyło każdą deskę pokładu i Darrick nie mógł znieść bezczynności.

Bawił się z najemnikiem, a w jego duszy wirowała ciemność. Przez te wszystkie lata po ucieczce z Hillsfar Darrick czasem myślał o tym, by wrócić i zobaczyć się z ojcem - zazwyczaj wtedy gdy Mat odwiedzał rodzinę. Darrick nie tęsknił za matką - pozwalała, by ojciec go tłukł, bo miała własne życie, a małżeństwo z wpływowym rzeźnikiem pozwalało wieść je na poziomie, który jej odpowiadał.

Darrick ukrywał swoją wewnętrzną ciemność, otoczył ją murami.

Teraz jednak jej nie powstrzymywał. Przebijał obronę wielkiego najemnika, coraz bardziej spychając go do tyłu. Syrnon wołał o pomoc, ale żaden z pozostałych wojaków nie miał zbyt wielkiej ochoty wtrącić się do bójki.

Rozległ się ostrzegawczy gwizd. Gdzieś w głębi duszy Darrick wiedział, że gwizd oznajmiał przybycie królewskich Strażników. Strażnicy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, byli twardzi i oddani sprawie utrzymywania królewskiego porządku w murach miasta.

Najemnicy i kilku marynarzy w tawernie natychmiast się wycofali. Każdy, kto nie stosował się do rozkazów Straży, spędzał noc w lochu.

Darrick, pochłonięty przez mroczne emocje, które nie chciały wypuścić go z uścisku, bez wahania nacierał na najemnika, spychając go, aż ten nie miał już gdzie się cofnąć. Ostatnią ripostą wytrącił Syrnonowi miecz z dłoni.

Najemnik rozpląszczył się na ścianie. Stał na palcach, a na gardle miał kord Darricka.

– Proszę - wyszeptał chrapliwie.

Ale Darrick go nie puszczał. Wydawało mu się, że w pomieszczeniu jest za mało powietrza. Za sobą słyszał gwizdki, jeden całkiem blisko.

– Odłóż miecz - rozkazał spokojnie kobiecie głos. - Natychmiast.

Darrick odwrócił się z kordelasem w dłoni, by odeprzeć kobietę. Kiedy jednak spróbował sparować trzymany przez nią kostur, ona obróciła broń i uderzyła go w pierś.

Ciało Darricka przeszył prąd. Upadł.



Poranne słońce wlewało się przez kraty niewielkiego okienka, wprost na pryczę przykutą do ściany. Darrick zamrugał i wpatrzył się w światło. Nie został zabrany do głębokiego lochu, co go ucieszyło tak samo, jak i zaskoczyło.

Usiadł, choć miał wrażenie, że głowa mu zaraz wybuchnie. Łóżko zaskrzypiało, gdy napięły się dwa łańcuchy mocujące je do muru. Oparł stopy na podłodze i wyjrzał przez kraty, które stanowiły czwartą ścianę pomieszczenia o wymiarach osiem na osiem stóp i identycznej wysokości. Cienki materac na pryczy wypchany był zaparzoną sianem. Pokrycie siennika miało plamy w miejscach, gdzie jego poprzedni użytkownicy ulżyli sobie lub zwymiotowali.

Żołądek Darricka wywinął gwałtowne salto. Marynarz rzucił się do wiadra na pomyje w rogu celi. Szarpnęły nim torsje. Tak był słaby, że z ledwością trzymał się krat.

Męski, szczekliwy śmiech rozległ się gdzieś wśród cieni i odbił echem od kamiennych murów.

Nie mając pewności, czy mdłości już minęły, Darrick siadł na podłodze i spojrzał spode łba w stronę celi naprzeciwko.

Na pryczy w drugiej celi siedział, krzyżując nogi, kudłaty mężczyzna odziany w skóry. Mosiężne naramienniki, jak plemienne tatuaże na twarzy i ramionach sugerowały, że był najemnikiem z mniej cywilizowanych okolic.

– Jak się dzisiaj czujesz? - zagadnął.

Darrick nie odpowiedział.

Tamten zeskoczył z pryczy i podszedł do krat. Chwytny, powiedział:

– Co jest w tobie takiego, marynarzu, że wszyscy podnieśli larum?

Darrick pochylił głowę nad śmierzącym wiadrem i znów zwymiotował.

– Przeprowadzili cię wczoraj w nocy - ciągnął dalej kudłaty wojownik - a ty walczyłeś z nimi wszystkimi. Szaleniec, można by pomyśleć. A jedna Strażniczka znów potraktowała cię swoim kosturem.

*Kostur porażenia* – pomyślał Darrick, zrozumiał już, dlaczego wszystko go tak bolało, a mięśnie były napięte i twarde jak z kamienia. Czuł się, jakby go przeciągnięto pod kilem, a potem po pokrytej pąklami burcie.



Niektórzy Strażnicy mieli naładowane magią klejnoty, które mogły generować impulsy obezwładniające.

– Jeden ze Strażników zaproponował, żeby dać ci w łeb i skończyć z tym - gadał tamten. - Ale inny powiedział, że jesteś bohaterem. Że widziałeś tego demona, którego teraz boi się cała Zachodnia Marchia.

Darrick trzymał się krat i oddychał płytko.

– Czy to prawda? - spytał wojownik. - Bo ostatniej nocy widziałem tylko pijaka.

Zgrzyt ciężkiego klucza w zamku wypełnił pomieszczenie, odpowiedziały przekleństwa mężczyzn i kobiet siedzących w celach. Drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypnięciem.

Darrick oparł się o ścianę przy kratkach, żeby widzieć wąski korytarz.

Pierwszy pojawił się dozorca więzienny w stroju Strażnika z dystynkcjami sierżanta. Za nim szedł kapitan Tollifer okryty swoim długim płaszczem.

Choć nudności szarpały mu żołądek, Darrick stanął na baczność, odruchem wyrobionym przez lata ćwiczeń. Zasalutował i miał tylko nadzieję, że żołądek nie wybierze akurat tej chwili, żeby pozbyć się resztek zawartości.

– Kapitanie - wychrypiał Darrick.

Strażnik, przysadzisty mężczyzna o imponujących bokobrodach i łysinie, odwrócił się do marynarza.

– A, tu jest, kapitanie. Wiedziałem, że jesteśmy blisko.

Kapitan Tollifer zmierzył Darricka stalowym spojrzeniem.

– Panie Lang, jestem głęboko rozczarowany.

– Tak jest, sir - odpowiedział Darrick. - Bardzo mi przykro z tego powodu, panie kapitanie.

– I powinno być - stwierdził sucho kapitan Tollifer. - Będzie się pan czuł jeszcze gorzej przez najbliższe kilka dni. Nigdy nie powinienem być zmuszony do oglądania oficera ze swojego statku w takiej sytuacji.

– Tak jest, panie kapitanie - zgodził się Darrick, choć właśnie uświadomił sobie ze zdziwieniem, że tak naprawdę niewiele go to obchodzi.

– Nie wiem, co sprawiło, że znalazł się pan w tak przykrym położeniu, w jakim się pan obecnie znajduje - ciągnął kapitan - ale wiem, że dużą w tym rolę odgrywa śmierć pana Hu-Ringa.

– Proszę o wybaczenie, kapitanie - powiedział Darrick - ale śmierć Mata nie ma z tym nic wspólnego.

Nie byłby w stanie tego znieść.

– A więc, panie Lang - kontynuował kapitan zimno - czy może pan przedstawić jakieś inne wyjaśnienie dla stanu, w jakim pana znajduję?

Darrick stał na drżących nogach, patrząc na kapitana.

– Nie, panie kapitanie.

– W takim razie pozwólmy, że na razie będę sam sobie tłumaczył pańskie karygodne zachowanie, którego zupełnie się po panu nie spodziewałem.

– Tak, panie kapitanie. - Darrick nie był w stanie powstrzymać się dłużej, więc odwrócił się i zwymiotował do wiadra.

– I proszę sobie zapamiętać, panie Lang - stwierdził kapitan. - Nie będę tolerował takiego zachowania.

– Tak jest, panie kapitanie. - Darrick był tak słaby, że nie mógł podnieść się z kolan.

– Strażniku - nakazał kapitan - proszę go teraz wypuścić.

Darrick znów zwymiotował.

– Może za chwilę - zaproponował strażnik. - Mam u siebie dzbanek herbaty, jeśli zechce się pan do mnie przyłączyć. Dajmy temu

młodzieńcowi trochę czasu dla siebie, może wówczas będzie miłym towarzyszem.

Zawstydzony, ale znów niemal obezwładniony gniewem, Darrick słuchał oddalających się kroków. Mat przynajmniej przyłączyłby się do niego w celi, może by się z niego śmiał, ale nie zostawiłby go samego.

Darrick znów zwymiotował i znów ujrzał szkielet zrzucający Mata z klifu. Tyle tylko, że tym razem widział również demona stojącego nad nimi i śmiejącego się, gdy obaj lecieli ku rzece.



– Nie możesz go jeszcze zabrać - sprzeciwił się uzdrowiciel. - Potrzebuję założyć jeszcze co najmniej trzy szwy, żeby zamknąć tę ranę nad okiem.

Darrick siedział spokojnie na stołeczku w gabinecie uzdrowiciela i patrzył jednym okiem na Maldrina stojącego w wąskich drzwiach. Na zewnątrz przechodzili inni ludzie, wszyscy ranni lub chorzy, lub toczeni jakąś zarazą. Gdzieś w korytarzu rozbrzmiewał krzyk rodzącej kobiety, która przysięgała, że rodzi demona.

Bosman nie wyglądał na uszczęśliwionego. Tylko popatrzył Darrickowi w oczy, po czym odwrócił wzrok.

Darrick chciałby myśleć, że Maldrin po prostu był zły, ale nie miał wątpliwości, że bosman jest też zawstydzony. Nie po raz pierwszy musiał szukać Darricka ostatnimi czasy.

Darrick rozglądał się po gabinecie uzdrowiciela, zezował na półki wypełnione eliksirami i proszkami, słojami pełnymi liści, suszonych jagód i kory, woreczkami z kamieniami o leczniczych właściwościach.

Uzdrowiciel urzędował kawałek od ulicy Doków i był starszym mężczyzną, do którego często zwracali się o pomoc marynarze i dokerzy.

Powietrze wypełniała ostra woń balsamów i medykamentów, które podawał potrzebującym.

Uzdrowiciel nawlekł kolejny kawałek nici sporządzonej z krowiego jelita przez ucho zakrzywionej igły, po czym pochyliwszy się, przebił skórę nad prawym okiem pacjenta. Darrick nie drgnął, nawet nie mrugnął.

– Na pewno nie chcesz czegoś na ból? - spytał uzdrowiciel.

– Na pewno. - Darrick odsunął się od bólu, umieścił go w części umysłu wybudowanej wiele lat wcześniej, by poradzić sobie z piekłem, które zgotował mu ojciec. To szczególne miejsce mogło zmieścić o wiele więcej niż tylko nieprzyjemność, jaką były działania uzdrowiciela.

– Czy kapitan wie?

Maldrin westchnął.

– Żeś wdał się w kolejną bójkę i zdemolował kolejną tawernę? Ano, wie. Caron poszedł wywiedzieć się, ile masz zapłacić. Jak tak widzę, za ile bałaganu musisz płacić, to w głowę zachodzę, skąd masz grosiwo na picie.

– Nie zacząłem tej bójki - powiedział Darrick, ale nie zabrzmiał zbyt przekonywająco, bo powtarzał tę wymówkę od tygodni.

– To ty tak mówisz - zgodził się Maldrin. - Ino że kapitan słyszał, będzie od tuzina ludzi, żeś się nie wycofał, kiedy była szansa.

Głos Darricka stwardniał.

– Ja się nie wycofuję, Maldrin. I bądź cholernie pewien, że nie uciekam przed kłopotami.

– A żeś powinien.

– Widziałeś, żebym kiedy uciekł przed walką? - Darrick wiedział, że cała ta rozmowa była próbą nadania wydarzeniom zeszłej nocy jakiejś perspektywy. Perspektywy, która jemu samemu pozwoliłaby uzasadnić całą tę przemoc, nieustannie stającą się jego udziałem, gdy tylko postawił stopę na lądzie.

– Walką? - powtórzył Maldrin, zaplatając potężne ramiona na szerokiej piersi. - Nie. Nigdy nie widział, żebyś się cofnął, gdy przyszło nam stawać razem. Ale musisz się nauczyć, jak zmniejszać straty. Te bzdury, co to je ludzie powtarzają w tych spelunach, co to je odwiedzasz. To nie jest coś, o co by trza walczyć. Ty wiesz i ja wiem, że marynarz wybiera swoje bitwy. Ale ty, chłopie, na Światłość, walczysz, żeby walczyć.

Darrick zamknął zdrowe oko. Drugie było tak spuchnięte i pełne krwi, że nie był w stanie unieść powieki. Marynarz, z którym Darrick walczył w „Tłustym Węgorzu Gargana”, miał zaczarowaną broń i ruszył do walki szybciej, niż Darrick się spodziewał.

– Ile razy żeś się bił w ciągu ostatnich dwóch miesięcy? - spytał cicho Maldrin.

Darrick zawahał się.

– Nie wiem.

– Siedemnaście - uświadomił go bosman. - Siedemnaście razy. I za każdym razem żeś był przynajmniej po części winien.

Darrick poczuł, jak uzdrowiciel ciągnie ciało, zawiązując szew.

– Powiem ci tylko, że Światłość ci błogosławi, jak nic - stwierdził Maldrin - bo jeszcze nikt się z życiem nie pożegnał. I ty też nie.

– Byłem ostrożny - odparł Darrick i od razu pożałował tego usprawiedliwienia.

– Ostrożny człek - sprzeciwił się Maldrin - nigdy by się nie wpakował w takie kłopoty. Na ognie piekielne, jakbyś chciał uniknąć kłopotów i miał choć odrobinę pomyślunku w tej pustej czaszce, tobyś w ogóle nie szwendał się po podejrzanych spelunach, ot co.

Darrick zgodził się w milczeniu. Ale do takich miejsc przyciągało go to, jak łatwo było tam znaleźć kłopoty. Kiedy walczył, nie myślał ani nie

groziło mu niebezpieczeństwo, że zbyt wiele będzie myślał o niektórych sprawach - po prostu pił i czekał na kogoś, z kim można wdać się w bójkę.

Uzdrowiciel przygotował kolejny szew.

– A co na to kapitan? - spytał Darrick.

– Chłopie - powiedział cicho Maldrin - kapitan Tollifer docenia wszystko, co żeś uczynił. I nie zapomni o tym. Ale jest dumnym człowiekiem i jakoś nie umi przełknąć, że jeden z jego ludzi ciągiem tylko walczy ze wszystkimi, jak siedzimy w porcie w tych trudnych czasach. I jestem cholernie pewien, że nie trza ci było tego tłumaczyć.

Darrick przyznał mu rację.

– Potrzebujesz pomocy - ocenił Maldrin. - Kapitan to wie. Ja to wiem. Załoga to wie. Cheba ino ty sam jeden myślisz, że jest inaczej.

Uzdrowiciel podniósł z kolan ręcznik, starł delikatnie krew z oka Darricka, polał ranę świeżą słoną wodą i zabrał się do ostatniego szwu.

– Nie ty jeden straciłeś przyjaciela - wychrypiał Maldrin.

– Nigdy tak nie mówiłem.

– A ja - ciągnął Maldrin, jakby nie słyszał Darricka - zaraz stracę dwóch. Nie chcę, żebyś opuścił „Samotną Gwiazdę”. Nie, jeśli mogę coś z tym zrobić.

– Nie ma sensu, żebyś przeze mnie nie spał, Maldrin - rzucił Darrick bez emocji.

Najbardziej przerażało go, że tak czuł, choć wiedział, że były to tylko słowa ojca. Nie umiał ich zapomnieć. Udało mu się uciec przed pięściami ojca, ale codziennie przekonywał się, że nie zdołał uciec przed jego ostrymi słowami. Tylko Mat sprawiał, że czuł się inaczej. Żadna inna przyjaźń, nawiązana przez lata, nie była dla Darricka lekarstwem ani żadna z kobiet, z którymi był w tym czasie. Nawet Maldrin nie mógł do niego dotrzeć.

Wiedział dlaczego. Wszystko, czego Darrick dotknął, zmieniało się w gnój. Ojciec tak mu powiedział i okazało się, że miał rację. Stracił Mata, a teraz tracił „Samotną Gwiazdę” i karierę w marynarce.

– Może i nie - powiedział Maldrin. - Może i nie.



Darrick biegł, a serce biło tak mocno, że zakażona, tygodniowa rana nad okiem pulsowała boleśnie. Z trudem łapał oddech gdy, przytrzymując kordelas u boku, gnał przez uliczki w dzielnicy Kupców.

Dotarł do ulicy Doków, skręcił w stronę ulicy Floty, głównej alei przechodzącej przez dzielnicę Wojskową, gdzie był port królewskiej marynarki.

W oddali widział fregaty, wysokie maszty zanurzały się we mgle otaczającej port. Kilka statków zniknęło już za horyzontem, korzystając ze sprzyjającego wiatru.

Jak dotąd piraci Raithena nie stanowili prawdziwego zagrożenia dla miasta i może nawet się rozproszyli, ale ich miejsce szybko zajęli inni. Korzystali z ożywienia w handlu morskim, gdyż Zachodnia Marchia sprowadzała coraz więcej towarów, by utrzymać marynarkę, armię i najemników. Ponieważ minęło dwa i pół miesiąca, a Kabraxisa nikt nigdzie nie widział, król zaczynał wątpić w wieści przyniesione przez „Samotną Gwiazdę”. Teraz największymi problemami Zachodniej Marchii byli bezczynni najemnicy oraz zmniejszające się zapasy żywności, których miastu nie udało się uzupełnić od czasu działań podjętych przeciwko Tristram.

Darrick przeklinał mgłę otulającą miasto szarą kołdrą. Obudził się w bocznej uliczce, nie wiedząc, czy tam usnął, czy też został wyrzucony z

jednej z pobliskich tawern. Obudził się dopiero po pianiu koguta, a „Samotna Gwiazda” miała wypłynąć o poranku.

Przeklinał swoją głupotę, wiedząc, że powinien zostać na okręcie. Ale nie mógł. Nikt na pokładzie, włączając w to kapitana i Maldrina, już się doń nie odzywał. Stał się powodem do wstydu, czyli tym, czym ojciec mówił mu, że jest.

Zdyszany, skręcił w stronę mostu Spinakera, gdzie znajdował się jeden z ostatnich posterunków, tam cywile byli zawracani przed wejściem do dzielnicy Wojskowej. Darrick zaczął szukać papierów w swojej poplamionej bluzie.

Czterech Strażników zastąpiło mu drogę. Mieli surowe miny i wypolerowaną broń. Jeden z nich uniósł rękę.

Darrick zatrzymał się. Oddychał z trudem, a rana nad okiem pulsowała boleśnie.

– Oficer marynarki drugiej klasy Lang - wydyszał.

Dowódca spojrział podejrzliwie na Darricka, ale przyjął jego papiery. Przejrzał je, szczególną uwagę zwracając na pieczęć kapitana.

– Tu pisze, że jesteście oficerem na „Samotnej Gwieździe” - powiedział Strażnik, oddając mu papiery.

– Tak jest - potwierdził Darrick, spoglądając zdrowym okiem na morze. Nie rozpoznawał okrętów, które widział na wodach zatoki. Może miał szczęście.

– „Samotna Gwiazda” wypłynęła wiele godzin temu - oznajmił strażnik. Darrick poczuł, że serce ma w żołądku.

– Nie - wyszeptał.

– Zgodnie z prawem za takie spóźnienie się na statek - stwierdził Strażnik - powinienem was przymknąć i oddać w ręce komandora. Ale sądząc po waszym wyglądzie, to, że zostaliście obrabowani i pobici, jest



wystarczającym usprawiedliwieniem. Wpiszę to do dziennika. Przyda się, jeśli zostaniecie wezwani przed sąd morski.

*Żadna to przysługa* – pomyślał Darrick. Każdy człowiek, który nie zdążył na swój statek bez dobrego powodu, był wieszany za zaniedbanie obowiązków. Odwrócił się i popatrzył na morze, obserwując mewy nurkujące po resztki. Krzyki ptaków brzmiały żałobnie i pusto, zwłaszcza w połączeniu z odgłosem fal uderzających o brzeg.

Jeśli kapitan Tollifer odpłynął bez niego, to Darrick wiedział, że na pokładzie „Samotnej Gwiazdy” nie było już dla niego koi. Jego kariera w marynarce Zachodniej Marchii właśnie się zakończyła i nie miał pojęcia, co go dalej czeka.

Najbardziej pragnął umrzeć, ale nie mógł tego zrobić, bo to oznaczałoby, że jego ojciec po tych wszystkich latach zwyciężył. Odgrodził się od bólu i poczucia straty i odwrócił od morza. Wszedł z powrotem do miasta. Nie miał pieniędzy. Nie przeszkadzało mu, że nie będzie miał co jeść, ale wiedział, że tej nocy będzie znów chciał się napić. Na Światłość, już teraz chciał się napić.

# TRZYNAŚCIE



– Panie?

Buyard Cholik spojrział w górę. Siedział na wygodnej sofie ustawionej pod dłuższą ze ścian powozu, w którym podróżował. Ciągnięty przez szóstkę koni i osadzony na trzech osiach powóz był na dobrą sprawę domem na kółkach. Wbudowane półki mieściły wszelkie przedmioty potrzebne kapłanowi, ubrania i rzeczy osobiste. Lampy, przykręcone do ściany i wyposażone w wylot dymu prowadzący na zewnątrz, zapewniały mu światło potrzebne do lektury. Od czasu opuszczenia ruin Portu Tauruka i Ransim przed trzema miesiącami większość czasu spędzał, czytając tajemne księgi dostarczone mu przez Kabraxisa i ćwicząc się w magii, której uczył go demon.

– O co chodzi? - spytał Cholik.

Mężczyzna, który się doń odezwał, stał na platformie przymocowanej do podłogi powozu. Cholik nawet nie podniósł ręki, by odemknąć okiennice i spojrzeć na swojego rozmówcę. Od czasu, gdy Kabraxis go odmienił, jego umysł i ciało, ujmując mu zarazem dziesiątków lat, Cholik nie czuł się związany z żadnym z ludzi, którzy przeżyli przybycie demona i atak piratów Raithena. Dołączyło do nich kilkunastu nowych, zebranych z małych miasteczek, które ich karawana mijała w drodze do celu.

– Zbliżamy się do Bramwell, panie - powiedział mężczyzna. - Myślałem, że chcielibyście wiedzieć.

– Tak. - Sądząc po tym, jak równo jechał teraz powóz, Cholik był w stanie sam odgadnąć, że zakończył się już trwający wiele godzin podjazd pod górę krętą drogą.

Zaznaczył miejsce w czytanej książce zakładką plecioną z ludzkich języków, która przez lata nabrała cech wygarbowanej skóry. Czasem, po użyciu odpowiedniego zaklęcia, języki czytały na głos bluźniercze ustępy. Księga została napisana krwią na papierze z ludzkiej skóry i spięta dziecięcymi zębami. Większość z pozostałych ksiąg, dostarczonych mu przez Kabraxisa, została zrobiona z rzeczy, które w swoim poprzednim życiu kapłana Zakarum uznałyby za jeszcze potworniejsze.

Zakładka z ludzkich języków zaprotestowała sykiem, gdy odkładał księgę, co wywołało w Choliku coś w rodzaju poczucia winy, albowiem był pewien, że to Kabraxis skłonił je do tego zaklęcia. Cholik całe dni spędzał na czytaniu, ale im zawsze było nie dość.

Poruszając się z gracją człowieka zaledwie wchodzącego w wiek średni, Cholik otworzył drzwi powozu, zszedł na platformę i wspiął się po ręcznie rzeźbionej drabince, która prowadziła na słomiany dach. Półka przypominała raczej wąski balkon, charakterystyczny dla zamożniejszych domów w Zachodniej Marchii, na który wychodziły żony kapitanów statków handlowych, by sprawdzić, czy ich mężowie wrócili bezpiecznie z morza.

Powóz był jedną z pierwszych rzeczy, jakie Cholik kupił za złoto i klejnoty, które on i jego nawróceni kapłani wynieśli z jaskiń z błogosławieństwem Kabraxisa. Zaledwie dwa dni przed zakupem powóz należał do księcia kupców, który specjalizował się w handlu lądowym. Zupełnie nieoczekiwanie jednak ów książę poniósł ogromne straty i

zachorował na dziwną chorobę, która zabiła go w przeciągu kilku godzin. Mając w perspektywie niemal pewne bankructwo, spadkobierca sprzedał powóz wysłannikom Cholika.

Cholik stał na dachu powozu, świadom otaczającej go wiekowej puszczy. Pół tuzina wozów jechało przed nim. Drugie tyle ciągnęło jego śladem. Wszystkie zapełnione były rzeczami, które Kabraxis uratował z Portu Tauruka.

Kręta droga prowadziła przez serce lasu. Cholik nie mógł przypomnieć sobie jego nazwy, ale też nigdy wcześniej go nie widział. Zachodnią Marchię zawsze opuszczał statkiem i nigdy nie był w Bramwell.

Bramwell leżało na końcu wijącej się drogi, nieduże miasto na północ-północny zachód od Marchii. Setki lat wcześniej, mimo że otaczały je wzgórza, miasto miało pozycję niemal równą Zachodniej Marchii, ale znajdowało się na tyle daleko, że było od niej niezależne ekonomicznie. Mieszkali tu rolnicy i rybacy, potomkowie rodzin, które żyły tu przed wiekami. Pływali tymi samymi statkami i orali tę samą ziemię, co ich przodkowie. W dawnych czasach marynarze z Bramwell polowali na wieloryby i sprzedawali tran. Teraz z floty wielorybniczej pozostało kilka nieskończenie konserwatywnych rodzin, które uparcie wiodły jałową egzystencję, bardziej z powodu dumy i niechęci do zmian niż z konieczności.

Miasto było wiekowe, wręcz starożytne. Piętrowe lub dwupiętrowe budynki wzniesiono z kamienia wydobytego i zwiezionego z gór i kryto słomą pomalowaną na wiele odcieni zieleni, która naśladowała barwy lasu otaczającego Bramwell z trzech stron. Czwartą stanowiła Zatoka Zachodniej Marchii, gdzie z górskiego kamienia wybudowano falochron, chroniący miasto przed gniewem morza.

Z dachu powozu i szczytu gór Cholik przyglądał się miastu, które będzie jego domem podczas pierwszych podbojów Kabraxisa. Tu zacznie się budowa imperium, powiedział do siebie Cholik. Jechał na platformie, kołyszącej się do przodu i do tyłu, gdy sprężyny amortyzowały nierówności drogi, i patrzył na miasto zbliżające się z każdym obrotem kół.



Kilka godzin później Cholik stał nad Rzeką Słodkich Wód, z której czerpało wodę Bramwell. Płynęła między szerokimi, kamienistymi brzegami. Zapewniała też dodatkowy port dla mniejszych statków, które prowadziły handel w głębi lądu, oraz studnie i irygację dla farm znajdujących się na obrzeżach miasta.

We wschodniej części Bramwell, gdzie zbierali się drwale i rzemieślnicy i gdzie wiele lat wcześniej wyrosły sklepy i rynki, Cholik zatrzymał karawanę w miejscu wyznaczonym na obozowiska dla wszystkich, którzy chcieli handlować z mieszkańcami.

Wokół powozu i wozów natychmiast zebrały się dzieci z nadzieją na jakiś pokaz. Cholik nie zawiódł ich, wynajął przecież trupeę wędrownych artystów, gdy karawana podróżowała na północ od Portu Tauruka. Wybrał szlak lądowy, o wiele droższy i bardziej męczący niż droga morska, ale pozwalający za to uniknąć marynarki Zachodniej Marchii. Kapłan wątpił, żeby ktokolwiek, kto znał go kiedyś, był w stanie teraz rozpoznać, ale nie chciał ryzykować, a Kabraxis był cierpliwy.

Artyści tańczyli i skakali, robiąc rzeczy, zdawałoby się, niemożliwe, oraz wymyślali dowcipne poematy i dialogi, które sprawiały, że widownia pękała ze śmiechu. Żonglerzy i akrobaci występujący przy wtórze fletów i bębenków doczekali się pełnych zdumienia komentarzy od całych rodzin.

Cholik został w powozie i wyglądał przez przysłonięte okno. Taka radosna atmosfera nie pasowała do tego, co nauczono go myśleć o praktykowaniu religii. Nowi wierni Kościoła Zakarum nie byli zabawiani ani kuszeni w taki sposób, choć niektóre mniejsze Kościoły postępowały podobnie.

– Nadal tego nie pochwalasz, prawda?

Rozpoznając głos Kabraxisa, Cholik wstał i odwrócił się. Wiedział, że demon nie wszedł do powozu w normalny sposób, ale nie wiedział, jak Kabraxis podróżował, gdy nie było go w powozie.

– Stare przyzwyczajenia trudno zmienić - powiedział Cholik.

– Jak i zmienić to, w co się wierzy? - spytał Kabraxis.

– Nie.

Kabraxis stał przed Cholikiem, przybrawszy ciało martwego człowieka. Kiedy zdecydował się pójść między ludzi i wybrać miasto, które stanie się przyczółkiem jego kampanii, Kabraxis zabił kupca, poświęcając jego duszę bezlitosnej ciemności. Gdy doczesne szczątki mężczyzny były już tylko pustą skorupą, Kabraxis pracował trzy dni i trzy noce z najczarniejszymi tajemnymi zaklęciami, aż w końcu udało mu się zmieścić w zwłokach.

Choć Cholik nie był nigdy świadkiem czegoś takiego, Kabraxis zapewnił go, że ten proces przeprowadzano i wcześniej, aczkolwiek był on bardzo niebezpieczny. Kiedy demon przejął ciało przed miesiącem, było ono młode i świeże, należało do mężczyzny, który nie osiągnął jeszcze trzydziestki. Teraz ten sam mężczyzna wyglądał na starszego od Cholika, na człowieka stojącego nad grobem. Ciało było blade i obwisłe, poznaczone zmarszczkami i cieniutkimi jak włos bliznami, które szpeciły jego rysy. Czarne włosy posiwiały, a oczy z brązowych stały się szare jak popiół.

– Wszystko w porządku?

Starzec uśmiechnął się, ale był to grymas należący do Kabraxisa.

– Postawiłem temu ciału dużo ciężkich zadań. Ale jego przydatność już się kończy. - Minął Cholika i wyrzął przez okno.

– Co tu robisz? - spytał Cholik.

– Przyszedłem, żeby popatrzeć, jak przyglądasz się zabawie ludzi, którzy przybyli cię zobaczyć - odpowiedział Kabraxis. - Wiem, że obecność tak wielu ludzi wokół ciebie, w większości szczęśliwych i spragnionych rozrywki, może odebrać ci odwagę. Życie jest o wiele prostsze, jeśli będziesz trzeźwo nad nim czuwał.

– Ci ludzie uznają nas za źródło rozrywki - stwierdził Cholik. - Nie za drogę do nowej religii, która zmieni ich życie na lepsze.

– Owszem - przyznał Kabraxis - zmieni ich życie na lepsze. W rzeczy samej, chciałem porozmawiać z tobą o wieczornym spotkaniu.

Cholik uczuł przyływ podniecenia. Po trzech miesiącach spędzonych na podróżowaniu, na planach założenia religii, która stanie się podstawą ich mocy i w końcu zabierze wiernych Kościołowi Zakarum, cieszyła go myśl, że wreszcie zaczynają.

– Więc Bramwell jest tym miejscem?

– Tak - odpowiedział Kabraxis. - W tym mieście jest pradawna moc. Moc, którą mogę wykorzystać, żeby ukształtować twoją przyszłość i moje podboje. Dziś wieczorem położysz pierwszy kamień pod fundamenty kościoła, o którym rozmawialiśmy przez ostatni miesiąc. Ale nie będzie to fundament z kamieni i zaprawy, jak myślisz. Mam raczej na myśli wiernych.

Ta uwaga zmroziła Cholika. Pragnął świątyni, budowli, która przyćmi nawet kościół Zakarum w Zachodniej Marchii.

– Potrzebujemy kościoła.

– Będziemy mieli kościół - odrzekł Kabraxis. - Ale posiadanie kościoła zakotwiczycię w jednym miejscu. Choć próbowałem cię tego nauczyć,

nadal nie rozumiesz. Wiara zaś... Buyardzie Choliku, Pierwszy Wybrany Czarnej Drogi... wiara przenika wszystkie fizyczne granice i pozostawia swój znak na wieki. Tego właśnie pragniemy.

Cholik nic nie powiedział, ale w jego myślach nadal tańczyły obrazy wspaniałej budowli.

– Przedłużyłem ci życie - powiedział Kabraxis. - Niewielu ludzi dożyje wieku, którego ty już dożyłeś, bez pomocy mojego daru. Chcesz spędzić wszystkie nadchodzące lata w jednym miejscu, patrząc tylko na zwycięstwa, które już osiągnąłeś?

– To ty mówiłeś o potrzebie cierpliwości.

– Wciąż mówię o cierpliwości, ale ty nie będziesz drzewem mojej religii, Buyardzie Choliku. Nie potrzeba mi drzewa. Potrzeba mi pszczoły. Pszczoły, która lata z jednego miejsca do drugiego, by zbierać wiernych. - Uśmiechnął się i poklepał Cholika po ramieniu. - Ale chodź. Zaczniemy tu, w Bramwell, z tymi ludźmi.

– Co chcesz, żebym zrobił? - spytał Cholik.

– Dziś wieczorem - powiedział Kabraxis - pokażemy tym ludziom potęgę Czarnej Drogi. Pokażemy im, że może się zdarzyć wszystko, co tylko sobie wymarzą.



Cholik wysiadł z powozu i poszedł na miejsce zgromadzenia. Założył swoją najlepszą szatę, ale była ona wystarczająco skromna, aby nie wzbudzić niechęci biedaków.

Miejsce, gdzie zatrzymała się karawana, otoczyło najmniej trzysta osób. Kolejny krąg wokół Cholika tworzyły wozy, niektóre wypełnione sianem,



jabłkami i inwentarzem. Jeszcze inne, puste, zatrzymały się pod drzewami, w ten sposób ich właściciele zapewnili sobie miejsca do siedzenia.

– Oho - wyszeptał ktoś - wychodzi mówca. Założę się, że zaraz skończy się zabawa.

– Jeśli zaczniesz mnie pouczać, jak mam żyć i ile powinienem płacić dziesięciny kościołowi, dla którego kwestuje - szepnął inny - wychodzę. Spędziłem dwie godziny, oglądając kuglarzy, nie mam czasu do stracenia i nie wrócę.

– Muszę zająć się swoim polem.

– Krowy trzeba będzie rano wydoić...

Świadom, że traci część audytorium zjednanego mu przez trefnisiów i że nie może wspomnieć ani słowem o odpowiedzialności i datkach, Cholik wyszedł na środek, niosąc metalowe wiadro z pyłem, który przygotował mu Kabraxis. Wypowiedziawszy słowo mocy, którego tamci nie mogli usłyszeć, wyrzucił popiół w powietrze.

Pył wzleciał gęstą, czarną chmurą i zawisł. Jego strumień skręcił się niczym wąż na drodze w upalny dzień, poruszany podmuchami łagodnego wiatru. Nagle strumień ów stał się cieńszy i wystrzelił do przodu, tworząc zawirowania i pętle, które opadły na ziemię. Gdzieniegdzie linie się krzyżowały, ale żadna nie dotykała drugiej. Pozostawały oddalone od siebie o jakieś dziesięć stóp, tak że mógł między nimi przejść dorosły mężczyzna.

Ten widok przykuł uwagę widowni. Być może coś takiego mógłby uczynić mag, ale przecież nie zwykły kapłan. Ludzie chcieli wiedzieć, co jeszcze zrobi Cholik.

Kiedy linia skończyła się układać, rozblęskła ciemnofioletowym blaskiem, przez chwilę idąc w zawody ze zmierzchem, gęstniejącym na wschodnim krańcu nieba, i żarzącymi się promieniami słońca, zachodzącego nad Zatoką Zachodniej Marchii.

Cholik popatrzył po twarzach zebranych.

– Ofiarowuję wam moc - powiedział. - Ścieżkę wiodącą was ku marzeniom, które zawsze mieliście, ale które odebrały wam niepowodzenia i przestarzałe dogmaty.

W tłumie rozległ się szmer rozmów. Podniosło się kilka gniewnych głosów. Mieszkańcy Bramwell byli przywiązani do wiary Zakarum.

– Do Światłości wiedzie inna droga - rzekł Cholik. - Ścieżka, która wiedzie Drogą Marzeń. Dien-Ap-Sten, Prorok Światłości, stworzył tę ścieżkę dla swoich dzieci, aby mogli spełnić swoje pragnienia.

– Nigdy nie słyszałem o tym proroku - krzyknął zasuszony stary rybak. - Nikt z nas nie przyszedł tu, aby słuchać, jak ktoś szydzi z drogi Światłości.

– Nie oczerniam ani nie znieważam - odpowiedział Cholik. - Przybyłem tu, aby pokazać wam prostszą drogę wiodącą do nagrody Światłości.

– Kościół Zakarum już to czyni - powiedział posiwiasty starszy mężczyzna w podniszczonej szacie kapłana. - Nie trzeba nam tu oszusta, który dobierze się do naszych oszczędności.

– Nie przybyłem szukać waszego złota. Nie przybyłem tu brać. - Cholik był świadom, że Kabraxis przygląda mu się z wnętrza wozu. - W rzeczy samej, nie pozwolę na zebranie ani miedziaka ani tej nocy, ani żadnej innej, jeśli będziemy u was obozować.

– Jeśli spróbujesz się tu zatrzymać, chętnie porozmawia z tobą władca Bramwell - powiedział stary farmer. - On nie cacka się z oszustami i złodziejami.

Cholik odsunął na bok urażoną dumę. Było to tym trudniejsze, miał bowiem świadomość, że zdołałby pozbawić życia tego człowieka jednym zaklęciem, którego nauczył go Kabraxis. Od kiedy stał się kapłanem Zakarum, nawet gdy jeszcze nosił szatę nowicjusza, nikt nie ośmielił się zwracać doń w ten sposób.

Cholik zatrzymał się przed liczną rodziną z chłopcem tak okaleczonym i zniszczonym przez chorobę, iż wyglądał jak chodzący trup.

Ojciec natychmiast stanął między nim a Cholikiem, zaciskając dłoń na rękojeści noża, który miał u pasa.

– Dobry człowieku - powiedział Cholik - widzę, że twój syn jest ciężko chory.

Rolnik rozejrzył się niepewnie.

– To gorączka, która przeszła przez Bramwell osiem lat temu. Mój chłopak nie jest jedynym, który przez nią ucierpiał.

– Od tamtego czasu nie czuje się dobrze.

Rolnik nerwowo potrząsnął głową.

– Nikt z nich się nie czuje. Większość zmarła w tydzień od zachorowania.

– Co byście dali, aby mieć jeszcze jednego zdrowego syna do pomocy w gospodarstwie? - spytał Cholik.

– Nie pozwolę, żeby ktoś skrzywdził mojego chłopca albo się z niego śmiał - ostrzegł farmer.

– Ja też nie - obiecał Cholik. - Zaufaj mi.

Na twarzy ojca pojawiło się zmieszanie. Spojrzał na siedzącą na ich wozie niską, przysadzistą kobietę, matkę dziesięciorga dzieci.

– Chłopcze - Cholik zwrócił się do dziecka - czy chcesz nadal być ciężarem dla swojej rodziny?

– Zaraz - zaprotestował rolnik. - Nie jest nam ciężarem i stanę do walki z każdym, który będzie twierdził co innego.

Cholik odczekał chwilę. Jako wyświęcony kapłan Kościoła Zakarum mógłby kazać ukarać tego mężczyznę za ten ton i te słowa.

*Poczekaj* – powiedział Kabraxis w głowie Cholika.

Cholik czekał, świadom, że uwaga wszystkich spoczywa na nim. Teraz okaże się, powiedział sobie, czy publiczność zostanie, czy odejdzie.

W oczach chłopaka coś zapłonęło. Jego głowa, groteskowo wielka w porównaniu z chudymi ramionami i wąską klatką piersiową, obróciła się ku ojcu. Wyciągnąwszy wykrzywioną rękę o palcach, które musiały być powodem nieustannego cierpienia, chłopiec położył ją na ramieniu ojca.

– Ojczy - powiedział - pozwól mi pójść z kapłanem.

Rolnik zaczął przecząco kręcić głową.

– Effirn, nie wiem, czy to dobry pomysł. Nie chcę, byś niepotrzebnie robił sobie nadzieję. Uzdrowiciele Kościoła Zakarum niewiele zdołali dla ciebie uczynić.

– Wiem - odparł chłopiec. - Ale wierzę w tego człowieka. Pozwól mi spróbować.

Rolnik popatrzył na swoją żonę. Skinęła głową, w jej oczach błysnęły diamenty łez.

– Czynię cię odpowiedzialnym za to, co stanie się z moim synem, kapłanie - mężczyzna twardo zwrócił się do Cholika.

– Niech tak będzie - zgodził się łagodnie Cholik - ale zapewniam cię, że zdrowie, którym wkrótce będzie się cieszył młody Effirn, stanowi dar Dien-Ap-Stena. Ja nie posiadam wystarczających umiejętności, aby spełnić życzenie tego chłopca, uleczyć go i na powrót uczynić całością.

Popatrzył na dziecko i wyciągnął rękę.

Chłopiec usiłował wstać, ale wysuszone nogi nie były w stanie go utrzymać. Położył swoje powykęcane i zgięte palce w dłoni Cholika.

Cholika zdumiewało to, jak bardzo chłopczyk jest słaby. Już prawie nie pamiętał, że kiedyś też taki był, choć działo się to zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Pomógł chłopcu wstać. Wokół było cicho jak makiem zasiał.

– Chodź, chłopczy - powiedział Cholik. - Uwierz mi.

– Wierzę - odparł chłopiec.

Razem przeszli przez polanę. Niemal doszli do jednego z końców szlaku z czarnego pyłu, gdy nogi chłopca nie wytrzymały. Cholik złapał Effirna, nim ten upadł, choć niechętnie dotykał tego przeżartego chorobą ciała.

Wiedział, że zwrócone są na nich oczy wszystkich zgromadzonych na polanie. Gdy popatrzył na wysokie drzewa wokół, poczuł drgnienie wątpliwości. Jeśli chłopiec umrze na Czarnej Drodze, być może Cholikowi uda się powstrzymać tłum i uciec. A jeśli się nie uda, mieszkańcy Bramwell upewnią się, że zawisnie na jednej z tych gałęzi. Słyszał już, jak tutejsi wymierzali sprawiedliwość bandytom i mordercom.

A Cholik zamierzał pomóc im wyhodować żmiję na ich piersi.

Na początku ścieżki podtrzymał chłopca, aby mógł stanąć na własnych nogach.

– Co mam zrobić? - wyszeptał Effirn.

– Idź - powiedział Cholik. - Idź tak, jak wiedzie cię ścieżka, i nie myśl o niczym innym, jak tylko o uzdrowieniu.

Chłopiec wziął głęboki, drżący oddech, najwyraźniej nie był do końca pewien, czy wejść na ścieżkę, tak mocno nasyconą magią. I nagle powoli puścił dłoń Cholika. Pierwsze kroki chorego były tak niepewne, że Cholikowi dech zaparło w piersi.

Chłopiec szedł boleśnie powoli, ale szedł. Jego kroki stały się nieco równiejsze, choć nadal chwiały się niepewnie, przez co mógł zejść ze ścieżki.

Kiedy kalekie dziecko szło po wijącej się ścieżce popiołu, na polanie nie rozległ się najmniejszy dźwięk. Każdy krok krzeszał fioletowe iskielki z czarnego pyłu i nie trzeba było długo czekać, by kroki chłopca stały się mocniejsze, a następnie szybsze. Jego ramiona się wyprostowały, kroczył

coraz bardziej sprężyste. Chude nogi, ręce, a następnie pierś zdawały się nabierać mięśni, a głowa nie wyglądała już na zbyt wielką.

A kiedy czarny szlak przechodził w powietrzu nad innym fragmentem, chłopiec ani na moment zeń nie zboczył. Chwilę wcześniej nie byłby w stanie nie tyle podążać cienkim popielnym szlakiem w powietrzu, ale nawet wspinać się po ziemskich ścieżkach.

Wokół narastał szmer głosów, a Cholik upajał się zdumieniem, z jakim widzowie obserwowali rozgrywający się przed ich oczyma cud. Kiedy służył Kościołowi Zakarum, nigdy nie mógłby cieszyć się uznaniem za rzucenie takiego zaklęcia. Odwrócił się do ludzi zgromadzonych na polanie.

– Oto potęga Drogi Marzeń - ogłosił Cholik - oraz hojnego i dobrego proroka, któremu służę. Niech wychwalane będzie imię Dien-Ap-Stena i jego dzieła. Bracia i siostry, przyłączcie się do mnie i razem chwalmy jego imię.

Uniósł ramiona.

– Chwała Dien-Ap-Stenowi!

Z początku okrzyk podchwyciło zaledwie kilka osób, ale wkrótce dołączyli pozostali. Nad polaną poniósł się nieskładny krzyk, który zagłuszył nawet odgłosy miasta w dole rzeki.

*Buyardzie Choliku!*

Bezgłośnie wezwanie rozległo się w głowie Cholika z taką gwałtownością, że na chwilę oślepl z bólu i niemal zwymiotował.

*Strzeż się – powiedział Kabraxis. Zaklęcie się rozwiewa.*

Cholik natychmiast zebrał się w sobie, spojrzął na labirynt stworzony przez linię pyłu i zauważył, że jej początek nagle wybuchł fioletowym ogniem. Płomyk pędził wzdłuż linii popiołu, pochłaniając go całkowicie.

Płomień pędził w stronę chłopca.

*Jeśli ogień go dosięgnie – ostrzegł Kabraxis - to go zniszczy.*

Cholik stanął na drugim końcu linii z popiołu, obserwując, jak ogień zbliża się do chłopca. Rozpaczliwie szukał jakiegoś wyjścia, wiedząc, że nie może okazać strachu radującej się widowni.

*Jeśli teraz stracimy tych ludzi, już ich nie odzyskamy – ostrzegł Kabraxis. Jeśli dokonamy cudu, wygramy wiernych, ale w obliczu katastrofy, przegramy. Miną lata, zanim będziemy mogli tu wrócić, a może i dłużej, zanim ludzie zapomną o naszej porażce.*

– Effirnie! - zawołał Cholik.

Chłopiec spojrzał na niego, na chwilę odrywając wzrok od ścieżki. Jego kroki były pewne.

– Patrzcie na mnie! - krzyczał radośnie. - Patrzcie na mnie. Ja chodzę.

– Tak, Effirnie - powiedział Cholik - i wszyscy jesteście dumni z ciebie i wdzięczni Dien-Ap-Stenowi, jak powinniśmy. Muszę jednak o coś cię spytać. - Spojrzał na nieubłagany fioletowy płomień, który był już tylko dwa zakręty od Effirna, a od końca ścieżki dzieliło chłopca trzydzieści stóp.

– Co? - spytał Effirn.

– Czy możesz biec?

Chłopiec skrzywił się skonsternowany.

– Nie wiem. Nie próbowałem.

Fioletowy ogień zyskał kolejne dziesięć stóp.

– Spróbuj teraz - zaproponował Cholik. Wyciągnął ręce. - Biegnij do mnie, Effirnie. Szybko, chłopcze. Najszybciej jak potrafisz.

Effirn zaczął biec, z początku ostrożnie, sprawdzając, jak zadziałają jego nowe mięśnie. Biegł, a fioletowy ogień gonił go nieustannie, ale teraz zmniejszył dystans między nimi o cale, nie stopy.

– Dalej, Effirnie! - zachęcał go Cholik. - Pokaż swojemu tacie, jaki jesteś szybki teraz, gdy Dien-Ap-Sten okazał ci swoją łaskę.

Effirn biegł, śmiejąc się w głos. Gwar na widowni przybrał na sile. Chłopiec dotarł do końca szlaku, zbiegł po ostatnim zakręcie na ziemię i znalazł się już w ramionach Cholika, gdy fioletowy płomień dotarł do końca drogi i znikł, pozostawiając po sobie chmurkę sinych iskier.

Czując, jakby znów o włos uniknął śmierci, Cholik jeszcze przez chwilę trzymał chłopca w ramionach, zaskoczony tym, jak duży zrobił się Effirn.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję - wydyszał chłopiec, obejmując go silnymi ramionami.

Zażenowanie i radość przepełniały Cholika w tym samym stopniu, oszołomiony oddał uścisk. Uzdrowienie Effirna oznaczało dla niego sukces w Bramwell, ale nadal nie wiedział, jak demon sprawił, by magia zadziałała.

*Leczenie jest proste - stwierdził Kabraxis. Powodowanie bólu i cierpienie to zupełnie co innego, szczególnie jeśli mają być trwałe. Aby nauczyć się ranić, najpierw trzeba nauczyć się leczyć, tak działa magia.*

Tego Cholika nigdy nie uczono.

*Nie nauczono cię wielu rzeczy - uświadomił mu Kabraxis. Ale teraz masz dużo czasu. Nauczę cię. Odwróć się, Buyardzie Choliku, i przywitaj nowych wiernych.*

Uwolnwszy się z uścisku chłopca, Cholik odwrócił się do jego rodziców. Nikomu nawet do głowy nie przyszło spytać cudotwórcy, dlaczego czarny szlak się wypalił.

Chłopiec, pragnąc pochwalić się swoją nową siłą, popędził przez polanę. Bracia i siostry wołali do niego radośnie, a ojciec chwycił go i uściskał mocno, po czym przekazał matce. Ta przytuliła syna, nie wstydząc się wcale łez spływających po policzkach.

Cholik przyglądał się matce i synowi, zdumiony, że ten widok go wzrusza.



*Dziwisz się, jak dobrze się czujesz, bowiem przyłożyłeś rękę do uleczenia chłopca? - spytał Kabraxis.*

*– Tak - wyszeptał Cholik, wiedząc, że nikt wokół go nie usłyszy.*

*A nie powinieneś się dziwić. By poznać Ciemność, trzeba znać Światłość. Przepędziłeś życie w klasztorze w Zachodniej Marchii. Jedyńi ludzie, z jakimi miałeś kontakt, to ci, którzy pragnęli cię zastąpić.*

*Albo ci, których ja chciałem zastąpić - uświadomił sobie Cholik.*

*A Kościół Zakarum ograniczał moc uzdrawiania i nie pozwalał, byś ty otrzymał ten dar.*

*– Nie.*

*Światłość obawia się obdarzyć ludzi mocą, jaką ja obdarzyłem ciebie - powiedział Kabraxis. Ludzie o takich mocach zostają natychmiast zauważeni przez innych. W krótkim czasie zostają bohaterami, kimś, o kim się mówi. I nie trzeba wiele więcej czasu, by ci bohaterowie opowieści wzniesli się ponad innych. A to sprawia, że słudzy Światłości czują zazdrość.*

*– A demony nie? - spytał Cholik.*

*Kabraxis zaśmiał się, a ten huczący odgłos, odbijający się echem w głowie Cholika, był niemal bolesny.*

*Demony nie są tak zawistne, jak wmawiają wszystkim słudzy Światłości. Ani nie próbują wszystkiego mieć pod kontrolą. Pytam cię, kto zawsze ma najwięcej zasad? Najwięcej ograniczeń?*

*Cholik nie odpowiedział.*

*Jak myślisz, dlaczego słudzy Światłości ustanawiają tyle reguł? Żeby przewaga była zawsze po ich stronie. Ale my, demony, wierzymy, że wszyscy, którzy stoją po stronie Ciemności, powinni otrzymać moc. Jedni większą, inni mniejszą. Ale zasłużoną. Tak jak ty zasłużyłeś na to, co ci daję, w dniu,*

*kiedy postanowiłeś stawić czoła swojemu strachowi przed śmiercią i odnalazłeś mnie za ukrytą bramą.*

*– Nie miałem wyboru - powiedział Cholik.*

*Ludzie zawsze mają wybór. To tak właśnie służy Światłości wprowadzając zamęt w waszych przekonaniach. Macie wybór, ale nie wolno wam wybrać większości rozwiązań, ponieważ służy Światłości twierdzą, że te rozwiązania są złe. Więc do czego to się sprowadza? Ile tak naprawdę masz dróg, którymi możesz pójść?*

*Cholik zgodził się w milczeniu.*

*Idź do tych ludzi, Buyardzie Choliku. Znajdziesz pośród nich nawróconych. Kiedy już odkryją, że masz moc dokonywania zmian, która pozwoli im osiągnąć ich cele i pragnienia, wtedy zbiorą się wokół ciebie. Następnym krokiem będzie założenie Kościoła i znalezienie apostołów, którzy poniosą moje słowo. A na razie obdarz darem zdrowia tych tutaj, którzy są chorzy. Będą mówić. Rano nie znajdzie się w mieście nikt, kto by o tobie nie słyszał.*

*Upajając się nowo odkrytym szacunkiem i prestiżem, zdobytymi dzięki uleczeniu chłopca, Cholik podszedł do ludzi. Jego ciało śpiewało mocą Kabraxisa, którą ten mu przekazał. Ta moc przyciągała go do chorych i kalekich wśród tłumu.*

*Nakładając dłonie na ludzi, Cholik leczył gorączki i infekcje, usuwał brodawki i artretyzm, wyprostował nogę, która skrzywiła się po złamaniu i nastawieniu, a nawet przywrócił rozum pewnej starowinie, która według opiekującego się nią syna od lat cierpiała na pomieszanie zmysłów.*

*– Chciałbym osiedlić się w Bramwell - powiedział Cholik, gdy słońce zaszło za Zatoką Zachodniej Marchii i otoczył ich zmrok.*

*Tłum uradował się na to oświadczenie.*

– Ale muszę wybudować kościół - ciągnął Cholik. - Gdy już zostanie wybudowana świątynia, cuda Dien-Ap-Stena będą coraz potężniejsze. Chodźcie do mnie, bym mógł pokazać wam proroka, któremu służę.

Tej nocy Buyard Cholik zbliżył się do wiecznej sławy bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Było to odurzające uczucie i obiecywał sobie, że zaznaje go nie po raz ostatni.

Nic go nie powstrzyma.

# CZTERNAŚCIE



– Jesteście marynarzem? - spytała śliczna dziewczka służebna.

Darrick spojrział na nią, podnosząc wzrok znad talerza z gęstym gulaszem z ziemniakami. Nie pozwolił, żeby dotknęło go poczucie straty, które wywołały jej słowa.

– Nie - odpowiedział, ponieważ nie był marynarzem od miesiąca.

Dziewczyna była piękną, mogła mieć co najwyżej dwadzieścia lat. Krótka czarna spódnica odsłaniała piękne, długie nogi. Kruczoczarne włosy dziewczyna wiązała na karku.

– Czemu pytasz? - Darrick patrzył jej przez chwilę w oczy, aż odwróciła wzrok.

– Bo jak wchodziliście, wasz kołyszący krok przypominał marynarza - powiedziała dziewczka. - Mój ojciec był marynarzem. Urodzony dla morza, na morzu znalazł śmierć, jak to zwykle bywa z marynarzami,

– Jak masz na imię? - spytał Darrick.

– Dahni - powiedziała z uśmiechem.

– Miło było cię poznać, Dahni.

Przez chwilę dziewczka rozglądała się po stole, próbując znaleźć sobie jakieś zajęcie. Ale już napełniła jego kubek, a miskę nadal miał w połowie pełną.

– Jeśli będziecie czegoś potrzebowali - zaproponowała - zawołajcie.

– Na pewno. - Darrick nadal się uśmiechał. Od kiedy utracił koję na „Samotnej Gwieździe”, minęło kilka miesięcy i Darrick zdążył się nauczyć, że grzeczny uśmiech i odpowiadanie na pytania, a przy tym powstrzymywanie się od zadawania jakichkolwiek, szybko kończą wszelkie rozmowy. Jeśli ludzie uważali, że odnosi się do nich przyjaźnie, nie uznawali jego niechęci do pogawędki za groźbę czy wyzwanie. Zakładali, że nie umie rozmawiać albo że jest nieśmiały, i zostawiali go w spokoju. Ten podstęp pozwalał mu unikać bójek, a unikanie bójek ratowało go przed pobytem w więzieniu i karami, po których znów lądował bez grosza na ulicy.

Przechylając głowę, spojrzął przelotnie na czterech mężczyzn grających w kości przy sąsiednim stole. Trzech było rybakami, sądząc po ubraniach, ale czwarty nosił się odrobinę lepiej, jak ktoś, kto nałożył swój najlepszy strój i miał nadzieję zrobić dobre wrażenie, ale wyglądał jedynie na zdesperowanego pechowca. Darrick wiedział, że owo wrażenie było bardzo złudne.

Darrick jadł pospiesznie, ale starał się nie pokazywać po sobie, że od wczoraj nie miał nic w ustach. A może od przedwczoraj? Nie był pewien upływu czasu. Choć jadł niewiele, zawsze udawało mu się zarobić tyle, by się napić. Jedynie picie pozwalało mu uciec przed strachami i koszmarami, które go nawiedzały. Każdej niemal nocy śnił o klifie w Porcie Tauruka, śnił, że prawie uratował Mata z uścisku nieumarłego szkieletu i od straszliwego uderzenia o zbocze.

Tawerna była spelunką, kolejną w długim rzędzie jej podobnych. Nie odróżniał ich. Kiedy kończył pracę, gdziekolwiek był, zjadał posiłek i pił, aż z trudem szedł, a potem wynajmował pokój albo nocował w stajni, jeśli nie zarobił dość, by starczyło mu i na alkohol, i na łóżko.

Klientami byli w większości rybacy, mężczyźni o surowych twarzach i dłoniach pokrytych odciskami i bliznami od sieci, haków, ryb, pogody i lat rozczarowania, które przeżarło ich do kości. Rozmawiali o jutrze, które brzmiało o wiele lepiej niż to, co szykował dla nich ranek, i co by zrobili, gdyby któregoś dnia udało im się uciec przed koniecznością wchodzenia co rano na łódkę i modlenia się, by Światłość okazała się hojna.

Wśród rybaków siedzieli kupcy i inni mieszkańcy miasta, pogrążeni w rozmowach o ładunkach statków, pieniądzach i o tym, że nikt nie chroni okrętów na Wielkim Oceanie, ponieważ Zachodnia Marchia nadal trzyma flotę blisko swoich portów. Wciąż nie było śladu demona, którego marynarze królewskiej marynarki widzieli ponoć w Porcie Tauruka, i wielu kupców oraz żeglarzy żywiło przekonanie, że to piraci wymyślili tę historyjkę, by skłonić króla do wycofania okrętów.

W północnych portach i miastach rosło niezadowolenie, gdyż dotąd Zachodnia Marchia wspierała ich obronę. Gdy zabrakło królewskiej marynarki, każdy mężczyzna, który nie mógł inaczej utrzymać się z morza, stawał się piratem. Choć piraci ze sobą nie współpracowali, ich nieustanne ataki źle wpłynęły na gospodarkę kilku niezależnych portów, a nawet miast w głębi lądu. Dyplomacja Zachodniej Marchii, która kiedyś cieszyła się powszechnym poważaniem, a bywało, że i budziła obawę, prowadziła przy tym politykę ekspansji, teraz stała się słaba i nieskuteczna. Pomocne miasta nie zabiegały już tak bardzo o przychylność Zachodniej Marchii.

Darrick zanurzył suchar w gulaszu i włożył do ust. Gulasz był gęsty i tłusty, doprawiony smalcem i przyprawami, które sprawiały, że okazał się ostry i zapychający. Posiłek na koniec ciężkiego dnia pracy. Przez ostatnie miesiące stracił na wadze, ale nadal świetnie walczył. Przez większość czasu trzymał się z dala od doków, gdyż obawiał się, że ktoś może go rozpoznać. Choć marynarka Zachodniej Marchii i Strażnicy nie starali się

zbyt usilnie odnaleźć jego czy innych marynarzy, którym zdarzało się uciec ze statków, nadal istniała możliwość, że go zaaresztują. Czasem śmierć wydawała mu się lepsza od życia, ale nie zdecydował się na ten krok. Nie zginął, dorastając, od razów ojca i teraz też nie miał zamiaru zginąć z własnej woli.

Ale żyć z własnej woli też nie umiał.

Spojrzał na drugi koniec pomieszczenia, gdzie Dahni rozmawiała i flirtowała z młodym mężczyzną. W głębi duszy Darrick tęsknił za kontaktem z kobietami, ale to nie było zbyt intensywne uczucie. Kobiety gadały i wygrzebywały wszystko, co dręczyło mężczyznę. Większość z nich chciała tylko pomóc, ale Darrick nie miał na to sił.

Potężny mężczyzna, który siedział dotąd przy przeciwnym końcu baru, teraz podszedł do Darricka. Był wysoki i barczysty, jakaś bójka spłaszczyła mu nos, inna zostawiła na szyi bliznę po nożu. Kostki jego dłoni pokrywała siateczka blizn, niektórych jeszcze świeżych i różowych lub pokrytych strupami. Bez zaproszenia usiadł naprzeciwko Darricka, kładąc pałkę na kolanach.

– Pracujesz - stwierdził lakonicznie.

Darrick na kolanach miał swój kordelas. Spojrzał na tamtego.

– Jestem tu z przyjacielem.

Po prawej szuler, który wynajął Darricka do ochrony przez cały wieczór po tym, jak razem wjechali do miasta z kupiecką karawaną, dziękował Światłości za kolejne zwycięstwo. Był to starszy już mężczyzna, siwowłosa i bardzo chudy. Podczas napaści bandytów, która wydarzyła się zaledwie dzień wcześniej, Darrick dowiedział się, że tamten sam nieźle sobie radzi w walce i ma niewielkie noże ukryte w różnych miejscach.

– Twój przyjaciel ma dzisiaj duże szczęście - stwierdził ten ze złamanym nosem.

– Należy mu się - przyznał spokojnie Darrick.

Mężczyzna patrzył na Darricka.

– Pilnuję porządku w tawernie, to moja robota.

Darrick skinął głową.

– Jeśli złapię twojego przyjaciela na oszukiwaniu, wyrzucę was obu.

Darrick ponownie skinął głową. Miał nadzieję, że hazardzista nie oszukuje albo jest w tym dobry. Mężczyzna grywał też z innymi, gdy karawana wracała z Aranoch, gdzie handlowali w portowym mieście zaopatrującym Wyspy Amazonek.

– I lepiej uważaj, kiedy stąd dziś wyjdziecie - ostrzegł wykidajło, wskazując głową na siwowłosego gracza. - Jest mgła, jak zesłana przez demona, nie podniesie się do jutra rana. Miasto nie jest zbyt dobrze oświetlone, a pewni ludzie, z którymi gra twój przyjaciel, mogą niezbyt dobrze przyjąć przegraną.

– Dziękuję - odpowiedział Darrick.

– Nie musisz - stwierdził wykidajło. - Nie chcę, żeby któryś z was zginął tu albo gdzieś w pobliżu.

Wstał i znów zajął swoją pozycję przy barze.

Dziewka służebna wróciła z dzbanem wina i pełnym nadziei uśmiechem.

Darrick nakrył kubek dłonią.

– Wystarczy już? - spytała.

– Na razie - odpowiedział. - Ale zabiorę ze sobą butelkę, gdy będziemy wychodzić, jeśli ją dla mnie przygotujesz.

Pokiwała głową, zawahała się, uśmiechnęła lekko i odwróciła, chcąc odejść. Bransoletka na jej nadgarstku błysnęła i przyciągnęła uwagę Darricka.

– Zaczekaj - powiedział Darrick, nagle ochryple, jego głos był niewiele głośniejszy od szeptu.



– Tak? - spytała z nadzieją.

Darrick wskazał na jej nadgarstek.

– Co to za bransoletka, którąnosisz?

– Amulet - odpowiedziała Dahni. - Symbolizuje Dien-Ap-Stena, Proroka Drogi Marzeń.

Bransoletka składała się z przeplecionych owali rozdzielonych przez kute żelazo i bursztyn tak, że żaden z owali nie dotykał drugiego. Jej widok obudził w Darricku wspomnienia.

– Skąd go masz?

– Dostałam od kupca, któremu się spodobałam - odpowiedziała Dahni. Była to tania sztuczka, by wzbudzić w nim zazdrość.

– Kim jest Dien-Ap-Sten? - Tego imienia Darrick nie pamiętał.

– Prorokiem szczęścia i przeznaczenia - odpowiedziała Dahni. - W Bramwell budują jego kościół. Mężczyzna, który mi to dał, mówił, że każdy, kto ma odwagę i potrzebę, by pójść Drogą Marzeń, dostanie to, czego pragnie jego serce. - Uśmiechnęła się. - Nie sądzicie, że to trochę naciągane?

– Ano - zgodził się Darrick, ale cała historia go zaniepokoiła. Bramwell leżało niedaleko od Zachodniej Marchii, a tam, jak sobie obiecał, długo jeszcze go nie zobaczą.

– Byliście tam kiedyś? - spytała Dahni.

– Tak, ale dawno temu.

– A myśleliście, żeby tam wrócić?

– Nie.

Dziewka wydeła wargi.

– Szkoda. - Potrząsnęła nadgarstkiem, a wtedy bransoletka odbiła światło lampy. - Chciałabym się tam kiedyś wybrać i obejrzeć ten kościół. Mówią,

że kiedy zostanie skończony, będzie najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zbudował człowiek.

– W takim razie pewnie warto go zobaczyć - zgodził się Darrick. Dahni pochyliła się nad stołem, eksponując przy tym piersi.

– Dużo rzeczy warto zobaczyć. Ale wiem, że ich nie zobaczę, póki siedzę w tym mieście. Może wy powinniście zastanowić się nad powrotem do Bramwell.

– Może - odpowiedział Darrick, starając się nie zrazić dziewczyny swoim tonem.

Jeden z rybaków zawołał Dahni, niecierpliwie podnosząc głos. Dziewczyna rzuciła Darrickowi ostatnie powłóczyście spojrzenie, po czym zakręciła krótką spódnicą i poszła.

Przy sąsiednim stoliku siwowłosy gracz znów miał szczęście. Chwalił Światłość, podczas gdy pozostali narzekali.

Odepchnął myśl o dziwnej bransoletce i powrócił do posiłku. Póki jego „przyjaciół” będzie grał, Darrick nie będzie mógł napić się wina, a to znaczyło, że koszmary będą czekać, gdy powróci do swojego wynajętego pokoju. Ale karawana pozostanie w mieście przez jeszcze jeden dzień, gdyż kupcy musieli skończyć handel. Mógł pić, aż będzie pewien, że nie zdoła już śnić.



Gdy dwie godziny później Darrick wyszedł z tawerny wraz z siwowłosym graczem, ulice wypełniała mgła. Nocne cienie zdały się jeszcze głębsze i ciemniejsze. Darrick próbował przypomnieć sobie imię towarzysza, ale nie był specjalnie zaskoczony, gdy nie zdołał. Życie było o wiele prostsze, kiedy nie próbował pamiętać wszystkiego i wszystkich. Gdy

wynajmował swój miecz jakiejś karawanie, zawsze był tam ktoś, kto dowodził i wskazywał kierunek. A Darrick go słuchał.

– Dziś miałem szczęście - oznajmił siwy gracz, gdy szli ulicą. - Jak tylko wrócimy do mojego pokoju, zapłacę ci tyle, ile się umówiliśmy.

– Dobrze - powiedział Darrick, choć zupełnie nie pamiętał, na jaką sumę się umówili. Zwykle był to procent od wygranej plus niewielka zaliczka, bo prawdziwy hazardzista nigdy nie mógł mieć pewności, ile wygra, a ci, którzy to wiedzieli, byli oszustami, co gwarantowało bójkę.

Darrick rozglądał się po ulicy. Jak mówił wykidajło, miasto było słabo oświetlone. Drogę rozjaśniało kilka przypadkowo porozmieszczanych lamp, skupionych przy co lepiej prosperujących tawernach i gospodach oraz niewielkich dokach. Ciężka mgła pokrywała bruk wilgocią. Poszukał wzrokiem jakiegoś znaku, czegoś, co podpowiedziałoby mu, gdzie właściwie się znalazł. Bez zdziwienia czy niepokoju uznał, że nie ma najmniejszego pojęcia. Niewiele go to obeszło. W ciągu ostatnich kilku miesięcy odwiedził tyle miast, że już zlewały mu się w jedno.

Darrick usłyszał, jak siwy gracz gwałtownie nabiera powietrza, i zrozumiał, że coś jest nie w porządku. Odwrócił się w stronę alejki, którą dopiero co minęli. Trzej mężczyźni pędzili na niego i jego kompana. Uniesione ostrza błyszczały nawet we mgle.

Darrick wyciągnął kordelas, upuszczając trzymany pod pachą dzban z winem. Zanim glina roztrzaskała się na nierównym bruku, już sparował cios wymierzony w jego głowę. Przy zmęczeniu, jakie odczuwał, i ilości wina, krążącej w jego żyłach, nie było go stać na nic więcej. Potknął się na nierównej ulicy i nawet nie zobaczył kolejnego napastnika, który pojawił się za jego plecami.

Czwarty machnął obciążoną metalem pałą, trafił Darricka za lewym uchem, rzucając go na kolana. Prawie nieprzytomny, uderzył twarzą o

kamienie bruku. Ostry ból przywrócił mu przytomność. Z wysiłkiem dźwignął się na kolana. Jak już się podniesie, to na pewno uda mu się wstać. Potem może nawet będzie w stanie walczyć. Albo przynajmniej zapracuje na pieniądze, które dostał za ochronę.

– Zaraza! - wrzasnął jeden ze złodziei. - Chłasnął mnie!

– Uważaj - powiedział ktoś inny.

– Już dobrze, dostałem go. Dostałem go. Już nikogo nie dźgnie.

Coś ciepłego pociekło po szyi Darricka. Wzrok mu się zamglił, ale widział, jak dwóch mężczyzn dobiera się do sakiewki gracza.

– Stać! - rozkazał Darrick, znajdując kordelas na kamieniach bruku. Rzucił się w ich stronę i uniósł ostrze, mierząc w jednego ze złodziei. Zanim jednak sięgnął celu, drugi odwrócił się i trafił Darricka podkutym butem w szczękę. Darrick upadł oślepiiony bólem.

Walcząc z ogarniającą go ciemnością, chwiejnie dźwignął się, daremnie usiłując znaleźć jakieś oparcie. Bezradnie patrzył, jak złodzieje znikają w cieniu alejki.

Podpierając się kordem, Darrick podszedł do ранnego towarzysza. Próbował zobaczyć coś przez załzawione oczy i usłyszeć przez huczący ból w głowie.

Z piersi szulera sterczał nóż o kościanej rękojeści. Czerwony kwiat rozrastał się wokół wbitego aż po jelec ostrza.

Twarz mężczyzny wykrzywił strach.

– Pomóż mi, Darricku. Proszę. Na Światłość, nie mogę powstrzymać krwawienia.

*Jak to możliwe, że on pamięta moje imię, skoro ja nie pamiętam jego?* – zdziwił się Darrick. Wtedy zobaczył, jak krew przelewa się między palcami tamtego.

– Już dobrze - powiedział, klękając obok niego. Wiedział, że nic nie będzie dobrze. W trakcie swej służby na „Samotnej Gwieździe” widział dość śmiertelnych ran, aby wiedzieć, że ta też do nich należy.

– Umieram - stwierdził hazardzista.

– Nie - wychrypiał Darrick, przyciskając swoimi dłońmi ręce rannego, aby powstrzymać upływ krwi. Obróciwszy głowę, krzyknął przez ramię: - Pomocy! Potrzebuję pomocy! Tu jest ranny!

– Miałeś tutaj być - powiedział gracz oskarżycielskim tonem. - Miałeś pilnować, aby mnie coś takiego nie spotkało. Za to ci płaciłem. - Kaszlnął, a na wargi wystąpiła mu jasna krew.

Darrick zgadł, że ostrze przebiło też jedno z płuc. Przycisnął dłonie do piersi siwowłosego, modląc się, aby krew przestała płynąć.

Ale ona wciąż płynęła.

Darrick usłyszał kroki na bruku w chwili, kiedy graczem wstrząsnął ostatni dreszcz, oddech ustał, a oczy zapatrzyły się w niebo niewidzącym spojrzeniem.

– Nie - wykrztusił z niedowierzaniem Darrick. Ten człowiek nie mógł umrzeć; wynajął Darricka dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa, Darrick wciąż miał w żołądku posiłek, który ten kupił mu w ramach zaliczki.

Poczuł palce zaciskające się na jego ramieniu. Próbował je strząsnąć i spojrzał w oczy wykidajły z tawerny.

– Na litościwą Światłość - zaklął wykidajło. - Widziałeś, kto to zrobił?

Darrick potrząsnął głową. Nawet gdyby zobaczył tych, którzy zabili jego zleceniodawcę, wątpił, czy zdołałby ich zidentyfikować.

– Niezły ochroniarz - zabrzmiał kobiecy głos gdzieś za Darrickiem.

Spojrząwszy na martwego szulera, Darrick musiał się zgodzić. Niezły ochroniarz. Zmysły go opuściły, głowa stała się zbyt ciężka, by ją utrzymać prosto. Darrick upadł i nawet nie poczuł, kiedy uderzył o kamienie.



Srebrzysty głos dzwonów wiszących na trzech wieżach wezwał mieszkańców Bramwell na modły do świątyni Dien-Ap-Stena. Większość znajdowała się już w labiryncie budynków, które wzniesiono w ciągu roku od dnia przybycia karawany do miasta. Położono też fundamenty pod kolejne budynki, jak tylko zostaną wzniesione, zostaną dołączone do głównego gmachu katedry. Na dachach stały przepiękne posągi, wykonane przez najlepszych rzeźbiarzy w Bramwell, jak również innych artystów z Zachodniej Marchii, Lut Gholein, Kurast i zza Morza Światła.

Buyard Cholik, zwany teraz mistrzem Sayesem, stał w jednym ze zdobiących dachy kościoła ogrodów. Spoglądał na plac przed świątynią, gdzie zajeżdżały wozy z rodzinami i przyjaciółmi. Na początku, pamiętał doskonale, pierwsi przybyli biedni oddać cześć nowemu prorokowi. Przychodzili po uzdrowienie i z nadzieją na spełnienie ich odwiecznego marzenia o bogactwie.

Przybywali, oczekując, że zostaną wybrani, by przejść Drogą Marzeń. Niewielu dostało tego zaszczytu, zwykle wybierani byli chorzy fizycznie lub umysłowo. Cierpiących z powodu artretyzmu albo źle zrosniętych złamań przyjmowano zawsze. Takich cudów Kabraxis dokonywał bez trudu. Zdarzało się czasem, że demon obdarzał kogoś bogactwem, ale spełnienie tego marzenia wiązało się zawsze z ukrytymi kosztami, o których nie wiedział żaden z mieszkańców. W miarę jak kościół Dien-Ap-Stena rósł w siłę, rosły i ukryte w nim tajemnice.

Kościół został zbudowany na górującym nad miastem wzgórzu. Wzniesiono go z najlepszego wapienia w okolicy, który najczęściej wysyłany był do innych miast, podczas gdy do budowy okolicznych domów używano zwykłych kamieni z pól. Dlatego też w świetle poranka

świątynia błyszczała niczym kość, odsłonięta przez pocałunek noża. Nikt w mieście nie mógł spojrzeć na południowy wschód, w stronę Zachodniej Marchii, i nie zobaczyć najpierw kościoła.

Po obu stronach świątyni wycięto las, aby pomieścić wozy, które zjeżdżały tutaj na nabożeństwa dwa razy w tygodniu. Wszyscy wierni w Bramwell przybywali na oba z nadzieją, że zostaną wybrani, by przejść Drogą Marzeń, gdzie działały się cuda.

Do nowo wybudowanego pomostu przed kościołem przywiązano specjalne, ozdobne łodzie. Przewoźnicy w służbie świątyni przywozili tu marynarzy i kapitanów z okrętów, stojących na kotwicy w porcie. Nauki Kościoła Dien-Ap-Stena zaczęły rozchodzić się po Zachodniej Marchii i przyciągały zarówno ciekawskich, jak i szukających zbawienia.

Na wysokich wieżach trzy dzwony zabrzmiały ponownie. Nim rozpocznie się uroczystość, zadzwonią jeszcze tylko jeden raz. Cholik rzucił okiem na dół. Jak zwykle, tylko nieliczni przybędą spóźnieni.

Chodził w tę i z powrotem po ogrodzie. Drzewa owocowe i kwitnące rośliny, krzaki i pnącza zajmowały cały dach, pozostawiając tylko wijącą się ścieżkę. Przystanąwszy przy truskawkach, Cholik zerwał dwa dojrzałe owoce i wsunął je do ust. Smakowały świeżością. Niezależnie od tego, ile zerwał, zawsze wśród krzaczków czerwieniło się ich więcej.

– Czy kiedykolwiek podejrzewałeś, że to się aż tak rozrośnie? - spytał Kabraxis.

Wciąż czując na wargach słodki smak truskawek, Cholik obrócił się i stanął twarzą w twarz z demonem.

Kabraxis zatrzymał się koło pergoli obrośniętej pnącymi pomidorami. Owoce były czerwone niczym wiśnie, a mnóstwo drobnych, żółtych kwiatków obiecywało jeszcze większe zbiory. Zakłęcie iluzji, powiązane dla wzmocnienia z kamieniami budowli, osłaniało demona przez wzrokiem

niepożądanych. Zaklęcie było splecione tak precyzyjnie, że ci, którzy nie mieli prawa, nie widzieli nawet cienia przybysza z Płonących Piekieł.

– Taką miałem nadzieję - odpowiedział dyplomatycznie Cholik.

Kabraxis uśmiechnął się, co w przypadku jego demonich rysów dawało raczej obsceniczny efekt.

– Jesteś chciwy. To mi się podoba.

Cholik nie uznał tego za obrazę. W kontaktach z demonem podobało mu się, że nie musiał przeproszać za to, co czuł. W Kościele Zakarum jego temperament ciągle pozostawał w sprzeczności z obowiązującą doktryną.

– Wkrótce to miasto będzie dla nas za małe - powiedział Cholik.

– Zastanawiasz się nad wyjazdem? - W głosie Kabraxisa brzmiało niedowierzanie.

– Być może. Taka myśl pojawiła się w mojej głowie.

– Ty? - zadrwił Kabraxis. - Ty, który marzyłeś tylko o wybudowaniu tej świątyni?

Cholik wzruszył ramionami.

– Możemy wybudować inne świątynie.

– Ale ta jest taka wielka i wspaniała.

– A kolejna będzie jeszcze większa i wspanialsza.

– Gdzie chciałbyś wybudować następny kościół?

Cholik zawahał się, ale demonowi zawsze należało mówić to, co się myślało.

– Zachodnia Marchia.

– Chciałbyś rzucić wyzwanie Kościołowi Zakarum?

Cholik odpowiedział z ogniem w głosie:

– Tak. Są tam kapłani, których chciałbym widzieć upokorzonych i wygnanych z miasta. Albo złożonych w ofierze. Jeśli tak się stanie, a ten



Kościół będzie postrzegany jako jedyny, który zdoła uratować Zachodnią Marchię przez wielkim złem, nawrócimy cały kraj.

– Chciałbyś zabić tamtych ludzi?

– Tylko kilku. Tylu, żeby reszta się przestraszyła. Ci, których oszczędzimy, będą służyć Kościołowi. Trupy nie mogą się nas bać i właściwie nas czcić.

Kabraxis zaśmiał się tubalnie.

– Naprawdę jesteś pojętnym uczniem, Buyardzie Choliku. To wręcz odświeżające odkryć taką żądzę krwi w człowieku. Zwykle jesteście ograniczeni przez swoje osobiste żądze i motywacje. Chcecie się zemścić na kimś, kto zrobił wam krzywdę, albo na osobie, która ma więcej od was. Żalodne drobiazgi.

Cholik poczuł dziwną dumę. Podczas trwającej ponad rok znajomości zmienił się. Ciemność go nie pochłonęła, nie wciągnęła, jak zazwyczaj obawiali się kapłani. Raczej sięgnął po nią w głąb siebie i wypuścił na zewnątrz.

Kościół Zakarum uczył, że natura ludzka jest dwoista i ciągle odbywa się w niej walka między Światłością a Ciemnością.

– Ale czy mój plan wyruszenia do Zachodniej Marchii jest dobry? - spytał Cholik. Wiedział, że prosi demona o poradę, ale Kabraxis lubił je dawać.

– Tak - odpowiedział demon - lecz jeszcze nie nadszedł czas. Nasz Kościół już zyskał wroga w Zakarum. Otrzymanie zgody króla na wybudowanie świątyni w mieście będzie trudne. Więzy między królem a Zakarum są nazbyt silne. I nie zapominaj, że Zachodnia Marchia wciąż szuka demona, którego widziano z piratami. Jeśli wykonamy nasz ruch zbyt pośpiesznie, zaczną coś podejrzewać.

– Minął ponad rok - zaprotestował Cholik.

– Król i jego ludzie nie zapomnieli - przypomniał Kabraxis. - Szatański podstęp Diabła w Tristram zostawił w ich umysłach ślad. Najpierw musimy zdobyć ich zaufanie, a potem zdradzić.

– Jak?

– Mam plan.

Cholik czekał. Nauczył się, że Kabraxis nie lubił nadmiernej dociekliwości.

– W swoim czasie - stwierdził demon. - Musimy wcześniej stworzyć armię wiernych, wojowników, którzy pójdą i zgładzą każdego, kto ośmieli się stanąć im na drodze głoszenia prawdy całemu światu.

– Armie, która przeciwstawi się Zachodniej Marchii?

– Armie, która przeciwstawi się Kościołowi Zakarum - poprawił go Kabraxis.

– W całym Bramwell nie ma tylu ludzi. - Ta wizja zaskoczyła Cholika. Jego myśli pełne były wyobrażeń pól bitewnych spływających ludzką krwią. I Cholik dobrze wiedział, że prawdziwe bitwy byłyby jeszcze bardziej przerażające.

– Zbierzemy armie w Zachodniej Marchii - stwierdził Kabraxis.

– Jak?

– Zwrócimy króla przeciwko Kościołowi Zakarum. A kiedy już ukażemy mu, jak spaczony stał się Kościół Zakarum, wtedy król stworzy dla nas armie.

– I Kościół Zakarum zostanie starty z oblicza ziemi. - Na samą myśl Cholika wypełniło ciepło.

– Tak.

– Jak zamierzasz to zrobić? - spytał kapłan.

Kabraxis wskazał na świątynię.

– W swoim czasie, Buyardzie Choliku. W swoim czasie wszystkiego się dowiesz. Diabło powrócił do tego świata całkiem niedawno, plugawiąc kamień dusz, który go więził. Uwolnił swoją moc w Tristram, zabierając syna króla Leoryka, księcia Albrechta. Jak zapewne pamiętasz, ponieważ w owym czasie byłeś wtajemniczony we wszystkie machinacje Kościoła Zakarum, między Tristram i Zachodnią Marchią niemal doszło wtedy do wojny. Poszukiwacze przygód, którzy walczyli z Diabło, sądzą, że go zabili, ale on wykorzystał jednego z nich i w jego skórze przemierza świat. I jak my planujemy podbój, tak samo czyni Diabło. Ale demony muszą być sprytne i przebiegłe, jako my jesteśmy. Jeśli zbyt szybko urośniemy w siłę, ściągniemy na siebie uwagę Mrocznej Trójcy, a na razie nie chcę mieć z nimi do czynienia. Jednakże teraz przyszła pora, byś poprowadził nabożeństwo. Obiecuję ci dziś cud, który przyciągnie jeszcze więcej wiernych.

Cholik skinął głową na znak zgody, uciszając pytania, które roiły mu się w głowie.

– Oczywiście. Opuszczę cię, jeśli pozwolisz.

– Idź z błogosławieństwem Dien-Ap-Stena - pożegnał go Kabraxis słowami, które były już legendarne nawet poza granicami Bramwell. - Niechaj Droga Marzeń zaprowadzi cię tam, gdzie pragniesz.

# PIĘTNAŚCIE



Nabożeństwo przebiegało płynnie.

Stojąc na zacienionej ambonie nad zgromadzeniem wiernych, Buyard Cholik przyglądał się, jak ludzie kręcą się nerwowo i czekają podczas śpiewów i modlitw wznoszonych przez młodych kapłanów, powtarzających, że Dien-Ap-Sten pragnie, by każdy mężczyzna, kobieta i dziecko na świecie mogli odnieść sukces i zdobyć to, czego pragną. Przede wszystkim jednak przesłanie kapłanów koncentrowało się na cnocie służenia Prorokowi Światłości i dzielenia się swoimi zyskami z Kościołem, by mógł on zrobić jeszcze więcej dobrego. Akolici stali na niewielkiej scenie pod amboną Cholika.

Wszyscy czekali na wezwanie na Drogę Marzeń.

Kiedy kapłani wreszcie zakończyli przemowy i wybrzmiały ostatnie pieśni, napisane przez samego Kabraxisa, w których rytm bębnów przypominał rytm serca, a melodyjne piszczałki brzmiały jak szum krwi w uszach, tuzin akolitów z pochodniami w dłoniach wyłonił się z otworu przed sceną.

Bębny zagrzmiały w dziwnym crescendo, które odbijało się echem między belkami wysokiego sklepienia. Zabrzmiały piszczałki i cymbały.

Tłum zaczęło ogarniać szaleństwo. W świątyni, jak zauważył Cholik, wciąż było za mało miejsc siedzących. Dopiero przed trzema tygodniami

otworzyli górną salę i wierni znów się tłoczyli, wypełniwszy katedrę po brzegi. Wielu przyjechało z nadbrzeżnych miast, a niektórzy nawet z Zachodniej Marchii. Pielgrzymowali z dalszych stron, organizując karawany lub opłacając podróż statkami.

Niektórzy kapitanowie i przewodnicy karawan dorobili się niewielkiej fortuny, zapewniając dwa razy w tygodniu podróż do Bramwell. Wielu ludzi było gotowych zapłacić za przejazd, byle tylko mieć możliwość wstąpienia na Drogę Marzeń, czy to w nadziei odzyskania zdrowia, czy zaspokojenia innych pragnień.

Gdy tylko Cholik dowiedział się o tym zyskownym interesie, poinformował kapitanów i przewodników karawan, że oczekuje ofiary - przywiezionych z każdej podróży materiałów budowlanych. Wystarczyło, by dwa statki utonęły, a jedna karawana została zniszczona przez horde zombie i szkieletów, aby datki, o które prosił Cholik, regularnie napływały do świątyni. A z Lut Gholein i innych krain na Wschodzie przybywało coraz więcej karawan.

– Droga Marzeń! Droga Marzeń! - skandował tłum.

Takie zachowanie wiernych nie było dopuszczalne w Kościele Zakarum i w rzeczy samej graniczyło już z zamieszkami.

Strażnicy wybrani przez Cholika spośród wierzących wojowników stali rzędem wzdłuż ścian świątyni i na niewysokich wieżyczkach wśród wiernych. Większość z nich nosiła pałki ozdobione eliptycznymi pierścieniami, znakiem Kabraxisa zręcznie wtopionym w owinięte drutem rękojeści. Inni mieli kusze, zakłete przy użyciu magicznych klejnotów. Wszyscy nosili czarne kolczugi ze stylizowanym symbolem srebrnych elips na piersiach. Byli zahartowanymi w bojach wojownikami, którzy przeszli Czarną Drogę, jak wtajemniczeni nazywali Drogę Marzeń, dzięki czemu stali się silniejsi i szybsi od przeciętnych ludzi.

Tuzin akolitów dotknął pochodniami różnych miejsc na ścianie nad sceną i pod amboną Cholika. Ten zaś obserwował, jak płomienie biegną wypełnionymi tranem kanałami prosto ku niemu.

Płomienie, wspomagane przez zaklęcia w samej ścianie, pomknęły wokół Cholika i odsłoniły ognistą głowę węża z kapturem ułożonym z czarnych i białych kamieni. Płomienie tańczyły po czarnych kamieniach i zapłonęły w oczodołach gada.

Widownia ucichła, czekając z niecierpliwością na to, co miało się wydarzyć. Cholik czuł jednak, że zachowują spokój z najwyższym trudem i niewiele brakuje, aby zwrócili się ku przemocy. Strażnicy poruszyli się na pozycjach, przypominając wszystkim o swojej obecności.

– Jestem mistrz Sayes - powiedział Cholik w ciszy, która nagle wypełniła katedrę. - Jestem Wskazującym Drogę, wyznaczonym przez samego Dien-Ap-Stena, Proroka Światłości.

Wierni nagrodzili go oklaskami z grzeczności, ale nadal trwali w napięciu i oczekiwaniu. Choć byli członkami Kościoła, czekali niczym szakale na padlinę, świadomi, że kiedy większe drapieżniki już się nasycą, przyjdzie ich kolej.

Cholik rozsypał wokół siebie proszek, dając tym samym początek wysokim eksplozjom zielonych, czerwonych, fioletowych i niebieskich płomieni, które zatrzymały się tuż przed pierwszym rzędem wiernych. Katedrę wypełniła woń kwiatów wiciokrzewu, cynamonu i lawendy. Cholik przemówił, uwalniając zaklęcie, które mocowało bramę na ścianie.

Płonąca głowa kobry wysunęła się ze ściany i zawisała nad tłumem, otwierając pysk. Ambona, na której stał Cholik, znajdowała się nad oczyma gada. Pysk był wejściem na Czarną Drogę, za nim czarny marmurowy szlak wił się, skręcał i przeplatał, by w końcu przyprowadzić wybrańca z

powrotem do węzowej bramy z darami, które Kabraxis uznał dlań za stosowne.

– Niechaj Droga Marzeń zaprowadzi was tam, gdzie pragniecie - powiedział Cholik.

– Niechaj Droga Marzeń zaprowadzi was tam, gdzie pragniecie - zaryczał tłum w odpowiedzi.

Cholik uśmiechnął się pod kapturem swej szaty. Dobrze się czuł, władając tym wszystkim, dobrze było bowiem czuć własną potęgę.

– A teraz - powiedział, mając świadomość, że ludzie chłoną każde jego słowo - kto z was jest tego wart?

Było to wyzwanie, a Cholik wiedział o tym i rozkoszował się tą wiedzą.

Ludzie wyli, ryczeli i wrzeszczeli, wyjawiając swoje potrzeby, chęci i pragnienia. Tłum oszalał. Stał się żywą, dziką istotą, gotową w każdej chwili zwrócić się przeciwko sobie. Bywało, że ludzie ginęli w świątyni, padając ofiarą przyjaciół, sąsiadów, no i obcych. A wapienna posadzka spięła ich krew, zapuszczając w ziemię kryształowe korzenie, które Kabraxis pokazał pewnego dnia Cholikowi. Korzenie wyglądały jak stożki roniących krew rubinów, nigdy do końca niezestalone, z każdą kroplą przelanej krwi wydawały się wgryzać coraz głębiej w ziemię.

Kołysząca się ognista głowa węża sunęła nad tłumem, niosąc Cholika za sobą. Przepełnęła nad pierwszym rzędem ludzi, potem nad drugim. Suplikanci trzymali nad głowami chore i kalekie dzieci, wołając do Dien-Ap-Stena, by pobłogosławił je i wyleczył. Bogatsi wynajmowali wojowników, aby ci trzymali ich na ramionach, dzięki czemu byli bliżej wejścia na Czarną Drogę.

Z pyska gada wysunął się język, wstęga przezroczystego, płynnego obsydianu, i wybór został dokonany.

Cholik spojrział na dziecko trzymane przez ojca. Nie było to jedno dziecko, ale dwoje, zrosniętych razem. Dzieci miały tylko dwie ręce i dwie nogi, ale też dwie głowy i półtora ciała. Nie mogły mieć więcej niż trzy latka.

- Plugastwo! - krzyknął ktoś z widowni.
- Takiemu nie powinno się pozwolić żyć - dodał inny.
- Pomiot demona - stwierdził kolejny.

Tuzin akolitów z pochodniami ruszył naprzód w eskorcie strażników, wprost do wybranego.

*To chyba jakaś pomyłka* – pomyślał Cholik, wpatrując się w zrosnięte dzieci. Nie mógł odpędzić myśli, że Kabraxis go zdradził, choć nie wiedział, dlaczego demon miałby to zrobić.

Dzieci tak strasznie zdeformowane zwykle umierały podczas porodu, podobnie jak ich matki. A jeśli rodziły się żywe, zabijali je ojcowie albo kapłani. Cholik sam to robił, a potem grzebał te dzieci w poświęconej ziemi Kościoła Zakarum. Ale też bardzo często te zdeformowane ciała sprzedawano magom, mędrcom i kupcom z czarnego rynku, którzy handlowali wszystkim, co związane z demonami.

Akolici otoczyli ojca i połączone dzieci, oświetlając ich pochodniami. Odziani w kolczugi strażnicy odpychali tłum.

Cholik spojrział na ojca i dzieci. Zmusił się, by się odezwać:

- Czy twoi synowie podążą Czarną Drogą?

Łzy spływały po twarzy ojca.

- Moi synowie nie potrafią chodzić, Wskazujący Drogę.

– Muszą - powiedział Cholik, myśląc, że może w ten sposób załatwi sprawę. Czasem ci, którzy chcieli podążać Czarną Drogą, w ostatniej chwili padali ofiarą własnego strachu i rezygnowali. Nikt nie dostawał drugiej szansy.



Obsydianowy język kobry wysunął się i owinał wokół bliźniaków. Wąż bez trudu wciągnął chłopców do pyska. Krzyczeli, gdy zbliżyli się do kurtyny ognia, która otaczała wielką głowę.

Stojąc na platformie nad masywną brwią węża, Cholik widział tylko, jak chłopcy unoszeni są poniżej. Czekał, nie mając pewności, co się wydarzy. Był sparaliżowany obawą, że wszystkie jego inwestycje obrócą się wniwecz.



Meridor stała u boku matki, patrząc, jak wielgachny wąż zgarnął jej braciszków językiem do ogromnej paszczy. Mikel i Dannis znaleźli się tak blisko płomieni - Meridor już myślała, że bracia się upieką. Ognista twarz węża była przerażająca. Oczywiście dziewczynka wiedziała, że tak naprawdę węże nie mają twarzy, ojciec jej przecież powiedział, a starsi bracia tylko ją wyśmiali.

Wujek Ramais zawsze opowiadał Meridor historie o dzieciach porywanych i zjadanych przez demony. A czasem dzieci te zapiekano w pasztetach. Zawsze próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądałby pasztet z dziecka, ale kiedy pytała o to matkę, ta zawsze kazała Meridor trzymać się z dala od wujka i jego strasznych opowieści. Ale wujek Ramais był marynarzem, służył w marynarce Zachodniej Marchii i opowiadał najlepsze historie. Była na tyle duża, żeby wiedzieć, iż nie wszystkie te opowieści są prawdziwe, ale wciąż bawiło ją udawanie, że w nie wierzy.

Meridor nie chciała, żeby jej braciszki zostali ugotowani, uduszeni czy upieczeni w jakikolwiek sposób. Ponieważ miała dziewięć lat i była najmłodszą dziewczynką z ośmiorga dzieci w obejściu, to ona najczęściej zajmowała się Mikiem i Dannisem i oporządzała ich. Czasem bracia ją

mężczyli, bo zawsze byli niegrzeczni i uciążliwi. Tatko mówił, że pewnie im za ciasno w jednym ciele. Czasem Meridor zastanawiała się, czy drugie ręce i nogi Mikela i Dannisa nie były jakimś sposobem upchnięte w ciele, które przyszło im dzielić.

Choć byli męczący i niezdolni, jednak nie chciała, by zostali pożarci.

Patrzyła, jak kamienny wąż połyka jej braci. Ponieważ nikt jej nie słuchał, modliła się tak, jak ją uczono w małym kościółku Zakarum. Czuła się przy tym trochę winna, bo tato powiedział jej, że ten nowy prorok jest jedyną szansą na wyleczenie braci Meridor. Z każdym dniem byli coraz bardziej chorzy i coraz bardziej uświadamiali sobie, że nie są tacy jak inni, nigdy nie będą też mogli chodzić i poruszać się tak, jak by chcieli. Meridor przypuszczała, że to musi być straszne. Nie mogli być szczęśliwi ze sobą ani z nikim innym.

– Droga Marzeń! Droga Marzeń! - ryczeli ludzie wokół niej, potrząsając pięściami.

Meridor nie lubiła tych krzyków. Ludzie wokół wyglądali na bardzo złych i bardzo przerażonych. Tata zawsze powtarzał, że wcale tacy nie są, tylko że wszystkich przepęnia nadzieja. Meridor nie mogła zrozumieć, dlaczego ktokolwiek chciałby wejść do brzucha węża. Ale tam była Droga Marzeń, a na Drodze Marzeń, jak mówił tatko, mogły się zdarzyć cuda. Widziała kilka z nich w ciągu ostatniego roku, ale nie znaczyły zbyt wiele. Dien-Ap-Sten nie wybrał nikogo, kogo by znała.

Czasem, kiedy rodzina zbierała się wieczorem przy skromnym posiłku, rozmawiali o tym, czego by sobie zażyczyli, gdyby mieli szansę przejść po Drodze Marzeń. Meridor nie mówiła wtedy zbyt wiele, ponieważ nie wiedziała, kim chciałaby być, kiedy dorośnie.

Bracia Meridor, leżący na języku węża, jęczeli i krzyczeli. Zapewne ich twarzyczki wykrzywiły się ze strachu. Płakali.

Meridor spojrzała na matkę.

– Mamo.

– Cii - odpowiedziała jej matka, chowając zaciśnięte pięści w fałdach wymyślnej sukienki, którą uszyła sobie specjalnie na nabożeństwa do kościoła Proroka Światłości. Nigdy nie nosiła czegoś takiego do świątyni Zakarum i zawsze powtarzała, że w oczach Kościoła ubóstwo nie jest niczym złym. Ale tatko i mama pilnowali, żeby wszyscy byli wykąpani i ubrani w czystą odzież w te dwa wieczory w tygodniu, gdy chodzili do nowej świątyni.

Meridor, przestraszona i zdenerwowana, umilkła. Patrzyła, jak Mikel i Dannis stoczyli się w głąb gardła węża, gdzie była Droga Marzeń. Przez te miesiące, gdy odwiedzali kościół, widziała, jak ludzie wchodzą do gardzieli gada i z niej wychodzą, uleczeni. Ale jak Dien-Ap-Sten mógłby uzdrowić jej braci?

Kamienny wąż zamknął pysk. Powyżej, na platformie nad płonącymi oczami węża, mistrz Sayes prowadził modły. Krzyki chłopców odbijały się echem od ścian. Meridor zacisnęła pięści i przycisnęła je do brody, słuchając przerażających wrzasków, po czym zrobiła krok do tyłu. Wpadła na stojącego obok mężczyznę.

Od razu odwróciła się, by go przeprosić, bo wielu dorosłych w kościele szybko wpadało w gniew, gdy mieli do czynienia z dziećmi. Dien-Ap-Sten często wybierał dzieci do leczenia i cudów, a część dorosłych nie była przekonana, że maluchy na to zasługują.

– Przepraszam - powiedziała Meridor, uniosła wzrok i zamarła na widok przerażającej twarzy.

Za nią stał mężczyzna wysoki i potężny, choć szerokość jego ramion maskował częściowo prosty, wełniany płaszcz podróżny. Odzienie nieznanego było stare, połatane i pokryte pyłem z drogi. Wystrzępiona

chustka na szyi została zawiązana węzłem żeglarskim, który kiedyś pokazał jej wujek Ramais. Na tle tłumu mężczyzna wyglądał jak mroczny cień.

Najstraszliwsza była jednak jego twarz, szerniała po spaleniu i zgrubiała w miejscach, gdzie ściągnęła się od gorąca. Zwęglone ciało przecinały wąziutkie szczeliny, z których jak pot spływała krew. Ogień okaleczył lewą część twarzy, przez co przypominała zaćmiony księżyc. Takie zaćmienie było w nocy, gdy narodzili się Mikel i Dannis.

– Nic się nie stało, dziecko - powiedział ochrypłym szeptem.

– Czy boli? - zapytała Meridor i natychmiast zakryła usta dłonią. Przypomniała sobie, że dorośli nie lubili, kiedy zadaje im się pytania, szczególnie o sprawy, o których zapewne nie chcieli rozmawiać.

Na spękanych i pokrytych pęcherzami ustach nieznanego pojawił się słaby uśmiech. Na spalonym policzku zalśniły kolejne krople krwi, a w oczach ból.

– Cały czas - przyznał.

– Przyszliście, panie, by was uleczono? - spytała Meridor, bo nieznanomy najwyraźniej nie miał nic przeciwko.

– Nie. - Mężczyzna potrząsnął głową, a ruch ten poruszył nieco kapturem jego płaszcza, odkrywając fragment głowy i spalone włosy na poczeriałej skórze.

– Więc po co tu przyjechaliście?

– Chciałem zobaczyć tę słynną Drogę Marzeń, o której tak wiele słyszałem.

– Jest tutaj już od dawna. Byliście tu wcześniej?

– Nie.

– Czemu nie?

Poparzony mężczyzna spojrział na nią z góry.

– Jesteś ciekawskim dzieckiem.

– Tak. Przepraszam. To nie moja sprawa.

– Nie twoja. - Mężczyzna znów patrzył na kamiennego węża. W tle grzmiały bębny, rozbrzmiewały cymbały, a piszczałki nadal wygrywały skomplikowane melodie. - To byli twoi bracia?

– Tak. Mikel i Dannis. Są zrośnięci. - Meridor trochę się zawahała przy ostatnim słowie. Nie brzmiało właściwie. Mimo że przez wiele już lat mówiła różnym ludziom o swoich braciach, nadal nie zawsze wypowiadała je poprawnie.

– Wierzysz, że są plugastwem?

– Nie. - Meridor westchnęła. - Są tylko nieszczęśliwi i cierpią.

Krzyk chłopców znów uniósł się pod sklepienie katedry. Ale mistrz Sayes najwyraźniej nie miał zamiaru przerywać rytuału.

– Brzmi, jakby teraz też cierpieli.

– Tak. - Meridor martwiła się o braci jak zawsze, gdy ich nie widziała. Spędziła tyle czasu, troszcząc się o nich, jak mogłaby się o nich nie martwić?

– Widziałaś innych uzdrowionych? - spytał obcy.

– Tak, mnóstwo. - Meridor patrzyła, jak kamienny wąż się kołysze. Czy Mikel i Dannis szli teraz Drogą Marzeń? A może zostali schwytani w pułapkę w środku gada i działy się z nimi straszliwe rzeczy?

– Co widziałaś? - teraz pytał mężczyzna.

– Widziałam, jak kulawi znowu mogli chodzić, ślepi widzieć, a różne choroby się wyleczyły.

– Ponoć Dien-Ap-Sten zwykle wybiera dzieci do uzdrowienia.

Meridor kiwnęła potakująco głową.

– Wielu dorosłym się to nie podoba - stwierdził poparzony mężczyzna. - Słyszałem o tym w tawernie i na statku, którym przypłynąłem.

Meridor znów pokiwała głową. Widziała, jak takie rozmowy wielokrotnie kończyły się bójkami. Postanowiła nie wspominać, że w mieście było dużo chorych dzieci.

– Jak myślisz, dlaczego Dien-Ap-Sten zwykle wybiera dzieci? - spytał nieznajomy.

– Nie wiem.

Poparzony mężczyzna uśmiechnął się krzywo, wciąż patrząc na kamiennego węża. Krew spłynęła z jego górnej wargi na białe zęby.

– Ponieważ łatwo na nich wyrzeć wrażenie i potrafią uwierzyć mocniej niż dorośli, dziecko. Pokaż cud dorosłemu, a znajdzie jakieś logiczne wyjaśnienie tego, co się wydarzyło. Ale serce dziecka... na Światłość, można zdobyć je na zawsze.

Meridor nie do końca zrozumiała te słowa, ale nie przejęła się tym zbyt. Już odkryła, że jeśli chodzi o dorosłych, to są sprawy, których nijak nie mogła zrozumieć, których miała nie rozumieć, i takie, które rozumiała, ale nie powinna pokazywać po sobie, że rozumie.

Mistrz Sayes nagle nakazał wszystkim zamilknąć. Instrumenty muzyczne natychmiast ucichły, podobnie jak wierni.

Meridor pamiętała, że jednego razu grupa hałaśliwych ludzi nie uspokoila się, kiedy mistrz Sayes nakazał ciszę. Byli pijani i kłótniwi, mówili też brzydkie rzeczy o kościele. Wojownicy mistrza Sayesa przebili się przez tłum, znaleźli ich i zabili. Ponoć przy okazji zabili też dwóch niewinnych, ale te plotki ucichły szybko.

Całą ogromną katedrę wypełniała cisza, która sprawiała, że Meridor czuła się jeszcze mniejsza niż zwykle. Zacisnęła ręce i martwiła się o Mikela i Dannisa. Czy Droga Marzeń oderwie którąś z głów, zabijając jednego, żeby z drugiego uczynić pełnego człowieka? Była to naprawdę przerażająca myśl i Meridor wolałaby jej nigdy nie pomyśleć. Ale byłoby

jeszcze gorzej, uznała, gdyby Dien-Ap-Sten kazał tacie i mamie wybierać, które dziecko ma żyć, a które umrzeć.

I wtedy katedrę wypełniła moc.

Meridor rozpoznała ją, gdyż czuła to już wcześniej. Przez jej ciało przepływały wibracje sprawiające, że nawet zęby drżały. Dziewczynka czuła się zmieszana, a jednocześnie podekscytowana.

Poparzony mężczyzna uniósł rękę, zupełnie szerniała. Gdy poruszył palcami, na ugotowanym mięsie pojawiły się karmazynowe pęknięcia. Na jednej kostce skóra się rozeszła, ukazując różowe mięso i białą kość.

Kiedy jednak Meridor to obserwowała, ręka zaczęła się goić. Na pęknięciach uformowały się strupy, które zaraz odpadły, odsłaniając skórę. Nadal jednak spaloną, czarną. Dziewczynka uniosła wzrok i zobaczyła, że nawet pęknięcia na twarzy obcego zasklepiły się nieco.

Mężczyzna opuścił dłoń i spojrział na nią zdziwiony.

– Na Światłość - wyszeptał.

– Dien-Ap-Sten może cię uzdrowić - powiedziała Meridor.

Dobrze było dać temu człowiekowi nadzieję. Tatko zawsze powtarzał, że nadzieja to najlepsze, co może otrzymać człowiek, gdy walczy z przeznaczeniem i niepowodzeniami.

– Powinieneś zacząć chodzić do kościoła. Może któregoś dnia wąż wybierze ciebie.

Poparzony mężczyzna uśmiechnął się i pokręcił osłoniętą kapturem głową.

– Nie pozwolono by mi szukać tu uzdrowienia, dziecko. - Po jego popękanej twarzy znów spływała czerwień. - Właściwie dziwię się, że nie zostałem zabity, gdy tylko przekroczyłem próg tego budynku.

To brzmiało dziwnie. Meridor nigdy nie słyszała, żeby ktoś tak mówił.

Z westchnieniem brzmiącym jak odgłos miechów, który kiedyś Meridor słyszała u kowala, potężna szczeka węża opadła, z gardzieli buchnął dym, posypały się węgielki.

Meridor stała na czubkach palców i czekała pełna niepokoju. Gdy Mikel i Dannis znaleźli się w paszczy węża, wiedziała, że może ich już nigdy nie ujrzeć. A nawet, że może nigdy nie ujrzeć jednego z nich.

Z gadziej paszczy wyszedł chłopiec na dwóch zdrowych nogach. Z przerażeniem wpatrywał się w tłum, bezskutecznie próbując się ukryć.

*Dannis!* Serce Meridor wypełniła radość, ale zaraz uświadomiła sobie, że Mikel, mały Mikel, który tak lubił jej pokazy pacynek zrobionych ze skarpetek, odszedł. Zanim jednak pierwsze łzy popłynęły po policzkach, zobaczyła drugiego braciszka, wychodzącego za Dannisem. *Mikel! Obaj byli żywi! I cali!*

Tatko podskoczył z radości, a mama krzyknęła, chwając Dien-Ap-Stena tak, by wszyscy słyszeli. Tłum dzielił ich radość, ale Meridor nie mogła przestać myśleć, że to dlatego, iż Mikel i Dannis wrócili, więc ktoś inny zostanie zaraz wybrany do przejścia Drogą Marzeń.

Tata rzucił się do przodu i wyciągnął braci z ognistej paszczy kamiennego węża. Gdy razem z mamą chwycili chłopców w objęcia, ruch z boku zwrócił uwagę Meridor.

Spojrzała, a wszystko wydawało się zwalniać, każde uderzenie serca rozlegało się gromem w jej uszach. Poparzony mężczyzna odrzucił płaszcz, miał pod nim kuszę ręczną. Łuk opierał się na ramie nie dłuższej niż przedramię Meridor. Zdrową ręką obcy uniósł broń, wycelował i pociągnął spust. Z kuszy wyskoczył bełt i popędził przez katedrę.

Meridor patrzyła, jak bełt leci i trafia mistrza Sayesa w pierś. Wskazujący Drogę spadł z węża i zniknął. Katedrę wypełniły krzyki, a Meridor znów zaczęła widzieć wszystko normalnie.



- Ktoś zabił mistrza Sayesa! - krzyknął jakiś mężczyzna.
- Znajdźcie go! - ryknął drugi. - Znajdźcie przekłętego zabójcę!
- Bełt przyleciał stamtąd! - krzyknął ktoś inny.

Meridor stała bez ruchu i patrzyła z niedowierzaniem, jak strażnicy i akolici rzucają się w tłum z bronią i pochodniami w rękach. Odwróciła się w stronę poparzonego mężczyzny, ale ten zniknął. Uciekł w trakcie zamieszania, prawdopodobnie przepychając się wśród ludzi, którzy dopiero teraz uświadamiali sobie, co zrobił.

Choć strażnicy katedralni działali szybko, w budynku było zbyt wielu ludzi, by pościg mógł się udać. Jeden człowiek uciekający w tłumie i zdecydowany umknąć strażnikom poruszał się szybko. Nawet nie widziała, jak ucieka.

Jakiś akolita zatrzymał się przy Meridor. Uniósł wysoko pochodnię i odsunął ludzi, ukazując leżącą na podłodze kuszę.

- Tutaj! - krzyknął akolita. - Broń jest tutaj.

Strażnicy natychmiast znaleźli się przy nim.

- Ktoś go widział? - pytał jeden z nich.

- To był mężczyzna - powiedziała kobieta z tłumu. - Obcy. Rozmawiał z tą dziewczynką.

Strażnik spojrzał ostro na Meridor.

- Znasz człowieka, który to zrobił, mała?

Meridor chciała się odezwać, ale nie potrafiła.

Tatko postąpił do przodu. Wiedziała, że chciał ją ochronić, ale jeden ze strażników wbił rękojeść miecza w brzuch taty i rzucił go na kolana. Potem chwycił za włosy i odciągnął głowę powalonego, odsłaniając gardło.

- Gadaj, dziewczynko - rozkazał.

Meridor wiedziała, że ludzie byli przestraszeni i rozzłoszczeni. Może Dien-Ap-Sten zemści się na nich za to, że pozwolili, by coś straszego

przytrafiło się mistrzowi Sayesowi.

– Znasz człowieka, który to zrobił? - powtórzył strażnik.

Meridor potrząsnęła głową.

– Nie. Tylko z nim rozmawiałam.

– Ale dobrze się mu przyjrzałaś?

– Tak. Miał spaloną twarz. Bał się tu przychodzić. Mówił, że Dien-Ap-Sten może go znać, ale i tak przyszedł.

– Czemu?

– Nie wiem.

Drugi strażnik podbiegł do tego, który trzymał tatkę.

– Mistrz Sayes żyje - oznajmił.

– Dzięki Dien-Ap-Stenowi - odpowiedział ten pierwszy. - Nie chciałbym się udać tam, gdzie zabrałaby mnie Czarna Droga, gdyby mistrz Sayes zginął. - Opisał zabójcę towarzyszowi, dodając, że mężczyzna ze spaloną twarzą powinien być łatwy do odnalezienia. Potem odwrócił się do Meridor i złapał ją boleśnie za ramię. - Chodź, dziecko. Pójdiesz ze mną. Musimy porozmawiać z mistrzem Sayesem.

Meridor chciała uciec. Wcale nie miała ochoty rozmawiać z mistrzem Sayesem. Nie mogła się jednak wyrwać z mocnego chwytu, gdy strażnik ciągnął ją przez tłum.

# SZESNAŚCIE



– Mówię ci, zem to widział na własne oczy - powiedział stary Sahyir, nie kryjąc urazy. Miał gdzieś tak z sześćdziesiąt lat, białą jak śnieg brodę i związane w kucyk długie włosy. Był przy tym szczupły, ale żylasty. Z uszu zwisały mu kolczyki z muszelkami, a twarz, ramiona i ręce pokrywały blizny. Odziany był w znoszone bryczesy i koszulę, które miały chronić go przed bryzgami słonej wody w tej ciągle jeszcze prymitywnej przystani.

Darrick siedział na skrzyni, będącej częścią ładunku, który prznosił ze stojącej na redzie karaweli do składu w Przylądku Poszukiwacza. Była to pierwsza dobrze płatna praca od trzech dni i już myślał, że przyjdzie mu zaciągnąć się na statek, aby mieć dach nad głową i pełen brzuch. Ale nie paliło mu się do żeglowania. Z morzem wiązało się zbyt wiele wspomnień. Sięgnął do zniszczonej, skórzanej torby przy pasie i wyjął kawał sera oraz dwa jabłka.

– Trudno mi jakoś uwierzyć w te opowieści o kamiennym wężu połykającym ludzi - przyznał Darrick. Małym nożykiem odciął dwa trójkąty z gomółki sera i podzielił jabłka na ćwiartki, sprawnie usuwając gniazda. Dał Sahyrowi jeden trójkąt i jedno z jabłek. Wyrzucone za burtę ogryzki przyciągnęły natychmiast małe okonie, które żyły w okolicach portu i żywiły się odpadkami ze statków, magazynów i ścieków. Ich łapczywe wargi muskały powierzchnię wody.

– Alem ja to widział, Darrick - powtórzył z uporem starszy mężczyzna. - Na własne oczy żem widział, jak człowiek, który nie mógł chodzić, wczołgał się w paszczę węża, a potem wyszedł stamtąd na własnych kulasach. Był zdrow jak ryba, mówię ci. To był niezły widok.

Darrick potrząsnął głową, żując kawał sera.

– Uzdrowiciele potrafią robić takie rzeczy. Albo eliksiry. Raz widziałem nawet zaklętą broń, która pomagała temu, co ją dzierżył, wyleczyć się z ran. W uzdrawianiu nie ma nic niezwykłego. Kościół Zakarum robi to od czasu do czasu.

– Ale nie za darmo - przekonywał Sahyir. - Uzdrowiciele, eliksiry, zaklęta broń są dla tych, co mają pełne mieszki, albo dla takich, co jak nie mogą kupić, to mają dość sił, by wywalczyć. A Kościoły? Nawet nie ma co zaczynać tej gadki. Kościoły mają baczenie na tych, co im sypią złota do kufców albo cieszą się królewską łaską. Kościół dba tylko o tych, co go karmią. Ale pytam, co z prostymi ludźmi, jak ty czy ja? Kto o nas zadba?

Darrick patrzył w morze, wiatr rozwiewał mu włosy i kąsał ciało chłodem pomimo nasmołowanego ubrania. Dostrzegł małą wioskę przytuloną do skał nad zatoczką.

– Sami o siebie zadbamy - odpowiedział. - Tak jak zawsze.

On i Sahyir od miesięcy byli przyjaciółmi i dobrze czuli się w swoim towarzystwie.

Przylądek Poszukiwacza był niewielkim miastem położonym na południe od ziem zamieszkałych przez plemiona barbarzyńców. W przeszłości był to fort, gdzie zaopatrywali się handlarze, wielorybnicy i łowcy fok, którzy podróżowali przez mroźne, północne krainy. Jakies sto lat temu gildia kupiecka wystawiła armię. Chcieli przegnać barbarzyńskich piratów, którzy łupili te tereny, nie obawiając się ani trochę marynarki Zachodniej Marchii.

Za głowy barbarzyńców wyznaczono wysoką cenę i wkrótce została zebrana armia najemników.

Potem kilka barbarzyńskich plemion zjednoczyło się i zorganizowało oblężenie Przylądka Poszukiwacza. Gildia nie była w stanie ani zaopatrzyć najemników, ani ich wyprowadzić z fortu. Podczas jednej zimy zbrojni i mieszkańcy Przylądka zostali wybici do nogi. Dopiero po jakichś czterdziestu latach kilku handlarzy futrami osiedliło się tu ponownie. Zdołali przetrwać tylko dlatego, że handlowali głównie z barbarzyńcami i dostarczali im towary, których dzicy nie mogli w żaden sposób zdobyć.

Domy i inne budynki wspinały się na strome zbocza gór nad zatoczką. Pomędzy nimi nadal leżała nieuprawiana ziemia i dumnie gęścił się las. Wieś powoli karczowała drzewa, zbierając opał i budulec domów, ale kilka uderzeń motyką odsłaniało spękaną, kamienną glebę. Tutaj nic nie mogło wyrosnąć.

– Czemu nie zostałeś w Bramwell? - zapytał Darrick. Wgryzł się w jabłko, ciesząc się jego słodkim, a zarazem cierpkim smakiem.

Sahyir zbył ten pomysł machnięciem ręki.

– Bo zanim przybyli tamci z tą swoją religią, Bramwell nie było miejscem dla mnie i mnie podobnych.

– Dlaczego?

– Bo jest zbyt ruchliwe, ot co - prychnął Sahyir. - Człowiek biega po ulicach cały skołowany, zajęty własnymi sprawami i tak biega... że może wpaść na siebie.

Darrick uśmiechnął się mimo melancholii, która zawsze mu towarzyszyła. Bramwell było znacznie większe od Przylądka Poszukiwacza, ale bledło w porównaniu z Zachodnią Marchią.

– Nigdy nie byłeś w Zachodniej Marchii, co?

– Raz - odpowiedział Sahyir. - Tylko raz. Żem popełnił błąd i się zaciągnął na frachtowiec, gdzie brakło rąk do roboty. Byłem takim samym szczeniakiem jak ty, ale żem się niczego nie bał, no to żem się zaciągnął. Dopłynęliśmy do portu w Zachodniej Marchii i żem zobaczył to piekielne miejsce. Przez sześć dni staliśmy na kotwicy. Ani raz żem nie zszedł ze statku.

– Nie? Dlaczego?

– Bo żem wiedział, że nie znajdę drogi nazad.

Darrick się roześmiał, a Sahyir znów zrobił obrażoną minę.

– To wcale nie było śmieszne, ty zezowaty szcurze. Znałem takich, co to zeszli na ląd i już nie wrócili.

– Bez urazy - wycofał się Darrick. - Tylko tak sobie pomyślałem, że po podróży do Zachodniej Marchii, po przeprawie z pogodą, która nad zatoką zawsze jest paskudna, nie mogę wyobrazić sobie, żeby ktoś nie chciał zejść ze statku, gdy ma po temu okazję.

– Nie dalej, niż było trzeba, żeby kupić flaszkę wina w najbliższej tawernie i coś na ząb - zastrzegł Sahyir. - Ale nie o tym chciałem gadać. Mówię ci o Bramwell tylko dlatego, bom zeszłej nocy rozmawiał z pewnym człowiekiem i tak żem sobie pomyślał, że będziesz chciał wiedzieć, co miał do powiedzenia.

Darrick obserwował barki wpływające do portu. Dziś w Przylądku Poszukiwacza panował duży ruch. Tutejsi dokerzy mieli jeszcze zlecenia w osadzie, bo pracy przy rozładunku nie było dość, by utrzymać rodzinę. Ci, którzy nie zajmowali się rzemiosłem, polowali, zastawiali sidła albo łowili ryby, gdy kończyły się pieniądze. Czasem wyjeżdżali za chlebem do innego miasta, położonego na wybrzeżu dalej na południe, jak Bramwell.

– Zainteresowany czym? - zapytał Darrick.

– Tymi tam symbolami, które tak kreślisz bez ustanku. - Sahyir wyciągnął butelkę z wodą i podał ją Darrickowi.

Darrick pociągnął łyk, czując metaliczny posmak. W okolicy znajdowało się kilka kopalni, ale żadna nie przynosiła zysków na tyle dużych, aby jakiś kupiec skłonny był w nią zainwestować i rozbudować. Wolał nie ryzykować, że straci wszystko na rzecz barbarzyńców.

– Ja wiem, że nie lubisz gadać o tych symbolach - rzekł Sahyir. - I dlatego przepraszam, że gadałem, choć to nie moja rzecz. Ale widzę, jak się zamartwiasz i zadręczasz, i wiedziałem, że nie możesz zaznać spokoju.

Darrick nigdy dotąd nie powiedział staremu, gdzie zobaczył ten eliptyczny wzór z przecinającą go linią. Chciał to wszystko zepchnąć w niepamięć. Przed rokiem, kiedy zamordowano człowieka, którego miał chronić, Darrick tylko pił i pracował, żeby pić, z trudem wiążąc koniec z końcem. Zżerało go poczucie winy za śmierć Mata, za śmierć gracza, który mu zaufał. Widmo ojca w stodole w Hillsfar prześladowało go każdego dnia.

Darrick nawet nie pamiętał, jak dotarł do Przylądka Poszukiwacza. Był tak pijany, że kapitan wyrzucił go ze statku i nie chciał przyjąć z powrotem. Sahyir znalazł chłopaka na brzegu, chorego i gorączkującego. Skrzyknął kilku przyjaciół i wspólnie zanieśli Darricka do szałasów starego, położonego na wzgórzu ponad wsią. Przez cały miesiąc Sahyir opiekował się marynarzem. Potem mówił, że bał się, czy nie przegra tej walki o życie Darricka albo z chorobą, albo z poczuciem winy, które prześladowało chłopaka.

Darrick do dziś nie był pewien, jak wiele ze swojej historii opowiedział Sahyrowi. Stary mówił, że marynarz przez cały czas rysował ten symbol. Darrick wprawdzie tego nie pamiętał, ale kiedy zobaczył rysunki, przyznał, że musiały wyjść spod jego ręki.

Sahyir wyraźnie czuł się nieswojo.

– Już dobrze - uspokoił go Darrick. - Te symbole nic nie znaczą.

Sahyir poskrobał szczecinę na brodzie koślawym paluchem.

– Człowiek, co to żem z nim gadał zeszłej nocy, całkiem co innego mówił - stwierdził.

– A co mówił? - spytał Darrick. Barka prawie dobiła do brzegu, nie musieli już ciężko wiosłować, pozwalali, by przypływ za nich pracował, podczas gdy oni tylko nadawali łodzi kierunek, omijając inne barki i statki, stojące w zapchanym porcie.

– Strasznie się zaciekawił symbolem - wyjaśnił stary. - Dlatego dziś rano żem ci powiedział o Kościele Proroka Światłości.

Darrick przez chwilę rozważał te słowa.

– Nie rozumiem.

– Trochem nie chciał ci powiedzieć, bo żem nie wiedział, jak przyjmiesz, żem wsadzał nos w twoje sprawy - wyjaśnił Sahyir. - Trochę czasu przeszło, jak jesteśmy przyjaciółmi, ale wiem, żeś mi nie powiedział wszystkiego o tym symbolu i co on dla ciebie znaczy.

Darrick poczuł ukłucie winy.

– To coś, o czym starałem się zapomnieć, Sahyir. Nie dlatego, że chciałem coś przed tobą ukryć.

Stary wpatrywał się w niego uważnie.

– Wszyscy coś skrywamy, młodziaku. Taka to już nasza człowiecza natura. Wszyscy mamy swoje słabe punkty i nie chcemy, aby ktoś przy nich grzebał.

*Doprowadziłem do śmierci mojego najlepszego przyjaciela – pomyślał Darrick. Czy gdybym ci o tym powiedział, nadal chciałbyś być moim przyjacielem? Nie wierzył, aby Sahyir zechciał, i to go bolało. Stary był*



solą tej ziemi - nigdy nie odwracał się od przyjaciół, nie odwrócił się też od obcego, który nie mógł sam o siebie zadbać.

– Co naprawdę jest na rzeczy z tymi symbolami - oznajmił Sahyir - to twoja sprawa. Ja żem chciał ci tylko powiedzieć o tym człowieku, bo za parę dni już go tu nie będzie.

– Nie mieszka tu?

– Gdyby był tutejszy - Sahyir uśmiechnął się złośliwie - to pewnie wcześniej z nim bym pogadał, co nie?

Darrick też się uśmiechnął. W okolicy Przylądka Poszukiwacza nie było chyba ani jednego człowieka, który nie znałby Sahyira.

– Pewnie tak - przyznał. - Co to za człowiek?

– Mędrzec - odparł Sahyir. - Tak przynajmniej gada.

– Wierzysz mu?

– Tak. Gdybym nie wierzył i nie myślał, że on może ci pomóc, tobyśmy teraz nie gadali, co nie?

Darrick pokiwał głową.

– Powiedział - ciągnął Sahyir - że dziś wieczór będzie „Pod Błękitną Latarnią”.

– Co on o mnie wie?

– Nic. - Sahyir wzruszył ramionami. - Ode mnie, młodziaku? Już żem zapomniał więcej tajemnic, niż żem usłyszał.

– Ten człowiek wie, co znaczy ten symbol?

– Coś o tym wie. Choć bardziej chciał wiedzieć, co ja wiem. Alem mu nic nie powiedział, bo i nic o tym nie wiem. Ale żem sobie pomyślał, że może ty się czegoś od niego dowiesz, a on od ciebie.

Darrick rozmyślał o tym, gdy barka zbliżała się do brzegu.

– Czemu opowiadałeś mi o Kościele Proroka Światłości?

– Bo ma ten symbol, co ci nie daje spokoju. Ten mędrzec uważa, że się wiąże z tym wszystkim, co się wyprawia w Bramwell. Z Kościołem Proroka Światłości też. Myśli, że to zło.

Słowa starego sprawiły, że Darrick poczuł chłód w żołądku. Nie miał wątpliwości, że symbol oznaczał zło, ale nie wiedział, czy chciał się w to mieszać. Z drugiej strony, nie chciał, aby śmierć Mata nie została pomszczona.

– Jeśli ten mędrzec jest tak zainteresowany tym, co się dzieje w Bramwell, to dlaczego przybywa tutaj? - spytał Darrick.

– „Dzienniki” Shonny. Przybył tu, aby czytać „Dzienniki” Shonny.



Buyard Cholik leżał na posłaniu w komnacie na tyłach świątyni Proroka Światłości i był świadom, że umiera. Oddychał z trudem, a płuca wypełniały się jego własną krwią. Choć bardzo się starał, nie widział twarzy mężczyzny... a może kobiety... który tak ciężko go zranił.

W pierwszej chwili poczuł, jakby ktoś przebił mu pierś rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem. Ale ból zaczął mijać z wolna i Cholik uwierzył, że rana nie była tak groźna, jak sądził na początku. Potem uświadomił sobie, że wcale mu się nie polepszało. Ból przestał być tak dotkliwy, bo Cholik umierał. Zbliżająca się śmierć odejmowała mu zmysły.

Przeklinał w duchu Kościół Zakarum i Światłość, którą jako dziecko nauczył się kochać i której się bał. Pewnie teraz drwią z niego. Oto leżał tutaj, odmłodzony, lecz konający od rany zadanej przez nieznanego zabójcę. Przeklinał Światłość, że kazała mu doznać starości, skoro mogła go zabić w młodych latach, zanim pojawił się strach przed kalectwem i demencją,

przeklinał ją za to, że stał się tak słaby, by pójść na układ z Kabraxisem. Światłość pchnęła go w ramiona demonów i znów został zdradzony.

*Nie zostałeś zdradzony, Buyardzie Choliku – usłyszał spokojny głos Kabraxisa. Myślisz, że pozwoliłbym ci umrzeć?*

O tak, Cholik wierzył, że demon pozwoli mu umrzeć. W końcu miał do dyspozycji innych kapłanów, a nawet akolitów, którzy mogli wypełnić pustkę, jaka powstałaby po śmierci Cholika.

*Nie umrzesz - powiedział Kabraxis. Wciąż mamy dużo do zrobienia, ty i ja. Opróżnij komnatę, abym mógł wejść. Nie mam dość mocy, by kryć się za iluzją i zarazem uleczyć ciebie.*

Cholik odetchnął ciężko. Czuł strach, twardy i szorstki niczym język jaszczurki. Z każdym oddechem nabierał mniej powietrza. Płuca miał wypełnione krwią, ale nie czuł bólu.

*Pospiesz się, jeśli ci życie miłe, Buyardzie Choliku, pospiesz się.*

Kaszłąc i sapiąc chrapliwie, Cholik zmusił się do podniesienia ciężkich powiek. Pole jego widzenia łakomie obgryzała ciemność i wiedział, że jeśli jej nic nie zatrzyma, w końcu pochłonie i jego.

*Zrób to!*

Cholika otaczali kapłani, nakładający opatrunki na ranę na piersi. Wystawał z niej bełt z pierzyskiem pokrytym krwią. Z tyłu stali akolici, a drzwi strzegli najemnicy. Komnatę ozdabiały najdroższe jedwabie i ręcznie rzeźbione meble. Pośrodku kamiennej podłogi leżał haftowany dywan kupiony na rynku w Kurast.

Cholik otworzył usta, by coś powiedzieć, ale jedynie zacharczał. Każdy jego oddech opuszczał wargi wraz ze szkarłatną mgiełką.

– O co chodzi, mistrzu Sayesie? - spytał siedzący obok łoża kapłan.

– Precz! - wydyszał Cholik. - Precz! Już!

Wysiłek pozbawił go wszystkich sił.

– Ależ mistrzu - zaprotestował kapłan - wasze rany...

– Precz, powiedziałem. - Cholik próbował się podnieść i zdziwił się, że zdołał.

*Jestem z tobą* - zapewnił Kabraxis i Cholik poczuł się odrobinę lepiej.

Kapłani i akolici wycofali się, jakby widzieli trupa powracającego do życia. Na twarzach najemników odmalowało się zdziwienie przemieszane z ulgą. Martwy pracodawca oznaczał prawdopodobne oskarżenia i pewny koniec wypłat.

– Idźcie! - wykrztusił Cholik. - *Już! Już!*, niech was piekło pochłonie, albo dopilnuję, byście sześli w jednej z piekielnych otchłani, które otaczają Czarną Drogę.

Kapłani odwrócili się i nakazali akolitom oraz najemnikom wyjść. Zamknęli potężne dębowe wrota, które odcięły komnatę od korytarza.

Cholik stanął przy łożu, na którym jeszcze przed chwilą konał, i wsparł się o niewielki stolik. Na jego blacie znajdował się mistrzowskiej roboty delikatny szklany wazon. W ściankach naczynia zatopione były kwiaty i motyle, chronione niewielkim zaklęciem, które nie pozwoliło im spłonąć podczas formowania i ochładzania stopionego szkła.

Tajemne drzwi ukryte z tyłu pomieszczenia otworzyły się na oścież. Część ściany obróciła się na zawiasach, odsłaniając wejście do szerokiego tunelu. Świątynię przecinała gęsta sieć takich korytarzy, dzięki czemu demon mógł łatwiej poruszać się w jej wnętrzu. Choć sklepienie było wysokie, rogi demona niemal o nie zaczepiały.

– Pospiesz się - wydyszał Cholik. Komnata robiła się coraz bardziej zamglona i nagle zaczęła wirować. Zawroty głowy Cholik miał jedynie przez chwilę, bo ku swemu zdziwieniu zobaczył zbliżający się dywan i wiedział, że przewraca się, choć wcale tego nie czuł. Zanim dotknął podłogi, Kabraxis chwycił go wielkimi, trójpalczystymi łapami.

– Nie umrzesz - powtórzył demon, ale jego słowa bardziej przypominały rozkaz. - Nie skończyliśmy jeszcze, ty i ja.

Choć demon pochylał się nad nim, Cholik ledwo go słyszał. Zaczynał tracić słuch. Serce uderzało coraz wolniej, niezdolne walczyć z wypełnionymi krwią płucami. Próbował odetchnąć, ale na powietrze zabrakło miejsca. Obudziło się w nim coś podobnego do paniki, ale było to tylko odległe uderzenie w skroniach, które już go nie obchodziło.

– Nie - powiedział z mocą Kabraxis, chwytając Cholika za ramiona.

Uderzenie ognia przeszło ciało Cholika. Zapłonęło u podstawy kręgosłupa, popłynęło do czaszki i wybuchło za oczami. Oślepnął, ale już nie ciemność, a biel spowiała wszystkie kształty. Poczul ból, gdy Kabraxis wyrwał bełt z jego piersi. Straszliwe cierpienie niemal pozbawiło go przytomności.

– Oddychaj - rozkazał Kabraxis.

Cholik nie mógł. Pomyślał, że może zapomniał, jak to się robi, albo brakowało mu sił. Tak czy inaczej, nie zdołał nabrać powietrza do płuc. Świat poza jego ciałem nic nie znaczył, był zamglony i odległy.

Wtedy odnowiony ból przebił mu pierś, podążając śladem bełtu i wbijając się w płuca. Cholik instynktownie odetchnął głęboko. Powietrze wypełniło jego płuca, teraz wolne od krwi. Z każdym ciężkim oddechem żelazne kleszcze bólu rozluźniały swój chwyt.

Kabraxis poprowadził go do krawędzi łoża. Cholik dopiero wtedy uświadomił sobie, że pościel zaplamiona jest krwią. Odetchnął ciężko, delektując się powietrzem, a pokój wokół niego powoli przestawał wirować. Cholik poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Podniósł wzrok na demona.

– Czy wiedziałeś o zabójcy? - spytał Cholik. Przyszło mu do głowy, że Kabraxis pozwolił zabójcy na postrzelenie, by uświadomić człowiekowi,

jak niewiele może bez pomocy demona.

– Nie. - Kabraxis splótł ramiona na potężnej piersi. Zafalowały mocarne mięśnie.

– Jak mogłeś nie wiedzieć? Wybudowaliśmy to miejsce. Wszędzie masz zakłęcia ochronne.

– W czasie ataku sprawiałem twój cud - przypomniał Kabraxis. - Zrobiłem dwóch całych chłopców z połączonych bliźniaków, a to nie jest proste. Ludzie będą o tym mówić przez lata. Zabójca zaatakował, gdy byłem tym bardzo zajęty.

– Nie mogłeś mnie ocalić przed strzałą? - Ocena możliwości i mocy demona była poza zasięgiem Cholika. Czy Czarna Droga pochłonęła Kabraxisa tak bardzo, że stał się słaby? Ta wiedza mogła się okazać ważna. Ale Cholika przerażała zarazem myśl, że związał z nim swoje przeznaczenie, a tymczasem demon mógł być ograniczony i popełniać błędy.

– Ufałem, że najemnicy wynajęci za złoto, które ci dałem, uchronią cię przed czymś takim - odrzekł Kabraxis.

– Nie popełnij więcej tego błędu - warknął Cholik.

Kabraxis rozmyślnie skrzywił okrwawiony bełt w dłoniach. Rysy jego surowej twarzy nabrały twardego wyrazu.

– Ty nigdy nie popełniaj błędu i nie zakładaj, że jesteśmy równi, Buyardzie Choliku. Poufałość rodzi pogardę, ale też przybliży cię do nagłej śmierci.

Przyglądając się demonowi, Cholik uświadomił sobie, że Kabraxis bez najmniejszego trudu mógłby wbić mu bełt w pierś, ale tym razem prosto w serce. Przełknął ślinę, co wymagało od niego dużego wysiłku.

– Oczywiście. Wybacz mi. Zapomniałem się pod wpływem chwili.

Kabraxis pokiwał głową, opuszczając rogi, które niemal zadrapały sklepienie.

– Czy strażnicy schwytali zabójcę? - spytał Cholik.

– Nie.

– Nawet to im się nie udało? Nie mogli mnie ochronić i nie zdołali mnie pomścić, gdy prawie zginąłem?

Znudzony demon upuścił bełt na ziemię.

– Ukarz strażników, jak uznasz za stosowne, ale musisz też wiedzieć, że ta sytuacja ma jeszcze jeden skutek.

– Jaki?

Kabraxis spojrział na Cholika.

– Setki ludzi widziały, jak dziś zginąłeś. Są tego pewni. Było mnóstwo jęków i łez z tego powodu.

Myśl o tłumie lamentującym z powodu jego rzekomej śmierci bardzo pochlebiła Cholikowi. Podobało mu się, jak mieszkańcy Bramwell próbują sobie zaskarbić jego łaskę, kiedy kroczył ulicami miasta, i widział w ich oczach, że zazdroszczą mu pozycji w nowym Kościele. Uznawali jego moc i potęgę - każdy na swój sposób.

– Ci ludzie myśleli, że po twojej niespodziewanej śmierci nie będą już mieli dostępu do Drogi Marzeń - wyjaśnił Kabraxis. - Teraz jednak uwierzą, że jesteś kimś więcej niż człowiekiem, skoro Dien-Ap-Sten ponownie cię ożywił. Ta wieść poniesie się daleko poza granice Bramwell, a cuda, które mają tu miejsce, będą tym wspanialsze, im więcej osób powtórzy tę historię.

Cholik zastanowił się nad tym. Choć sam nie zdecydowałby się na takie działanie, wiedział, że demon mówi prawdę. Dzięki tej próbie zabójstwa jego sława i sława Dien-Ap-Stena wzrosną. Statki i karawany poniosą historię o zrosniętych dzieciach i próbie zgładzenia Cholika przez lądy i

morza. Opowieści, jak to bywa przy przekazywaniu ich z ust do ust, zaczęły stawać się coraz bardziej niesamowite.

– Przybędą tu kolejni ludzie, Buyardzie Choliku - stwierdził Kabraxis. - I będą chcieli dostać powód, by uwierzyć. Musimy być na to przygotowani.

Cholik podszedł do okna i spojrzał na Bramwell. Dzięki popularności kościoła miasto już pękało w szwach. Port wypełniały statki, a w okolicznych lasach powstały obozowiska namiotów.

– Za murami tego kościoła czeka armia wyznawców, która pragnie wejść - powiedział Kabraxis. - Ta świątynia jest za mała, by ich pomieścić.

– Miasto - stwierdził Cholik ze zrozumieniem. - Miasto będzie za małe, by pomieścić ich po tym wszystkim.

– Wkrótce - zgodził się Kabraxis - stanie się to prawdą.

Cholik odwrócił się i spojrzał na demona.

– Nie spodziewałeś się, że stanie się to tak szybko.

Kabraxis popatrzył na niego.

– Wiedziałem. Przygotowywałem się. Teraz ty musisz się przygotować.

– Jak?

– Musisz przyprowadzić do mnie innego, którego zmienię tak, jak zmieniłem ciebie.

Cholik natychmiast poczuł, jak rozgorzał w nim płomień zazdrości. Dzielenie się mocą i prestiżem było niedopuszczalne.

– Nie będziesz się dzielił - uspokoił go Kabraxis. - Wręcz przeciwnie, zyskasz większą moc, sprowadzając tę osobę i naginając ją do naszych życzeń.

– Kogo?

– Lorda Darkulana.

Lord Darkulan rządził Bramwell i pozostawał w bliskich związkach z królem Zachodniej Marchii. Podczas kłopotów z Tristram lord Darkulan był



jednym z najbardziej zaufanych doradców władcy.

– Lord Darkulan dał swym ludziom jasno do zrozumienia, że nasz Kościół budzi jego wątpliwości - sprzeciwił się Cholik. - Prawdę powiedziawszy, wspominał nawet o wyjęciu Kościoła spod prawa. Zrobiłby to, gdyby lud nie sprzeciwił się stanowczo i gdyby nie pojawiła się możliwość opodatkowania karawan i statków przywożących tu ludzi z innych krain.

– Troska lorda Darkulana jest zrozumiała. Bał się, że to my zdobędziemy wierność jego poddanych. - Kabraxis uśmiechnął się. - Zdobyliśmy ją. A po dzisiejszym dniu wynik jest przesądzony.

– Skąd ta pewność?

– Ponieważ lord Darkulan był dziś na widowni.

# SIEDEMNAŚCIE



Gdy Cholik usłyszał o obecności lorda Darkulana w kościele, poczuł zimny dreszcz. Ten człowiek nigdy wcześniej nie pojawił się na nabożeństwie.

– Lord Darkulan wszedł do kościoła w przebraniu - kontynuował Kabraxis. - Nikt nie wiedział o jego obecności, prócz jego strażników i mnie. A teraz także ciebie.

– To on mógł wynajść zabójcę. - Cholik poczuł, jak wzbiera w nim fala gniewu. Spojrzał na swoją pierś, na szatę splamioną szkarłatem i dziurę w miejscu, gdzie przeszedł bełt. Teraz widział pod nią tylko nienaruszone ciało.

– Nie.

– Czemu jesteś taki pewny?

– Bo zabójca był sam - odparł Kabraxis. - Gdyby to lord Darkulan chciał cię zabić, wprowadziłby do kościoła trzech albo czterech kuszników. Byłbyś martwy, nim jeszcze dotknąłbyś podłogi.

Cholikowi zaschło w ustach. Przyszła mu do głowy myśl, której nie chciał zanadto zgłębiać, ale która nie pozwalała o sobie zapomnieć.

– Gdyby mnie zabili, czy byłbyś w stanie przywrócić mnie do życia?

– Gdybym musiał to zrobić, Buyardzie Choliku, nie zaznałbyś prawdziwego chłodu śmierci. Ale od tej chwili nie znałbyś też ognistej pasji

życia.

*Nieumarły* – pomyślał Cholik. Na samą myśl zrobiło mu się niedobrze. W jego głowie pojawiły się wizje zombie i wyszczerzonych szkieletów. Kiedy był jeszcze kapłanem Zakarum, wzywano go do oczyszczania cmentarzy i budynków z nieumarłych istot, które swego czasu były ludźmi i zwierzętami. A on ledwie uniknął powrotu jako jedna z nich. Żołądek mu się ścisnął i poczuł w gardle posmak żółci.

– Nie zostałeś jedynie ożywiony, jak tamte stwory - powiedział Kabraxis. - Podarowałbym ci prawdziwe nieżycie. Twoje myśli nadal byłyby twoimi.

– A moje pragnienia?

– Twoje pragnienia i moje w tej chwili ściśle się wiążą. Niewiele by ci brakowało.

Cholik nie wierzył. Demony żyły inaczej niż ludzie, miały inne marzenia i namiętności. Nie mógł przestać się zastanawiać, czy byłby kimś mniej... a może kimś więcej?

– Może - stwierdził Kabraxis - kiedy będziesz bardziej na to gotowy, dam ci szansę, byś się przekonał. Na razie nauczyłeś się, by trzymać się tego życia, które masz.

– Więc czemu lord Darkulan się tu pojawił? - spytał Cholik.

Demon uśmiechnął się, obnażając zęby.

– Lord Darkulan ma kochankę, która umiera od powoli działającej trucizny, podanej jej wczoraj przez lady Darkulan.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Żeby ją zabić, to elementarne. Wygląda na to, że lady Darkulan jest zazdrosną kobietą, a dopiero trzy dni temu dowiedziała się, że jej mąż bywa w łóżu innej.

– Żony już wcześniej zabijały kochanki swoich mężów -stwierdził Cholik. Nawet na dworach królewskich w Zachodniej Marchii zdarzały się takie przypadki.

– Tak - odpowiedział Kabraxis - ale wygląda na to, że kobieta będąca od trzech miesięcy kochanką lorda Darkulana jest też córką przywódcy gildii kupców w Bramwell. Jeśli córka umrze, kupiec zerwie wszystkie umowy handlowe Bramwell i wykorzysta swoje wpływy na dworach królewskich Zachodniej Marchii, by doprowadzić morderczynię córki przed oblicze sprawiedliwości.

– Hodgewell chce postawić lady Darkulan przed sądem? - Cholik nie mógł w to uwierzyć. Znał kupca, o którym mówił Kabraxis. Ammin Hodgewell był złośliwym i mściwym człowiekiem, który sprzeciwiał się Kościołowi Proroka Światłości od momentu jego powstania.

– Hodgewell chce, żeby zawisła na Szubienicy Sprawiedliwości. Właśnie stara się wnieść oskarżenie.

– Lord Darkulan wie o tym?

– Tak.

– Czemu nie poprosił o pomoc aptekarza?

– Poprosił - odpowiedział Kabraxis. - Nawet kilku, od kiedy wczoraj odkrył, że jego kochanka jest skazana na długie cierpienia. Żaden z aptekarzy ani uzdrowicieli nie jest w stanie jej pomóc. Pozostał dla niej tylko jeden ratunek.

– Droga Marzeń - szepnął Cholik. Implikacje tej próby morderstwa zajęły go bez reszty, wyganiając wszystkie myśli o śmierci, której ledwie uniknął.

– Tak - stwierdził Kabraxis. - Zrozumiałeś.

Cholik spojrział na demona, nie śmiał mieć nadziei.

– Jeśli lord Darkulan przyjdzie do nas po pomoc, a my uratujemy jego kochankę przed trucizną i żonę przed powieszeniem, utrzymując jednocześnie spokój w Bramwell...

– Pozyskamy go dla Czarnej Drogi - powiedział demon. - Wtedy lord Darkulan będzie nasz na zawsze. Stanie się naszą trampoliną do Zachodniej Marchii i czekającego nas przeznaczenia.

Cholik pokręcił głową.

– Lord Darkulan nie jest młodzieniaszkiem, żeby dawać upust swym namiętnościom z córką kupieckiego stanu.

– Nie miał wyboru - powiedział Kabraxis. - Uczucie młodej damy do niego było przemożne, a żądza lorda Darkulana stała się równie silna.

Cholik nagle zrozumiał wszystko i ze zdumieniem popatrzył na demona.

– Ty. Ty to zrobiłeś.

– Oczywiście.

– A ta trucizna, której użyła lady Darkulan? Nie wierzę, że wszyscy uzdrowiciele i aptekarze lorda Darkulana nie mogli znaleźć antidotum.

– Ja dałem ją lady Darkulan - przyznał Kabraxis - gdy pocieszałem ją w rozpacz po zdradzie męża. Kiedy już dostała truciznę, nie zwlekała ani chwili z jej podaniem.

– Jak dużo czasu pozostało córce Hodgewella, zanim trucizna ją zabije? - spytał Cholik.

– Do jutra wieczór.

– A lord Darkulan wie o tym?

– Tak.

– Czyli dzisiaj...

– Myślę, że chciał przedstawić swój problem po nabożeństwie - stwierdził Kabraxis. - Próba zabójstwa sprawiła, że jego straż natychmiast wyprowadziła go ze świątyni. Niektórzy z naszych strażników... podobnie

jak strażników lorda... zginęli w trakcie tego manewru, co pomogło w ucieczce prawdziwemu zabójcy.

– Lord Darkulan i tak przyjdzie - powiedział Cholik.

– Musi - zgodził się Kabraxis. - Nie ma wyboru, o ile nie chce ujrzeć kochanki martwej jutro o zachodzie słońca, a wkrótce potem zobaczyć, jak wieszka się jego żonę.

– Lord Darkulan może zabrać żonę i spróbować uciec.

Kabraxis uśmiechnął się szeroko.

– I pozostawić tu bogactwa i władzę? Dla miłości kobiety, którą zdradził? Kobiety, która już nie będzie w stanie kochać go tak, jak wcześniej? Nie. Lord Darkulan prędzej pośle je obie na śmierć, niż opuści Bramwell. Ale nawet to go nie uratuje. Jeśli wszystko wyjdzie na jaw, a kobiety zginą...

– Szczególnie jeśli ludzie będą przekonani, że mógł je obie uratować, zwracając się do Kościoła Proroka Światłości, jak oni we wszystkich swoich troskach - podchwycił Cholik, oszołomiony prostotą przebiegłego planu Kabraxisa. - Lord Darkulan straci poparcie swych poddanych.

– Teraz rozumiesz - pochwalił Kabraxis.

Cholik spojrzał na demona.

– Czemu mi o tym nie powiedziałaś?

– Powiedziałem - wyjaśnił Kabraxis. - Gdy tylko zaszła konieczność, byś się o tym dowiedział.

Ta część Cholika, która wciąż pamiętała nauki Kościoła Zakarum, podpowiadała mu szeptem, że demony mogą wpływać tylko na tych, którzy są chętni poddać się ich wpływom. Wielopoziomowy plan Kabraxisa mógł zawieść w każdym momencie. Kochanka mogła nie zapragnąć lorda. Lord mógł nie zdradzić swej pani albo dopuściwszy się zdrady, zerwać z

kochanką i wyznać swe winy. A żona mogła z zemsty wziąć kochankę, zamiast zdecydować się na otrucie kobiety, która odebrała jej męża.

Gdyby plan nie zadziałał, Cholik nigdy by się o nim nie dowiedział, a duma demona nie zaznałaby uszczerbku.

– Upokorzyłem ich wszystkich - powiedział Kabraxis - i sprawiłem, że kraina znalazła się w naszych rękach. Najpotężniejsi ludzie staną się naszymi sojusznikami. Lord Darkulan będzie wdzięczny za uratowanie kochanki, a kupiec Hodgewell za uratowanie córki.

Cholik rozważył plan. Był odważny, przebiegły i dwuznaczny - dokładnie czegoś takiego spodziewał się po demonie.

– Mamy już wszystko. - Popatrzył na Kabraxisa.

– Tak - potwierdził demon. - I będziemy mieli więcej.

Ktoś zapukał do drzwi komnaty.

– Co? - spytał Cholik z irytacją.

– Mistrzu Sayesie - zawołał kapłan z drugiej strony - chciałem się tylko dowiedzieć, czy z wami wszystko w porządku.

– Idź do nich - polecił Kabraxis. - Porozmawiamy później. - I wyszedł z komnaty tą samą drogą, którą przyszedł.

Cholik podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie. Kapłani, akolici i najemnicy cofnęli się o krok. Jeden z najemnych strażników trzymał przed sobą małą dziewczynkę, zaciskając rękę na jej ustach.

– Mistrzu - powiedział kapłan - błagam was o wybaczenie. Tylko troska skłoniła mnie do tego, by wam przeszkodzić.

– Nic mi nie jest - zapewnił Cholik, wiedząc, że kapłan ze strachu nadal będzie próbował się usprawiedliwiać.

– Ale bełt wszedł tak głęboko - westchnął kapłan. - Sam to widziałem.

– Zostałem uleczony dzięki łasce Dien-Ap-Stena. - Cholik rozsunął szatę, ukazując zdrowe ciało pod okrwawionym materiałem. - Wielka jest moc

Proroka Światłości.

– Wielka jest moc Proroka Światłości - powtórzyli natychmiast akolici.

Cholik poprawił szatę. Spojrzał na wyrywającą się dziewczynkę trzymaną przez najemnika.

– Co tu robi to dziecko?

– To siostra chłopców, których uzdrowił dziś Dien-Ap-Sten - wyjaśnił najemnik. - Widziała też zabójcę.

– To dziecko widziało, a ty i twoi ludzie nie? - Głos Cholika ciął powietrze jak stalowe ostrze.

– Stała obok niego, gdy wypuścił bełt, mistrzu Sayesie. - Najemnik sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

Cholik podszedł do mężczyzny. Wszyscy inni cofnęli się, jakby spodziewali się, że Wskazujący Drogę przyzwie piorun i zmieni dowódcę najemników w kupkę popiołu. Cholik musiał przyznać, że ta myśl była kusząca. Odwrócił spojrzenie od drżącego najemnika i przeniósł je na dziewczynkę. Podobieństwo między nią a zrosniętymi bliźniakami było uderzające.

Z oczu małej płynęły łzy, dygotała i próbowała się wyrwać. Ze strachu zupełnie zbladła.

– Puść ją - nakazał Cholik.

Najemnik niechętnie zdjął wielką, pokrytą odciskami dłoń z ust dziewczynki. Mała spazmatycznie nabrała powietrza. Łzy nadal spływały po jej twarzy, gdy rozejrzała się, szukając drogi ucieczki.

– Wszystko w porządku, dziecko? - spytał łagodnie Cholik.

– Chcę do mojego tatki - powiedziała dziewczynka. - Chcę do mamy. Nic nie zrobiłam.

– Czy widziałaś tego, który do mnie strzelał? - spytał Cholik.



– Tak. - Uniosła wypełnione łzami oczy do Cholika. - Proszę, mistrzu Sayesie. Nic nie zrobiłam. Krzyknęłabym, ale był za szybki. Strzelił do was, zanim się obejrzałam. Nie myślałam, że to zrobi. Nie skrzywdziłabym was. Uratowaliście moich braci, Mikela i Dannisa. Uratowaliście ich. Nie skrzywdziłabym was.

Cholik położył uspokajająco dłoń na ramieniu dziewczynki. Czuł, jak drży i kuli się pod jego dotknięciem.

– Już dobrze, dziecko. Ja też cię nie skrzywdzę. Muszę tylko dowiedzieć się czegoś o mężczyźnie, który próbował mnie zabić.

Spojrzała na niego.

– Obiecujecie?

Niewinność dziewczynki ujęła Cholika. Dzieciom łatwo było składać obietnice, bo bardzo chciały wierzyć.

– Obiecuję - powiedział Cholik.

Dziewczynka rozejrzała się, jakby chciała się upewnić, że najemnicy o surowych twarzach też słyszeli słowa mistrza Sayesa.

– Oni też cię nie dotkną - obiecał Cholik. - Opisz mężczyznę, który do mnie strzelał.

Patrzyła na niego wielkimi oczami pełnymi zdumienia.

– Myślałam, że was zabił.

– Nie mógł - odpowiedział Cholik. - Jestem wybranym Dien-Ap-Stena. Żaden śmiertelnik nie może mnie zabić, póki łaska proroka jest ze mną.

Dziewczynka znów odetchnęła głębiej, teraz już niemal zupełnie spokojnie.

– Był popalony. Prawie cała jego twarz była popalona. Ręce i ramiona miał popalone.

To nic Cholikowi nie mówiło.

- Czy zauważyłaś coś jeszcze?
  - Nie. - Dziewczynka zawahała się.
  - O co chodzi? - spytał Cholik.
  - On chyba się bał, że go rozpoznacie, kiedy go zobaczycie - powiedziała dziewczynka. - Mówił, że zdziwił się, że wpuszczono go do budynku.
  - Nie widziałem nigdy człowieka, który byłby popalony tak bardzo, jak mówisz, i nadal żył.
  - Może on nie żył - podpowiedziała dziewczynka.
  - Dlaczego tak twierdzisz?
  - Nie wiem. Po prostu nie wiem, jak ktoś mógłby żyć taki spalony.
- Ściga mnie martwy człowiek?* Cholik przez chwilę rozważał tę myśl.
- Chodź* – powiedział Kabraxis w jego umyśle. *Mamy inne sprawy. Zabójcy już nie ma.*



Cholik sięgnął do kieszeni szaty i wyjął z niej kilka srebrnych monet, dość, by przez kilka miesięcy zapewnić rodzinie utrzymanie w Bramwell. Kiedyś może pieniądze coś dla niego znaczyły, lecz teraz był to tylko środek przetargowy. Położył srebro na dłoni dziewczynki i zamknął wokół monet jej paluszki.

– Weź to, dziecko - oznajmił Cholik - w ramach moich podziękowań. - Spojrzał na najbliższego najemnika. - Upewnij się, że bezpiecznie wróci do swojej rodziny.

Najemnik pokiwał głową i odprowadził dziewczynkę. A ona ani razu nie spojrzała za siebie.

Mimo że ponad rok minął od odnalezienia wrót Kabraxisa, Chochlik wspominał znowu labirynt pod ruinami miast i komnatę, gdzie demon powrócił do świata śmiertelników. Tej nocy jednemu człowiekowi udało się uciec - marynarzowi z Zachodniej Marchii, który uniknął nawet szkieletów i zombie, posłanych przez Kabraxisa za nim i wszystkimi innymi, którzy znaleźli się w tej komnacie.

Cholik czuł, że nikt z mieszkańców Bramwell nie odważyłby się zaatakować go w kościele. A jeśli mężczyzna był tak bardzo poparzony, jak mówiła dziewczynka, ktoś by go rozpoznał, a potem doniósł, mając nadzieję na nagrodę od Dien-Ap-Stena lub choćby Cholika.

Musiał to więc być ktoś obcy. Ktoś, kogo nie znał nikt w mieście. A zarazem ktoś, kto znał Cholika z dawnych czasów.

Gdzie podział się człowiek, który uciekł z Portu Tauruka? Jeśli to był on, a nie mógł to być przecież nikt inny, czemu czekał tak długo? I czemu w ogóle ruszył śladem Chochlika?

Było to niepokojące. Szczególnie kiedy Cholik pomyślał, jak blisko serca wbił się bełt. Z głową pełną natarczywych i niepokojących myśli kapłan powrócił do prywatnej komnaty, by planować i spiskować z demonem,

którego uwolnił. Zabójca stracił jedyną szansę. Cholik już zawsze teraz będzie przygotowany. Ta myśl go pocieszyła.

Darrick wszedł do „Błękitnej Latarni”. Od dźwigania ciężarów przez cały dzień plecy i ramiona paliły go żywym ogniem. Dym z fajek i nadchodząca noc pograżyły tawernę w półmroku, a klienci wymieniający się opowieściami, snujący rozmaite kłamstwa napełniali ją gwarem. Na zachodzie, niedaleko miejsca, gdzie Zatoka Zachodniej Marchii uchodziła do Zamarzniętego Morza, czerwone słońce tonęło w wodzie.

Wraz z Darrickiem przez drzwi wpadł do środka zimny podmuch. W ciągu ostatniej godziny pogoda zmieniła się tak, jak przewidywali marynarze. Sahyir mówił Darrickowi, że rano port może nawet skuwać cienka warstwa lodu. Nie będzie na tyle gruba, by uwięzić statki, ale i ta pora była już niedaleko.

Gdy Darrick wszedł do sali, mężczyźni przy stołach podnosili głowy. Niektórzy go znali, a inni zeszli ze stojących w porcie statków. Towarzyszyły mu czujne spojrzenia. Przylądek Poszukiwacza nie był dużą wsią, ale liczba ludności rosła, gdy do portu zawijały statki. A jeśli ktoś szukał kłopotów, to mógł je znaleźć najszybciej w „Błękitnej Latarni”.

W tawernie nie było wolnych stołów. Trzej mężczyźni, których Darrick słabo znał, zaprosili go, by usiadł wraz z nimi. Darrick podziękował, odmawiając, szedł dalej, aż znalazł mędrca, o którym mówił mu Sahyir.

Mężczyzna był w średnim wieku, barczysty i nieco zbyt tęgi, w równo przyciętej brodzie pokazywały się pierwsze nitki siwizny. Sprawiał wrażenie człowieka, który prowadził aktywne życie. Ubranie miał podniszczone, ale wyglądało na wygodne i wystarczająco ciepłe, by chronić właściciela przed zimnymi wiatrami północy. Nosił okulary o okrągłych szklach. Darrick mógł policzyć na palcach, ile razy widział ów przyrząd.

Po lewej stronie mędrca stał talerz z mięsem i chlebem, przed nim lampka wypełniona tranem. Męczyzna pisał prawą ręką, od czasu do czasu przerywając, żeby zanurzyć pióro w kałamarzu stojącym obok książki, nad którą pracował.

Darrick zatrzymał się przy stole. Właściwie nie wiedział, co powiedzieć. Mędrzec nagle uniósł wzrok i spojrzał znad okularów.

– Darrick?

Darrick, zaskoczony, nic nie powiedział.

– Twój przyjaciel Sahyir powiedział mi, jak się nazywasz - stwierdził tamten. - Kiedy rozmawialiśmy wczoraj wieczorem, powiedział mi, że możesz tu zajrzeć.

– Ano - powiedział Darrick. - Choć muszę wyznać, że tak naprawdę nie wiem, co tu robię.

– Jeśli widziałeś ten symbol, a Sahyir zdaje się przekonany, że tak było - powiedział mędrzec - zostałeś naznaczony.

Wskazał na księgę przed sobą.

– Światłość jedna wie, że poszukiwanie wiedzy na ten temat naznaczyło mnie. Z wielką szkodą dla mnie, jak twierdzą niektórzy moi nauczyciele i kompani.

– Widzieliście demona? - spytał Darrick.

W głębokich zielonych oczach mędrca pojawiło się zainteresowanie.

– A ty?

Darrick milczał, czując, że już powiedział więcej, niż powinien. Na twarzy mędrca pojawił się wyraz irytacji.

– Niech cię, synu. Jeśli chcesz rozmawiać, to usiądź. Pracowałem tu ciężko przez wiele dni, a wcześniej całe tygodnie i miesiące w innych miejscach. Zadzieranie głowy jest dla mnie piekielnie męczące. - Piórem

wskazał na krzesło naprzeciwko, po czym zamknął książkę i odłożył ją na bok.

Nadal przepełniony niepewnością, Darrick odsunął krzesło i usiadł. Z przyzwyczajenia położył kordelas na udach.

– Jadłeś już coś?

– Nie. - Wyładowywanie importowanych towarów ze statku i ładowanie towarów eksportowanych zajęło cały dzień. Darrick jadł tylko to, co przyniósł w torbie na jedzenie, a ona była pusta od wielu godzin.

– Chciałbyś coś zjeść?

– Ano.

Mędrzec przywołał gestem jedną z dziewczek służebnych.

– Sahyir mówił mi, że byłeś marynarzem - powiedział mędrzec.

– Byłem.

– Powiedz mi, gdzie widziałeś demona - zaproponował mędrzec.

Ale Darrick już się pilnował.

– Nie mówiłem, że widziałem, prawda?

Mężczyzna zmarszczył brwi, co pogłębiło kurze łapki wokół jego oczu.

– Zawsze jesteś taki gburowaty?

– Panie - stwierdził spokojnie Darrick - nawet nie znam waszego imienia.

– Taramis - odrzekł mędrzec. - Taramis Volken.

– A czym się zajmujecie, Taramisie Volkenie? - spytał Darrick.

– Gromadzę mądrość - odrzekł mężczyzna. - Szczególnie tę odnoszącą się do demonów.

– Czemu?

– Ponieważ ich nie lubię, a to, czego się dowiaduję, zwykle można przeciw nim wykorzystać.

Dziewka służebna powróciła z talerzem koźliny, krewetek, ryb, chlebem i kawałkami melona, który dotarł tego dnia na jednym ze statków.

Zaproponowała grzane wino.

Darrick tylko przez chwilę czuł pokusę. Przez ostatni rok próbował utopić swoje życie i ból w trunku. Nie zadziałało i dopiero stary Sahyir uratował go przed samym sobą. Ale jak mówił stary mężczyzna, ratować siebie trzeba było każdego dnia i mógł tego dokonać tylko jeden człowiek.

– Herbata - powiedział Darrick. - Proszę.

Dziewka skinęła głową i wróciła z pełnym kubkiem niesłodzonej herbaty.

– Jeśli chodzi - podjął Taramis - o twojego demona...

– Nie mojego - przerwał Darrick.

Wargi mędrca drgnęły w przelotnym uśmiešku.

– Jak sobie życzysz. Gdzie widziałeś tego demona?

Darrick zignorował pytanie. Zanurzył palec w sosie i narysował na stole elipsy z przeplecioną linią. Narysował tak dokładnie, że linia w odpowiednich miejscach przechodziła nad, a w odpowiednich pod elipsami.

Mędrzec przyglądał się nietypowemu rysunkowi.

– Czy wiesz, co to jest?

– Nie.

– A do kogo należy?

Darrick potrząsnął głową.

– Gdzie to widziałeś? - spytał mędrzec.

– Nie - odpowiedział Darrick. - Niczego się ode mnie nie dowiecie, dopóki się nie przekonam, że dowiem się czegoś od was.

Taramis sięgnął do podniszczonej torby podróżnej z jaszczurzej skóry. Wyciągnął z niej fajkę i kapciuch. Z namysłem nabił fajkę i zapalił ją od lampki. Pykał w milczeniu, aż jego głowę otoczyła tytoniowa mgiełka. Wpatrywał się w Darricka, nie mrugając ni razu.



Darrick nie widział równie rozkazującego spojrzenia od chwili, gdy rano, goląc się, spoglądał w lustro. Nawet oficerowie marynarki Zachodniej Marchii wypadali słabo w porównaniu z tym człowiekiem. Ale jadł, delektując się gorącą strawą. Jak na standardy życia w Przylądku Poszukiwacza, ten posiłek był czystą rozrzutnością. Pieniądze, które Darrick dostał dziś za przenoszenie ładunków, pozwoliłyby utrzymać się przez dwa tygodnie, bez konieczności polowania na drobną zwierzynę po lasach, które powoli brała w swe władanie zima.

Taramis znów sięgnął do torby podróżnej i wyjął inną księgę. Przerzucił kartki, zatrzymał się na jednej, położył tom na stole, obrócił i popchnął w stronę Darricka. Po czym przesunął lampkę tak, by dokładnie oświetlała karty.

– Ten demon, którego widziałeś - powiedział Taramis - wyglądał tak?

Darrick spojrział w księgę. Ilustracja została wykonana ręcznie i była bardzo szczegółowa.

Rysunek przedstawiał demona, którego widział w Porcie Tauruka, tego, który wezwał nieumarłych odpowiedzialnych za śmierć Mata Hu-Ringa.

*Nie do końca odpowiedzialnych* – poprawił się w duchu Darrick, czując, że traci apetyt. Większość odpowiedzialności ponosił on. Nie przerwał posiłku, bo doskonale wiedział, że miną dni lub tygodnie, zanim będzie miał okazję tak dobrze zjeść.

– Co wiecie o tym symbolu? - spytał Darrick, nie odpowiadając na pytanie mędrca.

– Nie sprzedasz się tanio, co, chłopcze? - skrzywił się Taramis.

Darrick odłamał kawałek chleba i posmarował go miodowym masłem. Zaczął jeść, natomiast Taramis próbował go przeczekać. W końcu uczonego się poddał.

– Ten symbol wiąże się od wieków z demonem zwanym Kabraxisem. Ma on być strażnikiem Spaczonej Drogi Marzeń i Cieni.

– Droga Marzeń? - spytał Darrick, przypominając sobie historię o Bramwell, którą tego ranka opowiedział mu Sahyir.

– Interesujące, prawda? - rzucił mędrzec.

– Sahyir opowiadał mi, jak poszedł do świątyni w Bramwell - powiedział Darrick. - Jest tam nowy Kościół, Kościół Proroka Światłości. Tam też mówili o Drodze Marzeń.

Taramis skinął głową.

– Oddają tam cześć prorokowi imieniem Dien-Ap-Sten.

– Nie Kabraxisowi?

– Demon zachowywałby niezbyt mądrze, gdyby chodził po świecie i kazał nazywać się ludziom swoim prawdziwym imieniem, nieprawdaż? - Taramis wyszczerzył się. - To znaczy gdyby zrobił coś takiego, byłby to koniec anonimowości, a ta jest dość istotna. Większość ludzi nie oddawałaby świadomie czci demonowi, choć są i tacy.

Darrick wskazał talerz.

– Doceniam ten wspaniały posiłek, który mi kupiliście, naprawdę. Ale muszę powiedzieć, że jeśli ta historyjka nie nabierze tempa, zanim skończę, wynoszę się stąd.

– Cierpliwość nie jest twą mocną stroną, prawda?

– Nie. - Darrick nie wstydził się do tego przyznać.

– Kabraxis jest starym i potężnym demonem - wyjaśnił Taramis. - Jego ślady na świecie, w takiej czy innej postaci, sięgają początków pisanej historii. Znany jest pod dziesiątkami, być może setkami imion.

Darrick wskazał na rysunek na blacie.

– A to jest jego symbol?

Taramis pyknął fajkę. Tytoń rozjarzył się na pomarańczowo.

– Sądzę, że to główny symbol tego demona. Czy widziałeś to w Bramwell?

– Nie byłem w Bramwell od lat - odpowiedział Darrick. Za blisko stamtąd było do Zachodniej Marchii.

– To gdzie widziałeś demona? - Zainteresowanie mędrca przybrało na sile.

– Nie mówiłem, że go widziałem - przypomniał Darrick.

– Twój przyjaciel powiedział mi...

– Powiedział wam, że znam ten symbol.

– Tylko tyle mu powiedziałeś?

Darrick popijał herbatę i zignorował pytanie. Powrócił do jedzenia. Talerz powoli, ale ciągle się opróżniał.

– Czy znasz znaczenie tego symbolu? - spytał Taramis.

– Nie.

– Ponoć przedstawia warstwy człowieka. Aspekty ludzkiej natury, na których może żerować demon.

– Nie rozumiem - stwierdził Darrick.

Mędrzec wydawał się zaskoczony.

– Nie masz kapłańskiego wykształcenia?

– Nie.

– A jednak znasz najpotężniejszy symbol Kabraxisa?

Darrick nie odpowiedział, nabił na czubek noża kawał ziemniaka.

Taramis westchnął.

– W porządku. Intrygujesz mnie i tylko dlatego będę mówił dalej, bo poza tym nie lubię, gdy traktuje się mnie w taki sposób. - Wskazał na elipsy. - To są warstwy człowieka, objawione przez Kabraxisa, Pogromcę Światłości.

– Dlaczego nazywa się go Pogromcą Światłości? - spytał Darrick.

Rozejrzał się, upewniając, że żaden z marynarzy i dokerów nie przysłuchuje się tej rozmowie. Bywały takie miejsca, gdzie choćby wzmianka o demonach wystarczała, żeby zostać powieszonym, a przynajmniej przebadanym przy pomocy przytapienia lub rozpalonego do czerwoności pręta.

– Ponieważ podstawowym celem Kabraxisa na tym świecie jest przyćmienie Kościoła Zakarum i ustanowienie własnego. W czasie Wojny Grzechu Kabraxis starał się nie dopuścić, by archanioł Yaerius zbudował podstawy Zakarum z pomocą swojego apostoła Akarata.

– A co z archaniołem Inariusem? - Darrick przypomniał sobie stare historie o Wojnie Grzechu. - To Inarius jako pierwszy wznosił w tym świecie katedrę Światłości.

– Inarius stał się zbyt pewny siebie i zburzył świątynię Mefista. Został pojmany i wraz z Serafinem powrócił do Płonących Piekieł, by tam zostać poddany torturom. Kabraxis przyspieszył upadek Inariusza, przeciągając ich na stronę demona.

– Nie pamiętałem tego - przyznał Darrick.

– Wojna toczyła się głównie między Mefistem i Inariusem - wyjaśnił Taramis. - Tylko mędrcy lub kapłani wiedzą o udziale Kabraxisa w Wojnie Grzechu. Pogromca Światłości to przebiegły demon. Porusza się wśród cieni, przesuając ich granice, aż pochłona one Światłość. Większość ludzi, która przez te wszystkie lata oddawała mu cześć, nawet nie znała jego imienia.

– A ty wierzysz, że jest teraz w Bramwell? - spytał Darrick.

– W kościele Proroka Światłości. - Mędrzec pokiwał głową. - Tak. I jest tam znany pod imieniem Dien-Ap-Stena.

Darrick wskazał na symbol.

– A to?

– Jak już mówiłem - powiedział Taramis - te elipsy oznaczają warstwy ludzkiej natury, jak postrzega je Kabraxis. Przez te warstwy jest w stanie dotrzeć do duszy człowieka, wypaczyć ją, nagiąć i w końcu osiąść. Ten demon nie dąży do walki i konfrontacji, jak Diabło, Mefisto i Baal.

Darrick pokręcił głową w proteście.

– Nie możesz tak po prostu rzucać imionami tych wszystkich demonów. One nie istnieją. Nie mogą istnieć.

– Mroczna Trójca istnieje.

Darrick poczuł, jak przeszywa go chłód, ale nawet po tym wszystkim, co widział... nawet po tym, jak stracił wszystko ujrawszy demona w Porcie Tauruka... z trudem przychodziło mu uwierzyć, że świat demonów, Płonące Piekła, nie jest tylko potworną krainą ze strasznych opowieści.

– Widziałeś świątynię Proroka Światłości?

– Nie.

– Jest ogromna - rzekł Taramis. - Nie minął rok, a świątynia Proroka Światłości stała się jedną z największych budowli w Bramwell.

– Bramwell to małe miasto - zauważył Darrick. - Mieszkają w nim głównie rybacy i rolnicy. Zachodnia Marchia utrzymuje w nim niewielki garnizon, a i to głównie na pokaz, bo żadna armia nie zdecyduje się zaatakować Zachodniej Marchii z tej strony. Drogi są zbyt trudne i niepewne.

– Kabraxis buduje swoją potęgę przez pokolenia - powiedział Taramis. - Dlatego zaczęła się go obawiać nawet trójca piekielnych braci. Tam, gdzie oni rozpoczynali wojny, gdzie armie demonów ścierały się z armiami ludzi, Kabraxis zjednywał sobie zwolenników.

– Przez warstwy człowieka.

– Tak. - Mędrzec dotknął zewnętrznej elipsy. - Pierwsza to strach ludzkości przed demonami. Ludzie, którzy obawiają się Kabraxisa, uznają

jego władzę, ale uciekną przy pierwszej nadarzającej się okazji. - Wskazał kolejną elipsę. - Następna jest chciwość. Poprzez Kościół Proroka Światłości Kabraxis i najwyższy kapłan, zwany mistrzem Sayesem lub Wskazującym Drogę, nagradzają czcicieli darami. Szczęściem w interesach, pieniędzmi i niespodziewanymi spadkami. Później jeszcze bardziej zbliża się do serca. - Dotknął kolejnej elipsy. - Pożądliwość. Czy w tajemnicy pożadasz żony sąsiada? Jego ziemi? Czcij Kabraxisa, a w swoim czasie staną się twoje.

- Tylko jeśli człowiek, do którego one należą, nie jest również wyznawcą Kabraxisa.

- Mylisz się. - Taramis przerwał, by ponownie nabić fajkę. - Kabraxis waży i ocenia tych, którzy mu służą. Jeśli jeden wyznawca, o większych wpływach i znaczeniu wśród społeczności niż drugi, lepiej posłuży celom Kabraxisa, Pogromca Światłości nagrodzi ważniejszego.

- A co z wyznawcą, który straci to, czego pragnął drugi?

Mędrzec machnął lekceważąco ręką.

- To proste. Kabraxis mówi wszystkim, że człowiek, który stracił ziemię, żonę czy rodzinę, nie wierzył wystarczająco mocno. Że tylko udawał wiarę w Kabraxisa, a w tym wypadku Dien-Ap-Stena, i zasługiwał na to, co mu się przytrafiło.

Darrick poczuł posmak żółci w ustach. Każde słowo mędrca brzmiało prawdziwie.

Taramis przeszedł do kolejnej elipsy.

- Od tego momentu Kabraxis wyszukuje ludzi, którzy mają większe obawy i problemy. Choroba w rodzinie? Przyjdź do kościoła, a zostanie uleczona. Twój ojciec zaczyna cierpieć na demencję? Przyjdź do kościoła, a znów zaczniesz myśleć jasno.

- Kabraxis może coś takiego zrobić?

– Tak - stwierdził Taramis. - A nawet więcej. Demony mają różne moce. Na swój sposób Kabraxis może ofiarować zbawienie tym, którzy mu służą. Słyszałeś o darach, które w przeszłości Diabło, Baal i Mefisto ofiarowali swoim poplecznikom. Zaklęte zbroje, magiczna broń, wielka moc, by wskrzeszać nawet armie nieumarłych. Mroczna Trójca sprawuje władzę poprzez strach i zniszczenie, zawsze dąży do podboju.

– A Kabraxis nie?

– Oczywiście, że też - przyznał Taramis. - W końcu to demon. Nawet archaniołowie pragną, by ci, którzy oddają im cześć, trochę się też bali. Inaczej dlaczegóż mieliby ukazywać się w tak przerażających postaciach?

Darrick zastanowił się i uznał, że jego rozmówca ma rację. Mimo to wszystkie sprawy związane z demonami były mu obce i wcale nie chciał ich poznawać. Czuł jednak, że nie ma wyboru.

– Archaniołowie Światłości grożą ludziom mękami przez resztę wiecznego życia i obiecują straszliwą zemstę tym, którzy oddają cześć i pomagają demonom. - Taramis potrząsnął głową. - Archaniołowie to wojownicy, podobnie jak demony.

– Ale inaczej patrzą na ludzi i ich miejsce na tym świecie... z większą przychylnością.

– To - powiedział mędrzec - zależy od twojej wiary, prawda?

Darrick siedział w milczeniu.

– Niektórzy wierzą, że ten świat powinien zostać oczyszczony z demonów i archaniołów, że nie powinno być Światłości i Ciemności, a ludzie sami mogli wybierać swą drogę.

– A wy w co wierzycie?

– Wierzę w Światłość - odparł Taramis. - Dlatego ścigam demony i obnażam ich prawdziwą naturę. Zabiłem osiem pomniejszych demonów w ciągu ostatnich dwóch dekad. Nie wszystkie są jak Najwyżsi Żli.

Darrick wiedział o tym, ale widział dotychczas tylko jednego demona i była to przerażająca istota.

– Co masz zamiar zrobić z Kabraxisem?

– Zabić go, jeśli mi się to uda - oznajmił mędrzec. - Jeśli nie, mam zamiar upewnić się, że zostanie zdemaskowany, jego kapłan zginie, a kościół zostanie zrównany z ziemią.

Słowa mężczyzny zafascynowały Darricka, sprawiły nawet, że poczuł się lepiej. Taramis mówił takim tonem, że nawet coś tak nieprawdopodobnego wydawało się możliwe.

– Demon odebrał ci kogoś - szepnął Taramis.

Darrick natychmiast się wycofał.

– Nie próbuj zaprzeczać - stwierdził mędrzec. - Widzę prawdę w twoich oczach. Nosisz swój ból jak szewron na tarczy, którą może zobaczyć każdy, kto przeszedł to samo. - Przerwał, odwracając spojrzenie od Darricka. - Przez demona zginęła moja rodzina. Dwadzieścia trzy lata temu. Byłem kapłanem. To nie miało prawa mi się wydarzyć. Ale ręka demona odebrała mi żonę i trójkę dzieci.

Lampa na stole zamigotała.

– Byłem wtedy młody, głowę miałem pełną nauk Vizjerei. Nauczałem w jednej z małych szkół w mojej ojczyźnie. Do naszych drzwi zapukał obcy. Mieszkaliśmy na tyłach szkoły, tylko moja rodzina i ja. Mężczyzna powiedział, że nie ma gdzie spać i nic nie jadł od dwóch dni. Byłem głupcem, dumnym ze swojej pozycji, więc go wpuściłem. W nocy zabił moją rodzinę. Tylko ja przeżyłem, choć większość sądziła, że mi się to nie uda. - Podwinął rękaw, ukazując długie, paskudne blizny. - Mam tego więcej. - Odrzucił głowę, by Darrick mógł zobaczyć bliznę na gardle. - Kapłani, którzy mnie uratowali, musieli mnie wpierw poskładać. Wszyscy



uzdrowiciele mówili potem, że powinienem był umrzeć. Światłość jedna wie, że chciałem.

– Ale przeżyłeś - wyszeptał Darrick, wciągnięty przez przerażającą opowieść.

– Tak. - Taramis wysypał popiół z fajki. - Przez jakiś czas nie chciałem żyć. Potem uświadomiłem sobie, że teraz mam jeden cel. Demon, który wymordował moją rodzinę, będzie mordował inne. Postanowiłem wyzdrowieć, psychicznie i fizycznie. I tak zrobiłem. Zajęło mi trzy lata, nim w pełni odzyskałem siły, i kolejnych dziewięć, nim wytropiłem demona, który odebrał mi bliskich. Do tego czasu zabiłem już dwa demony, a zdemaskowałem cztery inne.

– A teraz polujesz na Kabraxisa?

– Tak. Kiedy powstał Kościół Proroka Światłości, nabrałem pewnych podejrzeń. Zacząłem więc badać zależności pomiędzy uzdrowieniami a zmianami, jakie zachodzą w wiernych, co z kolei naprowadziło mnie na trop Kabraxisa.

– Więc czemu przybyłeś tutaj?

– Ponieważ Kabraxis był tu kiedyś. Przez jakiś czas plemiona barbarzyńców oddawały mu cześć, gdy walczyły przeciwko ludom z południa. W tych czasach znany był jako Lodoszpon Bezlitosny. Udało mu się zjednoczyć kilka potężnych plemion i stworzyć wielką horde, która wylądowała między Bliźniaczymi Morzami, Wielkim Oceanem i Zamarzniętym Morzem.

Darrick zastanowił się nad implikacjami, jakie z tego wynikały. Historie o dzikiej hordzie sięgały tak zamierzchłej przeszłości, że uważano je za bajeczki do straszenia dzieci. Barbarzyńcy byli w nich przedstawiani jako kanibale, którzy piłowali zęby w trójkąty i napełniali żołądki ciałami kobiet i dzieci.

– Aż pojawił się Hauklin ze swoim wielkim mieczem, Burzogniewem, i pokonał Lodoszpona w bitwie, która trwała sześć dni.

Taramis uśmiechnął się szeroko.

– Słyszałeś te historie.

– Ano - odpowiedział Darrick. - Ale to nie odpowiada na pytanie, dlaczego tu jesteś.

– Ponieważ Burzogniew wciąż tu jest - wyznał mędrzec. - Przybyłem po miecz, ponieważ wierzę, że tylko on może zabić Kabraxisa.

– Nie zabił go za pierwszym razem - przypomniał Darrick.

– Teksty, które czytałem, twierdziły, że Kabraxis uciekł przed niszczycielską mocą Burzogniewu. Tylko w ludzkich opowieściach zginął. Wierzę jednak, że miecz ma moc zabicia Kabraxisa. Jeśli podążysz za demonem do Płonących Piekieł.

– Skoro wiesz to wszystko, czemu w ogóle ze mną rozmawiasz?

Mędrzec podchwycił spojrzenie Darricka.

– Ponieważ jestem sam, Darricku Lang, i już nie jestem tak młody jak kiedyś.

– Znasz mnie?

– Oczywiście. - Taramis wskazał na książkę przed sobą. - Jestem wykształconym człowiekiem. Już przed rokiem, gdy byłem w Zachodniej Marchii, słyszałem opowieści o odkryciu demona w Porcie Tauruka. I słyszałem o młodym oficerze marynarki, który utracił przyjaciela, wykonując królewskie rozkazy.

– Więc po co te wszystkie podstępny?

– Bym mógł cię przekonać do mojej sprawy - powiedział cicho Taramis - i może do twego przeznaczenia.

– Jakiego przeznaczenia? - Darrick natychmiast poczuł się złapany w pułapkę.

– Jakoś wiązesz się z tą sprawą - wyjaśnił mędrzec. - Utraciłeś kogoś z winy demona, może o to chodzi. A może o coś innego.

– Nie chcę mieć więcej do czynienia z tym demonem - oznajmił Darrick. Już jednak wypowiadając te słowa, poczuł niepewność, a za niepewnością napłynęła fala strachu.

– Naprawdę? To dlaczego tu wylądowałeś? Tu, gdzie leży broń, która zgładzi Kabraxisa?

– Przez ostatni rok byłem przeważnie pijany - wyznał Darrick. - Straciłem posadę w marynarce Zachodniej Marchii. Pijany i bez grosza, dryfowałem od miasta do miasta, znajdując tyle pracy, by utrzymać się przy życiu, z dala od Zachodniej Marchii. Nie wiedziałem, że tu jestem, póki nie obudziłem się, zamierzając na śmierć. Nie wiedziałem nic o mieczu, póki mi o tym nie powiedzialesz. Nie podążałem śladami demona.

– Nie? - Taramis spojrział na eliptyczny symbol narysowany na stole. - To co tu robisz? Chyba że liczyłeś tylko na darmowy posiłek?

– Nie wiem - przyznał Darrick.

– Zanim jeszcze ze mną porozmawiałeś, wiedziałeś, czyj to symbol - stwierdził Taramis. - Teraz kiedy wiesz, że demon jest w Bramwell i ukrywa się za magią Kościoła Proroka Światłości, czy możesz odwrócić się i odejść?

Pamięć nieproszona podsunęła Darrickowi wspomnienie Mata spadającego z klifu. Ból, przez rok przytępiony trunkiem, przeszył Darricka, zupełnie świeży. Wypełnił go gniew, który jednak udało mu się opanować.

– Sprowadziła cię tu Światłość, Darricku - powiedział cicho mędrzec. - Sprowadziła cię w to miejsce, w tym czasie, i sprawiła, że się spotkaliśmy, bo ty też masz w tym udział. Chcę tylko zapytać, czy jesteś gotów walczyć w bitwie, która cię czeka.

Darrick zawahał się, wiedząc, że każda odpowiedź - a nawet i brak odpowiedzi - zdecyduje o jego losie.

- Wierzysz, że ten miecz może zabić Kabraxisa? - spytał ochryplym szeptem.

- Tak - odpowiedział Taramis. - Ale dopiero tutaj, w ostatniej warstwie. - Znow dotknął symbolu. - Pozostają jeszcze dwie warstwy, o których nie mówiliśmy. Ta bardziej zewnętrzna to miejsce, gdzie Kabraxis zabiera wybrańców, by przekuć ich w coś więcej niż ludzi. Tam muszą stawić czoła strachom świata demonów, przejść Czarną Drogę.

- Czarną Drogę? - spytał Darrick.

- Tak nazywa ją Kabraxis. W trakcie swoich kampanii mających dać mu świat ludzi we władanie nazywał ją rozmaicie, ale prawdziwa i odpowiednia nazwa to Spaczona Droga Marzeń i Cieni. W świecie demonów wybrańcy Kabraxisa muszą mu się oddać umysłem, ciałem i duszą teraz i na zawsze. Wielu się to nie udaje i zostają wrzuceni do Piekła, gdzie umierają raz za razem przez wieczność.

- Jak się zmieniają?

- Stają się szybsi i silniejsi niż normalni ludzie - odrzekł mędrzec. - Trudniejsi do zabicia. A niektórzy z nich poznają demonią magię.

- Z waszych słów wynika, że dostanie się do Kabraxisa jest niemożliwe.

- Nie z Burzogniewem - powiedział Taramis. - A ja dysponuję magią.

- Co, jeśli nie zdecyduję się pójść z wami?

- Wtedy pójde sam - uśmiechnął się mędrzec. - Ale nie możesz temu zaprzeczać, co, Darricku? To stało się częścią ciebie. Może rok temu mógłbyś odwrócić się do mnie plecami i odejść, ale nie teraz. Próbowales żyć dalej, próbowales zapomnieć, co przytrafiło się twojemu przyjacielowi, i patrz, co się z tobą stało. Niemal cię to zniszczyło. - Przerwał. - Teraz musisz znaleźć siły, by żyć i pamiętać.

Darrick spojrział na eliptyczny rysunek.

– Co leży w ostatniej warstwie?

Taramis zawahał się i potrząsnął głową.

– Nie wiem. Teksty o Kabraxisie, które czytałem, nie odpowiadają na to pytanie. Wspominano o niej jako o warstwie najgłębszego strachu, ale nie mam pojęcia, co to jest.

– Dobrze byłoby wiedzieć, co tam jest.

– Może dowiemy się tego razem - zaproponował mędrzec.

Darrick spojrział mężczyźnie prosto w oczy, żałując, że nie ma w sobie siły, by powiedzieć, że nie, nie pójdzie. Ale nie mógł tego zrobić, gdyż był zbyt zmęczony tym pójściem, żalonymi próbami ucieczki przed poczuciem winy. Powinien był zginąć z Matem. Może jedynym wyjściem było zginąć teraz.

– Ano - wyszeptał Darrick. - Pójdę z wami.

# OSIEMNAŚCIE



Buyard Cholik stał na platformie nad głową węża i czekał na przybycie gościa. Przepęniało go podniecone oczekiwanie. Tego ranka widok wielkiego pomieszczenia wypełnionego ludźmi wzbudził w nim entuzjazm. Każdego dnia na nabożeństwo przybywało więcej ludzi niż dnia poprzedniego. Dla wiernych brakowało miejsc. I choć murarze robili, co mogli, nie byli w stanie sprostać tempu, w jakim przybywało wiernych.

Tego wieczoru, choć do kościoła weszła tylko jedna osoba, entuzjazm Cholika jeszcze wzrósł. Kapłan jednak nie odezwał się, gdy lord Darkulan zatrzymał się w głównym wejściu.

Lorda otaczało dwudziestu wojowników z latarniami i odsłoniętą bronią. Światło lamp odbijało się od karacenowych zbroi i ostrej stali. Cholik słyszał szepty, a wypowiedane cicho słowa przesycone były wrogością i strachem.

Lord Darkulan był mężczyzną w wieku lat trzydziestu. Królewska postawa świadczyła o dyscyplinie, jaką narzucił sobie, by pozostać w formie jako wojownik i przywódca. Szczupłą twarz o orlich rysach otaczał otwarty szyszak zdobny w wygięte rogi, a nad wargami skrzywionymi w grymasie rysował się wypiełgnowany wąsik. Lord miał na sobie ciemnozielony płaszcz, pasujący do czarnych spodni i tuniki nałożonej na

ciemnozieloną koszulę. Cholik był pewien, że władca nosił też magiczną kolczugę.

Lord Darkulan niecierpliwie machnął ręką na jednego z wojowników.

Mężczyzna skinął głową i wszedł do katedry. Okute metalem buty stuknęły głośno na kamiennej posadzce.

Cholik podniósł głos, wiedząc, że pomieszczenie zbudowano tak, iż można go było usłyszeć bez trudu.

– Lordzie Darkulanie, to spotkanie jest przeznaczone wyłącznie dla ciebie. Nikt inny nie może wejść do tej części świątyni.

Wojownicy skierowali latarnie na Cholika. Niektóre miały soczewki skupiające i zaświeciły kapłanowi prosto w twarz. Zamrugał, ale nie unióś rąk, by zasłonić oczy.

– To moja osobista straż - wyjaśnił lord Darkulan. - Nie chcą cię skrzywdzić. W rzeczy samej myślałem, że po dzisiejszym incydencie docenisz ich obecność.

– Nie - stwierdził Cholik. - Poprosiłeś o spotkanie, a ja przychyliłem się do tej prośby. I ograniczmy się do tego.

– A gdybym nalegał? - spytał lord Darkulan.

Cholik wypowiedział słowa mocy i wyprostował ręce. Z jego palców strzeliły płomienie, podpalając wypełnione tłuszczem kanały wokół głowy węża, która ożyła nagle i pomknęła w stronę strażnika.

Przerażony wojownik rzucił się do tyłu. Jego podkute buty krzesły iskry z posadzki, gdy pędził do swych towarzyszy. Wszyscy tłoczyli się wokół lorda Darkulana, próbując zaciągnąć go w bezpieczne miejsce. Latarnie migotały w wejściu niczym chmura światełek.

– Chcesz, żeby twoja kochanka umarła? - spytał Cholik z kołyszącą się głową węża. - Chcesz, żeby twoja żona została powieszona? Żeby twoje

dobre imię zostało wytarzane w gnoju? Szczególnie gdy mogę temu zapobiec?

Lord Darkulan klął swoich ludzi i wyrywał im się ile sił. Wojownicy niechętnie się cofnęli. Ich dowódcy próbowali przemówić władcy do rozsądku.

Lord zatrzymał się przy wejściu i popatrzył na Cholika górującego na głowie węża. Pysk gada otaczały płomienie i Cholik wiedział, że w ciemnej świątyni musi być to przerażający widok.

– Słyszałem, że dziś rano zostałeś zabity - stwierdził lord Darkulan.

Cholik rozłożył szeroko ręce, bawiąc się odgrywaniem roli.

– Czy wyglądam jak martwy, lordzie Darkulanie?

– Pewnie jest zombie - mruknął jeden ze strażników.

– Nie jestem zombie - zaprzeczył Cholik. - Podejdź bliżej, lordzie Darkulanie, a usłyszysz bicie mojego serca. Może, skoro mi nie wierzysz, pozwolę ci mnie zranić. Zombie i nieumarłe potwory nie krwawią tak, jak ludzie.

– Czemu moi ludzie nie mogą mi towarzyszyć? - spytał lord Darkulan.

– Ponieważ, jeśli mam uratować tych, dla których pragniesz ocalenia... jeśli mam uratować ciebie, lordzie Darkulanie... musisz mi zaufać. - Cholik czekał, starał się ukryć, jak ważna była dlań decyzja lorda. Zastanawiał się, czy Kabraxis się temu przygląda, ale od razu uświadomił sobie, że nie jest to właściwe pytanie. Właściwe pytanie brzmiało, skąd demon się przygląda.

Lord Darkulan wziął latarnię od jednego ze swoich ludzi, przez chwilę zbierał się na odwagę, po czym wszedł do katedry.

– Skąd wiesz tyle o moich sprawach i sprawach stanu? - spytał ostro.

– Jestem Wskazującym Drogę - stwierdził Cholik. - Wybrany przez samego Dien-Ap-Stena. Jak mógłbym nie wiedzieć?



– Kilku z moich doradców sugeruje, że ty i ten Kościół stoicie za kłopotami, które mnie dręczą.

– Czy im wierzysz, lordzie Darkulanie?

Lord zawahał się.

– Nie wiem.

– Tego ranka widziałeś mnie martwego, przebitego bełtem wystrzelonym przez podstępного zabójcę. A jednak stoję tutaj. Jestem cały, żywy i gotowy, by ci pomóc w godzinie próby, mój panie. A może powinienem odwrócić się od ciebie, jak ty odwróciłaś się od Dien-Ap-Stena i tego Kościoła, gdy tu przybyliśmy. - Cholik przerwał. - Mógłbym to zrobić. Kilku moich doradców twierdzi, że ten zabójca, który próbował mnie dziś zabić, został wynajęty przez ciebie, i że zazdrościsz mi mojej mocy i szacunku, jakim darzą mnie twoi poddani.

– To kłamstwa - odparł lord Darkulan. - Nigdy nie byłem człowiekiem, który ukrywa swoje intencje.

– A czy lady Darkulan dzieli tę opinię na twój temat? - zapytał cicho Cholik.

Dłoń lorda opadła na rękojeść miecza. Jego głos stał się szorstki i twardy.

– Nie nadużywaj swojego szczęścia, klecho.

– Dziś spojrzałem w oczy śmierci, lordzie Darkulanie. Twoje pogrożki nie robią na mnie wrażenia. Wiem, że kroczę ramię w ramię z Dien-Ap-Stenem.

– Mogę wygnać cię z tego kościoła - rzucił ze złością Darkulan.

– Jest więcej wiernych, tutejszych i przyjezdnych, którzy by do tego nie dopuścili, niż zbrojnych, których zdołałbyś zebrać, aby tego dokonać.

– Nie wiesz...

– Nie - przerwał Cholik, sprawiając, że kamienny wąż uniósł się nad lordem. - To ty nie wiesz, z kim masz do czynienia.

Wąż otworzył paszczę pełną kłów i splunął ogniem na kamienną posadzkę tuż przy strażnikach, którzy pospiesznie się cofnęli.

– Potrzebujesz mnie - powiedział Cholik do lorda Darkulana. - I potrzebujesz zbawienia, które może ofiarować ci Dien-Ap-Sten. Jeśli ocalisz swoją kochankę, ocaleje też twoja żona. A jeśli ocalisz obie kobiety, ocalisz swoją władzę.

– Popełniłem błąd, pozwalając ci zostać tutaj - stwierdził lord Darkulan. - Powiniennem kazać cię wygnać z miasta.

– Po pierwszej pełnej cudów nocy - odpowiedział Cholik - nie byłbyś w stanie tego uczynić. Dien-Ap-Sten i Droga Marzeń dają ludziom moc. Bogactwo i zaszczyty. Wszystko w zasięgu ręki. Zdrowie dla chorych, kalekich i konających. - Rozkazał węzowej głowie ułożyć się na ziemi.

Lord Darkulan zrobił krok do tyłu, ale w miejscu, gdzie ogień dotknął podłogi, wciąż wily się płomienie. Władyka został oddzielony od swoich ludzi, lecz Cholik miał ponurą świadomość, że niektórzy ze strażników mieli kusze i noże, którymi mogli ranić z dystansu.

– Przyjść tutaj dziś w nocy to jedyne, co mogłeś zrobić - oznajmił. Zszedł z ambony na karku węża.

Gad leżał cichy i nieruchomy, ale wściekle płonące oczy poruszały się i obserwowały. Jego język, tłąc się i dymiąc, strzelał z pyska, aby posmakować powietrza. Okruchy ciemnopomarańczowego żaru wirowały w nieruchomym powietrzu ciemnej katedry, zamieniając się w popiół, nim dotarły do sufitu. Od kamiennego gada biło ciepło.

Cholik stanął przed nim, świadom, że ożywiony stwór jest znacznie większy od niego - teraz kapłan wyglądał jak cień stojący przed przerażającą bestią.

– Być może, lordzie Darkulanie, sądzisz, że przychodząc tu, przypieczętowałeś swoją zgubę - powiedział cicho Cholik.

Władyka nic nie odpowiedział. Strach wyrzeźbił na jego twarzy głębokie cienie.

– Zapewniam cię - rzekł Cholik - że jest całkiem na odwrót: właśnie zapewniłeś sobie przyszłość. - Wskazał na gada i poczuł nagłe uderzenie ciepła, gdy stwór otworzył paszczę. - Chodź ze mną, lordzie Darkulanie. Oddaj swoje zmartwienia i obawy Dien-Ap-Stenowi, który je zabierze.

Lord Darkulan nie ruszył się z miejsca.

– Byłeś tu dziś - mówił Cholik. - Widziałeś, jakich cudów Dien-Ap-Sten dokonał na Czarnej Drodze, rozdzielając dwóch chłopców, zrosniętych ciałami. Czy widziałeś kiedyś coś podobnego?

– Nie - odparł lord z drżeniem.

– Czy słyszałeś o czymś takim?

– Nigdy.

– Z Dien-Ap-Stenem przy boku - obiecywał Cholik - człowiek idący Drogą Marzeń może zrobić wszystko.

Wyciągnął rękę.

– Chodź ze mną, abym mógł pokazać ci jeszcze większe cuda.

Na twarzy lorda odmalowało się wahanie.

– Rano - powiedział Cholik - będzie już za późno. Trucizna zabierze życie twojej kochance. Jej ojciec zażąda w zamian życia twojej żony.

– Jak zdołam je ocalić, idąc z tobą?

– Na Drodze Marzeń - odpowiedział Cholik - wszystko jest możliwe. Chodź.

Starając się nie okazywać strachu, lord Darkulan podszedł i pozwolił Cholikowi poprowadzić się za ramię.

– Bądź dzielny, lordzie - powiedział kapłan. - Ujrzysz cuda, które ludzkie oczy rzadko mają okazję oglądać. Wstąp w paszczę węża, uwierz, a już nigdy nie zaznasz strachu.

Lord Darkulan szedł o pół kroku za Cholikiem. Przeszli między ostrymi kłami węża i wzdłuż czarnego, dymiącego języka aż do gardła, gdzie długim korytarzem zaczynała się więc Czarna Droga.

– Gdzie jesteśmy? - zapytał lord.

– Na Drodze Marzeń - odparł Cholik. - Musimy odnaleźć twoje przeznaczenie. Aby sprostać naukom Dien-Ap-Stena, trzeba być silnym człowiekiem. Ale później staniesz się jeszcze silniejszy.

Korytarz rozszerzał się i zmieniał kilka razy, ale Czarna Droga pod nogami Cholika wciąż była taka sama. Rozmawiał z kilkoma wyznawcami, którzy przeszli tędy, i każdy z nich opisywał ją inaczej. Jedni wspominali o korytarzach, podczas gdy drudzy zostali podobno zabrani w inne miejsca, jakich nigdy nie widzieli i mieli nadzieję już więcej nie ujrzeć.

Przed nimi wzeszło zielone słońce i nagle nie byli już w korytarzu. Czarna Droga wspinała się teraz na zbocze klifu. Ścieżka wznosiła się tak wysoko, że chmury zasłaniały widok poniżej. A jednak nad nimi wciąż wznosił się stromy, górski szczyt. Jego wierzchołek pokrywał lód.

Lord Darkulan się zatrzymał.

– Chcę zawrócić.

– Nie możesz - odpowiedział Cholik. - Spójrz. - Odwrócił się w stronę, z której przyszli.

Po Czarnej Drodze pięły się płomienie, tańczyły i skręcały się na wysokość trzykrotnie przewyższającą człowieka.

– Pozostaje ci tylko iść do przodu - wyjaśnił Cholik.

– Popełniłem błąd - stwierdził lord Darkulan.

– To nie był pierwszy - odparł Cholik.

Obróciwszy się gwałtownie, Darkulan uniósł swój miecz, zatrzymując go zaledwie o cale od odsłoniętego gardła Cholika.

– Wyprowadzisz mnie stąd natychmiast albo zdejmę ci głowę z karku!

Świadom opieki, jaką roztaczał nad nim Kabraxis, Cholik chwycił za miecz. Ostrze wgrzyzło mu się w dłoń. Krew spłynęła po kłindze i poczęła kapać na Czarną Drogę, a każda kropla wybuchała ognistą kulą wielkości pięści.

– Nie - powiedział Cholik - nie zrobisz tego. - Przez jego ciało przepływała moc, natychmiast rozgrzewając miecz do czerwoności.

Lord Darkulan, krzyżąc z bólu, wypuścił broń i zatoczył się. Z niedowierzaniem patrzył na swoją poparzoną rękę.

Cholik ignorował potworny ból we własnej dłoni, zignorował smród spalonego ciała i unoszący się dym. Jemu podczas podróży Czarną Drogą, na które zabierał go Kabraxis, przytrafiały się o wiele gorsze rzeczy. Czasami wciąż czuł pazury demona wbijające się w jego mózg, drapiące wewnątrz czaszki.

Cholik wyrzucił miecz władcy za krawędź klifu. Wyciągnął poparzoną, krwawiącą rękę.

– Jesteś szalony - wychrypiał z niedowierzaniem lord Darkulan.

– Nie - stwierdził spokojnie Cholik. - Wierzę w Dien-Ap-Stena i moc Drogi Marzeń. - Podniósł wysoko dłoń. A gdy na nią spojrzął, brzegi rany zeszyły się, a poparzenia zagoiły i znikły. Dłoń znów była zdrowa. - Ty też możesz uwierzyć. Wyciągnij rękę i uwierz w to, co ci mówię.

Drżąc z przerażenia i bólu, lord Darkulan podniósł dłoń.

– Uwierz - powtórzył Cholik łagodnie. - Uwierz, a otrzymasz moc, aby się uleczyć i położyć kres cierpieniu.

Lord Darkulan skoncentrował się. Na jego czole skropił się pot.

– Nie mogę - wyszeptał z trudem. - Proszę, błagam cię. Zabierz ból.

– Nie mogę - odrzekł Cholik. - To twoje zadanie. Wystarczy, że z własnej woli przyjdiesz do Dien-Ap-Stena. Potrzebujesz tylko trochę wiary. Zaufaj.

Wtedy dłoń lorda Darkulana zaczęła się goić. Poparzenia pokryły się strupami, które odpadły, ukazując zdrowe ciało w miejscu, gdzie przed chwilą była poczerniała skóra.

– Zrobiłem to. - Lord Darkulan z niedowierzaniem patrzył na swoją dłoń. Palce wciąż mu drżały.

– Tak - stwierdził Cholik. - Ale najgorsze dopiero przed tobą.

Półka bez ostrzeżenia odłamała się i obaj zaczęli spadać do otchłani nad chmurami.

Lord Darkulan zaniósł się krzykiem.

Cholik panował nad swoim strachem. Wkroczył na Czarną Drogę. Wojownicy i kapłani przyjęci do wewnętrznego kręgu doświadczali gorszych rzeczy. Wszyscy mężczyźni, którzy dotarli do tego punktu, musieli przeżyć koszmar będący ich największą tajemnicą.

Długi upadek przez wełniste chmury nie zakończył się bolesnym roztrzaskaniem się o poszarpane kły skał, jak spodziewał się Cholik. Miast tego wylądował lekko jak piórko pośrodku bagna skąpanego w blasku księżyca, pod czystym nocnym niebem.

Lord Darkulan wpadł w bagnisko z impetem, chlapiąc czarnym mułem na wszystkie strony.

Cholik martwił się, że tym razem coś poszło nie tak. Poddawani inicjacji umierali czasem na Czarnej Drodze, ale zwykle Kabraxis starannie wybierał tych, którzy mieli zostać wprowadzeni do wewnętrznego kręgu.

– Wszystko w porządku - powiedział demon. - Daj mu jeszcze chwilę. Znalazłem to miejsce i wydarzenie w głęboko ukrytym zakamarku, gdzie rzadko ostatnio zaglądał. Obserwuj.

Cholik czekał, zadziwiony, że możnowładca może utrzymać się na powierzchni bagniska.

Lord Darkulan wyrwał jedną rękę z błota i zacisnął ją na wpółzanurzonej pniu drzewa, które padło w tym miejscu przed laty. Błoto pokrywało jego głowę i twarz, nic nie zostało z władcy, był tylko przerażony do utraty zmysłów mężczyzna.

Lord Darkulan wyciągnął rękę do Cholika.

– Pomóż mi! Szybko!

– Czego się boi? - spytał Cholik Kabraxisa. Żaden z nich nie ruszył się, by pomóc lordowi. - Bagno nie jest tak głębokie, żeby się w nim utopił.

– Boi się przeszłości - wyjaśnił demon. - I powinien.

Lord Darkulan z przerażeniem obejrzał się przez ramię. Na wystające z trzęsawiska nagie, martwe drzewa, na krzaki o szarych, poskręcanych liściach sterczące na brzegu. Na szkielety drobnych zwierząt, leżących w błocie i na brzegach, na świeże truchelka, na których wciąż zostało trochę ciała i sierści. Na martwe ptaki zwisające do góry nogami z nagich gałęzi. Na zdechłe żaby.

Lord Darkulan krzyknął i nagle coś wciągnęło go w grzęzawisko. Na powierzchni pojawiły się bąbelki.

– Umrze tutaj? - spytał Cholik.

– Owszem - odpowiedział Kabraxis - jeśli go nie uratuję. Nie pokona tego koszmaru. Jest dla niego zbyt silny.

Ręka mężczyzny wystrzeliła znowu z bagna i natrafiła na pień drzewa, lord zdołał wydźwignąć się z kipieli. Kiedy się ukazał na powierzchni, do jego pleców uczepiony był szkielet.

Lata w bagnie sprawiły, że skóra kobiety wyglądała jak wygarbowana. Cholik wiedział, że nieboszczka kiedyś mogła być ładna, ale teraz nic na to nie wskazywało. Miękka błękitna sukienka mogła opinać kobiece kształty, lecz teraz lepiała się do wychudzonego ciała potwora, który uczepił się pleców lorda Darkulana. Martwa kobieta przysunęła się doń, pokazując

zęby. Wsunęła pomarszczony język, który dotknął jego ucha, po czym wycofała go pomiędzy połamane zęby. A potem ugryzła, zgniatając płatek ucha jak winogrono i rozbryzgując wokół szkarłat.

Lord Darkulan krzyczał z bólu i młócił ramionami, rozpaczliwie próbując zrzucić ją z siebie i wspiąć się na pień.

– Pomóż mi! - zawołał.

– Kim jest ta kobieta? - zaciekawiał się Cholik.

– Kiedyś - wyjaśnił Kabraxis - była jego kochanką. On był wtedy młodzieńcem, jeszcze się nie ożenił. Ona miała na imię Azyka i była córką sklepiarza bez żadnego pochodzenia. Kiedy lord Darkulan miał się już zenić, powiedziała mu, że nosi jego dziecko. Wiedząc, że nie może sobie na to pozwolić, Darkulan zabił ją i wrzucił ciało do bagna w okolicach Bramwell.

– Dziewczyny nigdy nie odnaleziono? - spytał Cholik.

– Nie.

Cholik przyglądał się, jak przerażony lord próbuje utrzymać się na porośniętym mchem pniu drzewa. Trup wciągał go coraz głębiej w grzęzawisko. Cholika nie zdziwiła historia opowiedziana przez Kabraxisa. Jako kapłan Zakarum, dobrze znał specjalne przywileje rządzących. W historii Zachodniej Marchii zapomniano o kilkunastu morderstwach, a kilkunastu morderców zostało rozgrzeszonych specjalną dyspensą Kościoła.

– Pomóż mi! - wrzasnął lord Darkulan.

Kabraxis podszedł. Jego wielkie stopy pozostawiały tylko słabe zmarszczki na powierzchni bagniska i nawet się nie zamoczyły.

– Lordzie Darkulanie - zawołał demon.

Lord podniósł wzrok i po raz pierwszy zobaczył demona. Zamarł, ale martwa kobieta szarpiąca jego ucho na drobne, krwawe kawałki nie



pozwołała mu przerwać zmagania. Walcząc z nią, stracił uchwyt na pniu i wpadł w bagno po brodę. Włosy kobiety unosiły się na powierzchni błocka.

– Lordzie Darkulanie - powtórzył demon - jestem Dien-Ap-Sten. Jestem twoim zbawieniem.

– Nie jesteś zbawieniem! - krzyknął lord Darkulan. - Jesteś demonem!

– A ty toniesz - stwierdził Kabraxis. - Przyjmij mnie albo giń.

– Nie zostanę oszukany przez jedną z twoich iluzji...

Martwa kobieta wyciągnęła ręce zza pleców Darkulana, wplotła kościste palce w jego włosy i szarpnęła. Lord Darkulan zniknął pod powierzchnią czarnego błota. Kabraxis stał i czekał cierpliwie.

Cholik myślał, że już po wszystkim, że lord znalazł śmierć w bagnie za sprawą ducha dziewczyny, którą zamordował przed wielu laty. Chłód bagna sprawił, że Cholik zaplótł ramiona na piersi. Choć już wiele razy trafiał na Czarną Drogę, nadal nie mógł się do tego przyzwyczaić. Za każdym razem było inaczej, każdy strach był wyjątkowy.

Ręka Darkulana przebiła powierzchnię błota, a dłoń Kabraxisa była tam, gdzie mężczyzna mógł się jej chwycić. Demon bez trudu wyciągnął lorda z błocka, razem z wczepionym weń trupem.

– Życie albo śmierć - powiedział Kabraxis spokojnym tonem. - Wybór należy do ciebie.

Lord Darkulan zawahał się tylko przez chwilę.

– Życie. Niech mi Światłość wybaczy, chcę żyć.

Na straszliwej twarzy demona pojawił się okrutny uśmiezek.

– *Ja* ci wybaczam - zaszydził i dalej wyciągał zabłoconego, okrwawionego lorda z bagna. Martwa kobieta wciąż się trzymała, szarpiąc mu ucho i drapiąc pazurami twarz.

Kabraxis jednym ciosem zrzucił trupa z pleców lorda Darkulana. I nagle wszyscy znaleźli się na równej, stabilnej powierzchni Czarnej Drogi,

wijącej się przez wysokie góry. Po bagnie nie został nawet ślad.

Lord Darkulan poddał się przerażeniu. Drżał, obawiając się gniewu demona.

– Nie zabijaj mnie - błagał.

– Nie zabiję cię - zapewnił Kabraxis, rzucając władykę na kolana. - Oddam ci twoje życie.

Drżąc, lord Darkulan klęczał przed demonem.

– Jesteś słaby - mówił Kabraxis głębokim tonem. - Ja będę twoją siłą. - Demon otoczył głowę lorda jedną ze swoich wielkich dłoni. - Nie wiesz, gdzie zmierzasz. Ja będę twoim celem. - Palce zmieniły się w szpikulce. - Ty sam i twe dziecięce pragnienia uczyniły cię słabym. Ja zrobię z ciebie mężczyznę, przywódcę ludzi. - Jednym ruchem nadgarstka demon wbił ostre palce w czaszkę lorda Darkulana. Po twarzy mężczyzny spływała krew, mieszając się z błotem. - Umysł, ciało i dusza należą do mnie.

Ciemne niebo nad nimi przecięła błyskawica, po której natychmiast nastąpił odgłos grzmotu, zagłuszający wszystkie inne dźwięki. Czarna Droga drżała pod stopami Cholika, który przez przerażającą chwilę obawiał się, że zawali się pod nimi cały górski grzbiet.

Wtedy błyskawica i grzmot znikły, a Kabraxis wyciągnął zakończone szpikulcami palce z głowy lorda Darkulana.

– Powstań - nakazał - i zacznij nowe życie, które ci dałem.

Lord Darkulan powstał, a gdy to robił, znikło z niego błoto, krew i zmęczenie. Stał wyprostowany, spokojny.

– Słucham i jestem posłuszny.

– Pozostaje jeszcze tylko jedno - powiedział Kabraxis. - Musisz nosić mój znak, bym mógł cię strzec.

Lord Darkulan bez wahania zdjął tunikę, kolczugę i koszulę, by odsłonić pierś.

– Tutaj - zaproponował. - Nad sercem, byś był blisko mnie.

Kabraxis położył dłoń na piersi lorda Darkulana. Kiedy ją cofnął, na skórze widniał tatuaż - znak demona.

– Jesteś w mej służbie - oznajmił demon.

– Aż do końca mych dni - dokończył władcyka.

– Idź, lordzie Darkulanie, i wiedz, że masz moc uleczyć kochankę i zapobiec kaźni żony. Upuść sobie trochę krwi, wymieszaj ją z winem i daj do wypicia. To ją uzdrowi.

Lord Darkulan zgodził się i jeszcze raz potwierdził nieustanną lojalność wobec demona, po czym podążył Czarną Drogą do wyjścia w pysku węża. Cholik znowu ujrzał na jej drugim końcu wewnątrz katedry.

– Teraz go masz - powiedział Cholik, patrząc, jak lord Darkulan dołącza do strażników.

– Mamy go - zgodził się Kabraxis.

Cholik z zaskoczeniem uświadomił sobie, że demon nie wydawał się zadowolony.

– Coś się stało?

– Dowiedziałem się o pewnym człowieku - powiedział demon. - Taramis Volken. Jest łowcą demonów i trafił na mój ślad.

– Jak?

– Nieważne. Po dzisiejszym wieczorze już nie będzie dla mnie kłopotem. Ale po tym, jak ten poparzony człowiek próbował cię dziś zabić, czego nie przewidziałem, chyba powinieneś wzmocnić ochronę kościoła. - Kabraxis przerwał. - Lord Darkulan powinien być bardziej niż chętny do pomocy.

– W kościele nie da się zapewnić zupełnego bezpieczeństwa - sprzeciwił się Cholik. - Wpuszczamy zbyt wielu ludzi, nie możemy ich wszystkich zidentyfikować i sprawdzić.

– Postaraj się - nakazał krótko Kabraxis.

– Oczywiście. - Cholik pochylił głowę, a demon znikł z pola widzenia. Myśli zaroily się w jego głowie jak rozdrażnione pszczoły. Kim był ten łowca demonów, którego obawiał się Kabraxis? Podczas minionego roku Cholik nigdy nie widział, by demon czymś się niepokoił. Ta sprawa była zadziwiająca i budziła niepokój mimo zapewnień Kabraxisa, że już się tym zajął.

A jak Kabraxis zajął się człowiekiem, który na niego polował?

# DZIEWIĘTNAŚCIE



Choć Darrickowi zdarzało się jeździć konno parę razy, gdy zatrudniał się przy karawanach, nigdy nie przyzwyczał się do szarpiącego kroku wierzchowców. Nawet pokład statku w czasie burzy wydawał mu się stabilniejszy niż zwierzę pod nim, kiedy szło przez porastający wzgórze las.

Całe szczęście, podążało po wąskiej ścieżce śladem konia Taramisa Volkena i zupełnie nie wymagało od Darricka pomocy przy wybieraniu kierunku. Marynarz żałował tylko, że nie potrafi spać w siodle, jak niektórzy towarzyszący im ludzie.

Poprzedniej nocy w „Błękitnej Latarni” Darrick nie domyśliłby się, że Taramis dowodzi sporą grupą, która obozowała pod Przylądkiem Poszukiwacza. Kiedy jednak przekonał się o ich umiejętnościach i oddaniu misji, zrozumiał, jakim sposobem pozostali niezauważeni.

Szlakiem jechali gęsiego. Dwa konie bez jeźdźców oznaczały, że piesi zwiadowcy sprawdzali drogę przed resztą drużyny. Wszyscy jechali w niemal zupełnej ciszy, gdyż ich wyposażenie zostało starannie owinięte szmatami, by nic nie dzwoniło czy nie brzęczało. Mężczyźni patrzyli twardo, byli niczym wilki polujące w stadzie.

Darrick wyprostował się w siodle, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję. Jechał przez całą noc. Kilka razy zdrzemnął się w siodle, gdy

zmęczenie w końcu zwyciężyło strach przed upadkiem. Budził się jednak chwilę później, czując, że zsuwa się z końskiego grzbietu.

W ciszy lasu zabrzmiał gwizd ptaka.

Darrick bez trudu wyłowił ten odgłos spośród innych, a rozpoznał, że jest on fałszywy tylko dzięki temu, iż wcześniej słyszał identyczny. Gwizd pochodził od jednego z dwóch zwiadowców. Nocą do porozumiewania się używali pohukiwania sowy, ale tego ranka wybrali zawołania niewielkiego strzyżyka o rudym gardziołku, którego marynarze czasem trzymali na statkach.

Zwiadowca wyszedł z lasu i znalazł się obok Taramisa Vol-kena, z łatwością dotrzymując kroku długonogiemu koniowi. Rozmawiali przez chwilę, po czym zwiadowca ponownie zniknął. Taramis nie wyglądał na zmartwionego, więc Darrick spróbował się rozluźnić. Mięśnie miał zeszywniałe po ciężkiej pracy poprzedniego dnia i od całonocnej jazdy. Bardziej niż cegokolwiek pragnął zejść z siodła. Żałował, że nie pozostał w Przylądku Poszukiwacza. Nie pasował do tych mężczyzn. Wszyscy byli zaprawionymi wojownikami, a z tego, co podsłuchał z ich rozmów, wywnioskował, że mówili o wcześniejszych bitwach z demonami, choć nie tak potężnymi jak Kabraxis.

Darrick wypuścił powietrze z płuc, patrząc, jak w chłodnym powietrzu poranka pojawia się mgiełka. Nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego Taramis ciągnął go ze sobą, skoro miał tylu wojowników.

Kawałek dalej szlak doprowadził grupę na niewielką polankę. Pomiędzy pieńkami wyciętych drzew stał mały dom kryty strzechą. Ziemia na południe od budynku została oczyszczona pod uprawy. Obecnie rosły tam cebula i marchew, ale pozostały też ślady hodowanej latem winorośli. Na tyłach ogrodu znajdowały się małe drzwi wprawione w zbrocze

niewielkiego pagórka, które zdaniem Darricka musiały prowadzić do piwnicy. Miejsce między ogrodem a niedużą stodołą zajmowała studnia.

Ze stodoły wyszli starzec i młodzik. Byli na tyle do siebie podobni, że Darrick uznał ich za rodzinę, pewnie dziadka i wnuka.

Stary niósł widły i wiadro na mleko. Oddał wiadro chłopcu i machnięciem ręki kazał wrócić do stodoły. Starzec był łysy, ale miał długą siwą brodę. Nosił ubrania z jeleniej skóry, lecz spod kurty wystawała fioletowa koszula.

– Niech was Światłość błogosławi - powiedział, nie wypuszczając wideł z dłoni. W oczach miał błysk obawy, ale pewność, z jaką trzymał narzędzie, mówiła Darrickowi, że stary jest przygotowany na kłopoty.

– I niech ciebie Światłość błogosławi - odrzekł Taramis, ściągając wodze konia w pełnej szacunku odległości od starca. - Nazywam się Taramis Volken i jeśli dobrze zrozumiałem wskazówki, ty jesteś Ellig Barrows.

– Ano - odpowiedział tamten, nie zmieniając pozycji. Spoglądał jasnoniebieskimi oczami na wojowników i Darricka. - A jeśli ty jesteś tym, kim twierdzisz, to słyszałem o tobie.

– Jestem. - Taramis zsunął się zręcznie z konia. - Mam dokumenty, które to potwierdzają. - Sięgnął pod koszulę. - Noszą pieczęć króla.

Stary mężczyzna uniósł dłoń. Taramisa otoczył szafirowy blask. Wokół mędrca utworzyła się rubinowa aura, nie dopuszczająca do niego błękitu. Po chwili czerwień przygasła i zupełnie znikła.

– Przepraszam - powiedział Taramis. - Wooten powiedział mi, że jesteś ostrożny.

– Nie jesteś demonem - stwierdził Ellig Barrows.

– Nie - zgodził się Taramis. - Niech Światłość je oślepi, spęta i skaże na wieczne płomienie. - Splunął.

– Witam was w naszym domu - powiedział Ellig. - Jeśli ty i twoi ludzie jeszcze nie jedliście, przygotuję dla was śniadanie.

– Nie chcielibyśmy się narzucać - stwierdził Taramis.

– To nie narzucanie się - zapewnił go starzec. - Jak możesz sam stwierdzić po szlaku, który was tu doprowadził, rzadko miewamy tu gości.

– Musisz wiedzieć coś jeszcze - zawahał się Taramis. Ellig przyjrzał mu się.

– Przybyłeś po miecz. Już to odczytałem. Wejdz, porozmawiamy. Potem zastanowimy się, czy go dostaniesz.

Taramis gestem nakazał swoim ludziom zsiąść z koni. Darrick też zsunął się z siodła. W drzewach nad ich głowami gwizdał wiatr.



Cholik znalazł Kabraxisa w jednym z ogrodów na dachu. Demon zaplótł ramiona na potężnej piersi i patrzył na północ. Dzięki zaklęciu iluzji nikt z dołu go nie widział.

Cholik zatrzymał się i wyjrzał za krawędź dachu. Ujrzał nieprzerwany strumień wiernych wpływający do budynku.

– Posłałeś po mnie? - Cholik zatrzymał się przy demonie. Kabraxis oczywiście tak zrobił, bo inaczej Cholik nie usłyszałby w głowie jego głosu, kiedy przygotowywał się do modłów.

– Tak - odrzekł Kabraxis. - Zajmując się człowiekiem, o którym się dowiedziałem, odkryłem jeszcze coś interesującego.

– Taramis Volken? - spytał Cholik. Pamiętał imię łowcy demonów z rozmowy poprzedniego wieczora.

– Tak. Ale w drużynie Taramisa Volkena jest jeszcze jeden człowiek, którego rozpoznaję. Chciałem, żebyś ty też na niego spojrział.



– Oczywiście.

Kabraxis odwrócił się i przeszedł po dachu do jednej z sadzawek. Przesunął nad nią ręką i cofnął się o krok.

– Patrz.

Cholik podszedł bliżej, ukląkł i spojrzał na powierzchnię sadzawki. Pokrywały ją zmarszczki. Zaraz jednak tafla wygładziła się, a Cholik zobaczył odbicie błękitnego nieba.

A potem mały domek ukryty pod wysokimi jodłami, klonami i dębami. Na zewnątrz siedzieli wojownicy, wszyscy twardzi i zmęczeni długą podróżą. Cholik od razu zrozumiał, że było ich zbyt wielu, by mieszkali w domku. Byli zatem gośćmi, ale nadal nikogo nie rozpoznawał.

– Czy go widzisz? - spytał Kabraxis.

– Widzę wielu ludzi - odrzekł Cholik.

– Tutaj. - Kabraxis zrobił niecierpliwy gest.

Powierzchnia sadzawki zmarszczyła się i zamgliła, a potem znów wygładziła. Tym razem obraz skoncentrował się na bladym młodzieńcu z rudawymi włosami splecionymi w warkoczyk. Oparłszy się o potężny dąb, drzemał chyba, z kordelasem na kolanach. Jedną z jego brwi przecinała poszarpana blizna.

– Rozpoznajesz go? - spytał Kabraxis.

– Tak - odrzekł Cholik. - Był w Porcie Tauruka.

– A teraz jest z Taramisem Volkenem - dodał Kabraxis.

– Znają się?

– Nic o tym nie wiedziałem. Jak sędzę, Taramis Volken i ten człowiek, Darrick Lang, spotkali się wczoraj w Przylądku Poszukiwacza.

– Twoi szpiedzy obserwują łowcę demonów? - upewnił się Cholik.

– Oczywiście, kiedy sam go nie obserwuję. Taramis Volken jest niebezpiecznym człowiekiem, a jego misja dotyczy nas. Jeśli dostanie to,

czego szuka w domu tego rolnika, jego kolejnym ruchem będzie przybycie tutaj.

– Czego szuka?

– Burzogniewu.

– Tego magicznego miecza, który odpędził hordę barbarzyńców setki lat temu? - zdziwił się Cholik. W myślach już szukał powodów, dla których Kabraxis miałyby się zainteresować mieczem i skąd wzięło się przypuszczenie, że łowca demonów miał zamiar ruszyć za nimi.

– Tego samego. - Ohydną twarz demona wykrzywił grymas.

Cholik uświadomił sobie, że demon obawiał się miecza i tego, czego mogła ta broń dokonać, ale wiedział też, że nie odważy się o tym wspomnieć. Rozpaczliwie próbował usunąć tę myśl z umysłu, nim demon ją wyczuje.

– Miecz może być problemem - stwierdził Kabraxis - ale moje służby nawet teraz zbliżają się do Taramisa Volkena i jego bandy. Nie uciekną, a jeśli miecz tam będzie, moi słudzy go odbiorą.

Cholik myślał. Starannie dobierał słowa.

– Dlaczego miecz stanowi zagrożenie?

– To potężna broń - powiedział Kabraxis. - Został wykuty setki lat temu przez kowala napełnionego mocą Światłości i zwrócony przeciw hordzie barbarzyńców oraz Ciemności, której oddawali cześć.

Cholik nagle zrozumiał, jak pasowały do siebie elementy tej układanki.

– Oddawali cześć tobie. To ty byłeś Lodoszponem.

– Tak. A ludzie wykorzystali miecz, by wygnać mnie z tego świata.

– Czy znów mogą to zrobić? - spytał Cholik.

– Teraz jestem potężniejszy niż wtedy. Mimo to upewnię się, że tym razem miecz zostanie zniszczony na zawsze. - Demon przerwał. - Niepokoi mnie jednak ten drugi człowiek.

– Czemu?

– Wróżyłem, by ocenić znaczenie tego, co osiągnęliśmy z lordem Darkulanem - powiedział Kabraxis. - Ten człowiek ciągle pojawiał się we wróżbach.

– Czy widziałeś go od czasu Portu Tauruka?

– Nie, dopiero teraz - stwierdził Kabraxis. - Gdy przywołałem lezanti i kazałem im polować na Taramisa Volkena i jego ludzi. Żeby dać trop lezanti, musiałem obejrzeć drużynę.

Cholik zadrżał na myśl o lezanti. Zawsze sądził, że te stwory istnieją tylko w mitach i legendach.

Miały ponoć powstawać z połączenia trupa kobiety, świeżo zabitego wilka i jaszczura, czego efektem była szybka i krwiożercza chimera sprytniejsza niż jakiegokolwiek zwierzę, o częściowo wyprostowanej sylwetce, ogromnej wytrzymałości i zdolności regeneracji.

– Jeśli dopiero teraz zobaczyłeś tego mężczyznę - zauważył Cholik - to skąd możesz wiedzieć, że jego właśnie widziałeś w swoich wróżbach?

– Czyżbyś wątpił w moje możliwości, Buyardzie Choliku? - spytał ostro demon.

– Nie - odpowiedział szybko Cholik, nie chcąc, by Kabraxis znalazł ujście dla wypełniającej go zimnej furii. - Zastanawiam się po prostu, jak byłeś w stanie odróżnić go od Taramisa Volkena i innych wojowników.

– Ponieważ to potrafię - odrzekł demon. - Tak samo, jak odebrałem czasowi twoje lata i przywróciłem ci młodość.

Cholik patrzył na rozluźnioną twarz młodego mężczyzny w sadzawce. Zastanawiał się, jak tam dotarł, ponad rok od wydarzeń w Porcie Tauruka.

– Martwię się z powodu magii użytej do otwarcia bramy - oznajmił Kabraxis. - Kiedy demony przybywają z Płonących Piekieł, razem z nimi pojawiają się zalążki ich potencjalnego upadku. To kwestia równowagi

między Światłością a Ciemnością. Ta sama równowaga wymaga, by każdy wojownik Światłości miał słabość, którą można wykorzystać przeciw niemu. Od poplecznika Światłości zależy, czy górą będzie jego słabość, czy siła. Tak jak demon decyduje, czy stawić czoła mocy, która może znów wygnać go z tego świata.

– Myślisz, że taka moc została dana temu człowiekowi, ponieważ był tam w nocy, gdy wróciłeś przez bramę do naszego świata? - spytał Cholik.

– Nie. Ten człowiek nie ma takiej mocy. W zasadzie jego dusza ma w sobie potencjał Ciemności. - Demon uśmiechnął się. - W rzeczy samej, gdybyśmy go tu ściągnęli i odpowiednio przekonali, myślę, że mógłby mi służyć. Ma w sobie słabość i siłę. Czuję, że wykorzystanie tej słabości nie byłoby trudne.

– Więc skąd ten niepokój?

– Zbyt wiele elementów może nagle ulec zmianom - powiedział Kabraxis. - Odkrycie przez Taramisa Volkena Burzogniewu samo w sobie jest już złe, a jeszcze człowiek z Portu Tauruka pojawia się wkrótce po tym, jak poparzony człek próbował cię zabić... Muszę rozważyć, jak bardzo groźna może stać się cała sytuacja. Równowaga między Światłością i Ciemnością musi zostać zachowana, a gdzieś tam jest zagrożenie, które trzeba rozpoznać.

Obraz w sadzawce zmienił się. Cholik przyglądał się, jak smukłe postacie lezanti gromadzą się na górskim grzbiecie wokół domku. Lezanti stały przygarbione na dwóch pazurzastych łapach. Ich nogi zginały się do tyłu, jak u konia. Gadzia skóra zmieniała kolory szybko jak u kameleona, pozwalając im z zadziwiającą łatwością wtopić się w otoczenie. Ramiona, głowy oraz niewielkie trójkątne uszy porośnięte były kępami futra, tak jak i część grzbietu, zaś łysy jaszczurczy ogon wił się i skręcał. Pyski pełne były wielkich kłów.

Zabrzmiały kościelne dzwony, oznaczające rozpoczęcie nabożeństwa. Cholik stał, czekając, aż demon rozkaże mu wrócić do świątyni.

– Sytuacja jest pod twoją kontrolą - zapewnił Kabraxisa. - Lezanti nie pozostawią nikogo przy życiu.

– Może - odrzekł Kabraxis. Wskazał ręką na sadzawkę.

Na zaklętym w wodzie obrazie lezanti zaczęły skradać się w stronę wojowników i domku w lesie. Cholik patrzył zahipnotyzowany, świadom, do jakich potworności były zdolne te stwory, zaś katedra pod nimi nadal zapełniała się.



Darrick siedział pod wielkim dębem kawałek od domu i trzymał w ręku głęboki drewniany talerz. Żałował, że budynek nie jest większy albo że nie ma mniej ludzi. Ciemny dym unoszący się z komina był widowym znakiem, że w środku pali się ogień. Darrick nie marzył, ale z chęcią skorzystałby z możliwości spędzenia kilku chwil przy ogniu, by odpędzić chłód, który mu towarzyszył. Szczodrość, jaką Ellig Barrows okazał swoim niespodziewanym gościom, była zadziwiająca. To, że stary miał ochotę zadbać o tak dużą grupę, to jedno, ale bardziej jeszcze zadziwiało to, co był w stanie zrobić. Śniadanie dostali proste: jajka, żylaste kawałki wołowiny, puree ziemniaczane, gęsty brązowy sos i grube pajdy chleba. Było jednak gorące i jak najbardziej potrzebne.

Jak się okazało, zwiadowcy Taramisa zabili w lesie jelenie i opracili je, żeby zastąpić mięso, które zjedli ze spiżarni starca. Nie mieli jednak jak zastąpić chleba i Darrick domyślał się, że żona starego przez kilka dni będzie zajęta pieczeniem, żeby uzupełnić zapasy, które pochłonęli tego ranka.

Darrick wytarł resztę sosu i jajek pozostałym kawałkiem chleba i popił z bułką. Odstawił talerz i rozkoszował się odczuciem sytości i siedzenia na czymś innym niż koński grzbiet. Owinął się kocem wyciągniętym z juków.

Zbliżała się zima z surowej północy. Wkrótce rankami nadciągać będzie mróz i chłód, który wgrzyza się w kości. Darrick trzymał się na uboczu, patrząc, jak inni wojownicy rozdzielają się na małe grupki i rozmawiają między sobą. Zmienili też straże w lesie, upewniając się, że każdy został nakarmiony i miał szansę odpocząć.

Ellig Barrows i Taramis Volken rozmawiali na krytym ganku przed domem. Każdy najwyraźniej chciał ocenić drugiego. Taramis nosił pomarańczowe szaty ze srebrnymi ozdobami. Podczas swoich podróży Darrick słyszał opisy szat Vizjerei, ale żadnej jeszcze nie widział. Zaczarowane stroje chroniły przed zaklęciami i demonicznymi stworami.

Darrick wiedział, że Taramis chce przekonać starca do oddania mu Burzogniewu, miecza ze starej legendy. Choć Darrick niejedno widział podczas służby w marynarce, i to zanim jeszcze ujrzał demona w Porcie Tauruka, nigdy nie natrafił na przedmiot tak cenny i tak legendarny, jak ten miecz. Bawił się, wyobrażając sobie, jak może wyglądać taki artefakt i jakie ma moce. Raz za razem jego myśli wracały do tego samego pytania, dlaczego Taramis uważał, że Darrick powinien wziąć udział w tej wyprawie.

– Darricku! - zawołał Taramis kilka minut później.

Darrick niemal zapadł w drzemkę i trochę żałował, że musi wstać, gdy wreszcie udało mu się oprzeć wygodnie o drzewo. Popatrzył pytająco na mędrca.

– Chodź z nami - poprosił Taramis, wstając i podążając za starcem przez podwórko.

Darrick podniósł się niechętnie i poszedł za Taramisem i Elligiem Barrowsem do wybudowanej na zboczu pagórka piwnicy.

Stary zdjął latarnię ze ściany, zapalił i ruszył po schodkach.

Darrick zawahał się w drzwiach. Jego nozdrza wypełniał mdlący zapach wilgotnej ziemi, ziemniaków, cebuli i przypraw. Nie podobała mu się ciemność zalegająca w piwnicy ani poczucie zamknięcia, które wywoływały w nim rzędy butelek wina i jedzenia w słojach. Jak na właściciela domu pośrodku pustkowia gdzieś na wybrzeżu Zamarzniętego Morza, Ellig Barrows miał wyjątkowo dużą spiżarnię.

– Chodź - ponaglił go Taramis, podążając za starcem na tył piwnicy.

Darrick przeszedł po nierównej, pokrytej kamykami podłodze. Sklepienie było tak niskie, że parę razy zawadził o nie głową i musiał się garbić.

Drugi kraniec pomieszczenia blokował potężny głaz.

– Mój dziad powierzył mi opiekę nad mieczem - rzekł starzec, odwracając się do Taramisa - tak jak i moc do tego niezbędna, którą wraz z zadaniem przekazał mu dziadek. Ja uczę odpowiedzialności i mocy mojego wnuka. Przez setki lat Burzognictw znajdował się w posiadaniu mojej rodziny, czekając na chwilę, gdy będzie potrzebny, by ponownie zmierzyć się z demonem.

– Miecz był potrzebny i wcześniej - przyznał z powagą Taramis. - Ale Kabraxis jest sprytnym demonem i nigdy nie używa tego samego imienia dwa razy. Gdyby Darrick nie zobaczył go w Porcie Tauruka ponad rok temu, nie wiedzielibyśmy, komu teraz stawiamy czoła.

– Lodoszpon był okrutną i złą bestią - stwierdził starzec. - Stare opowieści mówią o rzeziach i okrucieństwach, których się dopuszczał, gdy chodził po świecie.

– Potem pojawił się jeszcze dwakroć - dodał Taramis. - Zanim jeszcze Diabło i jego bracia odnaleźli go i wtrącili z powrotem do Płonących

Piekiel. Teraz tylko miecz zapewni nam taką szansę.

– Wiesz, dlaczego miecz nigdy wcześniej nie został zabrany mojej rodzinie? - zapytał Ellig Barrows. Światło latarni pogłębiało cienie wokół zapadniętych oczu, przez co wyglądał jak kilkudniowy trup.

Darrick zadrżał na tę myśl.

– Miecz nigdy nie pozwolił się zabrać - odpowiedział Taramis.

– Dwóch królów zginęło, próbując go wziąć - stary potwierdził jego słowa.

O tym Darrick nie wiedział. Spojrzał na Taramisa, próbując odczytać coś z wyrazu twarzy mędrca widocznej w bladożółtym świetle latarni.

– Zginęli - stwierdził mędrzec - ponieważ nie rozumieli prawdziwej natury miecza.

– Jak mówisz - odrzekł Ellig Barrows. - Z mieczem wiążą się tajemnice, których nawet ja nie znam. Nie znał ich mój dziadek, a przed nim jego dziadek. A ty przychodzisz do mojego domu i mówisz mi, że wiesz o mieczu więcej niż oni wszyscy.

– Pokaż mi miecz - nakazał Taramis - a sam zobaczysz.

– Tak długo byliśmy odpowiedzialni za miecz. To był prawdziwy ciężar złożony na barki mojej rodziny.

– Bo to ogromna odpowiedzialność - zgodził się Taramis i spojrzał na starca z powagą. - Proszę.

Ellig z westchnieniem odwrócił się do ściany.

– Wasze życie jest w waszych rękach - ostrzegł. Jego palce kreśliły w powietrzu mistyczne symbole. Gdy tylko któryś został zakończony, zaczynał świecić i tonął w kamieniu.

Darrick spojrzał na Taramisa, chcąc zapytać, dlaczego to on został wybrany na świadka tego wszystkiego. Kiedy jednak otworzył usta, ściana piwnicy zamigotała i stała się przejrzysta jak ze szkła.



Ellig Barrows uniósł latarnię i oświetlił pomieszczenie po drugiej stronie. Wewnątrz pulsowała magiczna energia.

Za ścianą, ukryty w cieniach tajemnej komnaty, w niszy wyciętej w pagórku leżał martwy mężczyzna. Śnieżnobiała broda sięgała mu do piersi, a prymitywną kolczugę okrywały skóry zwierząt. Hełm zasłaniał częściowo rysy jego twarzy. Ręce zostały złożone na piersi i ścisnęły rękojeść długiego miecza.

# DWADZIEŚCIA



W ukrytej podziemnej komnacie Elliga Barrowsa Darrick przyglądał się mieczowi. Droga, którą przeszedł Taramis Volken, aby znaleźć tę broń, wydawała się niewyobrażalna, nawet gdy mędrzec mu o tym opowiadał. Miecz wyglądał prosto i nie miał zdobień, wykuty został z rzemieślniczą wprawą, ale bez śladu artyzmu. Ostrze dobre dla piechura, ale bynajmniej nie takie, które wzbudziłoby popłoch wśród demonów.

– Rozczarowany? - Ellig Barrows spojrzał na Darricka.

Darrick zawahał się, nie chcąc go obrazić.

– Spodziewałem się po prostu czegoś więcej.

– Inkrustowanej broni, zapewne? - zapytał starzec. - Czegoś, czego każdy bandyta, jakiego spotkałbyś, zapragnąłby i próbował ukraść? Broni tak wyjątkowej już na pierwszy rzut oka, że każdy wiedziałby, gdzie jest przenoszona i do czego służy?

– Nie myślałem o tym w ten sposób - przyznał Darrick. Ale zastanawiał się także, czy ktoś nie ukradł prawdziwego miecza dawno temu i nie zostawił w zamian barbarzyńskiej podróbki. Zaraz też poczuł się winny tych myśli, ponieważ to by znaczyło, że stary człowiek poświęcił życie bezużytecznym obowiązkom strażniczym.

Ellig Barrows przeszedł przez przejrzystą ścianę.

– Kowal, który wykuł ten miecz, pomyślał o wszystkim. Może Burzogniew nie jest elegancką bronią, ale nie znajdziesz lepszego miecza. Oczywiście poznasz to dopiero, gdy zdołasz go unieść.

Taramis poszedł w ślad za starym mężczyzną.

Darrick po chwili również przeszedł przez magiczną ścianę. Ogarnęło go zimno, gdy ją przekraczał, jakby przedzierał się przez gęsty las.

– Miecz jest chroniony przed intruzami - rzekł Ellig Barrows. - Żaden człowiek nie może go dotknąć ani unieść, jeżeli Kabraxisa nie ma na tym świecie.

– A czy ktoś spróbował? - zapytał Darrick.

– Miecza nie można zabrać - rzekł starzec.

– Co z królami, którzy próbowali?

– Jeden zamordował członków mojej rodziny - stwierdził Ellig Barrows.

- On i wszyscy jego wojownicy umarli dzień później. Światłość nie jest zła jak demony, ale mści się na tych, którzy przeciw niej występują. Inny próbował wyciągnąć ciało Hauklina z miejsca spoczynku. Tym razem Hauklin powstał i zabił wszystkich.

Stojąc w krypcie wykutej w podziemiu, Darrick poczuł obawę. Jaskinie pod Portem Tauruka były większe, a potężne wrota wydawały się bardziej przerażające, jednak zmarły spoczywający z mieczem w dłoniach również wyglądał śmiertelnie groźnie. Darrick z chęcią opuściłby kryptę, wolałby nigdy nie mieć do czynienia ze sprawami natury magicznej.

Zerknął na Taramisa.

– Dlaczego chciałeś, abym tu przyszedł?

– Ponieważ jesteś z tym związany - odparł mędrzec. - Byłeś związany, odkąd ujrzałeś na własne oczy przybycie Kabraxisa do tego świata.

Popatrzył na zmarłego.

– Sądzę, że jesteś tym, który może wziąć miecz Hauklina i użyć go przeciw demonowi.

– Czemu nie ty? - zaproponował Darrick. Pomyślał, że może mędrzec chce go tylko wykorzystać, zaryzykować jego życie, aby odzyskać miecz.

Taramis odwrócił się i sięgnął po broń. Ręka mu zamarła, drżąc zawieszona o parę cali od miecza. Wysiłek, jaki włożył, aby dosięgnąć rękojeści, napiął mięśnie na jego ramieniu. Ból wykrzywił mu twarz. Wreszcie, z rozczarowanym westchnieniem, Taramis się wycofał.

– Nie mogę go wziąć - rzekł mędrzec. - Nie jestem tym wybranym.

Odwrócił się do Darricka.

– Ale wierzę, że ty jesteś.

– Dlaczego?

– Ponieważ Światłość i Ciemność równoważą się wzajemnie.

Taramis westchnął.

– Za każdym razem, gdy moc pojawia się na tym świecie, czy to od Światłości, czy od Ciemności, musi być uzyskana równowaga. Demony przybywają na ten świat, więc powstają także sposoby ich pokonania. Jeżeli Światłość próbuje naruszyć równowagę przez wprowadzenie artefaktu mocy, którego można użyć przeciw Ciemności, moc Ciemności wtrąca się, aby to wyrównać. Ostatecznie jednak równowaga Światłości i Ciemności na tym świecie zależy od nas, ludzi, a to znaczy, że jesteśmy dla niej największym zagrożeniem. Ongiś, gdy Mroczna Trójca pojawiła się na tym świecie w czasach znanych jako Mroczne Wygnanie, anioł Tyrael zebrał magów, wojowników i badaczy na Wschodzie, po czym powołał bractwo horadrimów. Ludzie ci nigdy nie osiągnęliby takiej mocy, gdyby na nasz świat nie zstąpiły demony. Gdyby Tyrael próbował zrobić to przed pojawieniem się Najwyższych Złych, Ciemność znalazłaby środki, aby przywrócić równowagę.

– To nie wyjaśnia, czemu uważasz, że mogę podnieść ten miecz - stwierdził Darrick. Nie wykonał żadnego ruchu, aby sięgnąć po broń.

– Słyszałem o tobie opowieści, gdy przybyłem do Zachodniej Marchii - przyznał Taramis. - Więc zacząłem cię szukać. Ale gdy przybyłem, ty już zniknąłeś. Dogoniłem twój statek, ale nikt z załogi nie wiedział, gdzie jesteś. Nie mogłem rozgłaszać, że cię szukam, ponieważ zaalarmowałbym tym wyznawców Kabraxisa i twoje życie byłoby stracone na próżno. - Urwał, spojrzał Darrickowi w oczy. - A jeżeli chodzi o miecz, może się mylę. Jeżeli tak, nie pozwoli ci się dotknąć. Nie masz nic do stracenia.

Darrick zerknął na Elliga Barrowsa.

– Przed laty miecz został ukryty - rzekł stary człowiek. - Wielu próbowało go ująć tak, jak przed chwilą Taramis. Jeżeli w ich sercach nie było prawdziwego zła, miecz po prostu nie pozwalał im się dotknąć.

Darrick spojrzał na zwłoki i trzymany przez nie prosty miecz.

– Czy kiedykolwiek udało się podnieść miecz Hauklina?

– Nigdy - przyznał Ellig Barrows. - Ani razu nie opuścił jego rąk. Nawet mnie nie udało się go tknąć. Mam tylko go chronić. A po mnie to zadanie przejmie mój wnuk.

– Spróbuj - zachęcił Taramis. - Jeśli nie zdołasz unieść miecza, okaże się, że szukałem na darmo i ujawniłem sekrety, których lepiej nie ujawniać.

– Tak - dodał Ellig Barrows. - Nikt za mojego życia nie przyszedł po miecz. Zacząłem nawet myśleć, że świat o nim zapomniał. Albo że Kabraxis został wygnany stąd na zawsze.

Taramis położył dłoń na ramieniu Darricka.

– Ale demon wrócił. Obaj to wiemy, nieprawdaż? - powiedział. - Demon wrócił, zatem należy chwycić za miecz.

– Lecz czy to właśnie ja jestem wybrany? - Głos Darricka brzmiał ochryple.

– To musisz być ty - potwierdził Taramis. - Nie potrafię wyobrazić sobie kogokolwiek innego. Twój przyjaciel umarł w tamtym miejscu. Musi być powód, dla którego ocalałeś. To równowaga, Darricku. Konieczność, ponieważ Światłość musi zawsze zrównoważyć moc Ciemności.

Darrick popatrzył na miecz. Z pamięci powrócił smród stodoły na tyłach rzeźniczego sklepu ojca. *Nigdy do niczego nie dojdiesz!* – krzyczał ojciec. *Jesteś głupi i powolny, i umrzesz głupi i powolny!* Tamte dni, tygodnie, miesiące i lata przemknęły Darrickowi przez głowę. Ciało przeszył ból, przypominając mu o razach, które wytrzymał i jednak przeżył. Głos ojca prześladował go często w zeszłym roku, a Darrick próbował utopić go w winie i mocniejszych trunkach - z ogromnym trudem i na marne.

Wraz z poczuciem winy za śmierć Mata Hu-Ringa.

Czy to nie było wystarczającą karą? Darrick patrzył na miecz w dłoniach zmarłego.

– A jeżeli nie zdołam podnieść miecza? - Głos mu się rwał.

– Wtedy będę szukał prawdziwego wybrańca - odparł Taramis. - Albo znajdę inny sposób na pokonanie Kabraxisa i jego przeklętego Kościoła Proroka Światłości.

Ale mędrzec wierzył w niego, a Darrick o tym wiedział. Było to niemal zbyt trudne do zniesienia.

Odpędziwszy własne lęki, pogrążył się w odrętwieniu i śmiertelnym wewnętrznym spokoju, jak wtedy, gdy musiał stawić czoła ojcu w stodole w Hillsfar, Darrick podszedł do martwego rycerza. Sięgnął po miecz.

Cał od rękojeści dłoń mu zamarła i uświadomił sobie, że nie może jej przesunąć dalej choćby o włos.

– Nie mogę - powiedział, jednak nie zamierzał się poddać. Rozpaczliwie zapragnął podnieść broń i dowieść, choćby tylko sobie, własnej wartości.

– Spróbuj jeszcze - nakazał Taramis.

Darrick patrzył, jak jego ręka drży z wysiłku. Miał wrażenie, jakby próbował przebić nią kamienną ścianę. Ból wzbierał w nim, ale nie miało to nic wspólnego z mieczem.

*Jesteś głupi i leniwy, chłopcze. Niewart ani czasu, ani zachodu. Nawet jedzenia na ciebie szkoda.*

Darrick walczył z barierą. Naciskał ciężarem całego ciała, ale niczego to nie zmieniło.

– Odpuść - powiedział Taramis.

– Nie - zaprotestował Darrick zdławionym głosem.

– No, chłopcze - wtrącił Ellig Barrows. - Widać nie było ci pisane.

Darrick naprężył się, pragnąc przesunąć dłoń jeszcze choćby o cal, jeśli tylko zdoła. Zdawało mu się, że koniuszki palców wbiją się w ciało. Ból przeszył mu ramię i Darrick zacisnął zęby, żeby się opanować.

*Powinienem ukręcić ci łeb zaraz po urodzeniu, chłopcze. Przynajmniej nie wyrósłbyś mi na taką hańbę.*

Darrick wyciągał ramię, choć ból był śmiertelny.

– Poddaj się - nakazał Taramis.

– Nie! - krzyknął Darrick.

Mędrzec złapał go za ramię, próbując odciągnąć.

– Tylko się zranisz, młodziaku - dodał Ellig Barrows. - Nie możesz tego wymusić.

Cierpienie przytępiło Darrickowi słuch. Wspomnienia Mata spadającego z klifu zalały mu myśli. Darricka wypełniło poczucie winy, zmieszało się z przekonaniem, że jest bezwartościowy, jak nieustannie powtarzał ojciec. Darrickowi przemknęło przez głowę, że ból go zniszczy, rozgniecie w miejscu, gdzie stał. Uwięziło go pragnienie podniesienia miecza, nie sądził, że mógłby się wycofać, nawet gdyby chciał.

I dokąd by poszedł po tym, jak tutaj poniósł porażkę? Nie wiedział.

A potem w głowie zabrzmiał mu spokojny, zimny głos z nutą drwiącego rozbawienia.

*Podnieś miecz, przyjacielu.*

– Mat? - Darrick powiedział to na głos. Był tak zaskoczony głosem przyjaciela, że nawet sobie nie uświadamiał dotknięcia posadzki kolanami, upadku przy zwłokach. Odruchowo zacisnął dłoń na rękojeści, ale rozejrzył się po krypcie w poszukiwaniu Mata Hu-Ringa.

Lecz byli tu tylko Taramis i Ellig Barrows.

– Na Światłość - wyszeptał stary człowiek. - On wziął miecz.

Taramis uśmiechnął się triumfalnie.

– Tak jak ci powiedziałem.

Darrick spojrzał na zmarłego, tak blisko. Zwłoki wydawały się nienaturalnie zimne.

– Weź miecz, Darricku - zachęcił mędrzec.

Powoli, z niedowierzaniem i niepewnością, czy na pewno słyszał Mata, czy też było to zaklęcie, które otwierało barierę chroniącą miecz, czy tylko złuda wyobraźni, Darrick wyjął broń z rąk martwego wojownika. Nie był przyzwyczajony do takiego rodzaju broni, o tej długości klingi, ale i tak pasowała mu do ręki. Wstał, unosząc miecz przed sobą.

Pobrużdżona i ciemna klinga odbiła jednak światło latarni Elliga Barrowsa i zaśniła zmatowiałym srebrem.

Ostrożnie Taramis wyciągnął ramię do miecza, ale zatrzymało się o cal od broni.

– Nadal nie mogę go dotknąć.

Stary człowiek też próbował, ale z tym samym skutkiem.

– Ani ja. Nikomu z mojej rodziny nie udało się dotknąć tego miecza. Za każdym razem, gdy chcieliśmy go przenieść, musieliśmy to robić wraz z ciałem Hauklina. - W jego głosie zabrzmiały nuty smutku.



Dopiero teraz do Darricka dotarło, że zabranie miecza pozbawi starca i jego wnuka zadania, już nie będą mieli o co dbać ani czego strzec. Darrick popatrzył na Barrowsa.

– Przykro mi - szepnął.

Ellig Barrows skinął głową.

– Wszyscy, którzy chronili miecz, modlili się, aby ten dzień nadszedł, dzień, gdy będziemy wolni od naszego brzemienia, ale zobaczyć, że to nadeszło... - Zabrakło mu słów.

– Taramis - zawołał ktoś na zewnątrz.

Zanim jeszcze mędrzec dotarł do magicznych drzwi, usłyszeli nieludzkie potworne piski i warknięcia zbliżające się do podziemia.

Darrick ruszył za mędrce, przeskoczywszy przez skrzynie z zapasami jedzenia i wina, minął Elliga Barrowsa z latarnią. Szarzejący świt przeciskał się przez szczeliny drzwi do podziemia.

Odgłosy walczących, ich przekleństwa i krzyki wraz z wyciem i warceniem stworzeń, z którymi się ścierali, odbijały się w uszach Darricka, gdy pędził po stopniach w ziemi. Deptał Taramisowi po piętach, gdy wypadli z drzwi prowadzących do piwnic.

Na wolnej przestrzeni wokół domu, jeszcze niedawno tak spokojnej, teraz toczyła się bitwa. Wojownicy Taramisa uformowali szybko nierówny szereg naprzeciw krwiożerczych bestii, które wynurzyły się z lasu.

– Lezanti - wydusił Taramis. - Na Światłość, Kabraxis nas znalazł.

Darrick rozpoznał demoniczne bestie, ale tylko z opowieści słyszanych na pokładzie. W żadnej ze swoich podróży nie widział tych stworzeń na własne oczy.

Lezanti miały nieco mniej niż pięć stóp wzrostu. Człekokształtne, ale o kolanach zginających się w przeciwną stronę jak u wilków i grubej skórze jak u jaszczurek. Głowa też przypominała jaszczurczą, z wydłużonym

pyskiem pełnym ostrych, wygiętych zębów i z płaskimi nozdrzami. Oczy, skryte pod splątanymi kołtunami, zaskakująco przypominały ludzkie. Wielkie ręce i stopy miały szpony. Jaszczurcze ogony z kolcem na końcach kołysały się groźnie.

– Łucznicy! - krzyknął Taramis ochryple i zatrzymawszy się, zaczął machać rękami, rysując w powietrzu symbole, które zapłonęły, budząc się do życia.

Czterech wojowników podniosło łuki, stanęło między tymi uzbrojonymi w miecze i naciągnęło cięciwy. Wypuścili po dwie strzały każdy, co zatrzymało lezanti, zanim ich dopadły. A potem miecznicy osłonili towarzyszy tarczami, ledwie trzymając się na nogach pod naporem szybkich, silnych i ciężkich stworzeń. Uderzenia ciał o metal poniosły się po polanie.

– Darricku - rzekł Taramis, nie przestając poruszać rękami - chroń wejście do domu. W środku są kobiety i dzieci. Szybko!

Darrick pobiegł do małego domu w nadziei, że szereg wojowników osłoni mu plecy.

Taramis wyzwolił falę migoczącej mocy, która uderzyła w środek stada lezanti, rozrzuciła je i skapała w płomieniach. Parę spalonych ciał zawisło na gałęziach lub spadło z trzaskiem łamanych kości na twardy grunt. Tylko kilka jaszczurowatych stworów próbowało się podnieść. Łucznicy nałożyli kolejne strzały i strzelili ponownie, byli spokojni i opanowani jak żadna załoga, z jaką Darrick się zetknął. Groty przebiły oczy i gardła, położyli jednym strzałem sporo przeciwników. Ale to nie ludzie mieli przewagę w tym starciu - było ich zaledwie dwudziestu sześciu, łącznie z Darrickiem, a stado lezanti liczyło co najmniej osiemdziesiąt stworów.

*Zginiemy* – pomyślał Darrick, ale do głowy mu nie przyszło, żeby uciekać. Magiczny miecz leżał pewnie w dłoni, choć marynarz nie

przywykł do jego długości. Drapanie sprawiło, że Darrick obrócił się czujnie. Lezanti na dachu domu skradała się, wyciągając szpony.

Darrick pchnął z dołu i cofnął się, gdy atakujący stwór z łomotem spadł. Lezanti bez śladu oszołomienia czy dezorientacji warknęła i kłapnęła paszczą, wyciągając wydłużony pysk do głowy człowieka. Darrick sparował atak, potem kopnął w brzuch i przewrócił jaszczura.

Nadal w ruchu, Darrick obrócił się bokiem i opuścił miecz, trzymając go oburącz, aby zadać mocniejsze pchnięcie. Ku jego zaskoczeniu klinga przecięła lezanti w pół. Rozplątane ciało upadło, zadrżało konwulsyjnie, po czym znieruchomiało. Błękitna energia zatańczyła wokół miecza, a krew zabitego stworzenia wyschła i odpadła - ostrze stało się znowu czyste.

Ludzie przeklinali i walczyli na polanie, stawiając opór hordzie bezlitosnych potworów. Dwaj mężczyźni poległi, jak dostrzegł Darrick, inni odnieśli rany. Taramis uwolnił kolejną falę magicznej energii, która okryła dwie lezanti lodem i zamroziła, aż ostrza wojowników, którzy wykorzystali tę okazję, skruszyły unieruchomione potwory.

Wbiegłszy do domu, Darrick rozejrzał się po małej izbie z paroma meblami i kilkoma księgami. Żona Elliga Barrowsa, siwa kobieta, równie żyłasta jak jej mąż, przyciskała dłonie do piersi.

We frontowej ścianie było duże okno, drugie znajdowało się w ścianie obok. Zbyt dużo otwartej przestrzeni, Darrick nie mógł liczyć, że tutaj obroni rodzinę starego człowieka.

Wnuk szarpnął ciężki dywan.

– Pomóż mi! - zawołał. - Pod spodem jest kryjówka.

Zrozumiawszy od razu, Darrick chwycił dywan i szarpnął. Ukazała się kłapa. Wiele domów na granicy, gdzie pojawiały się barbarzyńskie plemiona, zbudowano z uwzględnieniem podobnych zabezpieczeń.

Rodziny mogły się w takich kryjówkach zamknąć i przeżyć wiele dni dzięki zgromadzonej tam wodzie i jedzeniu.

Giętkie palce chłopca odnalazły ukrytą zasuwkę i kłapa się uniosła.

Darrick wsunął miecz w szparę i użył go jako dźwigni. Poniżej znajdowała się drabina.

Chłopiec podniósł z podłogi latarnię i wyciągnął rękę do kobiety.

– Chodźcie, babko.

– Ellig - wyszeptała żona Barrowsa.

Darrick poczekał, aż oboje zejda, potem zamknął kłapę i przykrył dywanem. Za plecami usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Mężczyzna wstał, unosząc miecz, gdy lezanti z wyciem skoczyły przez rozbite okno i rzuciły się do ataku.

W domu nie było dużo miejsca na walkę. Darrick obrócił broń w prawej dłoni, uchwyciwszy miecz tak, by przylegał do ramienia i łokcia. Lewą rękę trzymał z tyłu, ale w gotowości - ustawił ciało równoległe do klingi.

Lezanti ruszyły nań, a Darrick machnął mieczem, nie pozwalając jednak, aby zamach był zbyt daleki. Trzymał klingę blisko, jak nauczył go Maldrin, który należał do najlepszych speców w nieczystych starciach, jakich Darrick w życiu widział.

Powstrzymał pazury jednego z napastników mieczem, a potem cofnął się, obróciwszy ostrze nadal wzdłuż ramienia, i ciął stwora przez pysk. Lezanti zatoczyła się, zasłaniając ręką zranione oko i jęcząc z bólu. Darrick postąpił krok, trzymając klingę blisko, i ciął. Zanim przeciwnik zdążył się cofnąć, Darrick pozbawił go głowy.

Jeszcze gdy odcięta głowa toczyła się po deskach podłogi, kolejna lezanti wpadła, wyważywszy drzwi, a trzeci rozbiła drugie okno, wychodzące na stodołę i studnię.

Darrick oddychał ochryple, ale był spokojny i skupiony. Sparował pchnięcie włóczni, którą napastnik posługiwał się z zadziwiającą sprawnością, złapał drzewce w połowie pod lewe ramię i przytrzymał lewą ręką, blokując przy tym przeciwnika na drugim końcu włóczni. Darrick obrócił się, podrzucił miecz, zmienił ułożenie dłoni i chwycił rękojeść w tradycyjny sposób, nim broń upadła, po czym odciął ramię drugiej lezanti.

Bestia, która trzymała włócznię, napała, próbując zepchnąć Darricka w tył na wyłożoną poduszkami ławę. Darrick odsunął włócznię tak, że grot wbił się w ścianę za jego plecami, i zatrzymał lezanti. Puściwszy włócznię, postąpił krok w przód, wiedząc, że pozbawiony ręki drugi przeciwnik zachodzi go znowu od tyłu. Najpierw przeciął włócznika ukośnie, pozbawiając go głowy wraz z ramieniem - ostrość miecza była zadziwiająca. Nie przerywając ruchu, zmienił chwyt i zanurzył klingę w piersi napastnika z tyłu.

Energia zaiskrzyła znowu na ostrzu. Zanim Darrick zdążył kopnąć pokonaną lezanti, aby uwolnić ostrze, błękitne płomienie buchnęły w miejscu, gdzie było wbite w pierś jaszczura, i spaliły ciało bestii. Popiół zawirował nad podłogą i przed zdumioną twarzą Darricka.

Zanim się opanował, już kolejna lezanti skoczyła przez rozbite okno od strony stodoły. Darrickowi udało się uniknąć ciosu pazurzastej dłoni, ale impet ataku wytrącił go z równowagi - poleciał w tył, potknął się w progu i upadł na ganek. Próbował wstać, gdy lezanti ruszyła do szarży. Tym razem po uniku Darrick ciął w nogi stworu i odciął je obie. Korpus pokonanego przetoczył się w kurz przed gankiem.

- Chcą zabrać miecz, Darricku! - krzyknął Taramis. - Uciekaj!

Jednak chociaż zrozumiał, że Taramis ma rację, Darrick wiedział, że nie ucieknie. Po stracie Mata w Porcie Tauruka i niemal siebie przez miniony rok nie potrafił już dłużej uciekać.

- Nie - odpowiedział, wstając. - Nie będę więcej uciekał.

Ujął miecz, czując, jak wracają mu siły. W okamgnieniu opuściła go wszelka niepewność.

Parę lezanti przedarło się przez walczących i przeskoczyło ciała pokonanych wojowników. Niemal połowa grupy Taramisa leżała na ziemi. Większość, czego Darrick był pewien, już się nie podniesie.

Darrick czekał na szarżujących przeciwników, uniósłszy oburącz miecz wysoko nad głowę. Siedem stworów rzuciło się na niego z różnych stron. Na klindze zatańczyły iskry. Darrick ciął w napastników, gdy tylko znaleźli się w zasięgu, przebił jednego, po czym wszedł w wyłom, w którym unosił się już tylko popiół, bo tylko tyle zostało z wroga nadzianego na magiczny miecz. Trzy lezanti zginęły w ataku, ale cztery pozostałe zaczęły Darricka okręzać.

Wycofawszy się, Darrick zatoczył mieczem, jakby trenował nim całe życie. Ściął głowę, dwa ramiona i nogę, po czym pchnął w dwóch pozostałych przeciwników i ich również zmienił w popiół. Przesząpił nad rannymi stworami, przebił im serca magiczną klingą i patrzył, jak buchają płomienie, po czym zostają tylko spalone ślady na ziemi.

Podniesieni na duchu pokazem magicznej mocy inni wojownicy unieśli broń i zaatakowali lezanti z wigorem. Cena była wysoka, bo ludzie padali, gdzie stali, ale lezanti ginęły szybciej. Zakłęcia Taramisa i Elliga Barrowsa również dziesiątkowały pchane przez demona stwory, paląc je, zamrażając, wykrzywiając groteskowo lub zmieniając.

Darrick kontynuował walkę, pchany żądzą krwi. Dobrze było czuć się tak pewnym, że robi, co należy. Uderzał, ciął i pchał, przebijając się przez lezanti, które wyraźnie ciągnęły właśnie do niego.

Kątem oka dostrzegł stwora pędzącego na Elliga Barrowsa z boku. Stary człowiek tego nie zauważył. Darrick wiedział, że nie zdąży dobiec na

pomoc, dlatego zmienił chwyt i rzucił mieczem jak włócznią, nie myśląc nawet, co robi - jakby nie było to dlań nic nowego.

Klinga błysnęła w locie i wbiła się w pierś lezanti. Ostrze zatrzymało się, zadrżało, gdy szkarłat krwi napełniał je energią. Buchnęło płomieniem i lezanti zmieniła się w popiół. Miecz wbił się czubkiem w ziemię.

Machinalnie Darrick wyciągnął ramię. A wtedy broń zakołysała się, po czym wyrwała z ziemi i pomknęła prosto do jego ręki.

– Skąd wiedziałeś, jak to zrobić? - zapytał Taramis.

Zaskoczony Darrick pokręcił głową.

– Nie wiedziałem. To się po prostu... stało.

– Na Światłość - dodał Ellig Barrows. - Miecz Hauklina był ci przeznaczony.

Ale Darrick pamiętał głos Mata, który wtedy usłyszał. Gdyby przyjaciela przy nim nie było, Darrick nie zdołałby unieść miecza, czuł to. Odwrócił się i popatrzył na pole bitwy. Nie do wiary, że przeżył tę masakrę i wyszedł z niej niemal nietknięty.

– Chodź. - Taramis ruszył na pomoc swoim ludziom. - Nie możemy tu zostać. Kabraxis nas odkrył. Musimy stąd odejść jak najszybciej.

– I co potem? - zapytał Darrick, wsunąwszy broń za pas. Wziął sakwę z lekarstwami, którą rzucił mu mędrzec.

– Potem ruszymy do Bramwell - odparł Taramis, pochylając się nad rannym i jęczącym z bólu wojownikiem. - Kabraxis już wie, że mamy Burzognew, a ja nigdy nie należałem do ludzi, którzy się ukrywają. Poza tym mamy miecz i nie zawahamy się go użyć.

Chociaż zdawał sobie sprawę, że słowa mędrca miały brzmieć pokrzepiająco, a i moc miecza dodawała sporo pewności siebie, Darrick wiedział, że na końcu takiej wyprawy może ich spotkać śmierć. Wojownicy, którzy dziś padli i już się nie podnieśli, byli tego ponurym świadectwem.

Darrick otworzył sakwę z lekarstwami i zajął się pomocą tym, którzy jeszcze żyli.

Ale jego myśli ogarnęło z wątpienie. *Jeżeli przeznaczony był mi miecz Hauklina, czemu nie mogłem od razu go unieść? I skąd się wziął głos Mata?* Czuł, że te pytania są ważne, ale nie miał pojęcia, jak znaleźć na nie odpowiedź. W ponurym nastroju zabrał się do pracy, rozpaczliwie starając się nie wybiegać za bardzo myślami w przyszłość.



# DWADZIEŚCIA JEDEN



Darrick zatrzymał się na północnym wzgórzu, skąd rozciągał się widok na Bramwell. Na południu wznosiła się świątynia Proroka Światłości. Darrick przyjrzał się niesamowitemu gmachowi przez lunetę, której udało mu się nie stracić nawet w najgorszych chwilach zeszłego roku. W odległej o ćwierć mili budowli błyskały światła latarń i pochodni. Wyznawcy nie ustawali w swych pielgrzymkach.

Dalej na przystani kilka statków również było oświetlonych. Wraz z tłumem czcicieli liczących na szansę wejścia na Drogę Marzeń, również przemytnicy szukali szczęścia i okazji, by się dorobić na zaopatrywaniu miejscowych i przybyszy w towary z czarnego rynku. Strażnicy pozostawali na pokładzie przez wszystkie wachty, ale i tak zdarzało się nierzadko, że statki atakowali piraci. Złodzieje opróżniali kieszenie wyznawców i okradali ich w zaułkach.

Bramwell szybko stawało się najniebezpieczniejszym miastem portowym nad Zatoką Zachodniej Marchii.

Darrick opuścił lunetę i przetarł zmęczone oczy. Prawie trzy tygodnie podróżowali do Bramwell traktem z północy. Zdawało się, że zima depcze podróżnym po piętach i dmucha w plecy ostrym mroźnym wiatrem.

Siedmiu mężczyzn zmarło, a dwóch okulało tak bardzo, że nie nadawali się do walki po starciu z lezanti przy domu Elliga Barrowsa. Z pierwotnej

grupy łowców demonów Taramisa Volkena pozostało siedemnastu.

*Siedemnastu* – rozmyślał Darrick, gdy ostry wiatr przedzierał się przez otaczający go las. *Siedemnastu przeciwko setkom, może tysiącom zwolenników, których Kabraxis ma w katedrze.* Przewaga była oszałamiająca, a szanse na zwycięstwo - żadne. *Nawet armia nie miałaby szans.*

A jednak Darrick nie potrafił się wycofać. Nie zostało w nim ani trochę strachu, ale też ani śladu oczekiwania. Przez ostatnie trzy tygodnie głos ojca nieustannie rozbrzmiewał mu w głowie - zarówno na jawie, jak i we śnie - powtarzając, jak bezwartościowy i bezużyteczny jest Darrick. Śniły mu się koszmary, powracające wciąż zdarzenia, jakie miały miejsce na tyłach sklepu rzeźnika, w małej stodole. Najgorsze jednak były wspomnienia Mata Hu-Ringa. Przyjaciół przynosił jedzenie i lekarstwa albo po prostu dotrzymywał Darrickowi towarzystwa i rozpraszał samotność. A jednak Darrick czuł się jak w pułapce. Dopóki nie uciekł.

Krzewy zaszeleściły za jego plecami. Zesztywniał lekko, dłoń opadła mu na rękojeść długiego miecza u pasa. Nagie ostrze błysnęło w gotowości, gdy wtopił się w długie cienie zwiastujące nadejście nocy.

Mglisty zachód słońca, wąskie pasmo ochry i bursztynu, wisiał nad horyzontem. Ostatnie przebłyski dnia rzucały srebrzystą poświatę na przystań, sprawiając, że statki i barki przypominały czarne papierowe wycinanki na tle wody. Światło ledwie docierało do miasta i zdawało się nie sięgać świątyni Proroka Światłości.

Darrick powoli wypuścił powietrze, żeby nie zdradzić się żadnym szmerem. Opróżnił płuca do końca, aby wziąć pełny głęboki wdech przed walką, gdyby musiał ją stoczyć. Łowcy demonów obozowali w lesie wysoko w górach przez ostatnie dwa dni i nikt ich nie niepokoił. W

wyższych partiach, gdzie się znajdowali, było zimno - życie toczyło się i tłoczyło na przedgórzu, w obozowiskach namiotów otaczających miasto.

*Może to tylko sarna* – pomyślał Darrick. Zaraz jednak odrzucił tę myśl. Odgłos, który słyszał, był zbyt miarowy, zbyt spokojny.

– Darricku - zawołał Rambal.

– Aye - odparł Darrick cicho.

Kierując się głosem Darricka, Rambal podkradł się bliżej. Wojownik był dużym mężczyzną, ale poruszał się cicho jak leśne stworzenie. Przycięta w prostokąt broda otaczała jego szeroką twarz ze szramą przecinającą nos i ciągnącą się pod lewym okiem -pamiątką po szponie lezanti, która nie zagoiła się jeszcze po trzech tygodniach od starcia. Przebywanie na zimnie i brak porządnego odpoczynku spowalniały gojenie. Kilku innych wojowników nosiło podobne znaki.

– Przyszedłem po ciebie - oznajmił Rambal.

– Wolę tu zostać - odparł Darrick.

Wojownik zawahał się. Pomimo że Darrick jako jedyny w grupie mógł dotknąć zaklętego miecza Hauklina, nie uchroniło go to od nieufności reszty. Nie pomagało, że marynarz nie był zainteresowany poznaniem swoich towarzyszy podróży. Gdyby nie przywództwo Taramisa Volkena, jak uważał Darrick, reszta grupy porzuciłaby go po drodze lub zmusiła do odejścia. Oczywiście gdyby nie Taramis Volken, wyprawa do świątyni Proroka Światłości umarłaby w zarodku. Tylko charyzma przywódcy i jego niezłomna odwaga pchały wszystkich naprzód.

– Taramis wrócił z miasta - powiedział Rambal. - Chce, aby wszyscy się zebrali, żeby porozmawiać. Chyba znalazł sposób, jak możemy się dostać do kościoła.

Darrick wiedział, że łowca demonów powrócił. Obserwował, jak Taramis wspina się po zboczu mniej niż godzinę temu.

– Kiedy wyruszamy? - zapytał Darrick.

– Wieczorem.

Odpowiedź go nie zaskoczyła.

– I jestem na to w pełni gotowy - dodał Rambal. - Pokonałem szmat drogi z północy i przez cały czas nawiedzały mnie koszmary po tym, co się stało. Jestem gotów z nimi skończyć w ten czy inny sposób.

Darrick nie odpowiedział. Koszmary były stałym elementem w życiu ich wszystkich. Ellig Barrows i Taramis starannie przygotowali zaklęcia ochronne dla całej grupy, które miały zapobiec wykryciu przez Kabraxisa, ale wojownicy wiedzieli, że stracą życie, jeżeli demon ich rozpozna. Kilka razy podczas minionych tygodni ledwie udało im się uciec przed patrolami zbrojnych i hordami stworzeń wysłanych przez demona.

Grupa nie zdołała jednak uciec przed koszmarami. Taramis powiedział, że te sny z pewnością wywołuje podstępne zaklęcie, którego nie da się uniknąć. Nikt z towarzyszy Taramisa nie był od nich wolny, a trzy tygodnie bezsenności i prywatnego piekła nie pozostało bez śladu. Kilku wojowników zastanawiało się nawet, czy koszmary to nie klątwa, od której nigdy się nie uwolnią.

Palat Shires, najstarszy wojownik w grupie, próbował ją nawet opuścić, niezdolny znieść dłużej snów, które go nawiedzały. Darrick słyszał pogłoski, że Palat był piratem i zabójcą tak okrutnym, że strach było go spotkać, dopóki Taramis nie wygnał pomniejszego demona, który wkradł się do umysłu Palata przez zaczarowaną broń i omal nie doprowadził wojownika do szaleństwa w żądzy krwi. Jednak nawet wiedząc, że opętanie przez demona doprowadziło go do tych okrucieństw, Palat nigdy nie zdołał sobie ich wybaczyć. Dlatego poświęcił się misji Taramisa.

Po trzech dniach od porzucenia grupy Palat powrócił. Wszyscy poznali po jego wynędzniałym wyglądzie, że wojownikowi nie udało się uciec od

koszmarów. Dwa dni później, tuż przed świtem, Palat rozciął sobie nadgarstki. Samobójczej śmierci zapobiegł inny z wojowników, który nie mógł zasnąć. Taramis opatrzył Palata najlepiej jak umiał, po czym zaszyli się na cztery dni, aby przeczekać deszcz i pozwolić staremu wojownikowi odzyskać utracone siły.

– Chodź - powiedział Rambal. - W kociołku jest gulasz, a Taramis przyniósł chleb i świeże masło. Znajdzie się nawet kawał szarlotki, bo Taramis okazał się wyjątkowo hojny.

Szeroki uśmiech rozciągnął usta wojownika, ale nie zmazał zmęczenia malującego się na twarzy.

– Co z wartą? - zapytał Darrick.

– Siedzimy tu już dwa dni i nikt się do nas nie próbował zbliżyć. Nie ma powodu sądzić, że to się zmieni przez najbliższą godzinę.

– Ruszamy za godzinę?

Rambal skinął głową i zmrużył oczy, spojrzawszy na znikające słońce.

– Gdy tylko zrobi się ciemno, ale jeszcze przed wschodem księżyca. Tylko głupiec lub desperat wychodziłby na zimno w taką noc.

Niechętnie, bo świadom, że będzie musiał przebywać wśród wojowników i patrzeć na ich obrażenia, jakie zostawiła trudna wędrówka i bezsenność, Darrick wstał i ruszył przez las, kierując się wyżej po zboczu. Gęste sosny chroniły dość dobrze przed północnym wichrem, który dął nad turniami.

Obóz znajdował się w niecce zwróconej na zachód, blisko szczytu. Niecka była niewielka, powstała z głazów i otoczona splątaną kosodrzewiną.

Ognisko było nim tylko z nazwy. Najmniejszy nawet płomień nie tańczył na stosie gałęzi i nie ogrzewał zgromadzonych wokół niego mężczyzn. Tylko lśniące pomarańczowo, żarzące się węgle pomiędzy szaro-białym

popiołem nieco rozpraszały zimno. Kociołek z gulaszem z zająca stał na węglach i od czasu do czasu bulgotał.

Zbrojni siedzieli wokół ogniska, ale chyba bardziej dlatego, że w niecce było za mało miejsca, aby się rozproszyć, niż w nadziei, że żar przegoni choć trochę chłód. Konie stały tuż przy ścianie zbocza, ich oddechy unosiły się szarymi obłoczkami, a długą sierść znaczył szron. Zwierzęta wypełniły nieckę zapachem wilgotnej sierści i zjadały długą trawę, którą wojownicy zebrali dla nich wcześniej.

Taramis usiadł najbliżej ogniska ze skrzyżowanymi nogami. Pomarańczowa poświata żaru rozproszyła cienie i sprawiła, że jego twarz wydawała się rozgorączkowana. Spojrzał na Darricka i skinął mu głową na powitanie.

Wyciągnąwszy dłonie nad żarem, mędrzec oznajmił:

– Nie mogę was zapewnić, że nasza wyprawa tej nocy zakończy się sukcesem, ale w Bramwell przynajmniej jest cieplej niż na szczycie tej góry.

Mężczyźni roześmiali się, ale raczej z uprzejmości niż ze szczerego rozbawienia.

Rambal zajął miejsce obok Darricka, po czym wziął dwa kubki z ich nędznego wyposażenia, zanurzył je w kociołku i nabrał gulaszu z warzyw i liści, jakie znaleźli, oraz trzech zajęcy złapanych nieco wcześniej. Wysoki wojownik przesunął palcem po krawędziach obu naczyń, żeby potrawa nie kapąła, i oblizał go.

Pomimo zmęczenia i towarzyszącego mu nieustannie poczucia, że jest nie na miejscu, Darrick przyjął kubek z wdzięcznością. Ciepło potrawy przenikało przez cienkie ścianki naczynia, więc przytrzymał je przez chwilę, aby się tym nacieszyć, a potem zaczął pić, zanim zawartość wystygła. Kawalki mięsa w gulaszu okazały się twarde i żyłaste.

– Znalazłem drogę do kościoła - oznajmił Taramis.

– Tak wielki budynek - mruknął Palat - powinien mieć więcej dziur niż moje skarpety.

Uniósł jedną ze skarpet, które suszył przy ognisku na patyku. Była pełna dziur.

– I tak jest - zgodził się Taramis. - Rok temu mistrz Sayes przybył do Bramwell i rozpoczął głoszenie nauk Kościoła Czarnej Drogi z wozu. Ta budowla, która teraz zmieniła się w świątynię, powstawała partiami, ale została dobrze wykonana. Kościół przecinają ukryte korytarze, używane przez mistrza Sayesa i jego akolitów, a także strażników. Gmach jest dobrze strzeżony.

– A co z kanałami? - wtrącił Rambal. - Rozmawialiśmy o wślizgnięciu się tamtędy.

– Wejść do kanałów strzegą najemnicy - stwierdził Taramis. - Strzeżone są też korytarze, którymi do środka dostarcza się zaopatrzenie.

– Ale mówiłeś, że wiesz, jak się dostać do kościoła. Którędy? - zapytał Palat.

Taramis przesunął żar przysmalonym patykiem.

– Kościół zbudowano pośpiesznie, z nadmiernym rozmachem, i nie uwzględniono późnowiosennych powodzi. Wszystkie budynki nad brzegiem, włącznie z nowymi studniami, które zasilają zbiorniki wody i sadzawki wewnątrz świątyni, sprawiają kłopoty.

Mędrzec wyrysował parę równoległych falistych linii reprezentujących rzekę, po czym dodał obok duży prostokąt. Dorysował też jeszcze jeden prostokąt przecinający częściowo rzekę.

– Tutaj, gdzie kościół częściowo wisi nad rzeką - podjął Taramis - znajdują się szerokie parapety, gdzie wyznawcy mogą czekać na

nabożeństwo, przyglądać się miastu, a także podziwiać ogrom świątyni. Ale rzeka podmyła brzeg, przez co fundamenty są osłabione.

Przyjąwszy pajdę chleba z masłem, Darrick słuchał Taramisa i machinalnie jadł. Jego umysł wypełnił plan, jaki mędrzec wyrysował w kurzu, Darrick obracał w myślach kolejne ujawniane szczegóły.

– Postawienie takiej platformy, zbudowanej raczej z próżności niż z innej potrzeby - mówił Taramis - stworzyło znaczący problem. Słupy pod nią trzeba było tak układać, żeby ominąć jeden ze starych kanałów, nad którymi rozrósł się kościół. Chociaż z zewnątrz gmach wygląda na wykończony, jednak grunt pod nim pozostał grzęzawiskiem, co powstrzymało miejscowych przed wznoszeniem tam domów.

– No, i na co wpadłeś? - nie wytrzymał Palat.

Taramis spojrział na szkic ledwie widoczny w słabej poświacie żaru.

– Pomyślałem, że przy odrobinie szczęścia, jeżeli uda nam się ukraść jedną z łodzi na przystani, będziemy jeszcze dziś wieczorem mieli drogę wiodącą do kościoła i zarazem wywołamy zamieszanie, które odwróci uwagę.

– Dziś wieczorem? - powtórzył Rambal.

Mędrzec skinął głową, po czym spojrział na otaczających go mężczyzn.

– Ludzie, z którymi rozmawiałem dziś po południu w tawernach Bramwell, powiedzieli, że nabożeństwa ciągną się godzinami, czasem do późnej nocy.

– Tego nie spotyka się co dzień - zauważył Korrigor. - Zwykle człowiek, który pracuje w polu albo na kutrze rybackim, szuka raczej ciepłego suchego miejsca, żeby odpocząć, gdy tylko zajdzie słońce. Nie ma ochoty na nabożeństwa.

– Większość nabożeństw nie oferuje uzdrowienia, szczęścia w miłości, bogactw lub mocy - odpowiedział Taramis.



– Racja. - Korrigor skinął głową.

– A zatem ruszamy dzisiaj wieczór - podjął Taramis. - Chyba że ktoś z nas wolałby odpocząć przez jeszcze jedną noc?

Popatrzył przy tym na Darricka.

Młodszy mężczyzna pokręcił głową, a pozostali odpowiedzieli w podobny sposób. Wszyscy byli zmęczeni czekaniem.

– Odpoczęliśmy zeszłej nocy - stwierdził Rambal. - Jeżeli będę dłużej próżnował, zrobię się nerwowy.

– Dobrze. - Taramis uśmiechnął się ponuro i bez radości, a może nawet z odrobiną lęku. Chociaż mędrzec stracił rodzinę i poświęcił się polowaniu na demony, jednak nadal pozostał człowiekiem i czuł obawę przed tym, czego zamierzali dokonać.

A potem spokojnym i opanowanym tonem Taramis objaśnił reszcie dokładny plan.



Szarawa, kłębiasta mgła spowijała rzekę, ale latarnie i pochodnie na brzegu i na pokładach zakotwiczonych statków naprzeciw składów i tawern rozjaśniały drogę. Rozmowy niosły się na wietrze świszczącym w takielunku i zluzowanych żaglach. Słysząc też było śpiewy, sprośne limeryki i żarty.

Kamienne mosty łączyły brzegi w dwóch miejscach i oba wypełniały tłumy szukające jedzenia lub napitku. Niektórzy ludzie przyjechali tylko pozwiedzać, wypełniając sobie czas do otwarcia świątyni i rozpoczęcia kolejnego nabożeństwa. Inni byli złodziejami, kupcami i najemnikami. prostytutki zachowywały się najgłośniejszymi, wykrzykując oferty do żeglarzy i rybaków na pokładach.

Darrick szedł za Taramisem wzdłuż brzegu do małego szkunera, który mędrzec wybrał jako nadający się do ich celów. „Błękitny Zefir” był brzydki i przysadzisty, a na jego pokładzie unosił się smród tranu. Żaden żeglarz wart tego miana nie postawiłby stopy na takiej śmierdzącej krypie, ale Darrick wiedział, że z niewielkim wysiłkiem mała załoga może sobie nieźle poradzić ze sterowaniem.

Na pokładzie barki pozostało trzech ludzi. Kapitan i reszta załogi poszli zapewne do tawern przy ulicy Doków. Ostrożna obserwacja ujawniła jednak, że szkieletowa załoga ma na pokładzie również butelkę, którą opróżnia właśnie na rufie. Ani przemytnicy, ani złodzieje z Bramwell nie połakomiliby się na ładunek „Błękitnego Zefira”. Beczki z tranem były zbyt ciężkie, aby łatwo je ukraść i uciec z portu.

Nie zmieniając kroku, Taramis dotarł do trupu barki i wszedł nań bez wahania. Darrick podążył tuż za nim, serce mu biło szybko, gdy buty łomotały na deskach rampy.

Trzej żeglarze zebrani na rufie odwrócili się jak jeden mąż. Jeden chwycił latarnię stojącą na plecionym stoliku i oświetlił intruzów.

– Kto tu? - zapytał.

Dwaj pozostali chwycili za miecze i przyjęli pozycję obronną.

– Orłow - odpowiedział Taramis bez wahania. Darrick oddzielił się od mędrca i spojrzał na takielunek. W okamgnieniu ocenił, których żagli użyć, a które najlepiej zwinąć. Tylko czterech spośród towarzyszących Taramisowi ludzi miało doświadczenie w żeglowaniu, ale o wiele mniejsze niż Darrick.

– Nie znam żadnego Orłowa - stwierdził żeglarz z latarnią. - Może pomyliłeś statki, przyjacielu.

– Nie pomyliłem - zapewnił Taramis. Zbliżył się do żeglarzy z pewnością siebie. - Kapitan Rihard prosił, żebym podrzucił tutaj paczkę. - Uniósł

owiniętą w skórę flaszkę. - Powiedział, że to ma was rozgrzać, bo noc zimna.

- Nie znam żadnego kapitana Riharda - upierał się żeglarz. - Pomyliłeś statki. Lepiej, żebyś się stąd wyniósł.

Ale wtedy Taramis był już między nimi. Wyrysował zagmatwany symbol w powietrzu. Znak zapłonął szmaragdowo i rozpląnął się.

Zanim ostatni przebłysk znikł, migocząca ściana mocy pomknęła do żeglarzy i wyrzuciła ich jak targane wiatrem liście za burzę przez reling rufowy. Żeglarz, który trzymał latarnię, nie puścił jej, więc poleciał wysokim łukiem jak kometa po niebie, nim zniknął w wodzie z głośnym pluskiem.

Na znak, jakim było użycie zaklęcia przez Taramisa, Rambal podłożył ogień pod jeden z większych składów na południowym brzegu, aby odciągnąć uwagę od kradzionej barki. Płomienie buchnęły z przesyconej olejem ściany, alarmując ludzi, którzy mieszkali w sąsiedztwie. W okamgnieniu trzech żeglarze za rufą „Błękitnego Zefira” zostali zapomniani - zaułki i oba nabrzeża wypełniły bowiem jęki i okrzyki, że się pali.

Kiedy żeglarze się wynurzyli, nie mogli liczyć na pomoc. Palat tymczasem dołączył do Taramisa na rufie, ściągnął łuk i napiął cięciwę, wymierzywszy w wodę. Trójka nieszczęśników zrozumiała przekaz i czym prędzej zaczęła płynąć do brzegu.

- Ściągnijcie te żagle - rozkazał Darrick. Teraz gdy przystąpili do akcji i nie było szans na odwrót, krew tętniła mu w żyłach. Ta częśćka, którą przez miniony rok próbował uśmiercić, zbudziła się do życia. Przypomniawszy sobie czasy, gdy wraz z Matem pracowali na pokładzie, przygotowując się do starcia lub obrony przed niespodziewanym atakiem.

Czterech wojowników z doświadczeniem żeglarskim rozdzieliło się. Jeden ruszył na rufę i ujął koło sterowe, inni zajęli się olinowaniem.

Darrick wspinał się po wantach jak małpa, przypomniały mu się wszystkie odruchy, chociaż minęły miesiące, odkąd po raz ostatni pracował przy żaglach. Klinga Hauklina obijała mu się o ramię podczas wspinaczki. Kordelas był dość krótki i można go było trzymać przy pasie, ale długi miecz lepiej nadawał się do noszenia na plecach.

Kiedy wspiął się po takielunku i dotarł do zwiniętych żagli, przeciął nożem starannie związane liny. W głębi żeglarskiej duszy takie marnowanie lin, najcenniejszego wyposażenia zwłaszcza na pełnomorskich żaglowcach, wzbudzało sprzeciw, ale Darrick wiedział, że nie będą używać długo tej krypy. Przypomniawszy sobie, jak Taramis zamierzał wykorzystać szkuner, a to okazało się jeszcze smutniejsze. Niewielki żaglowiec nie był może piękny, ale pływał i miał swój cel.

Z topu, gdzie miał poniżej widok na wszystkie rozwinięte żagle, Darrick popatrzył na pokład. Pozostałych jedenastu mężczyzn - Rambal zaraz miał do nich dołączyć - zajęło się wyciąganiem małych antałów tranu. „Błękitny Zefir” miał w ładowniach zarówno antały, jak i beczki. Do tych ostatnich potrzebowaliby talii i bloczków, żeby wyciągnąć je na pokład.

Darrick zszedł po wancie.

– Napnijmy żagle. Migiem. - Rozejrzył się po rzeczonym kotwiczowisku.

Trzej wyrzuceni z pokładu żeglarze dotarli już do nabrzeża i wzywali na pomoc innych wodniaków oraz strażę. Ignorowano ich jednak. Pożar magazynu był o wiele ważniejszy, gdyby się rozprzestrzenił, w niebezpieczeństwie znalazłoby się całe miasto.

Płomienie wyciągały się wysoko nad dach podpalonego składu, gdy Darrick z pozostałymi wybierał szoty. Nie potrafiłby wydać rozkazu podpalenia magazynu, jak Taramis. Właściciele składu i klienci, którzy przechowywali tam swoje towary, nic przecież nie zawinili.

To zło konieczne, jak wyjaśnił wszystkim Taramis. Żaden z wojowników nie widział problemu.

– Darricku! - odezwał się mędrzec z rufy. Zdjął płaszcz, ukazując pomarańczową szatę Vizjerei ze srebrzystymi, mistycznymi symbolami.

– Aye - odpowiedział Darrick.

– Żagle gotowe?

– Aye - potwierdził Darrick, skończywszy węzeł.

Zerknął na innych wojowników przy żaglach. Byli wolniejsi niż on, ale sobie poradzili.

– Zrobione. - Popatrzył na mężczyzn. - Zostańcie w gotowości, chłopcy. Będziemy mieli jeszcze trochę pracy przy ściąganiu żagli.

Taramis odezwał się, a słowa, których użył, nie były przeznaczone dla ludzkich ust. Darrick miał pewność, że zaklęcie mędrca pochodziło ze starej magii, z czasów, gdy sprowadzono ją na ten świat przez demony i pokazano Vizjerei. Niektórzy magowie i czarodzieje wierzyli, że zaklęcia są skuteczniejsze, gdy używa się starego języka, w jakim początkowo wypowiadano inkantacje.

Odbicie ogarniętego płomieniami składu falowało na rzece. Migotały też refleksy pojedynczych świateł. Więcej ich było pod mostem oddzielającym szkuner od świątyni. Ochryple krzyki niosły się i cichły jak zwykle nad wodą. Brygada z wiadrami do gaszenia ognia rozpoczęła pracę.

Chociaż był przygotowany, zaklęcie Taramisa przywołujące mocny wiatr z zachodu omal nie zważyło Darricka z nóg. Żagle napięły się i zatrzeszczały. Na pełnym wietrze szkuner ruszył szybko przeciw nurtowi rzeki.

# DWADZIEŚCIA DWA



Pchany gwałtownym wichrem „Błękitny Zefir” popłynął rzeką. Nagły ruch zaskoczył trzech z wojowników, upadli na pokład. Beczułki z tranem przewróciły się i zaczęły toczyć, przez co sytuacja zrobiła się niebezpieczna. Jeden z wojowników niemal wytoczył się przez otwór w relingu, gdzie wcześniej leżał trap, ale udało mu się zatrzymać w ostatniej chwili.

– Trzymajcie żagle! - polecił swojej prowizorycznej załodze Darrick, przekrzykując wycie wichru. Sam mocno wybrał szota, by żagiel łapał pełnię wiatru. W sumie nie mieli zbyt dużo roboty, bo wezwany przez Taramisa wiatr dmuchał prosto w żagle i gnał szkuner przez rzekę.

Inne pobliskie statki kołysały się na kotwicach, zaś niewielkie żaglówki, których używano do przewożenia towarów przez rzekę, przewróciły się, ich maszty leżały na wodzie.

– Sternik! - wrzasnął Darrick, patrząc, jak „Błękitny Zefir” z przerażającą szybkością zbliża się do płytkiej barki.

– Aye! - odkrzyknął Farranan.

– Ostro na sterburtę, do diabła, albo skończymy między statkami! - rozkazał Darrick.

– Ostro na sterburtę - powtórzył Farranan.

Szkuner się przechylił. Bakburtą otarł się o niską barcę, wynurzając się przy akompaniamencie pękającego drewna. Darrick miał nadzieję, że to pękła barka.

Trzymając się wanty, popatrzył, jak burta barki zanurza się pod szkuner, a jej dziób i druga burta unoszą nad wodę. Skrzynie, beczułki i dokerzy powpadali do wody. Dwie latarnie również wpadły do rzeki i zgasły.

Szkuner w końcu minął barcę i znalazł się na otwartym kanale pośrodku rzeki. Inne statki płynęły tak blisko siebie, że nawigacja między nimi była prawie niemożliwa. Darrick widział zdziwione twarze marynarzy spoglądających z większych jednostek.

– Otworzyć beczki - nakazał Taramis.

Wojownicy toporami rozbili beczułki, rozlewając ciemny płyn na pokładzie dziobowym. Tran był gęsty i płynął powoli, jak krew człowieka, który już niemal skonał.

Gdy szkuner przepływał pod mostem, który wyznaczał granice portu, Darrick podniósł wzrok i zobaczył, jak Rambal stamtąd skacze. Wojownik wyciągnął obie ręce, by chwycić się którejś z lin, utrzymał ją z trudem, uderzając ciałem w sieć olinowania, po czym skoczył na najbliższy żagiel i zsunął się po nim na pokład. Wylądował ciężko na plecach.

– Wszystko w porządku? - spytał Darrick, podając mężczyźnie rękę. Wokół nich wył wiatr, a pokład unosił się i opadał.

– Zraniłem co najwyżej dumę. - Rambal chwycił rękę Darricka. Wojownik podniósł się i skrzywił. - I może zadek. - Spojrzał na płonący skład. - Myślę, że to wystarczająco odwróci ich uwagę.

– Już odwróciło. - Darrick popatrzył na gęsty płyn pokrywający pokład dziobowy.

– Zakładając, że dotrzemy do pali, o których mówił Taramis - stwierdził Rambal.

– Dostaniemy się tam - powiedział Darrick. Podniósł głos. - Odbij na bakburtę.

– Odbij na bakburtę! - odkrzyknął Farranan z rufy.

Darrick poczuł, jak „Błękitny Zefir” szarpie się i skręca w stronę północnego brzegu, gdzie stał imponujący budynek świątyni Proroka Światłości. Taras wystawał nad rzekę mniej niż trzysta jardów od nich i zbliżał się coraz bardziej. Dwa kamienne filary utrzymywały go dwadzieścia stóp nad powierzchnią rzeki, aby uwzględnić podnoszący się poziom wody w czasie odwilży.

Na obu brzegach przejściu „Błękitnego Zefira” towarzyszyły światła pochodni i latarni straży świątynnej. Strażnicy wyroili się na taras, gdy szkuner zbliżył się na sto jardów. Kilkunastu miało kusze i w powietrzu zaświstały bełty.

– Kryć się! - wrzasnął Palat, kuląc się za ładownią pośrodku statku. Wokół niego pociski uderzały w pokład.

Darrick słyszał, jak bełty gwizdzą, mijając go o cale. Schował się za masztem, ufając, że magiczne wiatry przywołane przez Taramisa zepchną „Błękitny Zefir” na pale. Nad nim kolejne bełty przebijały płótno.

– Trzymaj ster! - rozkazał Darrick, spoglądając do tyłu.

Farranan skulił się, rozpaczliwie próbując się ukryć. Koło sterowe wymykało mu się z rąk, a statek zaczynał znów dryfować w stronę środka rzeki.

Darrick odepchnął się od masztu i rzucił do steru. Gdy biegł po kołyszącym się pokładzie, odruchowo spiął mięśnie karku i ramion, w każdej chwili spodziewając się, że poczuje, jak przebija je grot. Chwycił poręcz trapu i wbiegł, niemal potykając się o Farranana.

Taramis stał przy relingu.

– Zejść z dziobu! - ryknął.



Darrick chwycił koło i skręcił je mocno na bakburtę, wyrównując kurs. Wiatr nie ustawał, uderzając w wanty i rozrywając żagle tam, gdzie przebiły je groty. Koło szarpało się w rękach Darricka, ster walczył z prądem i magicznymi wiatrami.

Taramis narysował w powietrzu płonący siedmioramienny symbol i wypowiedział słowo. Poruszony magią znak przepłynął przez pokład i podpalił rozlany tran. Żółte i lawendowe płomienie urosły z głośnym sykiem.

Darricka owiała fala takiego gorąca, aż musiał zmrużyć oczy. Przeraził się, gdyż uświadomił sobie, że przez płomienie i roje iskier nie widzi tarasu. Ogień wskoczył na takielunek i objął już foka, wspinając się na przedni maszt.

Darrick spojrział w górę, przez jedną szaloną chwilę myśląc, że może żeglować, kierując się gwiazdami.

– Trzymaj kurs - powiedział Taramis. Darrick ponuro pokiwał głową.

Bełty nadal spadały na statek, wbijając się głęboko w drewno. Jeden odbił się od trzymanego przez Darricka koła sterowego i ugrzązł w jego boku. Przez chwilę myślał, że jego żebra zajęły się ogniem, po czym spojrział w dół i zobaczył wbity bełt.

Mdlący strach podszedł Darrickowi do gardła, gdy pomyślał, że bełt przebił pierś lub żołądek. Potem zauważył, że przeszedł pod kątem, prześlizgując się po żebrach. Wszystko wyglądałoby o wiele gorzej, gdyby nie miał na sobie płaszcz podróżnego.

Darrick zacisnął zęby, wyjął bełt z ciała i odrzucił. Na palcach miał własną krew.

– Uważaj! - ryknął Palat.

Przez chwilę Darrick widział przed sobą grube pale podtrzymujące taras. *Jesteśmy za wysoko* – pomyślał, uświadamiając sobie, że szkuner trafił

wyżej, niż się spodziewali. *Uderzenie nas zawróci.*

Zapomniał jednak o samym tonażu statku, pchanego przez szalony wicher. Jeśli chodzi o jednostki towarowe, to żadne nie bywały tak obciążone jak te przewożące tran. A „Błękitny Zefir” był załadowany po brzegi i gnany magicznym sztormem.

Statek uderzył w pale, wyrrywając je z dna rzeki. Taras zawalił się w jednej chwili. Gruz posypał się do rzeki, wzbijając fontanny wody, którą pochwycił magiczny wiatr. Nagle na okolice spadła iście monsunowa ulewa. Wirujące kamienie uderzyły w sterburtę „Zefira”. Szkuner zadrżał, jakby uderzył w niego olbrzymi kowalski młot. Ale „Błękitny Zefir” był niczym kowadło, równie twardy i nieustępliwy. Kamienie i gruz odbijały się od pokładu, szkuner przechylił się mocno na sterburtę, którą tarł o brzeg.

Strażnicy świątynni spadali razem z gruzem. Darrick patrzył, jak lecą, jedni prosto w spieniony nurt, a inni na pokład, skąd zgarniała ich lawina odłamków. Dwóch z krzykiem wpadło na płonące żagle. Wrzeszcząc, zeskoczyli z olinowania i rzucili się do rzeki, płonąc jak świece.

Darrick wypuścił koło sterowe, nie miał szans go utrzymać, nie robiąc sobie przy tym krzywdy, postąpił krok i chwycił się relingu. Trzymał się mocno, podczas gdy statek walczył z wiatrem i płycizną. Przesuwając się powoli wzdłuż relingu, Darrick dotarł do węźlicy, chwycił ją i przeszedł na bakburtę.

„Błękitny Zefir” zatrzymał się na głazach.

Darrick słyszał, jak kadłub ociera się o kamienie niby o gigantyczne zęby. Skrzywił się, wiedział bowiem doskonale, jak bardzo zniszczyli statek i jak wielu godzin trzeba będzie, by mógł znowu wypłynąć na morze. Spojrzał na pokład, zastanawiając się, czy osiągnęli to, co zaplanowali.

Cienie spowijały rumowisko i błotnisty brzeg. Darrick rozglądał się, ale nie widział zagrożonego systemu ciekowego, który odkrył Taramis. Chociaż sytuacja była naprawdę poważna, nie czuł prawdziwego strachu. Tylko oczekiwanie i nadzieję, że szaleństwo rozpacz i poczucia winy, które toczyło go przez ostatni rok, wkrótce się zakończy. Po takim ataku strażnicy świątyni Kabraxisa nie pozwolą mu żyć.

Taramis dołączył do Darricka przy relingu. Mag wypowiedział słowo i wskazał palcem pochodnię, którą trzymał. Natychmiast zapłonęła jasno.

– W ten sposób będziemy doskonałym celem dla kuszników - powiedział Farranan, stając obok nich.

– Nie możemy tutaj zostać - dodał Rambal.

„Błękitny Zefir” nadal tarł o odsłonięty wapień brzegu.

– Statek też tu długo nie zostanie - stwierdził Darrick. Po raz pierwszy uświadomił sobie, jak cicho się zrobiło, gdy ustały wichry. - Prąd nas zabierze.

Wyciągając pochodnię, Taramis przyglądał się brzegowi. Ze zniszczonego tarasu spadły kolejne kamienie.

– Mają łódkę na rzece - ostrzegł Palat.

Stojąc przy relingu, Darrick zauważył zbliżający się do nich statek strażników. Latarnie podświetlały znak lorda Darkulana tak, żeby wszyscy go rozpoznali.

– Pochodnia nie daje dość światła - powiedział Taramis. - Ale to musi być tam.

Próbował unieść pochodnię jak najwyżej i jak najdalej, bez żadnych jednak rezultatów. Światło nie sięgało samego brzegu.

*Dobądź miecza* – powiedział Mat Hu-Ring w głowie Darricka.

– Mat? - szepnął Darrick. Poczucie winy zalało go potężną falą, niszcząc bezpowrotnie spokój, który ogarnął Darricka, gdy ten uświadomił sobie, że

nie ma ucieczki. Łatwiej było mu się pogodzić z własną śmiercią niż śmiercią przyjaciela.

*Dobądź miecza* - powtórzył Mat jakby z daleka.

Darrick odwrócił się, choć wiedział, że nie zobaczy przyjaciela za plecami. Spojrzał na zebranych na rufie wojowników, czekających na kolejny rozkaz Taramisa.

*Miecz, ty cholerny głupku!* – powiedział Mat. *Wyciągaj ten przeklęty, wielki miecz. On ci pomoże, a ty im.*

Darrick sięgnął przez prawe ramię, czując ból w lewym boku, gdzie ranił go bełt, i chwycił rękojeść. Poczł mrowienie w dłoni, a broń właściwie wskoczyła mu do ręki. Trzymał przed sobą miecz, wielki kawał naostrzonej stali wyszczerbiony w niejednej bitwie.

Taramis i inni wojownicy, wzięwszy latarnie i pochodnie ze statku, próbowali rozproszyć cienie zakrywające brzeg.

– Może ktoś powinien tam zejść - zaproponował Rambal.

– Ten, kto tam zejdzie, zostanie, gdy szkuner odpłynie - powiedział Palat.

- Może będziemy musieli trzymać się tej starej łajby, jeśli chcemy się stąd wydostać.

– Lepiej próbować szczęścia na ulicach - stwierdził Rambal. - Nawet gdybyśmy dotarli do przystani, dopadliby nas. Nie mamy dość załogi do lin i żagli.

*Wypowiedz imię miecza* – nakazał Mat.

– Mat - wyszeptał Darrick, czując ból równie ogromny jak wtedy, gdy był świadkiem śmierci przyjaciela. Nie wyobrażał sobie głosu Mata. Słyszał go. Był prawdziwy i odzywał się w jego głowie.

*Wypowiedz imię miecza, ty cholerny tępaku* - powtórzył Mat.

– Co tu robisz? - spytał Darrick.

*To, co i ty - odpowiedział Mat - tylko że ja radzę sobie o niebo lepiej. A teraz wezwij moc miecza, zanim was zmyje z tych kamyków prosto w łapy straży. Mamy jeszcze mnóstwo roboty tej nocy.*

– A jak mam wezwać jego moc? - spytał Darrick.

*Wypowiedz jego imię.*

– A jak się nazywa miecz? - Darrick nie mógł sobie przypomnieć z nadmiaru wrażeń.

*Burzogniew – odrzekł Mat.*

– Ty żyjesz? - spytał Darrick.

*Nie mamy czasu teraz o tym gadać. Sytuacja ciągle jest paskudna, a do tego musimy się zająć Kabraxisem.*

Szkuner zazgrzytał o kamienie i szarpnął się gwałtownie. Darrick pomyślał, że statek się uwolnił.

– Burzogniew - powtórzył za przyjacielem. Trzymał miecz oburącz, bo nie wiedział właściwie, czego się spodziewać. Znow poczuł w rękach dziwne mrowienie.

W mgnieniu oka po ostrzu przepłynął zimny błękitny płomień. Nie był gorący, nie parzył i choć jasny, to nie oślepiał.

Magiczne światło bez trudu przebiło mrok spowijający brzeg. Błękitne refleksy odbijały się od fal rzeki wpływającej do pękniętego kanału ściekowego o średnicy ośmiu stóp, który biegł pod kościołem. Uderzenie szkunera zerwało z brzegu taras i błoto i odsłoniło tunel.

– Tu jest - stwierdził Taramis.

– Mat - wyszeptał Darrick.

Nie było odpowiedzi, tylko bryza gwizdała w takielunku. Statek znow się zakołysał, niemal się uwalniając.

– Tracimy statek - ostrzegł Taramis. - Ruszać się! Już!

Przeszedł przez reling i skoczył na brzeg, wskazując drogę.

*Idź!* – szepnął Mat w głowie Darricka, ciszej niż wcześniej.

Nade wszystko pragnął wiedzieć, jak to możliwe, że Mat był w stanie z nim rozmawiać? Może jego przyjaciel jednak żył gdzieś. Darrick wspiął się na reling. Szkunier znów podskoczył. Darrick dobrze wiedział, że prąd rzeki za chwilę uwolni szkuner. Zeskoczył z pokładu, rzucając się do przodu.

Wylądował w błocie, zapadając się aż po kostki. Stracił równowagę, poślizgnął się i przewrócił w błocko. Rzeka obmyła go chłodem, który przeniknął aż do kości. Za to rana w boku paliła, jakby ktoś potraktował go rozgrzanym do czerwoności prętem.

Inni wojownicy poczęli skakać za nim. Większość trafiła w błoto, ale kilku wpadło do rzeki i prąd niemal ich porwał, zanim pomogli im inni. Gdy się zbierali, „Błękitny Zefir” służył im za osłonę przed bełtami strażników.

Chwilę później płonący statek poruszył się raz jeszcze i odpłynął z prądem. Łódź pełna strażników jakoś go ominęła, ale fala wywołana przez przepływający szkuner i problemy, jakie mieli z nawigowaniem wśród najrozmaitszych śmieci, sprawiły, że niemal się wywrócili. W końcu szkuner minął ich i popędził w dół rzeki, w stronę statków na przystani, niosąc groźbę dalszych zniszczeń.

– Niech to! - zaklął Palat. - Jeszcze spalimy im to nieszczęsne miasto, próbując je uratować.

– Nawet jeśli - stwierdził Taramis - dla mieszkańców lepiej będzie, gdy odbudową zajmą się ludzie, nie demony.

Ślizgając się cały czas, Darrick podążył za mędrcom do tunelu ściekowego. Dopiero wtedy zauważył, że miecz zgasł. Zostali więc z pochodnią Taramisa i latarniami niesionymi przez innych wojowników.

Kanał był na wpół zalany wodą wskutek problemów, o których dowiedział się Taramis, gdy odwiedzał tawerny Bramwell. Zderzenie z

frachtowcem przebiło mur, jak było w planie, ale zniszczenia były większe, niż Darrick się spodziewał. Fale wlewały się przez szerokie na palec pęknięcia w ceglany murze, podwyższając poziom wody stojącej w kanale.

Taramis zatrzymał się w połowie szerokiego kanału, patrząc to w prawo, to w lewo.

– W którą stronę? - spytał Palat, ramieniem ocierając twarz z wody i błota. Smugi pozostały.

– W lewo - powiedział Taramis i ruszył w tym kierunku.

*W prawo - powiedział Mat. Jeśli pójdziecie w lewo, zostanieie schwytani.*

Taramis brodził przez podnoszącą się wodę.

*Powiedz im!*

Darrick zawahał się, gdyż nie był do końca pewien, że to Mat do niego przemawiał. Może zwyczajnie oszalał, tylko wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Idziesz w złym kierunku.

Taramis zatrzymał się w wodzie, która teraz sięgała do piersi.

– Skąd wiesz? - spytał mędrzec.

Darrick nie odpowiedział.

*Powiedz mu - poradził Mat. Powiedz mu o mnie.*

Krzyki na zewnątrz odbijały się echem w tunelu. Darrick wiedział, że nie minie wiele czasu, nim strażnicy ich zaatakują.

– Ponieważ Mat mówi mi, gdzie mamy iść - wykrztusił z oporem.

– Jaki Mat? - spytał podejrzliwie Taramis. - Twój przyjaciel, który został zabity w Porcie Tauruka?

– Tak - odrzekł Darrick, choć wiedział, że gdyby jemu ktoś zaserwował takie wyjaśnienie, nie uwierzyłby. Sam ledwo w nie wierzył.

– Jak? - spytał Taramis.

– Nie wiem - przyznał Darrick. - Ale to on kazał mi wezwać moc miecza i pokazał nam drogę do kanału.

Wojownicy zebrali się wokół Taramisa, wszyscy mokrzy i brudni. Na ich twarzach malowały się wątpliwości i mroczna podejrzliwość.

– Co o tym myślisz? - spytał Palat Taramisa, robiąc krok do przodu, jakby chciał osłonić przywódcę przed Darrickiem.

Darrick rozumiał, że wielki wojownik podejmuje w ten sposób środki ostrożności, i rozumiał też dlaczego. Czego innego miałyby się spodziewać? Więc milczał.

Taramis uniósł wyżej pochodnię. Płomienie liznęły kamienie, spalając pokrywające je mchy i porosty.

– Za każdym razem, kiedy do świata śmiertelnych wyrywa się demon - zacytował - musi zostać zachowana równowaga. Pojawi się też i sposób na zgładzenie demona, i tylko wybór człowieka może uwolnić świat od zła. - Uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu nie było wesołości. - Czy jesteś tego pewny, Darricku?

– Tak.

Rambal skierował latarnię na ściany.

– Iść dalej i tak musimy. Ci przekłęci strażnicy zaraz nas dopadną. Większość z nich to uczciwi ludzie, którym płacą za utrzymywanie porządku. Nie zamierzam tu siedzieć i na nich czekać, jeśli mogę tego uniknąć.

Taramis skinął głową.

– A zatem na prawo.

Poprowadził, trzymając pochodnię przed sobą.

Kanał stopniowo unosił się w górę. Darrick wyjątkowo odczuwał owo wznoszenie się, gdyż pędząca w dół woda omywała mu nogi i usiłowała go



wywrócić, przez co droga była jeszcze trudniejsza.

Jednak zaraz poziom wody zaczął się powoli obniżać, a światło pochodni Taramisa odbiło się od setek oczu przed nimi.

– Szczury - powiedział Rambal i zaklął szpetnie.

Zwierzęta siedziały po obu stronach kanału, wspinając się na siebie i tworząc ruchliwe wyspy. Ich łyse ogony bezustannie wiły się i skręcały.

Wznosząca się woda omywała ściany tunelu, wyciągając małe grupki gryzoni z ich nietrwałego miejsca odpoczynku. Unosząc się na wzbierającej wodzie, zwierzęta skupiły uwagę na wojownikach w tunelu.

Po czym rzuciły się do ataku.



Podczas gdy gwardziści krążyli wśród tłumu, Buyard Cholik wprowadził głowę węża na powrót do ściany. Szepty wiernych wypełniały świątynię szumem, który uniemożliwiał rozmowę.

*Ktoś zaatakował kościół.*

Myśl zadudniła w głowie Cholika. Nie wiedział, kto mógłby ośmielić się dokonać czegoś takiego. Przez ostatni miesiąc jego stosunki z lordem Darkulanem stały się nawet lepsze niż dotychczas. Rozpoczęto rozmowy, budowanie powiązań, które miały doprowadzić do wzniesienia kościoła w Zachodniej Marchii. Kapłani Zakarum walczyli, aby zabronić Kościołowi Proroka Światłości wejścia do stolicy, ale Cholik wiedział, iż usunięcie tej przeszkody to zaledwie kwestia czasu. Dzięki pomocy lorda i obserwatorów samego króla, z których wielu kapłan zabawił w świątyni, władca dowiedział się, jak wiele bogactwa spłynęło do Bramwell dzięki pielgrzymom.

Ale pomijając już nawet bogactwo, które mógł ofiarować Zachodniej Marchii, kościół bez wątpienia czynił też cuda. A raczej czynił je pewien człowiek. Im więcej ludzi przychodziło do kościoła, tym więcej ceremonii odprawiał Cholik. Obecnie było ich sześć dziennie. Cholik wiedział, że zwykły człowiek już dawno padłby z wyczerpania, ale on wypełniał obowiązki bez trudu, zawsze gotów, zawsze niedościgniony. Kabraxis dawał Cholikowi swoją siłę, wzmacniając go nieustannie.

Cuda dokonywały się na każdym nabożeństwie, doświadczali ich ci szczęśliwcy, którym dane było przejść Drogę Marzeń. A im więcej było nabożeństw, tym więcej i cudów. Przywracano zdrowie, prostowano chrome kończyny. Otrzymywano wzajemność w miłości. Zyskiwano bogactwo. Z buchającej płomieniami paszczy kamiennego węża wychodzili polegli w bitwach synowie i mężowie, przywołani na Czarną Drogę z nie wiadomo jakich otchłani. Nie mieli żadnych wspomnień, nie wiedzieli, gdzie przebywali, aż do momentu, gdy wyszli z pyska węża.

Trzech wyznawców odzyskało utraconą młodość.

Mówiło się o tym we wszystkich miastach położonych nad Zatoką Zachodniej Marchii, gdzie okręty niosły wieść o nowym Kościele. Słyszeli je kupcy i zawozili karawanami na wschód, do Lut Gholein, a być może także przez Bliźniacze Morza do Kurast i jeszcze dalej.

Cholik wiedział, że przywrócenie młodości było najtrudniejszym zadaniem i wymagało wielkich ofiar. Kabraxis nie zamierzał jednak sam ich ponosić. Porwał z miasta kilkoro dzieci i poświęciwszy na Czarnej Drodze, odebrał im młodość, aby dać ją tym, którzy o nią prosili. Nagrodzeni mogli pomóc Kościołowi wkraść się w łaski króla. Jeden z nich był tak naprawdę zaufanym doradcą władcy, kimś, kto, jak twierdził lord Darkulan, był dla niego niczym ojciec.

Nastał czas cudów. Wszyscy w Bramwell mówili w ten sposób o Kościele Proroka Światłości. Zdrowie, bogactwo, miłość, odzyskana młodość - czegoż więcej można było chcieć?

A jednak ktoś ośmielił się zaatakować kościół.

Cholik patrzył na wypełnioną ludźmi katedrę i narastał w nim gniew. Jeden z kapłanów niższej rangi, namaszczony przez Cholika, wyszedł w krąg światła poniżej.

– Bracia i siostry - odezwał się - wybrani Dien-Ap-Stena, połączmy się w modlitwie do naszego wspaniałego proroka. Wskazujący Drogę Sayes wstawi się za nami u niego i poprosi o uczynienie kilku dodatkowych cudów, nim zakończymy ceremonię.

Jego słowa, wzmacniane przez specjalnie zbudowaną scenę, unosiły się nad widownią, uciszając szept, które podniosły się na wiadomość o ataku na kościół.

*Wystarczy zagrozić, że odbierze się im szansę na cud – myślał Cholik - a natychmiast przykuwa się uwagę każdej osoby w pomieszczeniu.*

Kapłan poprowadził modły do Dien-Ap-Stena i śpiewy chwalcące jego wielkość, dobroć i szczodrość.

Gdy łeb węża znalazł się w ścianie i przestał się poruszać, ognie zgasły i w tej części świątyni zapadła ciemność. Wielu wiernych zaczęło wówczas wykrzykiwać imię Dien-Ap-Stena, błagając o powrót proroka i kolejne cuda.

Cholik zszedł z ambony na balkon na drugim piętrze. Ukryty w cieniu strażnik odsunął ciężkie kotary i otworzył dla niego drzwi. Przez cały czas za zasłonami stali kusznicy, podczas modłów zmieniani co godzinę.

Cholik wyszedł na korytarz i zobaczył, że czeka na niego tuzin osobistych strażników. Nikt nie używał tego przejścia oprócz niego, a

wyjścia znajdowały się w najróżniejszych częściach kościoła. Mężczyźni trzymali latarnie, by oświetlić korytarz.

– Co się dzieje? - spytał Cholik, zbliżając się do nich.

– Kościół został zaatakowany, Wskazujący Drogę - odrzekł kapitan Rellik. Był to mężczyzna o ostrych rysach, przyzwyczajony do dowodzenia najemnikami, prowadzenia małych wojenek i polowania na bandytów.

– To wiem - prychnął Cholik. - Kto odważył się zaatakować mój kościół? Rellik potrząsnął głową.

– Jeszcze się nie dowiedziałem, Wskazujący Drogę. Z tego, co słyszałem, statek uderzył w południowy dziedziniec, ten nad rzeką.

– Wypadek?

– Nie, Wskazujący Drogę. Atak na taras był zaplanowany.

– Ale dlaczego dziedziniec? Co chcieli przez to uzyskać?

– Nie wiem, Wskazujący Drogę.

Cholik wierzył dowódcy najemników. Kiedy Rellik dotarł do kościoła przed prawie rokiem, był sparaliżowany od szyi w dół. W starciu z bandytami pod Lut Gholein nadepnął na niego koń. Jego ludzie przywiązali go do noszy i przejechali dwieście mil, żeby znaleźć pomoc dla dowódcy.

Z początku Cholik nie widział w kapitanie najemników żadnej wartości, ale Kabraxis nalegał, by się mu przyjrzeć. Przez tygodnie Rellik zostawał na każdych modłach, podczas gdy jego ludzie karmili go i kąpali w rzece, śpiewał też swoim słabym głosem hymny do Dien-Ap-Stena najlepiej jak potrafił. Pewnego dnia głowa węża podniosła go z tłumy i połknęła. Kilka minut później dowódca najemników zszedł z Czarnej Drogi, cały i zdrowy, i na wieczność obiecał wierność prorokowi Dien-Ap-Stenowi oraz Wskazującemu Drogę.

– To nie ma sensu - irytował się Cholik, ruszając korytarzem.

– Nie ma, Wskazujący Drogę - zgodził się Rellik. Uniósł latarnię, oświetlając korytarz. W drugiej ręce trzymał swoje paskudne, zakrzywione ostrze.

– Nie rozpoznano żadnego z tych ludzi?

– Nie.

– Jak duże siły zaatakowały kościół? - spytał ostro Cholik.

– Nie więcej niż dwa tuziny - stwierdził Rellik. - Strażnicy miejscy próbowali ich zawrócić.

– Łódź musiała płynąć w górę rzeki, żeby uderzyć w ten taras. - Cholik odwrócił się i skręcił w przejście po prawej. Wszedł po schodkach. Znał w kościele każdy korytarz. Szedł tak prędko, że jego szata powiewała za nim. - Nie mogła płynąć szybko. Czemu strażnicy miejscy jej nie zatrzymali?

– Statek napędzała magia, Wskazujący Drogę. Nie mieli szansy go zatrzymać.

– A my nie wiemy, kim są ci ludzie?

– Przykro mi to mówić, Wskazujący Drogę, ale nie. Powiadomię was, jak tylko się czegoś dowiem.

Cholik dotarł do ukrytych drzwi, prowadzących na główny korytarz na trzecim piętrze. Otworzył zamek i wyszedł.

Nikogo. Obcy mogli wchodzić jedynie na parter i pierwsze piętro, gdzie można było usiąść. Tu znajdowały się kwatery kapłanów, ale wszyscy w tej chwili przebywali w świątyni. Południowe skrzydło na trzecim piętrze zarezerwowano dla akolitów, którzy służyli w kościele od co najmniej sześciu miesięcy. Zadziwiające, jak szybko zapełniły się te komnatki.

Cholik odwrócił się i ruszył na balkon wychodzący na południowy dziedziniec i brzeg rzeki.

– Wskazujący Drogę - zaczął Rellik.

– Co? - warknął Cholik.

– Może byłoby lepiej, gdybyście pozwolili się nam chronić.

– Chronić?

– Tak, zabrać was do komnat niżej, gdzie będziemy w stanie lepiej was bronić.

– Chcecie mnie ukryć? - spytał rozgniewany Cholik. - Kiedy mój kościół został zaatakowany, oczekujecie, że będę się krył jak tchórz?

– Przepraszam, Wskazujący Drogę, ale tak byłoby najbezpieczniej.

Słowa najemnika ciążyły Cholikowi. Swym umysłem szukał Kabraxisa, ale nie mógł go znaleźć. Ta sytuacja irytowała go i przerażała. Choć kościół był wielki, kapłan nie miał się gdzie ukryć przed zabójcami.

– Nie - stwierdził Cholik. - Strzeże mnie miłość Dien-Ap-Stena. To będzie moja tarcza i pancerz.

– Oczywiście, Wskazujący Drogę. Przepraszam za zwątpienie.

– Wątpiący nie pozostają długo w łaskach Proroka Światłości, kapitanie. Radzę, byś o tym pamiętał.

– Oczywiście, Wskazujący Drogę.

Cholik wszedł po stopniach na balkon. Owiał go nocny wiatr, nie było jednak śladu po magicznym wicherze, o którym mówił Rellik. Na falach rzeki unosił się płonący szkuner.

Płomienie objęły już cały pokład, skręcały się, tańczyły i skakały ku niebu. Ze szczytów masztów i takielunku unosiły się pomarańczowe i czerwone iskry, gasnące w samobójczym wyścigu do nieba. Chwilę później statek uderzył w jeden z okrętów stojących na kotwicy, trafiając go tuż za dziobem.

Chmura iskier i unoszących się w powietrzu fragmentów żagli poleciała ku kolejnym statkom. Jakby w odpowiedzi na brzegu zaroily się światła niesione przez marynarzy biegnących na ratunek żaglowcom. Przystań była

tak pełna, że ogień szybko się rozprzestrzeni, jeśli nikt temu nie zapobiegnie.

Cholik spojrział w górę rzeki i na brzegu pod zniszczonym tarasem zauważył strażników. Przyglądał się, jak mężczyźni wyskakują z łodzi i brodzą w wodzie. Otwór w kanale ściekowym zauważył dopiero wtedy, gdy oświetliły go pochodnie.

– Są w kanałach ściekowych - powiedział Cholik.

Rellik pokiwał głową.

– Już posłałem gońca do moich ludzi, żeby ich tam przejęli. Mamy mapy systemu ściekowego. - Zacisnął ponuro usta. - Ochronimy cię, Wskazujący Drogę. Nie musicie się o to bać.

– Nie boję się - powiedział Cholik, odwracając się do dowódcy najemników. - Jestem wybrańcem Dien-Ap-Stena. Jestem Wskazującym Drogę na Drodze Marzeń, gdzie zdarzają się cuda. Ludzie, którzy wtargnęli do mojego kościoła, są już martwi, choć mogą jeszcze o tym nie wiedzieć. Jeśli nie zginą z rąk strażników lub moich, zginą z ręki Dien-Ap-Stena. Dien-Ap-Sten, choć hojny dla swoich wyznawców, potrafi być bezlitosny wobec tych, którzy występują przeciw niemu. Przekaż swoim ludziom - nakazał Cholik - żeby szukali poparzonego mężczyzny, tego, który zaatakował mnie miesiąc temu.

– Tak, Wskazujący Drogę. Mogę się tylko modlić, by żaden prawdziwy wierny z taką dolegliwością nie przybył tu dziś, szukając uzdrowienia. Na niego będzie czekać jedynie śmierć.

Cholik spoglądał na czarną rzekę. Po obu jej stronach widział skupiska świateł. Inne światełka pędziły po mostach łączących północną i południową część miasta.

Gdy napastnicy zostaną pojmani, a Cholik miał powody, by sądzić, że tak się stanie, czeka ich tylko śmierć. Ich głowy zostaną nabite na piki przed

głównym wejściem do kościoła, a on powie, że tak rozkazał Dien-Ap-Sten, by pokazać wrogom, że Prorok Światłości potrafi być też okrutny i nielitościwy. To wzmocni wiarę tych, którzy wierzyli, i będzie wspaniałą historią, która przyciągnie więcej ludzi pragnących zobaczyć kościół i poznać religię.

*Buyardzie Choliku.*

Zaskoczony głosem demona w swojej głowie, Cholik zadrzał.

– Tak, Dien-Ap-Stenie.

Dowódca najemników gestem kazał swoim ludziom cofnąć się od Cholika, sam też zrobił dwa kroki do tyłu. Wierzchem dłoni z mieczem dotknął tatuażu, który umieszczono nad jego sercem, gdy przysiągł wierność Kościołowi. Zaczął szeptać słowa wyuczonej modlitwy, prosząc proroka o bezpieczną i oświecającą podróż, aby wieści o mądrości Dien-Ap-Stena trafiały coraz dalej.

*Wróć na nabożeństwo* – polecił mu Kabraxis - *nikt nie będzie nam przerywać*. Głos demona zdawał się dochodzić z daleka.

– Kto zaatakował kościół?

*Taramis Volken i jego banda łowców* – odpowiedział Kabraxis.

Robak strachu wgrzył się w serce Cholika. Choć nie rozmawiał z Kabraxisem o łowcy demonów, to przeprowadził małe badania. Taramis Volken od wielu lat był zagrożeniem dla demonów. Kiedy już usłyszał opowieści i zgłębił trochę ksiąg, Cholik przypomniał sobie, że kiedyś czytał o nim w archiwach Kościoła Zakarum. Taramis Volken uważany był za człowieka nieugiętego, który nigdy się nie poddaje. W ciągu ostatnich kilku tygodni łowca demonów potwierdził tę opinię. Po zdobyciu Burzogniewu, miecza Hauklina, drużyna znikła.

*Tylko się ukryli* – powiedział Kabraxis. *Teraz znów są w moim zasięgu.*



Zanim Cholik zdążył się powstrzymać, przez głowę przemknęło mu pytanie, czy przypadkiem nie znaleźli się w rękach Taramisa Vblkena. Wiedział, że demony nie pojawiały się na świecie bez naruszenia równowagi między Światłością a Ciemnością. Taramis Volken kilka razy udowodnił, że jest wybrańcem Światłości.

*Taramis Volken zginie w kanałach ściekowych – warknął Ka-braxis w głowie Cholika. Zwątp, a droga za to zapłacisz, mimo iż jesteś moim wybrańcem.*

– Nie wątpię w ciebie, Dien-Ap-Stenie - powiedział Cholik.

*W takim razie ruszaj. A ja zajmę się Taramisem Volkenem.*

– Jak sobie życzysz, mój proroku. - Cholik dotknął czoła w geście błogosławieństwa.

– Wskazujący Drogę - powiedział Rellik, podnosząc wzrok - powrót do katedry może nie być najbezpieczniejszy.

– To najbezpieczniejsze miejsce - stwierdził Cholik - gdy idzie się tam z błogosławieństwem Dien-Ap-Stena.

Ale od razu się poprawił, gdy tylko to pomyślał.

Teraz najbardziej niebezpiecznym miejscem były kanały ściekowe pod świątynią Proroka Światłości.

# DWADZIEŚCIA TRZY



Szczury rzuciły się w stronę Darricka, Taramisa Volkena i pozostałych łowców demonów. Bladożółte światło latarni i pochodni wydobywało z mroku ciała o połyskliwej sierści, które pędziły po półkach, nierównych ścianach i płynęły w mętnej wodzie kanału ściekowego zmieszanej z rzeczną wodą wpływającą przez pęknięcie w ścianie.

Żyły Darricka wypełniło lodowate przerażenie, czuł niemal, jak przykrywa go masa włochatych ciał i wciąga pod powierzchnię. Inni wojownicy przeklinali, wzywali Światłość i szykowali się do obrony.

Na ich czele stał potężny Rambal. Jednym uderzeniem tarczy strącił tuzin szczurów w pół skoku. Uderzenia ich ciał o tarczę odbijały się echem od ścian.

– Utrzymajcie pozycje! - nakazał swoim wojownikom Taramis. - Utrzymajcie je z dala ode mnie jeszcze przez chwilę.

Szczury skakały ze ścian, lądując na hełmach i opancerzonych ramionach zbrojnych. Ich pazury i kły zgrzytały o pancerze i kolczugi, żądając krwi.

Darrick mieczem Hauklina przeciął jednego z ohydnych stworów od nosa do ogona. Krew bryznęła mu w twarz, zalewając oko. Zanim ją obtarł, wylądowały na nim trzy kolejne szczury, aż zatoczył się pod ich niespodziewanym ciężarem. Zwierzęta natychmiast rzuciły się ku jego twarzy. Światło pochodni błyskało na ich obnażonych siekaczach. Zrzucił z

siebie gryzonie, klnąc szpetnie. Te wpadły do wody i znikły, by po chwili znów pojawić się na powierzchni.

Mimo wszelkich wysiłków wojownicy cofali się pod naporem szczurów. W powietrzu migotały ostrza i młoty, niemal godząc w towarzyszy. Krew mieszała się z ciemnymi ściekami i białą pianą z rzecznej wody.

Darrick z trudem utrzymywał równowagę na pokrytej błockiem podłodze. Siekł i ciął bez przerwy, zdumiony płynnością i lekkością, z jaką poruszała się klinga. Martwe szczury i ich fragmenty latały wokół niego, ale i tak wielu udało się go dosięgnąć. Kły szarpały mu ramiona i nogi tam, gdzie nie chroniła ich kolczuga.

Taramis wypisywał szybko w powietrzu magiczne symbole. Za jego palcami podążał zielony ogień, a ukończone symbole płonęły. Mędrzec kolejnym gestem posłał znaki do przodu. Wybuchły w powietrzu kilka stóp dalej. Pojawiło się białe światło, które przebijało szczury i kładło trupem na miejscu, odrywając ciało od kości, aż pozostały tylko szkielety.

Darrick pomyślał, że niebezpieczeństwo minęło. Ugryzienia piekły, ale żadne nie było na tyle poważne, żeby go spowolnić. Niebezpieczne mogły okazać się infekcje, ale tylko wtedy, gdyby uszedł z życiem z ataku na kościół.

– Taramis - powiedział Palat, podtrzymując jednego z wojowników i przyciskając rękę do jego szyi. - Jeden ze szczurów ugryzł Clavyna w gardło i przerwał tętnicę. Jeśli nie powstrzymamy krwawienia, umrze.

Taramis podszedł do wojownika i potrząsnął głową.

– Nic nie mogę zrobić - wyszeptał chrapliwie. Nie znaleźli po drodze eliksirów przywracających zdrowie, zresztą i tak nie mieli pieniędzy, by je kupić.

Twarz Palata stężała, poblądły spojrzął na krew płynącą między jego palcami.

– Nie pozwolę mu umrzeć! - stwierdził siwy wojownik. - Nie zaszedłem tak daleko, żeby patrzeć, jak umierają moi przyjaciele!

– Nic nie możesz zrobić. - Taramis potrząsnął głową z rezygnacją.

Choć starał się utrzymać swoje emocje zamknięte głęboko, Darrick i tak czuł przerażenie. Gdyby Clavyn umarł szybko, musieliby zostawić tu jego ciało szczurom na pożarcie. A gdyby umierał powoli, musiałyby umierać sam, bo nie mogli razem z nim zostać.

Darrick wycofał się do miejsca, które stworzył, by znosić bicie i obelgi ojca. Nie mógł pozwolić, by dotknęła go śmierć Clavyna.

*Nie – wyszeptał Mat. On nie musi umrzeć, Darrick. Użyj miecza. Użyj miecza Hauklina.*

– Jak? - spytał Darrick. Jego głos wybił się ponad plusk wody.

*Rękojeść - odrzekł Mat. Trzeba przycisnąć ją do Clavyna.*

Darrick nie chciał, by łowca demonów umierał tak plugawą śmiercią. Zrobił krok naprzód, a wtedy ostrze miecza znów zapłonęło błękitem.

Palat zastąpił mu drogę.

– Nie - powiedział. - Nie pozwolę, byś zakończył jego życie.

– Nie chcę go zabić - zapewnił Darrick. - Spróbuję go uratować.

Ale ogromny wojownik nadal się nie ruszał. W tym momencie Darrick uświadomił sobie, że nigdy nie był jednym z nich i nigdy nie będzie. Podróżowali razem, razem jedli i walczyli, ale pozostał obcy. Wiązała go z nimi tylko umiejętność posługiwania się mieczem Hauklina. Poczuł gniew.

*Darrick - powiedział Mat. Nie poddawaj się temu. Nie jesteś sam.*

Ale Darrick wiedział, że to tylko puste słowa. Był sam przez całe życie. W końcu nawet Mat go opuścił.

*Nie – zaprotestował z mocą Mat. To, co czujesz, nie jest prawdą, Darrick. To demon. To Kabraxis. Jest tu z nami. On wie, żeśmy tu weszli. Jego ludzie już tu idą, ale demon jest w tobie. Próbuję utrzymać go z daleka, ale on*

*odnajduje twoje słabości. Nie pozwól, by demon skłócił cię z tymi ludźmi. Oni cię potrzebują.*

Darrick poczuł, jak między jego skrońmi rodzi się paskudny ból głowy, a potem zaczyna pulsować w szalonym tempie. Niemal opadł na kolana w zimną wodę. Przed oczami miał mroczki.

*Użyj miecza, Darrick – nalegał Mat. On może uratować was wszystkich.*

– Co mogę zrobić? - spytał Darrick.

*Uwierzyć – odrzekł Mat.*

Darrick próbował odnaleźć klucz do magii miecza. Byłoby lepiej, gdyby istniało jakieś magiczne słowo czy coś w tym rodzaju. Ale nie. Pamiętał tylko, jak miecz działał w domu Elliga Barrowsa i co wtedy czuł, przypomniał sobie, jak miecz się zachowywał, gdy oświetlił brzeg, pokazując tunel, do którego niedawno weszli. To nie była wiara, ale coś, o czego prawdziwości Darrick był przekonany.

Miecz zadrżał i znów zapłonął na niebiesko. Tunel wypełniło łagodne ciepło, ogrzewające ciało i kości Darricka, zabrzmiało też delikatne brzęczenie. Zamarły ze zdumienia patrzył, jak spomiędzy palców Palata przestaje płynąć krew.

Tamten z wahaniem zdjął rękę z szyi Clavyna, ukazując poszarpaną ranę, która na ich oczach zarosła i zagoiła niemal bez śladu. Pozostała po niej jedynie niewielka blizna.

Brzęczenie i ciepło nie ustawały, a Darrick patrzył, jak odniesione przez niego obrażenia goiły się, włączając w to ranę na żebrach od bełtu. Nie minęła nawet minuta, a wszyscy wojownicy byli uzdrowieni.

– Błogosławieństwo Światłości - powiedział Rambal, uśmiechając się jak dziecko. - Zostaliśmy pobłogosławieni przez Światłość.

– Albo uratowani, żeby zginąć później - warknął Palat - jeśli tak tu będziesz stał i kłapał paszczą.

Darrick szukał Mata, chciał usłyszeć głos przyjaciela.

*Bądź silny - powiedział Mat. Najgorsze dopiero przed wami. To tylko cisza przed burzą.*

– Szlag by to! - zaklął Palat, wskazując na drogę, którą przyszli. - Strażnicy już nas prawie mają!

Darrick odwrócił się i spojrzał w tunel.

Ciemność za nimi wypełniało migotanie odległych pochodni i głośny chlupot.

– Naprzód - nakazał Taramis, unosząc latarnię.

Drużyna ruszyła, walcząc z prądem wody i śliskim dnem. Ciemność przed nimi ustępowała przed blaskiem pochodni i latarni. Kilka szczurów z piskiem przemykało w cieniach, ale żaden nie miał zamiaru zaatakować.

Coś uderzyło Darricka w bok, przyciągając jego uwagę. Ledwie dostrzegł ułamek kości, który przesunął się pod powierzchnią wody. W pierwszej chwili uznał, że to jakaś istota o twardym pancerzu, ale potem ujrzał tylko dość małą prostą kość, pewnie szczura, jednego z tych zabitych zaklęciem Taramisa.

– Patrzcie! - zawołał Rambal, wyciągając z wody małą czaszkę. - To są szczurze kości.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, czaszka wyskoczyła mu z dłoni, kłapnęła zębami przed twarzą. Rambal cofnął się gwałtownie. Próbował ją trafić pancerną rękawicą, ale już wpadła z powrotem do wody i znikła.

– Stójcie - powiedział Taramis. Wziął latarnię od jednego z wojowników i uniósł ją wysoko.

Światło ukazało setki kości poruszających się w wodzie, migoczących zielonkawą bielą.

– To robota demona - warknął Palat. - On wie, że tu jesteśmy.

Chwilę potem z wody wynurzył się przerażający stwór.

Zbudowany ze szczurzych kości, miał osiem stóp wzrostu i był przysadzisty jak mała. Stał na krzywych nogach, ledwo widocznych w mętnej wodzie. Istota miała cztery ręce, a wszystkie dłuższe niż nogi. Gdy zacisnęła dłonie, na kłykciach wyrosły rogi ze szczurzych zębów i żeber, zmieniające pięści w morgenszterny. Rogi miały ostre krawędzie, mogły służyć nie tylko do klucia, ale i do cięcia. Demoniczna twarz stwora złożona była z małych kostek i poszarpanych odłamków.

– To kościany golem - wyjaśnił Taramis. - Wasza broń na nic się nie przyda.

Usta golema, zbudowane z ciasno splecionych kawałków kości, rozciągnęły się w upiornym uśmiechu. Zabrzmiało głuche wycie przypominające ryk północnego wiatru na cmentarzu.

– Przygotujcie się na śmierć, głupcy!

Taramis machnął wolną ręką, rysując magiczny symbol. Znak natychmiast zmienił się w kulę ognia wielkości dyni, która uderzyła w niesamowitą istotę.

Trafiony w pierś golem upadł do tyłu. Otoczyły go płomienie, przedostając się przez otwory między kośćmi, wydawało się, że stwór zapłonął od środka. Na chwilę przysłoniły go kłęby pary, ale poza tym nic nie wskazywało na to, że potwór ucierpiał.

Golem znów zawył, tym razem plując płomieniami. Jego głos odbił się echem od ścian tunelu i niemal ogłuszył łowców. Kilku wojowników zatkało uszy. Usta mieli otwarte, jakby krzyczeli.

Darrick nie słyszał ich, tylko ryk kościanego golema. Usłyszał jednak głos Mata.

*Teraz to już zależy od ciebie – powiedział spokojnie przyjaciel. Kościany golem pozabija ich, jak tylko stanie na nogi. Jedyne miecz Hauklina może go powstrzymać.*

– Nie jestem bohaterem - wyszeptał Darrick, patrząc na stwora.

*Może nie* – zgodził się Mat - *ale nie ma gdzie uciekać.*

Spojrząwszy przez ramię, Darrick zobaczył zbliżających się strażników świątynnych. Ucieczka oznaczała nieuniknioną walkę z żołnierzami i kolejne starcia, gdy tylko wyjdą z kanału.

Wojownicy za Darrickiem cofali się, najwyraźniej woleli stawić czoła ludzkiemu przeciwnikowi. Darrick patrzył na golema, starając się opanować strach. Jedyna droga prowadziła przez potwora.

Zrobił krok do przodu i przyjął pozycję obronną. Jedna z kolczastych pięści uderzyła prosto w niego. Darrick uchylił się przed ciosem, ustawił się i ciął w górę. Zawadził o ramię golema końcówką klingi i spróbował przeciąć staw łokciowy. Chybił jednak o kilka cali i ostrze ześlizgnęło się po ręce stwora.

Bardziej wyczuwając ruch przeciwnika, niż go widząc, Darrick uskoczył, ledwo unikając ciosu pięści wymierzonego w jego głowę. Wystające kostne ostrza przecięły skórzany płaszcz i plusnęły w wodę.

Nim golem cofnął rękę, Darrick machnął zaklętym ostrzem. Tym razem miecz przebił ramię, rozbijając je na tysiące kostnych odłamków. Golem próbował uderzyć Darricka drugą pięścią w twarz. Gdyby ten cios dotarł do celu, zerwałby mężczyźnie twarz z czaszki.

Darrick rozpaczliwie rzucił się do tyłu. Ostre krawędzie kości znów trafiły w jego pierś, przecinając nie tylko skórę, ale również ciało. Darrick poczuł, jak wypełnia go strach, niemal pozbawiając nadziei na zwycięstwo, ale miecz Hauklina pewnie leżał mu w dłoniach. Sparował kolejny cios golema, spychając wielką pięść na bok, po czym zrobił krok do tyłu, gdy potwór, pociągnięty siłą uderzenia kościanego młota, zgiął się wpół.

Darrick obrócił się i ciął w klatkę piersiową stwora, tuż pod kikutem dolnego lewego ramienia. Odłamki kości poleciały we wszystkie strony, ale



istota pozostała cała.

Wciąż w ruchu i cudem chyba utrzymując równowagę na śliskim podłożu, Darrick odskoczył, nie przestając ciąć i parować ataków golema. Czerwień splamiła jego ubranie. Nagle potknął się i przewrócił.

Kościany golem zamachnął się, celując w głowę Darricka.

Ale nagle marynarza osłonił Rambal, blokując cios swoją tarczą. Ostre jak brzytwa kolce wbiły się w nią zaledwie stopę od twarzy Darricka. Kolce przebiły tarczę Rambala wraz z ramieniem wojownika. Gdy golem cofnął pięść, popłynęła krew.

Wyraźnie cierpiąc potwornie, Rambal zrobił krok do tyłu, zatoczył się i opadł na kolana, przyciskając do siebie ranne ramię, odsłaniając jednocześnie głowę.

Poczucie winy zaboląło Darricka bardziej niż rany na piersi. *To moja wina – pomyślał. Gdybym nie uwolnił miecza Hauklina, nigdy by tu nie przyszli.*

*Nie - powiedział Mat. Przyszliby, Darricku. Nawet bez ciebie i tego miecza. Znów demon przez ciebie gada, wciska ci do głowy te myśli. Złe myśli odbiorą ci siłę, staniesz się słaby. Ty możesz wszystko zmienić i dlatego właśnie wróciłem. A teraz rusz się!*

Golem nie marnował czasu. Ustawił się i zaatakował nową ofiarę, która leżała przed nim. Chwytając zaczarowany miecz w obie ręce, Darrick zrobił krok do przodu i zamachnął się. Tam, gdzie ostrze trafiło na ramię golema, pękły kości.

Rycząc z wściekłości, golem znów skierował uwagę na Darricka, machając dwoma pozostałymi ramionami. Darrick sparował jeden cios, a drugiego uniknął, przeskakując nad ramieniem stwora.

Taramis i Palat rzucili się do przodu, chwycili Rambala pod ramiona i odciągnęli od golema.

Darrick wylądował pewnie, zablokował kolejny cios, czując, jak nadgarstki i ramiona drżą od uderzenia. Prawie wypuścił z rąk miecz. Pobiegnął do ściany po lewej, wiedząc, że jeśli się zatrzyma, golem go dopadnie. Skoczył i uderzył w ścianę nogami. Pod wpływem uderzenia z butów wylała się woda.

*Jesteś jak plaga zesłana przez Ciemność – zabrzmiał w jego głowie głos ojca. Hańbą. Na Światłość, nienawidzę widoku tej twojej paskudnej mordy. Nigdy tak nie wyglądałem. I te ryże kudły, u mnie w rodzinie nikt takich nie miał. W rodzinie twojej matki też nie, nikt nigdy.*

Słowa wypełniały umysł Darricka, dekoncentrując go, gdy amortyzował uderzenie o ścianę, podkurczając kolana i pochylając się do przodu.

*Nie słuchaj go – powiedział Mat. To tylko ten przeklęty demon do ciebie mówi. Szuka twoich słabych punktów, ot co. A twoje osobiste sprawy to nie jego interes.*

Ale Darrick wiedział, że słowa te pochodzą nie tylko od demona. Pochodziły z małej stodoły na tyłach sklepu rzeźnika, z lat maltretowania i zimnej nienawiści, której jako dziecko nie rozumiał. Nawet jako młodzieniec Darrick nie potrafił się bronić przed ostrymi słowami ojca. Ojciec może i przestał brać się tak szybko do bicia, gdy Darrick zaczął mu oddawać, ale chłopak nigdy nie nauczył się, jak bronić się przed słownymi atakami i obojętnością matki.

Darrick wpadł na ścianę, przywarł do niej, zanim grawitacja nie pociągnęła go w dół. Kątem oka dostrzegł, jak golem szykował się do ciosu. Zanim pięść dotarła do celu, Darrick odepchnął się od ściany, mocniej ścisnął miecz Hauklina i wywinął salto, lądując za plecami potwora.

Pięść golema uderzyła w ścianę, rozbijając kamienie i wykruszając zaprawę, która je spajała.

Darrick zdusił głos ojca w swoim umyśle, uspokoił drżącą dłoń i przygotował się, wzięwszy głęboki wdech, choć powietrze cuchnęło. Chwytając magiczne ostrze obiema rękami i patrząc, jak golem odwraca się ku niemu, Darrick zerknął jeszcze na Taramisa i innych wojowników. Za nimi strażnicy świątynni czekali na okazję. Kuszniczy strzelali, ale bełty wbijały się w tarcze tylnej straży łowców demonów.

*Dalej!* - ryknął Mat w głowie Darricka.

Miecz znów zapłonął na niebiesko, prawdziwym, zimnym błękitem morza. Darrick zamachnął się z całej siły. Poczul, jak broń przebija klatkę piersiową stwora i grzęźnie w jego kręgosłupie.

Kościany golem zawył z bólu, ale w makabrycznym głosie była też nutka śmiechu.

– Teraz zginiesz, robaku.

– Nie - powiedział Darrick, czując, jak moc przepływa po mieczu. - Wracaj do piekła, demonie.

Niesamowite błękitne płomienie spłynęły po ostrzu. Golem już zamierzał się na Darricka, gdy jego kręgosłup stanął w ogniu. Płomień urósł, pochłaniając golema i wypalając magię, która połączyła szkielety szczurów. Płonące kości wpadały do ścieków, sycząc, gdy dotknęły wody.

Wszyscy - włączając w to Darricka - zamarli w zadziwieniu.

*Uciekaj!* - ryknął Mat.

Darrick odwrócił się i zaczął biec, unosząc kolana ponad wodę. Miecz nadal świecił, odpędzając cienie wypełniające tunel. Taramis i łowcy demonów bez wahania popędzili za Darrickiem.

Jakieś pięćdziesiąt jardów dalej tunel kończył się rozgałęzieniem w kształcie litery T. Miecz bez wahania pociągnął Darricka w prawo. Biegł dalej, cały mokry od potu i wypełniającej tunel pary. Oddech palił go w gardle. Darrick był przekonany, że wsiąka w niego odór tego miejsca.

Kawałek dalej tunel zakończył się nieoczekiwanie. Blask miecza oświetlał stertę gruzu blokującą przejście. Widocznie kiedyś, w przeszłości część tunelu się zawaliła. Po śmieciach, ukryte w cieniach i wśród popękanych kamieni, łaziły szczury. Całe setki wspinały się po głazach.

Niepodtrzymywana przez kamienie, ziemia przez lata zapadła się, ale nie osypała do końca. Nie wiedzieli, ile stóp ziemi i kamienia dzieli tunel od powierzchni.

– Tunel bez wyjścia - warknął Palat. - Ten przeklęty miecz tym razem nas oszukał, Taramisie. Strażnicy dopadną nas, a my nie mamy gdzie uciec.

Taramis odwrócił się do Darricka.

– Co to wszystko znaczy?

– Nie wiem - przyznał Darrick.

# DWADZIEŚCIA CZTERY



Słyszeli coraz głośniejszy chłopot, gdy zbliżali się strażnicy świątyni. Przynajmniej w tej części tunelu woda sięgała kilka cali poniżej kolan, a prąd był słaby.

Darrick czuł się zdradzony. Głos, który według niego należał do Mata, stanowił tylko kolejną sztuczkę demona. Patrząc na miecz, wiedział, że był on jedynie przynętą w wymyślnej pułapce.

*Nie – odezwał się Mat. Jesteś, gdzie miałeś być. Wytrzymaj tylko, a wszystkiego się dowiesz.*

– Czego niby? - spytał ostro Darrick.

Taramis i inni wojownicy zaczęli wpatrywać się w niego uważnie, a odgłosy pogoni wyraźnie się zbliżały.

*Było nas trzech w jaskini, gdy Kabraxis wkroczył do naszego świata - zaczął Mat. Magia, którą uwolnił Buyard Cholik, otwierając drzwi do Piekła, naznaczyła nas wszystkich. Te wątpliwości w twojej głowie, to tylko Kabraxis gra na twoich lękach. Po prostu trzymaj się kursu.*

– Trzech? - powtórzył Darrick. - Nie było nas trzech.

Chyba żeby wliczyć w to Buyarda Cholika.

*Był jeszcze ktoś - powtórzył z uporem Mat. Wszyscy straciliśmy coś tej nocy, teraz musimy stanąć ramię w ramię, by to odzyskać. Demony, wkraczając do tego świata, niosą zalążek własnej zagłady. To człowiek musi*

*odkryć, czym są owe zalążki. Ja? Ja byłem zagubiony przez długi czas, aż w końcu odnalazłeś miecz Hauklina, a ja powróciłem do siebie i ciebie.*

Darrick potrząsnął głową, wątpiąc w to wszystko.

*Jesteś bezwartościowy, chłopcze - zabrzmiał głos jego ojca. Nawet nie jesteś wart wysiłku, by cię zabić. Może poczekam, aż podrośniesz, nabierzesz trochę ciała, a potem sprawię cię jak świnie, a wszystkim powiem, że uciekłeś z domu.*

Darrick zadrżał od starego strachu. Wydawało mu się, że w cieniach widzi twarz ojca.

– Darrick! - zawołał Taramis.

Choć Darrick dobrze słyszał mędrca, nie był w stanie odpowiedzieć. Został uwieczony we wspomnieniach i starym przerażeniu. Smród stodoły za sklepem rzeźnika wypełniał mu nozdrza, tunel ściekowy i łowcy demonów wydawali się całkowicie nierealni.

*Przestań, Darrick! – krzyczał Mat. Uważaj, do diabła! W ten sposób Kabraxis ma nad tobą kontrolę. Mnie posłał na tułaczkę bez celu wśród duchów i pewnie wciąż tam bym się błąkał, gdybyś nie znalazł miecza Hauklina.*

Darrick zacisnął miecz w pięści, winił go za to, że wprowadził ich w ślepy zaułek. Może i Mat uważał, że miecz był potężnym talizmanem, który pozwalał stawić czoła demonom, ale Darrick nie. W jego mniemaniu miecz był przeklęty. Palat miał kiedyś przeklętą broń - wiedział, o czym mówi, kiedy nie podobał mu się miecz Hauklina.

*To demon, Darricku – powiedział Mat. Bądź silny.*

– Nie mogę - wyszeptał głucho Darrick. Przyglądał się światłom pochodni na drugim końcu kanału, gdzie zbierali się strażnicy.

– Nie możesz czego? - spytał Taramis.

– Nie mogę uwierzyć - odparł Darrick. Przez całe życie szkolił się w niewierze. Nie wierzył, że ojciec go nienawidzi. Nie wierzył, że był bity z winy ojca. Wyszkolił się w przekonaniu, że życie to ciąg dni w sklepie rzeźnika, a dobry dzień to taki, kiedy ojciec go nie okulał.

*Uciekłeś stamtąd* – przypomniał mu Mat.

– Nie, odszedłem z domu, ale nie uciekłem od tego, kim miałem się stać.

*Uciekłeś.*

– Nie - odpowiedział Darrick, spoglądając na strażników.

– Czekają - stwierdził Palat. - Zauważyli, że jest nas zbyt wielu, aby obeszło się bez paru trupów po ich stronie. Zamierzają poczekać, ściągnąć więcej łuczników i powystrzelać nas jak kaczki.

Taramis podszedł do Darricka.

– Wszystko w porządku?

Ale Darrick nie odpowiedział. Wypełniała go bezradność, usiłował z nią walczyć. Uczucie gnioło mu pierś i ramiona, utrudniało oddychanie. Przez ostatni rok zepchnął życie na dno butelki, utopił w cienkim winie. Potem popełnił błąd, starając się wytrzeźwieć i uwierzyć, że jego życie ma jakiś sens.

Że czeka go coś więcej niż pech i odrzucenie, które prześladowało go od urodzenia.

*Jesteś bezwartościowy* – syknął głos jego ojca.

Po cóż się uratował? Aby zdechnąć w jakimś zawałonym kanale jak szczur? Chciało mu się śmiać i płakać zarazem.

*Darricku* – zawołał Mat.

– Nie, Mat - odpowiedział Darrick. - Zaszedłem dość daleko. Pora to zakończyć.

Taramis zbliżył się, unosząc latarnię tak, aby oświetlić mu twarz.

– Darricku?

– Przyszliśmy tu, aby umrzeć - odezwał się Darrick, odpowiadając zarówno Taramisowi, jak i Matowi.

– Nie przyszliśmy tu, aby umrzeć - odparł Taramis. - Przybyliśmy tu, aby zdemaskować demona. Kiedy oddający mu cześć ludzie zobaczą, kim jest naprawdę, odwrócą się od niego i będą wolni.

Darrick czuł się tak źle, że słowa mędrca z trudem do niego docierały.

*To demon* – powiedział Mat.

– Mówisz do swojego przyjaciela? - spytał Taramis.

– Mat nie żyje - wyszeptał Darrick ochryple. - Widziałem, jak umiera. Zginął przede mną.

– Czy jest tu z nami? - spytał Taramis.

Darrick potrząsnął przecząco głową, ale ten ruch wydał mu się tak nierealny, jakby ciało należało do kogoś innego.

– Nie. Nie żyje.

– Ale rozmawia z tobą - upierał się mędrzec.

– To kłamstwo - odparł Darrick.

*To żadne kłamstwo, ty skończony durniu!* - wybuchnął Mat. *Niech cię diabli, ty zakuta pało! Zawsze najtrudniej było cię przekonać, jak nie mogłeś sam wszystkiego zobaczyć i dotknąć. Jeśli mnie nie posłuchasz, to już na zawsze zostanę błąkającą się duszą. Nigdy nie zaznam spokoju. Czy chcesz, aby to mnie spotkało?*

– Nie - odpowiedział Darrick.

– Co mówi? - spytał Taramis. - Czy dotarliśmy na miejsce?

– To sztuczka - szepnął Darrick. - Mat twierdzi, że demon siedzi w mojej głowie i próbuje mnie osłabić. Mówi, że nie jest demonem.

– Wierzysz mu?

– Wierzę, że w mojej głowie siedzi demon - przyznał Darrick. - W jakiś sposób zdradziłem was wszystkich, Taramisie. Przepraszam.



– Nie - zaproponował Taramis. - Miecz jest prawdziwy. Przyszedł do ciebie.

– To była sztuczka demona.

Mędrzec potrząsnął głową.

– Żaden demon, nawet Kabraxis, nie mógłby mieć władzy nad mieczem Hauklina.

Ale Darrick pamiętał, jak tam, w ukrytym grobowcu, miecz stawiał mu opór.

*Na początku nie mogłeś uwolnić miecza – powiedział Mat. Musiałeś poczekać na mnie. Widzisz, on wybrał nas obu. Dlatego włóczyłem się jak potępiona dusza, ani tu, ani tam. To moja część. A teraz zbliża się ten trzeci, mówię ci.*

– Zbliża się ten trzeci - powtórzył bezmyślnie Darrick. Taramis przyjrzał się mu, zbliżając latarnię do jego twarzy.

Mimo irytacji, że ktoś świeci mu po oczach, Darrick czuł, iż nie może się ruszyć.

*Nie jesteś moim synem - ryczał ojciec w jego głowie. Ludzie patrzą na ciebie i wcale by mnie nie potępiali, jakbym zabił twoją matkę. Ale ona mnie zaczarowała. Nawet nie mogę podnieść na nią ręki.*

Policzek Darricka zapiekł boleśnie, ale był to ból z przeszłości, nie coś, co działo się teraz. Chłopiec, którym był, wylądował na stercie pokrytego gnojem siana. Ojciec zbliżył się i zbił go, przez co Darrick przeleżał kilka dni w stodole z gorączką i połamaną ręką.

– Czemu wtedy nie umarłem? - spytał. Wszystko byłoby prostsze, znacznie prostsze.

Mat żyłby dalej, mieszkał w Hillsfar wraz z rodziną.

*Ale to był mój wybór - powiedział Mat. Nie chciałem zostać. Woląłem odejść z moim przyjacielem. A gdybyś ty nie dał mi powodu do opuszczenia*

*Hillsfar, to sam bym jakiś znalazł. Hillsfar było za małe dla ludzi takich jak ja czy ty. Mój tatko wiedział o tym, tak samo jak o tym, że odchodzę z tobą.*

– Zabiłem cię - powiedział Darrick.

*A gdyby nie ty, jak sądzisz, ile razy byłbym już do tej pory martwy, zanim skończyliśmy w Porcie Tauruka?*

Darrick znów zobaczył Mata uderzającego o ścianę klifu, z uczepionym go szkieletem.

*Ile razy kapitanowie statków, na których służyliśmy, powtarzali, że życie marynarza na okręcie królewskim Zachodniej Marchii jest nic niewarte? Praca przez długie godziny, marny zarobek, a do tego takie życie zwykle trwa krótko. Jedyne, co w tym wszystkim miało jakiś sens, to towarzysze z załogi i te kilka dziewczek z tawerny, które na twój widok przewracały oczami, jakbyś był jakimś przeklętym bohaterem.*

Darrick pamiętał te słowa i tamte czasy. Mat był w tym najlepszy, zawsze zabierał najładniejsze panienki i miał najwięcej przyjaciół.

*I teraz dowiem się, czy będę miał szczęście po śmierci - powiedział Mat. Czy uda nam się dokończyć to ostatnie zadanie, do którego żeśmy się sami zgłosili. Bierz ten miecz, Darricku, i stawaj. Nadchodzi trzeci.*

Po części ta ogromna niemoc opuściła Darricka. Dopiero wtedy zorientował się, że Taramis chwycił go obiema rękami za koszulę i potrząsa nim z całych sił.

– Darrick - powtarzał mędrzec. - Darrick.

– Słyszę cię. - Darrick usłyszał też strzały uderzające o metalowe tarcze, które podnieśli inni wojownicy. Najwyraźniej straż świątynna nabrała odwagi i postanowiła usunąć kilku z nich. Jak na razie wojownicy byli w stanie trzymać tarcze, tak aby żaden pocisk się między nimi nie przemknął.

– Jaki trzeci człowiek? - dopytywał się Taramis.

– Nie wiem.

– Czy jest stąd jakieś wyjście?

– Nie wiem.

Na twarzy mędrca pojawiła się desperacja.

– Użyj miecza.

– Nie wiem jak.

*Czekamy* - powiedział Mat.

– *Czekamy* - powtórzył bezmyślnie Darrick. Tak bardzo skulił się wewnątrz siebie, że nic nie miało już znaczenia. Głos jego ojca ucichł i znikł gdzieś w tle. Być może Mat znalazł jakiś sposób, aby utrzymać go w ciszy, ale gdyby Darrick w to uwierzył, musiałby uznać, że Mat nie jest demonem, a marynarz miał niemal pewność, że demon w jego głowie mówił też głosem Mata.

– Nadchodzą kolejni strażnicy - oznajmił Palat.

Nagle, bez ostrzeżenia, kamień zazgrzytał o kamień.

Taramis spojrział nad ramieniem Darricka.

– Patrz - powiedział mędrzec. - Być może twój przyjaciel miał rację.

Darrick odwrócił się powoli. W suficie kanału nad stertą gruzu znajdował się prostokątny otwór. Marynarz przyjrzał się temu bliżej. Nie były to otwarte drzwi, a raczej duży kawał kamienia, który został wyjęty i odrzucony. Z góry spłynęło światło.

W otworze pojawiła się głowa mężczyzny.

– Darricku Lang! - zawołał przybysz.

Taramis uniósł latarnię. Patrząc na te spalone resztki twarzy, Darrick nie mógł uwierzyć, że oto nadeszła pomoc.

– Darricku Lang! - zawołał ponownie spalony mężczyzna.

– Zna cię - powiedział cicho Taramis. - Kto to?

– Nie wiem - odparł Darrick, nie mogąc rozpoznać spalonych rysów wśród podrygujących cieni.

*Toć go znasz. To kapitan Raithen. Herszt piratów z Portu Tauruka. Walczyłeś z nim na pokładzie jego okrętu.*

Zdumiony, a zarazem w dziwny sposób pewien, że Mat mówi prawdę, Darrick rozpoznał mężczyznę.

– Ale on zginął.

– Wygląda, jakby nie żył - zgodził się cicho Taramis - ale daje nam drogę ucieczki przed pewną śmiercią. Musi być mistrzem ucieczek.

– Tędy - powiedział Raithen. - Pospieszcie się, jeśli wam życie miłe. Ten przeklęty demon wysłał za wami więcej ludzi, a skoro zobaczyli, jak to otwieram, sprawdzą na mapach i szybko zorientują się, jak się tu dostałem.

– Chodźmy - powiedział Taramis, biorąc Darricka pod ramię.

– To jakaś sztuczka - opierał się tamten.

*Nie* – powiedział Mat. *Jesteśmy połączeni, nas trzech. Złączeni w tym zadaniu.*

– Jeśli tu zostaniemy, zginiemy - stwierdził Taramis. Zmusił Darricka, aby ten, choć niechętnie, ruszył za nim.

Kiedy podeszli do sterty śmieci, szczury rozbiegły się na wszystkie strony. Strzały uderzały w kamienie i czasem w zwierzęta, ale na szczęście wojownicy nie byli nawet draśnięci.

Raithen wyciągnął rękę do Darricka.

– Daj mi miecz - powiedział kapitan piratów. - Pomogę ci się wspiąć.

Zanim Darrick zdołał przesunąć miecz, kapitan chwycił go. Kiedy tylko jego palce dotknęły rękojeści, zasyczały.

Raithen krzyknął i cofnął dłoń. Odskoczył do tunelu nad kanałem, a z jego palców unosił się dym. Zaklął i wyrwał jeszcze dwa kamienie, aby łowcom demonów było łatwiej wyjść.

Pierwszy przeszedł Taramis, wspinając się do mniejszego tunelu nad nimi. Potem Darrick, bezwolnie, troszcząc się tylko o zaklęty miecz.

Przedstawivszy się, Taramis wyciągnął rękę. Kapitan piratów odsunął się i nie podał swojej. Jego uwaga skupiła się na Darricku.

– Czy twój martwy przyjaciel kontaktował się z tobą? - spytał.

Darrick spoglądał na niego i nie mógł odpowiedzieć. Jedyne, do czego byłby zdolny, to do wbicia miecza Hauklina wprost w serce kapitana.

Usta Raithena rozciągnęły się w zimnym uśmiechu. Popalone ciało pękło w kilku miejscach, usta zalała krew.

– Nie musisz odpowiadać - stwierdził. - Gdyby nie twój druh, nieustannie wsadzający nos w nie swoje sprawy, nie byłoby cię tutaj.

*Wsadzający nos?! – obruszył się Mat. Gdybym tylko mógł dostać cię w swoje ręce albo wziąć w nie kawał ostrej stali, obciąłbym ci za to łeb, parszywy kundlu.*

– Jak widzę, wciąż z nami jest - skrzywił się Raithen.

– Słyszysz go? - zdziwił się Darrick.

– Kiedy jest gdzieś blisko, to tak. Cały czas gada. Dziękuję Światłości, że dane mi go było znieść tylko przez ostatnie tygodnie. - Spojrzenie Raithena powędrowało do miecza w dłoni Darricka. - Niesiesz potężny miecz Hauklina. To on?

– Aye - odrzekł Darrick.

Wszyscy łowcy znaleźli się już w tunelu i tłoczyli się wokół, Taramis cicho wydał rozkazy, ustawiając ich po obu stronach otworu na dnie nowego korytarza.

– I on zabije Kabraxisa? - spytał ostro Raithen.

– Tak mi mówiono - przyznał Darrick. - Albo przynajmniej wygna demona z powrotem do Piekła.

Raithen splunął krwią na podłogę.

– Ja wolałbym, żebyśmy go wypatroszyli i rzucili na pożarcie rekinom, a potem patrzyli, jak zżerają go po kawałku.

– Nadchodzą strażnicy świątynni - wtrącił Palat. - Lepiej ruszajmy.

– Biec tym tunelem z nimi za plecami? - Raithen wyszczerzył się, a krwawa piana na wargach sprawiała, że wyglądał na szalonego.

*Jest szalony* - powiedział Mat. *To, co zrobił Kabraxis, niemal odebrało mu rozum.*

– Co tu robisz? - spytał Darrick Raithena.

Kapitan piratów uśmiechnął się, a więcej krwi splamiło jego wargi.

– To samo co ty, jak sądzę. Chcę uwolnić się od demona. Chociaż po tym, jak usłyszałem o śmierci twojego przyjaciela i co przytrafiło się mnie, muszę przyznać, że z tobą obszedł się najłagodniej.

Darrick nic nie powiedział.

W kanale pod nimi rozległ się chlupot.

– Strażnicy świątynni nie będą czekać, aż skończycie pogaduszki - ponaglił ich Palat.

Raithen zrobił krok do tyłu i ze ściany przy otworze wyjął baryłkę. Gdy ją wyciągał, popękała mu skóra na rękach. Krew plamiła beczułkę, a Darrick i Palat pomogli mu, popychając naczynie w stronę otworu. Kapitan piratów zerwał wieko, ukazując ciemny tłuszcz.

– Lać - rozkazał.

Razem wylali zawartość baryłki na kamienie i wodę poniżej. Szczury uciekały przed ciemnym płynem, a strażnicy ostrożnie trwali na swoich pozycjach.

Przez otwór wleciały dwa bełty. Jeden wbił się w bok baryłki, a drugi przebił prawą łydkę Raithena. Przeklinając, Raithen wyjął pochodnię z uchwytu na ścianie i wrzucił przez otwór, na stertę gruzu.

Wyglądając ostrożnie przez dziurę, Darrick zobaczył, jak tłuszcz zapalił się natychmiast. Płomienie objęły całą stertę gruzu, wypłaszając szczury z kryjówek i popychając je na strażników. Olej unoszący się na wodzie też

zapłonął. Niesione wolnym prądem płomienie sunęły w stronę zbrojnych, zmuszając ich do odwrotu.

– Dzięki temu zyskamy trochę czasu - powiedział Raithen. Skreślił w lewo i ruszył tunelem.

– Gdzie nas prowadzisz? - spytał Taramis.

– Do demona - odrzekł Raithen. - Tam musimy się udać.

Pobiegł korytarzem, zatrzymując się tylko po to, by wziąć z uchwytu kolejną pochodnię.

Korytarz był węższy niż kanał ściekowy poniżej, tylko trzech łowców mogło iść nim obok siebie. Darrick czuł, że musi się spieszyć, stanął więc na czele grupy. Po chwili dołączyli do niego Taramis i Palat.

– Kim jest ten człowiek? - spytał Taramis, wpatrując się w postać biegnącą przed nimi.

– To Raithen - odrzekł Darrick. - Jest...

*Był* - zapewnił go Mat.

– ...był - poprawił się Darrick - kapitanem piratów w Zatoce Zachodniej Marchii. Rok temu pracował dla Buyarda Cholika.

– Tego kapłana Zakarum, który otworzył bramę Kabraxisowi?

– Ano.

– Co mu się stało?

– Zabił go demon w Porcie Tauruka - powiedział Darrick świadom, że brzmi to bardzo dziwnie, skoro patrzyli na biegnącego przed nimi poparzonego szaleńca.

– Jak dla mnie, to on nie jest wystarczająco martwy - stwierdził Palat z powątpiewaniem.

*W tej samej chwili, gdy zginął Raithen – powiedział Mat - Kabraxis rzucił zaklęcie, by ożywić zombie i szkielety, które nas goniły. Ta magia wsączyła się w ciało Raithena, sprawiając, że powstał z martwych. Po tym,*

*jak uwolniłeś miecz, zostałem przyciągnięty do naszego herszta. Odkryłem, że mogę z nim rozmawiać, tak samo jak z tobą. Nasza trójka jest związana, Darricku, i razem możemy zakończyć rządy Kabraxisa.*

– Nie żyje - wyjaśnił Darrick, przekazując wszystkie szczegóły podane mu przez Mata.

– Proroctwo Hauklina - mruknął Taramis.

– Jakie proroctwo? - spytał Darrick. Nadal biegli za Raithenem i za nim skręcili za róg tunelu.

– Powiedziano, że miecz Hauklina może zostać zabrany z jego grobowca tylko po to, żeby zjednoczyć trzech - powiedział mędrzec.

– Trzech? - powtórzył Darrick.



# DWADZIEŚCIA PIĘĆ



– Jeden zagubiony w śmierci, jeden zagubiony w życiu i jeden zagubiony w samym sobie - powiedział Taramis. - Jeden uwięziony w przeszłości, jeden uwięziony w teraźniejszości i jeden uwięziony w przyszłości.

Darrick poczuł chłód.

– Twój przyjaciel Mat musi być uwięzionym w śmierci, śmierć nie uwolniła go z okowów tego świata. Raithen jest uwięziony w życiu, nie może umrzeć i musi żyć w stanie, w jakim się teraz znajduje. - Spojrzał na Darricka. - Pozostałeś jeszcze ty.

– Czemu nie wspomniałeś o tym wcześniej? - spytał Darrick.

– Bo nie wszystkie przepowiednie są prawdziwe - odrzekł mędrzec. - Z każdą bronią i artefaktem wiążą się historie, ale nie wszystkie wiarygodne. Gdy wzięłeś miecz Hauklina, pomyślałem, że proroctwo jest fałszywe.

Słowa Taramisa uderzyły Darricka niczym młot.

*Aye – powiedział Mat w jego głowie - to ty byłeś zagubionym w sobie. Ale te smutne czasy są już za tobą, tak jak Hillsfar i stodoła za sklepem twojego ojca. Pamiętaj o tym i wszystko będzie w porządku. Nie zostawię cię.*

– Proroctwo ma dalszą część - podjął Taramis. - Jeden uniesie miecz, jeden wskaże drogę, a jeden zabije demona. - Mag popatrzył na Darricka. -

Nie mogłeś z początku podnieść miecza, bo twojego przyjaciela nie było z tobą. Nie mogłeś unieść miecza, póki nie usłyszałeś Mata.

Darrick wiedział, że była to prawda, a w dodatku wyjaśniało to wszystkie następne wydarzenia.

– On wskazuje nam drogę - stwierdził Taramis, pokazując na Raithena, który biegł przed nimi - To oznacza, że ty masz stawić czoła demonowi.

– Z magiem u boku - prychnął pogardliwie Palat.

Twarz Darricka zapłonęła ze wstydu. Wiedział, że łowca nie uważał go za wystarczająco silnego i odważnego, żeby mógł stawić czoła demonowi, nawet z mieczem Hauklina. Co gorsza, sam nie czuł się wystarczająco silny i odważny.

Bezwartościowy, powiedział jego ojciec.

Nie był bohaterem. W najlepszym wypadku byłby przyzwoitym oficerem marynarki Zachodniej Marchii. Może - ale tylko może - zostałby przyzwoitym kapitanem.

Ale bohaterem?

Nie. Darrick nie mógł tego przyjąć. Ale gdyby odszedł, gdyby uciekł przed walką, żeby się uratować, co by mu pozostało? Poczul, jak wraz ze zrozumieniem oblewa go zimny pot, i niemal się potknął. Gdyby uciekł przed nadchodzącą walką, byłby dokładnie taki, jak mówił ojciec.

A gdyby to zrobił, byłby tak samo uwięziony między życiem a śmiercią jak Mat czy Raithen.

*Dla wszystkich nas to będzie zbawienie* – powiedział Mat.

*Nawet jeśli zostanę męczennikiem?* – zastanawiał się Darrick.

– Za nami ktoś jest - zawołał Clavyn z tyłu.

– To strażnicy - powiedział Raithen. - Mówiłem, że nas znajdą. Ten tunel jest jednym z nowszych. Wykorzystują go, żeby zaopatrywać kościół. W

tych budynkach jest pełno tajemnych przejść. Przez ostatnie parę tygodni zbadałem większość z nich.

– Gdzie nas prowadzisz? - spytał Taramis.

– Do głównej katedry - odrzekł Raithen. - Jeśli chcecie stawić czoła Kabraxisowi, znajdziecie tam jego i Cholika.

Kilka stóp dalej kapitan piratów zatrzymał się pod skośnym sklepieniem. Drzwi zostały również ukośnie przycięte, żeby pasowały.

– Czasem czekają tu strażnicy - powiedział Raithen. - Ale teraz ich nie ma. Poszli na dół, żeby pomóc w schwytaniu was w kanałach, nie wiedząc, że ten korytarz się z nimi krzyżuje. - Podciągnął się i wyrzwał przez szparę.

Darrick przyłączył się do niego z mieczem w ręku. Taramis stanął po jego drugiej stronie.

Przez szparę Darrick ujrzał Buyarda Cholika stojącego na platformie nad wielkim kamiennym wężem o płonącym pysku. Wąż kołysał się i przesuwiał nad czekającą widownią. Sposób, w jaki ludzie krzyczeli i wołali do gada i człowieka nad nim, sprawił, że Darrickowi zrobiło się niedobrze. Zapewne kilku wiernych wiedziało, że klękają przed Ciemnością, ale większość była tego nieświadoma. Byli niewinni, modlili się o cuda i nie zdawali sobie sprawy, że padli ofiarą piekielnego demona.

– Tam są setki, może tysiące ludzi - zdziwił się Palat, również wyglądając przez szparę. - Jeśli tam wyjdziemy, będą mieli nad nami przewagę.

– Tłum pomoże nam też uciec - stwierdził Taramis. - Strażnicy świątynni nie zdołają zamknąć wszystkich wyjść ani utrzymać tłumu pod kontrolą. Kiedy już zabijemy Buyarda Cholika, powinno wszcząć się takie zamieszanie, że zdołamy uciec. Potem w całym mieście zaczniemy opowiadać prawdę o Kabraxisie.

– Buyarda Cholika nie da się zabić - wtrącił Raithen.

Darrick spojrział na kapitana piratów. Słyszał odgłosy kroków w tunelu i wiedział, że nie mają dużo czasu.

– Co to ma znaczyć? - spytał Taramis.

– Próbowałem zabić tego sukinsyna - wyznał Raithen. - Parę tygodni temu wszedłem do katedry z innymi. Przyniosłem pod płaszczem ręczną kuszę i wpakowałem mu bełt prosto w serce. Wiem, że trafiłem. A jednak kilka godzin później Buyard Cholik odprawił kolejną ceremonię. Moja próba tylko zwiększyła jego sławę.

*To Kabraxis – powiedział Mat. Demon go uratował. Ale nawet demon nie uratuje go przed mieczem Hauklina.*

– Nie możemy tu zostać - powiedział Palat. - Ucieczka też nie wchodzi w grę.

Darrick spojrział na drużynę łowców demonów, po raz kolejny dziwiąc się, że taka mała grupka ludzi odważyła się stawić czoła siłom po tylekroć większym. Gdyby nie wybrał go zaklęty miecz, nie towarzyszył mu zmarły przyjaciel i nieumarły wróg, wątpliwe, czy zdobyłby się na to... On nie miał wyboru, ale oni go mieli.

*Miałeś wybór – sprzeciwił się Mat. Mogłeś odejść.*

Darricka otoczył kwaśny odór ze stodoły za sklepem ojca. Niemal czuł gorąco, wypełniające małą przestrzeń między belkami, gdzie trzymano siano. I gdzie po kolejnym laniu od ojca czekał, żeby umrzeć albo zostać zabitym.

Nie, uznał Darrick. Nie miał wyboru.

*Jesteś bezwartościowy - szydził głos jego ojca.*

Darrick zacisnął zęby i odetchnął głęboko, żeby rozluźnić mięśnie. Spróbował zignorować ten głos.

– Co jest nad nami? - spytał.

Łomot kroków strażników wydawał się coraz głośniejszy, coraz bliższy.

– Schody - powiedział Raithen - ale na przeciwwadze. Kiedy otworzę zamek, podniosą się.

Darrick popatrzył na Taramisa, a ten na swoich ludzi.

– Jeśli tu zostaniemy - powiedział Palat - zginiemy. Ale tam, nawet z tym kamiennym węzem, mamy jakąś szansę.

Taramis pokiwał głową.

– Zgoda.

Dobyli broni.

– Spróbujemy zabić Cholika - stwierdził Taramis - i uciekniemy stąd, jeśli się da. Miejmy nadzieję, że demon się ujawni. Jeśli nie, znów coś zaplanujemy. - Spojrzał na Darricka. - Miecz Hauklina powinien wypłoszyć Kabraxisa z kryjówki.

– Aye. - Darrick chwycił rękojeść miecza oburącz. Znów zajrzał do katedry. Dotarło doń, jak bardzo okrągła przestrzeń pod poruszającym się łbem węża przypominała arenę. Pysk gada otaczały płomienie, a Cholik spokojnie stał na platformie powyżej.

– Zrób to - nakazał Taramis Raithenowi.

Kapitan piratów sięgnął pod szatę i wyjął ręczną kuszę. Grube strupy na jego rękach popękały i popłynęła z nich krew. Gdy sięgnął po dźwigienkę nad głową, na splamionych krwią ustach pojawił się uśmiech szaleńca. Spojrzał na Darricka.

– Nie zawieź mnie, marynarzu. Już kiedyś skrzyżowałem z tobą ostrza, na pokładzie „Barakudy”. Bądź teraz tak dobry, jak byłeś wtedy. I bądź tym wszystkim, czym możesz być, jak twierdzi twój mały nieżywy przyjaciel.

Zanim Darrick zdążył odpowiedzieć, Raithen pociągnął dźwignię. Ukryte drzwi wbudowane w schody uniosły się lekko jak piórko. Światło z wnętrza katedry wypełniło korytarz.

Taramis prowadził.

Darrick wyszedł z kryjówki za magiem. Niemal ogłuszyła go kakofonia wypełniająca katedrę. Tysiące głosów wychwalały Dien-Ap-Stena, Proroka Światłości.

Strażnicy świątynni zajmowali platformę na prawo od nich. Wszyscy zauważyli otwierające się ukryte drzwi. Jeden uniósł kuszę i nałożył bełt. Nim jednak zdążył wycelować, Raithen uniósł swoją kuszę i nacisnął spust. Nieduży bełt przebił strażnikowi grdykę. I ten spadł z platformy między ludzi, wywołując poruszenie i falę ochrypłych okrzyków.

Strażnicy zbiegli z platformy, a łowcy demonów ruszyli w ich stronę. Stal zadźwięczała o stal, a Darrick znalazł się w ogniu walki.

Stojący na platformie nad głową węża Cholik zatrzymał bestię, gdy tylko wielka, ognista paszcza otworzyła się i wypluła małego chłopca wprost w ramiona ojca.

*Bądź gotów – powiedział Mat w głowie Darricka. Zaraz rozpęta się piekło.*

– Nie utrzymamy się - powiedział Palat. Krew spływała po jego twarzy. - Musimy uciekać.

*Ucieczka nie jest rozwiązaniem – powiedział Mat. Masz moc, Darrick. Mamy moc. Ja i Raithen zrobiliśmy, co do nas należało, doprowadziliśmy cię tak daleko, jak się dało, reszta zależy od ciebie.*

– Wyznawcy Dien-Ap-Stena - zagrzmiał Buyard Cholik. - Oto przed wami niewierni niewiernych, którzy chcieliby, żeby wasz wielki kościół został zburzony i nie mógł już gościć Proroka Światłości i Drogi Marzeń.

Katedra zadrżała od krzyków gniewu i strachu.

Darrick walczył o życie. Już teraz strażnicy mieli przewagę liczebną, a wiedział, że może być tylko gorzej. Parował i ripostował, po czym wbił swój miecz w pierś najemnika i kopnięciem posłał go na trzech innych, którzy pędzili, by zająć jego miejsce.

Taramis szybko i płynnie wyrysował w powietrzu magiczne symbole. Gdy wykrzyknął słowa mocy, symbole poleciały w stronę dachu katedry. Pod sklepieniem utworzyła się czarna chmura.

Darrick zablokował kolejny cios i łokciem uderzył strażnika, który mocno przyciskał Rambala. Łowca miał problemy z powodu zranionego ramienia.

– Dzięki - stęknął. Jego twarz pod hełmem była kredowobiała.

Ale gdy Darrick radził sobie z jednym przeciwnikiem, na jego miejscu natychmiast pojawiali się kolejni. Ten, którego cios zablokował, teraz uwolnił swoją klingę i ciął Darricka w twarz. Darrick znów zablokował jego ostrze, skrzył się i kopnął mężczyznę w głowę, aż ten poleciał na zebranych wiernych. Czarna chmura nad ich głowami błysnęła kilkakrotnie.

Darrick oddychał ciężko, czuł chłód w powietrzu. Rozejrzał się rozpaczliwie po katedrze.

Niektórzy wierni już wyjmowali noże zza pasów i zamierzali przyłączyć się do walki.

*Oni są niewinni – przypomniał mu Mat. Nie wszyscy są źli. Dali się tylko zwabić.*

– Gdzie jest demon? - spytał Darrick.

*Wewnątrz węża – powiedział Mat. Tam gdzie Czarna Droga. Wie, że masz miecz Hauklina.*

Darrick zablokował, znów zablokował, sparował i zripostował, przebił szyję napastnika czubkiem miecza. Z gardła strażnika popłynęła spieniona krew, a on sam zatoczył się, zaciskając ręce na ranie.

Stworzona przez Taramisa chmura nagle wypełniła świątynię lodowatym chłodem. Mroźne wichry pognały nawą i niemal zdusiły płomienie wokół głowy węża. Kamienny gad pokrył się szronem, który jednak rozpułnął się zaraz, gdy stwór splunął ogniem. Spowiły go obłoki pary.

Wąż przechylił głowę, koncentrując się na łowcach demonów. W jego oczach zatańczyły złowrogie płomienie.

*Zaczniemy od Buyarda Cholika - powiedział Mat. Musi zginąć, bo to on tworzy więź Kabraxisa z tym światem.*

W świątyni rozpętała się nagle burza śnieżna, śnieg sypnął na wiernych. Wirująca wściekle biel utrudniała widzenie, a płatki paliły nagą skórę jak kwas.

Kamienny wąż zaatakował nagle, wokół obnażonych kłów pełzały płomienie.

– Uważaj! - krzyknął Palat, odciągając Rambala poza zasięg bestii.

Łowcy demonów uskoczyli w bezpieczniejsze miejsce, ale nie wszystkim strażnikom się to udało. Kamienny gad zmiażdżył trzech. I choć kamienie posadzki pękały jak szkło, gad nie był nawet draśnięty.

Zebrawszy odwagę, stłumiwszy przepełniające go wątpliwości, Darrick pobiegł do gada. Wąż skręcił się i pokazał kły, na których wciąż tkwiły kawałki strażników. Kamienny łeb ruszył śladem wroga. Darrick wiedział, że bestia jest tuż, skoczył w prawo, przetoczył się po posadzce i zarazem pod węzowym cielskiem.

Wolną ręką chwycił się rzeźbionej łuski. Wąż przetoczył się przez świątynię, wyrywając i druzgocząc marmurową posadzkę. Darrick podciągnął się, czepiając łusek na brzuchu, po czym się dźwignął. A potem skoczył i wylądował na łbie stwora. Gad zasyczał, otworzył pysk i sięgnął do intruza rozdwojonym językiem ognia.

Płomienie polizały włosy Darricka, ale się nie zatrzymał. Kamienny gad otworzył paszczę, co tylko pomogło Darrickowi. Rzucił się w stronę platformy, na której stał Buyard Cholik.

Nagle zrozumiawszy, na czym polegał rozpaczliwy ruch Darricka, Cholik poruszył rękami, by rzucić jakieś zaklęcie. Było jednak zbyt późno. Nim



zdążył je zakończyć, Darrick chwycił go za szatę. Cholika uratowało to, że Darrickowi nie udało się wylądować na platformie.

Marynarz też uświadomił sobie to sekundę wcześniej, ostatnim wysiłkiem gwałtownie wyciągnął wolną rękę i chwycił Cholika za dół szaty. Kapłan, pociągnięty ciężarem ciała przeciwnika, uderzył o żelazną barierkę. Stracił koncentrację. Darrick zaciskał palce na materii stroju i kołysał się dziko. Wiedział, że wąż znów się skręca, by zrzucić go na ziemię i tam pochwycić. Podciągnął się bliżej Cholika.

Wokół nich szalała wściekła burza śnieżna. Zimno przywołanych przez Taramisa wiatrów paliło w twarz i odsłoniętą skórę. Szarpany magicznym wichrem Darrick zmienił chwyt na rękojeści miecza i cisnął bronią jak oszczepem.

Zaczarowane ostrze Hauklina leciało prosto nawet w szalejącej wicherze. Prosto w serce Buyarda Cholika. Kapłan zatoczył się i zaplątał w szacie, której wciąż trzymał się Darrick.

– Nie! - Cholik zacisnął ręce na klindze. Jego dłonie zapłonęły natychmiast niebieskim ogniem. Wydawało się, że Cholik nie może puścić miecza, tak jak nie mógł wyciągnąć go z piersi.

Wykorzystując, że Cholik nie może z nim walczyć, Darrick chwycił drugą ręką krawędź platformy i wspiał się na nią. Cholik, uwolniony od ciężaru Darricka, postąpił krok do tyłu i spadł.

*Miecz!* - ryknął Mat w głowie Darricka. *Nie pokonałeś jeszcze demona!*

Darrick lewą ręką mocno chwycił się platformy, a prawą wyciągnął w stronę miecza. Chciał, by oręż wrócił do niego, tak jak tamtego dnia w domu Elliga Barrowsa.

I gdy ciało Cholika uderzyło o popękana posadzkę, Darrick poczuł, jak moc wiąże go z mieczem. Patrzył, jak zaczarowane ostrze wyrywa się z

piersi martwego. Miecz Hauklina leciał już w stronę Darricka, gdy wąż nagle podrzucił swój łeb i zbił klingę na bok.

Darrick wypadł z ambony, wąż wyrzucił go tak wysoko, że marynarz niemal uderzył o sufit. Rozpaczliwie machał rękami, walcząc o odzyskanie równowagi, i przerażony patrzył, jak wąż opuszcza głowę i otwiera paszczę. Gardziel gada wypełniał ogień, obiecując Darrickowi śmierć w płomieniach.

*Miecz!* - ryknął Mat. *Bez tego miecza nic nie masz.*

Darrick skoncentrował się na mieczu, ale nie mógł zapomnieć o płomieniach w gardle węża. Jego dziki lot osiągnął już najwyższy punkt i zaczęło się spadanie. Jeśli wąż chybi, Darricka zabije upadek.

*Miecz!* – krzyczał Mat. *Miecz cię ochroni. Pomogę ci dzięki jego magii!*

Darrick odepchnął od siebie myśl o śmierci. Jeśli nawet zginie, to przynajmniej będzie to kres cierpień, które przeżywał przez ostatni rok i wszystkie wcześniejsze lata.

Skoncentrował się na mieczu Hauklina, wzmacniając więź z artefaktem. Trup Cholika leżał na kamiennej posadzce tuż obok paszczy węża, ale zaczarowane ostrze upadło dalej i teraz poleciało do wyciągniętej ręki Darricka.

*Trzymaj się miecza* - powiedział Mat. *Trzymaj się miecza, a ja ci pomogę.*

Darrick nie mógł zmienić kierunku lotu i jak kamień spadał wprost w otwartą paszczę. Otoczyły go płomienie i pomyślał, że na pewno spali się na popiół. Owionął go żar tak potężny, że odbierał zmysły.

*Zachowaj spokój* – ostrzegł go Mat. Choć Darrick wiedział, że głos przyjaciela rozlega się w jego głowie, teraz brzmiał, jakby dochodził z dystansu. *To będzie najgorsze i nie ma jak tego ominąć.*

Darrick nie mógł uwierzyć, że nie umarł. Sam upadek i uderzenie o kamienny pysk węża powinno go zabić, a już płomienie powinny

dokończyć dzieła.

A jednak...

Żył. Czuł to wyraźnie, gdyż oddychał ciężko i z wysiłkiem, a całe ciało go bolało.

*Nie możesz tu leżeć – słaby głos Mata dochodził z bardzo daleka. To jest Czarna Droga. Spaczona Droga Cieni. Kabraxis jest tu jedynym władcą. W każdym razie w to wierzy. Zabije cię, jeśli tak tu będziesz leżał. Wstawaj...*

– Wstawaj - powiedział ktoś szorstko. - Wstawaj, ty bezwartościowy bękarcie.

Darrick rozpoznał głos jako należący do ojca. Gwałtownie otworzył oczy i ujrzał znajomą stodołę za sklepem rzeźniczym. Odkrył, że leży na gnijącym sianie na stryszku.

– Nie myślałeś, że złapię cię, jak tu śpisz, co? - spytał ostro ojciec.

Darrick instynktownie zwinął się w kłębek, próbując się ochronić. Całe ciało bolało go od lania, które dostał wczoraj, może dwa dni temu. A może nawet i tego dnia, tylko wcześniej. Czasem po biciu Darrick tracił rachubę czasu. Czasem tracił też przytomność.

– Wstawaj, do licha! - Ojciec kopnął go, wyciskając mu powietrze z płuc i być może łamiąc kolejne żebro.

Darrick z przerażeniem stanął przed ojcem. Coś wisiało u jego ręki, ale gdy spojrział, niczego nie widział. Może znowu złamał rękę, tylko tym razem jakoś inaczej.

Zdawało mu się, że słyszy głos Mata Hu-Ringa, ale wiedział, że Mat nie zjawiał się, gdy jego ojciec był w takim humorze. Nawet ojciec Mata wtedy nie przychodził.

– Wstawaj, mówię ci! - ryknął ojciec. Był potężnym mężczyzną z wielkim brzuchem i ramionami jak konary drzew. Ręce miał wielkie i twarde od długiej, ciężkiej pracy oraz niezliczonych bójek w tawernach.

Grzywa kręconych brązowych włosów pasowała do sięgającej piersi, kędzierzawej brązowej brody.

– Nie mogę tu być - powiedział oszołomiony Darrick. - Byłem marynarzem. Była świątynia.

– Głupi, bezwartościowy bękart! - ryknął ojciec, chwytając go za ramię i potrząsając nim. - Z takich jak ty nikt nie zrobi marynarza. - Zaśmiał się pogardliwie. - Znów miałeś jeden z tych snów, które tak się ciebie czepiają, gdy się tu chowasz.

Z twarzą płonąca ze wstydu Darrick spojrzał w dół. Był chłopcem, miał osiem, może dziewięć lat. Nie stanowił żadnego zagrożenia dla ojca, a jednak ten traktował go jak najbardziej zajadłego przeciwnika, z jakim miał okazję się zmierzyć.

Ojciec spoliczkował go, aż głowę chłopca wypełnił ból.

– Nie odwracaj się, kiedy do ciebie mówię, chłopcze - nakazał ojciec. - Może nie nauczyłem cię niczego innego, ale wiesz, że masz szanować lepszych od siebie.

Po twarzy Darricka płynęły łzy. Najpierw czuł gorące krople na policzkach, a później ich słony smak, gdy dotknęły drżących warg.

– Popatrz tylko na siebie, płaczący tchórze! - ryknął ojciec i znów podniósł rękę. - Nie masz nawet tyle rozumu, by ukryć się przed deszczem.

Darrick przyjął cios na tył głowy i patrzył, jak przez chwilę świat kręci się wokół niego. Przypomniawszy sobie, że tydzień wcześniej ojciec wygrał bójkę z trzema strażnikami karawany w błotnistej uliczce za tawerną „Pod Kulawą Gęsią”. Ojciec był zaledwie przyzwoitym rzeźnikiem, ale w bójkach nie miał sobie równych.

– Czy nakarmiłeś inwentarz, jak ci kazałem, chłopcze? - spytał ostro ojciec.

Darrick wyrzwał za krawędź stryżku, choć bał się, że już zna odpowiedź. Zobaczył, że wszystkie koryta na obrok i wodę były puste.

– Nie - odpowiedział.

– Tak jest - zgodził się ojciec. - Nie zrobiłeś tego. Nie wymagam od ciebie zbyt wiele, bo wiem, że nie mogę dużo oczekiwać od takiego głupka. Ale sądziłem, że wystarczy ci rozumu, by nakarmić i napoić zwierzęta.

Darrick skulił się instynktownie. Wiedział, że gdy ojciec jest w takim humorze, nic nie pomoże. Gdyby nakarmił zwierzęta, też nie byłoby dobrze, ojciec powiedziałby, że dostały za dużo albo za mało paszy. Darrick poczuł, że żołądek podnosi mu się do gardła, jak na morzu podczas sztormu.

Ale skąd mógł wiedzieć, jakie to uczucie? Chyba tylko z historii, podsłuchiwanym czasem pod tawerną, którą ojciec odwiedzał po pracy. Ojciec zawsze próbował zostawić Darricka z matką, ale ona rzadko bywała wieczorami w domu, a Darrick zbyt się bał, by siedzieć wtedy sam.

Dlatego też w tajemnicy podążał za ojcem od tawerny do tawerny i z łatwością się przed nim ukrywał, bo ojciec za kołnierz nie wylewał. Choć zwykle traktował go podle, stanowił jedyny stały punkt w życiu Darricka, matki nigdy przy nim nie było.

*...nie tam...*

Darrick oddychał płytko, gdyż wydawało mu się, że słyszy głos Mata Hu-Ringa. Ale to niemożliwe, prawda? Mat nie żył. Zginął... zginął...

Gdzie zginął?

Darrick nie pamiętał, a właściwie nie chciał pamiętać. Mat zginął gdzieś daleko od domu, a Darrick był temu winny.

*Jesteś na Czarnej Drodze - powiedział Mat. To wszystko sztuczki demona. Nie poddawaj się...* Głos Mata znów odpłynął.

Darrick poczuł coś w dłoni.

– Co to jest, chłopcze? - Ojciec obrócił Darricka, osłaniając sznur i zawiązaną na nim pętlę. - Tym się bawiłeś?

Darrick nie odpowiedział. Nie mógł. Kilka dni wcześniej, wykorzystując sztuczki, których nauczył się od Mata, a ten od wuja marynarza, Darrick splótł linę z resztek sznurów pozostawionych przez rolników, którzy przyprawiali zwierzęta do uboju.

Całymi dniami Darrick myślał, by się powiesić i skończyć ze wszystkim.

– Nie byłeś w stanie tego zrobić, co, chłopcze? - spytał ojciec. Pociągnął sznur i wyrwał go.

Darrick krzyknął i zaczął się trząść. Nos miał zatkany. Gdyby spróbował się odezwać, ojciec tylko by się z niego wyśmiewał, a potem uderzył, by Darrick zaczął mówić wyraźniej, i nie przestałby, póki Darrick nie straciłby przytomności. Chłopiec wiedział, że potem przez wiele dni czułby w ustach krew z pękniętych warg i porozcinanych policzków.

Tym razem jednak ojcu przyszło do głowy coś innego. Przerzucił sznur przez krokiew po drugiej stronie stryszku i chwycił pętlę, gdy spadła po drugiej stronie.

– Zastanawiałem się, jak dużo czasu ci zajmie, zanim zbierzesz odwagę, by to zrobić. - Ojciec spojrzał z boku i trochę opuścił pętlę. - Chcesz się powiesić, chłopcze, czy wolisz złamać kark, spadając?

Darrick nie odpowiedział.

*To nie tak – powiedział Mat. Ja znalazłem sznur. Nie twój tato. Zabrałem ci sznur i kazałem ci wtedy przysiąc, że nigdy nie zrobisz czegoś takiego.*

Darrickowi wydało się, że pamięta, ale potem wspomnienie odpłynęło.

Ojciec założył mu pętlę na szyję i uśmiechnął się szeroko. Jego oddech śmierdział kwaśnym winem.

– Myślę, że złamanie sobie karku to wybór tchórza. Nie pozwolę, by mój syn bękart bał się umierania. Stawisz czoło śmierci jak mężczyzna.

*To demon! – krzyczał Mat, ale jego głos ginął jakby w zawierusze. Uważaj, Darrick! Wciąż możesz stracić życie, a jak je demon weźmie na Czarnej Drodze, to będzie jego na zawsze.*

Darrick wiedział, że powinien się bać, ale nie czuł strachu. Śmierć będzie łatwa. To życie było trudne, przedzieranie się przez lęki, pomyłki i cierpienie. Śmierć, szybka czy powolna, będzie wybawieniem.

Ojciec mocno zaciągnął węzeł pod jego szczęką.

– Czas w drogę - warknął ojciec. - Przynajmniej kiedy wieści dotrą do miasta, wszyscy będą mówić, że mój syn odszedł z odwagą, jaką miał jego tatko.

Darrick stanął na krawędzi stryszku. Kiedy ojciec położył ciężką rękę na jego piersi, nic już nie mógł zrobić, żeby zapobiec upadkowi.

Ojciec pchnął.

Machając rękami, spadał, a część jego umysłu krzyczała, żeby *trzymał się miecza*. A kark nie pękł, gdy Darrick dotarł do końca liny. Ojciec nie wypuścił jej tak daleko.

Chłopak kołysał się na końcu konopnej liny, która powoli wgryzała się w jego szyję i odbierała dech. Prawą rękę trzymał u boku, zaś lewą chwycił sznur i próbował zaczerpnąć trochę powietrza.

– Po prostu ją puść - szydził ojciec. - Możesz łatwo zginąć. To tylko kilka minut.

*Łże! – powiedział Mat. Niech cię, Darrick, przypomnij sobie! To się nigdy nie wydarzyło! Nigdy nie wyruszylibyśmy na morze, gdyby to się zdarzyło!*

Darrick patrzył w górę na ojca. Rzeźnik ukląkł na krawędzi stryszku, szczerząc się szeroko, a jego oczy płonęły wyczekiwaniem.

*Popatrz za niego! – krzyczał Mat. Popatrz na cień na ścianie za nim!*

Choć wzrok mu się mącił, Darrick spojrział na cień. To nie był cień jego ojca. To nie był cień człowieka. I nagle pamiętał. Katedrę w Bramwell. Kamiennego węża z pyskiem pełnym płomieni.

Darrick uświadomił sobie, że jest dorosły i wisi na sznurze przeciągniętym przez krokiew.

– Za późno - powiedział demon, przybierając prawdziwą postać. - Zginiesz tutaj, a ja zabiorę twoją duszę. Może i zabięś Buyarda Cholika, ale wykorzystam cię jako kotwicę w tym świecie.

Darrick poczuł płomień gniewu. Podsycił swoją wściekłość, uchwycił się jej, począł czerpać z niej siły. Uniósł miecz, przeciął sznur i opadł na pokrytą słomą podłogę.

Tyle tylko, że to już nie było klepisko w stodole za sklepem rzeźnika. Teraz była to wąska czarna wstążka drogi zawieszona nad nicością.

Kabraxis zeskoczył na Czarną Drogę przed Darrickiem. I rzucił się do ataku z wyciągniętymi pazurami i obnażonymi kłami.

Darrick walczył, choć pętla na szyi wciąż dławiła mu oddech, a przed oczami pojawiły się mroczki. Miecz w jego dłoniach był jak żywy, poruszał się z nieludzką szybkością, ale to i tak ledwie chroniło przed śmiercią z rąk nieludzkiego przeciwnika.

Kabraxis machnął ogonem, lecz Darrick zawinął mieczem i mu go odciął. Demon zaryczał z wściekłości i zamknął ramiona jak nożyce.

– Nie pokonasz mnie, bezwartościowy człowieku.

Darrick zanurkował, unikając obu ciosów, rzucił się szczupakiem między nogami demona, ślizgając się na krwi z obciętego ogona. Ale podniósł się i wyskoczył, odpychając wszelkie myśli o strachu, porażce i spadaniu w nieskończoną przepaść po obu stronach Czarnej Drogi. Spadł wprost na plecy potwora.



Kabraxis próbował zrzucić Darricka z grzbietu, ale zamarł, gdy człowiek otoczył ramieniem jego łeb i wsunął ostrze Hauklina pod szyję, opierając je na gardle.

– Czekał - ostrzegł Kabraxis. - Jeśli mnie zabijesz, zapłacisz. Nie jesteś tak czysty jak Hauklin. Masz w sobie lęk, który cię skazi na zawsze. Będziesz nosił w sobie coś ze mnie, co ciągle będzie cię dręczyć. Zapłacisz za to.

Darrick zamarł tylko na chwilę.

– Za...pła...cę - wyszeptał z trudem i przeciągnął zaczarowanym ostrzem po gardle demona, aż metal zazgrzytał o kość. Błyskawica rozjaśniła ciemność.

Wybuch światła oślepił Darricka.

Gdy znów otworzył oczy, stał pośrodku katedry. Posadzkę wokół niego pokrywał śnieg. Trzymał w rękach łeb Kabraxisa, uchwyciwszy za jeden z rogów.

Kamienny wąż nadal się poruszał i unosił nad trupem Buyarda Cholika.

Taramis i inni łowcy demonów walczyli ze strażnikami. Czterech z nich już leżało na ziemi martwych lub ciężko rannych.

Kamienny wąż zwinął się i rzucił na Darricka.

– Nie - powiedział Darrick, czując wypełniającą go nienaturalną moc. Wbił ostrze Hauklina w zaśnieżoną podłogę.

Sklepienie świątyni przebiły zimne błękitne błyskawice i uderzyły w kamiennego węża, zmieniając go w stertę cegieł i zaprawy. Płomienie w pysku i oczach gada zamigotały i zgasły.

Wszyscy w katedrze zamarli, gdy Darrick odwrócił się w ich stronę.

Uniósł wysoko głowę demona.

– To koniec! Demon nie żyje! Fałszywy prorok nie żyje!

Strażnicy świątynni odłożyli broń i wycofali się. Taramis i jego wojownicy, okrwawieni, ale nie pokonani, spojrzeli na Darricka.

– Idźcie do domu - powiedział Darrick wiernym. - Już po wszystkim.

Powiedział to, ale czuł, że to nieprawda. Wciąż musiał zapłacić cenę i dopiero teraz zaczynał sobie uświadamiać, na czym ona polega.

# EPILOG



Zimne, odległe słońce pojawiło się na wschodzie, znacząc białe chmury pasmami czerwieni i fioletu, jak krew zapłodnione jajo, które zostało rozbite zbyt wcześnie. Mimo chłodu niesionego wiatrem od gór promienie słońca odegnały cienie nocy z Bramwell w stronę morza.

Darrick Lang przez całą noc stał w ogrodzie na dachu świątyni Proroka Światłości. Miał na sobie ciężki płaszcz, jednak lodowaty wiatr przenikał przez materiał. Mężczyzna niemal zamarznął, ale mimo to nie zszedł. Przez wiele godzin dzwonił mu w głowie głos ojca, dopiero niedawno zaczął z wolna cichnąć. Darrick nie słyszał już Mata i nie wiedział, czy przyjaciel nadal błąkał się w krainie duchów, czy też może umarł po raz wtóry podczas ostatecznej walki. Ta niewiedza go męczyła.

Niektórzy z najemników Buyarda Cholika grozili, że staną do walki, ale kiedy ich pracodawca zginął, niewielu miało do tego serce. Palat splunął krwią i powiedział im, że wściekają się, bo stracili łatwą robotę, ale jeśli chcą stracić coś więcej, to proszę bardzo, niech się tylko zbliżą. Żaden nie skorzystał z zaproszenia. W czasie zamieszania Raithen zniknął.

Taramis trzymał drużynę razem, obawiając się zemsty ze strony oszołomionego tłumu. Z początku wyglądało na to, że zebrani rzucają się na łowców, mimo iż Darrick miał w ręku głowę demona i pokazał im, w jakie kłamstwa wierzyli. Przybyli, by być świadkami cudów, a w zamian

zobaczyli, jak się wszystko wali. Niektórzy godzinami siedzieli w ławkach ze słabą nadzieją, że Prorok Światłości i Wskazujący Drogę powrócą do tych, którzy naprawdę uwierzyli.

Na dachu zabrzmiały kroki.

Darrick odwrócił się, w dłoni wciąż trzymał obnażony miecz Hauklina. Choć współpracował z Taramisem i innymi łowcami demonów, a także zabił Buyarda Cholika oraz Kabraxisa, wiedział, że tamci wciąż mu nie ufali. Nie mieli przed sobą wspólnej drogi. On nie wyruszy w stronę wschodzącego słońca ani nie znajdzie w porcie statku, żeby zacząć walkę z kolejnym demonem.

Kolejny demon. Darrick miał ochotę zaśmiać się gorzko, ale się powstrzymał. Jeszcze nie skończył z poprzednim demonem ani z demonami, które umieścił mu w głowie ojciec.

Taramis Volken szedł przez ogród. Mędrzec wciąż nosił ślady walki, brudny był od krwi, swojej i cudzej, od sadzy i kurzu. Twarz zaległy cienie, a w jasnym świetle wyglądał na dużo starszego.

– Zastanawiałem się, czy wciąż tu jesteś - odezwał się mędrzec.

– Wcale nie - stwierdził Darrick. - Kazałeś Rambalowi pilnować zejścia z dachu.

Taramis zawahał się, ale na krótko.

– Masz oczywiście rację.

Darrick nie odpowiedział.

Mędrzec podszedł do krawędzi dachu i spojrzał w dół. Wiatr wydymał jego pomarańczowe szaty.

– Wielu wiernych nie chce odejść.

Darrick niechętnie poszedł w ślady maga i też spojrzał. Ulice przed kościołem zapełniły tłumy, choć strażnicy nie ustawiali w wysiłkach, by rozgonić ludzi. Z kilku spalonych budynków unosił się dym.

– Nie przestali wierzyć - stwierdził Taramis.

– Ponieważ Cholik i Kabraxis dali im to, czego pragnęli - odrzekł Darrick.

– Niektórym - poprawił go Taramis. - A cena była wysoka. Ale to wystarczyło, by utrzymać innych na miejscu z nadzieją, że następnym razem to oni zostaną wybrani. - Spojrzał na Darricka. - To, co zrobił demon, było straszliwe.

Darrick nadal milczał. Północny wiatr nie był wcale bardziej lodowaty od słów mędrca.

– Straż miejska walczy z oszalałymi bandami wyznawców - podjął Taramis. - Wielu z nich nie wierzy w to, co wydarzyło się w nocy. Mówią, że Cholik i Prorok Dien-Ap-Sten zostali zabici przez lorda Darkulana z zazdrości, a demona nigdy nie było.

– Demon zginął - odpowiedział Darrick. - Niewiara, że Kabraxis był demonem, nie sprowadzi go z powrotem.

– To prawda, ale oni chcą zemścić się na mieście za poczucie winy, zmieszanie i gniew, które czują. Jeśli Bramwell będzie miało szczęście, zostanie zniszczonych tylko kilka budynków i zabitych kilka osób, nim straż opanuje sytuację.

Darrick rozmyślał o swoim gniewie. Uczucie to pozostało w nim po okrucieństwach ojca. Teraz to rozumiał, ale wiedział też, że ślad będzie w nim na zawsze i nie da się go usunąć.

– Powiadają - rzekł Taramis - że kiedy człowiek stawia czoło demonowi, poznaje siebie jak nigdy przedtem. Ty stawiałeś czoło Kabraxisowi, i to tak blisko, jak nikt wcześniej.

– Przecież ty walczyłeś z demonami i je zabijałeś - sprzeciwił się Darrick.

Taramis oparł się o krawędź dachu i splótł ręce na piersi.

– Nigdy nie podążyłem za nimi do Piekła, jak ty.

– Zrobiłbyś to?

– Gdybym musiał, owszem. - W głosie mędrca nie było wahania. - Ale zastanawiam się, dlaczego ty to zrobiłeś.

– To nie ja wybrałem tę drogę - przypomniał Darrick. - Wąż mnie połknął.

– Wąż cię połknął, ponieważ Kabraxis sądził, że pokona cię na Czarnej Drodze. I myślał, że pokona Burzogniew. Moje pytanie brzmi: dlaczego demon tak uważał?

Darrick milczał, ale uświadomił sobie, że mędrzec nie ma zamiaru odejść.

– Z powodu winy, którą noszę w sobie - powiedział w końcu.

– Ze względu na twojego przyjaciela Mata?

– Nie tylko - przyznał Darrick. Potem, nim zdążył się powstrzymać, opowiedział mędrce o swoim ojcu i laniu, jakie dostawał w sklepie rzeźnika w Hillsfar. - Wiele czasu minęło, nim uświadomiłem sobie, że matka zdradziła ojca i nie wiem, kto jest moim prawdziwym ojcem. Nadal tego nie wiem.

– A chciałeś się kiedyś dowiedzieć?

– Czasem - przyznał Darrick. - Ale Światłość jedna wie, ile mogłoby wyniknąć kłopotów, gdybym to odkrył, a kłopotów to akurat miałem w nadmiarze.

– Kabraxis myślał, że osłabi cię, stawiając cię twarzą w twarz z gniewem ojca.

– I udałoby mu się to - przyznał Darrick - gdyby nie Mat. Zawsze po tym, jak ojciec mnie pobił, Mat był przy mnie. I stał przy mnie na Czarnej Drodze.

– Pomagając ci przejrzeć podstęp Kabraxisa.

– Aye. - Darrick spojrział na mędrca. - Ale zwycięstwo nie było tylko moje.

Taramis popatrzył na niego.

– Pokonałem Kabraxisa w Płonących Piekłach - powiedział Darrick - ale część jego zabrałem ze sobą. - Szybkim ruchem wbił Burzogniew w jedną z kwiatowych grządek. Takie traktowanie broni było nie do pomyślenia, bo mogłaby zardzewieć od wilgoci, ale Darrick wiedział, że magicznemu ostrzu to nie zaszkodzi. Zostawił miecz i wyciągnął rękę. - Ten przeklęty demon jakoś mnie wypaczył.

Ręka Darricka zadrżała, po czym zaczęła się zmieniać, przekształcając z ludzkiej kończyny w demoniczną.

– Na Światłość - wyszeptał Taramis.

– Zniszczyłem Buyarda Cholika i drogę demona na świat - powiedział Darrick - ale sam stałem się tą drogą. - Z palców, pokrytych teraz owłosioną, zielono-czarną skórą, wystawały długie pazury.

– Kiedy to się stało?

– Gdy byłem na Czarnej Drodze - wyznał Darrick. - I powiem ci jeszcze jedno: Kabraxis nie zginął. Nie wiem, czy kiedykolwiek znajdzie inne ciało, w którym będzie mógł żyć w naszym świecie, ale w Płonących Piekłach wciąż żyje. Od czasu do czasu słyszę, jak szepce do mnie, szydzi ze mnie. Widzisz, on czeka, aż się poddam i zginę albo zatracę w piciu, gdy przestanie mnie obchodzić życie. - Sięgnął po miecz Hauklina, zacisnął na nim rękę i patrzył, jak powraca do ludzkiego kształtu.

– Miecz Hauklina utrzymuje cię w ludzkiej postaci - powiedział Taramis.

– Tak - zgodził się Darrick. - I sprawia, że jestem człowiekiem.

– Kabraxis cię przeklął.

Darrick schował miecz do pochwy u boku.

– Brama Kabraxisa nie leży już pod ruinami nad Dyre. Tą bramą jestem ja.

– A gdybyś został zabity?

Darrick potrząsnął głową.

– Nie wiem. Gdyby moje ciało zostało zupełnie zniszczone, może Kabraxis nie byłby w stanie powrócić. - Uśmiechnął się, ale był to uśmiech zimny, pozbawiony radości, za to pełen goryczy. - Ujawniając ci to wszystko, czuję, że ryzykuję życie.

Taramis milczał przez dłuższą chwilę.

– Niewątpliwie są tacy, których kusiłoby zabicie cię, by nie ryzykować powrotu demona.

– A ciebie?

– Gdybym to zrobił, byłbym niewiele lepszy od potworów, na które poluję - odrzekł mędrzec. - Nie, mnie nie musisz się obawiać. Ale jeśli Kabraxis wygra z tobą, odnajdę cię i zabiję.

– W porządku - stwierdził Darrick. Wiedział, że niczego innego nie mógł się spodziewać.

– Będziesz musiał zatrzymać miecz Hauklina - powiedział Taramis. - Wyjaśnię sprawę Elligowi Barrowsowi, ale nie zdziwiłbym się, gdyby on i jego rodzina chcieli się trzymać od tego jak najdalej.

Darrick skinął głową.

– Co teraz zrobisz? - spytał Taramis. - Gdzie się udasz?

– Nie wiem.

– Możesz ruszyć z nami.

– Obaj wiemy, że do was nie pasuję. Choć wtedy byłoby ci łatwiej mieć na mnie oko.

Na twarzy Taramisa pojawił się krzywy uśmiech.

– Zgadza się.



– Wraz ze śmiercią demona otrzymałem coś jeszcze - stwierdził Darrick. Zbliżył się do mędrca. - Jesteś ranny. Pokaż mi to.

Taramis z wahaniem odsunął szatę, ukazując głęboką ranę w boku. Ktoś zabandażował ją niezdarnie, ale nadal krew przesiąkała przez opatrunek.

Darrick przycisnął dłoń do boku mędrca, aż ten się skrzywił. Przez Darricka przepłynęła moc, a szept Kabraxisa przybrał na sile. Darrick cofnął dłoń.

– Obejrzyj ranę.

Taramis z niedowierzaniem zdjął bandaż i przyjrzał się.

– Zagoiła się.

– Ano - odrzekł Darrick. - Tak samo jak rany, które odniosłem ostatniej nocy. Ale takie leczenie ma swoją cenę. Kiedy to robię, Kabraxis ma do mnie większy dostęp. Tylko miecz Hauklina sprawia, że jestem ludzki i zdrowy na umyśle.

– Uleczyłeś mnie szybciej i lepiej niż jakikolwiek uzdrowiciel i eliksir - powiedział Taramis. - Mógłbyś być bardzo pomocny.

– Ale komu? - spytał Darrick. - I za jaką cenę? Może Kabraxis dał mi tę moc, żebym ciągle jej używał i w ten sposób zbliżał się do niego.

– Co w takim razie zrobisz?

– Nie wiem - westchnął Darrick. - Wiem, że muszę się stąd wydostać. Muszę znów wrócić na morze, Taramis. To rozjaśni mój umysł. Muszę znaleźć dobrą, uczciwą pracę, prowadzić życie marynarza, żebym nie miał za dużo czasu na myślenie.

– Uwierz w Światłość - powiedział Taramis. - Zawsze wskaże ci drogę, nawet w największych ciemnościach.



Kilkanaście godzin później, gdy słońce już wisiało na zachodzie nad oceanem, Darrick stał w dokach Bramwell. Już zarezerwowali sobie miejsce na statku. Taramis i inni łowcy demonów uznali, że przynajmniej tę część podróży mogą odbyć wspólnie.

Doki były zatłoczone, a ludzie kręcili się, jak bydło zaganiani na okręty. Fale przyciskały burty do drewnianych pali przystani, aż po dokach niosło się echo.

Nagle poprzez hałas przebił się wysoki krzyk kobiety.

Darrick, kroczący już po trapie statku, odwrócił się i obejrzał.

Jakiś mężczyzna wyciągnął z wody dziewczynkę. Pod długą sukienką jej ciało było poszarpane i połamane.

Starsza kobieta, pewnie matka, uklękła obok małej, którą marynarz ułożył na ziemi.

– Proszę - błagała kobieta. - Czy ktoś może pomóc mojej malutkiej? Czy jest tu uzdrowiciel?

– Uzdrowiciel jej nie pomoże - stwierdził szorstko marynarz stojący obok Darricka. - Ta mała miała pecha wpaść między statek a filar, kiedy wsiadała. Zmiażdżyło ją w środku. Nikt jej nie pomoże. Już jest martwa, tylko czeka, aż śmierć ją wezwie.

Darrick spojrzał na dziewczynkę, zmiażdżoną, przemoczoną, cierpiącą ponad wszelkie wyobrażenie.

– Darrick - odezwał się Taramis.

Darrick zamarł na trapie. A jeśli wypadek dziewczynki wcale nie był wypadkiem? Jeśli Kabraxis to zaaranżował, by Darrick znów skorzystał z mocy uzdrawiania? A jeśli ktoś z tłumu, jakiś podróżujący Vizjerei czy inny czarodziej rozpozna, że moc Darricka nie została dana przez Światłość, lecz pochodzi z dna Płonących Piekieł?

Chwilę potem Darrick ruszył się, zeskoczył z trapu na brzeg. Odepchnął ludzi z drogi, czując w sobie stary gniew i zniecierpliwienie. Błyskawicznie znalazł się obok dziewczynki.

Matka uniosła do niego zapłakaną twarz.

– Możesz jej pomóc? Proszę, możesz jej pomóc?

Dziewczynka miała sześć, może siedem lat, była odrobinę starsza od jednej z sióstr Mata, kiedy Darrick widział ją po raz ostatni.

– To na nic - wyszeptał stojący obok mężczyzna. - Widziałem już tak zmiażdżonych ludzi. Ta mała już jest martwa.

Darrick bez słowa położył dłonie na ciałku dziewczynki, czując, jak w środku poruszają się kości. *Proszę* – pomyślał, ignorując ochryple szepty Kabraxisa na dnie umysłu. Nie pozwalał, by słowa demona stały się wyraźniejsze, nie pozwalał sobie ich zrozumieć.

Przez ręce Darricka przepłynęła na dziewczynkę moc. Minęło trochę czasu, po czym ciało małej wygięło się w łuk i przestała oddychać. Przez tę krótką chwilę Darrick miał pewność, że Kabraxis jakoś go zdradził, jakimś sposobem zabił dziewczynkę, zamiast ją uratować.

Wtedy otworzyła oczy, najpiękniejsze i najczystsze błękitne oczy, jakie Darrick widział. Zawołała matkę i wyciągnęła do niej ręce. Kobieta podniosła córkę i przytuliła ją mocno.

– Uzdrowiciel - szepnął ktoś.

– To nie jest zwykły uzdrowiciel - powiedział ktoś inny. - On ją ożywił. Ta mała już była właściwie trupem, a on ją ożywił jak gdyby nigdy nic.

Darrick poderwał się. Nagle otoczyli go ludzie pełni ciekawości i podejrzeń. Położył dłoń na mieczu, z trudem powstrzymując się, by nie wyciągnąć ostrza i nie wyrąbać sobie przejścia. Słyszał, jak demon śmieje się w jego głowie.

Taramis nagle znalazł się przy Darricku, podobnie jak Rambal i Palat.

– Chodź - ponaglił go mędrzec.

– To Prorok Światłości - krzyknął ktoś. - Powrócił.

– Nie - wrzeszczał inny. - Ci ludzie zabili Wskazującego Drogę i zniszczyli Drogę Marzeń. Powiesić ich!

– Musimy iść - ponaglił Taramis.

Darrick zastanawiał się, czy tego właśnie chciał Kabraxis. Czy śmierć Darricka z rąk tłuszczy pozwoliłaby demonowi powrócić? Darrick nie miał pojęcia.

Matka stanęła w jego obronie.

– Nie ważcie się go tknąć. On uratował moją malutką Jennę. Nawet jeśli zabił Wskazującego Drogę, to widać miał dobre powody, tak mówię. Ten człowiek jest cudotwórcą, wybrańcem Światłości.

– Wskazujący Drogę prowadził was do demonów - powiedział Taramis. - Gdybyśmy nie zabili sługi fałszywego Proroka Światłości, wszyscy trafilibyście do najgłębszego Piekła.

Darrick czuł obrzydzenie. Nie był świętym ani bohaterem. Zmusił się, by rozluźnić uchwyt na Burzogniewie.

Ludzie uspokajali się z oporami. Próbowali znaleźć sens w tym wszystkim, co przeżyli w świątyni Proroka Światłości.

Darrick patrzył w zadziwieniu, jak podchodzili z rannymi przyjaciółmi i krewnymi, błagając go, by ich uleczył. Odwrócił się do Taramisa.

– Co mam zrobić?

Mędrzec popatrzył na niego.

– Wybór należy do ciebie. Możesz wejść na pokład i zająć się własnymi potrzebami albo możesz tu zostać i zająć się potrzebami innych.

Darrick spojrzał na tłum.

– Ale ich jest tak wielu.

Ułożono w dokach już dwa tuziny konających. Ludzie wołali do niego, błagając o pomoc dla umierających.

– Ale moc, którą posiadam - szepnął Darrick - nie pochodzi od Światłości.

– Nie - zgodził się Taramis. - Posłuchaj mnie jednak. Skąd wiesz, że umieszczenie cię właśnie w takiej sytuacji nie było planem Światłości?

– Skaział mnie demon.

– Posiadasz również wielką moc demona i jeśli zechcesz, możesz uczynić wiele dobrego.

– A jeśli się przy tym zatracę? - spytał Darrick.

– Życie polega na utrzymywaniu równowagi - stwierdził Taramis. - Równowagi między Światłością a Ciemnością. Nie zdołałbym tak dobrze i tak chętnie spełniać woli Światłości, gdybym nie poznał Ciemności, która czeka w Płonących Pieklach i pragnie mnie pożreć. Człowiek musi zostać zahartowany jak stal, Darricku. Przeszedłeś długą drogę. Twoja terażniejszość jest równowagą między przeszłością a marzeniami. Stoisz między Światłością a Ciemnością jako brama Kabraxisa, ale od twojej woli zależy, czy pozostaniesz zamknięty, czy się otworzysz. Musisz wybrać, czy ukryjesz swoją moc, czy też przyjmiesz ją ze wszystkimi konsekwencjami. Możesz się jej obawiać albo ją przyjąć. Tak czy inaczej, już zmieniła twoje życie.

Darrick w milczeniu spojrział na wyczekujący tłum, choć w głowie miał plątaninę myśli, a demon szeptał na dnie jego umysłu. Potem odetchnął głęboko i ruszył na spotkanie przyszłości. Uniósł wysoko głowę, gdyż nie był już niekochanym bękartem, ale człowiekiem pełnym współczucia, który zaakceptował swe winy. Poszedł do rannych i umierających i uzdrowił ich, słuchając krzyków demona w swojej podświadomości.





# DIABLO

